

miłość
czyni
dobrym

BONDA

KATARZYNA

Powieść inspirowana
prawdziwą historią

TRYLOGIA KRYMINALNA
WIARA • NADZIEJA • MIŁOŚĆ

Tom 1

Miłość leczy rany
(Wiara)

Tom 2

Miłość czyni dobrym
(Nadzieja)

wkrótce

Tom 3

Miłość pokonuje śmierć
(Miłość)

BONDA

KATARZYNA

miłość
czyni
dobrym



MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczńska, Lingventa*

© by Katarzyna Bonda

All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2020

Fotografie na okładce:

© Tatjana Kabanowa/Shutterstock.com

© rdonar/Shutterstock.com

Powieść na kanwie prawdziwych wydarzeń.

Przebieg fabularny, personalia, nazwy instytucji (w tym niektórych banków) są zmyślane.

ISBN 978-83-287-1553-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2020

*Dla Doroty i Ady,
które wiedzą, że bycie dobrym nie oznacza bycia ślepym*

...Więc wziął za
dobrą monetę swój przydział
żetonów. Nie wiedział, że to nie nagroda,
ale że po to je dostał, aby grać; że gra
dopiero się zaczyna.

Stanisław Barańczak,
Wziął za dobrą monetę,
Wiersze zebrane, Kraków 2005

KUP CAŁY TORT I POKRÓJ GO NA KAWAŁKI

DZIESIĘĆ – DIABŁY SPOTYKAJĄ SIĘ, PRZESTĘPCY RÓWNIEŻ

Chełm, Polska, wiosna 2016

Lublin, Polska, wiosna 2016

DZIEWIĘĆ – JEŚLI NIE PŁACISZ ZA PRODUKT, TO TY JESTEŚ
PRODUKTEM

Frankfurt nad Menem, Niemcy, czerwiec 1998

Mülheim, Niemcy, październik 1998

Hamburg, Niemcy, listopad 1998

Essen, Niemcy, październik 1998

Frankfurt nad Menem, Niemcy, październik 1998

Mülheim, Niemcy, listopad 1998

OSIEM – ZŁEGO DIABLI NIE WEZMA

Warszawa, Polska, wiosna 2016

Wrocław, Polska, styczeń 1999

Frankfurt nad Menem, Niemcy, styczeń 1999

Wrocław, Polska, styczeń 1999

Kronberg, Niemcy, luty 1999

Frankfurt nad Menem, Niemcy, luty 1999

Biłgoraj, Polska, luty 1999

Okolice Kraśnika, Polska, marzec 1999

Lublin, Polska, marzec 1999

Biłgoraj, Polska, marzec 1999

Pałac Kultury i Nauki, Warszawa, Polska, marzec 1999

Hotel Marriott, Warszawa, Polska, marzec 1999

SIEDEM – CYNICY NIGDY NIE WYGRYWAJĄ

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Londyn, Wielka Brytania, marzec 1999

Frankfurt nad Menem, Niemcy, marzec 1999

Mülheim, Niemcy, lipiec 1999

Amsterdam, Holandia, lipiec 1999

Kronberg, Niemcy, lipiec 1999

SZEŚĆ – JEŚLI ZNALAZŁEŚ SIĘ W DZIURZE, PRZESTAŃ KOPAĆ

Okolice Villi Portesina, Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Więzienie w Darmstadt, Niemcy, lipiec 1999

Mülheim, Niemcy, lipiec 1999

Wrocław, Polska, sierpień 1999

Więzienie w Darmstadt, Niemcy, sierpień 1999

Casino de Monte Carlo, Monako, sierpień 1999

Darmstadt, Niemcy, 2 listopada 1999

Zamek Radziwiłłów, Biała Podlaska, Polska, grudzień 1999

Biłgoraj, Polska, grudzień 1999

Kraśnik, Polska, grudzień 1999

Biłgoraj, Polska, grudzień 1999

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Śliwniki pod Kaliszem, Polska, czerwiec 2000

Stacja benzynowa gdzieś na autostradzie, okolice Kępna, Polska, listopad 2000

Biłgoraj, Polska, listopad 2000

Lublin, ul. Kołłątaja 3, Polska, listopad 2000

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

PIĘĆ – NIE MÓW: NIE STAĆ MNIE, POWIEDZ: JAK MOGĘ TO OSIĄGNAĆ?

Port Hercules, Monako, luty 2001

Hotel Hermitage Monte Carlo, Monako, luty 2001

Lublin, Polska, luty 2001

Rio de Janeiro, Brazylia, 24 lutego 2001

Monte Carlo, Monako, luty 2001

CZTERY – WIĘKSZOŚĆ LUDZI MA SWOJĄ CENĘ

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Hotel Hermitage Monte Carlo, Monako, luty 2001

Wrocław, Polska, luty 2001

Genewa, Szwajcaria, marzec 2001

Tydzień wcześniej, Brescia, Włochy, luty 2001

TRZY – WIELE NASZYCH JAJEK W KILKU KOSZYKACH

Gdzieś na Morzu Śródziemnym, wiosna 2001

DWA – STRACH I PRAGNIENIE TO NAJWIĘKSZE PUŁAPKI ŻYCIA

Okolice Biłgoraja, Polska, 1987

JEDEN – LUDZIE BARDZO BOGACI TO BANDA DURNYCH
GŁUPCÓW

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Villa Portesina nad Lago di Garda, Włochy, wiosna 2019

Wrocław, Polska, czerwiec 2020

Chełm, Polska, czerwiec 2020

ZERO – BEZ RYZYKA NIE DA SIĘ MÓWIĆ PRAWDY

Posłowie

**KUP CAŁY TORT
I POKRÓJ GO NA KAWAŁKI**

Gruby Irek zginął od jednej kuli w głowę w Wigilię Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Snajper trafił gangstera, gdy ten wyszedł ze zgierskiej pizzerii, gdzie urządził świąteczną kolację, by pogodzić zwaśnione towarzystwo, którym dowodził. Do tej pory szef łódzkiej bandy nie ruszał się na krok bez ochroniarzy, naładowanej broni i kamizelki kuloodpornej. Tego dnia swój oręż zostawił za stołem wraz z prezentem od Taty – swojego doradcy i prawej ręki. Dedykacja w książce, którą Tato vel Materac podarował mocodawcy, brzmiała: „Przeczytać z uwagą”. Gruby Irek nie zdążył, ale też wiadomość nie była przeznaczona dla trupa. To żywi mieli wyzbyć się wątpliwości, kto stoi za zamachem stanu i komu będą teraz służyć.

Tato, jak wielu przed nim w tej branży, zaczynał jako cinkciarz i handlarz złotem. Kiedy stanął na szczycie struktury zbudowanej przez Grubego Irka, stał się nadzwyczaj ostrożny. Akcje przeprowadzał rękoma żołnierzy, a jego podpis nie pojawił się na żadnym z dokumentów. Choć był rencistą trzeciej grupy bez prawa do zasiłku, mieszkał w apartamencie wyłożonym marmurem i jedwabiami, a klamki wszystkich drzwi kazał odlać ze szczerego złota. Mówiono, że w bankach, na licznych kontach, miał zdeponowane miliony złotych; gromadził także dzieła sztuki. Jego pasją były jednak książki. Czytał w każdej wolnej chwili.

Za kierownictwa Taty łódzki gang rozrósł się i należał do najlepiej zorganizowanych w kraju. Oprócz bossów i szeregowych gangsterów w strukturach syndykatu działali lekarze, traderzy, urzędnicy państwowi, księgowi, funkcjonariusze Służby Więziennej i wpływowi biznesmeni z koneksjami na wysokich szczeblach. Okrzyknięta „łódzką ośmiornicą” pierwsza polska mafia miała wiele odnóg. Grupa wciąż zabijała i porywała dla okupu, lecz jej specjalnością stały się przestępstwa gospodarcze. Jej członkowie – w najlepszym okresie było ich ponad dwustu – często się nie znali. Dzięki temu w momencie wpadki „działu kryminalnego” ci zajmujący się oszustwami i wyłudzeniami mogli działać bez obaw, że zostaną wsypani. Z czasem to oni generowali największe zyski na rzecz gangu. Wkrótce na upranie czekała cała góra forsy.

Tato zatrudnił więc doradców finansowych wyszukujących luki w prawie. Stworzył zespół zajmujący się opracowywaniem fikcyjnych i fałszywych dokumentów – w tym weksli, czeków, papierów wartościowych. Miał na usługach brokerów ubezpieczających za łapówki różne transakcje firm krzaków, bankierów, kontrolerów, urzędników skarbowych, ale potrzebował łączników swojego świata z tym uczciwym. To on umożliwił działanie szwadronowi mistyfikatorów udających finansistów, których głównym zadaniem było pozyskanie drobnych biznesmenów w kłopotach, chcących nie do końca zgodnie z prawem dostać kredyt. Pragnienie bogactwa i sławy przedsiębiorców spotykało się z potrzebami Taty – upchnięcia gdzieś nielegalnie zdobytych środków i zalegalizowania ich.

Przestępcy prowadzili interesy w całym kraju i blisko współpracowali z innymi gangami – polskimi i zagranicznymi – świadcząc sobie nawzajem usługi. Szczególną estymą darzył Tato mafiozów włoskich, zwłaszcza sycylijskich. Podziwiał ich, wzorował się na ich sposobach działania. Mówiono, że podlegli mu bandyci mieli obowiązek przed audiencją całować jego sygnet. Kiedy prokuratura chwaliła się w mediach, że gang rozbito, a do więzienia trafiło ponad stu członków łódzkiej ośmiornicy, wyszkoleni na uniwersytecie Taty fałszywi finansiści zaczęli działać na własną rękę i zamiast po złotówki sięgać po dolary, funty szterlingi czy franki szwajcarskie.

Było ich tak wielu, że często o sobie nie wiedzieli, ale wszyscy w jakimś stopniu mieli wspólnego ojca. Eryk Szaja zwany Śpiewakiem prowadził drobny zakład krawiecki i kilka innych firm, które generowały straty. Drobny ciułacz dla postronnych, nieistotna płotka dla fiskusa – był głównym łącznikiem Taty ze światem rodzącej się finansjery. Ale właściwą moc Śpiewak zdobył dopiero wtedy, kiedy ojciec chrestny łódzkiej ośmiornicy trafił za kraty. W gazetach zaś napisano, że mafii w Polsce już nie ma.

To na zlecenie Śpiewaka dwudziestego pierwszego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku z urzędu meldunkowego w Brescii (Lombardia) skradziono pięćset osiemdziesiąt dokumentów in

blanco. Tekturowe formularze *carta d'identità*, czyli włoskie dowody osobiste, padły łupem włamywaczy tylko dlatego, że Marcello Waleski, urzędnik polskiego pochodzenia śpieszący się na swój własny ślub, nie zamknął ich, jak to miał w zwyczaju, w metalowej szafie otwieranej dwustopniowym kodem i przytwierdzonej do podłoża Ufficio Anagrafe. Sprawców włamania było dwóch, ich personaliów nie ustalono. Dostali się do budynku po balkonach, przepiłowali kraty. Zanim rozdzwonił się alarm, byli już w pobliskim ogrodzie. Przez cały weekend ochrona sądziła, że monitoring uruchomił zabłąkany kot, bo nie stwierdzono w urzędzie żadnych strat, a po budynku wałęsał się tłusty dachowiec. Świeżo upieczony żonkoś wrócił po tygodniowym urlopie i z miejsca stał się głównym podejrzanym. Śledztwo było drobiazgowo, trwało kilka miesięcy z okładem. Ostatecznie Waleskiego oczyszczono z zarzutów, odebrano mu tylko premię kwartalną. Klucz do kasety trzymał każdej nocy pod poduszką. Nigdy wcześniej ani później nie był karany, nie dostał upomnienia za jakiegokolwiek uchybienie. Miesiąc po opisywanych zdarzeniach się rozwiódł. Jest bardzo przywiązany do kotki, którą wtedy przygarnął. Nadał jej imię Carta D'identità. Jej młodym zaś, bo pulchność okazała się stanem brzemiennym, ostatnie numery skradzionych dokumentów: Numero Uno i Numero Tre.

Mniej więcej w tym samym czasie policja w Neapolu zarejestrowała szereg napadów na cudzoziemców. Cristina Luiza Balbieri straciła w ten sposób torebkę ze skóry strusia zdobioną diamentowymi szprosami, którą otrzymała ponoć w darze od księcia Monako. To tej pamiątki żałowała najbardziej i z jej powodu zgłosiła się do *carabinieri*, domagając się natychmiastowego odnalezienia zguby. O paszporcie watykańskim, który znajdował się w bocznej przegródce torby, wspomniała dopiero pod koniec składania zeznań. Był wydany czasowo i miał numer 820, a nowiutki – stały już dokument – czekać miał na nią po powrocie do biura. Torebki nie odzyskano. Złodziej na skuterze, który wyrwał z dłoni Cristiny książęcy podarunek, odesłał jej szminki i skórzany pas do pończoch, o którym dyplomatka zapomniała wspomnieć na komendzie policji. Ślad po dokumentach i zawartości portfela obywatelki Państwa Watykańskiego zaginął. Później na jaw wyjdzie, że podobnych kradzieży dokonano również w innych miastach. W sumie zaginęło trzysta czterdzieści sześć

paszportów z różnych krajów. Były też przypadki rabunku blankietów prawa jazdy, choć nie w takich ilościach. Wtedy nie połączono tych faktów z włamaniem w Brescii.

O sprawie przypomniano sobie dopiero kilka miesięcy później, kiedy od czerwca do września tego samego roku Crédit Agricole Indosuez Bank zgłaszał zuchwałę kradzieże czeków bankierskich. Podobne zawiadomienia stopniowo docierały z banków: TSB, Dresdner Bank, Deutsche Bank, HSBC, Landes Bank Essen, Rabobank i innych. Kiedy z mennicy zniknęły papiery wartościowe – w tym historycznej złotej linii kolejowej Stanów Zjednoczonych – a jedyny z zatrzymanych pracowników ochrony, który chciał zeznawać, popełnił samobójstwo w areszcie, prowadzący dochodzenie wyzbyli się wszelkich wątpliwości, że mają do czynienia z działaniem zorganizowanej szajki.

Większość zrabowanych papierów przez najbliższy rok realizowano na terenie Republiki Federalnej Niemiec. Wpadło kilkudziesięciu sług, pośredników i pomocników łączników. Większość otrzymywała wyroki w zawieszeniu. Reszta sklonowanych papierów wypływała sukcesywnie przy okazji rozmaitych śledztw, nie tylko na terenie Europy Zachodniej. Nigdy nie udało się połączyć tych spraw.

Eksperti szacują, że policja, urzędy i banki nie zakwestionowały trzydziestu procent dokumentów, a środki wypłacono. Jest wielce prawdopodobne, że dokumenty te będą pojawiać się w różnych sprawach kryminalnych przez najbliższe lata – określono w prognozie kryminalnej.

Pracownicy służb zajmujących się śledztwem wspominają do dziś: ci fałszerze to byli artyści, dystrybutorzy ich dzieł natomiast – istne diabły. Ale jak to bywa z upadłymi aniołami, mają oni jedną cechę główną: do podpisania cyrografu nie nakłaniają ludzi uczciwych, lecz chciwców. Dobrego człowieka nie da się oszukać.

DZIESIĘĆ

**DIABŁY SPOTYKAJĄ SIĘ,
PRZESTĘPCY RÓWNIEŻ**

Chełm, Polska, wiosna 2016

Jestem, a więc nie ma się czego bać, pomyślał Daniel Skalski, gdy trzaskały za nim kolejne bramy. Strażnik otworzył śluzę, a za nią, jak okiem sięgnąć, rozciągał się więzienny plac. Tę połąć prostopadle przecinała wąska aleja nazywana przez więźniów pacynką zmartwychwstania. Ten, kto szedł nią choć raz, wie, że człowiek czuje się wówczas, jakby mu przywracali życie. Jeśli ktoś dotarł aż tutaj, znów miał prawo oddychać pełną piersią. Daniel wciągnął potężny haust wolności i zatrzymał w płucach: kwiaty, paliwo, kurczaka z rożna gdzieś w oddali, lody pistacjowe. Dlaczego pod mamrem w Chełmie czuję *gelato*? – zdziwił się i jak na zawołanie na końcu języka poczuł smak łakoci z dużymi kawałkami pistacji podawanych we Fragoli. Słynna włoska cukiernia mieściła się tuż obok kei w Portoferraio, przy której Daniel zacumował „Daisy” – siedemdziesięciometrowy jacht z miejscem do lądowania dla helikoptera i całkowicie przeszklonym basenem zarejestrowany na jedną ze spółek Skalskiego – White Horse Trust Liberia LTD, do której jakimś cudem prokuraturze nie udało się dokopać.

To moja najbliższa przyszłość, uśmiechnął się do siebie. Byle tylko zdobyć drugi klucz i dostać się do skrytki. A gdyby i to się nie udało, pozostaje jeszcze plan awaryjny: wierny przyjaciel Fred. Trzeba zadbać, by włos mu z głowy nie spadł. Przynajmniej do czasu, aż Noell zawiadomi go o fortunie ojca.

Eskortujący go strażnicy zatrzymali się. Czekali, aż poprzednia brama się zamknie, bo dopiero wtedy mogli ruszyć dalej. Daniel zadarł głowę i wpatrywał się w chmury przemykające w pośpiechu, jakby spłoszone surowym wiatrem, który gnał je do bezpiecznej zagrody przed szarym kowadłem niechybnie zwiastującym deszcz, i to jeszcze tego popołudnia. Przypominały mu wate, jaką będąc dzieckiem, układał na gałązkach świerku, albo smakołyk na patyku, który matka kupiła mu, kiedy jedyny raz wybrali się razem nad Bałtyk. Obłoki były wąskie, strzępiaste. Niektóre tak delikatne, że błękit nieba prześwitywał przez nie jak ciało pierwszej kochanki przez muślinową koszulkę. Daniel nie pamiętał imienia dziewczyny, ale zarys bioder i krągłość ud spowite tajemnicą przezroczysej

materii pojawiały się w jego wspomnieniach w najmniej oczekiwanych momentach.

Zapowiedź deszczu mógł dostrzec na razie tylko wytrawny żeglarz. Wciąż było słonecznie, choć rześko, aż Daniela raz po raz przechodził dreszcz. Zdało mu się nagle, że ten cholerny smoking od Armaniego, w którym zatrzymano go cztery lata temu, jest mokry. A może i był zawilgocony, bo kiedy odebrał go z depozytu, pachniał jak wszystko w więzieniu: kapustą, ludzkim potem, nadmiarem testosteronu i nędzą. Odda go do pralni, jak tylko dotrze do domu, albo wyrzuci i kupi sobie nowy, równie markowy, zdecydował. Na razie upajał się tym, że pozbył się ohydneho więziennego drelichu i znów ma na sobie cywilne ubranie. Bez żalu oddał Śniademu, z którym dzielił celę, swoje całkiem nowe dresy i polary z logotypem Mercedesa. Zostawił też mydło, książki, przybory do pisania, a nawet okulary. Nigdy ich nie potrzebował. Nosił je tylko podczas procesu, gdyż adwokaci uważali, że to uwiarygodni jego wizerunek finansisty. Wziął jedynie swój sygnet z herbem rodu von Hochberg, a kiedy go zakładał, jakby wsuwał glocka do kabury, poczuł siłę wynikającą z przynależności do jednej z najstarszych rodzin arystokratycznych. Tej siły nie zastąpi nic innego. Dawne moce wróciły momentalnie, jak zawsze, kiedy wpatrywał się w miniaturki złotych lwów i dwugłowego orła na rubinie uosabiającym purpurowy płaszcz książęcy.

Strażnicy rozstąpili się wreszcie, a Daniel ustawił się przed ostatnią kratą. Dalej pójdzie już sam. Przyjrzał się kwitnącym forsycjom, którymi wysadzono aleję wzdłuż zakładu karnego, i przyszło mu do głowy, że Bóg musi naprawdę kochać ludzi i wierzyć w nich, bo z jakiej innej przyczyny dawałby mu szansę kolejny raz stać się wolnym człowiekiem. Skoro świat cyklicznie się kończy i odradza, a to, co było martwe, zasila to, co dopiero będzie istnieć, w naturze nie ma niczego, co mogłoby przynieść mu istotną szkodę.

– Do widzenia, książę. – Brama uchyliła się, a strażnik w dyżurce nieznacznie skinął głową.

Czyżby się uśmiechał?

– Żegnaj, gadzie – odparł lekko Daniel. – Będę ci wszystko pamiętał.

Z każdym krokiem czuł, jak opuszczają go strach, zwątpienie i złość. W ich miejsce wstępowała nadzieja. Daniel postanowił, że wraz z przekroczeniem bramy wymaże z pamięci czas pobytu w tym miejscu i po prostu zapomni, jak zapomina się głupstwa, które się mówi w złości, albo źle zakończone romanse. Pójdzie własną drogą. Dobrze wiedział, dokąd ona prowadzi.

– Teraz będę już dobry. Będę tak dobry, że mnie więcej nie złapią.

I wyszedł. Miał ochotę podskakiwać, krzyczeć, płakać. Szaleć, całować, przytulać, wirować. Ale nie zrobił nic, bo ulica przed więzieniem była pusta. Czyżby nikt po niego nie wyjechał? Rozejrzał się zaniepokojony. Odruchowo zerknął na przegub, chociaż pamiętał, że zarekwirowali wszystkie jego zegarki. W ręku miał tylko niebieski krawat, na nogach stare lakierki. Lśniły, bo Śniady, w podzięce za wszystkie rzeczy Daniela i wór obietnic, pucował je od samego rana.

Nagle rozległ się metaliczny grzmot, jakby rozerwała się chmura, a sklepienie przecięła błyskawica. Daniel podniósł dłoń, przysłonił oczy, ale niebo wciąż miało barwę indygo. Ten jednostajny, miarowy rytm dobiegał zza bram więzienia i narastał, niósł się po okolicy zwielokrotnionym echem. W oknach Skalski dostrzegł współwięźniów z łyżkami w rękach, więc na jego twarzy w jednej chwili wykwitł triumfujący uśmiech. Podniósł dłoń w podzięce za ten hołd, jakby był monarchą, i krzyknął z całej siły:

– Błogosławię wam, pacany. Nie zasiedźcie się. Do zobaczenia na szlaku.

Odwrócił się. Po drugiej stronie ulicy spostrzegł srebrną alpinę Z8. Najpierw zalała go fala ciepła, że Daria przyjechała. Potem dotarło do niego, że stan samochodu pozostawia wiele do życzenia. Bmw było powyginane w wielu miejscach, a na nadkolu zaszpachlowane, jakby parkowano, nie używając lusterek. Dachy, upstrzonego ptasimi odchodami, nie zdejmowano od bardzo dawna. Daniel podejrzewał, że doszczętnie przerdzewiał. Patrząc na ukochaną alpinę, czuł wręcz fizyczny ból, ale nie zamierzał powiedzieć kochance ani słowa, byle tylko go stąd zabrała.

Daria musiała go wreszcie zauważyć, bo opuściła szybę, rzuciła komórkę na siedzenie i zaczęła machać do niego tak gwałtownie, jakby poparzyła sobie dłonie. Długo nie docierało do niego, że wskazuje fotelik

dziecięcy ulokowany na miejscu dla pasażera. W oczach zakręciły mu się łzy; zrobił krok, już niemal biegł do niej, już widział siebie w jej białych ramionach, kiedy pod wejście do aresztu podjechał czarny mercedes. I to auto Daniel dobrze pamiętał. Było czyste i dla odmiany w doskonałym stanie. Skalski czuł tutaj rękę ojca, który pokrzykiwał na matkę, że się guzdrała i dlatego się spóźnili. Lucjan szarpał Krystiana i Krysię, żeby biegli witać się z ojcem, choć oboje nie byli już dziećmi.

Emilia wysiadła z samochodu ostatnia. Daniel mimowolnie podążył za spojrzaniem żony. Patrzyła na Darię, która z kolei wpatrywała się w niego. Nigdy nie zapomni błagalnego, zboląłego wzroku kochanki.

– Wybacz mi, aniołku – starał się przekazać jej oczyma, ale kochanka widać nie tak to odczytała, bo szyba podniosła się i zmaltretowana alpina ruszyła z piskiem.

W złości Daria musiała pomylić biegi. Uderzyła tyłem w murek, potem podjechała do przodu i też ostro grzmotnęła, a kiedy odjeżdżała, poprawiła tylnym zderzakiem, aż zagrzechotał. Daniel miał wrażenie, że bierze na nim odwet. Zdawała sobie przecież sprawę, ile ten samochód dla niego znaczył. Podarował jej alpinę tuż przed aresztowaniem, choć kpiła, że kupił ją dla siebie. I była to prawda. Lubił widzieć ją w tym cacku, a i samemu nim powozić, koniecznie z otwartym dachem, gdy urywali się na zagraniczne eskapady. Kiedy Daria go mijала, Danielowi zdało się, że słyszy płacz dziecka. O dziwo, nic nie poczuł. Może tylko cień ulgi, że kolejny raz udało mu się uniknąć konfrontacji.

– Kurwa. – Splunął za nią ojciec Daniela. – Wstydu nie ma. Suka w rui.

– Tato, dzieci słyszą. – Emilia pouczyła teścia łagodnie i położyła mu dłoń na ramieniu, jakby chciała dodać, że jest ponad tym.

Ale nie była.

– Cześć, Foczko. – Daniel próbował odnaleźć się w sytuacji, robiąc słodką minę.

Żona nie odpowiedziała, ale nie miał wątpliwości, że wciąż jest pod wpływem jego czaru. Zacisnęła w gniewie wargi, oczy jednak zalśniły pożądaniem, a on z przykrością stwierdził, że żona w przeciwieństwie do Darii brzydtko się starzeje. Ciemne włosy przycięte w kask eksponowały jej kartofelkowaty nos i małe wodniste oczy otoczone siateczką zmarszczek.

Nigdy się nie malowała, teraz jednak byłoby to wskazane. Daniel z niechęcią pomyślał, że dziś, zamiast w ramionach kochanki, będzie zmuszony znaleźć się w jej łóżku.

– I niech słuchają – pienił się tymczasem Lucjan. – Oto bowiem jest w pełni adekwatne słowo na taką sucz. Kijami ją przeganiaj, a i tak wróci.

– Jak ty schudłeś, syneczku! – Do Daniela przylgnęła tymczasem mama.

A potem kolejno całowali go wszyscy.

– Jak dobrze wyglądasz!

– Pomijając ten wieśniacki fryz i brodę drwala, zaskakująco dobrze – dobiegł ich skrzekliwy francuski.

Daniel nie musiał się odwracać, by wiedzieć, kto zachodzi go od tyłu, ale rodzina rozstała się, więc nie miał wyboru. Wszedł naprzeciw Rollowi Sharkowi, chudemu Peruwiańczykowi, który kochał western i nawet w piżamie w jednorozżce przypominałby kowboja.

– Co za niespodzianka, bracie – zagaił nieszczercze.

Rzucili się sobie w objęcia, jakby faktycznie za sobą tęsknili. Kiedy Rollo przytulił Daniela do piersi, zdecydowanie zbyt mocno jak na przyjacielski uścisk, Skalski poczuł kawał metalu za jego paskiem i wcale go to nie zdziwiło. Zmartwił się jedynie, że Shark znalazł go tak szybko, bo nie był jeszcze przygotowany. Wskazał imponujący kapelusz Rolla z mnóstwem piór.

– Ten jest najgorszy z całej twojej kolekcji.

– Spytałbym cię o zdanie, ale jakoś zniknąłeś mi z oczu.

– Było trochę problemów.

– Trzysta baniek wyparowało. Faktycznie kłopot.

Daniel nawet nie mrugnął. Wpatrywał się w Sharka z bladym uśmiechem i wiedział, że nie powinien przedłużać tej rozmowy. Ojciec i matka nie rozumieją, Emilia – wręcz przeciwnie. Zanim dotrą do domu, znów będzie miał zmytą głowę. Jęki, płacze, wyrzuty. Nie będzie temu końca. Nie tak wyobrażał sobie pierwszy dzień wolności.

– Na szczęście to już za nami.

– Masz trzy dni.

Daniela zatkało.

– Dziś jest piątek – zdołał wydusić.

– Więc do północy w poniedziałek. Przelewy można robić w weekend, w nocy. Zawsze. Wiem, gdzie mieszkanie. Byłem już u was w Stasinie. Tylko nie chciałem przeszkadzać.

Rollo znów zwrócił rozpromienioną twarz w stronę Emilii, jakby konwersowali o zbliżającym się deszczu. Kobieta odwróciła się gwałtownie niczym uderzona w twarz i tylko ukradkiem ocierała łzy. Daniel podszedł do niej. Odtrącała jego rękę. Zwrócił się więc do ojca.

– Wsiadajcie do wozu. Ochłodziło się.

Lucjan Skalski natychmiast popchnął żonę i synową oraz dzieci do SUV-a. Kiedy zostali sami, Daniel spróbował raz jeszcze:

– Wiesz, że to za mało. Muszę jechać osobiście, a przyblokowali mi wjazd do Niemiec, Monako i Szwajcarii. Analiza głosu nie wystarczy. Nie przy tej kwocie i prokuraturze na karku.

Rollo nie odpowiadał. Z zaciekawieniem przyglądał się rodzinie Skalskiego ukrytej za szybą samochodu, ale wpatrzonej w nich w napięciu.

– Myślałeś, że chłopcy zapomną?

– Chcę się rozliczyć – podkreślił Daniel. I zaraz dodał: – Miałem cię za przyjaciela, Rollo.

Shark odchrząknął. Poprawił kapelusz, włożył dłonie do kieszeni, kciuki wystawił na zewnątrz, jakby szykował się do pojedynku.

– I dlatego jestem. *Veni, vidi*. Liczę na *vici*. Wciąż mamy nadzieję, że zamotasz to po dżentelmeńsku.

– Admirał cię wysłał?

– VAL.

– Więc admirał jeszcze nie wie?

Rollo się zaśmiał.

– To jest trzysta baniek, Dany. Musisz się rozliczyć.

Skalski pochylił głowę.

– Nie mam wszystkiego. Nie tutaj. – Urwał. – Nawet jeśli dzisiaj złożę zlecenie, przynajmniej tydzień będą je rozpatrywać. Lepiej będzie, jeśli pojedę osobiście, a to trzeba przygotować. I nie życzę sobie, żebyś siedział mi na ogonie. To nic nie da.

– Nie masz wyboru. – Shark podłubał podkutym butem o chodnik. Wahał się, czy wyjawić coś jeszcze, ale się rozmyślił. – Tu się wychowałeś?

– Mniej więcej. W Biłgoraju.

– Byłem tam. Straszna dziura.

Daniel zniósł obelgę.

– Zrobiłeś karierę, bracie.

Daniel sam o tym wiedział.

– W ile zdołasz zdobyć?

– Miesiąc? Może.

– W miesiąc twoja rodzina znajdzie się w piekle.

Rollo odwrócił się. Spojrzał na murek wyszczerbiony przez alpinę.

– I tamta pani oraz jej dzidzius. Jeszcze go nie widziałeś, prawda? Ma na imię Alexander. Fajny bobas, tylko chorowity. Gdybyś miał tę kasę, postawiłbyś im dom jak żonie i ojczulkowi, a nie zmuszał do kiszenia się w komunałce. Lublin, ulica Kołłątaja trzy. Numer kwatery – dziesięć. Niezła lokalizacja, ale nora straszna. O tyle dobrze, że mam blisko z Grandu. Zawsze mogę skoczyć odwiedzić. Wciąż niezła ta pani z recepcji. Chyba nie masz nic przeciw, jak ją na trochę przejmę? Nieraz wymienialiśmy się dziewczynami. Tak swoją drogą, Tarima zniknęła ze swoją połową. Jeśli jej nie znajdziemy, będziesz musiał uregulować i Wolfa. Powiedz szczerze, Dany, masz tę kasę?

Daniel poczuł, że oblewa go zimno.

– Kto mnie wykupił?

Shark dumnie uniósł głowę.

– Ty? – Daniel nie dowierzał. – Gwarancją bankową?

– Czysty szelest, bracie. Więc dolicz jeszcze dwie bańki w keszu. VAL nadzoruje rozliczenie. Dziesięć dni. Tik, tak, tik, tak. W przeciwnym razie zawiadamiam admirała.

A potem odmaszerował do starej corvetty w kolorze limonki ze sztukowanym żółtym dachem, którą sądząc po blachach, kupił w Polsce tylko po to, żeby mieć Daniela na oku. Głupi Peruwiańczyk myśli pewnie, że tą landarą nie będzie zwracał na siebie uwagi.

– Dziękuję, bracie – krzyknął, choć Shark już nie słuchał.

Daniel poczuł, że musi koniecznie, po prostu natychmiast, zjeść choć gałkę lodów pistacjowych. Ale najpierw fryzjer. Żaden kowboj nie będzie go pouczał, jak ma się czesać.

Lublin, Polska, wiosna 2016

Dotknęła włosów – nie ścięli ich. Dotknęła twarzy. Poza spuchniętą wargą nie miała żadnych obrażeń. Pamiętała tylko, że upadła. Nie wie, co się stało. Szła od myjki do fotela, na którym Ivanka miała wyrównać jej asymetryczną grzywkę, i wtedy jak gdyby ktoś odciął prąd. Straciła przytomność. Ale teraz czuła się dobrze. Normalnie. Dyskomfort powodował tylko ćmiący ból z tyłu głowy od uderzenia, no i ten wenflon na przedramieniu. Chciała wstać, nie mogła. Oplatały ją jakieś kable. Pojęła, że jest podłączona do aparatury.

Pomieszczenie było wyciemnione. A jednak widziała rząd pustych łóżek, mamę drzemącą w fotelu przy oknie i ojca skulonego na podłodze. Miała nadzieję, że wzięł karimatę, inaczej dostanie wilka.

Drzwi otworzyły się. W trójkącie światła dostrzegła postać w kitlu. Zmierzała w jej kierunku. Natasza natychmiast zacisnęła powieki, udając, że śpi. Doktor podszedł do jej łóżka, podniósł kartę. Zbliżył się do niej, zbadał puls. Postarała się nie stawiać oporu. Przegub leżał bezwładnie w jego dłoni. Potem uniósł jej nogę. Miała wrażenie, że lekarz dotyka obcego ciała. Nic nie czuła. Czyżbym była sparaliżowana?

– Jest poprawa? – usłyszała zaspány i pełen nadziei głos mamy.

Choć Zoriana mieszkała w Polsce niemal całe dorosłe życie, nigdy nie wyzbyła się akcentu. Wschodni zaśpiew wciąż przebijał, kiedy była zdenerwowana. A teraz była.

– Jeszcze za wcześnie, pani Szwarc. Trzeba czekać.

– Ile?

To wstał tata. Natasza domyśliła się, że rodzice są wykończeni. Nie miała pojęcia, jak długo tu leży. Ile czasu minęło od jej wizyty u Ivanki? Bolała ją głowa. Czy skóra jest przecięta? Piekło, szarpało. Dlaczego Ivanka nie kładzie w salonie dywanów?

– Nie obudziła się?

– Była przytomna. Mówiła. Ciało jest sprawne – oświadczył doktor. – Do paraliżu nie doszło. Wygląda na to, że jeśli chodzi o konsekwencje

upadku, poza stłuczeniem głowy i kilkoma siniakami nic jej nie jest. Ale to nie pierwszy raz Natasza zemdląła, prawda?

– Nie pierwszy – potwierdziła szeptem mama.

– Sprawa może być poważniejsza, niż nam się wcześniej wydawało – zaczął doktor.

Ojciec, kategorycznie:

– Jak bardzo?

Mama, błagalnie:

– Co jest jej? Pan powie nam prawdę. Ja muszę wiedzieć.

Lekarz zawahał się, a potem Natasza poczuła dotyk w okolicy obojczyka.

– Nic nie czuje – jęknęła mama i zaszlochała. – Nastka, moje dziecko! Ona nieżywa?

Za chwilę zacznie się lament, pomyślała Natasza ze wstydem.

– Żywa – pośpieszył z wyjaśnieniem lekarz. – Niech pani zachowa spokój. Wprowadziliśmy ją w śpiączkę farmakologiczną. Wszystko jest pod kontrolą. Może pomówimy w gabinecie? Niedobrze by było, gdyby córka się teraz wybudziła. I proszę zabrać rzeczy. Potrzebujemy tej sali dla innych pacjentów.

– Panie doktorze, my zapłacimy – zapewnił ojciec.

– Nic nie pomożecie, jedźcie do domu. Pacjentka musi zostać.

– Jak długo?

– Może do końca.

Mama zaczęła płakać. Natasza z trudem powstrzymywała się, by nie krzyknąć, że wszystko słyszy. Dlaczego oni tego nie widzą? Otworzyła oczy. Nic. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wszyscy skupiali się na jej zapłakanej mamie.

– Co to znaczy do końca? – wyjąkała mama i do Nataszy nareszcie dotarł sens tych słów. – Przecież ona zdrowa. Poza kilkoma omdleniami nic jej nie dolegało. Ona ma studia.

– Słyszała pani o chorobie Takayasu?

Cisza. Natasza spróbowała odchrząknąć. Teraz wszyscy odwrócili się w jej kierunku, ale tylko na chwilę, bo lekarz zniżył głos do szeptu.

– Zwana inaczej chorobą bez tętna. Polega na przewlekłym zapaleniu tętnic łuku aorty i jej rozgałęzień. A także proksymalnych naczyń wieńcowych, tętnic nerkowych i płucnych. Bardzo trudno zdiagnozować ją we wczesnym stadium, ponieważ objawy są bardzo ogólne. Zwykle ludzie nie łączą ich ze sobą. Dopiero kiedy zaczynają się regularne utraty przytomności... Ale wtedy zwykle jest za późno.

– Regularne? – wyjąkała matka. – Za późno? Na co za późno? Jurek, ty coś z tego rozumiesz? – Szarpnęła męża za rękaw.

– Czy córka skarżyła się na złe samopoczucie, gorączkę, nocne poty, bóle stawów?

– Czasami – przyznał ojciec. – Może. Nie wiem.

– Schudła znacząco?

– Tak, nawet ja robiła jej wymówki, że tak poszczupiała – potwierdziła Zoriana.

– Dalsze objawy zależą od stopnia upośledzenia krążenia w naczyniach zajętych przez chorobę – wyjaśniał doktor. – Pod koniec w tętnicach podobojczykowych i tętnicach obwodowych nie wyczuwa się tętna. Tak jak pani sama widziała. Ciśnienie mierzone na kończynach górnych jest istotnie różne. To bardzo rzadka choroba. Wymaga stałego monitorowania.

– Czy na to się umiera?

– Niestety tak.

Wyszli na korytarz. Dalej Natasza słyszała już niewyraźnie, bo lament mamy zagłuszał kwestie lekarza. Wyłapała tylko sanatorium, powikłania, dożywotnią opiekę ambulatoryjną i wyrok: nim nadejdzie lato, dojdzie do następnego udaru.

Jak cudownie znów mieć kontrolę. Daniel rozparł się wygodnie w nowiutkim mercedesie, który już pół roku przed jego wyjściem Emilia wzięła w leasing u Kondratowicza. Właściciel salonu po starej znajomości przymknął oko na zaświadczenie o zarobkach i przygotował najbogatszą

wersję, jaką Skalski wybrał z katalogu. Auto czekało na niego na podjeździe i kiedy tylko przyjechali do Stasina, Daniel postanowił je wypróbować. Miał godzinę, bo tyle zajmie zagrzanie obiadu i nakrycie do stołu, a tego wieczoru Skalscy zaprosili Freda z żoną. Przyjaciel Daniela chciał być w Chełmie razem ze wszystkimi, ale Lucjan stawiał opór.

– Nie ma co robić teatru – przekonywał. – Pogadamy na osobności. Nie wiadomo, kto będzie się przyglądał tym, którzy podejmą Daniela pod zakładem. Lepiej nie dorzucać dREW do ognia. Wam na razie nic nie grozi, Ferdziu, ale potrzebujemy was z Agą w odwodzie. Walka wciąż się toczy. Nie wiadomo, czy nie zaczną prześwieślać i waszych biznesów.

I Fred się ugiął. Zawsze był posłuszny Lucjanowi.

Daniel ruszył więc na przejażdżkę, rzucając od niechcienia, że choć przez chwilę chce pobyć sam. Cztery lata na kupie z bandytami. Człowiekowi zdaje się, że słyszą każdą jego myśl, nim on sam ją sobie uświadomi – tłumaczył łagodnie. Zrozumieli. Jak zawsze był w tej rodzinie w centrum uwagi. Wziął więc prysznic, oderwał metkę od grafitowej marynarki, którą przygotowała mu Emilia, włożył nowiutkie dżinsy i perfekcyjnie odprasowaną błękitną koszulę.

– Skoczę też do fryzjera – dodał, układając przydługie włosy na żel. – Godzina, półtorej. Tylko nie zaczynajcie jeść beze mnie – zastrzegł, a potem zasłonił oczy markowymi lustrzankami, których ojciec nienawidził i nazywał ślepcami.

Zrobił się na bóstwo u barbera i ruszył na Kołłątaja, do Darii. Nie otworzyła mu drzwi. A może jej nie było? Pojechała wypłakać się do matki, odgadł. Żałował, że tak wyszło pod więzieniem, bo tęsknił za jej miękkim ciałem, włosami pachnącymi kokosem i wilgotnym, oddanym spojrzeniem, które sprawiało, że czuł się bogiem. Wprost rozpaczliwie potrzebował bliskości i ukojenia, a przy okazji chciał obejrzeć dziecko. Nic, trudno, później ją udobrucha, zdecydował. Przecież z powodu takiego drobiazgu nie będzie się gniewała. A gdyby nawet, ogarnie to listami i piosenkami – znów będzie jak dawniej. Może zamówić kwiaty? Piwonie, bo Daria ma do nich słabość. To by ją rozczuliło. Ale nie chciało mu się szukać kwiaciarni. Trudno, niech sobie pocierpi. Pojednanie będzie żarliwsze, uznał. Ma pilniejsze sprawy na głowie niż babskie fochy.

Droga była wąska, zapełniona tirami. Daniel śmigał między nimi i bez lęku wyprzedzał na trzeciego. Kilka razy schował się w ostatniej chwili, raz omal nie urwał komuś lusterka. A może i urwał? Nieważne, bo im więcej koni czuł pod stopą, im głośniej na niego trąbili, tym większą moc czuł w sobie. Zawsze lubił jeździć. Szczególnie taką maszyną. Wystarczająco długo mercedes marnował się pod płótem. Ojciec nie pozwalał go nikomu dotykać. Nawet Emilka musiała jeździć do pracy autobusem. Tym sposobem limuzyna doczekała powrotu Daniela dziewicza i pachnąca salonem. Daniel lubił to połączenie. Z rozkoszą zajmował się docieraniem jej silnika. Czuł, jak mięśnie pod jego ręką, ulega mu. Polubili się od pierwszego biegu. Jeszcze niedawno takich aut miał cztery, pięć, siedem. Każde na inną okazję. Jak zegarki. Ta drobna sprawa przypomniała mu o jubilerze. Spojrzał na czasomierz na desce rozdzielczej. Może Lubecki jest jeszcze w sklepie? Warto spróbować. I tak nie ruszą flaków bez niego. Będą czekać z jedzeniem, winem i tortem. Zamiast skręcić do Stasina, zawrócił na Lublin.

Mijał właśnie Czarcie Pole, na którym jako dziecko wylegiwał się na podmokłej łące, kiedy zobaczył cień człowieka. Wyhamował w ostatniej chwili. Dziewczyna nie zwolniła kroku, nie skoczyła w rów.

– Jak łazisz, ofermo? Mogłem cię zabić!

Spojrzała na niego z pogardą.

– I trzeba było.

– Dobrze się pani czuje? – zaczął łagodniej.

Nawet się nie odwróciła. Szła uparcie dalej, obłapiając się ramionami. Wściekła, że jakiś dziad ją zaczepia.

– Może podwiozę? Dokąd idziesz?

Jechał wolno obok niej. Była szczupła, miała wąskie pęciny i długie kasztanowe włosy. Wiatr bawił się nimi, przysłaniając niemal całkowicie twarz, więc Daniel nie zdołał się jej przyjrzeć, ale rysy miała ostre, ptasie. Przeciętna, zakonotował. I coś było z nią nie tak.

– Zaraz się rozpada – ostrzegł. – Cały dzień zbierało się na burzę.

– Nie ma pan innych spraw? Odczep się, człowieku!

Uśmiechnął się mimowolnie, bo choć w jej głosie wyczuł lęk, bezsilność i gniew, trudno było nie przyznać, że miała charakterek. Był już pewien, że jest bardzo młoda. Trawiła go perwersyjna ciekawość, co o tej porze robi sama na tej szosie, która jeszcze niedawno należała do niego. Wraz z lasem i polami aż do rzeki.

– Za zakrętem jest już autostrada. A tą drogą dojdzie pani tylko do Czarnej Łady. Do bagna. Miejscowi nazywają je Czarcim Polem. Szczerze odradzam. O tej porze roku jest szczególnie zwodnicze.

– Wiem – mruknęła i ruszyła, pochylając się jeszcze niżej.

Widział, jak walczy z wiatrem. Musiało jej być porządnie zimno, bo miała na sobie tylko cienki prochowiec. Szyję okręciła apaszką, która jak proporzec wirowała metr za nią. Nogi miała gołe, na stopach czółenka. To nie były buty do marszu na łąkę. Dziś pod aresztem Daniel sam wymarzył się bez płaszcza, więc podejrzewał, jak ona może się czuć.

– Jeśli chcesz, zawiozę cię nad rzekę i tam zostawię. Czy wyglądam na zbrojeńca? Nie musisz się bać.

Spojrzała na niego z politowaniem, a potem zaśmiała się gorzko, szyderczo.

– Niczego się nie boję – oświadczyła, kiedy zajęła wreszcie miejsce na siedzeniu pasażera. – Niech pan jedzie do miasta.

– Do Lublina? Gdzieś konkretnie?

– Wszystko jedno. Do jakiegoś hotelu. I błagam, niech pan nic nie mówi. Na chwilę stracił pewność siebie. Rzadko mu się to zdarzało.

– Jestem arcymistrzem w milczeniu – zapewnił.

– Wątpię.

Chciał coś dodać, ale spojrzała na niego karcąco, więc umilkł. Wtedy uśmiechnęła się kpiarsko, a na ustach, perfekcyjnie wyciętych w serduszko, położyła palec i bardzo powoli, jakby odpływała z tego świata, przymknęła powieki. Trwała tak dłuższą chwilę, aż jej twarz zaczęła przypominać pośmiertną maskę, jaką podziwiał kiedyś w jednym z kościołów w Asyżu. Jechali w zupełnej ciszy, silnik pracował miarowo, a jego na zmianę zalewały fale mrozu i gorąca. Starał się skupić na prowadzeniu, nie zerkać na młódkę, ale czuł buzujące w niej emocje, nokautującą go energię i nie

rozumiał, co się z nim dzieje. Pragnął tylko, by ta droga nigdy się nie kończyła, a nieznamiona dziewczyna została na siedzeniu obok jak najdłużej. Nie interesowało go zupełnie, co ona myśli, co czuje, jaka jest jej historia. I wiedział, że on też jej nie obchodzi, bo ani razu na niego nie spojrziała.

Wysiadła pod hotelem Grand bez słowa podziękowania. Długo patrzył, jak zmierza do wejścia. Skulona, z pochyloną głową, zdawało się, że pod lichym płaszczem skrywa potężne skrzydła. Nagle potknęła się o wyszczerbiony chodnik, a kiedy podniosła głowę, zauważył, że potarła oko. Liczył, że się odwróci i ostatni raz będzie miał szansę doświadczyć jej drapieżnego spojrzenia, ale to się nie stało, choć musiała wiedzieć, że ją obserwuje, bo stojący za nim kierowcy otrąbili go kanonadą. Ruszył, dopiero kiedy zaświeciło się następne zielone, a za zakrętem pojął, że znalazł się dokładnie w tym samym miejscu, co przed dwiema godzinami. Na poddaszu przy Kołłątaja 3, pod dziesiątką, świeciło się już światło. Mógł spróbować wejść do Darii, zobaczyć syna, ale nie chciał. Myślał o tej przydrożnej zjawie i nagle odkrył, co go do niej ciągnęło: zazdrość. Jej zapalczliwość i zawziętość były większe niż rozpacz, która ją przepełniała. Przeciwno czemu się buntowała? Jakby od tego zależało jej życie. Nigdy nie czuł w sobie takiego ognia. Ból, cierpienie, poczucie pustki, osamotnienia – znał je wszystkie bardzo dobrze; pragnienie odwetu, wściekłość, gniew – te emocje towarzyszyły mu nieustannie. Czasami miał wrażenie, że jego życie jest wojną, i znał doskonale swoją siłę rażenia. Ona zaś miała w sobie ten nieokiełznany płomień niezgody na zniszczenie i była w tym szczerą. Jakby należała do innego gatunku wściekłych lub pochodziła nie z tego świata. Była godnym wyzwaniem, jak anielska rękawica rzucona w twarz diabłu. Walczyliby tym samym orężem, ale różniłby ich motyw. Kiedy to sobie uświadomił, odetchnął z ulgą, bo o mały włos skończyłby dziś w pościeli z tą chudą dzikuską, a nie wynikłoby z tego nic dobrego.

Czterdzieści minut później już o niej nie pamiętał. Jadł kolację z rodziną, a tej nocy pierwszy raz od czterech lat spał we własnym łóżku. Kochał się z Emilią gwałtownie, krótko i w absolutnej ciemności. Po wszystkim błyskawicznie zasnął. Nic mu się nie śniło. Nie przypuszczał, że już nigdy nie zobaczy swojej rezydencji w Stasinie: ogrodu zimowego, trzech posesji i posiadłości obsadzonej stu siedemdziesięcioma ośmioma gatunkami

drzew, nie licząc krzewów. W głowie mu się nie mieściło, że tak to się poukłada.

Następnego dnia Emilia wspaniałomyślnie zaproponowała dzieciom, by zostały w domu, więc kiedy Daniel zszedł na dół, wszyscy czekali na niego z zaparzoną kawą i paterą wuzetek. O ile Krysia była tylko niespokojna, bo miała test z angielskiego, to Krystiana rozsadzał gniew. Na widok ojca odłożył grę i spojrzał na niego wyzywająco. Był zawiedziony, że Daniel unika konfrontacji i z apetytem zajada ciastko.

– Jak długo zostaniesz?

– Tyle, ile trzeba. To mój dom.

Przeciągnął się, ziewnął. Spojrzał na syna z góry.

– A wczoraj było tak przyjemnie.

– Miesiąc temu dziadek miał zawał. To już trzeci – odparł syn. – Babcia samowolnie wypisała się ze szpitala. Na twoją cześć. Obojgu nie wolno się denerwować. Ale ciebie to nie interesuje. Interesujesz się tylko sobą.

– Co się przypieprzasz?

– Może trzeba to powiedzieć jasno, tato. – Krystian nabrał powietrza, zanim wyrzucił na jednym oddechu: – Krysia ani mama ci tego nie powiedzą, ale też tak myślą. Mamy dość rozwiązywania twoich problemów. Oddaj kasę kumplom bandytom, bo ukręcą nam łby. A potem wypierdalaj do swojej wywłoki albo tego wykidajły z wczoraj. Idź, gdzie cię oczy poniosą, i wiatru w garbate plecy. Nie chcemy cię tutaj.

Daniel upił łyk kawy. Dokończył wuzetkę.

– Wracaj do lekcji, synu – rzekł.

– Jestem już na studiach. Mam zajęcia, nie lekcje. Studiuję zaocznie, bo ktoś musiał pójść do pracy i opłacać bieżące rachunki. Krysia sprząta u obcych ludzi, żeby mieć trochę grosza. Poradzilibyśmy sobie lepiej bez ciebie. Wiesz co, może umrzyj? Wszyscy byliby szczęśliwsi.

W tym momencie z kuchni wyszła rozpromieniona Emilia. Była odprężona, świetlista. Dobrze widziała zaciśnięte pięści syna, wargi wykrzywione złością i słyszała jego ostatnie słowa pełne nienawiści, ale

wygodniej jej było udawać, że jest ślepa i głucha. Cmoknęła męża w policzek, pogładziła czule po ramieniu, jednym ostrym spojrzeniem skarciła Krystiana, jakby wyżerał ciasto przed upieczeniem, a potem popatrzyła na niego błagalnie, by choć przez kilka pierwszych dni był dla ojca miłszy.

– Taka ładna pogoda – zaszcebiotała i nałożyła Danielowi kolejne ciastko. – Może skosisz trawę? Opalisz się przy okazji.

– Świetna myśl! Komornik szybciej sprzeda tę rudere – podchwycił Krystian i zaplótł ramiona do pozycji zamkniętej. Zadowolony z zadanego ciosu rozparł się w fotelu. – Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, mamó. Czas w końcu pomówić z ojcem poważnie. Skoro ty nie potrafisz, ja to zrobię. Najpilniejsze. – Przesunął w kierunku ojca stertę papierów. – Wezwania komornicze i opłaty. Trzeba się tym zająć.

Daniel nie zareagował. Posłał za to czuły uśmiech żonie.

– Założyłaś konta, Foczko?

– Cztery. Nie licząc walutowych – zameldowała z dumą Emilia i wskazała plik dokumentów obok kupki, którą przed chwilą Krystian podsunął ojcu pod nos. – Tam masz pełnomocnictwa. Każde konto w innym banku, jak chciałeś. Namówiłam też Agnieszkę. Obiecała nie mówić Fredowi. Bardzo byłby na nas zły.

– A ty, synu?

Młodzieniec nie odpowiedział. Wstał, zapalił papierosa. Odwrócił się do okna i przygarbił. Z trudem się powstrzymywał, by nie uderzyć Daniela, dlatego za wszelką cenę unikał teraz jego wzroku. Silił się na spokój tylko ze względu na matkę, która na przemian bladła i czerwieniała.

– Nie pal w domu – upomniał syna Daniel.

– Będę robił, co zechcę. A w twoich machlojkach nie zamierzam brać udziału. Matka niech robi głupoty, ale spróbuj uwikłać Krysię, to wpierdole ci tak, że się nie pozbierasz.

Daniel pozostał spokojny, jakby te słowa nie padły. Emilia, przerażona rozwojem sytuacji, przyłożyła dłoń do twarzy.

– Wkrótce się wyprowadzamy. Wiesz dokąd? Pod most – kontynuował Krystian. – Żebyś mógł wyjść z więzienia, dziadek podpisał sąsiadowi kilka

weksli. Nie może ich wykupić. Dlatego jest po trzecim zawale, a babcia miała udar. Ten dom zabiera Dzik. Całą twoją wieśniacką, nieotynkowaną rezydencję. Może za psi grosz sąsiad kupi pozostałe dwa domy, jeśli matce uda się go wziąć na litość. Wszyscy nas ścigają. Fredowi nic już nie zostało do sprzedania i ma dość. Nie dziwię się. Gdybym był na jego miejscu, dawno kopnąłbym cię w tyłek i odjechał w siną dal. Po drodze oczywiście ukatrupił cię, bo jesteś chodzącym kłopotem. Wirusem! Może chciałbyś być wielkim bandytą, oszustem, mistrzem manipulacji, jak piszą o tobie w gazetach, ale jesteś tylko egocentrycznym dupkiem. Patologicznym kłamcą, najgorszym z możliwych nieudaczników. Tak, tato, jesteś nikiem. Cały ten twój niedokończony ogród zimowy i szesnaście telewizorów do każdego z pokoi, które kurzą się w garażu, idą się jebać. Resztę bierze komornik, więc lepiej wypierdalaj stąd swoim kradzionym wózkiem i nigdy nie wracaj. Ułatwisz nam wiele spraw.

I z zapalem, który może dać człowiekowi tylko nienawiść, wyjmował z szafy kolejne pudła wypełnione po brzegi dokumentami.

– Proszę, to prezent powitalny na nowej ścieżce. Miłej lektury.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Kwadrans później salon opuściła też zarumieniona ze zdenerwowania Krysia.

– Mam dziś test. Uczyłam się do niego miesiąc – wyjąkała. – Pojadę tato, dobrze? Nie będziesz się gniewał?

Daniel wymienił spojrzenia z Emilią i z niechęcią wziął się do przekładania papierów, ale zaraz odpuścił. Same wezwania do zapłaty. Kwoty przyprawiły o zawrót głowy.

– Przywiozę pieniądze, Foczko – zapewnił bez przekonania.

– Dobrze by było.

Emilia sięgnęła po paczkę zostawioną przez syna.

– Wszyscy teraz palicie? – ryknął Daniel, aż żona poderwała się z krzesła.

– Kiedy dziadek nie widzi – przyznała płaczliwie. – Lucek już ledwie zipie. Twoja mama po udarze przestała z nami rozmawiać. W kółko biega na cmentarz i szoruje własny nagrobek. Naprawdę jesteśmy na ostatnich

nogach. Nie jest tak, jak mówi Krystian, my cię rozumiemy, kochanie, wspieramy, ale mamy dość gróźb. I z czegoś trzeba żyć.

– Myślisz, że ja miałem łatwo?

Daniel wbił w nią swoje mroczne spojrzenie, którego tak się bała, i chociaż nie podniósł głosu, była pewna, że syn dotknął go do żywego i Daniel nigdy mu tych gorzkich słów nie wybaczy, a w przyszłości, w najmniej oczekiwanym momencie, zemści się. Już teraz czuła się winna ich przyszłego konfliktu. Słuchała więc w milczeniu, połykając łzy, i jeszcze dziś spodziewała się nawrotu ataków migreny. Przez ostatnie miesiące głowa bolała ją tak bardzo, jakby miała eksplodować czaszka. Daniel nie zwrócił uwagi na zmiany na jej twarzy. Perorował coraz głośniej:

– Siedmiu facetów w celi. Nie znasz dnia ani godziny. Uważasz, że byłem na wczasach? Wracam, staram się odbudować więzi rodzinne i co widzę? Kompletną degrengoladę, brak szacunku. Co się tutaj odstawia? Tak ma wyglądać wsparcie? Niewdzięcznicy!

– Nie krzycz, bo Lucek usłyszy – poprosiła Emilia łamiącym się głosem. – I wybacznij synowi, bo wiele mu zawdzięczasz. Może za bardzo się tym wszystkim przejmujesz, ale kiedy twój tato zaniemógł, a babcię zabrało pogotowie, Krystian wziął na siebie największy ciężar. To on układał się z bandytami, a wiesz dobrze, że nas nie tylko szantażowali. – Urwała, bo wciąż nie umiała mówić z mężem o tamtej sprawie. Eryka Szaję uważał za swojego głównego sojusznika. Nabrała powietrza, szeroko otwierając usta, i wyrzuciła z siebie: – To twój syn jeździł do Freda. Płaszczył się, błagał go, by wystawił na sprzedaż lotnisko. I tylko ze względu na Krystiana Fred zgodził się sfałszować podpisy.

– I to był błąd. Trzeba było wziąć gwarancję bankową od Śpiewaka i załatwić kredyt, jak ci poleciłem.

– Nie byłem w stanie znieść tego człowieka – szepnęła Emilia. – Już na sam dźwięk jego ksywy przewraca mi się w żołądku.

Daniel wiedział, co zaszło, ale z tylko sobie znanych przyczyn ten stan rzeczy ignorował, a co gorsza, przez cały okres pobytu w więzieniu zmuszał ją do regularnych kontaktów ze zboczeńcem.

– Sprzedaż lotniska to był błąd! Krystian powinien był jechać do Londynu, skoro ty nie czułaś się na siłach.

– Miałam pozwolić, żeby podzielił twój los? – Emilia chwyciła się broni ostatecznej. – Gwarancja była fałszywa. To przestępstwo!

– Racja, bo fałszowanie moich podpisów nim nie jest – przerwał jej Daniel i przekrzywił głowę, jakby karciał rozkapryszone dziecko, a po chwili na jego twarz wypłynął pogardliwy grymas. – Że już nie wspomnę o sprzedawaniu za bezcen gruntów, o które starałem się całe życie. Czarcie Pole to była nasza polisa, debilko. Jelizawieta czekała z gotówką. Wszystko było dogadane. Z Moskwy leciały do nas helikopterem dwie okrągłe bańki, a wy to spieprzyliście, bo nie umiecie czekać.

Emilia usiadła w kucki i położyła dłonie na kolanach. Pochyliła karnie głowę. Wyglądała jak gotowa do chłosty.

– Nie wiem, jak byśmy dotrwali do twojego wyjścia, gdyby Fred nie sprzedał tej ziemi – próbowała się tłumaczyć, ale znów jej przerwał.

– Oddaliście ziemię wartą kilka milionów za odsetek wartości.

– Adwokaci kosztowali nas trzysta tysięcy.

– Musieliście im płacić?

– Wciąż przysyłali faktury. Straszyli, że odwołają pełnomocnictwa. Co miałam robić? Zostawić cię na pożarcie prokuratora? Sam mówiłeś, że musisz pracować z najlepszymi. Najlepsi są drodzy. Cenniki widziałeś.

– Trzeba było odciągać, kretynko! Kłamać, płakać, brać na litość, grozić. Trzeba było myśleć! Dlaczego otaczają mnie same półmózgi? Kobietom powinno się odebrać wszelkie prawa. Zawsze to powtarzałem, emocje odbierają babom rozum, a potem jęczą, że to była miłość. W dupie mam twoją miłość i troskę. Oddałaś trzysta tysięcy w łapy papugi, zamiast zrealizować mój plan, na który były środki. Poradziłbym sobie jeszcze te dwa miesiące. – Zawahał się. – Ale po moim własnym synu nie spodziewałem się głupoty.

– Krystian chce żyć uczciwie – mruknęła żona, lecz nie miała odwagi dokończyć, bo Daniel niszczył ją spojrzeniem.

– Uczciwie – zaśmiał się. – Gdybym żył uczciwie, wciąż mieszkałabyś w Biłgoraju. Kiedy gotówka spływała na konta, nie przeszkadzało ci, że szmal jest gorący. A może powiesz mi, ciemnego, że nie wiedziałas, skąd pochodzi?

- Nie mów tak do mnie. – Uniosła hardo głowę. – Ranisz mnie.
- Samochody, szmaty, biżuteria, masaże, spa, przyjęcia, szacunek w mieście – wymieniał, napawając się swoją władzą. – Ty myślisz, że dlaczego wszyscy cię szanowali? Bo jesteś taka dobra w przekładaniu papierków w biurze? A szef na ciebie leci, boś taka zgrabna? – prychnął ze wzgardą. – Wiesz, dlaczego cię podrywał? Chciał robotę dyrektora.
- Nikt mnie nie podrywał – oburzyła się.
- Dobra, dobra, Lucek meldował mi na bieżąco.
- Nie zaczynaj tego tematu, bo będziemy musieli pomówić o twojej flamie.
- O kim? – Daniel podskoczył do Emilii i szarpnął ją.
- Wyrwała się, choć o mały włos nie upadła, bo zaczepiła się o stojące wszędzie kartony z wezwaniami. Stała przy oknie jak najdalej od męża.
- Powtórz! – zażądał.
- O twojej kochance! I jej dziecku.
- Wzruszył ramionami, jakby oszalała.
- O co ci chodzi? – zapytał nagle bardzo spokojnie. – Znów sobie coś ubzdurałaś?
- A niby kto wczoraj przyjechał potłuczoną alpiną? Myślisz, że jej nie rozpoznałam? To przecież ta cycata blondyna od Kondratowicza. Jest tylko jedno takie auto w Lublinie.
- Powinnaś zmienić okulistę.
- Emilia była w szoku. Czyżby kpił z niej w żywe oczy?
- Przez cały czas cię odwiedzała. – Zawahała się. – Pisałeś do niej. Stąd wiem o miękkich widzeniach. To w pierdłu zaszła. Ten bachor jest twój! Całe miasto o tym plotkuje.
- Daniel roześmiał się gromko i podszedł do żony. Wyciągnął dłoń i pogładził ją czule po policzku.
- A ty wierzysz zazdrośnikom, Foczko? Naprawdę sądzisz, że mógłbym ci coś takiego zrobić?
- Tak – odparła z bólem. – Mógłbyś. Wiele razy robiłeś.

Zbliżył usta do jej twarzy i scałował łązy. Emilia była skołowana, sama już nie wiedziała, co myśleć. Czyżby wariowała? Przecież widziała kopie ich listów, rozmawiała z klawiszami i psychologiem więziennym. Nawet adwokaci potwierdzili, że romans Daniela z Darią rozkwitł w więzieniu, a Emilia tak bardzo się bała, że teraz, kiedy Daniel jest już wolny, porzuci rodzinę. Na samą myśl, że po tylu latach wspólnego życia jest gotów zostawić ją dla młodszej, była bliska rozpaczy. Dała się tulić, głaskać i słuchała go jak zwykle, bo w jego ramionach czuła się mała i bezbronna.

– Kochasz mnie, Foczko – zaklinał ją Daniel. – I tęskniłaś. Dlatego wybaczam ci, ale już nigdy więcej nie podejmiemy tego tematu. Sprawa jest zamknięta. Nie chcę o tym słuchać, rozumiesz? Powtórz!

– Nie chcesz o tym słuchać.

– I kochasz mnie, nie opuścisz nigdy. Do śmierci. Mojej lub twojej.

– Nigdy cię nie opuszczę – powtórzyła mechanicznie i rozkleiła się na dobre. – Danielu, my nie mamy nic. Tylko kolosalne długi.

– Kiedy braliśmy ślub, było tak samo. Pamiętasz? Byliśmy najbiedniejsi i najszczęśliwsi. Pieniądze można stracić, odzyskać. To tylko haracz. Spłacimy go. A jeszcze lepiej zastosować ucieczkę do przodu.

– Co ty mówisz? Nie chcę już uciekać. Jestem na to za stara.

Umilkła na moment, bo uświadomiła sobie, że kochanka nie będzie miała takich obaw. Kiedyś sama była gotowa iść za Danielem na kraj świata, ale teraz pragnęła już tylko spokoju. Przez chwilę sądziła, że go osiągnęli. Daniel był jednak nienasycony. Chciał zarabiać więcej i więcej. Jeździł, wciąż rozkręcał nowe interesy, choć ona starała się go przekonać, że wystarczy im to, co mają. A potem stracili wszystko. Tylko dlatego, że mąż nie umiał się zatrzymać.

– To, co jesteś teraz winien, to jakieś kuriozum, ale musimy wszystko zwrócić. Jak? Przecież nigdy nie zarobię takiej sumy, żeby znów móc patrzeć ludziom prosto w oczy.

– Musisz tam zaglądać?

– Inaczej nie potrafię. – Emilia poddała się. – Co zrobię, jeśli dzieciom coś się stanie? Albo tobie? Oni nie żartowali. Ja wczoraj wszystko

rozumiałam, co mówił ten z pióropuszem. Myślałam, że to, co teraz przeżywamy, jest dnem dna, a okazuje się, że to tylko wierzchołek.

– Nie bądź małostkowa.

– Co ty narobiłeś, Danielu? Powiedz mi prawdę – błagała.

– Przestań się nad sobą użalać. Powiedziałem, że sprawą się zajmę. – Odsunął się od niej i zasiadł do kolejnej wuzetki, choć wychodziły mu już uszami. – Mniam, mniam – rozpromienił się. – Lepsze niż z Fragoli.

Emilia nie mogła uwierzyć, że po tym wszystkim Daniel jest w stanie jeść, żartować i skupiać się na wypiekach. Postarała się wziąć w garść.

– Krystian mówił prawdę: nawet jeśli Lucjan sprzeda wszystkie domy, nie starczy na zaspokojenie wierzycieli. Nie stać nas nawet na to mieszkanie, które rodzice mieli w Biłgoraju. Boimy się. I jeszcze ten facet. Czego chciał?

– To on wpłacił kaucję – odparł Daniel z ustami pełnymi bitej śmietany. – Teraz rozumiesz, że twoje trzysta tysięcy poleciało prosto w błoto? Te patałachy w togach nie zrobiły nic, to VAL mnie wyciągnął. Rękoma Rolla, oczywiście. Tego skurwysyna.

Emilia patrzyła na męża w niemym przerażeniu.

– VAL? Kolejny dłużnik? Ile jesteś mu winien? To jeden z tamtych, prawda? Co za to chce?

– Skoro nie umiesz wycyganić prostej gwarancji od Śpiewaka, nie interesuj się.

– Chciał, żebym z nim sypiała! – wykrzyczała w złości.

– Wielkie mi poświęcenie! – Daniel zerwał się z sofy, aż filiżanki zawirowały na spodkach. – Znalazła się dziewica niepokalana. Przynajmniej miałabyś trochę rozrywki pod moją nieobecność.

– Podobno sprzedałeś mnie za jeden lewy czek.

– Jesteś nudna – fuknął śmiertelnie obrażony. – Powiedziałem, że pieniądze przywiozę. Załatw tylko z ojcem, żeby dogadał się z Dzikim. Przez twoją durną uczciwość i wątpliwą dumę straciłem lotnisko, fundusze, samochody i biżuterię. Domów za marne grosze oddać nie pozwolę. I nie mieszaj się więcej. Nie przeszkadzaj mi, a wszystko będzie po staremu.

A potem wsiadł do mercedesa i pojechał odkupić od jubilera swoje zegarki.

Ciężar złotego, wysadzanego pięćset dziewięcioma diamentami breitlinga na przegubie nastroił Daniela o wiele pozytywniej do świata. Wprawdzie Lubecki początkowo nie chciał przyjąć czeku, ale kiedy Skalski wypisał mu dwa, a na każdym z nich okrągłą kwotę pięciuset tysięcy dolarów, jubiler złamał się i wydał wszystkie, które niecałe cztery lata temu Daniel polecił mu odkupić na przetargu zleconym przez prokuratora; rzecz jasna dyskretnie. W teczce na siedzeniu pasażera leżały więc teraz opakowane w satynowe pudełka: cartier (98 brylantów), breguet 3581 (208 brylantów), blancpain air command i girard-perregaux w różowym złocie. Jakie to wszystko jest proste, uśmiechał się do siebie w lusterku Skalski.

Jubiler znał jego sprawę. Wszyscy w kraju ją znali. Lubecki dzwonił więc do banku, potwierdzał, umawiał się z ekspertami, a w końcu poddał się presji absurdalnej liczby zer na czeku. Kiedy wkładał bezwartościowy papier do sejfu, ślinił się, jakby macał dzierlatkę, o której marzył w podstawówce. Daniel zakładał, że przynajmniej z jednym awanturnikiem będzie miał spokój przez najbliższy tydzień. Potem i tak planował czmychnąć z kraju. Teraz trzeba coś zjeść. Na samych wuzetkach daleko się nie zajędzie. Zatrzymał samochód przed Kardamonem i zszedł po schodkach na najlepsze przegrzebki w Lublinie. Przy zakupie z raków miał już plan działania. Trzeba było tylko dać ogłoszenie, najlepiej online, bo każdy dzień ma znaczenie. Dlaczego nie zacząć zmieniać swojego życia już teraz?

Asystentki przesłuchiwał w zamkniętym studiu na tyłach Kardamonu, ale po siódmej pulchnej księgowej lub, dla odmiany, klientce jednego chirurga plastycznego – miał dość. I też wychodziło drogo. Płacić oczywiście nie zamierzał, choć tego właściciel restauracji wiedzieć nie mógł. Widział zegarek Daniela, jego nabłyszczaną marynarkę i sygnet z herbem na palcu. Kilka razy wychodził zapalić, by obejrzeć z każdej strony najnowsze mercedesa – jak dotąd Kondratowicz w Lublinie sprzedawał tylko trzy takie modele. Kiedy Daniel zagaił restauratora, ten

zwierzył mu się, że zastanawia się nad podobnym zakupem, ale obaj wiedzieli, że to za duży wydatek dla drobnego ciułacza. Daniel wyżarł po kolei wszystko z karty – nie miał przecież pewności, kiedy wróci do domu i co zostanie. Spróbował sorbetu z borowików, ale akurat to danie nie przypadło mu do gustu. Zapadał już zmrok, a żadna z kandydatek, choć niektóre gruntownie wykształcone i mające złote referencje, nie pasowała do jego wytycznych. Uznał, że czas się zbierać. Składał serwety i rozmyślał, jak by tu się wymknąć po angielsku, gdy kelner przyszedł mu z pomocą, anonsując ostatnią chętną. Daniel był tak obżarty, że nie zmieściłby i miętowego opłatka.

– Proszę przyjść jutro – rzekł, udając irytację, bardziej na potrzeby właściciela lokalu niż do kobiety.

– O której pan zaczyna? – przymilał się restaurator, podsuwając mu jednocześnie bajoński rachunek. – Zarezerwujemy salę.

– W samo południe – odparł Daniel i podał wizytówkę White Horse Trust Liberia LTD, która jakimś cudem uchowała się w neseserze przed lepkiemi łapami ścigającego go od lat prokuratora. – Wygodniej mi będzie zapłacić za całość. Może pan przygotować fakturę? Tylko proszę wpisać cały numer i jeśli to możliwe, proszę o dokument w języku angielskim.

– Oczywiście. – Szef dygnął karnie i dał znak olbrzymiemu kelnerowi, który wciąż blokował korytarzyk przed spóźnioną kandydatką.

– Pan prezes na dzisiaj skończył – pouczył ją z wyższością. – Chyba że coś podać? Jesteśmy czynni jeszcze dwie godziny, ale kuchnia zaraz się zamyka. Mamy doskonałe wina.

– Nie jestem głodna – odparła dziewczyna. – Ale może pan spyta prezesa, czy nie przesłuchałby mnie jeszcze dziś? Nie wiem, jakie będę miała plany na najbliższe dni.

– Nic nie poradzę.

– Trzy minuty, obiecuję.

Daniel wiedział, że jutro go tutaj nie będzie. Odchrząknął.

– Mirek, poproś panią. I przygotuj mi płaszcz. Dziękuję.

Kiedy Natasza weszła, na dłuższą chwilę zapadła cisza. Wszechświat zawęził się tylko do ich nieufnych spojrzeń. Dziewczyna odzyskała rezon

pierwsza.

– Szukam sekretarki. Prezencja, języki, doświadczenie w finansach – odczytała treść ogłoszenia w najnowszym iPhone.

Daniel pomyślał, że musi pochodzić z zamożnej rodziny. Nawet on nie miał jeszcze tego modelu.

– Praca za granicą. Paszport, wizy. Pełna mobilność.

Umilkła. I uśmiechnęła się tym swoim kpiarskim, ale zabarwionym smutkiem grymasem władczyni świata.

– Tylko prawa jazdy nie mam. I magistra. Jestem dopiero na drugim roku.

Znów poczuł ukłucie zazdrości. Ta wariatka ma w sobie tak wielką wolę życia, odwagę i tupet, jakich on nigdy nie posiadał. A może zapomniał już, jak to jest, kiedy człowiek nie boi się zagrać o wszystko i stracić? Ta siła emanowała z niej i była zaraźliwa. Pragnął jak najszybciej podłączyć się do źródła jej mocy. Wmawiał sobie, że to dlatego go zaciekała, a nie z powodu urody. Jak to możliwe, że wczoraj jej nie dostrzegł?

– Odnoszę wrażenie, że ten drobiazg nie będzie stanowił problemu, panno?

Podąła mu lodowatą kościstą dłoń.

– Natasza Szwarc.

– Daniel von Hochberg. Mów mi po imieniu.

W drzwiach stanął kelner z jego okryciem.

– Wybierasz się gdzieś? – spytała.

W jej oczach znów dostrzegł te szalone ogniki, które zdawały się płonąć, nawet kiedy na krótką chwilę przymknęła po swojemu powieki.

– Owszem – odparł. – A ty, zdaje się, jedziesz ze mną.

– Tylko koty mają złote oczy. W bajkach – mruknął, a potem przystawił bliżej świecę, by móc podziwiać jej długie, wychudzone ciało.

Podobało mu się, że ma w łóżku modelkę, choć Natasza zarzekała się, że nigdy nią nie była. Wiedział swoje.

– Twoje są tak czarne, że nie można z nich nic wyczytać. Za to można w nich zatonać. Nie sądzę, by to było bezpieczne.

Promieniał z zachwytu. Zawsze kiedy kobiety go chwaliły, czuł, że kocha je bardziej. Uśmiech na ustach mu zamarł, gdy dorzuciła:

– Potrafisz ich używać, żeby grać ludźmi, co? To twoja najmocniejsza karta. Nie jesteś dobry, choć takiego udajesz.

Wziął ją za rękę, a potem przejechał opuszką aż do przedramienia. Tam, gdzie był ślad od kleju oraz mała dziurka.

– Nawiałaś ze szpitala.

Zesztywniała.

– Ćpasz?

Zacisnął dłoń. Poczuł, że jej ręka wiotczeje. Nie odwróciła jednak wzroku.

– Wcale cię to nie interesuje.

– Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

– A ja wręcz przeciwnie – odparła bez skrepowania. – Nie bój się, nie mam HIV-a. Niczym cię nie zarażę.

Milczał. Przyglądał się jej niewielkim piersiom i wgłębieniu w miejscu brzucha. Chciał powiedzieć, że powinna czasem coś zjeść.

– Nie jestem też wariatką.

– Więc co ci jest? Anoreksja?

Wstała, podeszła do okna.

– Jakiś facet kręci się koło twojego samochodu.

– Zmieniasz temat?

– Poważnie. Jest jakiś dziwny. Ma kapelusz jak z filmu.

Daniel stanął obok niej. Uchylił firankę. Patrzył długo, czekając, aż Rollo dostrzeże go w oknie. Wtedy uniósł włosy Nataszy i pocałował ją w kark. Wygięła się jak kotka. Wysunęła dłoń i przywarła biodrami. Zupełnie nie zwracała uwagi na to, że tamten to widzi. Daniel jeszcze raz zmierzył się wzrokiem z Rollem, lecz Peruwiańczyk dał już za wygraną, odchodził bardzo powoli. Bez publiki Daniel natychmiast się znudził.

Odsunął się od okna i z impetem walnął na łóżko. Wciąż jednak przyglądał się Nataszy, jakby stała na scenie.

- Mam dobrą polisę.
- Znasz go.
- Podoba mi się, że jesteś taka sprytna.

Odwróciła się. Mógł podziwiać teraz linie jej pośladków. Chciał bardzo, żeby weszła za firankę, ale nie śmiał poprosić.

- To nie ma znaczenia – powiedziała.
- Kłamiesz.
- Więc niewiele się różnimy.

A potem przyszła do niego i idealnie wkomponowała się w jego ramię. Objął ją, przykrył kołdrą. Leżeli tak przytuleni, każde pogrążone w swoich myślach.

- Skąd wiedziałeś o szpitalu?
- Pachniesz gotowaną marchewką.
- A ty jak mój ojciec, staruchu!

Pojął, że dotknął drażliwej struny.

– Opcje były dwie. Albo tutaj był wenflon i to jakiś czas, albo jesteś narkomanką. To drugie nie wchodzi w grę, bo innych nakłuć nie wykryłem.

– Roześmieli się oboje. – Byłem kiedyś lekarzem. Pediatrą, ale ty przecież wyglądasz jak dziecko.

- Za tydzień skończę dwadzieścia lat.
- Ja czterdzieści sześć i podtrzymuję swoje zeznanie. Dlatego zanim wyszliśmy z Kardamonu, poprosiłem cię o dowód.
- Żałuję, że na to nie wpadłam.
- Twój błąd.

Delikatnie dotknął czubka jej głowy. Z trudem powstrzymała syknięcie. Wciąż bolało i miała zawroty głowy. Co dziwne, przy nim zapomniała o wszystkim.

- Więc jak znalazłaś się w szpitalu i dlaczego wczoraj płakałaś?
- Wzruszyłam się. – Zawahała się, czy coś dodać, ale umilkła.

– Dlaczego się zgłosiłaś? Ta praca nie jest dla ciebie. Masz imponujące kwalifikacje. Francuski, angielski, niemiecki, trochę włoskiego. Dwadzieścia lat, dwa lata ekonomii i wygląd księżniczki. Nie spodziewałem się znaleźć takiego skarbu na Czarcim Polu. Może jesteś moim aniołem?

– Może wkrótce będę. – Urwała i spojrzała na niego dziwnie. – Fakt, nie negocjowaliśmy dotąd stawki. I nie wiem, jak wycenić swoje pozostałe umiejętności.

Pocałował ją.

– Będzie pani zadowolona. Dbam o swoich ludzi lepiej niż o siebie.

– To się okaże.

Odsunęła się i znów leżeli zanurzeni w milczeniu, ale Daniel wiedział, że kiedy przyjdzie czas, ona i tak wszystko mu powie. Sam chciałby się jej zwierzyć. Nie wiedział, skąd się to brało. Znał ją ledwie kilka godzin. Razem z trasą spod Czarciego Pola i wpatrywaniem się w wejście do Grandu.

– Gdyby mnie szukali, nie wydasz mnie?

– Nie.

– Gdyby coś mi się stało, przyrzeknij, że nie pozwolisz, żeby zjadły mnie robaki.

Poczuł niepokój. To przestępczyni, prostytutka, dziewczyna bandyty, córka polityka... A może jest nieletnia i uciekła z domu?

– Nie chcę mieć grobu, żeby ludzie przychodzili na mnie płakać.

– Oj, droga pani, znajduję panią w doskonałym zdrowiu. Jeszcze urodzisz mi siedmioro dzieci.

Nie roześmiała się.

– Przyrzekasz?

– Tak jest. Nienawidzę robaków. A szczególnie tych jebanych motyli.

Czuł, że się uśmiecha. Nie musiał sprawdzać.

– Takayasu – wyszeptała.

Danielowi nic to nie mówiło.

– Chciałabym być spalona, a moje prochy zanieś na najwyższą górę, na jaką zdołasz się wspiąć, i rozsyp, żebym zmieszała się z chmurami.

Daniel poczuł ukłucie. Przed oczyma stanęły mu wąskie, strzępiaste obłoki. Przemykały w pośpiechu, jakby spłoszone surowym wiatrem, kiedy wychodził z więzienia. Czy to przypadek, że w ciągu dwóch dni spotkali się dwukrotnie? Jest podstawiona? Ale tak naprawdę było mu wszystko jedno, kim jest i co ta znajomość mu przyniesie. Nie miał nic do stracenia.

– Tylko taki słodki dzieciak jak ty może wymyślić podobną bzdurę.

– Ja gadam bzdury – potwierdziła. – Za to ty jesteś kłamcą. Nie byłeś żadnym doktorem, bo nie znasz nazw podstawowych chorób śmiertelnych ani nie jesteś bogaty. Inaczej bylibyśmy teraz w najlepszym apartamencie za rogiem, a nie w garsonierze pełnej babskich szmat i ciuchów jakiegoś dziecka. Twojego, jak się domyślam. Mam nadzieję, że ta kobieta nie wparuje tu za chwilę z wałkiem i tak miły wieczór nie skończy się banałem.

– Naprawdę masz tylko dwadzieścia lat? Sporo wiesz o życiu.

Nie dała sobie przerwać.

– Nie wiem, kim jesteś, i mało mnie to obchodzi. Nie mam czasu na śledztwa. Ale nie możesz się tak głupio nazywać. I wiesz co? Rozsypiesz moje prochy. Wiem, że to zrobisz.

Czekał, aż się rozplacze, ale to nie nastąpiło.

– Inaczej będę cię straszyć z zaświatów. Rozumiesz, łajdaku?

Czuł, jak łapie hausty powietrza. Łapczywie, niezdrowo. Aż na piersi utworzyła mu się mała kałuża z pary jej oddechu. A jemu zdawało się, pierwszy raz od lat, a może w życiu, że naprawdę coś czuje. Rozumie ją, odbiera, czyta, i był pewien, że ona ma tak samo. Nie wierzył, że to się dzieje. Nie wiedział, co będzie dalej. W tej chwili była mu bliska. Jakby się kiedyś znali. Nie wierzył w wędrowkę dusz ani w żadne inne dogmaty. Nie wierzył w nic poza zerami na koncie, ale to raczej nie miało związku z tym spotkaniem.

– Skoro już będę zmuszony włączyć na jakieś góry, mogę cię o coś prosić?

– Nie ma takiej opcji. Idziemy spać. Jeśli rzeczywiście jutro ruszamy do Genewy, chciałabym jakoś wyglądać.

– Gdybyś mogła, tylko na chwilę, stanąć za tą firanką.

DZIEWIĘĆ

**JEŚLI NIE PŁACISZ ZA PRODUKT,
TO TY JESTEŚ PRODUKTEM**

Czasami trzeba przywdziać maskę, by ukryć coś ważniejszego. Prawda bywa niewygodna, ale wciąż nią jest. Dlatego nigdy nie grałem. Udawanie łatwo wytropić, a jeśli złapią cię na drobnym kłamstwie, reszta, choćby poparta dowodami, przestaje być wiarygodna i twoja misternie budowana konstrukcja rozpada się jak domek z kart. Przy tym nie potrzebuję braw. Nie jestem aktorem, który ożywa w świątłach reflektorów, a poza sceną jest nikim. Jest całkowicie na odwrót: żyję w cieniu i wiem dokładnie, kim jestem. Dla każdego kimś innym. Bo wszystko można przedstawić tak, jak ludzie chcą to widzieć. To oni podejmują decyzję, czy opłaca im się podtrzymywać złudną nadzieję, czy wolą pójść ścieżką prawdy.

Nikogo nie zmuszałem, by siadał ze mną do stołu. Kiedy opadał pył, pojmowali oczywiście, że tkwili w iluzji, i byli wściekli, żądni zemsty. Choć przede wszystkim zaskoczeni. Żaden się nie przyzna, ale czuli też respekt, ponieważ obdarowałem ich dokładnie tym, czego pragnęli. Każdy z nich przez chwilę czuł, że mnie przechytrył. Czasami bardzo krótką chwilę. Ale gra od początku nie była uczciwa. Akceptowali jej zasady.

Właściwie więc moja działalność sprowadzała się do spełniania życzeń. Byłem taką zębową wróżką, w którą wierzą niektóre dzieci; Świętym Mikołajem albo aniołem, który zleciał z nieba, by przynieść im złote runo, obdarować radością, światłem, bo wszyscy oni myśleli tylko o sobie. Nie nazwałbym tego naiwnością, lecz egoizmem z cyklu: „ja-chcę-daj-mi-to-teraz”. To dlatego nie dostrzegali nogi we wnykach, myśląc, że to przedsionek raju. I żaden nie widział, że pod maską anioła kryje się demon bez twarzy. A czas zapłaty przychodzi zawsze i trzeba się rozliczyć, czy tego chcesz, czy nie. Darmowy ser jest tylko w pułapce na myszy.

Frankfurt nad Menem, Niemcy, czerwiec 1998

- Nazwisko.
- Daniel Skalski von Hochberg.
- Zawód.
- Radiolog.
- Błąd. Doradca finansowy. Ewentualnie bankier. Ale tu potrzebna jest już minimalna znajomość procedur. Załóżmy, że odrobiłeś pracę domową. Przeczytałeś książki, które ci dałem? Te o inwestowaniu.
- Prawie.
- Więc prawie bankier. Gdyby piłka była w grze, wypadłbyś na aut.
- Przeczytam. Obkuję procedury na blachę.
- Gdzie pracowałeś?
- Ostatnie sześć lat w Barclays Bank w Londynie. Zaczynałem od zwykłego człowieka przy kasie, a doszedłem do stanowiska partnera. Bez protekcji, łapówek. Ciężka, mozolna praca i żelazna determinacja. No, mam trochę szczęścia.
- Nie wątpię.
- To dlatego, że wierzę w ludzi. Honor jest dla mnie wszystkim. Słowo droższe pieniędzy.
- Nie rozpędzaj się.
- Któregoś dnia dziadek Barclay, który przychodził do firmy każdego dnia po śniadaniu, zauważył, że przy moim okienku jest najdłuższa kolejka. Wezwał mnie na dywanik. Bałem się, że mnie zwolni. Jestem Polakiem, a Brytyjczycy nie mają o nas dobrej opinii. Nie dziwię się. W tamtym czasie większość moich rodaków na Wyspach to było pospólstwo. Hydraulicy, budowlańcy albo zwykłe cwaniaki, co nie wylewają za kołnierz. Czasami zdarzał się jakiś akwizytor. Sam jako biedny student dorabiałem tak sobie w Cambridge.
- Bardzo ładne podprowadzenie. Brawo.

– Ale moi przodkowie to byli Niemcy. Bolko Hochberg von Pless nie miał spadkobierców w prostej linii, za to ze strony babci Kruk-Ogińskiej spokrewniony jestem z księciem Zamoyskim. To polska rodzina królewska.

– Zbyt skomplikowane. Idź w skromnisią i ofiarę.

– Moja babcia Kruk-Ogińska pochodziła z rodu ostatniego króla Rzeczypospolitej. Komuniści zabrali nam wszystko: tytuły, majątki i godność. W dzieciństwie uczono mnie, by milczeć o pochodzeniu. Nie przyznawać się do arystokratycznych przodków za żadną cenę. Na szczęście angielscy dżentelmeni wiedzą o tej hańbie i zawsze nas szanowali. To, co nas łączy, to zasady. I patriotyzm.

– Teraz przerwij, niech czeka. Niech wisi na haku. Im dłużej wisi, tym hak jest silniejszy. Zmień temat, jeśli nie dopyta. To znak, że jest sceptyczny. Bada cię, wciąż jeszcze zachowuje czujność. Daj mu czas, żeby przyjął nowinę. Wiadomości muszą mu się ułożyć i już za chwilę w jego głowie pojawi się fragment obrazka. Nie masz na to wpływu. To jego projekcja. Musi być zaciekawiony, mieć apetyt na więcej. Nie odsłaniaj wszystkiego. Pokazuj tylko puzzle. Jakbyś opowiadał historię, pisał książkę, kręcił film. Wtedy w jego umyśle zrodzą się pytania, ale już się zahaczył, tylko jeszcze o tym nie wie.

– A jak zapyta, co studiowałem? Albo z kim?

– Odczytanie. By żonglować informacjami, musisz wiedzieć pewne rzeczy. Zbieraj dane, doszkalaj się. Bądź na bieżąco z nazwiskami, nazwami ulic. Wyobrażaj sobie, że tam byłeś, znałeś te osoby. Każda z tych informacji to klucz, hologram. Kombinuj. Improvizuj. Zarzucaj go konkretami. Tych wątków musi być na tyle dużo, by poczuł przesyty. Szum informacyjny, pewnie słyszałeś. Trudne i obco brzmiące słowa są pomocne. Z czasem wymyślisz własne konstrukcje. Nikt nie odważy się zapytać cię o Oksford, jeśli nie rozumie słowa trader, lewary finansowe albo okna deniwelacji. Jak go tak zamotasz, sam się uwikła. Będzie chciał uczestniczyć w fascynującej opowieści, być jej częścią. Przecież jego życie jest takie przewidywalne, a ty oferujesz mu przygodę, emocje, adrenalinę, piedestał. Nie podejrzewa, że podsadzasz go na ten gzyms, by zaraz go z niego strącić. Tak więc bądź cierpliwy, pozwól mu nasiąknąć legendą, jakby był gąbką, a twoje słowa wodą. Czasami będzie musiał jej sporo

wchłonać, zanim zacznie oddawać. Dlatego musisz się nauczyć rozpoznawać ten kluczowy moment, kiedy on już jest gotów i pragnie, choć sam jeszcze sobie tego nie uświadamia. A ty już wiesz, bo jesteś szybszy od niego i robiłeś to wiele razy. Na tym polega władza absolutna. To upajająca chwila. Z czasem będziesz robił to tylko dla niej, dla tej jednej magicznej milisekundy, kiedy twój hak wbił mu się w gardło. A na razie cierpliwie nasycaj, mozolnie draż skałę. Nigdy nie proś, nie narzucaj się. Nie wyciskaj za wcześnie, bo trafisz do mamra, nim położysz czek na stole. I zawsze pamiętaj, że to tylko przyczółek. Preludium.

– Kapuję. Nie zerwać struny. Nie przesadzić.

– Nic nie kapujesz. Im bardziej piramidalne kłamstwo, tym lepsza zasłona. Jest w szoku, nie myśli, ale cios dostał. Wtedy znikasz, odchodzisz, odmawiasz. Zostawiasz go z tym ładunkiem. Ale to nie znaczy, że odpuszczasz. Przeciwnie: słuchasz, obserwujesz, czekasz. Przyjdzie. Zwykle po dobrym przedstawieniu sami się napraszają. Chcą bisów.

– I nadal odmawiam? Niech błaga?

– Nie wolno ci go upokorzyć! W trakcie rozgrywki nawet przez chwilę nie może się poczuć wykorzystany. To dozwolone jest tylko po zawodach, gdy jesteś daleko, w miarę bezpieczny. Musi dojść do tego sam. Za późno, by mógł cię dogonić, rozumiesz? Wcześniej mamisz go obietnicami i zastawiasz kolejne pułapki, ale wszystkie furtki są otwarte na oścież. Pozwól mu zdecydować, który potrzask wybiera.

– I wtedy ochoczo podnosi zapadkę, by gilotyna spadła.

– Całe zło tego świata bierze się z pożądania i ambicji. To ludzkie, ale warto o tym pamiętać. Karmisz więc jego chciwość: ten interes nie wypala, są trudności, mam jednak tutaj coś lepszego, i wyjeżdżasz z jeszcze większą bzdurą. Kupi ją, bo dotarło do niego, że stracił okazję, zbyt długo się wahał, więc teraz za tobą pobiegnie. Sprzedawałem kiedyś biżuterię. Normą było, że jeśli klientka zbyt długo się zastanawiała, odradzałem zakup. Kilka dni później wracała, chciała oglądać kolejne gabloty, kręciła nosem, wybrzydzała. Wreszcie pytała o naszyjnik, od którego zaczynaliśmy. Mówiłem, że sprzedany. Ktoś go opłacił dosłownie godzinę temu. Natychmiast decydowała się na inny, o wiele droższy, i teraz nawet nie patrzyła na czystość diamentu czy wiek. Chodziło jej już nie o ten

konkretny eksponat, lecz o zwycięstwo: zdobyć cokolwiek, wyprzedzić innych. Być górą.

– To jest genialne.

– A pewnie. Fizyka kwantowa. Pole elektromagnetyczne. Porządek wszechświata. Przypadki nie istnieją. To tylko beznadziejne wytłumaczenie zależności, których jeszcze nie rozumiemy. Wiesz, kiedy ludzie wpadają?

– Są nieostrożni?

– Bzdura. Kiedy działasz brawurowo, nawet z kwitem z twojej drukarki wciśniesz królowi notariuszy poręczenie na trzy miliony. Rzecz nie w towarze, ale w tym, czy ostro zagrałeś. Nie bój się przeszarżować. W ogóle się nie bój. Ludzie mają radar na lęk, od razu go wyczuwają. I spierdalają jak najdalej, bo nie chcą się czuć jak zagoniona sarna. Kochamy zwycięzców, bohaterów. Tygrysy, lwy, aligatory, drapieżne bestie. Grzejemy się w ich odbitym blasku. Ci, którzy wpadli, byli zbyt ostrożni! Doprawiają prawdę, jakby sypali cement do zupy, używając do tego pieprzniczki. Przyznasz, że mało kto przełknie kit bez skrzywienia. I nie więcej niż jedną łyżkę, a i to pod przymusem. Co innego, kiedy na cienkiej porcelanie podasz suflet z papieru farbowany kakao i oprószony cukrem pudrem. Małą porcję, kęs ledwie. I dorzucisz mimochodem, że to stary wersalski specjał. Praktycznie niedostępny. Spróbuje choćby z ciekawości. Potem wmawiaj mu, że nie ma szans na więcej. I już go masz. Gra się zaczyna. Bądź kreatywny, użyj wyobraźni. Nie masz żadnych granic poza sumieniem.

– Czym? – roześmiał się Daniel. – Nie wiem, o co ci chodzi.

– To żałuj, bo to lampka alarmowa. Jak sądzisz, dlaczego nigdy nie siedziałem?

– Bo masz papiery niewidomego?

– Bo wiem, kiedy się zatrzymać.

– Kiedy?

– Dojdiesz do tego, jeśli nauczysz się, jak działa ludzkie sumienie.

– Hmm.

– Albo i nie dojdiesz. Każdy dociera do własnej prawdy sam.

Daniel roześmiał się.

– Już rozumiem. Chodzi ci o jego sumienie. O to, do czego jest w stanie się posunąć, żeby mieć to, czego chce. Pożądanie plus ambicja.

– Jeszcze będą z ciebie ludzie. No dalej, jakie masz osiągnięcia?

– Moja rodzina w kraju restrukturyzowała przedsiębiorstwa. Ojciec pracował w wywiadzie.

– Który wydział?

– Trzeci.

– Jaki to wydział?

– Polityczny?

– Błąd. Polityczny to pierwszy. Brak oczytania. Każdy teren, na jaki wchodzisz, musisz mieć wstępnie zbadany.

– Pojmuję.

– Cieszę się. Ale nawet jeśli popełnisz błąd, nie przejmuj się, idź dalej. Po prostu zaprzeczaj, kłam, atakuj tych, którzy mówią prawdę. Oskarżaj każdego, oburzaj się, a potem udawaj, że jest ci przykro. Działa za każdym razem. Wróć do dziadka.

– Jestem zmęczony. Może skończymy jutro?

Daniel wstał. Zapalił światło. Jego rozmówca się nie poruszył. Uśmiechał się tylko delikatnie, jakby wszystko już widział i znał każdą odpowiedź.

– Dobrze, odpocznij. Ale pamiętaj, że dopóki nie będziesz gotów, nie wystartujemy. Bo stawka jest wysoka, a ty jesteś na pierwszej linii frontu. I to na tobie wisi cały przekręt, choć ryzykujesz najmniej.

– Wiem, Igy – mruknął Daniel. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak doceniam to, co dla mnie robisz. Czuję się wyróżniony.

– Nie doceniasz i nic nie czujesz. Ale to tylko twój walor, bo emocje nigdy nie wezmą góry nad logiką. A robisz to dla siebie, dla tej kasy. To mi wystarczy.

– Idę posłuchać Michaela Jacksona i wchłonąć aktualną prasę. Oczytanie. Research. Nic nie wiem o tym cholernym parku rozrywki. Ani o złocie z Banku Rezerwy Federalnej.

– To teraz odprowadź mnie do Carli. Nie wziąłem laski, a nie chciałbym budzić małżonki, przewracając się na korytarzu. Nie rozumiem, dlaczego przestawiłeś tę serwantkę. To jakiś psikus, test? A może chcesz mnie wykiwać?

Daniel odwrócił się gwałtownie.

– Skąd wiesz o przemeblowaniu?

– Kiedy Bóg zabiera, daje w zamian coś cenniejszego. Fakt, że nie patrzę, nie znaczy, że nie widzę. Zerkasz teraz na swoją torbę. Masz w niej butelkę wódki, ale nie pij dzisiaj za wiele. Jutro o ósmej zaczynamy od początku. Pomyśl, jak poznałeś Donalda Trumpa, i dopracuj wątek z dziadkiem Pullmanem. Byłoby miło ruszyć od poniedziałku. Jak dotąd jeszcze się nie zwróciłeś.

Mülheim, Niemcy, październik 1998

Otto Klemke upychał woreczki z trefnym towarem na dolnej półce kasy pancерnej, a one nijak się nie mieściły. Wyjął już wszystko, co nie musiało siedzieć w zamknięciu: stertę lipnych certyfikatów, atrapy osiemnastowiecznych kolia i woreczek diamentów, które w rzeczywistości były topazami. Siatkę z gotówką już rankiem ulokował pod krzesłem i zabezpieczył papierową taśmą z własnym podpisem, by wiedzieć, czy Nikolay do niej zajrzy. Liczył banknoty wielokrotnie, jakby ta czynność miała moc ich rozmnażania. Nadal brakowało trzynastu tysięcy marek, by dobić targu z Wolfem, ale Otto nie zamierzał się do tego przyznawać. Planował przeciągać negocjacje, w razie potrzeby grać na zwłokę, ponieważ był pewien, że ten interes to jego złoty strzał, i postanowił sobie, że wydobędzie brakującą forszę choćby z piekła. Dostyc miał biedowania w tym składzie ze starzyzną. Chciał otworzyć sklep jubilerski przy głównej ulicy i przyjeżdżać do niego dwa razy dziennie tylko po to, by policzyć utarg, a wieczorami bywać na bankietach z burmistrzem i radnymi, pić szampana oraz rozdawać klientom wizytówki zadrukowane złotą czcionką. Żonę też sobie weźmie nową, rozmarzył się. Kiedy będzie bogaty, stać go będzie na dwa razy młodszą i mniej zrzędlivą niż ta żoźła Harriet. Najlepiej jakąś piękną niemowę. Musiał tylko posprzątać ten syf w biurze, przebrać się w garnitur i zaparzyć kawę, by pachniało od wejścia, kiedy przyjdą goście.

Z tych rojeń wybił go jazgot brzęczyka zawieszzonego przy drzwiach i jak na komendę drzwi przedwojennej kasy otworzyły się na oścież, a paczki – upchnięte z takim trudem – znów wysypały się na podłogę. Rozwścieczony Otto rzucił się do monitora. W oku kamery zobaczył plecy młodego Rosjanina, którego za psi grosz zatrudniał na stanowisku sprzedawcy, choć tak naprawdę chłopak pełnił funkcję ochroniarza i swoją posturą oraz mrocznym spojrzeniem miał odstraszać złodziei. Inna rzecz, że nie było tutaj co kraść. Do tego Otto bał się zwrócić uwagę młodzieńcowi, bo wiele razy widział u niego za paskiem wybrzuszenie, które mogło być jedynie pistoletem. Co Nikolay nosił tak naprawdę w kieszeni spodni, tego złotnik nigdy nie sprawdzał i zmieniać tego nie zamierzał.

Wreszcie Rosjanin przesunął swoje imponujące bary od oka kamery i Otto odetchnął z ulgą, że Wolf nie przybył przedwcześnie, bo na tle starej serwantki z tanimi kryształami i węgierskimi lalkami z porcelany widniała pucołowata twarz Dietera Frolicha – szwagra Ottona. Nikolay na próżno próbował wyjaśniać, że szef jest zajęty, nie przyjmuje dzisiaj gości, a za chwilę czeka go ważne spotkanie – Dieter jak zwykle nie słuchał. Rażno przeszedł pod blatem kontuaru i już zaglądał do kantorka na zapleczu, gdzie Otto naciągał poliestrowe spodnie w kant na brudne kalesony.

– Dzieńdoberek! – przywitał się radośnie, jakby przed chwilą wygrał główny los na loterii. – Ukrywasz się, szwagierku?

– Po prostu sprzątam.

Dieter obejrzał pobjowisko.

– Dobrze ci idzie. Tornado już przeszło. – Zarechotał, ukazując czarne dziąsła, i uniósł pudło z tombakiem, które jakimś cudem znalazło się najbliżej jego stóp. – Pamiętam, jakeśmy to gwizdnęli. Nie wiedziałem, że wciąż je masz. Nikt go nie odkupił? Pewnie jak zwykle za dużo śpiewałeś.

Otto wyrwał mu fant z ręki i położył na stercie papierów pod ścianą. Wskazał szwagrowi krzesło naprzeciw siebie. Sam usiadł za biurkiem, nie zapominając przybrać pozy prezesa. Z żoną, siostrą Dietera, żył w separacji już od siedmiu lat, ale ze szwagrem pozostawał w doskonałych stosunkach. Czasami Otto myślał sobie, że ożenił się z Harriet tylko ze względu na sympatię do Dietera. W jakimś stopniu się uzupełniali. Otto wciąż był niezadowolony i spalały go ambicje, których nie mógł spełnić. Dieter zaś był zawsze z siebie rad, choć nigdy niczego nie osiągał.

– Pokazuj, co przyniosłeś, bo mam robotę – fuknął zrezygowany złotnik.

Za żadne skarby nie chciał, by Wolf spotkał u niego to indywiduum w połatanym swetrze i przedpotopowej kurtce z ceraty, które to indywiduum było jego najbliższą rodziną i kamratem. Właściwie Otto kochał Dietera jak brata, choć nawet po alkoholu nie czynili sobie takich wyznań.

– Zrobiłbyś sobie zęby – mruknął jak zwykle.

– Może w końcu – rozpromienił się Dieter, a Otto opuścił powieki, by tego nie widzieć.

Oddychał powoli i spokojnie, licząc, że szwagier w końcu zamknie usta. Tak się stało. Dieter poprawił kraciasty kaszkiet i podniósł wyświechtaną torbę do tenisa, w której nosił łupy. Umościł ją na kolanach z takim pietyzmem, jakby zawierała relikwie.

– Same skarby – rzekł jak zwykle.

– Przypominam ci, że zepsute odbiorniki radiowe wcale się nie sprzedają.

– Nie mam dziś odbiorników.

Otto sięgnął po papierosa. Planował nie palić, by Wolfa przekonać, że nie trafił do dziupli pasera, i kupił nawet indyjskie kadzidła, które Nikolay miał zapalić, gdy nadejdzie pora, ale po nieudanym sprzątnięciu szczerze wątpił, czy uda mu się zrobić takie wrażenie na inwestorze, jak planował. Z ciężkim westchnieniem przesunął barachło w kąt kantorka i zmusił się do skupienia na przyjacielu.

– Prawda i tak zawsze wychodzi na jaw – mawiała Harriet. A kiedy Otto burzył się i pienił, dodawała, głaszcząc się po obfitym biuście i podsuwając mu prażoną pręgę z buraczkami pod nos, aż policzki miał pełne śliny: – Nie oszukasz oszusta.

I tej maksymy zamierzał się dziś trzymać.

– Dewocjonaliów też nie biorę – zaznaczył, marszcząc brwi. – Może Nikolay swoim ruskom sprzeda. Oni lubią krzyżyki i Madonny. Idź, spytaj.

Mimo widocznej niechęci szwagra Dieter nadal promieniał radością. Ottona aż skręcało ze złości, bo on nigdy nie był optymistą i skrycie zazdrościł Dieterowi jego ciągłej wiary w to, że każdy nowy fant odmieni ich życie.

– Co ty na to?

Na zawalonym papierami biurku wylądowało aksamitne puzderko. Pokrywka była nieco przytarta, ale już z daleka złotnik rozpoznał emblematy znanej zegarmistrzowskiej wytwórni. Zgasił papierosa, wytarł dłonie o spodnie, podniósł wieczko. Wewnątrz na brudnej, kiedyś

śnieżnobiałej poduszczyce leżał złoty zegarek wysadzany lśniącymi kamieniami.

– Breitling? – odczytał Otto.

Coś mu się kołatało w głowie. Poczł motyle w brzuchu. Czyżby wreszcie coś mieli?

– Limitowana kolekcja. Pięćset dziewięć diamentów.

Otto chwycił lupę. Obejrzał.

– Dobra podróbka – orzekł.

– To nie podróbka – nadał się Dieter. – Sprawdź numer na kopercie.

Otto podniósł zegarek. Na odwrocie koperty widniał numer 15. Zakropił chlorek złota. Nie ściemniało nawet na jotę.

– Kruszc prawdziwy, ale kamienie to szmelc. Chyba mam klienta na tego skowronka. Nikolay zawiezie go do Berlina. Jak się go podrasuje, weźmiemy za niego pół koła.

Dieter wyrwał zegarek z rąk Ottona.

– To jest oryginał! Wart dziesięć tysięcy marek! Jeśli mnie przeprosisz, puszcę ci go za siódemkę.

– Za siódemkę to ja ci puszcę cały mój zakład – zaśmiał się Otto. – I dołożę audi. Z garażem.

Dieter pojął wreszcie, że Otto mu nie wierzy. Pieczołowicie owinął pudełko aksamitem, a potem schował do swojej brudnej torby. Wyjął z niej saszetkę ze złotymi bransoletkami.

– Skoro cię nie stać, opchnę gdzie indziej. Za to trzy setki.

Zapadła cisza. Otto rzucił okiem na złoty złom.

– Dwieście pięćdziesiąt.

– Dobra – zgodził się natychmiast Dieter. – Ale pomożesz mi dojść do Yanka.

– Chyba nie pójdziesz do tego bandyty? Nie z moim towarem!

– Breitling jest mój – zaznaczył twardo Dieter. – A ty chcesz mnie ograbić.

– To jest falsyfikat – upierał się Otto.

– Dureń jesteś. Wiadomo, że ten fant jest gorący i trzeba będzie kasę zamrozić na lata, a klienta poszukać w innej sferze niż nasza, ale miałem cię za łebskiego gościa. Za kogoś, kto inwestuje, myśli trochę o przyszłości. Skoro tak, może Yanek albo Nikolay mi pomogą. Z pewnością poznają się na breitlingu i znajdą mi właściwego kupca, bo ty głównie wiesz o tych sprawach – zakończył tyradę ze zboląłą miną.

Otto pierwszy raz widział Dietera tak urażonego. W gruncie rzeczy był to człowiek dobrotliwy, łagodny, i może też dlatego nikt nigdy nie podejrzewał go o to, że poza warsztatem samochodowym, który prowadził, zajmuje się również inną działalnością. Znali się tyle lat i razem klepali biedę. No i łączyła ich trwoga przed Harriet, a to wiele znaczy. Nikt obcy tego nie pojmie. To jak wspiecie się wspólnie na wielką górę lub przepłynięcie oceanu. Fakt, że żaden z nich nigdy nie podróżował. Bo i po co? A przede wszystkim za co?

– Kto ci go przyniósł?

– Gertrud.

– Dziewczyna Yanka?

– Słyszałem, że nigdy ze sobą nie byli.

Otto baczniej przyjrzał się szwagrowi.

– To bandzior. Jego ojca odstrzelili w Polsce w wojnie gangów.

– Prowadzi interesy. Tak samo jak my, ale ma lepsze kontakty i handluje papierami, nie szmelcem.

Otto chwycił się za głowę.

– Radzę ci, nie wchodź w drogę temu synowi polskiego gangstera. Słyszałem, że ma z Gertrud dziecko.

– To nie jego. Syn Gertrud urodził się w Londynie. Jego ojciec siedzi. Gary French się nazywa. To Anglik albo Szkot. Jeden pies. Dzieciak nazywa się po angielsku, tylko zapomniałem jak.

– Widzę, że jesteś z tą Gertrud bliżej, niż sądziłem.

– Czasem się widzimy. – Dieter odwrócił głowę. A potem wysyczał wojowniczo: – Nieodpłatnie! Mylisz się co do niej. Życie jej nieźle dokopało. To dobra dziewczyna.

Otto opuścił ręce zrezygnowany.

– Skoro zależy jej na prowizji, sama mogła przyjść z tym do mnie.

– Za rubiny zapłaciłeś połowę. Też wmawiałeś, że są trefne. Obaj wiemy, ile były warte. Może i mnie chcesz oszwabić?

Otto poddał się. Miał dość swoich problemów. Nie będzie przecież pouczał pięćdziesięcioletniego faceta, że kurwa zawsze pozostanie kurwą. Bo ten styl życia się wybiera i nikt nie zmusi kobiety, by się sprzedawała, jeśli ona sama w tym nie zasmakuje. Dieter jakby czytał w myślach szwagra, bo dodał z wyrzutem:

– A poza tym w Baden-Baden była krupierką, nie dziwką.

Otto wiedział o Gertrud nieco więcej, ale nie chciał rozwijać tematu, by nie ranić przyjaciela. Zresztą nie miał pewności. Słyszał tylko plotki.

– Zostaw – mruknął. – Przyjrzę się temu sikorowi.

Mierzyli się chwilę wzrokiem. Wreszcie Dieter wyjął zawiniątko. Otto znów otworzył pudełko.

– Ciekawe, kto go przyniósł Gertrud.

– Nie wiem. Ale nie Yanek. Prosiła mnie o dyskrecję. Zwłaszcza jeśli chodzi o niego.

– I ty chcesz mu zanieść sikora w zębach? Jaki sens?

– Najpierw przychodzę do ciebie, tak?

Otto udał, że nie słyszy wyrzutu. Im byli starsi, tym więcej cech Harriet dostrzegał u Dietera. Nie miał już siły go uświadamiać, ale musiał. Kochał go przecież jak brata. I byli kumplami.

– Więc to bardziej niż pewne, że sikor jest lewy. Choć powtarzam ci raz jeszcze, podróbka przednia.

Dieter pogrzebał w torbie i położył przed Ottonem cienki papier. Wydał wargi z triumfem. Otto ledwie rzucił okiem.

– To po francusku. Pewnie do innego modelu.

Obrócił kartkę. Były na niej wykresy gemmologiczne. Czytał długo. A im bardziej pograżał się w lekturze, tym lepiej rozumiał, że Dieter prawdopodobnie się nie myli. Ten zegarek, jeśli faktycznie jest oryginalny, wart jest nie dziesięć, ale sto tysięcy. Gdyby go dobrze sprzedał,

starczyłoby dla Wolfa i dla nich obydwóch na nowe życie. Przeżegnał się w duchu, bo tak naprawdę był człowiekiem wierzącym. Tylko wrodzony pesymizm nakazywał mu nie cieszyć się przedwcześnie.

– I co? – nie wytrzymał Dieter.

– Na razie nic. – Otto za wszelką cenę starał się zachować spokój. – Nawet nie wiem, czy chodzi.

Ale Dieter znał szwagra lepiej niż Harriet i znów nabrał nadziei.

– Jesteśmy bogaci? Powiedz, że tak! Prawdziwy? – I już rozciągał twarz w uśmiechu, do czego Otto nie mógł dopuścić, więc nakręcił zegarek i odburknął:

– Wróc wieczorem. Za chwilę mam spotkanie.

– Resztę będziesz oglądał?

– Później – zbył go Otto. – Dieter, naprawdę zmywaj się. Nie chcę, żeby ktoś cię zobaczył. To bankierzy.

– Starasz się o kredyt?

– Mam coś na oku.

Dieter zerknął na breitlinga, a potem przeniósł wzrok na Ottona. Szwagier coś ukrywał. Dieter bardzo chciał wiedzieć, co knuje.

– Wstydzisz się mnie?

– Nie bądź śmieszny.

– Gdyby nie ja, już dawno musiałbyś zamknąć ten kram. Jeszcze będziesz tego żałował – pogroził szwagrowi i z typową dla siebie flegmą zaczął zapinać torbę. Dopiero kiedy wszystkie sprzączki były na swoim miejscu, rzucił: – Papieros tli ci się na stole.

Otto poderwał się, przykrył żar swetrem, który zerwał z oparcia. Poczul smród spalenizny. W tym momencie do kantorka zajrzał Nikolay.

– Pan Igy Wolf. Prosić?

Otto wymienił spojrzenia z Dieterem, który uśmiechnął się chytrze i bez słowa wszedł do toalety. Otto zaś trzęsącymi się dłońmi otrzepał ubranie, po czym z niechęcią włożył nadpalony sweter.

Igy Wolf nie był mężczyzną przystojnym, ale miał w sobie urok, któremu niewielu potrafiło się oprzeć. Nieprawdopodobnie wysoki i chudy, jakby stworzony do noszenia fraka, który aktualnie miał na sobie, choć nie minęła trzynasta. Kiedy był zadowolony, podkrecał cienki wąsik, a zadowolony był nieustannie. Wyglądał jak wycięty z filmu z epoki. W jednej dłoni trzymał melonik, w drugiej – laskę z kościaną rączką, na której – jak mówiono – wyrzeźbiono masońskie symbole. Nikt nie wiedział, co znaczą i czy w ogóle się tam znajdują, bo Wolf nie wypuszczał jej z dłoni. Tylko żonie, w domu, pozwalał odwieszać laskę na stojak. Tak w każdym razie opowiadano. Carla zwracała się do męża Ignacy, bliscy nazywali go Igy, a reszta mówiła po prostu Wolf. Stalowe oczy polski emigrant skrywał za ciemnymi okularami. Nigdy ich nie zdejmował. Był ślepy. Ale ta drobna niedoskonałość nie przeszkadzała mu w robieniu interesów. Jego rolą było łączenie ludzi, poznawanie ich ze sobą i przygotowywanie gruntu. Strony chętnie płaciły mu prowizję od zysków, bo Wolf był skuteczny, a przez swoje kalectwo wypracował szósty zmysł. W każdym razie niektórzy w to wierzyli.

– Czyżby palił pan kompromitujące dokumenty? – rzekł zamiast powitania niewidomy dandys i dyskretnie wysunął laseczkę, by sprawdzić, czy przestrzeń wokół jest bezpieczna do wykonania kolejnego kroku. Znalazł oparcie krzesła, na którym przed chwilą siedział Dieter.

– Jeszcze ciepłe. Czy jesteśmy sami?

Zaskoczony Otto wpatrywał się w ślepcę i czuł to ulgę, to niepokój. Sam nie wiedział, czy to, że Wolf nie widzi, przyniesie mu korzyść czy pecha. Do tej pory rozmawiali wyłącznie przez telefon.

– Będę czekała w samochodzie, kochanie – padło z korytarzyka.

– Dziękuję, skarbie.

Dopiero teraz Otto dostrzegł nieładną szatynkę w pistacjowym kostiumie: końska twarz, wyłupiaste, zbyt szeroko rozstawione oczy, a przy tym długie, gęste włosy i ekstrawagancki ubiór, który miał za zadanie sprowokować postronnych do zachwyty nad jej oryginalnością. Skłoniła się złotnikowi z dystynkcją i dodała po francusku:

– Von Hochberg już wyruszył. Mam go zabawić rozmową? Ile czasu potrzebujecie?

– Niech Daniel od razu wchodzi – zdecydował Wolf.

Kobieta opuściła pomieszczenie, a Nikolay zamknął za nią drzwi.

Otto wpatrywał się w gościa wciąż zszokowany, a ślepiec jakby to wyczuł, bo roześmiał się nieprzyjemnie.

– To nie jest zaraźliwe. Uszy mam sprawne, panie Klemke. Możemy rozmawiać otwarcie.

Otto odchrząknął, rozsiadł się wygodniej i podrapał po brodzie. Widząc, że Wolf nie reaguje, poczuł się nagle swobodny. Otworzył pudełko, w którym znajdował się Breitling, i zaczął się nim bawić. Założył na przegub, by dodać sobie animuszu.

– Nowe cacuszko? – Wolf się uśmiechnął.

Otto się spłoszył. Choć Wolf siedział nieruchomo, złotnik miał nieodparte wrażenie, że jest obserwowany. Nie mógł pozbyć się myśli, że te okulary to atrapa.

– Słyszę tykanie – wyjaśnił Wolf. – Wyjął pan zegarek z etui. Jest wykonane z miękkiej materii, ale zawiasy są stare. Żałuję, że nie mogę go podziwiać. Zawsze lubiłem ładne rzeczy. Kiedyś handlowałem biżuterią, jak pan.

– Doprawdy jest to rzecz wyjątkowa – potwierdził Otto. – Podobnie jak pańskie zdolności.

– Honorarium nie podlega negocjacji. Nie musi pan mi czapkować, ale z Danielem możesz pan coś ugrać – facet jest pod ścianą. W Polsce prowadzi procedurę spadkową o majątek Hochberga, a do tego wspólnicy wycyckali go z zarządu Barclays Banku. Ten deal jest dla niego kluczowy. Jeśli do końca tygodnia nie znajdzie bankiera, który przyjmie złoto jako gwarancję i wyda decyzję o kredycie, wypadnie z interesu z królem popu. Słyszał pan o parku rozrywki Michaela Jacksona w Warszawie? Daniel realizuje to na zlecenie pewnych Francuzów, niestety są trudności z ziemią. Polacy nie chcą sprzedać lotniska. Dlatego potrzebne jest zabezpieczenie. Daniel zdecydował się zastawić swoje złoto. To znaczy nie jest jego, tylko Shalimar Agendy, arabskiej księżniczki z Abu Zabi, której majątku nasz przyjaciel jest dysponentem. Sam pan rozumie, jak wielkie znaczenie ma

tutaj czas. Zwłaszcza że poza tym Daniel ma na biegu trzy inne interesy wymagające podróży do Genewy oraz Monako.

– O jakiej ilości mówimy?

– Dziewięć ton.

Otto zagwizdał, a w tej samej chwili z łazienki dobiegł ich szelest, a potem jazgot spadającej wody i syk zakręcanego kurka.

– Rury szwankują – pośpieszył z wyjaśnieniem złotnik.

Pośrednik siedział spokojnie, wyraźnie znudzony. Podkręcał tylko wąża i bawił się laseczką.

– Jeśli doprowadzimy transakcję do końca, zrobisz pan remont albo znajdziesz lepszy lokal – skomentował znudzony.

– Czyje to złoto? Ale tak naprawdę, panie Wolf. Nie musi mi pan mydlić oczu. Kradzione?

– W żadnym razie. Tak jak powiedziałem, tej arabskiej księżniczki. Daniel zarządza trustem Muhameda Rafika Hartiki, szejka z Emiratów. To jej ojciec. Daniel obiecał, że zabezpieczy złoto w Europie. To oczywiście powiązane jest z inną inwestycją, która jest w toku. Jeśli będzie chciał, opowie panu osobiście. Ja, niestety, nie jestem upoważniony i zresztą nie chcę wiedzieć. Nie do końca znam terminologię. Trudno się w tym połapać.

– Czy to złoto jest czyste?

– Najczystsze.

– W sensie podatkowym.

– Panama.

Otto odchrząknął. Był zadowolony.

– Zanim uruchomię swoje kontakty, chciałbym je zobaczyć.

Wolf stuknął laską o podłogę, otrzepał niewidoczne pyłki z kolana. Wreszcie poprawił okulary, choć nie poruszał się, więc i one nie mogły zmienić pozycji.

– To musi być piękny widok – zaczął i urwał. – Zazdroszczę panu tej możliwości. Rzecz w tym, panie Klemke, że ono nie przyjedzie tutaj statkiem ani pociągiem. Nawet Daniel go nie widział. Miałem pana za

poważnego inwestora – zganił złotnika jak dziecko. – To tylko jeden dokument. Daniel ma go ze sobą, jak mniemam.

– Dokument? – zdziwił się złotnik. – W sensie kawałek papieru?

– Kartka z hologramami, nitkami i perforacjami, czy jak je tam zabezpieczają. Zwykły papier, lecz wart czterysta pięćdziesiąt milionów dolarów. Po dzisiejszym kursie, rzecz jasna.

Otto z trudem zachowywał spokój. Sam nie wiedział, co myśleć. Bliżej mu było do przegonienia ślepca z biura niż do radości. Wszystko to wydawało się arcypodejrzane.

– I pana człowiek ma go ze sobą?

Wolf sięgnął do wewnętrznej kieszeni fraka i położył na stole starannie zaalaminowany arkusz. Otto sięgnął po niego drżącymi rękoma.

Niniejszy termin „złoto” lub „czyste złoto” odnosi się do ogólnego opisu sprzedawanego i nabywanego towaru. Złoty Pył powinien być o minimalnej czystości 92% lub lepiej zgodnie ze świadectwem próby. Jeśli czystość jest mniejsza, stosowny rabat zostanie uwzględniony.

str. 2 z 4

**JORB MARVIN LIMITED, 2ND FLOOR, Suite 4–6a, SSNIT Block
Anex, Ashaiman Round-About, ACCRA-GHANA**

specyfikacja

towar: ruda (metal)

pochodzenie: Ghana

forma: złoty pył/sztabki złota

ilość: pierwsza transza złotego pyłu 500 kg SPOT

kolejne transze miesięczne: 500 kg X12CIF

jakość: 22 karaty

czystość: minimum 92%

cena: 34000USD + 2000 USD dla zarządcy

czas trwania: rolowanie i prolongata na okres 12 miesięcy

opakowania: metalowe pudła służące do eksportu

Sprzedający dostarczy towar do wyznaczonej strefy wolnego handlu na lotnisku w Brukseli w Belgii.

– To kopia. I brakuje dwóch stron – stwierdził rozczarowany Otto.

– Oczywiście. Oryginał jest zdeponowany w banku – odparł bardzo spokojnie Wolf. – Razem z pełnomocnictwem szejka i pozwoleniem na złożenie w strefie wolnego handlu w Brukseli. Przyzna pan, że nieroztropne byłoby przechadzanie się z takimi dokumentami po parkach. A przy okazji, zgromadziłeś pan swój wkład?

Otto spojrział na zegarek. Westchnął ciężko, zanim odpowiedział.

– Mam pieniądze.

– W gotówce?

– Cóż, tak właśnie się umawialiśmy. Choć prawdę mówiąc, teraz nie do końca jestem pewien, czy to właśnie mnie panowie szukają. Skoro to tej rangi transakcja, mogę polecić kogoś mocniejszego.

Wolf zdjął okulary i zaczął przecierać oczy, jakby płakał.

– Dobrze się pan czuje?

– Głowa mnie trochę boli. Czy mógłbym dostać szklankę wody?

Otto poderwał się i ruszył do toalety. Nacisnął klamkę, ale zawahał się. Odwrócił się i raz jeszcze obrzucił Wolfa baczny spojrzeniem. Łazienka była tak mała, że gdy tylko otworzy drzwi, zobaczy bezzębnego szwagra.

– Przepraszam najmocniej. Może kawy, herbaty? – zagadywał zdenerwowanie. – Tutaj przygotowałem ciasteczka. Nikolay! – krzyknął. – Podasz biszkopty?

– Woda wystarczy – zapewnił miękko Wolf i założył już swoje czarne okulary, a potem skierował twarz na puste krzesło Ottona.

Złotnik szarpnął za klamkę. Na sedesie siedział Dieter, na jego twarzy zaś widniał uśmiech tak szeroki, jakby połknął wieszak. Nie był to widok, o który Ottonowi chodziło w tym momencie. Popukał się więc w czoło i dał szwagrowi znak, by wyszedł, bo obaj nie zmieściliby się w pomieszczeniu, a potem nalał do szklanki wody z kranu i podał Wolfowi. W tym czasie Dieter wrócił na swoje stanowisko i zamknął za sobą drzwi. Ottonowi wydawało się, że wykonali tę operację bezszelestnie.

– Słyszę, że skrzydło drzwiowe też należałoby wymienić. – Wolf uśmiechnął się i upił łyk. – Chyba że ma pan umiejętność bilokacji.

Słyszałem pana w dwóch miejscach jednocześnie.

Otto przeklął w duchu głupotę Dietera. Zaśmiał się nerwowo.

– Trzeba w końcu wyłożyć parę marek na remont.

– Ale mówił pan o wątpliwościach – zachęcił złotnika Wolf. – Boi się pan?

– Chyba to pana nie dziwi? Rzecz w tym, że nie znam się na instrumentach finansowych. Jestem prostym biznesmenem. Wierzę tylko w to, co mogę osobiście zbadać, wycenić, czego mogę dotknąć. Rozumie pan?

– Jasne.

– A to złoto na papierze... Cóż, niech się pan nie obrazi. Ale dlaczego ja?

– Powiedzieli mi, że chcesz pan zarobić i jesteś gotów ten biznes dźwignąć. Mylili się? Czy w ten sposób przygotowuje mnie pan do odmowy?

– Nikolay, co z tymi biskoptami? – Otto poderwał się z krzesła.

– Nie ma go – mruknął Wolf. – Stoi przed sklepem.

Otto zaniemówił.

– Słyszałem, jak wychodził. Niech pan nie martwi się poczęstunkiem. I w ogóle proszę się nie martwić niczym. Sprawa jest legalna. Dostanie pan kopie wszystkich dokumentów i będzie mógł przenieść każdy detal. Jest dla nas oczywiste, że skonsultuje pan interes ze swoimi prawnikami, choć naturalnie musi to nastąpić sprawnie. Jeden, maksymalnie dwa dni. Dobry notariusz specjalizujący się w tych kwestiach z pewnością zbada rzecz gruntownie. Zrobilibyśmy ten interes ze złotem sami, ale Daniel nie ma czasu na rejestrację firmy w Niemczech i czekanie na decyzje banków. Na stałe mieszka w Wielkiej Brytanii, firmę prowadzi w Panamie i część interesów w Liberii, ale jest Polakiem. Rozumie pan, przepisy w Niemczech wobec cudzoziemców spoza Unii nadal są niekorzystne. Nie ukrywam, że idzie również o podatki. A czy panu taki obrót na koncie nie przydałby się w biznesie?

– Mogłoby to być korzystne – potwierdził z wahaniem Otto. – Gdyby leżały na moim koncie wystarczająco długo.

– O tym właśnie mówię. Kredyt na dom, lokal, nowy samochód. Remont toalety. – Urwał.

Otto z całych sił starał się nie oddychać.

– Halo! Jest pan tam? – Wolf wykonał ruch głową, jakby szukał złotnika na węch.

– Jestem, jestem. Myślę.

Znów zapanowało milczenie. Otto przyglądał się gościowi, aż wreszcie odważył się spytać:

– Dlaczego pan nie weźmie tego na siebie? To najprostsze rozwiązanie. Pan ma obywatelstwo.

– To zbyt skomplikowane. – W głosie Wolfa dało się wyczuć zniechęcenie. – Owszem, mam obywatelstwo, ale też jestem z pochodzenia Polakiem. Moja żona urodziła się w Szwajcarii, a ma francuski paszport. Belgijski zresztą też. Fiskus natychmiast wzięłby nas pod lupę. Co innego szanowany biznesmen, który nigdy nie miał kolizji z prawem.

Otto nerwowo spojrzał na drzwi łazienki, w której, o dziwo, Dieter siedział teraz ciszej niż mysz pod miotłą.

– Mówił pan, że ma znajomego bankiera, posiada konto od lat i mogą nas potraktować szczególnie – kontynuował Wolf. – Tylko o to nam chodzi. Honorarium za tę operację jest, jak sądzę, nadzwyczaj atrakcyjne, zważywszy na poniesione wysiłki. Resztą zajmujemy się my. Pan musi tylko założyć szereg kont. Sam pan rozumie, że takie środki nie mogą wpłynąć na jeden rachunek. Najlepiej by było, żeby zaangażował pan rodzinę, bliskich, a potem poświęcił godzinę na wizytę w banku i dokonał szeregu przelewów. Inaczej urząd kontroli skarbowej zakwalifikuje sprawę jako pranie brudnych pieniędzy, co nie byłoby zgodne z prawdą.

Otto nadal się nie odzywał.

– Skoro jestem w błędzie, dziękuję za pana czas. – Wolf oparł dłoń na łasce. Wstał.

– Chwileczkę. – Otto podniósł dłoń, a potem uświadomił sobie, że Wolf nie może tego widzieć. – Ja wprawdzie nie mam firmy, ale znam kogoś, kto prowadzi warsztat samochodowy. Ogromna korporacja. Holding tak naprawdę – jąkał się.

– To zaufana osoba? Nie będzie problemów?

– Mój osobisty szwagier. Postaram się go przekonać. Sprawa wygląda nieco inaczej, niż sądziłem.

– Więc to z magnatem motoryzacyjnym powinien spotkać się Daniel – stwierdził wyraźnie zawiedziony Wolf. – Żałuję, że otrzymałem błędne informacje. Jak to mówią, czas to pieniądz. Przepraszam, muszę uprzedzić żonę, by odwołała spotkanie z księciem von Hochbergiem.

– Księciem?

– Bankier, z którym dziś miał pan się spotkać, jest arystokratą i potężną figurą brytyjskiej finansjery. To bardzo wpływowy człowiek i jak oni wszyscy miewa humory. Każdej minuty obraca kapitałem miliarda funtów, prowadzi interesy na całym świecie. Jego czas jest bezcenny. Nie będzie zadowolony ze zmiany scenariusza w ostatniej chwili. Może zerwać negocjacje, a co gorsza, żądać zadośćuczynienia. Cóż, wezmę to na siebie. Taka moja rola.

Otto przestraszył się, że Wolf za chwilę wyjdzie. Już niemal całkiem zapomniał, że ma do czynienia ze ślepcem. Zdjął zegarek, rzucił go do miski, w której ważył złoto.

– Nie będzie potrzeby podwajania płatności. Podzielimy się prowizją ze szwagrem – zapewnił. – Proszę, niech pan usiądzie. Ma pan moje słowo, że Dieter się zgodzi.

Z łazienki znów pociekło z kranu, a potem rozległ się brzdęk. Otto zamknął oczy i przez chwilę poczuł się jak niewidomy. Bez wibracji, które wyczuwać musiał Wolf, wiedział, że to fajtlapa Dieter strącił mydelniczkę z umywalki.

– Wspaniale. – Wolf odłożył laseczkę, usiadł. Nawet nie zająknął się o hałasach dobiegających z łazienki. – Prosiłbym, by o trudnościach kontrahentowi nie wspominać. Chyba wszystkim nam zależy, żeby do transakcji doszło i każdy miał zysk.

Otto uśmiechnął się chytrze.

– Przejdźmy więc do konkretów. Jak widzą panowie logistykę przedsięwzięcia?

– To proste. – Wolf wzruszył ramionami i odwrócił się do wejścia. – Idą.

– Skąd pan wie?

– Każdy człowiek, przedmiot ma swoją energię. Emanuje nią. Oczywiście są nieomyślne. Przeciwnie, widzą tylko maskę. Kiedy Bóg zabiera, daje w zamian coś cenniejszego. Nie jest mi dane wprowadzić patrząc, ale widzę. Jeśli pan spróbuje wczuć się w ludzką aurę, posiadzie pan tę umiejętność. Dobrze jest umieć zdejmować ludziom maski z twarzy. I panu może się to przydać w interesach.

– Święta prawda – przyznał oszołomiony Otto i zerknął znów na drzwi, za którymi rozlegała się przyciszona rozmowa dwóch mężczyzn w języku rosyjskim, przetykana perlistym śmiechem kobiety. Złotnik zarejestrował, że polski książę włada mową Nikolaya perfekcyjnie.

– Carla? To ty, skarbie? – Wolf podniósł głos. – Pan Klemke jest gotów.

– Skoro tak, zapraszam panów na kolację – rozległ się niski baryton i do kanciapy Ottona wmaszerował pulchny mężczyzna w czarnym golfie i welurowej marynarce koloru wina. Na szyi miał fantazyjnie zakręcony biały szal. Kraciaste spodnie nosił zwężane ku dołowi, wielokrotnie podwinięte, aż odsłaniały szczupłe kostki w białych skarpetach. Ręcznie robione buty, bogato wyszywane i zdobione nitami, sumiasty wąs oraz okulary w rogowej oprawie dopełniały całości. Otto w życiu nie widział większego cudaka.

Zanim Daniel się przedstawił, rozpytał złotnika o zegarek Dietera i kupił go od niego za sto pięćdziesiąt tysięcy marek, płacąc czekiem, który wypisał od ręki. Otto nie zdążył się obejrzeć, a reklamówka z gotówką, którą trzymał pod krzesłem, też zmieniła właściciela. Na brakującą kwotę von Hochberg po prostu machnął ręką. A potem zaprosił wszystkich na kolację do najlepszej restauracji w Mülheim.

Dieter dołączył do ekipy ledwie po kwadransie. Ku zdziwieniu Ottona przybył z kobietą – Gertrud Schmetterling, z którą, jak się okazało, flirtował od jakiegoś czasu. Wyjaśniło się, dlaczego to ona była wcześniej posiadaczką precjozów, które nowy właściciel wycenił na pół miliona. Książę von Hochberg cieszył się niewymownie, że Otto sprzedał mu czasomierz po tak korzystnej cenie. Nawet do głowy mu nie przyszło, by podważać oryginalność zegarka. Schował dokumenty, które Otto wcześniej usiłował odszyfrować. Zaznaczył jedynie, że liczy na dostarczenie mu przy

okazji certyfikatu zakupu Breitlinga, by w razie kontroli mógł się wylegitymować, od kogo go nabył. Otto był tak oszołomiony czekaniem na zawrotną sumę, że zgodził się na wszystkie warunki księcia. A może obietnicę tę złożył, ponieważ był już trochę wcięty i nadzwyczaj wesół jak na swoje usposobienie? Tak czy owak, wszyscy byli zadowoleni i świętowali do rana.

Nikt z zacnych gości nie zwrócił uwagi na braki w uzębieniu Dietera. Nikogo nie zdziwiło, że właściciel holdingu paraduje w zaplamionym swetrze i nosi starszą od siebie torbę. Rachunek za wieczerzę uregulował Otto. Była to równowartość jego kwartalnych dochodów, ale uznał, że inwestycja zwróci mu się z nawiązką.

Za tydzień, o dziesiątej, wszyscy byli umówieni w banku, gdzie Dieter miał otworzyć szereg rachunków, na które Daniel von Hochberg złoży dokument upoważniający Dietera do dysponowania złotem arabskiej księżniczki. Wspaniałomyślnie obiecał prowizję dla obydwóch pośredników i jeszcze ją podwyższył. Ten gest sprawił, że Dieter z Danielem tak się polubili, że aż postanowili założyć wspólną firmę, by wysyłać do Polski auta, które mechanik podrasuje w swoim zakładzie. Nie było tajemnicą, że każdy jeden był trefny.

Wydoimy tego frajera do ostatniego funta – myślał pijany Otto, kiedy kładł się spać, a do jego sypialni wlewało się słońce. Nie zamierzał otwierać dziś swojego kramu. Pierwszy raz w życiu czuł się jak Dieter każdego dnia. Myślał z radością o przyszłości i szeroko się uśmiechał. – Będziemy bogaci. To nasz najlepszy przekręt w życiu.

Gertrud Schmetterling schowała banknot za biustonosz i z godnością opuściła pokój. Korytarz był długi, oświetlony rzęsiście i wyłożony po bokach lustrami. Idąc, czuła, jak jej jazzówki zagłębiają się w puszystą materię dywanu. Powinna pojechać do domu, do Essen. Dać synkowi śniadanie i zająć się nim do popołudnia, bo matka miała dziś nocną zmianę. Ale noc była ciężka, a – jak na razie – wszystko, co zarobiła, to te nędzne trzydzieści marek bezzębnego Nadreńczyka, od którego przed chwilą wyszła. Dobrze było jedynie to, że już się uzależnił. Wiedziała, że dziś wieczorem Dieter znów zejdzie do baru. Nie powinien jej od razu znaleźć.

Podróż, nowe ciuchy i motel kosztowały ją niemało, a przecież to dopiero początek. Czekala ją podróż do Hamburga, Kronbergu, a jeśli dobrze pójdzie, i do Frankfurtu. Wolf uprzedził ją, że rozliczą się dopiero po transakcji. Dlaczego się na to zgodziła? Fakt, była to miła odmiana od codziennej rutyny w hotelu Handelshof, gdzie z hokera przemieszczała się do numeru 130 i z powrotem, a jeszcze musiała opłacić się barmanom, konsjerżowi i policji. Z tego, co jej zostało, lwią część zabierał Yanek, choć kiedy przychodziło co do czego, i tak zajęty był czymś innym. Płaciła mu tylko ze strachu. Kiedy od czasu do czasu dawał jej gorący towar do upłynnienia, wiedziała, że w ten sposób ją wikła. Nie, zdecydowała, zostanie w Mülheim do jutra. Nie miała sił na starą grę z matką, która udawała, że wierzy, jakoby Gertrud tyrała nocami w kasynie. Zadzwoń i powie, że jej menedżer zarządził remanent, ale najpierw trzeba trochę wytrzeźwieć. No i wymyślić jakieś anegdoty z nocnych przygód za stołem z ruletką.

W windzie była sama. Przyjrzała się swojej twarzy w lustrze i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie koresponduje z jej samopoczuciem. Mimo to wyjęła puderniczkę, delikatnie pociągnęła usta różową szminką. Nie łudziła się, że te zabiegi odejmą jej lat, ale przywracały pozory kontroli. To był zwykły rytuał, jak prysznic po intensywnej pracy w ogrodzie. Wygładziła koszulę, przypięła równo szelki i podtapirowała grzywkę. Marynarkę uszytą na wzór uniformów kasyna w Baden-Baden, gdzie przez trzy sezony pracowała jako krupierka, trzymała nonszalancko na ramieniu. Od dawna nie nosiła już kusych sukienek ani butów z sex shopu. Miała trzydzieści dziewięć lat i zmarszczki wokół oczu, kiedy się uśmiechała. Lubiała ten moment, kiedy podrywający ją mężczyźni orientowali się nagle, że będą musieli płacić za jej czas. Nigdy nie nazywała siebie prostytutką. Podobnie jak Yanek, który chełpił się, że handluje fałszywymi dokumentami i zna wszystkich paserów w mieście, za etykietę alfonsa wymierzyłby bluźniercy mocny cios w szczękę.

Hol był pusty. Ostatni goście opuszczali restaurację, a kelnerki zakładały w drzwiach żółtą taśmę. Gertrud domyśliła się, że śniadanie się skończyło.

– Kawa wchodzi w grę? – zwróciła się do konsjerż, który mógłby być jej synem, więc nie miała co liczyć, że ulegnie jej urokowi. Zresztą był tak zajęty układaniem ulotek na blacie, że aż wzdrygnął się, słysząc jej głos.

Przyjęła więc ton matczynej, łagodny, z nutą delikatnej perswazji. – Mogłabym sobie usiąść tutaj, w lobby. Tylko jedno cappuccino.

– Siedem marek. – Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie. – Chyba że weźmie pani na pokój?

Gertrud podała numer Dietera.

– I bułeczkę z adwokatem z czekoladową posypką. – Gertrud kuła żelazo, póki gorące. – Po drodze widziałam, jak kelnerzy wieźli pełen kosz do kuchni. Mogą być dwie albo i trzy. Jestem głodna jak wilk.

Położyła na blacie banknot. Konsjerż zabrał go wprawnym ruchem. Wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił.

– Sprawdzę, co da się zrobić.

– Merci. Czekał koło palmy.

Odwróciła się, by pokazać miejsce, gdzie mają dostarczyć jej kawę, i zamarła. Pod ścianą, niemal przy samym wejściu siedział przystojny blondyn w odblaskowym dresie. Składał właśnie płachtę „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i przywoływał Gertrud wzrokiem. W gardle momentalnie urosła jej gęła, a ciało naprężyło się jak do skoku. Nagle poczuła się tak słaba, jak może się czuć jedynie osoba, która wie, że za chwilę ktoś będzie ją okładał, a ona nie ma siły, by się bronić, więc tym bardziej nie starczy jej woli, by uciec. Nie chciała podchodzić do Yanka ani z nim rozmawiać. Nigdy nie pojawiał się bez powodu. Zawsze miał jakiś kłopot do rozwiązania i to ona miała się nim zająć. Gertrud gardziła sobą, że daje się tak wykorzystywać. Była wściekła, że brat ją znalazł, i znów nie miała pojęcia, jak to zrobił. Pragnęłaby wymazać ten obraz, zniszczyć go. Udać, że go nie widzi, i iść do swojej palmy, wypić kawę, zaplanować w spokoju dzień. Ruszyła jednak w kierunku mężczyzny. Wykrzywił usta w tym swoim zimnym, chytrym grymasie, który tak dobrze znała. Tyle już razy brała go za przejaw sympatii, a przecież oznaczał jedynie satysfakcję, że kolejny raz siostra robi, co jej każe.

– Jak leci? – zdobyła się na łagodny ton.

– Słabo wyglądasz. Ciężka noc?

– Za to ty jak zwykle kwitnąco – fuknęła wściekła. – Czego chcesz?

Ugryzła się w język, bo przecież planowała się opierać. Nie powinna mu niczego ułatwiać. Nie miała żadnych pieniędzy, którymi mogłaby się podzielić. Niczego od niego nie chciała. Żadnych fantów, kradzionej biżuterii, lewych czeków, zrabowanych damskich torebek. Wciąż nie opyliła tej ze skóry jakiegoś gada z diamentami. Bała się ją nosić, bo była bardzo charakterystyczna, choć Yanek zapewniał, że to prezent, rzecz wyjątkowa i wiele warta, a skradziona gdzieś daleko we Włoszech, więc może używać jej bezpiecznie. Gertrud pragnęła jedynie, by Yanek usunął się z jej życia, zostawił ją w spokoju i nigdy nie wracał. A jednocześnie wiedziała, że nie umie, nie potrafi go porzucić. Był jej młodszym braciszkiem, którym powinna się opiekować. Obiecała to ojcu, kiedy konał jej na rękach po postrzale. Matka, która przecież niańczy teraz jej dziecko, wciąż sprawdzała, czy Gertrud wystarczająco troszczy się o małego Yanka. I nie dostrzegła, że dzieli ją od Gertrud zaledwie trzy lata i że jest zwykłym przestępcą.

– Upłynniłaś sikora?

– Jeszcze nie – skłamała.

Dieter obiecał, że jak tylko szwagier zrealizuje czek Daniela, zapłaci jej dziesięć tysięcy, ale nie zamierzała na razie informować o tym Yanka. Zorientowałyby się, że fant był oryginalny, i wyrzekałby, że za mało wytargowała.

– Jak Bruno? – przymilał się tymczasem Yanek.

Znała jego metody na wylot, ale za każdym razem się nabierała.

– Co cię to obchodzi?

Brat nie byłby sobą, gdyby nie dostrzegł jej irytacji. Wciąż kpiąco się uśmiechał, a jego oczy były zimne, martwe, jak u wypchanego jelenia, który do dziś wisi w salonie ich rodzinnego domu w Essen. Im bardziej Gertrud była zdenerwowana, tym bardziej odprężał się Yanek. Zdawało się, że karmi się jej gniewem i lękiem. Zawsze kiedy ją postraszył, rzucał jej ochłap, udając dobroć.

– Mama mówiła, że nie zadzwoniłaś, a Bruno w nocy wymiotował. Ale już jest w porządku. Nie ma powodu do obaw.

Gertrud spokojnie przyjęła cios, nawet się nie skrzywiła. Wiedziała, że to dopiero początek. Grali w tę grę od przeszło trzydziestu lat.

– Skoro jesteś takim dobrym wujkiem, mógłbyś pomóc.

– Od kiedy to jestem niańką do dzieci?

Gertrud przymknęła oczy. Otworzyła. Wdech – wydech. Wdech – wydech. Policzyła w myślach do siedmiu. Pomogło.

– Ja też nią nie jestem. Masz jakiś problem, załatw go sam.

Ruszyła do swojej palmy. Czuła, że kolana się pod nią uginają, a wzrok brata wypala dziurę w jej plecach, ale nie zatrzymywała się, choć z każdym krokiem nasilało się wrażenie, że za chwilę upadnie, zemdleje, uderzy twarzą o posadzkę.

– Wiem, gdzie jest Gary – padło od niechcienia.

Cios był celny, zadany precyzyjnie, godny najlepszego fehmistrza Nadrenii. Gertrud z trudem nad sobą zapanowała. Odwróciła się i to był błąd.

– Nie obchodzi mnie to.

Roześmiał się.

– Siedzi w zakładzie psychiatrycznym pod Londynem.

– Skąd wiesz?

Yanek wzruszył ramionami.

– Wszyscy wiedzą. Ponoć ma depresję. Dobrze udaje, bo odwołali proces.

Kelnerka podeszła z kawą i ciastkiem. Gertrud odebrała od niej tacę i usiadła przy stoliku Yanka. Tak jak się spodziewała, wziął z jej talerzyka z takim trudem zdobytą bułeczkę i włożył sobie całą do ust, nawet na chwilę nie spuszczać z niej wzroku.

– Pyszne mają tu wypieki – rozpromienił się.

Wiedziała, że ciastko smakowało mu tylko dlatego, że należało do niej. Chwyciła więc filiżankę i wypila kawę duszkiem, jakby obawiała się, że i to za chwilę jej zabierze. Udawała spokojną, obojętną, ale Yanek wiedział, że siostra ledwie się trzyma, więc specjalnie przeciągał. Chciał, żeby poprosiła.

– Można się z nim skontaktować? – zapytała cicho. – Ile trzeba, żeby go wykupić?

– Jeszcze ci mało! – Skrzywił się z pogardą. Pozbierał z jej talerzyka resztę okruchów, oblizał palec z likieru. – Nie wystarczy, że cię okradł, oszukał i porzucił?

Gertrud milczała.

– Ile chcą?

– Stówę.

Kobieta pochyliła głowę.

– Możesz z nimi negocjować?

– Chyba zgłupiałaś! Facet zawiął czterysta pięćdziesiąt milionów funtów. Jest cała kolejka frajerów, którzy chcą go rozebrać. Nie robią tego tylko dlatego, że jest szansa na wydobycie informacji, gdzie jest kasa. Nie rozumiesz? Jak można być taką naiwniaczką. Stara a durna.

– Za to ty masz wciąż osiemnaście lat.

Wyszczrzył się w szyderyczym uśmiechu.

– I to się nigdy nie zmieni, *Schwester*.

Gertrud mimowolnie się uśmiechnęła, ale kiedy brat znów się odezwał, poczuła, jak oblewa ją zimno.

– Możemy wygrać tę sytuację. Ślepiec zamówił u mnie trochę papierów. Ponoć twój Nadreńczyk płaci.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Powiedz Dieterowi, że dokumenty będą gotowe na środę, ale poza kasą chcemy dopaść Frencha.

– Sam im powiedz. Nie chcę się w to mieszać.

– Jesteś wmieszana. Myślałaś, że się nie dowiem? Jak sądzisz, dlaczego akurat ciebie wzięli na wabia?

– Nie jestem żadną przynętą.

– A kim? Kurwą? Z tego, co się orientuję, w tym hotelu nie ma kasyna.

Gertrud podniosła podbródek, spojrzała na brata z nienawiścią. Nie przejął się. Tylko go rozbawiła.

– Jeszcze się trzymasz, fakt, ale gdyby chodziło o rozrywkę, wzięliby młodszą – kontynuował z namaszczeniem, wiedząc, że kręci śrubokrętem w ranie. – I to było dobre posunięcie. Wygląda na to, że bezzębny Nadreńczyk gustuje w starych babach. Tak swoją drogą, nie dostałem swojej doli od sprzedaży breitlinga. Ten opasły Polak chwali się nim gdzie popadnie.

– Dostałeś ciastko. Wypierdalaj.

– Należy mi się połowa, czyli nie mniej niż pięć patyków. Zadbaj, żeby nie zwlekali z zapłatą. I więcej mnie nie oszukuj, *Schwester*. Trzymam rękę na pulsie.

Otrzeptał dresik, jakby wygładzał fałdy munduru. Założył kask rowerowy. Dopiero teraz Gertrud spostrzegła, że ma na sobie kolarskie buty. Kiedy odchodził, słyszała ich stukanie o marmurową posadzkę. Zatopiła się w myślach. Musiał być tutaj od rana i czekał na nią ukryty za węglem, niczym myśliwy na ambonie wyglądający obiektu do odstrzału. Już myślała, że się go pozbyła, kiedy po chwili jednym susem znów znalazł się obok niej, chwycił ją za ramiona i wysyczał jej do ucha:

– Przekażę mamie, że nie wracasz dziś, bo wolisz się szlajać po hotelach. Trochę się zmartwi.

– Powodzenia.

– Żartowałem. Coś taka nerwowa. Chcę tylko pomóc.

Gertrud była bliska płaczu.

– Nie potrzebuję twojej pomocy! Nie rozumiesz? Wynoś się – krzyknęła, aż konsjerż zaczął im się przyglądać.

Yanek nie odpowiedział. Stał i patrzył na nią z politowaniem. Nie odchodził.

– Powiedz im, że Śpiewak przywiezie papiery w środę. Czterdzieści tysięcy. Czeki ja sam sprzedaję. Jeśli powiesz im o Frenchu, odpalę ci dziesiątkę i jakiś papier gratis. Może w końcu wyjdiesz na prostą. Oni chcą go dopaść. To dlatego cię zwerbowali, dorośnij! Czają się na tę kasę, którą Gary zawinął, a ty jesteś kluczem do jego skrytki.

Wyszedł marszowym krokiem. Gertrud patrzyła, jak znika w drzwiach, modląc się, by nigdy więcej go nie oglądać, choć wiedziała, że to nadzieja

plonna. Chwyciła filiżankę i zacisnęła ją. Czuła się tak, jakby zaciskała dłonie na szyi tego człowieka, który jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności był jej bratem. Poczwałyby ulgę, gdyby porcelana pękła, ale nic się nie wydarzyło.

– Proszę pani! – Podszedł do niej konsjerż. Tym razem głos miał unizony. – Pani Schmetterling? Telefon do pani.

Podniosła głowę.

– Nie! – ryknęła z gniewem.

Chłopak się spłoszył. Wskazał na słuchawkę odłożoną na ladzie recepcji.

Nie miała ochoty na słuchanie wyrzutów Dietera ani jego namów, by spędziła z nim dzień. Już w nocy oferował jej karuzelę, cyrk i spacer po parku. Zachowywał się jak zakochany. Nie znosiła, kiedy klienci wyobrażali sobie, że mają ją na własność, bo pozwoliła sobie być uprzejma. Chyba starczy, że zmusiła się, by zostać z nim do rana. Dzięki Bogu zdołała go przekonać, by wyłączył światło. Nie był taki zły, nawet go polubiła, ale widok jego paszczy i ta dziecięca naiwność... Nie, to było teraz ponad jej siły.

– Proszę powiedzieć, że już wyszłam. Niech zostawi wiadomość.

Konsjerż wrócił za kontuar. Widziała, jak słucha, zapisuje coś, a potem powtarza, ale nie słyszała jego słów. Stała zbyt daleko. Kiedy skończył, podeszła do recepcji. Bez słowa przesunął w jej kierunku karteczkę z logotypem hotelu. Widniał na niej numer telefonu. Kierunkowy wskazywał Wielką Brytanię. Pod spodem konsjerż zanotował: Marc Baptiste Rockefeller. Wpatrywała się w litery, ale jakby ich nie widziała. Przed oczyma latały jej mroczki.

– Proszę mnie połączyć z tym numerem – poleciała, a ponieważ konsjerż się zawahał, dodała: – Na koszt pokoju Dietera Frolicha. Nie będzie miał nic przeciw. Jesteśmy współnikami.

Konsjerż spojrział na nią niepewnie, a jednak wykonał polecenie. Gertrud drżały kolana, kiedy podawał jej słuchawkę.

– Gary? Gdzie jesteś?

Słuchała, ocierając łzy i zupełnie nie zwracając uwagi na przyglądającego się jej recepcjonistę.

– Tak, chcę ci ufać. Nie wierzyłam, że nas zostawiłeś. Bruno zaczyna już chodzić. Taki jest do ciebie podobny... Czyli Yanek mówił prawdę? Mam sprzedać te czeki? Dobrze. Ja ciebie też. Mam nadzieję, że już wkrótce. Nie mogę się doczekać.

Kiedy oddała słuchawkę, była tak szczęśliwa, jak ktoś, kto się dawno poddał, stracił wszelką nadzieję, że wyrwie się z ciemnego tunelu, aż nagle dostrzegł światelko i wie już, że jeśli będzie wystarczająco wytrwała, dotrze tam i wydostanie się na zewnątrz. A potem droga będzie już prosta.

Wyszła z hotelu, wystawiła twarz do słońca i skierowała się prosto na dworzec. Chciała teraz tylko przytulić dziecko.

Basen był pełen liści i Konstantin Damm wyławiał je z zapamiętaniem, kiedy leciwa gosposia wprowadziła Ottona i Dietera.

– Kawa, herbata, brandy? – zapytała z miękkim akcentem. – To znaczy mleka do kawy nie ma, cukier się skończył, ale brandy jest. Dobrze mówię, panie Damm?

– Mów od razu, Radko, że mamy tylko polską wódkę – roześmiał się notariusz. – Czy panowie reflektują? Radka przywiozła ją z Krakowa.

– A przywiozłam. I stoi tak od świąt. To jak będzie?

Goście bez pudła zorientowali się, kto rządzi w tym domu.

– Ja prowadzę. – Dieter pokręcił głową i rozejrzał się po zaniedbanej rezydencji, która czasy świetności miała za sobą, lecz zachowała klasę i wciąż była pełna godności, podobnie jak sześćdziesięcioletnia Polka, która tym domem zarządza. – Ale Otto powinien się napić. Strasznie się denerwuje.

– Nie ma co szarpać sobie nerwów. Wszystko i tak zawsze się układa – odrzekł Konstantin, nie przerywając pracy. – Dla mnie też nalej szklaneczkę, Radko, tylko schłodzonej. Wiesz, że nie cierpię ciepłej wódki. Strasznie mnie roztkliwia.

– To w takim razie chwilę potrwa. Lodówkę trzeba podłączyć – naburmuszyła się gospodyni. – Nie uprzedził pan, sędzio, że szykuje pan przyjęcie.

– A szykuję? – Konstantin wykrzywił się do przybyszy. Grymas w żadnym stopniu nie przypominał uśmiechu. – To zależy, z czym przychodzicie.

Odłożył wreszcie cedzak i wskazał brudne krzesła ogrodowe, które przystawili sobie nad basen. Stolika nie było. Dieter rozglądał się długo, by wreszcie zidentyfikować mebel w wodzie. Między jabłonkami dostrzegł też połamaną huśtawkę i przewrócony parasol – z daleka wyglądał jak zmalretowany kłęb folii w czerwono-białe pasy. Trawa była dawno niekoszona. Nie tak Dieter wyobrażał sobie dom naczelnego notariusza niemieckiej branży finansowej. Dotąd żywił przekonanie, że prawnicy to pedanci oraz perfidni manipulatorzy, choć przecież jedno nie wyklucza drugiego.

– Co tutaj zaszło? – Wyciągnął z kieszeni camele. Spojrzał na Konstantina, który ewidentnie zamierzał zignorować pytanie. – Można?

– A pal pan, jeśli lubisz hodować obcego w płucach.

– Przynajmniej nie będzie samotny – odezwał się wreszcie Otto, co wszystkich ubawiło.

Tymczasem z domu wynurzyła się znów Radka. Drobiła kroki ostrożnie aż do samego brzegu basenu, a potem zatrzymała się i postawiła tacę z butelką oraz kieliszkami na brzegu. Dieter zdziwił się, jak się udało jej tak błyskawicznie zmrozić flaszkę. Szkło było oszronione, a zawartość butelki gęsta jak syrop. Najwyraźniej Radka, wzorem jego szwagra, lubiła sobie ponarzekać, ale robiła, co do niej należało. Dieter postanowił, że jeśli wkrótce jego los się odmieni, zatrudni taką właśnie osobę do prowadzenia hacjendy. I zdecydowanie nie pozwoli, by w jego basenie pływały stoły. No cóż, na razie mu to nie groziło, więc uśmiechał się tylko do Radki, co z jakiejś przyczyny dodatkowo ją irytowało. W tym też przypominała mu Ottona.

– Pan sobie weźmie – poleciała władczo Radka. – Bo ja już raz wpadłam dziś do tego gnoju. Drugi raz nie zamierzam się kąpać.

Otto i Dieter spojrzeli po sobie. Konstantin jęknął, rzucił przekleństwo pod nosem, ale grzecznie pośpieszył po napitki.

– Dopiero zjechaliśmy z Genewy – wyjaśnił, odbijając denko butelki. – Nie było nas ze trzy tygodnie. W tym czasie balowała tu gwardia

młodzieży. Napuścili wody, połamali krzesła. W domu wszędzie pełno było białego proszku. Radka ogarnęła to z grubsza, ale ogrodu nie tyka. Taką mamy umowę.

– Włamali się?

Konstantin machnął ręką.

– Nieważne. Panowie nie mają dzieci?

Otto i Dieter synchronicznie pokręcili głowami.

– Szczęściarze.

Konstantin nabrał powietrza, wypuścił je, szeroko otwierając usta, a potem podniósł butelkę i rozlał trunek do szklanek z nadrukiem coca-coli. Zawartość jednej z nich wypił duszkiem.

– Kieliszki też wytlukli – zameldował.

Otto zawahał się, ale wziął łyk. Po namyśle jednak poszedł w ślady prawnika.

– Zimna – pochwalił. – Dobry ma pan zamrażalnik.

– Radka zawsze tak gada, ale pewnie już rano włączyła agregat. –

Konstantin uzupełnił mu szklanekę. – To, jak mawiają w kraju Radki, na drugą nóżkę. – I zaczął się rozkręcać: – A mamuśka jeszcze syneczka broni. Głowę mi zmyła, że byłem brutalny. Brutalny, słuchacie? Bo wywaliłem tę hałastrę z domu, a było ich chyba z siedemnaście sztuk. Jeszcze trzy dni takiej balangi, a zdemontowaliby mi dom na wióry.

– Ile syn ma lat? – Dieter wtrącił się wyłącznie z grzeczności.

– Martin? Szesnaście. Nie, czternaście. Chyba... – Konstantin się wił. –

Ale jego dziewczyna jest pełnoletnia. Córka prezesa Süddeutsche Banku, Berga. Piękna sztuka i diabelskie nasienie. Wierna kopia mojej byłej. Niestety Martin we mnie się nie wdał. Żadnego celu w życiu. Chciałby jechać do Amazonii i poddać się jakimś rytuałom, za co zapłacić mam oczywiście ja, a ponieważ odmawiam, ćpa, pije i włóczy się z punkami po squatach, o czym matka nie chce słuchać i wmawia mi, że stresuję dziecko. Tak czy owak, jak ich wyrzuciłem, poszli do parku i tam zgarnął ich patrol. A ponieważ to wszystko dzieci moich znajomych, same szychy, rozumiecie, urządziliśmy sobie nieoficjalną wywiadówkę w komisariacie. Największą kaucję zapłacił Noell Burling, opiekun kont w RobbyBanku.

Jeśli zrobimy tego Polaczka na szaro, poznacie go z pewnością. Noell z żoną na stałe mieszkają w Szwajcarii. W Genewie nie miał dla mnie czasu, ale na komendzie pogadaliśmy o życiu i przyznał, że wiele mi zawdzięcza. Tylko ze względu na nasze interesy komisarz prowadzący sprawę puścił jego córkę bez kaucji. Obnażała się ponoć w parku i wierzcie mi, nagrania są klawe. To właśnie jest była dziewczyna mojego syna. Nie wiem, czy wspominałem, że ona ma lat szesnaście. Wygląda na to, że chłopak gustuje na razie w starszych. To sprawa edypalna, jak sądzę. Chyba wyślę go do tej Amazonii.

Przerwał wreszcie i klepnął się po udach.

– To tak w skrócie, co u mnie. I dlaczego mam stolik w basenie oraz kupę gówna zamiast wody. Macie dokumenty?

Otto podał mu kopię pełnomocnictwa Daniela Skalskiego von Hochberga i certyfikat powierzenia Polakowi dziewięciu ton złota przez arabskiego szejka, które wspólnie zamierzali umieścić na koncie Dietera.

– Ksero? – Notariusz skrzywił się i przez chwilę szukał w kieszeni okularów do czytania, a ponieważ ich nie znalazł, odsunął papiery na długość ramienia. – A skąd wiadomo, że to nie fałszywka?

– Właśnie. – Otto pokiwał głową i spojrzał na szwagra, jakby to on zawinił.

– Nie wiadomo – potwierdził Dieter z powagą.

– Jak mam to sprawdzić? – Damm zdenerwował się nie na żarty. – Chybaście ocipieli! Gdzie gwarancje, certyfikat autentyczności? Gdzie wreszcie są pełnomocnictwa dla mnie?

– Gdybyśmy to wiedzieli, nie przychodzilibyśmy do ciebie. – Dieter nie dał się sprowokować. – Po co nam dodatkowe koszty? To spora kasa, nikt nie chce się dzielić.

– Racja – zmiękł Konstantin. Był bardzo zadowolony, choć wciąż udawał nadąsanego. – Czyli mam zacząć od początku?

– Najlepiej by było.

– To grubsza materia. Za pensję tego nie zrobię.

Zatoczył ramieniem koło.

– Czekaają mnie spore wydatki. Cieszcie się, że nie macie bachorów. Im są starsze, tym rodzicielstwo wychodzi drożej.

– Wiadomo – zgodził się Dieter i chciał jeszcze coś dodać, ale Otto szturchnął go łokciem, więc zmilczał.

– To jak będzie, Konstantin?

– Dobrze będzie – odparł prawnik. – Jeden procent od waszego zysku netto będzie dobrze i dla was, i dla mnie.

– Dziewięćdziesiąt tysięcy? – Samo wymówienie takiej sumy z trudem przeszło Ottonowi przez gardło, a kiedy pomyślał, że będzie musiał ją oddać notariuszowi, aż się zapluł ze złości. – To się nazywa haracz! Trzeba było iść na studia, Frolich.

– Byłem rok, ale mnie wywalili – uczciwie przyznał Dieter.

– Zawodówka się nie liczy – fuknął Otto i rzucił wrogie spojrzenie Konstantinowi, który uzupełniał wszystkim szklanki, by uniknąć negocjacji.

– No, skoro wy bierzecie dziewięć baniek, to tak wskazuje kalkulator – rzekł.

– A koszty? Trzeba odliczyć.

– Ja też będę miał koszty. Myślisz, Frolich, że takie kwity są w systemie albo sprawdzają się za darmo? Trzeba opłacić kupę ludzi, a co najważniejsze, przekupić prezesa banku.

– Mówiłeś, że to twój znajomy.

– No przecież, że tak. Inaczej wcale nie byłoby dojścia, bo ma opinię niekorumpowalnego. Ale z dobrego serca nie zaryzykuje. Poza tym Pan Bóg kazał się dzielić. Gadacie tak, jakbyście mi żałowali. Wy narailiście kontrakt, ale ja go zrealizuję. Odtąd nie musicie kiwać palcem. Słaby układ?

– Więc jeden procent. – Otto wyciągnął rękę, a Konstantin ją uściskała. – Ale spiszemy to na papierze.

– Radka! – wydarł się notariusz. – Przynieś umowę.

Goście spojrzeli po sobie. Dopiero do nich dotarło, że Konstantin od początku forsował swoją propozycję, a oni nawet nie negocjowali. Dieter

zaś w duchu przyznał, że jego opinia o prawnikach jest słuszna. Może Konstantin to nie wzorowy pedant, ale z pewnością cyniczny i perfidny manipulator. Co z tego, skoro go potrzebowali.

– Nie płaczcie, nie żałujcie kasy. I tak się wam opłaci – pocieszył ich notariusz, jakby wyczuł, że są zawiedzeni. – Teraz możecie się czuć bezpieczni. Zajmę się wszystkim. Sprawdzę dokumenty i dossier Polaka, zadbam o to, by banki przyjęły nasze czeki. Może ugramy przy tym jeszcze parę marek, ale wszystko idzie przez wasze konta, tak? Bo jeśli przez moje, to trzeba jeszcze przekupić Noella. Teraz by się Szwajcar przydał.

– Przez nasze. – Dieter natychmiast przystąpił do obrony straconych pozycji. – Noella trzymajmy w odwodzie. Jakby była wpadka.

Otto, choć czuł się już pijany, nie stracił wrodzonej czujności.

– A właśnie, co w razie wpadki?

– Trzeba będzie wiać z kraju – odparł lekceważąco Konstantin. – Nikt jeszcze nie znalazł lepszej recepty na wpadkę niż porządny dystans. Przekonaliście mnie. Lepiej przepuścić to przez was.

– Podoba mi się twój punkt widzenia. – Dieter wzniósł się na wyżyny swojego pesymizmu. – Od razu się uspokoiłem.

Otto zgromił szwagra spojrzeniem. Był wściekły.

– A plan B?

Konstantin rozparł się na krześle, aż oparcie niebezpiecznie zaskrzypiało.

– Zamieniam się w słuch. Plan B zawsze dobrze mieć. Ale umowę i tak podpiszemy.

Radka tym razem przydreptała tylko do szklanych drzwi. Pomachała plikiem dokumentów.

– Dalej nie idę – burczała niezadowolona. – Tutaj też jest mokro.

– Podasz? – Notariusz zwrócił się do Dietera. – Jesteś z nas najmłodszy. Kiedy mechanik ruszył po papiery, Konstantin pochylił się do Ottona.

– To ty zwietrzyłeś ten biznes?

Klemke potwierdził.

- I co sądzisz o Polaku?
- Niezły frajer, ale trzeba uważać.
- Uważać z takim obrotem trzeba zawsze. Pytam, czy zorientuje się, że go dymamy.
- Raczej tak. To cwaniak. Wygląda niepoważnie, ale zna się na rzeczy.
- Słyszałem, że ma dostęp do papierów FED.
- Coś mówił – przyznał niepewnie Otto.
- Widzieliście te kwity?

Otto znów skinął głową.

– To duża rzecz. – Damm gwizdnął. – Wiesz, co to znaczy Rezerwa Federalna Stanów Zjednoczonych?

Otto patrzył na notariusza bezmyślnie, chciał skłamać, ale w końcu się poddał.

– Chcesz, to was poznamy – zaproponował, by zatrzeć swój obraz ignoranta w oczach prawnika.

– W żadnym razie – zaproponował gwałtownie Damm. – Oficjalnie mnie w tym interesie nie ma. Sprawdzę i przygotuję dokumenty do podpisu – wtedy mogę go dyskretnie obejrzeć. Polecicie mnie, a ja dam dobre stawki, ale ani słowa o naszym układzie. Tylko wtedy będę mógł zadbać o nasze bezpieczeństwo.

– Nasze? – zdziwił się Otto. – Jak na razie to my świecimy gębą przed urzędasami, na nasze konto idzie kasa, którą trzeba rozparcelować, a ty tylko wyciągasz łapę po hajs pod stołem i jeszcze chciałbyś słuchać, co gadają gracze. Nie, na taki układ się nie zgadzam.

Konstantin udał, że nie słucha. Zerwał się z krzesła.

– Co z tymi umowami? – krzyknął do Dietera, który wciąż stał przed wejściem do domu i wyglądało na to, że czyta je z uwagą.

Otto całe lata nie doświadczał takiego widoku.

– Tu jest napisane kredyt, a pod gwiazdką pożyczka prywatna – rzucił mechanik do szwagra, kiedy dotarł wreszcie do brzegu basenu. Szedł bardzo ostrożnie, z każdym krokiem boleśnie przekonując się

o prawdziwości słów gospodyni, bo kilka razy na mokrej terakocie omal nie wywinął orła.

– Wysmarowali posadzkę woskiem – pośpieszył z wyjaśnieniem Konstantin. – Taki psikus. Niech diabli wezmą bachory!

Otto jednak nie dał się zagadać.

– Jaka pożyczka? Dawaj te papiery! Powinno być prowizja. A jak interes nie wypali?

Chwycił ramię szwagra, ale nie zdołał utrzymać i Dieter wpadł do brei z liśćmi. Dokumenty zaś rozfrunęły się i wolno opadały na wodę.

– Radka, wydrukuj jeszcze raz! – krzyknął znów notariusz. – Albo nie, czekaj tam. Idziemy do domu.

Wstał, chwycił cedzak i podał Dieterowi, by miał się czego schwycić.

– Musimy zaksięgować ten zysk jako pożyczkę. Inaczej nie będę miał narzędzi, by działać w waszym interesie. To musi mieć pozory legalności. Oczywiście w razie niezrealizowania transakcji nie płacicie. To tylko taki myk prawny. A przecież nie chcecie jej nie-zre-ali-zować. – Ostatnie zdanie wysylabizował, by miało posmak łagodnej groźby.

– Pełnomocnictwa nie wystarczą?

– Przy takiej kwocie? Drogi Klemke, to wołanie o kontrolę fiskusa, a na to ani ja, ani wy nie możemy sobie pozwolić. Widzę, że w prawie bankowym orientujecie się cały nul. Jak to możliwe, że akurat wy trafiliście ten interes?

– Polecono nas – odparł z dumą Dieter, który wy dostał się już z basenu.

Trząśł się z zimna, bo jesień w Niemczech nie była tego roku łaskawa. Choć na drzewach było jeszcze sporo liści, a słońce prażyło w ciągu dnia, w nocy temperatura spadała do kilku stopni, a czasem notowano przymrozki.

– Tak samo jak mnie wam, czyż nie? – Konstantin wzruszył ramionami i uśmiechnął się kpiąco. – Inaczej wcale byśmy się nie spotkali.

– Nie sądzę. – Dieter szcząkał zębami. – Ale gdybym miał taki basen, trzymałbym od niego dziatwę z daleka.

– I z tym panem się rozumiemy – zaśmiał się Konstantin. – Chodź, Frolich, dostaniesz szlafrok i teraz już musisz się napić, bo grypa murowana. Pojedziecie wieczorem. Trzeba się naradzić. Radka robi genialną golonkę z kapustą.

Daniela zbudził ból. Poruszył zdrętwiałym ramieniem i przypomniał sobie, że leży na polówce. Jedna z aluminiowych rurek była złamana i wciąż wyginała się do góry. Ten kawałek pewnie wbijał mu się w ramię całą noc, bo nie miał w nim czucia. Próbował przekręcić się na bok, ale łóżko zaskrzypiało skrzekliwie, więc zamarł, nasłuchując. Nad głową miał wieniec czosnku, a w nogach przepełniony śmietnik. Odór resztek nieprzyjemnie drażnił jego nozdrza. Na kuchence stała wczorajsza zupa. Roiły się nad nią muchy. Zlew był zawalony brudnymi naczyniami, kran kapał irytująco. Oto mój Eden, pomyślał z żalem i już w tej chwili wymazał to wspomnienie gumką myszką. Na wszelki wypadek, gdyby o swojej błyskotliwej karierze finansisty miał opowiadać wnukom.

– Podejź do tej istoty. Okaż jej współczucie i poproś o wybaczenie – usłyszał z głębi mieszkania. – Przytul ją. To twoje wewnętrzne dziecko płacze, nie ty. Stań w jego obronie.

Rozległ się stłumiony szloch.

Daniel wychylił się do swojej torby wciśniętej między taborety pod stołem i spróbował wyjąć z niej walkman i słuchawki, ale ich nie znalazł. Musiał je zostawić w salonie, kiedy do późna czytał książki zalecone przez Wolfa. Z jednej z kieszeni wystawała butelka wódki. Całkiem pusta. Poddał się. Naciągnął śpiwór na głowę, by zagłuszyć odgłosy terapii, ale nie pomagało. Dźwięki docierały jeszcze wyraźniej, jakby zwielokrotnione. Dobrze wiedział, że sesja dopiero się zaczęła i potrwa do popołudnia albo i dłużej. Vaanat, guru Carli, przychodził tylko wtedy, kiedy Wolf wyjeżdżał w interesach. Daniel nie musiał sprawdzać – na stojaku, na którym zwykle wisiała laska jego dobroczyńcy, teraz z pewnością jej nie było i nie będzie do jutra. To oznaczało, że w nocy czeka Daniela doprawdy irytujące słuchowisko. Jaka szkoda, że nie miał innego lokum, do którego mógłby się chwilowo przenieść. Nagle na myśl przyszła mu Gertrud. Przewyższała go wzrostem o głowę i nosiła się jak facet, ale w sumie nie była taka zła. Biust

niczego sobie, fantastyczne włosy i niski głos samicy alfa. Ciekawe, czy ma własne mieszkanie? To byłby w tej chwili dla Daniela duży walor. Jak wiele dałby za spanie w normalnym łóżku. Niestety cały wieczór go ignorowała.

Płacz ucichł jak zerwana struna. W jego miejsce pojawił się odgłos głębokich oddechów. Szybkie hausty powietrza zakończone jękiem lub krzykiem nasuwały Skalskiemu obrazy brudnego seksu. Poczł nagle, że w jego bokserkach odbywa się seans alternatywny, ale może to wina pory.

– Obudź w sobie zwierzę – powtarzał raz po raz nauczyciel Carli. Odgłosy wzmagaly się. Vaanat podniósł głos niemal do krzyku. Brzmiał teraz rozkazująco: – Wyrzuć te złogi. Niech one popłyną. Jestem twoim hydraulikiem, który przeczyści te rury. Pozwól mi tego dokonać.

– Z pewnością ci pozwoli – mruknął Daniel z przekąsem, bo wiedział, jak to się skończy.

Przytulaniem, całowaniem i otwieraniem kolejnych butelek wina, które w całości wypije Carla, gdyż Vaanat był zanadto oświecony, by zatruwać swe boskie ciało alkoholem. Co innego z tytoniem. Jogin palił jak smok, a niedopałki chował w doniczkach, tłumacząc Carli, że w ten sposób walczy z robactwem.

Po kwadransie Daniel miał już dość kontaktów z wewnętrznym dzieckiem żony Wolfa. Był pewien, że dobre rżnięcie rozwiązałoby wszystkie kłopoty Carli, ale kimże był, aby ją pouczać, skoro miała ochotę sponsorować brodatego jogina, głąskać jego rozdęte ego i słuchać bajdurzenia o odnalezieniu zagubionej duszy. Wstał, nastawił kawę. Zajrzał do lodówki, lecz znalazł tylko resztkę boczku i kwaszone ogórki. Położył je na blacie, poczłapał do łazienki. Musiał przejść korytarzem obok sypialni Carli, więc na twarz przybrał maskę zadziwionego niewiniątka. Nim jednak zdążył ją zaprezentować, drzwi sypialni trzasnęły z hukiem i rozległ się wiedzłmowaty chichot. Danielowi ulżyło. Nie rozumiał, dlaczego nie zrobili tego wcześniej i zmuszali go do bycia niemym świadkiem swoich godów.

Opłukał twarz wodą, obmył się pod pachami i w pachwinach, bo prysznic jak zwykle był zapchany, a potem otworzył szafkę z kosmetykami Wolfa. Nie żałował sobie brylantyny i perfum Laurenta. Najbardziej lubił te w zielonej flaszce, bo dystansowały go wobec świata i przypominały mu o tym, kim chce być. Potem pogrzebał w kremach Carli i wklepał sporą

dawkę żelu pod oczy. Sprawiało mu satysfakcję, że kobieta płaciła setki marek za napis na słoiczku, a tylko na jego skórze widać było efekty tej inwestycji. Nigdy by się nie przyznał, że używa kosmetyków pielęgnujących jak baba, ale tak naprawdę to lubił. Przypudrował pryszcz na nosie, wszelkie zaczerwienienia zniwelował korektorem. Bardzo długo wcierał kosmetyk, by tylko wprawne oko mogło dostrzec makijaż, i dopiero kiedy był zadowolony z siebie, podszedł do swojej ceratowej kosmetyczki i wyciągnął z niej mały grzebyk. Przyczesał wąsy. Był gotowy do wyjścia.

Problem w tym, że nie miał dokąd wychodzić. Wolf zawiadywał jego czasem, mówił mu, dokąd ma iść, z kim rozmawiać, jaką rolę grać. Rano w nogach polówki Daniel znajdował ubrania, które miał włożyć. On sam z własnej woli za nic nie wcisnąłby na siebie tych kraciastych spodni ani marynarki uszytej z pstrokatego materiału, który nadawał się co najwyżej na narzutę wersalki, ale udawał, że ufa Wolfowi i jest zachwycony. Nie miał wyjścia. Do Polski wracać nie miał po co. Ścigali go też Anglicy za zdefraudowanie kart płatniczych i nielegalne wywiezienie samochodu. Dopóki go nie znajdą, proces nie może się odbyć. Jak dobrze, że nie dotarli do innych lewych dokumentów leasingu. Tak naprawdę wyprowadził z Wielkiej Brytanii osiem wozów. Głównie bmw, bo do tej marki miał słabość, choć dwoma džipami i land roverem, które wyłudził okazji, też nie pogardził. Marzył, by zmienić tożsamość, zamknąć stary etap, jednak Wolf go od tego odwiódł i nakazał, by wciąż używał własnego nazwiska. Daniel zgodził się więc na legendę księcia, bo pomagała wrobić złotnika i mechanika, ale z czasem i to miał porzucić. Musiał to przetrzymać, nauczyć się wszystkiego od swojego mistrza, a później usamodzielnic. Nie mówili o tym, ale obaj rozumieli, że po przekręcie z parkiem rozrywki ich drogi się rozejdą. Na razie jednak Wolf rozpaczliwie go potrzebował i Daniel wykorzystywał swoją pozycję, na ile tylko zdołał. Przeprał więc w zlewie podziurawione bokserki, owinął się w biodrach ręcznikiem i ruszył z powrotem do kuchni. Był kurewsko głodny. Jego wewnętrzne dziecko pragnęło padliny. Dobrze, że w lodówce ostało się nieco boczk.

Wycierał właśnie chlebem tłuszcz z patelni, bo w szafce nie było ani jednego czystego talerza, kiedy rozdzwonił się telefon. Daniel nie ruszył się ze swojego miejsca, spokojnie pogryzał cebulę. Poza jego rodziną nikt nie znał tego numeru, a Daniel nie miał ochoty na rozmowy z ojcem ani tym

bardziej z Emilką. Temat był zawsze jeden: pieniądze. Daniel już kilka dni temu obiecywał żonie, że nada coś przez Western Union. I chciał to zrobić, szczerze przysięgał oraz wierzył, że to uczyni, ale nie miał nawet na bilet autobusowy. Nie czuł się więc winny kłamstwa.

– Tak, słucham – dobiegł go zniecierpliwiony głos Carli.

Jak zwykle mówiła po francusku, by zniechęcić interesantów lub wierzycieli, których Wolfowi doprawdy nie brakowało. To, że ślepiec pośredniczył w różnych transakcjach i był w tym skuteczny, nie znaczyło, że przelewał należności od razu. Najczęściej wcale ich nie przelewał. Tę lekcję Daniel odrobił szybko i zapamiętał dokładnie. Im dłużej zwlekasz, mamisz i opowiadasz o kryzysie, tym człowiek czuje się bardziej upokorzony, a jeśli ma w sobie choć gram godności – odpuszcza. Często jest na tyle zmęczony spławianiem, że pokrzyczy, pogrozi, a wreszcie machnie ręką i jedyną karą za ten grzech będzie brak ukłonu na ulicy oraz niemiłe plotki. Ale czy to jest powód do smutku, skoro pieniądze są wciąż w kieszeni? Tylko ci, którzy nie telefonują, nie gadają, ale twardo, bez ostrzeżenia, egzekwują swoje należności, tak naprawdę mają szansę na sukces. O tak, Daniel wiele uczył się od Wolfa.

– Twoja żona.

Do kuchni wkroczyła Carla. W pierwszej chwili Polak zaniemówił, bo w jedwabnym szlafroczku i z włosami upiętymi na czubku głowy wydała mu się nagle ładna mimo końskiej twarzy. A ponieważ kimono było tak kuse, że odsłaniało nogi aż po uda, Daniel nie mógł się skupić na niczym innym niż jej pomalowane na czerwony kolor paznokcie u stóp. Carla też oniemiała na chwilę, widząc Daniela w samym ręczniku. Zdążył podsunąć go na tyle wysoko, by zasłonić oponę piwną na brzuchu. Wypiął do przodu umięśniony tors, naprężył mięśnie i wyciągnął przed siebie chude nogi. Na migi pokazywał, żeby poinformowała rozmówczynię, że go nie ma, ale nie dała się przekonać. Położyła słuchawkę na stole obok patelni i kręcąc przesadnie biodrami, wyszła z kuchni, ale zaraz wróciła. Oparta o framugę wpatrywała się w niego, co jakiś czas pocierając folię na przedramieniu i czekając, aż skończy, jakby miała dla niego jakiś komunikat. Daniel domyślił się, że zrobiła sobie wreszcie ten tatuaż, o który tak długo błagała Wolfa niczym mała dziewczynka tatusia. Słyszał ich dyskusje na ten temat każdego wieczoru i uważał ten pomysł za arcygłupi, acz pasujący do Carli.

Tylko ktoś tak niepewny siebie jak ona chciałby tatuować sobie na przedramieniu napis głoszący, że jest wiedźmą, choć tekst brzmiał oczywiście bardziej górnolotnie i nie po niemiecku. Zauważył jej brudne paznokcie w odcieniu brunatnego fioletu, jakby grzebała w ziemi albo moczyła palce w farbie.

– Cześć, Foczko – zagruchał do słuchawki. – Nie, nie wstałem dopiero co. Jestem trochę przeziębiony. Gardło mnie boli. Strasznie tutaj wietrznie, a biegam ze spotkania na spotkanie.

Carla wzniosła oczy do góry, wykrzywiając twarz w grymasie pogardy.

– Wiem, że jest po trzynastej – plątał się Daniel, starając się nie zwracać uwagi na żonę Wolfa, choć było to trudne, bo kimono nieustannie się rozchyłało, a Carla nie nosiła bielizny. – W Niemczech jest taki sam czas, moje głupiutkie kochanie, dzwonicz przecież na stacjonarny. Jestem już po obiedzie. Wy też? To pięknie. Dostaliście pieniądze? Wysłałem wczoraj po południu. Powinny dość najpóźniej pojutrze. Wiesz, to trwa tak długo, bo te skurwysyny zarabiają na ich przetrzymywaniu. Niech tata podejdzie do banku, sprawdzi, czy nic nie przyszło, i dogada się z urzędnikiem albo coś mu obieca. Gdyby długo się nie pojawiały, będę interweniował, ale nie prędzej niż za tydzień. Niestety, takie są procedury. Wiem, Foczko, że brakuje wam na jedzenie. Zdaję sobie sprawę, że masz dość pożyczania od mojej matki, ale ona cię kocha, z pewnością nie będzie chciała zwrotu, a jak przyjdzie to, co wam wysłałem, bo sama rozumiesz, że nie chcę podawać przez telefon kwoty – odchrząknął znacząco – wtedy oddasz rodzicom z nawiązką. No, nie wstydz się, jesteśmy rodziną, musimy się wspierać. Też cię kocham. Wiem, oboje musimy wytrzymać. Ucałuj Krystianka. Puść mu taśmę, którą nagrałem przed wyjazdem. To nie jest bez sensu. Dzięki temu on zawsze będzie pamiętał mój głos. Ja tutaj walczę o naszą przyszłość, Foczko. Jeszcze tylko dopnę ten biznes i wracam, obiecuję. A przy okazji, czy Fred złożył dokumenty do urzędów, jak go prosiłem? Dlaczego nie? Co się stało? Przypilnuj tego, bardzo cię proszę. I niech koniecznie wyśle mi statut spółki. Będę potrzebował tych dokumentów dla jednego kontrahenta. Nic nie szkodzi, że nie ma numeru identyfikacji podatkowej. Za granicą ten numer nie jest honorowany. To sprawa między mną a polskim fiskusem, załatwię to, jak wrócę. Tak, wszystko idzie dobrze, a nawet świetnie, zgodnie z moim planem, byle tylko nie zapeszyć. Trzymaj kciuki i nie smuć

się. Niedługo przytulę. Pozdrowię pana Wolfa i jego żonę. Bardzo mili, tak. Dobrzy ludzie. – Chwycił gazetę i zaczął ją z impetem miąć. – Też słyszę te trzaski. Obawiam się, że zaraz nam przerwie. Myśl o mnie! Ja o tobie myślę każdego dnia przed zaśnięciem i po przebudzeniu. Czy masz na sobie tę szalową niebieską bluzeczkę? Och, już ty wiesz, jak bardzo ją lubię – wymruczał i rozłączył się w pół słowa, a potem z uśmiechem oddał słuchawkę Carli, która wpatrywała się w niego rozjuszona.

– Bydlę – syknęła pod nosem.

Daniel udał, że nie słyszy obelgi. Wstał, pozwalając, by ręcznik zsunął mu się z pośladków. Poprawił go nonszalancko i całkowicie spokojny zaczął napełniać czajnik wodą, bo nagle nabrał ochoty na kolejną kawę.

– Nie ma nic w lodówce – rzekł koszmarnym francuskim.

– Może więc ruszysz dupę i pójdziesz do sklepu?

– Ja? – szczerze się zdziwił.

– Nie masz pieniędzy, nie jesz. Tak w każdym razie mnie uczono. I nie musisz się wysilać. Mów po polsku. Wszystko rozumiem.

– Coś taka nabzdyczona? Spotkanie z wewnętrznym dzieckiem nie poszło?

Carla zmrużyła oczy, wykrzywiła usta z obrzydzeniem. Podeszła do Daniela, wycelowała w jego nagą pierś wskazujący palec i wyrecytowała:

– Nie lubię cię. Nie obchodzi mnie, nad czym pracujecie z Wolfem, ale nie chcę cię tutaj. Wypierdalaj. Najlepiej dziś i na amen.

Daniel pozostał spokojny.

– Chodzi ci o to, że Wolf wyjechał, a chcecie mieć z mistrzem wolną chatę? – uśmiechnął się kpiąco. – Nie ma sprawy. Trzeba było mówić.

Uderzyła go w twarz. Dotknął policzka w tym miejscu, lecz nadal się uśmiechał. Jak ta kobieta go bawiła! Napawał się jej wściekłością.

– Jesteś pijawką, oszustem, nieudacznikiem. Nigdy do niczego nie dojdiesz. Nie wiem, co Wolf w tobie widzi, ale ja nie dam się nabrać.

– I cała sesja restartingu poszła w pizdu – rzucił i sięgnął po rzeczy, w których występował na kolacji z Ottonem i Dieterem.

– Zostaw to, skurwysynu! – Carla wyrwała mu z ręki pstrokate ubrania.
– To nie twoje.

Ręcznik opasający biodra Daniela spadł, odsłaniając go w całej krasie, wraz z nabrzmiałym brzuszyskiem, pod którym chowało się zawstydzone przyrodzenie.

Carla odsunęła się gwałtownie, jakby odkryła robactwo w szufladzie z bielizną. Daniel wyglądał na znacznie mniej skrepowanego. Wyprostował się, wciągnął brzuch, a potem rzucił rzeczy Wolfa na polówkę, sięgnął do swojej torby i wydobył zgniłozielony dwurzędowy garnitur, w którym przyjechał do Hamburga.

– Chciałbym się przebrać – oświadczył po niemiecku. Był zadowolony ze swojej wymowy i wiedział, że Carla też to dostrzeże. W tej jednej chwili pojęła, że od zawsze wszystko rozumiał, a jedynie przed Wolfem udawał, że brakuje mu słów. – Pozwolisz?

Nie wyszła. Nie ruszyła się na milimetr.

– Zabierz swoje rzeczy – powiedziała twardo. – Wszystkie.

Bardzo powoli wciągał pogniecione spodnie, wkładał koszulę, a kiedy zapinał guzik po guziku, patrzył na nią wyzywająco.

– Wiesz, kiedy się złościsz, stajesz się całkiem ładna.

Twarz Carli przypominała teraz kolorem grzebień rozjuszonego koguta.

– Nie przedłużaj. To nic nie da.

– Kiedy to prawda. Bo normalnie straszny z ciebie harpagon.

W tym momencie w drzwiach pojawił się Vaanat. Położył dłoń na ramieniu Carli i wyprowadził ją do korytarza. Przytulił.

– Oddychaj – szepnął, nie zwracając uwagi na krzywy uśmieszek Daniela. – To twoja projekcja ojca. Nie daj się sprowokować. Jesteś przestrzenią, w której się to dzieje.

Daniel zawiązywał buty, zapinał swoją torbę. Kiedy wychodził, spojrzał na Carlę i rzekł miękko, aksamitnie:

– Pożalujesz tego. Myślę, że już żałujesz.

Kobieta była w takim szoku, że nawet nie zauważyła, kiedy Daniel wsunął swoją torbę pod stół.

Spacerował uliczkami Hamburga, aż się ściemniło. Co jakiś czas siadał w kawiarni, otwierał gazetę i udawał, że czyta. Tylko raz zamówił kawę, a kiedy ją wypił, podszedł do kontuaru i wszczął awanturę, że była kwaśna. Nie dał się przejednać, groził zgłoszeniem do biura konsumentów i dopiero kiedy menedżer zaproponował, że zaserwują mu w ramach rekompensaty obiad, uspokoił się. Do posiłku zażyczył sobie kieliszek najlepszego wina z karty, choć kelnerka rozplakała się, że sprzedają je tylko na butelki i będzie musiała pokryć koszt z własnej kieszeni, wyznał, że jest testerem kulinarnym przewodnika Michelin, ale dziś nie przebywa w mieście służbowo i jest tylko przejazdem. Skończyło się tak, że grillo wypili razem, a po zakończonej zmianie dziewczyna zaprosiła Daniela do siebie. Zgodził się, bo i tak nie miał dokąd pójść, a na dworze było zimno. Początkowo planował spędzić u niej noc, ale kiedy dziewczyna zasnęła, wyplątał się z jej objęć, opróżnił lodówkę z jedzenia oraz portfel z banknotów, po czym się ulotnił. Moniaków nie brał, by nie brzęczały mu w kieszeniach, w razie gdyby go gonili. Po drodze wstąpił na pocztę i nadał telegram do Wolfa: „Wujek Otto zachorował. Konieczna opieka. Zapłaciłem lekarzowi 300 DM, żeby go natychmiast zbadał. Stan się pogarsza. Przyjedź jak najprędzej”.

Hamburg, Niemcy, listopad 1998

Tylko Słowo

Tylko Wiara

Tylko Łaska

Tylko Chrystus

Tylko Chwała Bogu

Eryk Szaja zwany Śpiewakiem wyłącznie z nudów czytał plakaty wiszące nad biurkiem pastora Masady. Za biurkiem siedział Yanek i wertował przywiezione przez łodzianina falsyfikaty. Podświetlał ultrafioletem książeczki czekowe banku TSB, gładził obligacje skarbowe FED, wyszukując zgrubień, pieścił brzegi obligacji Złotej Kolei Stanów Zjednoczonych, analizował nitki i podpisy na gwarancjach bankowych wydanych przez HSBC. Czynił to z taką czułością, z jaką kochająca matka wita dzieci, kiedy wracają z kolonii. Jego twarz, zwykle zaciśnięta złością, wprost promieniała.

– Cacuszka – mlaskał z zachwytem. – Moje małe jagódki.

– To dzieła sztuki, zgodzę się, ale nie żadne owoce – obruszył się Śpiewak całkiem poważnie przerażony, że Yanek zacznie całować papiery.

Z trudem znosił infantylizm stałego kontrahenta. Było tak niemal zawsze, ale dziś Yanek przechodził samego siebie i wcale nie zwracał uwagi na pogardliwe spojrzenia biznesmena.

Siedzieli w biurze pastora dobrą godzinę, a Śpiewak nadal nie zdjął kurtki ani nakrycia głowy, bo – jak twierdził – przewiało go na promie. Jakim cudem z Łodzi do Hamburga jechał przez Holandię, tego Yanek nie wiedział i nie zamierzał się dopytywać. Wierzył, że zbyt duża dawka wiedzy o przestępstwach innych zaszkodzi mu w razie aresztowania. Cieszył się, że ma w rękach zamówiony towar i że jest on najlepszej jakości.

– Dobra robota, panie Szaja. – Odłożył szkło powiększające.

– Jestem tylko kurierem, ale przekażę chłopcom, że jagódki okazały się słodkie. – Śpiewak skromnie spuścił głowę i ściągnął kaszkiet.

Na jego łysej jak kolano glacy widniały trzy ogromne brodawki w kolorze purpury. Przypominały egzotyczne grzyby, jakie Indianie zjadali, by wejść w inny wymiar świadomości. Yanek wprawdzie widział to zjawisko już kilka razy, ale i tak ścisnęło go w żołądku. Wolałby, żeby Śpiewak włożył czapkę. Niestety, nie zapowiadało się na to, a co gorsza, Szaja postanowił rozpiąć kurtkę. Na szyi miał podobne, choć mniejsze wykwity. Jemu samemu to nie przeszkadzało, traktował je wręcz z dumą, jak niektórzy – tatuaże. Yanek słyszał mnóstwo opinii, czym w istocie są zmiany na ciele Śpiewaka, ale żadna nie wydała mu się wystarczająco wiarygodna. Nie odważył się pytać, choć bardzo go interesowało, czy Śpiewak poza prostytutkami miewa jakieś kobiety. Gertrud wspominała, że bywał w Handelshof, lecz zawsze się tak układało, że Yanka tam wtedy nie było.

– Ludzie Taty robili najlepszą lewiznę, bo dokręcał im śrubę, ale i godziwie płacił – rozgadał się Śpiewak. – Co z tego, jak po areztowaniach arcymistrzowie musieli zejść do podziemia. Wielu z nich klepie dziś biedę. Papieru mają sporo, tylko się boją sprzedawać. Mówi się, że prokuratorzy zrobili listę tych dokumentów, bo Tato miał wszystko skatalogowane, i tylko czekają na ich wypłynięcie.

– Jak ich przekonałeś?

– Gotówką. – Biznesmen wzruszył ramionami. – Powiedziałem, że to dla mnie i będę je realizował za granicą.

– A gdzie oni chcieli to puszczać?

– W kraju. Gdzie indziej?

– Durnie. Który polski bank przyjmie dokumenty FED bez sprawdzenia? To byłby samobój! Żaden administrator tak nie zaryzykuje.

– Kwestia dobrej legendy i właściwego człowieka na stołku. Sam swego czasu moc takich puściłem. Inaczej nie miałbym szwalni.

– Dobrze idzie?

– Chujowo.

– Stawka bez zmian?

– Trzydzieści patyków – potwierdził Śpiewak. – Plus koszty transportu przez Holandię.

– Mowa było o dwudziestu, to raz – nastroszył się Yanek. – A dwa, głównie mnie obchodzą Niderlandy, antypody i inne twoje geszefty. Nie będę za nie płacił.

– Składałem coś w banku ARN, ale tylko dlatego, że prom miał opóźnienie, i nic ci do tego, synku, zgadza się, bo na akcje HEF jeszcze cię nie stać. – Śpiewak włożył kaszkiet. – A jechałem tamtędy, bo na granicy polskiej strasznie trzepią.

Bardzo powoli, lecz stanowczo zaczął zbierać dokumenty ze stołu.

– Jak nie smakuje, nie jedzcie.

Yanek natychmiast złagodniał.

– Coś taki narwany? Pogadajmy.

– Sześćdziesiąt.

– No kurwa, jaki złamas.

– Dogadane było jak trzeba. Koszty poniosłem. Ty nie chcesz, sprzedam komu innemu. Nie muszę upłynniać ich w hurcie. Chcesz całość, wyskakuj z trzydziestu. Jak nie, bierz tylko te dwa czek, które zamówiłeś po dziesiątaku. Przecież wiem, że od klientów weźmiesz drugie tyle. Sam bym tak zrobił. Logiczne.

– Stare Żydzisko – przeklął Yanek.

– Żydowski bękart i antysemita – odparł mu Śpiewak. – Ciekawe, co by powiedział twój staruszek, gdyby żył. Wiesz, że pracujemy z tobą tylko ze względu na jego pamięć? Nie lubię cię, chłopcze, nie odpowiada mi twój styl, ale tak się składa, że jestem sentymentalny. Gruby Irek z Wolfgangiem walczyli ze sobą, ale się szanowali. Znaczą się mówię o czasach, kiedy twój tatulo miał jeszcze na imię Witek. I popatrz, bili się, bili, a teraz obaj gryzą glebę. Coś ich jednak łączyło.

– Pewnie. Kulka zlecona przez Tatę.

– Starzy nie żyją, Tato siedzi, a my handlujemy. Karma wraca.

– To mamy jeden : jeden – zaśmiał się pod nosem Yanek i sięgnął do szuflady. Wyjął z niej pękata reklamówkę z nadrukiem „Antyki-

Dewocjonalia-Klemke”. – Przelicz przy mnie.

Śpiewak usiadł. Myślał chwilę, ale nie wszystko mu się zgadzało, z ceną przecież zagrał *va banque*. Jakim cudem Yanek ma całość? Obejrzał się na drzwi, bo gdzieś z tyłu głowy kołatała myśl, czy syn Witka go nie wystawił.

– Tu jest bezpiecznie, wyluzuj – uspokoił go Yanek. – Kruk[1] to równy gość. Wpada tuż przed szesnastą, przebiera się i od razu zaczyna nabożeństwo. A gdyby nawet pojawił się wcześniej, nie będzie miał za złe. Mam obowiązek pilnować porządku w Masadzie i muszę przyjąć każdego interesanta. A gdyby jakaś potrzebująca dusza zapragnęła się ewangelizować? Odprawić z kwitkiem się nie godzi.

– Co ty w ogóle tutaj robisz? Żeby w kościele musiał handlować lewym białkiem. – Śpiewak zmarszczył czoło. – Domu nie masz, garażu, łajby?

– Nawracam się, nie? – wyszczerzył się Yanek. – Każdego wieczoru opowiadam ludności o trudnej drodze wychodzenia na prostą z nałogu, przestępstw i o szukaniu Boga.

– Pastor wie, że to bujda, czy jeszcze mu nie mówiłeś?

– Wiadomo, że nie wie. Myślisz, że dałby mi klucz do sejfu i zlecił prowadzenie ksiąg Masady?

Śpiewak spojrzał spode łba, ale od razu zrzucił kurtkę. Kiedy ubranie spadło na ziemię, rozległ się głuchy łomot. Yanek udał, że nie słyszy, bo Śpiewak zmienił się już w liczarzę. Niemiec przyglądał się z podziwem, jak banknoty wirują w zwinnych palcach byłego cinkciarza, a obok rosną zgrabne kupki popakowane ponownie w banderole. Było tyle, ile powiedział Yanek, ni mniej, ni więcej. Śpiewak spojrzał z ukosa na syna kamrata. Yanek uśmiechnął się chytrze. Był rozluźniony, zdawał się nawet szczęśliwy. Śpiewakowi przemknęło przez myśl, że to niemożliwe, by człowiek mógł być tak ładny i tak zły jednocześnie. Kiedyś podpisałby każdy cyrograf, by mieć choć część urody tego faceta zamiast swojego niezłośliwego nowotworu, który każdego, włącznie z nim samym, brzydził, ale Szaja nigdy by się do tego nie przyznał.

– Tu masz wizytówkę inwestorów. – Yanek wskazał napis na reklamówce.

– Klemke – odczytał Śpiewak. – Nie wierzę, że są tacy głupi.

– Ja też nie wierzyłem, póki nie poznałem ferajny. Sweter w romby i kurtka z lamusa. A dowodzi nimi ślepiec. Koleś, kurwa, nie widzi, za to nosi melonik i laseczkę. Widziałeś *Gang Olsena*?

– Zrobimy to sprytnie, bez hałasu – roześmiał się Śpiewak.

– I tak zamierzam ich przekręcić – zawtórował mu Yanek.

Wtedy na stole wylądował jeszcze jeden pakunek.

– Limitowana oferta. Jeśli reflektujesz i masz na to środki. Płatne osobno.

Yanek rozwinął „Dziennik Łódzki”, w którym znajdowały się nowiutkie bloki włoskich dokumentów: dowody identyfikacyjne, kilka paszportów Państwa Watykańskiego i czyste blankiety praw jazdy.

– Takie też robicie nad Wisłą?

– Nasi chłopcy dmuchnęli je w Brescii. – Śpiewak odchrząknął. – I w innych miejscach. To oryginały.

– Dziewicze – cmokał z zadowoleniem Yanek. – Ile?

– Puszczę po okazyjnej cenie, ale kolportuj ostrożnie. Numery są we włoskiej bazie.

– Co może być ceną zaletą – rozpromienił się Niemiec.

– I podraża materiał – dodał Śpiewak nie bez satysfakcji. – Ale warto. Ostatnia partia, bo łącznik się boi. O mały włos, a byśmy go stracili.

Yanek sam o tym wiedział. Myślał tylko, ile Śpiewak za to krzyknie i jak zbić stawkę.

– Twój chłopcy uzupełnią czy mam pośredniczyć?

Yanek zawahał się, a w sukurs przyszło mu pukanie do drzwi. Eryk Szaja natychmiast zgarnął pieniądze do siatki i schował do rękawa kurtki. Teraz Yanek pojął, dlaczego łodzianin nosi tak szeroki model. Nagle poczuł ciekawość, co jeszcze Śpiewak trzyma pod pachami.

– To ja – usłyszeli wschodni akcent. – Nikolay.

– Swój – poinformował spiętego Szaję Yanek. A do gościa krzyknął twardym rosyjskim: – Właź.

Osilek zajmował całą framugę drzwi. Kiedy wchodził, czubkiem głowy dotknął futryny. Skłonił się Śpiewakowi z uszanowaniem i zwrócił do Yanka.

– Byli u Konstantina. Sprawa dobrze poszła.

Yanek klasnął w uda.

– *Mołodiec*. Pilnuj ich.

Nikolay skierował się do wyjścia.

– A Polaka widziałeś?

Rosjanin skinął nieznacznie głową.

– I co? – niecierpliwił się Yanek.

– Wziął mnie na kierowcę, ale rzadko zamawia.

– Pewnie taki sam gołodupiec jak pozostali.

Nikolay nadął się urażony.

– Gotówki nie ma wcale – mruknął niechętnie.

Yanek dławił się już ze śmiechu, ale grymas zamarł mu na twarzy, kiedy Rosjanin dodał:

– Za jeden kurs z Berlina do Mülheim, gdzie zrobił imprezę, obiecał mi kamień. Ma takich cały woreczek. Twoja siostra widziała.

– Gertrud była na przyjęciu? – zainteresował się Yanek, lecz kiedy tylko Nikolay potwierdził, zmienił temat: – I co? Brylant prawdziwy?

– Jeden karat. Klemke sprawdzał. Hochberg obiecał, że dostanę go, jak skończymy.

– Jak dostaniesz, chcę go obejrzeć – oświadczył Yanek. – Inaczej nie uwierzę.

– Inaczej sam go odbiorę. – Nikolay zacisnął pięści. – Już moi chłopcy wiedzą, żeby nie spuszczać księcia z oka. Dopóki nie zapłaci, nie wymknie się z Niemiec. Ale ja myślę, że on słowa dotrzyma. Trzaska kasą na lewo i prawo.

– Mówiłeś, że nie ma gotówki.

– Klemke i Frolich mu dają. Skaczą wokół niego, jakby był jakąś panną. Strasznie im zależy, coby go nie podkurwić, a jego to rajcuje. Sika

wrzątkiem, jak mówię do niego hrabio albo doktorze.

– Co to za cygan? – Śpiewak rzucił niby od niechcienia.

– Książę podobno. – Nikolay rozgadał się już na dobre. – Hochberg albo Hudberg. Pokazywał jakieś kwity i zamówił u Klemkego sygnet. Wybrali rubin wielkości włoskiego orzecha do wyrzeźbienia godła.

– Herbu. – Śpiewak roześmiał się gromko. – To widać nie taki miglanc, za jakiego go macie. I z pewnością nie książę.

– Skąd wiesz? – rozeźlił się Nikolay.

– Gdyby był nim naprawdę, miałby własny sygnet i ani grosza w karmanie – wymądrzał się Szaja. – Nie znam ani jednego polskiego arystokraty, który posiadałby coś poza zezem, ewentualnie płaskostopiem, bo oni mieszają się ze sobą, a genetyki nie oszwabisz. Dublujące się chromosomy czy inny bałagan.

– Może i nie jest z niego książę, ale na finansach się zna – stanął w obronie nowego mocodawcy Nikolay. – Jeżdżę z nim już drugi tydzień, a nic nie zrozumiałem.

– Też mi rekomendacja – prychnął Yanek.

Nikolay poczerwieniał aż po czubki uszu.

– Cały czas gdzieś dzwoni i gada o forsie w różnych językach. W niektórych bankach byliśmy po kilka razy. Wszędzie przyjmują go na zapleczu, u prezesów. Nie jak normalnych ludzi przy kasie. To prawdziwy VIP.

– Mówiłeś, że byliście tylko w Berlinie i Mülheim? – Yanek wzmógł czujność.

– Z nim samym tak, ale z panem Wolfem to co innego.

– Ze ślepcem? – upewnił się Śpiewak. – Tym od melonika?

– Czasami wkłada taki beret z blaszką, ale tak, ten sam. Wolf pracuje dla Daniela. Naraja mu klientów i pośredniczy w kontraktach.

– Daniela? – zainteresował się Szaja. – A jak nazwisko szanownego pana księcia? Może znam?

– Daniel Skalski von Hudberg – wyrecytował z dumą Nikolay. – I choć ciuchy nosi pedalskie, jednak równy z niego gość. A baby piszczą za nim

jak wściekłe. Umie się z nimi obchodzić.

Yanek nie odpowiedział, zwrócił się do Śpiewaka, który na chwilę pogrążył się w zadumie.

– Kojarzysz gostka?

– Nie przypominam sobie znajomości z żadnym księciem. – Śpiewak uśmiechnął się fałszywie. – A już zwłaszcza z takim, co rozdaje brylanty.

Zegar wybił szesnastą. Przy czwartym uderzeniu za plecami Nikolaya stanął niski, rozczochrany człowieczek z ryzą bródką, w drucianych okularach na nosie. Poliki miał rumiane, odzież – w stonowanych barwach: szarościach i beżu. Przypominał kamień leżący gdzieś na piasku w ciepłym kraju – niby niewidoczny, lecz stały element krajobrazu i dopiero gdyby zniknął, zorientowałbyś się, że czegoś tu brakuje. Kiedy mężczyzna się odezwał, okazało się, że tembr jego głosu koresponduje z wyglądem: ciepły, lecz niewzruszony.

– Niech Chrystus nas błogosławi, kocha oraz prowadzi! – krzyknął jak na wiwat i rzucił się Śpiewakowi w objęcia. – *La Chanteur* znów w Erefenie? Jak żeś przekroczył granicę, chawir[2]?! Kopę lat! Że cię nie złapali w Görlitz! Mistrzuniu!

Yanek pojął, skąd wybór określonej drogi przez Amsterdam.

– Xawery? – Śpiewak długo nie wypuszczał gościa z ramion. Widać było na pierwszy rzut oka, że tych panów łączy wiele dawnych przygód. – Co tutaj robisz?

– Jestem kierownikiem tego interesu! – zaśmiał się pastor.

Wskazał jedno z wielu tableau wiszących nad biurkiem. Śpiewak odczytał: „Ojciec Xawery Krzywicki, założyciel fundacji Wrota Nadziei i kościoła Masada”.

– Kapitalne! Więc to jest twój szef?

Śpiewak z lubością patrzył, jak twarz Yanka tężeje, zmienia się z czerwonej w białą, a potem zielenieje. Niemiec zmrużył oczy, jakby starał się wymusić na Śpiewaku milczenie, choć wiedział przecież, że przed pobraniem opłaty za blankiety włoskich dokumentów Szaja go nie wyda. Wolał jednak nie ryzykować. Chwycił Nikolaya pod ramię i siłą wyprowadził z biura.

– Mamy robotę w świetlicy. – Skłonił się i ucałował Xawerego w prosty sygnet. – Do zobaczenia jutro, pastorze.

– Idź, synku, z błogosławieństwem bożym. Niech dobry Chrystus czuwa nad tobą i twoimi uczynkami.

– Amen – zaśmiał się Śpiewak i dodał, patrząc na Xawerego: – A więc Masada to filia Wrót Nadziei z Lublina? Kto by pomyślał?

– Rozprzestrzeniamy się. Ile tutaj duszyczek do zbawienia! I Polaków.

– Oj, chcę w tym uczestniczyć – zapewnił Śpiewak.

– I będziesz – odparł zadowolony pastor. – Akurat nam się przydasz. Dobry Jezus mi cię zesłał! Zawsze masz elegancki towar. A budowa ośrodka dla trudnej młodzieży stanęła z powodu braku środków. Przywiozłeś coś?

– I tym razem cię nie zawiodę, Xawery.

Pastor podniósł ramiona, przymknął oczy.

– Niezbadane są wyroki Pana naszego – zaśpiewał czysto.

Essen, Niemcy, październik 1998

Mały wreszcie zasnął, a Gertrud pochyliła się, by przykryć go kocykiem. Z tkliwością patrzyła na mleczną skórę synka i lekko rozchylone usta. Chciało jej się płakać. Podjechała do najbliższej ławki, opadła na nią z ulgą. Spacerowała drugą godzinę i koszmarne spuchły jej stopy.

Park był pusty. Tylko gdzieś tam przemykali ludzie z czworonogami na smyczach. Gertrud uśmiechała się na widok każdego psa i jego człowieka. Tak bardzo chciałyby mieć w domu zwierzę i prowadzić zwykłe, nudne życie. Wychodziłaby z psem, podążała za nim drogą i nie myślała o niczym. Niczego nie pragnęła, do niczego nie dążyła, przed niczym nie uciekała. Przestałyby się wreszcie bać. Na znak od Gary'ego czekała ponad rok, a teraz, kiedy się odezwał, zrozumiała, że to, co najgorsze – dopiero przed nią. W piersi czuła ucisk, w gardle drapało, jakby połknęła jeża; lęk dosłownie ją paraliżował i doskonale wiedziała, że nie są to zwykłe objawy paniki. To jej ciało, wszczynając bunt, błagało ją, by przemyślała decyzję. Przecież kiedy wyjeżdżała z Londynu, z widocznym już ciężowym brzuchem, przyrzekała sobie, że zacznie na nowo, że nigdy więcej nie nabierze się na słodkie zakłęcia Frencha. Ile dotrzymała tych postanowień? Całe zero. Gary znalazł ją, bo jej potrzebował, jednym zdaniem roztrzaskał, a ona już czuła się jak w matni, choć przecież nie powiedziała jeszcze ostatecznego „tak”. Czy mu wierzyła, ufała? Czy go jeszcze kochała? Na szczęście te słowa nie padły. Ostatkiem sił powstrzymała się przed wyznaniem. Chciała bardzo, żeby znów było jak dawniej. Brakowało jej bliskości, poczucia, że są tylko oni i nikt inny się nie liczy; wybuchów śmiechu i uniesień. Ale bała się, bo włożyła tak wiele wysiłku, by zrozumieć i zaakceptować, że to wszystko sama sobie wymyśliła, ponieważ rozpaczliwie pragnęła baśni. Kiedy Gary ją odtrącił, umarła. Starła się jakoś wrócić do żywych i już zdawało jej się, że odzyskała nadzieję, a teraz przepełniało ją znów to dojmujące poczucie, że zawsze była i będzie sama. Dobrze, że ma dziecko – tylko ono zatrzymywało ją na tym świecie, inaczej dawno już podjęłyby decyzję o ucieczce ostatecznej. Ale nie zdobyłyby się na taki akt egoizmu. Nie zostawiłaby Brunona ze swoją matką, która nie

radziła sobie z własnym życiem, ani tym bardziej nie powierzyłaby synka Yankowi. Musiała wziąć się w garść i znów zacząć wiosłować.

Rozsznurowała jazzówki, z trudem wyjęła z nich stopy. Były tak spuchnięte, że zastanawiała się, jak włoży buty z powrotem. Z koszyka pod wózkiem wyciągnęła torbę z pieluszkami i ubrankami na zmianę dla Brunona, podłożyła je pod nogi, by trochę im ulżyć. Ułożyła się na ławce. Przymknęła oczy tylko na chwilę, ale zanim się obejrzała, przyśnił się jej własny ślub.

Rząd cienkich świec w złotej czarze wypełnionej piaskiem. Ściany pokryte starymi malowidłami. Niektóre obrazy przybrano kwiatami, inne były zasłonięte lnianymi, bogato wyszywanymi makatami. Gertrud bardzo chciałaby wiedzieć, co się za nimi kryje. Zapach topiącego się wosku i kadzidła był upajający. Świątynia, tak malutka, że nieliczni goście wypełniali ją po brzegi, pomieściła wszystkich, których Gertrud uważała kiedyś za przyjaciół, ale jakimś szóstym zmysłem czuła, że przybyli na uroczystość tylko po to, by dopaść Gary'ego. Ślub był jedynie pretekstem, a ona – w tej koronkowej sukni – przynętą, jak ostrzegał ją brat. Yanek też był tutaj ze wszystkimi, choć przecież nie mógł znać Marca Baptiste'a Rockefellera, VAL-a, Rolla Sharka ani Emmy Pulaski, która tyle razy próbowała rozdzielić ją z mężem. I wszyscy uśmiechali się szeroko, a Gertrud odpowiadała im grzecznie, choć na widok ich wykrzywionych fałszywych gęb przechodził ją dreszcz niepokoju. Nagle zauważyła, że każdy z gości ma ze sobą kwiaty. Były to białe kalie, absolutnie identyczne, jakby kupili je hurtem i podzielili się nimi niczym zbędnym rekwizytem, który porzuca, kiedy przyjdzie pora, a w ich dłoniach Gertrud zobaczy wtedy noże, tasaki albo wymierzoną w siebie broń. Byli zbyt słodcy, zbyt uładzeni. Przypominali dzikie koty, które nie czynią zbędnych ruchów, by nie ujawnić zębów i pazurów, tylko mruczą, łaszą się i stąpają powoli w twoim kierunku, aż wreszcie skaczą ci do gardła. Jedynie piękna Emma nie była w stanie wznieść się poza gniew i nienawiść, a choć wciąż nieruchomo wisiała na ramieniu starego admirała i udawała, że poprawia rysunek ust w małym lusterku, jej oczy zdradzały ekscytację przyszłego zbrodniarza, który nie może się doczekać krwawego spektaklu. Gertrud zdrętwiała już twarz od udawanego grymasu słodczy, więc odwróciła się do publiczności plecami i śledziła zapamiętane zajaczki na ołtarzu, które

puszczało zwierciadło Emmy. Dopóki widziała te świetliki, była pewna, że nic się nie wydarzy, bo Emma była jak niezawodny żołnierz – odłoży lustro w momencie, gdy padnie komenda „do ataku”.

Świece topniały bardzo szybko. Wosk skapywał na cenne dywany, a w miarę jak świece gasły, coraz mniej było światła w świątyni. Gertrud zaczęła odczuwać zimno, którym emanowali ukryci wrogowie; straciła poczucie czasu. Zdawało jej się, że stoi tu ledwie chwilę, ale po ubytku świec zorientowała się, że trwa to o wiele dłużej, jak to bywa w snach. Zmusiła się więc, by odwrócić się do wejścia i znów zmierzyć wzrokiem z gośćmi. Była już poważnie zaniepokojona. Gdzie podziewa się Gary? Gertrud bardzo tej ceremonii pragnęła, ale w głębi duszy tliła jej się nadzieja, że ukochany nie dotrze. Nie da się złapać, nie pozwoli zgubić jej i ich nienarodzonego jeszcze dziecka, przechytzy ich wszystkich. Ale wiedziała, że Gary przyjdzie, bo Brytyjczyk naprawdę Gertrud kochał, choć mówili jej, że jest inaczej, a on sam rzadko dawał tego dowody. Ten ciężar przyszłej winy, że to ona go zgubi, choć przecież nic jeszcze się nie stało, był dla niej najtrudniejszy do udźwignięcia.

Nie przychodź, zaklinała go w myślach. Ze wszystkich sił starała się go przestrzec. Wierzyła, że on to poczuje, pojmie jej przekaz. Już niejedną raz tak się porozumiewali. Uciekaj, kochany, ja zrozumieję. Nasza miłość jest wieczna. Ratuj się. To nie jest warte twojego życia. Ja nie chcę, już nie chcę. Nie za taką cenę.

Nagle u wrót świątyni stanął ogromny czarny pies, a z głośników ryknął Santana ze swoim szlagierem *Maria Maria*. Wodołaz ociekał wodą, jakby przed chwilą wyskoczył z sadzawki. Goście już go dostrzegli, a on długimi susami ruszył wprost na Gertrud. Ludzie rozstępowali się, bo zwierzę chlapało wodą na wszystkie strony, i tylko panna młoda rozpromieniła się na jego widok. Nie widziała w nim bestii jak pozostali, przeciwnie – zdawał się jej przeuroczy z otwartą paszczą i jęzorem wystawionym na bok. Dyszał ciężko, ale w topornych, nieskoordynowanych ruchach była tak wielka wola życia, że zdawało się, że jeśli będzie trzeba, gotów jest przebiec kolejne tysiące kilometrów, by ją odnaleźć. Bo szukał jej – Gertrud. Nikt inny go nie obchodził. Ale to przecież nie jest mój pies, pomyślała kobieta. Człowiek, który osiadł, ma swój dom, może mieć kogoś, o kogo będzie się troszczył, dawał mu jeść i tulił się do jego obślinionego, wciąż otwartego

pyska, który nieustannie wygląda jak ludzki uśmiech. Ja nie mogę mieć psa. Moje życie to ucieczka.

Kiedy jednak czarny wodołaz dotarł do ołtarza i przylgnął do niej całym ciałem, moczając jej wytworną suknię i zostawiając na niej ciemne smugi, poczuła, jak bardzo się myli – on zawsze należał do niej.

Świątynia zniknęła, goście weselni rozplłynęli się, jak rozwiewa się poranna mgła, kiedy wysoko na niebie pojawia się słońce. Gertrud nie słyszała już muzyki, nie czuła zapachu kadzidła ani palonych świec. W nozdrzach miała miliony zapachów, ale przeważały igliwie, grzybnia i jaśmin. To była iście piorunująca mieszanka – sprawiała, że Gertrud przepełniały szczęście i siła. Trwała szara godzina, lecz jej oczy widziały każdy kontur, byle źdźbło trawy, każdą kreskę w obrazku wszechświata. A jednak by dostrzec wierzchołki drzew, musiała zadrzeć łeb i wtedy zrozumiała, że nie ma już na sobie ludzkiego ubrania, lecz sierść; zamiast dwóch nóg ma cztery łapy i to ona sama biegnie długimi susami, aż powietrze furkocze jej w uszach. Biegła tak z radością, coraz dalej i dalej. Coraz bardziej wolna i niepamiętająca o nich – nieproszonych gościach z małego kościółka. Nagle zatrzymała się, by złapać dech, i pojęła, że brzuch ma ciężki, jakby się przeżarła, choć nie pamiętała, kiedy ostatnio miała coś w ustach. Znienacka zmorzyła ją senność. Pośpiesznie wygrzebała łapami dołek w ziemi, kierując się pierwotnym instynktem, zwinęła się w kłębek, byle tylko brzuch był bezpieczny. Obudził ją zimny, mokry dotyk. Zanim otworzyła oczy, już wiedziała, że to psi jęzor. A potem ten drugi pies ułożył się obok niej, tak blisko, że poczuła rozchodzące się po ciele ciepło, i dopiero wtedy zapadła w kamienny sen. Tak mocny, aż miała wrażenie, że umiera, ale już się nie bała. Wcale jej nie przerażał ten sen we śnie, który mógł być śmiercią. Poddała mu się, bo wiedziała, że to jedyna droga, by wydostać się z lasu.

Obudził ją płacz dziecka. Chwyciła rączkę wózka, pokiwała nią, ale Bruno nie przestawał rozpaczliwie wyć. Zerwała się, rozejrzała wokół przerażona, że jakiś intruz uprowadził jej syna. Bruno rozpaczliwie machał rączkami, na twarzy miał kocyk. Kiedy tylko Gertrud go odchyliła i wzięła dziecko na ręce, natychmiast się uspokoiło. Odprężyła się, poczuła błogość. Pogoda nie zmieniła się ani na jotę, ale między alejkami dostrzegąca nielicznych przechodniów. W krzakach węszył jakiś pies. Był to jeden

z tych małych, rasowych, którym właściciele wiążą kokardki na czubku łba i sadzają na aksamitnych poduszkach. Rozszczękał się na widok Gertrud, ale kiedy podniosła wargi niczym zwierzę, nie wydając żadnego dźwięku, uciekł z podkulonym ogonem. Kobieta roześmiała się i ostrożnie położyła synka na ławce, przewinęła go, a potem ruszyła wolnym krokiem do domu. Po drodze mijała rzędy krzaków jaśminu, z których podrywały się całe stada motyli. Skrzydła miały w odcieniu złamanej bieli, jak jej koronkowa sukienka ze snu. Było to doświadczenie magiczne, rodzaj iluminacji, jakby prześwit łączący oba światy: duchowy z materialnym. Gertrud nigdy wcześniej czegoś takiego nie doznała. Nie potrafiła tego wyjaśnić, nie chciała zresztą nikomu się zwierzać, ale wiedziała, że jest to dobry omen i jeden z ważniejszych momentów w jej życiu. Mieszkała w tym mieście od dziecka, jaśminowy żywopłot był zapewne starszy niż Wolfgang Matensky, jej zmarły ojciec, ale motyle nigdy nie podrywały się z krzaków jaśminu. Dotarło do niej, że to ten zapach czuła w swoim śnie, a refleksja połączyła się z głębokim postanowieniem, które wypływało wprost z serca, choć rozum zaprzeczał i ostrzegał. Wiedziała, że się nie podda i cokolwiek się wydarzy, jej obowiązkiem jest ratować męża. Nie była pewna, czy powinna dać Gary'emu kolejną szansę. Nie obchodziło jej, czy jeszcze ją kocha, dlaczego zdradził, porzucił ani czy kiedykolwiek będą razem, choć bardzo tęskniła i nie chciałyby, żeby Bruno wzrastał bez ojca, ale w tej jednej chwili zrozumiała, dlaczego Gary wtedy skłamał. Nie powiedział prawdy, żeby ją chronić, i to na razie jej wystarczało.

Liczyła, że matka wyszła już do pracy, bo musiała zadzwonić w kilka miejsc, a nie życzyła sobie mieć świadka tych rozmów. Nie zamierzała wracać dziś do Mülheim, choćby Wolf miał jej nie zapłacić i grozić konsekwencjami. Do załatwienia miała coś o wiele ważniejszego. Potrzebowała przeciągnąć na swoją stronę największego wroga, choćby kosztowało ją to resztkę godności, której do niedawna tak starała się bronić. Niepotrzebnie.

Kiedy Yanek zapukał do drzwi rodzinnego domu, Bruno już spał, a Gertrud kończyła smażyć mięso. Posadziła brata przy kuchennym stole, wstawiła wodę na herbatę.

- Dlaczego nie powiedziałaś o Polaku?
- Dlaczego nie powiedziałeś, że czeka są dla niego?
- Nie dla niego.
- Dla Wolfa, a to to samo.

Postawiła przed bratem talerz kopytek ze sznyclem, obok dostawiła miseczkę z zasmażaną kapustą, a z lodówki wyjęła piwo.

- Myślisz, że tym mnie kupisz?
- A nie? – prychnęła bez uśmiechu. – Jedz, pogadamy poważnie.

Yanek chwycił sztucce. Odkrawał wielkie kawały i łykał je, niemal nie przeżuując. Gertrud patrzyła na to obojętnie. Bawiła się solniczką.

– Nie chcę ratować Gary’ego – powiedziała, kiedy Yanek opróżnił w połowie talerz. – Mam gdzieś, co się z nim stanie.

- Ta, pewnie.
- Naprawdę.
- Już to słyszałem. Kilka razy.
- Muszę zadbać o dziecko. Chcę się z tego wymiksować. Tak całkiem.

Yanek odłożył widelec. Podniósł pusty kufel, odstawił. Gertrud bez słowa przyniosła następną puszkę i powoli przelewała ją do naczynia, aż piana zawisła nad szkłem jak świąteczna czapka.

- Z czego zamierzasz żyć?
- Nie wiem. Ty mi powiedz.

Roześmiał się szyderczo.

- Od kiedy to jestem twoim tatą?
- A ja twoją mamusią?

Zacisnął usta.

– Nagle postanowiłaś być uczciwa? Nie będziesz się kurwić, kraść, wkręcać frajerów?

Gertrud jakby nie usłyszała.

– Fajnie mieć dwie matki – kontynuowała poprzedni wątek. – Jedna do uwielbiania, druga do roboty. Od roboty jestem ja. Za to nigdy nie jestem

dość dobra. Mam wiosłować za wszystkich. Pierdolę to.

Odetchnął z ulgą, że siostra będzie się tylko żaliła. Po jej telefonie bał się, że to jakaś poważniejsza kwestia.

– Do brzegu.

– Potrzebuję dwóch czeków z dobrą kwotą, żeby ten Polak je dla mnie zrealizował.

– To chyba już ustaliliśmy.

Gertrud spojrzała na talerz Yanka.

– Już nie chcesz?

Nie czekając na odpowiedź, przyciągnęła do siebie niedojedzoną porcję kopytek z mięsem, a potem upiła z jego kufla. W pierwszej chwili mężczyzna był zszokowany – on stosował ten sposób na przekraczanie granic. Gertrud za wszelką cenę starała się zachować rozluźnioną twarz. Udawała spokojną, ale naczynia trzymała tak mocno, aż zbieleły jej palce.

– Żeby je zrealizował i wpadł – dodała bez uśmiechu. – Podaj mi nowe sztucce.

Yanek wstał niechętnie. Podszedł do szuflady. Odwrócił się.

– Co kombinujesz?

– Nic na tym nie stracisz. Oni nawet nie wiedzą, że my się znamy.

– I tak ma pozostać.

Podał jej widelec.

– Nie będę szarpała tego zębami. Nie jestem psem. Nóż z piłką – poleciała. – Więc czekci muszą być trzy, z czego dwa sklonowane. Oznakuj je.

– To za proste. Zorientują się.

– Sama zadbam o złożenie felernego. I nie pytaj mnie jak, bo ci nie powiem.

– Dieter? – odgadł.

Zbyt dobrze ją znał.

Potwierdziła.

– Dolę z zegarka ci oddam, jeśli dostanę komplet papierów na nazwisko Tarima Kamberet. Wszystko jedno, jaki kraj, ale miejsce urodzenia Francja. Reszta danych niech będzie prawdziwa.

– Idiotyczne nazwisko. Od razu wiadomo, że ściema.

– Tarima Kamberet – powtórzyła. – Zapiszę ci, bo szkoda blankietów. Prawo jazdy, paszport, karty identyfikacyjne. Ma być komplet dobrej lewizny.

– Jak zamierzasz to zrobić? To jakaś mrzonka! – Yanek kręcił głową. Żle sobie radził z nową odsłoną niepodległej siostrzyczki. Zaatakował: – Nie będę się zajmował twoim bachorem, jak pójdziesz siedzieć!

– Nigdy nie powierzyłabym ci swojego dziecka – syknęła. – Pogadam z mamą. Poza papierami nic od ciebie nie chcę. Jeszcze zarobisz.

– Nie uciekniesz.

– Chcę spróbować.

– Gary się pojawi i zaraz do niego polecisz. Pójdziecie do łóżka i będzie stara piosenka.

– W branży wszyscy tak myślą – przyznała. – Dlatego się uda.

Dalej mówiła spokojnie, ale próbując naśladować sposób mówienia brata:

– Bo Gertrud to cwaniara, ale kocha Gary’ego jak durna. Zgodzi się na każde warunki. Zapłaci każdy hajc, żeby łajdaka wyciągnąć z mamra. Piersią go zasłoni, kiedy pojawi się Rollo z lufą.

– Kto? – skrzywił się Yanek.

– Taki jeden cyngiel. Sprząta w razie kłopotów. – Gertrud machnęła ręką i kontynuowała: – A ponieważ jest głupią ćmą, można mieć ją tanio i wykorzystać na odstrzał. Przecież nie ucieknie daleko, póki mamy Gary’ego.

Zaczęła jeść. Kroiła kotleta jak najdrobniej i nosiła do ust, jakby znajdowali się na dworze książęcym, a nie w bloku w Essen.

– A ty chcesz wziąć kasę i zwiać.

– Ty to powiedziałeś.

– Myślisz, że cię nie znajdą?

– Nie.

Yanek z trudem ukrywał zaciekawienie.

– Oczywiście jeśli masz naprawdę dobry calak[3] na Tarimę – podkreśliła.

– Gary’ego znaleźli. Myślisz, że jesteś od niego lepsza?

– Naprawdę sądzisz, że on jest wariatem?

– Wiadomo, że nie. Odciąga proces.

Gertrud jadła, popijała piwem.

– Dobre zrobiłam, co? Gdyby życie ułożyło się inaczej, byłabym perfekcyjną panią domu.

– Dlaczego cię nie znajdują? – dociekał Yanek.

W jego oczach pierwszy raz dostrzegła nutę respektu.

– Bo zajmą się poszukiwaniem kogoś innego. Kiedy uciekają dwa psy i jeden znika w krzakach, a drugi popyla utartym traktem, za kim gonisz?

– Myślisz, że pogoń nie zanurkuje w krzaki? Nie zapomną o drugim kundlu. Zwłaszcza jeśli łup jest godziwy. A będzie jak skurwysyn.

– Nie zapomną, ale odpuszczą, jeśli uwierzą, że ten pierwszy wziął wszystko. Tak jak wierzą teraz, że Gary udaje szaleńca.

– A nie udaje? – zdziwił się Yanek.

Gertrud z satysfakcją spostrzegła, że brat jest skołowany. Jej intryga go przerastała.

– To nie ma znaczenia. Kasę ma Marc Baptiste Rockefeller, tylko nie może jej ruszyć. Myślisz, że dlaczego pomagał Gary’emu w szpitalu? Ile zapłacił za adwokatów, kuracje... Gary i Marc grają w swoją grę, a dopóki Frencha pilnuje prokuratura, VAL też nie ma ruchu. Jest pat. Ale to się może zmienić, kiedy Rockefeller sięgnie do skarbca.

– Albo kiedy Gary umrze. Myślałaś o tym?

Gertrud chciała odrzec, że nieustannie. To, że jej męża wykończą byli współnicy, było swego czasu jej największą obsesją, ale dziś patrzyła na to wszystko inaczej. W jednej chwili zmieniła się jej optyka. W parku zrozumiała, co tak naprawdę zaplanował Gary, i poza nią nikt z przyjaciół

lub wrogów nie pojmie, że porzucenie Gertrud było z jego strony największym poświęceniem. Może nawet dowodem miłości, jeśli ktoś wierzy w romantyczne bzdury. W przypadku śmierci albo szaleństwa Frencha to Bruno bierze wszystko, a bez niej – Gertrud – dostępu do funduszu małego nie mają ani oni, ani prokuratura, ani żadne inne służby. Już Gary o to zadbał, Gertrud była pewna, choć nie zamierzała tego wyjaśniać bratu.

– Powtarzam ci, śmierć ani choroba psychiczna mojego męża niczego nie zmieniają, bo on już tej forsy nie ma. Co innego, gdyby to samo spotkało Marca. To Rockefeller stoi teraz na szczycie Solgevaru. I tym muszę się zająć.

– Myślisz, że sięgnie do skarbcza? Przecież wie, kim jesteś. W życiu nie odsłoni się przed żoną przeciwnika.

– Ten Polak to zrobi.

– Von Hochberg?

– Jest pod ścianą, ale to ambitny krętacz. Naraję go Rockefellerowi jako klienta.

– Oszust ma pokonać oszusta? – wykrzywił się Yanek. – To może być ciekawe.

– Gary mnie nie interesuje. Za to jego forsa i owszem.

Yanek milczał długo, aż w końcu rzekł lekkim tonem:

– Akurat trafiłem trochę dobrej włoszczyzny. Oryginały i rejestrowane, więc uważaj. Pewnie nie wierzysz, ale trzymam za ciebie kciuki, *Schwester*.

– Wolałam osiedlić się pod Paryżem, ale Toskania też może być. Też cię kocham, bydlaku. – Uśmiechnęła się, siląc się na serdeczny ton, i dodała w myślach: Tak bardzo, że jak skończę, zadbam, by nie mieć z tobą nic wspólnego. *Auf Wiedersehen, Bruder*.

Frankfurt nad Menem, Niemcy, październik 1998

Bukiet był zbyt doskonały, więc Wolf pogniótł go, by Carla uwierzyła, że układał go ślepiec, a dodatkowo przytrzasnął drzwiami, kiedy wysiadał z windy. Wiedział, że płatki rozsypały się na piętrze, ale nie zamierzał ich zbierać. Zawiesił laskę na przedramieniu i nacisnął jej główkę. Klucz na kółku wysunął się jak ostrze noża sprężynowego. Wymacał zamek i otworzył drzwi do mieszkania.

– Carlo, kochanie! – zawołał radośnie, choć z sypialni słyszał dwa głosy stłumione przez muzykę relaksacyjną.

– Igy?

Żona przybiegła niemal natychmiast. Słyszał jej krótki oddech i oczyma wyobraźni widział zdumione spojrzenie, więc wyciągnął ramiona do powitania.

– Niespodzianka. Udało mi się wrócić wcześniej.

Carla objęła go, wtuliła twarz w jego ramię. Czuł, że na sobie ma tylko jedwabny szlafrok i jest rozgrzana. Pachniała olejkiem z paczuli oraz innym męzczyzną. Nie skomentował tego. Pozwolił jej stać bez ruchu, by Vaanat zdążył się ubrać i opuścić ich mieszkanie. Wolf słyszał wyraźnie szelest wkładanych spodni, zasuwanie zamka oraz płytkie, podszyte lękiem sapanie. Potem powolne kroki, jak zapewne sądzili kochankowie – bezszmerowe. Kiedy Vaanat był już bezpieczny przy drzwiach, Carla odważyła się wyswobodzić z ramion męża i chwyciła kwiaty. Z sypialni dobiegał świergot ptaków, a potem uderzono w gong. Wolfowi zdawało się, że dzięki tym dźwiękom dostrzega wszystko ostrzej.

– To dla mnie? Jakie piękne! Naprawdę nie trzeba było.

Wolf wiedział przecież, że teraz to zwykły wiecheć.

– Zdaje mi się, że przytrzasnąłem je drzwiami. Osypały się bardzo?

– Ależ nie, są wspaniałe – zaprzeczyła fałszywie. – Wstawię je do wody.

Zaczęła uderzać szafkami, robić straszny hałas, by Vaanat mógł jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem uszu Wolfa. Ten jednak nie dał się zbyć tak łatwo.

– Mamy gościa? – Uśmiechnął się przymilnie do żony, choć tak naprawdę kierował te słowa do jej kochanka.

– Jesteśmy tutaj tylko ja i ty – wyjąkała przestraszona Carla.

– To nie moje. – Podniósł mokasyny rywala, które wziął wcześniej sprzed drzwi. – Daniela tym bardziej. Nie stać go na takiej jakości obuwie.

Carla nie wiedziała, jak się zachować. Wolf był pewien, że naradza się z Vaanatem spojrzeniem. W końcu musiała chyba dać znać amantowi, by opuścił mieszkanie na bosaka, bo drzwi lekko zaskrzypiały, a do pomieszczenia wpadł stęchły powiew z klatki. Wolf rzucił się do wejścia, niemal stykając się nosem z rywalem, który, blady jak ściana, był już na granicy wytrzymałości, a potem trzasnął skrzydłem drzwi z całej siły, świadomie waląc Vaanata w twarz. Rozległ się stłumiony jęk. Wolf udał, że nie dostrzega w tej sytuacji nic nadzwyczajnego.

– Chyba znów niedokładnie zamknąłem. Trzeba wezwać dozorcę, bo zawiasy szwankują – rzekł, otrzepując dłonie, a następnie przekręcił zamek i podszedł do ogłupiałej małżonki.

Zaczął głaskać ją i rozbierać ze szlafroka. Carla poddawała mu się biernie, jak antylopa w pazurach lwa. Nagle odsunął się od żony i zajął swój fotel naprzeciwko telewizora. Zdawało się, że patrzy z wyrzutem na puste butelki po winie i dwa kieliszki, z których jeden miał ślad szminki, a drugi wyglądał na nienaruszony, oraz popielniczkę pełną niedopałków.

– Napiłbym się herbaty – oznajmił, rozpierając się w fotelu. – Tej twojej: z mlekiem i kardamonem.

Carla w podskokach ruszyła do kuchni. W tym czasie Wolf wsunął pod sofę kłębek jej rajstop, a skotłowany pistacjowy kostium kopnął za zasłonę. Kiedy żona wróciła z imbrykiem, w pokoju – poza kieliszkami i niedopitym winem oraz przepelnioną popielniczką – nie było śladów schadzki.

– Jak poszło? – starała się zachowywać naturalnie, ale Wolf wiedział, że dopóki nie zabierze ze stolika dowodów swej niewierności, nie uspokoi się.

Nie zamierzał jej tego ułatwiać.

– Chodź, kochanie, usiądź mi na kolanach – zachęcił ją. – Tak mi ciebie brakowało. Nienawidzę wyjeżdżać.

– Też nienawidzę, kiedy wyjeżdżasz.

– Naprawdę?

Pocałował ją, jednocześnie rozkładając na boki jedwabny peniuar. Błądził dłońmi po jej ciele, by poczuła jego żądzę. Pieścił piersi, brzuch, lekko musnął pachwinę. A potem nagle zabrał rękę i poprawił kusy szlafroczek, jak gdyby jedynym, o czym marzył, było chronić nagość żony przed postronnymi. Carla jeszcze bardziej się spłoszyła. Skorzystała z pierwszej okazji, by uciec.

– Woda się gotuje – rzuciła, kiedy tylko rozległ się gwizdek czajnika.

Wolf był z siebie zadowolony.

– Dobrze się bawiliście? – krzyknął.

Długo nie odpowiadała. Wiedział, że przeżywa teraz męki. Zbiera myśli i zastanawia się, co słyszał oraz czego się domyśla. Nagle zrobiło mu się jej szkoda.

– Jak spisał się nasz podopieczny?

Carla wróciła już z filiżankami. Zapachniało masalą.

– Kto?

– Dany. A o kim myślałaś, głuptasie? – roześmiał się. – Czyżby o właścicielu tych hiszpańskich mokasynów?

– Hiszpańskich? – powtórzyła jak automat Carla.

Wiedział, że teraz mu się przygląda i myśli, czy przypadkiem nie odzyskał wzroku. Przecież trenowała jogę, tantrę, wierzyła w moc energii oraz inne bujdy, które serwował jej Vaanat, byle tylko ją rznąć i pożyczać pieniądze, których nigdy nie oddawał. Cóż, Wolf rozumiał go bardzo dobrze. Kiedy poznał Carlę, jego motywacja była identyczna i gdyby nie ślepotą, z pewnością nie zostałaby jego żoną, a on nie miałby dożywotniej opiekunki, bo dbałość o karmę nie pozwala jej zostawić go na pastwę losu. Czas na chwilę oddechu, zdecydował. Niech się dziewczyna odpręży.

– Swoją drogą, muszę upomnieć Daniela, żeby nie poniżał się do drobnych kradzieży. Jest zbyt cennym nabytkiem, by stracić go za doliniarstwo.

Carla natychmiast chwyciła się tej szalupy.

– Nie rozumiem, dlaczego tak ci na nim zależy. To głupiec.

– Zawsze chciałem mieć synka.

– To dlatego zmusiłeś mnie do dwóch skrobanek? – wysyczała Carla.

– Przecież nie znosisz dzieci.

– Nieprawda.

Roześmiał się dobrotliwie, jak łaskawy ojciec.

– Przed wypadkiem nawet wyjść za mnie nie chciałaś. Mówiłaś, że samo słowo „związek” powoduje u ciebie alergię. Bo przecież człowiek jest wolny i w każdej chwili może odejść, jeśli miłość przeminie.

– Nadal tak uważam.

– Chcesz mnie porzucić, kochanie?

– Nic takiego nie powiedziałam. Pobraliśmy się, bo nie mogłam odwiedzać cię w szpitalu, ale to tylko przyspieszyło decyzję.

– I nic byś nie dziedziczyła w razie mojej śmierci. – Wolf się skrzywił. – Faktem jest, że wtedy moja sytuacja finansowa była inna.

– Możemy już do tego nie wracać?

Wyciągnął rękę, poszukał jej włosów. Bawił się kosmykiem jakiś czas, a potem pogładził ją po twarzy i przyciągnął do siebie.

– Już się nie kłóćmy. Miałem ciężką podróż.

– Igy – wyszeptała całkowicie już udobruchana. – Ja chcę, żeby on się wyprowadził.

– Tak? A dlaczego?

– On stoi między nami. Drażni mnie to, odbiera resztki energii. Przez niego zmuszona będę wrócić do psychoanalizy.

Wolf zatrzymał dłoń na jej głowie. Przycisnął ją, jakby wymuszał odpowiedź. Głos miał jednak miękki, czuły.

– Co się stało, skarbie?

– Igy, ja go przegoniłam. Powiedz, że on nie wróci.

– Jak to przegoniłaś?

– Zwyczajnie. Kazałam mu się wynosić.

– Kiedy, kochanie?

– Wczoraj. Mierzi mnie sama jego obecność. Nie chcę, żeby był świadkiem naszego życia.

– Świadkiem czego, głuptasie? A co my takiego robimy, w czym on ci przeszkadza? Śpi sobie grzecznie na polówce w kuchni, nie ma prawa wstępu do prywatnej części mieszkania. Pyta, kiedy chce się wykąpać. Je tylko kiełbasę i może trochę za wiele pije, ale to naprawdę nieduży koszt w obliczu roli, jaką dla niego szykuję.

Carla wstała. Wiedział, że sznuruje mocniej szlafrok, a potem okrywa się dodatkowo pledem.

– Igy, ten człowiek jest niebezpieczny. Horrendalnie głupi, ale i niezmiernie sprytny. Wykorzystuje cię. A ty, ty... – zapowietrzyła się – ty z jakiejś przyczyny robisz go na swoje podobieństwo. Dajesz mu swoje ubrania, kosmetyki, pożyczasz książki, które sam już przeczytałeś. Nawet wąsy wyhodował sobie według twojego wzoru. Z tym że on w niczym nie przypomina ciebie. Po prostu nie ma twojej klasy i choćby pękł, nikogo nie nabierze, że jest arystokratą. Co najwyżej ogrodnikiem albo producentem kiełbasy, którą tak lubi. Ty nie możesz tego widzieć, ale to jest żenujące. To twoja żywa karykatura! Rzeczy, które mu dajesz do ubrania, są na niego za ciasne. On śmierdzi, Igy! Pochlapie się tylko w misce, wyperfumuje... Powiedz mi, tak szczerze, po co go hodujesz? Dlaczego my go potrzebujemy?

– Kochanie. – Wolf ujął twarz żony w dłonie. – To on nas potrzebuje, a to różnica. Obiecuję ci, że zrobimy ten interes i chłopak pójdzie swoją drogą. Przecież chcesz ten dom w Portugalii. Swoją oazę spokoju, nic nie robić, medytować i uwolnić się od trosk świata materialnego, tak?

– Tak – wyszeptała. – Ale nie takim kosztem.

– Jeszcze tylko tydzień. Maksymalnie dwa.

– Obiecujesz?

– Czy kiedykolwiek nie dotrzymałem słowa?

– Nigdy.

– Więc zadzwoń do niego i powiedz, że go przepraszasz. Pomyliłaś się, miałaś okres, regres do dzieciństwa albo cokolwiek przyjdzie ci do głowy.

– Nie, Igy. Nie zrobię tego.

– Ależ zrobisz, kochanie. I od tej chwili będziesz dla niego miła, bo on nie jest wcale taki głupi, jak ci się wydaje. Czy myślisz, że ten ohydny kostium włożyłem mu przypadkowo?

Kobieta wpatrywała się w męża w skupieniu.

– Chcesz mi powiedzieć coś więcej?

– A jak sądzisz?

– Tak właśnie myślę.

Nie odpowiedział.

– Za dużo rozmyślasz, skarbie. Poddaj się i zaczekaj na odpowiedź, a świat ci ją poda w odpowiedniej chwili. Czy Vaanat cię tego nie uczył?

Wyjął zza pazuchy niebieską perfumowaną kopertę, a z niej wydobył złożoną na cztery części kartkę. Położył ją obok dwóch kieliszków i przepelnionej popielniczki, które stały wciąż na stoliku jak wyrzut sumienia.

– Dozorca mi przekazał. Chyba zapomniał, że sam nie mogę tego przeczytać. – Uśmiechnął się podstępnie. – Bądź łaskawa mnie wspomóc.

Carla patrzyła na męża otumanioną. Nie musiała rozkładać kartki, by wiedzieć, że to jej list miłosny do Vaanata. Napisała go dawno temu i nie wysłała tylko dlatego, że w tamtym czasie uważała swoje potrzeby cielesne za słabość. Jej romans z przewodnikiem duchowym rozkwitł dużo później i więcej już do siebie nie pisali. Nie musiała pytać, kto zapłacił dozorcę, by ten ewidentny dowód jej niewierności trafił w ręce męża. Miała ochotę wstać, znaleźć Daniela i udusić go gołymi rękoma. Zamiast tego udała, że rozkłada kartkę, odchrząknęła i rzekła ze słodyczą:

– To tylko lista zakupów. Zgubiłam ją kilka tygodni temu, pamiętasz, na pewno ci wspominałam. Muszę dać napiwek dozorcę, że jest tak czujny i chciało mu się fatygować. Dobry z niego człowiek.

– Jak dobrze otaczać się oddanymi ludźmi – uśmiechnął się Wolf. – Tak samo będzie i z Danielem. Każdy napotkany człowiek daje nam właściwą lekcję.

– Zgadzam się z tobą – przytaknęła Carla, ale poczuła zwiastun grozy, jakby ktoś położył jej na karku kostkę lodu, a zmrożona woda spływała wolno wzdłuż kręgosłupa.

Powiedzmy sobie szczerze, kostium nie wystarczy. Choć bardzo ułatwia odegranie roli. Nie jestem aktorem, nie gram. Ja reżyseruję. To oni grają w moim show. Opowieść jest zawsze ta sama: są łowcy i zwierzyna do złowienia. Oczywiście pojawiają się w niektórych scenach, bo kontrola jest konieczna, a trudno przewidzieć, jak to się potoczy. Podobnie jak z wędkowaniem: gromadzisz akcesoria, wychodzisz o właściwej porze, we właściwym miejscu i zanęcasz. Cierpliwość decyduje o wszystkim. Czekasz, aż ryba połknie haczyk. Zanim się spostrzeże, chwytasz łup, wyrzucasz na brzeg. Patroszysz. A jednak bywa, że wracasz z pustym wiadrem.

Jeśli dobrze przygotujesz swoich wędkarzy, nie zapominasz o karmieniu ich ambicji, trzymaniu na krótkiej smyczy i ustawieniu ich na pewnych łowiskach, po jakimś czasie nie musisz już zakładać woderów. Twoi ludzie czerpią radość z tego, że każdego dnia o świcie postawią ci pod drzwiami obfity połów. Na początku dzielisz się z nimi – zarówno łupem, jak i satysfakcją. Inaczej zgubią motywację albo co gorsza, zechcą wyłamać się z szeregu. Nie powinni zorientować się zbyt szybko, że są wystarczająco dobrzy, by łowić samodzielnie, bo odtąd pod drzwiami będziesz miał tylko puste wiadra. Ale jeśli wciąż są ci oddani, a ryb nadal brakuje, może oznaczać to tylko jedno: źle rozdałeś role. I tak bywa.

Należy pamiętać, że to życie, nie ma czasu na duble, więc możesz zaplanować tylko najważniejsze punkty przedstawienia. Jest wskazane, by we właściwym momencie pozwolić graczowi na improwizację, choć do tego trzeba mieć po prostu dar. Jest pewnego rodzaju mistrzostwem odgrywanie bogatego człowieka, jeśli burczy ci w brzuchu tak, że aromaty z piekarni wypełniają ci policzki galonami śliny; boli cię każda kosteczka, bo przespałeś noc na ławce w parku, i wiesz, że twoje ubranie śmierdzi – nie prałeś go od tygodnia, a karton, na którym się ułożyłeś do snu wczorajszej nocy, obszczały nie tylko koty. Ale wiedziałem, że Daniel sobie poradzi. Był do tej roli stworzony, a nie ma lepszej trampoliny niż odbicie się od

dna. Siedzący teraz w aucie Otto i Dieter, czyli jego widownia, też mieli za sobą ciężką noc, choć ich problemem był raczej nadmiar jedzenia i picia, który odbijał się zgagą oraz kacem. Nie wyglądali wcale lepiej od niego. Dlatego uważałem, że w tej partii gracze zostali dobrani właściwie. Należeli do tej samej ligi i była duża szansa, aby mój wychowanek wygrał tę rundę. A jeśli nawet popełni błąd, potraktujemy to tylko jako próbę ognia. Ja bynajmniej nie stracę na żadnym ze scenariuszy, bo nie wprowadziłem go jeszcze do głównej rozgrywki. Na razie patrzę i zastanawiam się, czy to jest właściwy człowiek na finał.

Mülheim, Niemcy, listopad 1998

– Znąją panowie dyrektora Żemka?

Otto i Dieter spojrzeli po sobie.

– Niestety nie mieliśmy przyjemności – mruknął Dieter.

– Ale słyszeliście pewnie o aferze Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego? To matka polskich afer, zwana FOZZ.

– Coś nam się obiło o uszy – skłamał Otto, by wydać się bardziej wiarygodny. – Czy to ten Zamek zostawił panu swój majątek?

Daniel roześmiał się łaskawie. Nie poprawił złotnika, ale był już pewien, że może powiedzieć dosłownie wszystko. Ci dwaj łykną każdy kit.

– Poza tytułem nie odziedziczyłem po rodzinie ani grosza, drogi panie Klemke. Mówiłem, że nas uwłaszczono i prześladowano. Jako dziecko nie miałem nawet własnego pokoju. Była komuna. Wszystko, co posiadam, wydarłem od życia tymi rękoma. W ciągu sześciu lat. Korzystając ze swojej wiedzy, sprytu oraz kontaktów. To są rzeczy na wagę złota. Trzeba tylko umieć kojarzyć fakty i ludzi.

– Też tak uważam – bąknął Dieter, byle powiedzieć cokolwiek. – Nikolay, daleko jeszcze? Bo chciałbym do toalety. Raczej pilnie.

Rosjanin, który siedział za kierownicą, zamruczał coś niewyraźnie o spóźnieniu.

– Ależ nie przejmuj się, Niki, bankierzy poczekają. Zatrzymajmy się na stacji – zarządził Daniel. I kontynuował: – Pan Żemek to mój bliski przyjaciel. Pomogłem mu parę dobrych lat temu wytransferować część środków z funduszu i ulokowałem je w taki sposób, że są nieosiągalne dla skarbu państwa. Była tego jedna trzecia otrzymanych pieniędzy na wykup polskich długów.

– Ile dokładnie? – Otto lubił konkrety.

– Jeden miliard siedemset milionów dolarów.

Dieter natychmiast zapomniał o toalecie.

– Jak żeś to zrobił, chłopie?

– Kaskadowo. – Daniel wzruszył ramionami. – Za pośrednictwem instrumentów finansowych sprzedawanych i kupowanych w kolejnych transakcjach.

Zaczekał, aż mężczyźni dojdą do siebie, a potem kontynuował:

– Środki ulokowałem na Kajmanach, w jednym z banków offshore. Państwo polskie nie ma do nich dostępu. Pan Żemek był bardzo zadowolony, zapłacił mi od tej kwoty pełną prowizję. Właściwie wziąłem niewiele, półtora procent od kwoty brutto.

Dieter gwizdnął z podziwem, a Nikolay przyjrzał się Danielowi baczniej we wstecznym lusterku.

– Potem oczywiście ruszył proces, kilka składów sędziowskich bada przebieg transakcji finansowych, ale gwarantuję, że nigdy w dokumentacji nie padnie moje nazwisko ani nazwa mojej firmy. Żadnemu z audytorów nie uda się dojść, jak wyparowały te pieniądze z kont FOZZ-u. Mówią, że pierwsze sto milionów trzeba ukraść, a ja je uczciwie zarobiłem. A co najlepsze, od tamtej pory mam poważną osłonę polityczną, jak również ze strony polskich służb specjalnych, co oznacza, że wszystkie osoby, które zagrażałyby interesom przeze mnie prowadzonym, wystawiają się na poważne niebezpieczeństwo.

– A więc jesteście kryci?

– Bezsprzecznie – podkreślił z dumą Daniel. – Wielu prokuratorów próbowało dobrać mi się do skóry. Skończyli zdegradowani albo wypadli z urzędu. O losie niektórych świat zapomniał także z innego powodu.

– Co masz na myśli?

– To samo co ty – roześmiał się zadowolony Polak.

Zapadła cisza. Przerwał ją Nikolay.

– Jest stacja.

Dieter zaczął gramolić się do wyjścia.

– Chcecie coś?

– Dla mnie kanapkę i kawę – rzucił niedbale Daniel. – Uwielbiam od czasu do czasu to śmieciowe jedzenie.

Dieter stał chwilę, czekając na pieniądze, ale ich nie otrzymał. Zatrzasnął więc drzwi i ruszył do wejścia.

W banku było tylko dwóch klientów. Usiedli więc na fotelach przy oknie. Kiedy jedno stanowisko się zwolniło, Otto podszedł do dziewczyny w okienku, powołał się na Konstantina Damma i zażądał widzenia z kierownikiem oddziału. Kasjerka początkowo była niechętna, a nawet zbulwersowana tupetem człowieka w swetrze, ale kiedy podniosła słuchawkę i podała nazwisko polecającego, jej postawa natychmiast się zmieniła. Zaczęła wokół nich skakać jak troskliwa kurka. Zaraz zaprowadziła ich do salki konferencyjnej pełnej doniczkowych kwiatów, przyniosła kawę, podała świeże croissanty. Dieter nie zdążył zdjąć swojej ceratowej kurtki, a za stołem siedziała już szefowa oddziału z plikiem dokumentów pod pachą i przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Daniel otarł wąsy z resztek rogalików i skinął na Ottona. Złotnik bez słowa wyjął zza pazuchy czek, który tydzień temu Polak wypisał mu za zegarek, a potem przesunął go w kierunku kobiety.

– TSB Bank. Trzysta pięćdziesiąt Oxford Street, Bank Londyn – odczytała finansistka. – Półtora miliona funtów. I panowie chcą zdeponować go u nas jako zabezpieczenie kredytu na milion marek?

Otto i Dieter kiwali głowami jak automaty. Daniel zaś rozsiadł się w fotelu, ramiona rozpostarł na oparciu, aż guziki jego koszuli rozeszły się i widać było białe ciało. Dyrektorka banku poprawiła okulary na nosie i bardzo starając się nie patrzeć w tamtą stronę, z trudem ukrywała niesmak.

– Oczywiście chcielibyśmy negocjować warunki przewalutowania – rzekł Daniel, przyglądając poły marynarki.

Zorientował się, że koszula wyszła mu ze spodni, i natychmiast zmienił pozycję.

– To zrozumiałe – zgodziła się dyrektorka banku. – Mają panowie u nas konto czy środki zostaną złożone na konto mecenasa Damma?

– Na nasze – pośpieszył z odpowiedzią Dieter, ale zaraz urwał, bo Daniel kopnął go boleśnie w kostkę.

Umowa była taka, że poza absolutną koniecznością złotnik i mechanik się nie odzywają.

– Nie mamy jeszcze konta – wyjaśnił Daniel, lekko się uśmiechając. – Jesteśmy w trakcie rejestrowania spółki. Najpóźniej jutro będziemy mieli komplet dokumentów. Czy to jest problem?

– No cóż, znamy się z Konstantinem tak długo, że mogłabym rozpocząć procedurę już dziś, a kiedy będziecie mieli całość, dostarczycie bezpośrednio na moje biurko. Sama będę to nadzorowała. Natomiast Konstantin nie mówił o czeku, lecz o zupełnie innym instrumencie finansowym.

– O złocie. – Daniel się uśmiechnął.

– I to sporej ilości.

– Zgadza się. Ale ponieważ spodziewamy się dużego transferu w związku z tym interesem i w przyszłości z innymi, chcielibyśmy najpierw mieć pewność, że pani bank da nam najlepsze warunki kredytowe. Sama pani rozumie, że z takim kapitałem możemy pójść wszędzie.

– Rozumiem doskonale – zgodziła się skwapliwie. – Nie ma żadnego problemu. Przepisy mówią jednak wyraźnie, że rachunek, na którym złożą panowie czek lub złoto, należy wpieryw zasilić gotówką. To rzecz jasna czysta formalność. Myślę, że mogłabym zaakceptować symboliczną kwotę, jak choćby sto marek. No i czek musi być zweryfikowany, ale to potrwa nie dłużej niż tydzień. Niestety nie mogę otworzyć rachunku, dopóki nie otrzymam potwierdzenia z centrali.

– Pani ma nas za żartownisiów? – udał oburzonego Daniel. – Co pani sobie wyobraża! Czy to ma być zawoalowana forma łapówki?

Bankierka przyglądała się zakurzonym skarpetkom Daniela, jego koszuli, która rozchodziła się na brzuchu, i obsypanej okruchami marynarce.

– Takie są przepisy.

– A co będzie, jeśli nie wpłacimy stu marek?

– Nie będę mogła otworzyć konta, przyjąć czeku, zacząć procedury dotyczącej kredytu ani rozpocząć inwestycji ze złotem. Żeby machina ruszyła, musimy mieć rachunek.

– A jeśli zostawimy czek, żeby pani go sobie sprawdziła? – wtrącił się Otto, nie zwracając uwagi na pioruny w oczach Daniela. – Czy potrzebna będzie wpłata?

– Chodzi o sto marek – upierała się kobieta.

– Chodzi o honor! – Daniel zerwał się rozwścieczony. – Pierwszy raz spotyka mnie coś takiego. Żaden bank w Anglii, Szwajcarii, a nawet w Polsce nie okazuje tak jawnej wzgardy swoim klientom.

– Panowie jeszcze nie są naszymi klientami – zauważyła finansistka.

– To jest kwestia zasad – wszedł jej w słowo Daniel. – I zaufania.

– Dokładnie tak to interpretuję. Mówimy o bardzo poważnych transakcjach. – Dyrektorka nie dała po sobie poznać zdenerwowania, choć była zde gustowana. – Chciałam pójść panom na rękę. Pragnę zaznaczyć, że bez polecenia wkład własny do otwarcia tego typu rachunku wynosi dwa tysiące marek albo i więcej, w zależności od kwoty, jaka ma być zdeponowana. Czasami liczymy procent. W przypadku kwot, jakie panowie planują transferować, byłyby to tysiące marek. Chyba że wolicie płacić w funtach. Tak byłoby pewnie korzystniej. Zrozumcie, to dla nas gwarant bezpieczeństwa, jeśli na przykład, oczywiście hipotetycznie, czek byłby bez pokrycia.

– Lub fałszywy! – Daniel podniósł głos. – Bo to pani imputuje?

– W żadnym razie tego nie zakładałam. Konstantina znam od siedemnastu lat, często poleca nam kontrahentów. Nasza współpraca jest owocna. Nie śmiałabym...

– Dość! – Daniel wstał, zabrał czek Ottona i wymaszerował z sali. – Żegnam.

Za nim, w ukłonach i z przeproszającymi pomrukami, podążyli Otto i Dieter.

– Ten wasz notariusz zawałił sprawę – skwitował Skalski, kiedy Niemcy dołączyli do niego przed wejściem do budynku. Byli bardzo zdziwieni, bo na jego twarzy nie było już śladu gniewu. – Na waszym miejscu żądałbym odszkodowania. Ta baba chce nas naciągnąć.

– Chciała tylko sto marek – zaczął Dieter. – Za paliwo płaciłem dziś więcej.

– Nie dam tej Heldze ani grosza! – Daniel znów się uniósł.

– I co teraz?

– Musimy znaleźć inny bank.

– Ale Konstantin polecił nas tutaj.

Daniel już ich nie słuchał. Kiwnął na Nikolaya, który zaparkował po drugiej stronie ulicy, ale na znak Daniela złamał wszystkie przepisy i po chwili był już pod wejściem, gdzie trwała rozmowa.

– Niki? – zwrócił się Daniel do kierowcy.

Nikolay natychmiast wysiadł z wozu.

– Tak, szefie.

Daniel sięgnął do wewnętrznej marynarki i podał mu foliową torebkę zamykaną na zapięcie strunowe.

– To dla ciebie. Pojedziemy do Berlina.

Mężczyzna wziął podarunek i pytająco zerknął na pozostałych.

– Co się gapisz? To twoje honorarium. Ja zawsze dotrzymuję słowa. Twój pryncypał wyjaśni ci, ile wart jest brylant.

Otto i Dieter spoglądali na Daniela jak na szaleńca.

– Mówiłem, że nie idzie o pieniądze – nafuczył się Daniel i znów zwrócił się do Rosjanina. – Dobrze schowaj, bo to wiele warte. Przyda ci się na emeryturze. Wysoka czystość i wzorowy szlif.

A następnie wsiadł na tylne siedzenie, otworzył szybę.

– Liczę, że zajmiecie się panem Dammem. Jeśli on nie dźwiga sprawy, potrzebujemy kogoś innego. Nie tak się umawialiśmy, panowie. Ten czas uważam za stracony.

Stali na chodniku, zupełnie skołowani. Wreszcie Otto odchrząknął.

– Mój czek.

– Trzeba go sprawdzić – rzucił niedbale Daniel. – Zawiozę go do Berlina i sam to zrobię. Nie pozwolę się tak traktować. Możecie przekazać Wolfowi, że nie wiem, kiedy wrócę. Nie jestem zadowolony z jego usług.

Dał znak Nikolayowi, by ruszał.

Kiedy samochód zniknął za zakrętem, Dieter odezwał się pierwszy.

- On ma nasz czek i gotówkę, Otto.
- Wiem.
- I Breitlinga.
- To tylko dobra podróbka.
- Nikolay ma brylant.
- Zauważyłem.
- Przeciągnął chłopaka na swoją stronę. A może od początku był podstawiony?
- To możliwe.
- Nie chciał zapłacić stu marek. – Dieter niebezpiecznie podnosił głos, aż wreszcie zakończył dyszkantem: – Nawet kawę i hot dogi musiałem mu postawić. Coś tu śmierdzi. Czy tylko mnie tak się wydaje?
- Otto przyjrzał się szwagrowi.
- Tobie się wydaje? Czyżbyś stracił swój odwieczny optymizm, Dieter? To apokalipsa! Miazga! Mogiła!
- Myślisz, że ten brylant jest prawdziwy?
- Nie wiem, ale jeśli czek nie jest, nie dostaniemy kredytu, a umowa z Dammem nie jest korzystna. Dobrze, że nie podarowałem tej mendzie sygnetu na rubinie. Byłbym w plecy kolejne cztery tysiące.
- Co? – Procesor w mózgu Dietera działał znacznie wolniej niż u Ottona. – Chcesz powiedzieć, że ten gnój nas okradł, a my i tak będziemy spłacać Damma?
- Podpisaliśmy umowę pożyczki. To umowa notarialna.
- Nie będę płacił za coś, czego nie dostałem! – krzyknął wojowniczo Dieter, aż przechodnie obejrżeli się za nim i szybko oddalili. – Bierz rusków Nikolaya, trzeba tym błaznem potrząsnąć!
- A jak go znajdziemy? Wiesz może, gdzie mieszka ten polski księciunio?
- Wolf będzie wiedział.
- Jeśli nie odbierze telefonu, leżymy. Nie wiemy nawet, czy nazywa się tak, jak mówił. Ani jeden, ani drugi. Na policję przecież nie pójdziesz. Co

powiemy?

– Masz kopię tego czeku. Możemy sprawdzić numery.

Otto uśmiechnął się blado.

– On ma kopię. Ja mam oryginał.

Dieter rozpromienił się.

– To już jest coś. Zawsze w ciebie wierzyłem.

OSIEM

ZŁEGO DIABLI NIE WEZMA

Warszawa, Polska, wiosna 2016

– To twoja wina. Zawsze na wszystko jej pozwalałeś – wyszeptała ze złością Zoriana Szwarz.

Chodziła tam i z powrotem, od okna do drzwi, co jakiś czas rzucając kąśliwą uwagę pod adresem męża. Jerzy milczał. Zacisnął dłonie na poręczach krzesła i wpatrywał się w puste biurko detektywa. Zoriana jeszcze chwilę mamrotała pod nosem przekleństwa, aż w końcu znów się rozpłakała.

– A jeśli nie znajdą jej na czas i przyjdzie nowy atak? Nigdy sobie nie wybaczę.

Mąż wstał, chwycił kobietę za ramiona, unieruchomił. Zoriana natychmiast wtuliła się w niego i załkała cicho.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszał. – To najlepszy detektyw w kraju.

– Tyle każe sobie płacić, że chyba i na świecie.

Wybrzmiał brzęczyk, a po chwili do pomieszczenia wszedł krępy, brzuchaty mężczyzna z pieczołowicie wypracowaną fryzurą. Zdjął lustrzane okulary i poprawił pas od kabury, w której tkwił pistolet. Za nim maszerowała dziewczyna w czarnym kombinezonie do złudzenia przypominającym uniformy, których używają antyterrorysty na akcjach, z tym że jej był za mały o kilka numerów. Była młodziutka, opalona na heban, długie włosy farbowała na granatową czerń i nosiła je splecione w gruby kuc na czubku głowy. Za paskiem również miała broń, w ręku – plik rolujących się dokumentów. Stała u szczytu biurka jak cerber i przez całe spotkanie nie odezwała się słowem. Państwo Szwarzowie patrzyli na nią zaskiwieni, jakby wyskoczyła z japońskiej mangi.

– Mój informator miał kłopot ze znalezieniem bezpiecznej linii, ale opłacało się czekać. Są nowe dane – zaczął Sławomir Małecki, zwany na mieście Szczurkiem. – Przepraszam, że to tyle trwało.

– Nic nie szkodzi – rzekła uprzejmie Zoriana, choć jej mina wyrażała coś zupełnie innego. Spojrzała z wyrzutem na dziewczynę. – Wolelibyśmy rozmawiać bez świadków.

Szczurek wskazał dziewczynę w kombinezonie.

– Lara to jest właśnie bezpieczna linia. Nasz informator zgodził się pracować tylko z nią. Jeśli będą państwo mieli dodatkowe pytania, rozwieje wątpliwości i przekaże nasze oczekiwania drugiej stronie.

– Jest propozycja okupu? – W głosie ojca Nataszy zabłysła nadzieja.

– Wszystko po kolei. – Detektyw podniósł dłonie, by uspokoić klientów, ale efekt był wprost przeciwny, więc zrezygnował z dalszych przemów.

Na stole położył zdjęcie wymuskanego bruneta w metalowych okularach. Zdjęcie zrobiono z teleobiektywu, tło było rozmazane. Trudno było odgadnąć, gdzie je wykonano.

– Mój informator twierdzi, że widział państwa córkę z tym człowiekiem.

Dał znak Larze, która dołożyła ze swojej teczki kilka sygnalitycznych zdjęć grubawego wąsacza i brodatego blondyna. Potem na biurku wylądowała fotokopia zdjęcia przystojniaka z kilkudniowym zarostem pod muszką w towarzystwie młodziutkiej dziewczyny w diademie na okładce „Bilda”. A na koniec kserokopia „Dziennika Wschodniego”. Tym razem mężczyzna siedział na ławie oskarżonych w towarzystwie trzech adwokatów. Był ubrany w trzyczęściowy garnitur, włosy miał ulizane brylantyną, na najmniejszym palcu nosił sygnet. Tytuł artykułu głosił: *Rekordowy oszust w III RP*. Mimo że zdjęcia pochodziły z różnych okresów, nietrudno było się domyślić, że to ta sama osoba.

– Wydaje mi się, że gdzieś go widziałem – odezwał się ostrożnie Jerzy, a potem pochylił się i studiował każdy detal twarzy porywacza. – To ktoś znany? Nie wygląda na bandziora.

– Nie wygląda – przyznał detektyw. – A jednak to wielokrotnie karany przestępca.

– Jakiś zboczeniec? – jęknęła Zoriana.

– Bardzo niebezpieczny manipulator. Nazywa się Daniel Skalski. Używa też imienia i nazwiska Dany von Hochberg. Cztery dni temu, ze względu na stan zdrowia, wyszedł na przerwę w karze za liczne oszustwa. Wyłudził przeszło trzydzieści milionów dolarów. Jedną z jego ofiar jest znany piłkarz Narcis del Rodriguez Sala. Kojarzą państwo tę sprawę?

– Coś słyszałem. – Jerzy pytająco spojrział na detektywa. – To on porwał naszą córkę?

– Nie uprowadził jej siłą – zaznaczył detektyw. – Wygląda na to, że Natasza pojechała z nim dobrowolnie.

– Pojechała dobrowolnie? – Zoriana zasłoniła usta. Po twarzy ciekły jej łzy. – Dokąd?

Jerzy trzymał się lepiej. Chwytał żonę za rękę i mocno ścisnął.

– Powinniśmy iść na policję? Jesteśmy gotowi złożyć zawiadomienie nawet zaraz.

– Nie radziłbym.

– Ona jest śmiertelnie chora!

– Córka jest pełnoletnia – beznamiętnie skwitował Szczurek. – Ma prawo żyć, jak chce.

Skinął na Larę. Podała mu pendrive, który detektyw włożył do stacji dysków, a następnie opuściła pomieszczenie marszowym krokiem. Państwo Szwarcowie w milczeniu odprowadzali ją spojrzeniem.

– Ona jest prawdziwa? – wyszeptała Zoriana, kiedy zostali tylko we trójkę. – Zachowuje się jak robot.

– Lara to moja najlepsza agentka. Jest trochę dziwna, ale wyjątkowo skuteczna. Pracowała całą noc – odparł Szczurek. – Raport dostałem dziś o trzeciej nad ranem. Chwileczkę, otworzę plik. Co my tutaj mamy? Właściciel restauracji Kardamon rozpoznał ich oboje. W sobotę wieczorem jedli tam kolację.

Rodzice Nataszy czekali w napięciu. Żadne się nie odezwało. Tylko Zoriana wyrwała dłoń z ręki męża i zaciskała ją na poręczy fotela tak mocno, aż detektyw bał się, że połamie wiklinę.

– Skalski prowadził tam rekrutację. To znaczy tak twierdził i faktycznie odbył szereg spotkań – czytał detektyw. – Z różnymi kobietami. W sumie było ich trzynaście, nie licząc waszej córki. Rachunku nie uregulował. Opiewał na ponad dwa tysiące złotych, więc właściciel restauracji jest osobiście zainteresowany, by dopaść naciągacza. Wygląda na to, że państwa córka sama chciała dla niego pracować.

– Pracować? – oburzyła się Zoriana. – A niby w jakim charakterze?

– Tego nie wiemy. Lara znalazła anons na portalu ogłoszeniowym, ale nie ma w nim nic podejrzanego. Mamy też dostęp do skrzynki osoby, która go opłaciła. Niestety brak tam jakichkolwiek wiadomości, ale obserwujemy to konto.

– Lara jest hakerką?

– Tego nie powiedziałem – wymigał się detektyw.

Jerzy odchrząknął, spojrzał potępiająco na żonę. Zoriana pochyliła głowę.

– Przepraszamy – szepnęła. – Nie interesują nas pana metody. Chcemy tylko odzyskać córkę.

Szczurek uśmiechnął się pojednawczo.

– Chodziło o stanowisko asystentki finansisty – kontynuował. – Przesłuchania odbywały się w tej restauracji, właśnie tego dnia. Nie ma mowy o pomyłce. Anons musiał umieścić Skalski, choć używał innego nazwiska.

– Jakiego? – zainteresowała się Zoriana. I zaraz zaczęła się wycofywać. – Jeśli to nie tajemnica dochodzenia.

– Igy Wolf. Na ten moment nie wiemy, czy była to przykrywka czegoś poważniejszego, czy faktycznie chodziło o sekretarkę. Nie udało nam się jeszcze dotrzeć do żadnej przesłuchiwanej w tym dniu kobiety, ale pracujemy nad tym. W każdym razie Skalski i Natasza spędzili w Kardamonie miły wieczór, a potem wyszli.

– Miły wieczór? – Zoriana otworzyła szerzej oczy.

Detektyw odchrząknął. Jeśli córka choć trochę była podobna do matki, musiała być atrakcyjna. Zoriana była dużo młodsza od niego i od męża, a choć na jej twarzy detektyw dostrzegał już ślady sporego doświadczenia, to jeszcze nigdy nie widział tak szlachetnie wyglądających zmarszczek wokół oczu i tak pięknych kości policzkowych. Nie dziwił się, że Jerzy Szwarz tak o nią zabiega. Szybko odgonił kosmate myśli i wrócił do przerwanej wątku.

– Restaurator twierdzi, że wyglądali jak randkująca para.

- Mówił pan, że chodziło o pracę.
- Kelner, który ich obsługiwał, uważa, że sytuacja była dynamiczna.
- Znaczy się uwiódł ją? – Jerzy domagał się sprecyzowania.

Detektyw wahał się chwilę, zanim odpowiedział.

- To bardzo możliwe, ponieważ spędzili razem noc.

Zoriana znów zasłoniła usta dłonią. Szczurek dostrzegł, że ma piękne, długie palce. Na jednym z nich obok obrączki lśnił ogromny szmaragd w otoczeniu brylantów. Detektyw nigdy nie spotkał kobiety, dla której chciałby w coś takiego zainwestować.

– Mamy także świadków, którzy widzieli Nataszę ze Skalskim podczas odbioru jej bagaży z hotelu Grand w Lublinie. Chodzi nie tylko o pracowników recepcji.

- Jakie bagaże? Ona nie miała nic poza własną torebką.

– No cóż, Natasza nocowała w hotelu poprzedniej nocy. – Szczurek przesunął w kierunku Szwarców fakturę. – Trzeba to uregulować. Wzięła najdroższy apartament. Zabukowano go jej na tydzień. Kiedy Lara zaczęła zbierać dowody, byli bardzo zdziwieni, że dziewczyna zniknęła. Spodziewali się, że będzie u nich mieszkała jeszcze przez kilka dni.

– Uwiódł nasze dziecko i nie zapłacił za hotel? – Jerzy zapienił się ze złości. – Co za cham. Widać te zrabowane miliony to fikcja.

– Nie nocowali w tym hotelu – przerwał Jerzemu detektyw. – Nie wiemy dlaczego. Przejrzeliśmy hotelowe nagrania z kamer. Dokąd poszli, tego nie wiemy.

- Co więc wiecie? – zaatakowała Szczurka Zoriana.

- Ślad urywa się w tej kamienicy.

Detektyw podsunął rodzicom Nataszy zdjęcia z miejskiego monitoringu. Widać było na nich parę idącą rozświetloną ulicą. Nie trzymali się za ręce, nie obejmowali. Wyglądali niewinnie, jak obcy sobie ludzie. On był wyższy od dziewczyny ledwie o kilka centymetrów.

- Co za konus – mruknął Jerzy.

- To Nastka – krzyknęła Zoriana. – To naprawdę ona.

Detektyw pokazał im następne wydruki. Było to zbliżenie tablicy rejestracyjnej samochodu wyjeżdżającego z bramy przy Kołłątaja 3.

– To auto Skalskiego. Zarejestrowane na jego żonę niespełna pół roku temu. Sam nie mógł dopełnić formalności, bo siedział jeszcze w więzieniu.

– Skąd pan wie, że spędzili razem noc? – Zoriana nie dowierzała. – A może ją uwięził, zgwałcił? Słyszał pan o syndromie sztokholmskim?

– Mamy świadka, który widział ich w oknie. To cudzoziemiec. Pragnie zachować anonimowość, ale pracujemy nad tym, aby z nami współpracował. Widzi pan, tam jest podwórko studnia – niewiele aut może wjechać. Tej nocy był tam pewien człowiek, którego na razie nie mogę ujawnić. Widział ich w oknie. Oboje byli bez ubrania.

– Ten człowiek może kłamać.

– Oczywiście – zgodził się detektyw. – Choć nie sądzę, by miał w tym interes. Proszę nie pytać, dlaczego tak uważam. Tajemnica dochodzenia. W mojej opinii córka państwa sama podjęła decyzję, że wyjeżdża ze Skalskim z kraju.

– Z kraju?

– Samochód o tym numerze VIN i tych tablicach rejestracyjnych jest w tej chwili we Włoszech. Muszą państwo wiedzieć, że Skalski nie ma prawa wjazdu do Niemiec, Szwajcarii i Monako. Najprawdopodobniej dlatego pojechali przez Austrię.

– Wie pan, gdzie oni są?

– Oczywiście. – Detektyw rozłożył przed rodzicami Nataszy małą mapkę z oznaczonym czerwonym punktem. Widać było wyraźnie godzinę i datę. – Lara ma układ z ludźmi z Mercedesa. Bez problemu udało jej się namierzyć pojazd. Wczoraj nocowali w Brescii. Teraz auto znajduje się w okolicy Lago di Garda. Zatrzymali się w pewnej starej willi. Niestety lokalna policja nie ma dostępu do tamtejszego monitoringu. To prywatna posiadłość. Bardzo luksusowa.

Zapadła cisza.

– To wszystko, co mogłem zrobić. – Detektyw spakował materiały do teczki i podał je ojcu Nataszy. – Chcą państwo fakturę? Wtedy będę

zmuszony doliczyć dwadzieścia trzy procent VAT-u. Jeśli nie, płatność gotówką, na miejscu. Lara wypisze państwu potwierdzenie.

– Chwileczkę. – Jerzy wstał. Zacisnął pięści, jakby zamierzał zaatakować detektywa. – Co to ma znaczyć? Pan dopiero zaczął. Niech pan ich śledzi, niech pan ją odbije. Ona w każdej chwili może umrzeć!

Małecki spodziewał się chyba takiej reakcji, bo sięgnął po kodeks karny. Wertował chwilę, ale widząc, że Jerzy za chwilę wybuchnie gniewem, odpuścił. Odłożył książkę.

– Córka pojechała ze Skalskim z własnej woli – powtórzył. – Sama zdecydowała. Rozumiem, że się martwicie. Też mam dzieci.

– Nic pan nie rozumie!

– Nie może pan jej zabronić. Chora czy nie, Natasza jest pełnoletnia. Nawet jeśli pojechalibyśmy w ślad za nimi, możemy tylko grzecznie ją spytać, czy chciałaby z nami wrócić. Jeśli wyrazi zgodę, możemy ją eskortować. Jeśli nie, mamy obowiązek odpuścić. W przeciwnym razie to ona ma prawo zawiadomić stosowne służby, że jest prześladowana.

Jerzy spojrział na Zorianę, a ta skinęła głową.

– Niech pan ją śledzi – poleciła. – Dyskretnie.

– Po co? – Detektyw wzruszył ramionami. – To jej decyzja, z kim się spotyka i z kim sypia. Bardzo mi przykro. Nikt, żadne służby, nie może jej zawrócić z obranej drogi.

– Chcemy wiedzieć, co się z nią dzieje, jak się miewa – zawahała się – czy wciąż żyje.

– Wie pani, ile to będzie kosztowało? Zrzuńcie się.

– To nie pana interes. – Zoriana podniosła głos. – Jeśli będzie trzeba, sprzedamy firmę. To nasze jedyne dziecko. Niech pan jej nie spuszcza z oka! Niech pan depta im po piętach! Musimy wiedzieć, gdzie są, by w razie czego móc zareagować i uratować ją. Ona w każdej chwili może mieć atak!

Spojrziała na męża. Siedział spokojnie z pochyloną głową, ale był jak otumaniony. Zdawało się, że coś intensywnie rozważa.

– Chyba że... – zaczął i się zatrzymał. – Bo to jest oszust, prawda? Łasy na pieniądze. Chciwy. I wygląda na to, że nie ma tych zrabowanych milionów.

– Tego nie wiemy.

– Inaczej zapłaciliby za hotel – kontynuował Jerzy. – I nie naciągałby restauratora. Nie ryzykowałby warunkowego wyjścia z więzienia dla kilku tysięcy, prawda?

– To nie jest takie oczywiste. – Detektyw rozłożył ręce. – On nie myśli jak my. Oszustwa to jego sposób na życie. Ludzie tacy jak on kradną dla adrenaliny. To rodzaj gry. I nie wiadomo, czy nie zrabował więcej, niż udało się udowodnić, a pieniędzy gdzieś nie ukrył. Może po nie właśnie pojechał z Nataszą? Nie znam się na tym. Sąd podczas wydawania wyroku nazwał go patologicznym kłamcą. Ten facet nie umie żyć inaczej. Jak tylko wychodzi na wolność, okrada kolejne osoby. Lista poszkodowanych jest bardzo długa. Oszukał nawet własnego adwokata. Uwikłał żonę, kochanki, dzieci, rodziców... Traktuje ludzi jak narzędzia. To antyczłowiek.

– I teraz chce wykorzystać naszą córkę?

– Możliwe, że ona jeszcze o tym nie wie – przyznał detektyw. – Pewnie się zakochała. – Wskazał na okładkę „Bilda”. – Jest przystojny, szarmancki. To nie jest brutal, który stosuje przemoc fizyczną. Ludzie, z którymi Lara rozmawiała, wspominali o parze kochanków, a nie o sprawcy i ofierze. Ktoś, kto jest w stanie omotać tak wielu ludzi, bez trudu uwodzi kobiety.

– Niech więc pan nie rozmawia z nią, lecz z nim – zasugerował Jerzy. – Natasza nie musi o niczym wiedzieć. Niech pan zaproponuje mu forszę. Chcemy odkupić córkę. Sprzeda ją, jeśli mu się to opłaci.

– Za ile?

– Niech pan się tego dowie – zajął Jerzy. – Niech pan zaoferuje mu coś, czego on potrzebuje. Każdy ma jakieś marzenia i ambicje.

Detektyw wahał się długą chwilę.

– Ten plan ma pewne szanse powodzenia – przyznał. – Ale trzeba to przeprowadzić bardzo ostrożnie.

Jerzy uśmiechnął się lekko.

– Pytanie, czy pan jest właściwą osobą, by takie negocjacje prowadzić.

Szczurek chwycił haczyk.

– Niech pan nie bierze mnie na ambicję. Nie takie sprawy wyjaśniałem.

– Lara się nie nadaje – powiedział twardo Jerzy. – Tu potrzebny jest ktoś taki jak Skalski. Trzeba go omotać jego własnymi metodami.

Detektyw pierwszy raz spojrzął na ojca dziewczyny z szacunkiem.

– Mam kogoś, kto mógłby udać się w podróż za Skalskim – rzekł. – Ale to będzie kosztowało i nie gwarantuję powodzenia przedsięwzięcia. Musicie liczyć się z bezzwrotnymi kosztami.

– To przestępca? – upewnił się Jerzy.

Detektyw wzruszył tylko ramionami.

– Powiedzmy, że człowiek z tej samej ligi. Niewykluczone, że się znają. Wbrew pozorom to środowisko nie jest wielkie, a Skalski zadarł ze wszystkimi. Możemy to wykorzystać.

– Zaryzykujemy – postanowił Jerzy, a żona spojrzała na niego z wdzięcznością. – Ale pod warunkiem, że będzie pan nad tym sprawował osobistą kuratelę. Dobrze by było, żeby Lara była z nami w kontakcie, kiedy pan wyjedzie.

– Proszę się nad tym głęboko zastanowić, bo skórka może okazać się niewarta wyprawki – odezwał się po namyśle detektyw. – Natasza może być zakochana. Albo Skalski w niej. Na to wpływu nie mamy.

– Co pan opowiada! – prychnęła Zoriana. – Nie można się zakochać w dwa dni.

– Jeśli pani się to nie zdarzyło, nie znaczy, że to niemożliwe – odparował Szczurek i zmusił się do uśmiechu. – Ale jest też dobra wiadomość. Skoro w grę wchodzi emocje, mogą też szybko wygasnąć. Na przykład za kilka dni kochankowie się pokłócą, córka wróci i wszystko będzie po staremu.

– Jeśli wróci, powiadomimy pana – oznajmił Szwarz. – Znamy nasze dziecko i wiemy, jak bardzo Natasza jest uparta oraz dlaczego uciekła. Jest w tym trochę naszej winy. Ukrywaliśmy przed nią jej stan. To było nieuczciwe.

Spojrzął z wyrzutem na żonę.

– Wiemy jednak, że błądzi, i musimy ją ratować. Niech pan nie deliberuje nad tym, czy to jest słuszne ani kto kogo pokochał, tylko zajmie się swoją robotą.

– Pozostaje więc tylko jedna sprawa – podsumował detektyw. – A od tego uzależniam powodzenie akcji. Na ile wycenia pan życie swojego dziecka? Detalicznie, ile jest pan w stanie zapłacić Skalskiemu w gotówce, bo może trzeba będzie, by to on sam nakłonił Nataszę do powrotu. To gracz najwyższej próby. Jeśli zorientuje się, że dziewczyna jest wiele warta, nie zejdzie z ceny, ale spróbuje ją wywindować.

– Proszę to zbadać i wynegocjować stawkę korzystną dla obu stron – odparł Jerzy chłodno. – Ale, do diabła, niech się pan śpieszy. Chcemy odzyskać córkę żywą. Jeśli Natasza umrze, nie zapłacimy temu szubrawcowi ani grosza. Proszę mu to przekazać.

Wrocław, Polska, styczeń 1999

– Dlaczego więc nie jesteś pan bogaty? – padł szyderczy szept z końca sali, a reszta zgromadzonych zawtórowała arogantowi stłumionym śmiechem.

Profesor Leonard Radziwiłł odsunął się od tablicy, na której kończył zapisywać swój wywód. Zanim odwrócił się do audytorium, sięgnął po gąbkę i starł ostatnie trzy rzędy obliczeń, gdyż dostrzegł w nich błąd. Nie mógł odżałować, że omal nie zbłąźnił się w oczach młodego wizytatora, choć podejrzewał, że nikt poza nim w tej sali nie pojął połowy jego wykładu.

– Panie Sadowski, proszę opuścić salę – naraz usłyszał gniewny głos Bronisława Kuny, rektora politechniki, jego niegdyś najlepszego studenta, a obecnie przyjaciela. Profesor poczuł, że zaczynają go palić uszy. Nie spodziewał się, że Bronek będzie obecny na jego jubileuszowym wystąpieniu. Zanim się odwrócił, poprawił muszkę w grochy i sprawdził, czy pierwszy guzik kraciastej marynarki wciąż jest zapięty na jego wydatnym brzuchu. Spojrzał na wizytatora, potem na Kunę reprezentującego w tym momencie władze uczelni oraz na salę pełną studentów. Na większości twarzy gościły ironiczne uśmiešky lub po prostu znudzenie. To oznaczało kompletną porażkę. Młodzi ludzie nie starali się maskować politowania. Cała nadzieja na wzbudzenie podziwu dla jego geniuszu zniknęła w jednej chwili.

Profesor odchrząknął znacząco.

– Nie ma potrzeby, Bronek – rzucił pojednawczo do rektora, a potem zdobył się na łaskawy uśmiech. – Już wyjaśniam przyszlęmu inżynierowi, w czym tkwi sekret, iż ta nowatorska technologia jak dotąd nie znalazła nabywcy, a ja, jak słusznie dostrzegł młody człowiek, wciąż czekam na Nobla.

W sali wybrzmiał oczyszczający rechot, który ucichł równie nagle, jak się pojawił. Rektor Kuna bowiem nie zamierzał odpuścić żółtodziobowi znieważenia swojego mentora i powtórzył władczo:

– Panie Sadowski, stawisz się na dodatkowe zaliczenie z całego semestru. W moim gabinecie.

– Tak jest, panie rektorze – karnie zgodził się student.

– Jutro – dodał z satysfakcją rektor. – Czekam o szóstej trzydzieści.

W sali zapanowała cisza. Pora zaliczenia była nokautująca. Wszyscy wiedzieli, że rektor Kuna gra całe noce i jeśli nie pójdzie mu w pokera, zrobi z Sadowskiego miazgę. Jedyna nadzieja tkwiła w złym doborze graczy – tylko wtedy Sadowski miał szansę na pozostanie na roku. Złajany student zdawał się jednak nie przejmować.

– Nie chciałem pana urazić, profesorze – zwrócił się do Leonarda, który wpatrywał się teraz w czubki swoich niemodnych jaskrawych butów, jakby poza nimi nic innego w tej sali się nie liczyło.

Obuwie to od lat było fetyszem ekscentrycznego naukowca, choć studenci szydzili, że nie wykonano go ze skóry gada, lecz z plastiku.

Radziwiłł czuł, że jego pozycja została bezpowrotnie zachwiana.

– Nie udało się panu – oświadczył z godnością, choć było wręcz przeciwnie.

Jego twarz przypominała kolorem burak ćwikłowy, po skroniach spływały mu strugi potu. Uniósł rękę na znak, że dziękuje rektorowi za wstawiennictwo, lecz wolałby rozstrzygnąć spór samodzielnie. By dodać sobie animuszu, pogładził kruczoczarny tupecik, który boleśnie kontrastował z jego siwymi wąsami. Jeszcze kilka kropel potu i tupecik całkiem się odklei. Przyklepał go stanowczym gestem, odłożył kredę i stanął za katedrą – gotów na odparcie wszelkich ataków.

– Skoro ta technologia jest dopracowana, tania i tak łatwo wdrożyć ją do produkcji, jakie przeszkody stoją na drodze, by to polski naukowiec, a nie amerykański lub co gorsza chiński, zrewolucjonizował światowy rynek budowlany? – kontynuował spokojnie przyszły inżynier. – Może to kwestia dobrego piaru? Nie myślał pan o najęciu agenta?

Usiadł, lecz nie spuszczał oczu z twarzy profesora.

– Piaru? – powtórzył Radziwiłł. – Być może.

W sali panowała złowrózba cisza. Na twarzach słuchaczy Leonard nie dostrzegał już znużenia. Wstąpiły w niego nowe siły.

– Prezentacja wynalazku to jeden z ważniejszych etapów, jeśli idzie o sprzedaż – przyznał i zamyślił się głęboko. – Doświadczycie tego sami, gdy spróbujecie przekonać inwestorów, by wyłożyli miliony na badania, testy i wreszcie produkcję. Ale nie tylko o to chodzi. Żeby znaleźć popyt na swój koncept, trzeba mieć szczęście i trafić w swój czas, czyli zostać zrozumianym. To faktycznie detal, który można przyrównać do prostego handlu. Dlatego pomysł z agentem wydaje się banalny, pan wybaczy. Problem leży gdzie indziej: w znalezieniu równowagi między tajemnicą a ujawnieniem. Ile zdradzić, by nie dać się wyprzedzić i ograbić? W nauce zmiany zachodzą nieustannie. Ludzie pracują nad tymi samymi technologiami w różnych miejscach na świecie. O kontaminację łatwo. Wiem, że prezentując dziś swój projekt, narażam się na kradzież. Mniemam, iż wszyscy w tej sali mają świadomość, że to Tesla wynalazł prąd przemienny, Edison zaś bezpardonowo zrabował jego wynalazek, ale to on na zawsze przeszedł do historii ludzkości.

W sali rozległ się szept oburzenia.

– Dziś uczy się dzieci w szkole, kto dostał Nobla za żarówkę. Nikt nie myśli o tym jako o kradzieży, a samo nazwanie faktów po imieniu zdaje się herezją. Prawda jest taka, że w tym czasie, kiedy genialny Serb tworzył futurystyczne koncepcje energetyczne, wyważał drzwi nauki, karczował busz, jednym słowem, był wizjonerem, Edison skupiał się na wynalazkach praktycznych. I kradł od swojego wybitnego kolegi bez opamiętania. A może spojrzeć na to inaczej? Czyż nie skorzystał z dokonań kolegi, ponieważ był sprytny i kierowały nim inne motywy? Jakie? Poklask, zaszczyty, nagrody, bogactwo. Nie zaś dążenie do wiedzy. – Profesor zatrzymał się i pokiwał głową, arcyzadowolony z uwagi studentów. –

Dlatego ja także zdaję sobie absolutnie sprawę, że ujawniając dziś recepturę produkcji nowatorskiego przetworzenia wiórów drewnianych w połączeniu z cementem, narażam się na ryzyko, że jeden z was wpadnie na pomysł lepszy od mojego i to on zgarnie cały splendor. Czyż nie tak było z Amerigiem Vespuccim i Kolumbem? Który z nich odkrył Amerykę?

– Kolumb, jasna rzecz – padło z sali.

– Lecz gdyby nie nadzieja Ameriga, jego działania, które okazały się porażką, imć Kolumb nie zostałby odkrywcą – odparł spokojnie Leonard. – Należy się z tym pogodzić.

– Dlaczego więc przedstawił pan nam swój projekt? – Sadowski znów odważył się zabrać głos.

Profesor dostrzegł, że w tym momencie studenci pochylają się nad pulpitemi i smarują pilnie w zeszytach, by zdążyć przepisać jak najwięcej z jego wywodu. Szybko więc wytarł z tablicy ostatnie wersy.

– Nie możecie mi tego ukraść, jeśli nie macie w sobie twórczego ducha – zaśmiał się i poczuł, że czerwone plamy z twarzy znikły już całkowicie, a pot na karku był ledwie wspomnieniem. – Bo to, co najważniejsze, sekret tej genialnej technologii, jest jedynie tutaj. – Wskazał swoją głowę. – Tylko ja wiem, jak przetworzyć wióry, cement i wszystkie pozostałe elementy, by uzyskać proszek, który każdy z przyszłych klientów będzie mógł w drodze kupna nabyć w supermarkecie za kilkanaście złotych, w jakże eleganckim worku pięciokilowym z kolorową metką.

Rozległ się szmer, a potem nieśmiałe brawa.

– Dlaczego jeszcze tego nie sprzedałem? Dlaczego wciąż jestem nędzarzem i muszę bronić swojego honoru przed bandą łachmytów, którzy, bardzo możliwe, nigdy nie zaryzykują swojego życia, aby zająć się procesem twórczym, a po zaliczeniu na tróje wszystkich przedmiotów trafią do współczesnych kołchozów, jak nazywam te korporacje zagraniczne, które jak grzyby po deszczu rosną w całym kraju? – Leonard podniósł głowę i czekał na reakcję, ale sala wciąż trwała w napięciu. Uśmiechnął się. – Ponieważ nigdy jeszcze nie spróbowałem tego sprzedać. Nigdy dotąd nie miałem pewności, że proces twórczy został zakończony.

– Przecież pracuje pan nad tym piętnaście lat – wtrącił się znów Sadowski.

– Dwadzieścia sześć – sprostował z dumą profesor. – Czyli więcej, niż ty masz teraz, chłopcze.

Sadowski karnie pochylił głowę.

– Ale wiesz co? Zmotywowałeś mnie. Od dziś będę się zajmował tylko tym. W tej właśnie chwili zrozumiałem, że jestem gotów ruszyć z moimi płytami na rynek. Zapewniam cię, że to będzie rewolucja totalna w przemyśle wiórowym. A kiedy pójdziesz po kredyt, żeby kupić nowy apartament, będzie on postawiony z mojego budulca.

Zamknął teczkę leżącą na pulpicie, skłonił głowę i pochylił się do mikrofonu.

– Nie pozwólcie pieniądzom kierować swoim życiem. Spójrzcie na mnie, dosyć mam już biegania za nimi jak osioł za marchewką. Od dziś to ja będę trzymał marchewkę. Dziękuję za uwagę i życzę państwu powodzenia na niwie naukowej oraz przede wszystkim zdrowia.

Kiedy opuszczał salę, pierwszy raz od lat pożegnał go gromki aplauz.

Słońce prażyło od rana i zapowiadał się piękny dzień, choć na ulicach wciąż było grząsko od błota. Leonard zauważył to jednak, dopiero kiedy wydostał się z gmachu politechniki i wszedł do parku. Ostrożnie stawiał kroki między kałużami, by nie powalać swoich butów z jaszczurki, chociaż faktycznie nieprawdziwej. Była to jego ostatnia para w tak dobrym stanie, a nie przewidywał, by stać go było w najbliższym czasie na nowy model podobnego obuwia. Czarne półbuty, a tym bardziej brązowe, jakie nosili dziadkowie w jego wieku, mierzły go swą brzydotą. Zawsze lubił się wyróżniać.

Szedł, pogwizdując, a lekki wiaterek łaskotał mu policzki i unosił tupecik. Nie obawiał się już, że się odklei i ujawni łysinę. Nie obchodziło go wcale, co myślą inni. Zwyciężył. Przekroczył jakąś niewidzialną granicę, czemu opierał się tyle lat. Wiedział w głębi serca, że na uczelnię nie wróci. Dawno chciał rzucić wykłady i nie mierzyć się więcej z przemądrzałymi wyrostkami, ale się bał. To minęło i czuł się wolny jak ptak. Było mu tak błogo i przyjemnie, że nie pamiętał, kogo mijał po drodze. Nie był pewien, czy odpowiedział na wszystkie ukłony, ale konwenanse też przestały mieć dla niego znaczenie. Rektor Kuna zapraszał go do siebie na szklaneczkę whisky po wykładzie, co było ogromnym wyróżnieniem, ale Leonard nie zamierzał wracać, mimo że w gabinecie Bronka zostawił płaszcz, kapelusz i ulubiony jedwabny fular. Myślał tylko o tym, co powiedział mu ten śmiały złotodziób, a w głowie kłębiły się refleksje: co on sam zrobił ze swoim życiem przez te pięćdziesiąt sześć lat? Dlaczego nigdy nie myślał jak Sadowski? Praktycznie, logicznie i egoistycznie.

Przez te wszystkie lata w jego pracowni powstało tak wiele wynalazków, a on żadnego nie spróbował sprzedać. Choćby domów na palach, które w końcu zaczęli budować Norwegowie, czy silników na prąd w starych samochodach, wdrażanych obecnie przez Amerykanów. Nie opchnął nawet taniego w produkcji żeluzatrzymującego wodę w korzeniach roślin, a wiedział, że od dekady podobny specyfik rewolucjonizuje Arabię Saudyjską. Wszystko to Leonard wymyślił dużo wcześniej, lecz z żadnym z konceptów nie był gotów się rozstać. To on nie był gotów, nie jego projekty. Dziś zrozumiał wreszcie, że przebojowy młodzieniec ma rację. Gonił za iluzją, zanurzał się w obliczeniach, eksperymentach i analizie, nie dbając o to, by jego geniusz przyniósł mu żywą gotówkę. Tak, w głębi serca pragnął być bogaty. Marzył, by go doceniono i by nikt nigdy więcej nie śmiał się z niego ani tym bardziej się nad nim nie litował. A może, do diaska, czas to zmienić? Tak się zamyślił, że wdepnął w głęboką kałużę. Woda zachlupotała, przemoczyła skarpetkę. Plastikowy mokasyn namókł, jeśli go szybko nie wysuszy, rozklei się i rozpadnie. Leonard zatrzymał się, nabrał powietrza w płuca, ale w końcu machnął ręką i ruszył na przełaj do domu. Irmina zdziwi się, kiedy zobaczy go o takiej porze, bo spodziewa się, że mąż przybędzie późną nocą, pijany w sztok – jak zwykle po własnym jubileuszu – ale on miał inny plan. Po pierwsze – nigdy nie wkładać brązowych półbutów, a zamiast tego zaopatrzyć się w prawdziwego węża. Po drugie – sprzedać technologię. Po trzecie – nie wracać na uczelnię i nie dawać sobą pomiatać. Po czwarte, piąte, siódme i tysięczne – udowodnić wszystkim, że się co do niego mylili. Jeszcze okażą mu szacunek! Nie spocznie, póki nie doprowadzi tej sprawy do końca. Ale najpierw się zdrzemnie, bo dziś w nocy odbywa się partia przy stole u Bronka, a Leonard i w tej materii miał swój autorski system i chciał go wreszcie sprawdzić.

– Panie profesorze, niech pan zaczeka! To nie na moje siły taki jogging.

Radziwiłł odwrócił się. Gonił za nim zdyszany woźny. Niósł palto i kapelusz Leonarda, a ukochany fular połyskiwał w słońcu wszystkimi kolorami tęczy.

– Przeziębi się pan – wychrypiał woźny. – Ależ pan ma zdrowie, profesorze. Co za kondycja.

– Dziękuję, panie Okrasa – odparł wzruszony Leonard.

Znali się przeszło trzydzieści lat, spali razem na styropianie za Solidarności, a mimo to woźny nigdy nie przeszedł z Radziwiłłem na „ty”. Z szacunku. Profesorowi bardzo to schlebiało.

– To miłe, ale niepotrzebnie robiłeś sobie pan kłopot.

– Ja słyszałem wszystko. – Wacław Okrasa pochylił głowę. – Pięknie pan z tego wyszedłeś. Żebyś pan widział, jak rektor obsztorcował tych szczawi. Aż wióry, za przeproszeniem, leciały. Jeden siusiak się popłakał.

– Chyba nie Sadowski?

– Ten krzykała umilkł po pana wyjściu i słówkiem się już nie odezwał, za to kiedy wszyscy pobiegli na przerwę, stanął pod tablicą i próbował dokończyć pana wywód, ale chyba mu nie poszło. Możliwe, że dalej siedzi tam i główkuje. Zadał mu pan bobu, jak babcię kocham.

Leonard uśmiechnął się z wdzięcznością do starego druha. Tylko Okrasa mógł podsumować jego porażkę z takim wyrafinowaniem. Z tego, co Radziwiłł pamiętał, woźny nigdy nie przeklinał. Najwulgarniejsze jego słowa pochwaliłby wujek Dobra Rada z *Misia*: motyla noga, kurcze pióro, szlag – to cały jego wachlarz słów brzydkich. Było to przeurocze, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że woźny wyglądał jak goryl i niejednego młodzika wciąż potrafiłby powalić swoim słynnym prawym sierpem.

– Nie mam już serca do wykładów. – Leonard zacisnął usta. – Gdyby nie dochód i prestiż, dawno bym zrezygnował. I zrobię tak, zobaczysz pan. Wcale nie zamierzam iść na emeryturę.

– Ja w pana wierzę – zapewnił pośpiesznie Okrasa. – A gdyby pan czegoś potrzebował... Obić komuś facjatę albo pokierować wozem, to może pan na mnie liczyć.

Leonard poklepał Okrasę po ramieniu.

– Nieoceniony z ciebie kamrat, Wacuś.

Woźny opuścił ramiona zrezygnowany.

– Nie mogę patrzeć, jak taki geniusz jak pan marnuje się dla tych bęcwałów. Pan powinien być jak ten Kopernik, Skłodowska albo inny Einstein. Pan ma głowę jak oni. Języków pan chyba zna osiem.

Leonard nagle pojął, że woźny chce go pocieszyć i obawia się, że profesora wyleją, a współczucia nie znosił.

– Już dobrze, Okrasa. Jakoś to będzie.

Ruszył naprzód, ale woźny nie zamierzał odejść. Szedł wciąż dwa kroki za nim. Leonard się zatrzymał. Okrasa też przystanął. Zwiesił łeb jak wierny pies.

– Coś jeszcze, Wacuś?

– Ja znam takiego jednego budowlańca – wydusił woźny. – On może by to kupić. Ten pana projekt z płytami – dukał.

Leonard zaśmiał się.

– Wacuś, ja potrzebuję milionera. Wielką korporację. To musi być międzynarodowy zakład. Kogo ty możesz znać?

Okrasa zacisnął usta, walczył z emocjami. Nie wiedział, czy obrazić się, czy odejść, ale w końcu litość i sympatia dla profesora zwyciężyły.

– Pan Paolo najmuje mnie do pilnowania zakładu, jak wyjeżdża do Belgii. On postawił na nogi takie jedno przedsiębiorstwo z Kępna. Jak on by nie kupił, to na pewno kogoś narai. Z nikim się nie kontaktuje, nie spotyka. Ale ja go znam. Kochanki mu zwożę. Ufa mi. Mogę szepnąć mu słówko.

Leonard zmarszczył brwi szczerze ubawiony. Z trudem zachowywał powagę.

– Dziękuję za twoją dobroć, Wacuś. Jak przyjdzie pora, zgłoszę się do ciebie.

– Pan sprawdzi spółkę Providenza. Paolo Langusta jest szefem zarządu. W tych urzędach widać, jaki mają kapitał zakładowy. Ja nie jestem taki głupi, jak się niektórym wydaje.

– Dobrze, Wacuś, obadam tego Langustę. Do zobaczenia.

Przed wyjściem na pokera Leonard sprawdził trop Okrasy i jakże się zdziwił, kiedy okazało się, że woźny miał rację. Spółka Providenza była częścią ogromnego koncernu. Miała własne magazyny, park maszyn i cementownię, ale głównie zajmowała się budową wielkich osiedli w całym kraju. W skład grupy wchodziło znacznie więcej spółek córek,

Paolo Langusta zaś był prezesem zarządu. Założyciel i właściciel wszystkich odnóg Providenzy nazywał się Stefan Nowak. Leonard nie odnalazł w sieci żadnego zdjęcia ani żadnych informacji osobistych o tym człowieku. Bardzo go to zadziwiło, ponieważ od kilku lat we wszystkich liczących się rankingach Nowak znajdował się w pierwszej dziesiątce najbogatszych Polaków. Im dłużej Leonard szukał danych o Nowaku, tym bardziej był zaciekawiony. W internecie znajdowała się jedynie informacja, że cztery lata temu w okolicy Kępna Nowak rozbił porsche, ale zanim policja przybyła na miejsce i spisała protokół, krezus odleciał helikopterem. Sprawę wypadku wziął na siebie Langusta i to on odbierał za Nowaka nagrody oraz reprezentował go w świecie polskiej finansjery. Profesor był tak podekscytowany nową potencjalną drogą dla własnej technologii, że stawiał za ostro i za dużo wypił, więc kiedy nie miał już czego stawiać, Broniek Kuna, głównie z litości, by profesor nie narobił jeszcze większych długów i nie przegrał na przykład rodzinnego domu, wziął pod zastaw jego technologię, a potem odwiózł Leonarda do domu, by pani Irmina Radziwił mogła położyć męża spać w jednym kawałku.

Nie było jeszcze szóstej, kiedy rektor Kuna podjechał na uczelnię i słaniając się na nogach, poprosił o klucz do gabinetu. Sekretarka miała się pojawić dopiero za kilka godzin, sam zrobił sobie zatem mocną kawę i poszedł się wykapać. Z szafy wyjął czystą koszulę, rezerwowy garnitur i nałożył sobie na zaczerwienioną twarz fluid, który trzymał w szufladzie na taką właśnie okoliczność, a potem zakropił oczy, by zniwelować przekrwienie białek. Pomogło tyle, co nic. Spojrzenie w lustro tylko rektora rozzłościło, więc wrzucił krople do kosza, uznając, że się przeterminowały.

Student Sadowski przybył przed czasem. Kiedy rektor wychylił się o wpół do siódmej z gabinetu, siedział już na krzeselku, otoczony książkami, które sumiennie studiował.

– Zostaw te szpargały i leć do kantyny po dwie setki – zalecił rektor, po czym schował się w gabinecie.

Gdy tylko student przybył z medykamentem, Kuna wychylił go duszkiem, a potem znów zatrzasnął drzwi. Nie otwierały się do piętnastej. Sadowski wyczytał już wszystko, co miał wyczytać, zdążył też zdrzemnąć

się na ławce, a studenci, którzy poprzedniego dnia byli świadkami jego brawurowych popisów w auli, teraz mu szczerze współczuli. Nie wyglądało na to, że zaliczenie w ogóle się zacznie. O godzinie szesnastej do domu poszła sekretarka. Skonany i przerażony Sadowski nie miał śmiałości spytać o dalsze koleje własnego losu. Drzwi gabinetu Kuny wciąż pozostawały zamknięte. Dziewczyna Sadowskiego przyniosła mu właśnie obiad i coś do picia, kiedy w korytarzu pojawił się profesor Radziwiłł. Student natychmiast zerwał się z ławki i złożył Leonardowi iście królewski ukłon.

– Nie wygłupiaj się, chłopcze. Nikt nas przecież nie widzi. – Profesor starał się szczerze zasłaniać usta, by student nie padł od jego oddechu. – Broniek u siebie?

Sadowski wzruszył tylko ramionami. Patrzył na bladego jak śmierć Leonarda i w jednej chwili pojął wszystko.

– Alkohol to wróg każdego mężczyzny – oświadczył profesor i spróbował nacisnąć klamkę. Spod pachy wypadła mu elegancko oprawiona księga. Kiedy student ją podnosił i podawał naukowcowi, wymienili się spojrzeniami. – A zwłaszcza przy kartach.

Młodzian pozwolił sobie na cień uśmiechu.

– Wygrał pan czy przegrał?

Radziwiłł dostał napadu śmiechu. Zaczynał lubić tego zuchwalca.

– Nieważne, chłopcze. Z pewnością pozbyłem się balastu – rzekł. – Dwadzieścia sześć lat pracy poszło z dymem jednej nocy, lecz mniemam, że składam je w dobre ręce.

– Oby – wyraził wątpliwość Sadowski. – Wstawi się pan za mną? Bo rektor chyba pragnie mnie złamać.

– Dowiem się, co i jak – obiecał Leonard. Jeszcze raz odwrócił się do studenta i pomachał księgą. – Nie zbaczaj ze swojej ścieżki i nigdy nie daj sobie przytrzeć nosa, chłopcze. Masz coś, czego ja nie miałem: pewność siebie i racjonalne spojrzenie. Gdybym tego nie przegrał, na swojego sprzedawcę wybrałbym ciebie.

Sadowski literalnie się zawstydział.

– Naprawdę nie chciałem profesora urazić. Jest pan moim idolem. Tylko sądzę, że robi pan głupstwo, nie doceniając siebie.

– Teraz i ja to rozumiem. Szkoda, że tak późno.

Zastukał do drzwi rektora. Odpowiedział mu ryk rannego lwa.

– Czekać! Nie przeszkadzać!

– To ja, Bronku – łagodnie rzekł Radziwiłł. – Przyniosłem dług.

Drzwi uchyliły się, a korytarz zalał gwar stadionu. Komentator dławiał się, ledwie nadążając za nogą Narcisa, który właśnie strzelił gola. Kibice szaleli. A potem nagle głos spikera ucichł, jakby ktoś wcisnął przycisk „mute”. W szparze pojawił się czyściutki, choć mocno wymięty na twarzy Broniek. Obrzucił wściekłym spojrzeniem Sadowskiego i pogroził mu palcem.

– Czekać. Nie przeszkadzać. Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Student opadł na krzesło i zabrał się do konsumowania przerwane go posiłku.

Solidnie oprawiony wolumin wylądował na biurku Kuny niczym złote runo, które Jazon wydarł ze szponów smoka Aresa. I tak też czuł się Leonard. Niestety, rektor nie zwracał uwagi na przyjaciela. Wciąż wgapiął się w ekran telewizora, a jego spojrzenie wędrowało za Narcisem. Zaciskał pięści, tupał i zagrzewał piłkarza do strzału, jakby sam znajdował się na stadionie. Dopiero kiedy bramkarz obronił kolejny strzał Brazylijczyka, przeklął i odwrócił się do Leonarda.

– Ten człowiek robi z piłką lepsze rzeczy niż David Copperfield.

– Esencja futbolu – zgodził się Leonard. – Techniczna maestria, w której bieganie jest tylko dodatkiem. Aż strach pomyśleć, do czego mógłby dojść, gdyby nie kochał samby bardziej od piłki.

– Co ty chrzaniś, Leo? Pięćdziesiąt pięć bramek w siedemdziesięciu meczach i to tylko w kadrze Brazylii. W Barcy zdobył trzydzieści trzy w trzydziestu. Kurwa, kto jest tutaj królem strzelców? Znajdź mi takiego u nas, obsypię go złotem. Nasi, widząc jego dreptanie, zesłaliby go do rezerw albo innego Klubu Kokosa.

– Jest krnąbrny, leniwy i zadufany w sobie – skwitował Leonard, nie patrząc na ekran.

– Już wiem, dlaczego go nie lubisz. Ma wszystko, czego ci brakuje. Włącznie z forszą.

– Za to ty jesteś pełen jego zalet, a jakoś nie widuję tutaj tysiąca kobiet – odciął się Leo.

– Idziesz! – Bronek zerwał się z fotela i rozwrzeszczał tak, jakby znajdowali się na stadionie. – No dalej! Idziesz! Gooool!

– Odchodzę – oświadczył Leonard.

– Pięknie go podpuścił, nie? – Kuna wciąż się emocjonował. – Złoty chłopak. Kocham tego małego plemnika.

Nagle odwrócił się do Leonarda.

– Że co powiedziałeś?

Leonard wskazał skrypt.

– Dałem dziś do introligatora. Jeśli uznasz, że to ma jakiś sens, i zechcesz wdrożyć w Grajbudzie, będę zadowolony i z dziesięciu procent. Patent oczywiście zgłoszony.

Kuna podniósł dłoń, więc profesor ucichł, ale nie patrzył na zwierzchnika, tylko śledził grę Narcisa.

– Słuchaj, Leo, nie wezmę tego.

– Nie wierzysz w moją technologię?

– Nie o to chodzi. To dorobek twojego życia. Nie mogę ci tego zabrać tylko dlatego, że gorzej poszło ci w kartach.

– Nie mam pieniędzy. – Radziwiłł wyprostował się, poprawił tupecik. – Wiesz o tym. Postawiłem i przegrałem. Mam swój honor. Długi zwracam zawsze.

Kuna zdjął okulary. Pocierał oczy tak gwałtownie, jakby chciał je wyjąć i odłożyć, by odpoczęły.

– Ile lat się przyjaźnimy, Leo?

– Odkąd przyszedłeś robić u mnie doktorat.

– Nasze żony się kolegują.

Leonard odchrząknął.

– W każdym razie znają się i przy brydzu jakimś cudem jeszcze się nie oskalpowały.

– Tylko dlatego, że zmuszamy je, by grały razem.

– No tak, to był twój pomysł i muszę przyznać, że bezkonkurencyjny. –

Kuna urwał. – Chujowo się dziś czuję, podejrzewam, że ty tak samo. Zostawmy tę rozmowę na inny termin. Weźmiesz urlop, zastanowisz się, a po sesji zimowej zdecydujemy.

– Już zdecydowałem.

– Irmiona pochwała twoją decyzję?

Leonard uśmiechnął się.

– To święta kobieta i ma ze mną krzyż pański. Ucieszy się, że nie będzie musiała inwestować w niesprzedawalne patenty. A z uczelnią i tak było więcej zwracania głowy niż pieniędzy. Syn nam pomoże. Cały czas narzekał, że nie mam czasu dla wnuków. Teraz będę mógł widywać się z nimi codziennie. Jakoś się ułoży.

Bronisław Kuna chwycił pilota i z zalem wyłączył telewizor.

– Obejrzę powtórki.

– Przyszedłem w złym momencie?

– A kiedy byłby dobry na taką rozmowę?

Kuna wyszedł z biurka i wychylił się na korytarz. Przemawiał głosem spokojnym, prawie zrezygnowanym.

– Skocz po połówkę.

Trzasnął drzwiami i zawrócił do biurka. Chwycił księgę z technologią Leonarda i znów wyjrzał. Wręczył ją studentowi.

– Sprawdź obliczenia, oszacuj koszty produkcji. Jutro na biurku chcę mieć kompletną analizę. Jeśli znajdę choć jeden błąd, wylatujesz.

– Tak, profesorze.

– Czekał. – Kuna sięgnął do kieszeni. Wyciągnął zmięty zwitek banknotów. Spomiędzy nich wypadały plastikowe żetony. – Tutaj masz też

zwrot za tamte dwie setki. Reszty nie przynoś. No co się tak gapisz? Do roboty!

Rektor odwrócił się do przyjaciela. Leo miał minę, jakby dostał po twarzy.

– Student ma mnie sprawdzać? – wychrypiał.

– Niech coś porobi – zbył go Bronek. – Wiem, że technologia jest perfekcyjna, ale młode oko szybciej dostrzeże walory produkcyjne.

Usiadł. Wskazał Leonardowi krzesło, ale profesor wyprężył się na baczność.

– Już nie rób takiej miny, jakby mama dała twoje ciastko koledze. Trochę pokory.

– Nie spodziewałem się tego po tobie, Bronek. Szybciej dostrzeże?! – ryknął. – A co, ja jestem ślepy?

– Siadaj, nie pierdol. – Kuna nie dał się podpuścić. – Wciąż jeszcze cię nie zwolniłem i każę ci siadać.

Leonard podniósł wyżej podbródek.

– Tylko się upewniłem, że dobrze robię.

– A pewnie, że dobrze. Każdy chciałby spierdolić z umieralni. Ja pierwszy, ale kto pociągnie za mnie ten wózek z gnojem? Nic to, lepiej późno niż później. Słuchaj, Leo, jeśli znajdziesz inwestora na swoją koncepcję, sprzedamy ją Grajbudowi. Podzielimy się fifty-fifty. Ja też mam swój honor.

Leonard usiadł. W oczach kręciły mu się łzy wzruszenia.

– Inwestora? Że niby skąd się go bierze?

– Z kątowni – odparował Kuna. – Poszukaj. Pogadaj z tym młodym, zatrudnij studentów. Obiecaj im zaliczenie, przekup, kogo trzeba. Nie wiem. Gdybym wiedział, nie siedziałbym przecież tutaj, tylko na Hawajach albo na Arubie.

– Mnie wystarczyłyby Wyspy Kanaryjskie.

Kuna się zaśmiał.

– Obawiam się, że naszym żonom również.

Przerwało im pukanie.

– Sadowski? Właż, jeśli masz odwagę – zakrzyknął gromko Kuna i dodał, puszczając oko do Leonarda: – Byle nie z pustymi rękoma.

Student podszedł ze skulonymi ramionami, podał rektorowi reklamówkę, a potem odwrócił się do rozpromienionego Leonarda.

– Panie profesorze, dziękuję za zaufanie. Jestem zaszczycony.

– Bez lukru, chłopcze, bo przestanę cię lubić – pouczył go łagodnie Leo.

– Przełoż owoc mego genialnego umysłu na praktyczne możliwości, a nie będziesz miał kłopotów z robotą do emerytury.

– Nie wybieram się na emeryturę, panie profesorze.

– A ja i owszem, choćby od jutra – wrzasnął na studenta rektor Kuna. –

Pędzenie życia dyktowanego wielkością pensji tak naprawdę nie jest życiem.

Frankfurt nad Menem, Niemcy, styczeń 1999

Siedzieli na balkonie, choć temperatura sięgała ledwie siedmiu stopni, ale Wolf zaczął znów palić, a lubił to robić wyłącznie na świeżym powietrzu, gdyż uważał, że w ten sposób dotlenia swoje wnętrze. Daniel wolał nie dyskutować z tak wierutną bzdurą. Rozmowa toczyła się po niemiecku, więc na jaw by wyszło, że zasób słownictwa Skalskiego gwałtownie się powiększył, a teraz nie czuł się na siłach tłumaczyć tego mentorowi. Co jakiś czas drzwi otwierały się i zamykały, Carla, odziana w futro, przynosiła im półmiski z jedzeniem oraz opróżniała popielniczkę. Wolf dotąd nie powiedział Danielowi złego słowa, ale najwidoczniej postanowił go za karę zamrozić. Koc, którym Skalski miał przykryte kolana, zdawał mu się kawałkiem szmatki, którą bawił się wiatr.

– Nienawidzę tego paskudztwa. – Wolf zgasił kolejnego, ledwie w połowie wypalonego papierosa i zaraz wziął następnego. – Jesteś z siebie dumny?

– Wcale.

– No, no, no! – zajadłował Wolf. – Nie bądź wobec siebie taki krytyczny, smarku. Co mogło pójść lepiej?

– Mogłem poczekać, aż złotnik podaruje mi sygnet, i dopiero wtedy zwać.

Wolf wypuścił duży haust powietrza.

– To wszystko przez tę bankierkę.

– Miała kiepskie nogi?

– A więc dlatego włożyła spodnie. – Daniela olśniło, ale zaraz pojął ironię i dodał, by się ratować: – Ale i tak wyprowadziłaby mnie z równowagi. Przychodzę do niej z milionem funtów, a ona każe mi płacić, że je łaskawie weźmie.

– Półtora miliona – skorygował Wolf. – I tak naprawdę nie istnieją.

– Fakt. – Daniel pokiwał głową. – Za to te sto marek istniałoby w jej kieszeni.

– Sto marek? – Wolf miał nareszcie dosyć. – Rozjechałeś system, gówniarzu, bo szkoda ci było jednego papierka?!

– Miałem się na to zgodzić? Straciłbym je, a jeszcze mieliby moje dane.

– Dopiero teraz sprawdzą twoje dane, idioto. Sprawdzą każdy znaczek na czeku. Każdy twój numerek i wszystkie adresy. Co za imbecyl.

– Dwa określenia na moją głupotę wystarczą. Zrozumiałem obelgę.

– Śmiałem wątpić.

– Igy, sam mówiłeś o zasłonie dymnej, piramidalnych kłamstwach i byciu bezczelnym. Tylko się zastosowałem. Nieskromnie sędzę, że sam nie wybrnąłbyś z tego lepiej.

– Lepiej? – Wolf aż zapłuł się ze złości. – Carla zrobiłaby to lepiej. Ten głupi rusek zrobiłby to lepiej. Ta siekana kapusta byłaby bardziej łebska!

– To *Sauerkraut*? – Daniel chwycił widelec. – Całkiem niezła.

– Numer, jaki wykonałeś, jest dokładnie tym, czego nie wolno robić artyście. Nigdy się nie przyznajesz, nigdy się nie ujawniasz. Nigdy, kurwa, nie spierdalasz z miejsca zdarzenia, upokorzywszy graczy.

– Miałem im pozwolić, żeby założyli rachunek i zorientowali się, że to lipa?

– A jak sądzisz, po co tam poszedłeś?

Daniel odłożył sztućce.

– Żartujesz?

Wolf milczał.

– Nie dotykasz wąsików.

– Nie.

– Jesteś na mnie zły.

– Jestem zły jak skurwysyn! To Klemke i Frolich wzięliby na siebie ryzyko ujawnienia fałszerstwa. To do nich pukałaby dziś policja. Ciebie tam nie było! Byłeś tylko gadającą głową, a każdy może pleść, co chce – jest wolną jednostką. Ich winą byłoby, że ci uwierzyli, bo nie musieli brać tego na poważnie.

– Więc jednak zawałem? – Daniel spojrzał oniemiały na Wolfa, a potem uderzył się w pierś i zaczął przeproszać. Na koniec naprawdę się rozpłakał: – Masz rację, jestem debilem. Teraz to zrozumiałem! Dlaczego nie odebrałem mojego sygnetu! To była taka dobra okazja! Złotnik w swetrze miał pod mój herb taki wielki rubin. Zawałem, zawałem, zawałem!

Wolf nie wytrzymał i roześmiał się głośno. Daniel, ocierając łzy, wtórował swojemu nauczycielowi.

– Te chujki nie odpuszczą – rzekł Wolf, kiedy się wyśmiali. – Nikolay dostał cynę, że już go namierzają. Trafiają naszego ruska, a potem wezmą się do mnie i wreszcie do ciebie. Gertrud z pewnością będzie miała kłopot z Dieterem, bo ją najłatwiej znaleźć. Dotrą do Yanka i trzymają ją w garści. Jeśli ćma nas wsypie, mamy gliny na karku. Może już mamy ogon! Zrobiłeś nam wszystkim niezły cyklon, trzęsidupo!

Daniel niżej pochylił głowę, by wyglądać na skruszonego. Tak naprawdę było mu po prostu zimno i dałby wszystko za czapkę albo chociaż kawałek koca, żeby owinąć sobie uszy.

– I co teraz, Igy?

– Ty mi powiedz – fuknął Wolf. – Narobiłeś szamba, sprzątaj.

– Może niech Gertrud rozgrywa, skoro wciąż ma dobre karty.

– Jaśniej, książę z koziej dupy.

– Założmy, że wiedzą już, że czek jest trefny.

– Domyślili się tego w chwili, kiedy spierdoliłeś z boiska! Sprawdzili to na bańkę! Wiedzą, że to klon klona. Teraz chodzą po ścianach i planują zemstę. Na tobie i na mnie, bo im ciebie wystawiłem.

– I bardzo dobrze, że stracili nadzieję na swój przekręt stulecia – kontynuował spokojnie Daniel. – Od początku wiedzieli, że to lewizna. Tacy durni nie są.

Wolf milczał. Chciał wziąć nowego papierosa, ale paczka była pusta. Zgniół ją ze złością i rzucił z balkonu. Jakaś kobieta pisnęła. Uśmiechną się, wcisnął ciaśniej w kąt. Rozległy się wyzwiska skierowane do Daniela, bo tylko on widoczny był z chodnika.

– Skoro ja i ty jesteśmy źli, niech Gertrud będzie dobra.

– Aha, mistrzu intrygi – mrucał wciąż rozeźlony Wolf. – A niby jak ma uczynić czek prawdziwym?

– Niech uda poszkodowaną, zaprzyjaźni się z nimi i złoży inną ofertę, żeby chcieli się odkuć. Jak w kasynie.

Wolf sięgnął po *Sauerkraut* i knedle ziemniaczane, całkiem już wystygłe.

– Jeśli będzie się jej opłacało.

– Trzeba tak zrobić, żeby widziała zysk. Mówiła, że chce uwolnić męża. Rozpaczliwie potrzebuje kasy.

– Carlo, podaj *Kümmel*! – krzyknął Wolf.

– Nie przepadam za kminkówką – zaprotestował Daniel. – Zwłaszcza przed południem.

– A kto mówi, że ty będziesz pił – obruszył się Wolf, po czym wznowił narzekania: – Pewnie, że potrzebuje, a kto nie potrzebuje.

– Więc pójdę do Yanka, kupię więcej papierów i za pośrednictwem Gertrud umieścimy je na kontach Dietera i Ottona. Skoro zadali sobie tyle trudu, szkoda, żeby okna finansowe się zmarnowały. Przecież to nie muszą być ja.

– Zdecydowanie nie. Ale przepraszam, do czego w tym nowym planie ty jesteś nam potrzebny?

– Mamy przecież gotówkę.

– Tyle byłeś mi winien.

– Więc jesteśmy już na czysto? – Daniel przekrzywił głowę.

– Tego nie powiedziałem. A opłata za lekcje?

– Może i ja cię już nie potrzebuję. – Daniel podniósł się z godnością. – Poza tym wciąż mam ten klon czeku i mogę spróbować w innym banku.

– W innym? A na jaką firmę, panie Zmyślny?

– Na siebie.

– White Horse Trust LTD zarejestrowaną w Biłgoraju? – zaśmiał się szyderczo Wolf. – Nie masz nawet numeru identyfikacji podatkowej. Nie zrobiłeś ani jednej transakcji.

– Dla nas to chyba lepiej. – Daniel wzruszył ramionami. – Firma jest czysta. Żadnych długów, obciążeń. Nic na mnie nie znajdują. Pozostaje tylko zarejestrować ją w jakimś rajach podatkowym. Przecież dopóki nie mamy transferu od króla popu, nie muszę nawet tam lecieć. Yanek zna ludzi, którzy napiszą odpowiednie kwity, a potem, jak się rozkręcimy, rzeczywiście zarejestruję tam filię trustu. Z tą samą nazwą. Kajmany, Panama, Liberia, Niue, Belize. To daje nam pięć dodatkowych okien.

– Masz tupet. – Wolf przyjrzał się Danielowi z uznaniem.

– Miałem dobrego nauczyciela.

– To spore ryzyko. Jesteś gotów?

– Pod warunkiem że wynegocjujesz u Yanka dobrą stawkę.

– Jutro się z nim spotkam.

– Nie. – Daniel postawił sprawę twardo. – Ten interes robię ja.

– Znów będziesz miał u mnie dług.

– Zwrócę przy pierwszej realizacji czeku.

Carla weszła z kminkówką. Wciąż udawała, że nie dostrzega niechcianego sublokatora. Ostentacyjnie się do niego nie odzywała, a gdy zagadywał, odwracała głowę, jakby dochodził ją jakiś fetor.

– Chyba się jednak napiję – zdecydował Daniel tylko po to, by rozdrażnić żonę Wolfa, która zbierała naczynia, waląc nimi niemilosierdzie, a wychodząc, tak trzasnęła drzwiami, że omal nie powypadały szyby.

– Dlaczego się nie lubicie?

– Ależ ja uwielbiam Carlę – zapewnił Daniel zbyt entuzjastycznie, by mogło to być prawdą. – Jest mądra oraz wrażliwa. No i robi najlepszy *Sauerkraut*.

Wolf prawie udusił się ze śmiechu.

– Patrz, wychodzi słońce – rzekł.

Po chwili Daniel ze zdziwieniem obserwował spektakl rozsuwających się chmur i z tej jeszcze przed chwilą nieistniejącej dziury w niebie spłynęła na nich przyjemna fala ciepła.

– Igy, powiedz, jak było z tym wypadkiem?

– Normalnie. Byłem po kielichu, wsiadłem do auta, zamierzałem wyjechać, a wtedy film mi się urwał. Następnego dnia dowiedziałem się, że próbowałem staranować ścianę baru. Przód volvo wyglądał jak harmonijka.

– Chciałeś się zabić?

– W życiu. Byłem pewien, że pokonam tę ścianę. Po prostu nie umiem przegrywać.

Daniel spojrzał na *Kümmel* w kieliszkach.

– Nie powinienesz rzucić picia?

– Nie jest tak źle. Z czasem widzę więcej, chociaż coraz bardziej pogrążam się w ciemności.

– Jak to jest? Widzisz czerni?

– Na tym świecie nie ma czystej bieli ani czerni. Barwy to tylko złudzenie, choć każda ma swoją energię. Jest tylko szarość i różne jej odmiany. Teraz to wiem. To jakby tło, ale z czasem uczysz się widzieć kontury, chociaż nie rejestrujesz ich oczyma. A kolory się po prostu czuje. Najbardziej lubię niebieski, jak ten skrawek błękitu nad nami w dziurawym obłoku. Moim zdaniem to lazur powinien być kolorem nadziei. Twoja ulubiona barwa to kolor ognia, walki i żądzy – czerwony, prawda?

Odwrócił się do oniemiałego Daniela. Rzeczywiście tak było.

– Nie rozumiesz, wiem. Dusza. Oczy duszy. Słyszałeś?

– Hmm. Czytałem o jodze. Kazałeś mi, kiedy miałem jakoś udobruchać Carlę. Wiem, w czym rzecz. Słuchaj, a dlaczego Vaanat już nie przychodzi?

– Wyjechał w podróż dookoła świata – odparł Wolf. – Duchową, jasna sprawa.

Daniel nie roześmiał się. Nie mógł pojąć, dlaczego mimo jego wysiłków, by zdeprecjonować kochankę Carli, Wolf wciąż go toleruje.

– Czyli wcale nie wyjechał?

– A nie wiem. Piszą sobie z Carlą. Ich korespondencja ma formę listy zakupów. Dozorca mi ją dostarcza, a ja przekazuję Carli. Ale muszę przyznać, że od tej pory bardzo się między nami poprawiło.

Kontemplowali obaj te słowa.

– Nie sądzisz, Igy, że jeśli następne papiery będą realizowane na mnie, to układ finansowy powinien być inny?

– Tak? – Wolf ziewnął.

– To chyba uczciwe.

– Jeśli uda ci się wcisnąć samodzielnie choć jeden TSB, pogadamy.

– Umowa?

Wolf nie potwierdził, nie zaprzeczył.

– Nie używaj więcej mojej wody. Nie znoszę, kiedy ktoś mnie naśladowe, gdy sam tego nie chcę. Kiedyś też lubiłem wyłącznie piekielną czerwień. Ale ubrania możesz sobie zostawić. Nikt nie wygląda w nich gorzej niż ty.

Po czym wstał i wyszedł z balkonu. Daniel chciał mu pomóc, podać laskę, ale mężczyzna był już w środku, drzwi zamknął na haczyk. W tym momencie nadciągnęła czarna chmura. Zaczęło mżyć.

– A więc to pan jest tym słynnym księciem von Hochbergiem?

Pastor Xawery Krzywicki uśmiechał się nadzwyczaj przymilnie. Gdyby się nie przedstawił, Daniel nie domyśliłby się, że ma do czynienia z duchownym. Mężczyzna wyglądał jak stary rockman i tak też się nosił, choć jego rumiana twarz nie współgrała ze strojem. Czarne skórzane spodnie, nabijana ćwiekami katana, do tego T-shirt z wizerunkiem Jezusa i buty motocyklowe. Rzadkie szare włosy Krzywicki nosił ściągnięte w kucyk, który związał damską frotką. Wyglądał, jakby uciekł z balu karnawałowego dla dzieci.

– Yanka jeszcze nie ma. Pomaga charytatywnie w naszym hospicjum. Bardzo porządny z niego bandyta. Bóg wie, jakimi ścieżkami nas prowadzi.

Daniel nic nie odpowiedział, choć mocno się zdziwił, znalazłszy adres zboru chrześcijańskiego, który dystrybutor fałszywych dokumentów podał mu jako miejsce kontaktowe. Budynek Masady świeżo odmalowano na odrażający kolor lila. Farba była jeszcze mokra, a na oknach wciąż wisiała niebieska folia zabezpieczająca. Mimo to robotnicy wnosili już do wnętrza nowiutkie krzesła w tym samym ohydny odcieniu bzu. Daniel

skonstatował, że władzom tego kościoła musi się bardzo śpieszyć z otwarciem.

– Pan ponoć jest figurą brytyjskiej finansjery – kontynuował wazelinowanie pastor. – Jestem dumny, że mogę poznać tak uzdolnionego rodaka.

– Nie ma się czym chwalić. – Daniel skromnie spuścił oczy. – Miałem szczęście znaleźć się w odpowiednim czasie i miejscu. Lata dziewięćdziesiąte wyгнаły mnie z kraju. Sam pan wie, co się działo.

– Mieszkam w Lublinie do dziś.

Daniel zapatrzył się na pastora. Nie odezwał się jednak ani słowem. Nie wiedział, czy pastor jest wtajemniczony w interesy Yanka, a gdyby nawet, nie potrzebował dodatkowych świadków, więc tylko uśmiechał się uprzejmie i łaskawie pozwalał komplementować.

– Ale nie mówmy o mnie. Pańska historia bardziej mnie ciekawi. Jest pan polskim Rockefellerem.

– Och, nie przesadzajmy, choć faktycznie moja przygoda w świecie wielkich transakcji zaczęła się od nizin społecznych, jak to zwykle bywa.

– Ja też chętnie jej wysłucham – padło z korytarza. – Jeśli to nie tajemnica. Marzyłem, by księcia poznać, odkąd doszły mnie słuchy, że bywa pan w Berlinie.

Daniel obejrzał się na drzwi i z trudem zachował spokój. Stał w nich mężczyzna oszpecony wykwitami na głowie. Twarz miał ospowatą, kanciastą. Bez wątpienia rozpoznał Daniela, ale kiedy pastor ich przedstawiał, Eryk Szaja udał, że widzą się pierwszy raz w życiu.

– Nigdy nie ścisnąłem dłoni księcia – szydził z rozkoszą Śpiewak. A potem, z trudem powstrzymując rozbawienie, zwrócił się do Krzywickiego: – Co to za kostium, Xawery? Dorabiasz na kinderbalach?

– Ewangelizowałem dziś w więzieniu. – Duchowny machnął ręką i sięgnął do szafy po swoje cywilne piaskowszare ubranie. Rozpuścił kitkę, przygładził strąki włosów. – Chłopcy czują się swobodniej, kiedy mogą ze mnie kpić. To pomysł Yanka. Uważam, że przedni. A wracając do tematu rodziny królewskiej i ściskania szlachetnych dłoni, mnie się to zdarzyło nie raz. Regularnie bywam na zamku w Windsorze dzięki

przyjaźni z Jasu Thumbem, mistrzem Zakonu Maltańskiego, który jest fanem moich kazań. Twierdzi, że rodzina królewska niezwykle je ceni. Cały czas mnie namawia, żebym wydał je w postaci książki albo na płytach. Chciałby ich słuchać, kiedy podróżuje, a czyni to nieustannie.

– To ja czuję się zaszczycony – odezwał się z przesadnym szacunkiem Daniel. – Pan Yanek przekazał mi, jak bardzo ceni pan swój czas, pastorze. Teraz już wiem, z jakiej przyczyny. Bycie złotoustym to wielki dar.

– Och, marnuję go wciąż, bezskutecznie walcząc o pieniądze – zaśmiał się pastor. – Gdybym miał pod bokiem takiego człowieka jak pan, z pewnością mógłbym zrobić dla moich owieczek znacznie więcej niż Masada czy Wrota Nadziei. Proszę opowiedzieć, jak to się stało, że zrobił pan tak bajeczną karierę. Eryku, musisz tego posłuchać.

– Marzę o tym – uśmiechnął się półgębkiem Śpiewak i wlepił oczy w Daniela, jakby zanurzał sztylety.

Skalski odchrząknął, przybrał na twarz wyraz niewinności.

– Jednym z istotniejszych elementów całości był Lloyds Bank Private Banking, szczególnie oddziały w Genewie, Londynie i Monako oczywiście – powiedział drżącym głosem. – Zaczęło się od czołgów do Iraku. Brytyjskich czołgów, ma się rozumieć, z udziałem i aprobatą ówczesnego premiera Anglii Hieronima Majora, choć wszyscy myślą, że ma na imię John. Dalej były finansowe operacje w Lloyds Banku, które rozszerzyły się na RPA i kilka państw Afryki, również arabskich, jak choćby Dubaj.

– Dubaj to chyba miasto – rzucił od niechcienia Śpiewak, ale Daniel zbył go wrogim spojrzeniem.

Zwracał się do pastora i tylko o jego uwagę walczył.

– To doprowadziło do powiązań z francuskim Elfem i wielkiej przyjaźni z prezesem Le Floch-Prigentem, Alfredem Sirrem oraz jego zastępcą Andrém Tarallem, odpowiedzialnym za Afrykę właśnie. No cóż, obecnie ci panowie nie piastują już tych stanowisk. Potem był Roland Dumas, dzięki któremu miałem szansę wejść na rynek niemiecki i uczestniczyć w transakcji zakupu rafinerii Leuma.

– Coś słyszałem – podniecił się pastor. – I pan w tym pośredniczył?

– Byłem głównym administratorem – odparł z dumą Daniel. – Z ramienia Niemiec pomagał mi Christian Wagner i kilka innych osób, ale lepiej bez nazwisk, bo tak naprawdę za tą transakcją stało CDU.

– A nie CeUDe? – przeliterował Śpiewak. – To prawie jak cud.

Daniel i tym razem go zignorował.

– CDU nie mogło odpuścić takiej gratki. Podobnie jak zakupu czołgów do Saudi Arabii. Chyba nie sądzi pan, że oni tego nie pilotowali?

– Musieli – przytaknął pastor, choć kompletnie nie miał pojęcia, o czym mówi Skalski.

Daniel natychmiast zorientował się w sytuacji. Jego głos odzyskał właściwy tembr, a do głowy wpadały coraz to nowe pomysły i fikcyjne nazwiska. Im bardziej wymyślne, tym częściej ich używał.

– Ale ja się w politykę nie bawię, więc byłem bezpieczny. Moja rola miała podłoże stricte finansowe. Mnie interesuje jedynie mnożenie zer. Taką mam słabość – zaśmiał się nerwowo. – Ponieważ jednak moje firmy były zarejestrowane głównie w Anglii, Szwajcarii, Monako i Liechtensteinie, a tylko niewiele w Niemczech, potrzebowałem pomocników jak Wagner i inni.

– Żeby CDU się nie przypięło? – odpowiedział Śpiewak i puścił oko do Daniela.

Skalski zbladł, za to pastor spojrzał na swojego kolegę z niekłamanym szacunkiem.

– Tak czy owak – uciął Daniel – w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym przyjąłem zlecenie odnalezienia i odzyskania czterystu osiemdziesięciu milionów dolarów, które zaginęły podczas wspomnianych transakcji między Barclays Bank a Deutsche Bank. Odnalazłem je po kilku miesiącach pracy, ale wiązało się to ze sporymi kosztami. Jako że moja prowizja miała wynosić piętnaście procent od tej kwoty, koszty zaś w całości ponosili zleceniodawcy, zwróciłem się o wypłatę tych ledwie dziewięciu milionów dolców akonto.

– I wtedy okazało się, że jest problem? – odpowiedział Śpiewak. – To wszystko przez kryzys na giełdzie w Singapurze. Gospodarka stanęła.

Daniel podziękował Śpiewakowi spojrzeniem, a potem roześmiał się gromko.

– I tak oto jestem tu uwięziony, panowie. Ale nie ma tego złego, skoro mamy okazję się spotkać, pokonwersować po polsku, a jaka to miła odmiana po nieustannej pracy z cudzoziemcami. Wygląda na to, że dopóki moje środki są zamrożone, mam trochę wolnego czasu na naukę niemieckiego, bo przyznam uczciwie, że nigdy nie pałałem miłością do tego języka, czego się wstydzę, jakem von Hochberg.

– Zróbmy więc coś razem. – Pastor klasnął w dłonie. – Mój kościół czekał na takiego człowieka jak ty, Danielu.

Objął go i poprowadził do biurka. Posadził na krześle prezesa.

– Nie potrzebujemy czołgów ani rafinerii, chociaż gdybyś coś sprzedawał i moglibyśmy na tym zarobić, to ja w to wchodzę. Co myślisz, Eryku?

– Pewnie, że tak – mruknął Śpiewak. – Byle nie przyszedł drugi Singapur.

– Kryzys już za nami. Rynek się odbije. To kwestia tygodnia – oświadczył dobitnie Daniel i podsunął mankiet, by błysnąć zegarkiem.

Nie uszło to uwagi żadnego z rozmówców, a w oku Śpiewaka Daniel dostrzegł zawiść.

– Musimy się spotkać. – Opuścił mankiet. Wstał. – Czas na mnie. Dajcie znać panu Yankowi, że go szukałem. Pilnie potrzebuję sprawdzić kilka dokumentów.

I pośpiesznie opuścił gabinet pastora.

Ledwie zdążył wyjść z budynku, usłyszał za sobą szybkie kroki. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że to Śpiewak.

– Może ja ci pomogę? Jakich kwitów potrzebujesz?

Daniel spojrzał oburzony.

– Od pana żadnych.

– Daj spokój, przecież cię nie wsypię. Widzę, że dobrze się tutaj ustawiasz.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Ale wiesz, że w Polsce szuka cię Interpol i pezetki? Czeki nie przeszły bez echa, a dziewczyna z poczty dostała warunkowe. Podobno próbowała się zabić, ale ją odratowali.

Daniel przyśpieszył kroku.

– Chyba nie chcesz, żebym przekazał ojcu, że znów robisz w tym samym. Tyle że na większe kwoty. Sikor widziałem.

– Nie odważysz się.

– To nie jest kwestia odwagi, lecz pieniędzy.

– Wszystko zawdzięczasz mojemu ojcu.

– W dawnych czasach tak było, ale fortuna kołem się toczy. Lucjan nic dzisiaj nie znaczy. Skończyło się.

Sięgnął do rękawa i wyciągnął rulon obwiązany gumką recepturką.

– Chciałeś coś kupić od Yanka? To ja dostarczam mu towar. Nie lepiej omijać pośredników?

Daniel nie odpowiedział. Rozpaczliwie naciskał guzik pilota, ale drzwi starego audi nie odskakiwały. W końcu otworzył je kluczykiem.

– Nie chciałbyś mieć porządnego wozu?

– Nie chciałbyś się ode mnie odpiardolić, Śpiewak? Bo jak ty mnie wydasz, prokurator z Łodzi chętnie się zainteresuje głównym fałszerzem Taty. Jak dotąd pozostaje w błogiej nieświadomości. Jeden telefon do Lucka i deportację masz gwarantowaną. A i sławę w polskich mediach. Czekaają na taki kąsek.

Eryk Szaja zacisnął usta. Daniel wiedział, że dopiero teraz łodzianin się wkurzył.

– To, co było tam, jest tam, w kraju. Tutaj ja jestem biznesmenem branży włókienniczej, a ty finansistą. Razem możemy zdziałać więcej, niż podkładając sobie świnię. Dopuszczasz mnie do spółki, Skalski, albo zjeżdżaj, gdzie cię jeszcze nie znają, co może być trudne. Lucek też będzie musiał się z tym zmierzyć. Może dzwonić i do generałów, nikt go nie wysłucha. Nie po tym, co zrobił.

Dopiero ostatnia groźba podziałała na Daniela karcąco.

– Na początek potrzebuję rejestracji trustu w Panamie i Liechtensteinie.
– Podał Śpiewakowi kilka kartek. – Oraz kilku takich czeków. Masz tutaj wzornik.

– Trzydzieści tysięcy. – Falszerz podał stawkę bez zaglądania do papierów.

– Dwadzieścia – walczył Daniel.

– Chyba że zapłacisz od ręki.

Daniel miał dość. Wyrwał z rąk Śpiewaka dokumenty i wsiadł do samochodu, włączył silnik.

– Wiem, że nie masz kasy. – Śpiewak podszedł do okna i uwiesił się na drzwiach samochodu. – Ale jestem gotów pomóc ci ją zarobić. Widziałem cię w akcji. Byłeś w słabej formie, nerwy, wiadomo, co robi z oszusta znana morda, choć trzeba przyznać, że masz do tego dryg.

Komplement zadziałał. Daniel przygazował, a jednak nie odjeżdżał. Czekał na ciąg dalszy oferty.

– Mam kilku frajerów, których warto zapoznać z bankowcem z Londynu – kusił Śpiewak.

– Dostarczysz gwarancje, czeki i resztę?

– Inaczej deal by się nie udał.

– Bandycka prowizja nie wchodzi w grę.

– Wezmę trzydzieści do siedemdziesięciu.

Daniel myślał chwilę.

– Pastor też?

– Na niego bym uważał. Niewykluczone, że dołączy do naszej drużyny. Jest częściowo wprowadzony i dobrze wygląda w koloratce, choć bardzo rzadko ją nosi. Ale dzięki niej już wiele razy ratował mi dupsko. I tobie może się przydać. Jeśli będziesz grzeczny.

Daniel podjął decyzję.

– Zrób mi te panamskie rezydencje na jutro. – Wrzucił wsteczny. – I pełnomocnictwo w sprawie złota. A jak będziesz kogoś miał, to dawaj znać. Zajmę się nim po królewsku.

Podyktował mu numer telefonu i adres Wolfa.

– Tylko nie zostawiaj wiadomości na sekretarce. Jeśli odbierze kobieta, powiedz, że jesteś moim ojcem i lekarz wystawił rachunek. Mój syn ma na imię Krystian.

– Wiem.

– Wiem, że wiesz.

– A jeśli odbierze Wolf?

– Odłóż słuchawkę.

– Nie ufasz temu Wolfowi?

– Nie ufam tobie. Trzymaj się od niego z daleka.

Odjechał z piskiem opon.

Nikolay zaparkował przed wejściem do banku i odwrócił się do Daniela.

– To ostatni na dziś, szefie? – upewnił się.

– Zobaczymy.

– Ile to panu zajmie? Skoczyłbym na pocztę. Muszę zatelefonować.

Daniel podał mu przenośny telefon.

– Możesz skorzystać z mojego.

Nikolay z ochotą chwycił komórkę. Zerknął na wskaźnik baterii.

– Trzeba naładować.

– Na meldunek dla Wolfa starczy – mruknął Daniel. – I lepiej wyjdź z samochodu, bo nie łapie zasięgu.

Nikolay powstrzymał się przed komentarzem.

– No co się gapisz? Potrzebuję mieć telefon ze sobą.

Rosjanin natychmiast poszedł szukać sieci.

Daniel przyjrzał się budynkowi. Szyld Süddeutsche Banku był wyblakły, drzwi podparto zmurszałym kwietnikiem. Tylko najmniejsza sala była używana. Resztę pomieszczeń zaplombowano, rolety zasunięto na głucho. Daniel wyjął teczkę i rozłożył na kolanach dokumenty, które zostały mu jeszcze do upłynnienia. Nie było tego dużo. Od tygodnia jeździli

z Nikolayem i w różnych placówkach składali czek, gwarancje bankowe i obligacje skarbowe, które dostarczył Śpiewak. Dzięki wsparciu Xawerego Krzywickiego nie zdarzyło się, by jakikolwiek bankier odmówił im założenia konta, a w trzech instytucjach papiery wartościowe zostały zaakceptowane. Daniel nie miał pojęcia, jak pastor załatwił to z pracownikami banków, ale z niecierpliwością czekał na uruchomienie środków. Ostatecznie zgodził się na podział pół na pół, bo pastor ze Śpiewakiem wzięli na siebie łapówki dla urzędników. Jak dotąd plan przebiegał nadzwyczaj skutecznie.

– Szefie, jakiś facet do pana. – Nikolay zastukał w szybę. – Mówi, że nie może czekać.

Daniel zakręcił korbką, przejął telefon.

– Skalski, słucham.

– Tak się cieszę, że pana złapałem. – Głos był miękki, ton unizony. – Moje nazwisko Lepki. Jestem współwłaścicielem fabryki mrożonek DrFROST w Kraśniku. Otwieramy nową linię produkcyjną SuperWegetarianki. Na co dzień eksportujemy polskie płody rolne na Wschód. Brukselka, szparagi i szczaw...

– Szczaw – powtórzył skonfundowany Daniel.

– Zgadza się, zwłaszcza w Mołdawii polski szczaw jest obecnie poszukiwany.

– Wybornie. – Daniel miał już rozłączyć rozmówcę, ale nie mógł się powstrzymać przed kąśliwością. – Niestety nie potrzebuję obecnie szczawiu. Nie przepadam za szczawową, tak że dziękuję za ofertę.

– Pan doktor Skalski? – Głos zadrżał. – Czy dobrze się dodzwoniłem?

Daniel wyobraził sobie, że rozmówca kuli się z lęku, co bardzo go ucieszyło.

– Polecił nam pana Eryk Szaja.

– Tak?

– Zależy nam na spotkaniu osobistym w sprawie linii produkcyjnej, z którą chcemy ruszyć.

– Szczawowej?

– Właśnie. Proces technologiczny i obecne przepisy zmuszają nas do utworzenia dodatkowych chłodni. Maszyny są drogie, sprowadzamy je głównie z Niemiec, gdzie, jak mi doniesiono, obecnie pan stacjonuje.

– Bywam, to lepsze określenie.

– Oczywiście wiemy, że pan bywa na całym świecie. – Rozmówca skwapliwie zgodził się z Danielem. – Dlatego zależy nam na rozmowie z panem. By utrzymać płynność, potrzebujemy szesnastu właściwie dostosowanych lodówek...

– Do przetrzymywania szczawiu?

– Tak jest. I zgniatarek plastiku, bo w przyszłości chcemy samodzielnie produkować opakowania. Tak jest taniej, a przy okazji można zaprojektować autorski nadruk. Rozumie pan?

– Lodówkami również nie handluję, choć faktycznie mam klientów w tej branży. – Daniel bawił się coraz lepiej. – Wie pan, ile kosztuje rozmowa międzynarodowa na komórkę? Mnie, nie pana, ponieważ dodzwonił się pan na niemiecki numer.

– Idzie o kredyt. – Rozmówca natychmiast przyśpieszył. – Niestety, nie mamy wystarczającego wkładu.

– To doprawdy utrudnienie. A co macie, panie Lepki?

– Lepki to moje nazwisko. Na imię mam Aleksander, ale wszyscy zwracają się do mnie Oleg. Proszę tak do mnie mówić.

– Bardzo mi miło, panie Oleg.

– Nie wiem, czy o takich sprawach można przez telefon.

– O szczawiu? Zawsze.

– Doktorze Skalski, mamy biznesplan i wierzymy w nasz projekt. Inwestycja zwróci się w ciągu trzech, maksymalnie czterech lat. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo ceniony jest polski szczaw za granicą. Oczywiście na opakowaniach piszemy, że jest ekologiczny, a nie hodowany w szklarniach, ale tutaj prosiłbym pana o dyskrecję.

– Nikomu nie powiem – zapewnił rozbawiony Daniel. – Nawet gdybym spotkał w Hamburgu jakiegoś Mołdawianina, będę milczał jak grób.

– Pomoże nam pan?

– Ja? – zdziwił się Daniel. – Jakim sposobem?

– Tak się składa, że zupełnie przypadkowo jesteśmy w Hamburgu.

Daniel ugryzł się w język. Po co o tym gadał?

– I chcielibyśmy pokazać panu nasz projekt. Wszystkie dokumenty są przetłumaczone. Rzec jest gotowa do złożenia w banku.

– Więc dlaczego tego nie robicie?

– Człowiek, który załatwiał nam kredyt, nawalił. Jesteśmy załamani. Zwodził nas kilka miesięcy, obiecywał stuprocentową skuteczność, a wczoraj przekazał nam siedem decyzji odmownych.

– Cóż, ja też nie jestem cudotwórcą – odrzekł zimno Daniel, gotów kończyć tę dyskusję natychmiast. Przestało być wesoło. – Nie znam banku, który udzieli wam kredytu, jeśli nie macie zdolności albo zabezpieczenia. Proszę pozdrowić ode mnie Śpiewaka, tfu, Eryka. Niestety nie pomogę.

Po drugiej stronie rozległ się szczery śmiech.

– My też go tak nazywamy. Równy z pana chłop. A jak gra na grzebieniu! Głos ma na miarę swojej ksywy.

Daniel był już poirytowany.

– Powodzenia, panowie. A może przerzucicie się na bazylię? Choćby wzrastała pod polską folią, powinna dobrze schodzić we Włoszech.

W słuchawce zachrobotąło i Daniel usłyszał inny głos – twardy, konkretny. Nie było w nim cienia lepkości Olega.

– Bądźmy poważni, doktorze Skalski. Pan ma gwarancję, na którą można dostać kredyt. Koszty uzyskania bierzemy na siebie. Ile pan chce od transakcji? Dziesięć, piętnaście procent? – Zawahał się i szybko skonsultował ze współnikiem. Daniel nie słyszał poszczególnych słów – rozmówca musiał zasłonić aparat. – Możemy dać czternaście. Pan Wolf żądał siedmiu. To prawie dwa razy więcej, zatem chyba się opłaci.

Daniel nabrał powietrza.

– Wolf pracował z wami?

– Zwodził nas trzy i pół miesiąca. – Znów do słuchawki dorwał się lepki typ. A potem szefowie fabryki mrożonek włączyli tryb głośnomówiący

i opowiadali na zmianę. Daniel słyszał wyraźny pogłos, jakby znajdowali się w pustej hali. – Dosiłaliśmy dokumenty, płaciliśmy łapówki.

– Ile mu daliście?

– Trzydzieści tysięcy marek pękło, co nie, Romek? Plus jakieś półtora tysiąca dolarów na tłumaczenia dokumentów. W sumie na złotówki to wychodzi siedemdziesiąt tysięcy. Nie liczymy oczywiście transportu, hoteli i kosztów reprezentacyjnych, które przelewaliśmy, kiedy tylko potrzebował. Nawet faktur nie chcieliśmy.

Daniel usłyszał, jak tubalny głos potwierdza wypowiedź kolegi.

– To naprawdę niewiele – odrzekł Skalski po namyśle. – Wolf nie mógł wyczerpać wszystkich możliwości za takie pieniądze. Będę z panem szczerzy, panie Lepki, jeśli chcecie efektów, musicie przygotować się na setki tysięcy. Oczywiście zabudżetujemy to do zwrotu przy wniosku kredytowym.

– Więc pan się podejmuje?

– To nie jest sprawa na telefon. Muszę obejrzyć dokumenty.

– Zgadzą się! – Oleg cieszył się jak dziecko. – Trzeba się spotkać. Mieszkamy w hotelu Plaza. Nocleg mamy opłacony do jutra. O której pan dysponuje czasem?

– Niestety dziś jeszcze wyjeżdżam z Hamburga.

– Zaczekamy.

– Wracam za tydzień.

– Jaka szkoda.

– Ale będę niedługo w Polsce. Fabrykę macie w Kraśniku?

– Każdy taksówkarz pana zawiezie. To największy zakład w okolicy. A gdyby pan jechał pociągiem, podejmiemy z dworca. Zapewnimy zakwaterowanie, wyżywienie, dziewczynki, jeśli pan lubi. Zdrowiutkie, mogą pokazać certyfikaty.

– Nie rozpędzaj się – skarcił wspólnika tubalny głos.

– Mam swoje auto – uciął temat Daniel. – Poza tym nie powiedziałem wcale, że współpracy się podejmuję.

– Ale ma pan tę gwarancję? – zaniepokoił się Lepki. – I może jej użyć?

– Jest wolna – potwierdził Daniel, choć nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi Lepki. Gryzł się w język i nie mógł wprost doczekać, aż spotka Śpiewaka i opieprzy go jak burą sukę, że załatwia sprawy bez uprzedzenia. – Przez najbliższy tydzień tak jeszcze będzie. Właściwie to w jej sprawie wyjeżdżam do Londynu.

– Mówimy o akcjach HEF NV, obligacjach CDK Banku czy instrumentach finansowych Eaton Corporation? – dopytywał się Lepki. –

Pan Szaja mówił, że papiery Eaton warte są nawet pięćset milionów dolarów.

– Nierozsądne jest mówić o takich sprawach przez telefon – zbeształ go Daniel.

Zapadła cisza.

– Może przesunie pan swój wyjazd? Spotkalibyśmy się, zarezerwowali gwarancję. Tak między nami mówiąc, wolelibyśmy te tańsze. Akcje HEF za trzydzieści milionów w zupełności nas satysfakcjonują.

Daniel miał ochotę uściskać tego człowieka.

– Mam już bilet.

– Pokryjemy koszty – płaścił się Lepki. – Proszę się nie martwić.

Daniel udawał, że się waha.

– Czy gdybym pracował dla pana, szanowałby mnie pan, gdybym za drobne pieniądze zdradził go dla innego klienta? – odrzekł w końcu.

– No nie, faktycznie.

I zaczął wylewnie Daniela przeproszać.

– Zrobimy tak – wszedł mu w słowo Skalski. – Najpierw muszę zapoznać się ze sprawą szczawiu. Przekażecie biznesplan i dokumenty księgowe mojemu asystentowi.

Spojrzał na Nikolaya, na co osiłek uśmiechnął się szeroko. Nie spodziewał się tak gwałtownego awansu.

– Przekażecie mu też materiały przeznaczone dla Wolfa. Sprawdzę je. Tak się składa, że Ignacy Wolf to mój pracownik niższego szczebla.

– Tego nie wiedzieliśmy – plątał się Lepki. – Nie chcieliśmy zawracać panu prezesowi głowy, ale Śpiewak zapewnił, że to ostatnia deska ratunku,

a my jesteśmy pod ścianą. Pochodzi pan ponoć z naszego terenu...

– Nie zajmuję się drobnymi transakcjami, ale ze względu na Śpiewaka i naszą wieloletnią przyjaźń zbadam, czy da się coś zrobić. Bądźcie dobrej myśli. Jeśli wasze dokumenty są pewne, dopasujemy sposób finansowania i wspólnie zdecydujemy, które akcje warto kupić.

– Wspaniale. Gdzie mamy dostarczyć pakiet?

Daniel podał adres banku, pod którym właśnie zaparkowali.

– Będę tutaj nie dłużej niż godzinę – zaznaczył.

– Już pakuję teczki i zamawiam taksówkę.

– Za konsultację nie pobiorę opłaty, gdyż jesteśmy krajanami. Jak panowie wiedzą, pochodzę z Lublina, a urodziłem się w Biłgoraju.

– Och, to wybornie! – Oleg rozpląnął się w podziękowaniach. – Pan Szaja tyle nam o panu opowiadał. Czołgi z Iraku, uratowanie giełdy w Singapurze od krachu. Czy prawdą jest, że brał pan udział w fuzji banku Lloyds i TSB i ma pan certyfikat FED? Jesteśmy dumni, doprawdy wielce zaszczytzeni, że będziemy mieli okazję poznać tak wybitnego eksperta w świecie brytyjskiej finansjery.

– Cóż, widzę, że jesteście dobrze przygotowani – roześmiał się mile połechtany Daniel. – Ale w dziedzinie obrotu pieniędzmi liczą się nie tylko kontakty, lecz przede wszystkim twardy papier. Komplementy są miłe, jednak mnie nie przekonają. Czekam na materiały.

– Oczywiście, oczywiście – powtarzał jak automat Lepki. Odchrząknął: – Jeśli zaś chodzi o wadium...

Znów odchrząknął, rozkaszał się.

– Może jakaś zaliczka? – wydusił niepewnie. – Na dobry początek współpracy.

– Oferuje mi pan łapówkę? – udał oburzenie Daniel.

– Nie, nie, sam pan powiedział, że trzeba będzie ponosić koszty reprezentacji, podróży, tłumaczeń. My wiemy, o co chodzi. Pan Wolf nam wyjaśniał. Wiele razy rozmawialiśmy z nim przez telefon.

– Nie interesuje mnie, jak załatwialiście sprawy z Wolfem. Tak między nami, pomówię z nim o tej sprawie, a konsekwencje wyciągnę. Ale jeśli

macie wobec niego jakieś roszczenia, to tylko i wyłącznie wasza sprawa.

Umilkł na chwilę, by wiadomość dotarła do królów mrożonek w odpowiednim kształcie. Zaraz zaczęli zapewniać go na wyścigi, że zgadzają się z tym sposobem myślenia.

– Jeśli uznam, że wasz szczawiowy biznes rokuje, pokryją panowie koszty obsługi. Podam oczywiście widełki, byście mogli się przygotować, a do tej chwili uprzejmie proszę nie obrażać mnie wątpliwymi propozycjami finansowymi. Czy się rozumiemy?

– W całej rozciągłości – potwierdził Lepki. – Nie dziwię się, że zrobił pan tak błyskotliwą karierę, doktorze Skalski. Etyka zawodowa, honor – w dzisiejszym biznesie to tak rzadkie.

– Panie Lepki, ja po prostu staram się nie robić innym tego, czego sam nie chciałbym doświadczyć. Taką mam zasadę. Może to głupie, ale pozwala mi każdego ranka spojrzeć w lustro z dumą. Pieniądze można zdobyć, stracić, a godność jest niezbywalna.

– Zgadza się z panem, Danielu, że pozwolę sobie na taką poufałość.

Kiedy producenci mrożonek wyrzekli te słowa, Skalski poczuł smak triumfu absolutnego.

– Czekam na dokumenty – rzucił i rozłączył się bez pożegnania, bo był pewny, że bonzów szczawiu ma w garści.

Nic, nigdy, nawet najlepszy seks, nie równało się z tym uczuciem. Wiedział, że będzie chciał zaznać tego ponownie. To była prawdziwa władza. O tym mówił Wolf, a w tej właśnie chwili Daniel to zrozumiał.

W poczekalni banku była kolejka, ale na widok Daniela siedzący w przeszklonym pokoju kierownik oddziału poderwał się i podbiegł do drzwi.

– Mam nadzieję, że zdążymy. Za pół godziny zamykacie? – droczył się z bankierem Daniel. – Dopiero przyleciałem z Monako, a pan Xawery uprzedził mnie, że obiecał pan osobiście przypilnować sprawy.

– Nie ma żadnego problemu – zapewniał raz po raz bankowiec, ale mowa jego ciała zdradzała coś wręcz przeciwnego. – Jeśli trzeba będzie,

zostanę po godzinach. Czy ma pan czek ze sobą?

Daniel potwierdził i przyjrzał się mężczyźnie. Na plakietce przy butonierce miał blaszkę z imieniem i nazwiskiem: ANTON KAPLER. Był to niski, jasnowłosy okularnik po pięćdziesiątce. Zdaniem Daniela zbyt nerwowo, by awansować do większej placówki. Zresztą skoro dotąd tego nie dokonał, raczej się to nie zdarzy, pomyślał i w tej samej chwili poczuł, że z tym człowiekiem mogą być problemy. Urzędnik był przesadnie uprzejmy, choć z nerwów pulsowały mu żyły na skroniach, a jego nadpobudliwy chichot doprowadzał Skalskiego do pasji. Facet panicznie bał się wpadki. Daniel przybrał minę pełną skruchy i zaczął cofać się do wyjścia.

– Przyjadę jutro, panie Antonie. Nie ma żadnego problemu.

– Ależ skoro fatygował się pan aż z Monako, nie wypada mi nie udzielić kluczowych wskazówek. Pastor bardzo mnie prosił o wsparcie, tylko nie sądziłem, że przyjedzie pan tak późno. Nic jednak nie szkodzi, proszę być pewnym, że to żaden problem. Nawet jeśli nie zdążymy ze wszystkimi dokumentami, jutro też jest dzień.

Jakiś czas przerzucali się podobnymi fałszywymi uprzejmościami, a Daniel był coraz bardziej poirytowany.

– Skoro tak, zacznijmy – syknął, nie rozumiejąc, dlaczego dyrektor najpodlejszej placówki, jaką widział w życiu, wciąż nie prowadzi go do swojego gabinetu, jak inni jego pokroju.

– Może kawy, herbaty? Mamy też zimne napoje dla VIP-ów. Pani Herto!
– Kierownik wołał już sekretarkę.

Wreszcie z ulgą sam wybiegł z pomieszczenia, zostawiając Skalskiego w poczekalni dla klientów Prestige.

Daniel rozejrzał się po szklanym kubiku, który urządzono w stylu lat pięćdziesiątych. Czuł się niepewnie, wietrzył podstęp, pułapkę i dopiero kiedy opuścił to akwarium, odetchnął z ulgą. Niewiele myśląc, ruszył w ślad za truchlejącym urzędnikiem. Korytarz był pusty, ściany nosiły ślady kucia, a w niektórych miejscach wystawały kable. Dopiero na końcu tego zdewastowanego tunelu Daniel dostrzegł monstrualną kserokopiarkę. Nad nią wisiała instrukcja obsługi i tablica ze zdjęciami przodowników miesiąca. Daniel miał ochotę obejrzeć twarze tych ludzi i poznać ich

osiągnięcia, ale kiedy podszedł, zaciekawiło go coś innego. Korytarzyk nie kończył się w tym miejscu, lecz miał kształt litery L, a jej dłuższe ramię ciągnęło się za bramką z pleksi, która zwykle była zamykana na szyfr. Kobieta, która dostała zadanie przygotowania poczęstunku dla Daniela, zostawiła ją przez nieuwagę otwartą, więc Skalski skorzystał z okazji i wybrał się na wycieczkę do brzucha placówki.

Droga okazała się niezwykle krótka. Zaraz dotarł do blokady z kwiatów sansewierii posadzonych w wysokich marmurowych donicach i składu kolejnych urządzeń biurowych. W rzędzie umieszczono kopiarki, skanery, ogromne drukarki i staroświeckie monitory od komputerów. Wszystko to wyglądało jak przygotowane do wywiezienia. Czyżby placówka szykowała się do przeprowadzki?

– W czymś pomóc? – usłyszał za sobą kobiecy głos. Odwrócił się gwałtownie.

Przed nim, w przepisowym uniformie kasjera, stała Gertrud Schmetterling. Kobieta trzymała tacę, na której stały kawa, herbata i świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Przez krótką chwilę oboje przyglądali się sobie zaskoczeni.

– Szukam toalety – rzekł bardzo spokojnie Daniel, jak gdyby nie rozpoznawał znajomej jego ostatnich ofiar.

– Jest poza strefą Prestige. – Gertrud nie ustępowała mu w opanowaniu.

Wręczyła Skalskiemu tacę, jak gdyby obawiała się, że ktoś zobaczy ich razem, i zniknęła za rzędem wężownic. Przez uchylone drzwi Daniel zdołał jedynie dostrzec wejście do skarbcza opatrzone plombami oraz pieczęciami.

– Widzę, że Herta mnie uprzedziła.

Mały nerwowy człowieczek w okularach pojawił się tak nieoczekiwanie i nie wiadomo skąd, że Daniel był już pewny, że gdyby przekazał mu swój czek, wpakowałby się w tarapaty. Myślał szybko, kto miał interes, by go wystawić, ale lista wrogów była zbyt długa, aby zdołał teraz to rozstrzygnąć. Pozostało mu jedynie zbagatelizować to niemiłe odczucie i grać swoją rolę według zaplanowanego scenariusza. Był to ostatni bank, który zamierzał dziś odwiedzić, a po południu szykował się na zakupy oraz umówił się w salonie BMW na jazdę próbną prawie całkiem nową alpiną. Chciałby jak najszybciej mieć zadanie za sobą.

– Co tam jest? – Wskazał wejście do skarbcza, w którym zniknęła Gertrud, jakby pragnął jedynie podtrzymać rozmowę.

– Trwa inwentaryzacja. – Okularnik mrugnął porozumiewawczo, choć może był to jedynie tik nerwowy. – Nasz wspólny przyjaciel pana nie uprzedził?

– Nic nie wiem. Tak jak mówiłem, przybyłem najszybciej, jak mogłem. Prosto z lotniska.

– Leciał pan z Monako? – rzucił zaczepnie bankowiec. – Myślałem, że samolot Lufthansy ląduje o dwudziestej. Często korzystam z tego czarteru.

– Byłem w Monako z małym przystankiem w Genewie – uciął Daniel. – Od kiedy będziecie zamknięci?

– Od jutra. Jednostka idzie do likwidacji. Budynek jest na sprzedaż.

– Więc stąd ten pośpiech – pojął wreszcie Daniel.

– Dlatego zależało mi, by dotarł pan jeszcze dzisiaj. Uprawnienia dyrektora są ważne tylko do północy we wtorek. Potem będę zwykłym pracownikiem największego oddziału w Hamburgu.

– Placówki sto dwanaście? Przy Mönckebergstrasse?

– Zgadza się. Był tam pan?

– Nie przypominam sobie – skłamał Daniel. – To chyba degradacja?

– Zależy, jak na to spojrzeć – odparł lekceważąco urzędnik, ale na jego twarz wypłynął rumieniec. – Mogę prosić o czek, druki firmowe i jakiś dokument tożsamości?

Daniel wyjął z teczki żądany komplet blankietów. Okularnik przeglądał je, cmokając zadowolony.

– Wszystko prawidłowo wypełnione. Dobra robota.

Daniel przyjął komplement bez entuzjazmu.

– Budynek jest pusty?

– Jest wystawiony na sprzedaż – powtórzył bankier. Spojrzał na kwotę półtora miliona dolarów widniejącą na czeku i zaśmiał się chochlikowato, aż Daniela przeszedł dreszcz. – Gdyby miał pan ochotę posiadać własny bank, nie ma na co czekać. Z tego, co wiem, cena jest okazjna. Ledwie

osiem i pół miliona marek, oczywiście do negocjacji. Na tyłach jest ogród i kawałek placu.

– Zastanowię się – odparł Daniel.

Wrocław, Polska, styczeń 1999

Karton z książkami blokował furtkę, a porozsypywane woluminy wyznaczały ścieżkę do wejścia na werandę. Leonard podniósł *Tajniki termodynamiki* i pędem wbiegł do domu. W korytarzu dwóch facetów, których profesor nie znał, plądrowało jego bibliotekę. Bez poszanowania rzucali książki na stos lub do rozstawionych wszędzie kartonów. W gabinecie było jeszcze więcej hycli. Leonard najpierw stanął jak wryty i z odrazą obserwował, jak jeden z nich, ten, któremu przy każdym pochyleniu się spodnie odslaniały półdupki, włąził teraz za jego biurko i dobierał się do najpilniej strzeżonej kolekcji na temat alchemii, galwanizacji i gemmologii. Leo nie mógł dłużej tego znosić. Szarpnął grubasa za pasek od spodni i pociągnął, jakby złapał na gorącym uczynku niegrzecznego kociaka, który dobrał się do śmietany, a potem teatralnie zasłonił własnym ciałem najcenniejszą półkę biblioteki.

– Wynocha! – darł się. – Precz mi z oczu, łupieżcy!

W tym momencie w drzwiach gabinetu pojawiła się Irmina. Twarz miała przerażoną, oczy szukały niebezpieczeństwa. Kiedy jednak zrozumiała, że to tylko małżonek powrócił w domowe pielesze, uśmiechnęła się przepraszająco i dała znak bukinistom, by nie przerywali pracy.

– Leoś, mogę cię prosić?

– Nie ruszam się stąd na krok! – ryczał Radziwiłł. – Wygoń ich! Nie oddam tym hienom ani jednej kartki.

– Leonardzie, bardzo się proszę, podejdź do mnie w tej chwili – powtórzyła stanowczo żona. – Nie chcesz chyba rozmawiać przy panach. Wiele mnie kosztowało namówienie ich, żeby przyjechali natychmiast. Za godzinę muszą być u następnego klienta.

Leonard spojrział na grubasa od portek.

– Zostaw ten regał, śmieciarzu. Nie zbliżaj się, bo zabiję.

Bukinista spojrział na kolegów, a potem na Irminę. Dała mu znak oczyma, by wstrzymał się z przeglądaniem tej półki, więc karnie przemieścił się w inną część biblioteki.

– Możemy zrobić najpierw te dwie szafy – rzekł pojednawczo i dopiero wtedy Leonard skierował się do małżonki.

Szedł powoli, odwracając się nieustannie, jakby sądził, że kiedy tylko straci hycła z oczu, ten rzuci się na jego książki i zgarnie je do pudełek.

– Co się tutaj dzieje, Isiu? – jęknął Leonard, kiedy znaleźli się wreszcie w kuchni, a Irmina zamknęła drzwi i zasunęła storę. – Dlaczego pozwoliłaś na ten rozbój?

Żona zdjęła fartuch, przygasiła ogień pod garnkiem, a wreszcie całkiem wyłączyła palnik i wzięła Leonarda w ramiona, jak matka.

– Złożyłeś wypowiedzenie?

– Bronek mi nie pozwolił, poprosił o miesiąc zwłoki. Ostateczną decyzję podejmiemy po feriach. Mamy przecież pieniądze, Isiu. Jeszcze nie głodujemy.

– Leoś, uspokój się. Na razie mamy, ale za miesiąc już nie będziemy mieli. Bo ty nie wrócisz, prawda?

Leonard zwiesił głowę.

– Jakie ty masz ze mną życie! Ciągłe upokorzenia, żadnej nadziei na lepsze jutro – dramatyzował. – Przepraszam cię, żałuję, że nie zapewniłem ci lepszego bytu. Tak bardzo mi wstyd.

– Przestań się mazać, Leonardzie.

Profesor natychmiast poprawił tupecik i wziął się w garść.

– Isiu, poczekajmy, znajdę coś. Zacznę sprzedawać swoje wynalazki. Już do tego dojrzałem. Na początek te proste w produkcji, najbardziej praktyczne. Elektryczny wiatrak do odświeżania jamy ustnej albo inteligentny zakreślacz. Sama mówiłaś, że brakuje tego na rynku.

Jęczał tak dłuższą chwilę, aż w końcu zatrzymał się, przyjrzał żonie, z której twarzy nie sposób było niczego wyczytać. W kąciku jej ust błąkał się jednak uśmiech Mona Lizy.

– Ty już we mnie nie wierzysz. Myślisz, że do reszty oszalałem. Wiedziałem, że to kiedyś nastąpi!

Irmina chwyciła męża za ramiona. Cała była teraz rozpromieniona, oczy błyszcząły jej, jakby miała gorączkę. Nie mógł zrozumieć, co ją tak cieszy.

– Najpierw nie mogłam ich namówić. Spławiali mnie na za miesiąc, za trzy, a potem, pewnie na odczepnego, kazali zrobić zdjęcia półek. Twój syn posłał im je przez internet.

– Mejllem, kochanie. To Paweł uczestniczy w tej zbrodni?

– Tylko wysłał wiadomość – zapewniła szybko Irmina.

– Przecież on wie, że książki są dla mnie wszystkim. Jak mam pracować bez nich?

– Znasz je na pamięć, kochanie.

– Ale mógłbym chcieć zajrzeć, gdyby przyszedł kryzys twórczy – upierał się Leonard. – Może nadejść taka chwila.

– Nie masz kryzysów twórczych, mój geniuszu. – Irmina pocałowała męża w czubek nosa.

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

– Czyli wciąż we mnie wierzysz?

– Przedwiecznie! – zapewniła zniecierpliwiona. – Słuchasz mnie czy nie?

– Całe życie.

– Jak tylko zobaczyli te zdjęcia, zadzwonili, że chcą księgozbiór przejrzeć natychmiast.

– Nie dziwię się. Gromadziłem go całe życie. Wiesz, że to jedyna rzecz, na którą nie żałowałem pieniędzy.

– Poza mną i butami z jaszczurki – mruknęła żona.

– Ekologicznej – sprostował Leonard.

– Tylko dlatego, że nie stać cię było na prawdziwą. I nie wciskaj mi kitu, Leo, bo na swoje kapelusze, kaszmirowe fulary i jedwabne poszetki wydajesz równie dużo.

– W lumpeksach.

– Gdyż jest taniej i możesz mieć ich więcej – fuknęła żona. – A książki kurzą się i stoją nieruszane. W ogóle ich nie potrzebujesz. Masz je w sercu. Twoja głowa jest cenniejsza niż wszystkie one razem wzięte.

– Tak myślisz? – Leonard wzruszył się i już czuł, że pieką go kąciki oczu. Bał się, że jeśli żona powie choć jedno słowo w tym tonie, rozplacze się jak dziecko. – A, już rozumiem, to jest podstęp. Schlebiasz mi, żeby się ich szybciej pozbyć. Nie chcesz już, żeby pani Kasia kupowała te szczoteczki z piórek. Tyle razy skarżyłaś się, jakie są drogie. Wiesz, mam projekt, autorski w pełni, takiej elektrycznej szczoteczki. Nie będziemy już potrzebowali sprzątaczkę. Sam skonstruuję robota do odkurzania księgozbiorów. Zapewniam cię, że będzie wyjątkowo wydajny.

– Dosyć, Leo! – zdenerwowała się Irmina. – Użyj resztek swojego praktycznego umysłu. Lewej półkuli. Odkąd bukiniści tu przyjechali, nie mogą się nadziwić, jak wiele jest tutaj rzadkich dzieł. Może nie białe kruki, ale chodliwe na rynku. Poszukiwane. Czy wiesz, ile warta jest twoja biblioteka?

– Sto tysięcy?

Irmina zrobiła zawiedzioną minę.

– Pewnie dla ciebie, choć sądzę, że wydałeś więcej.

– Pięćdziesiąt.

Żona nadal kręciła głową.

– Dwadzieścia?

Milczenie.

– Nie oddam moich książek za jakieś marne grosze! – wrzasnął Leonard i rzucił się do drzwi, by bronić swoich skarbów.

Irmina stała w miejscu, nie ruszyła się na krok.

– Ile przegrałeś dzisiejszej nocy, Leoś?

Zatrzymał się. Obejrzał na żonę.

– Dwa tysiące i siedemdziesiąt trzy złote – wyszeptał tak cicho, że gdyby Irmina nie znała tej sumy, z pewnością by nie dosłyszała. – Ale oddałem Bronkowi technologię. Nie mamy długów, Isiu. Wiesz, jak tego nie lubię.

Żona wciąż nie zmieniała pozycji. Podniosła podbródek. A potem podeszła do swojej torebki, którą zawsze trzymała na lodówce obok patery

z owocami, i wyjęła z portfela siedemdziesiąt złotych. Dołożyła trzy monety.

– To mój wkład. Pozostałą sumę zapłacą ci panowie, których tak brzydko potraktowałeś.

– Więc wiedziałaś?

– Żona Bronka dzwoniła z meldunkiem już rano. Z nim samym też mówiłam.

Leonard nie wiedział, co powiedzieć. Czuł się jak uczeń złapany na popalaniu w kiblu.

– Źle zrobiłeś, mój drogi Leonardzie. To było głupie.

– Testowałem nowy system. Niestety się nie sprawdził. Obiecuję, że już więcej nie będę go używał, Isiu.

– Źle zrobiłeś, oddając dzieło swojego życia za taką kwotę, idioto! – krzyknęła zniecierpliwiona profesorowa. – Masz natychmiast naprawić swój błąd!

Leonard patrzył na żonę całkiem skołowany, a wreszcie podszedł i pocałował ją w usta.

– Jesteś najcudowniejszą kobietą pod słońcem. Kocham cię, Isiu, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

– I powinienes. – Irmina wyswobodziła się już z objęć Leonarda i podeszła do płyty, włączyła palnik pod zupą. Kiedy zawiązała fartuszek, wiedział, że rozmowa jest zakończona.

Jego zaś zalewała fala wzruszenia. Nie krył już łez, ocierał je mankietem.

– Nie wiem, czym zasłużyłem sobie na tyle szczęścia. Nigdy, przenigdy cię nie zawiodę.

– Ależ niejeden raz, mój szalony wynalazco – zaśmiała się kobieta, a potem przybrała groźną minę, ale jej oczy się uśmiechały. – A teraz idź, pomóż panom pakować swoje zakurzone książki i niech je wywiozą, zanim się rozmyślimy. I wiesz co, wykorzystaj swoją popisową scenkę obrony alchemii. Może przestraszą się i uratujesz choć jeden regał. – Pokiwała na

niego palcem. Podszedł, pokazała mu kieszonkę w fartuchu. – Kasę już zapłacili, więc to, co ugrasz, twoje.

– Jesteś niezłą świruską, wiesz?

– Pewnie dlatego udało mi się trafić tak dobrą partię, Leoś.

Bukiniści pracowali jeszcze trzy godziny, a Leonard swoimi rękami rannego lwa wytargował wolność dla woluminów na całym regale za biurkiem. Za plecami szabrowników, jak ich w duchu nazywał, wstawiał tam co bardziej smakowite kąski z dziedziny fizyki i chemii. To, co księgarze odrzucili, to były powieści, skrypty techniczne bez okładek i poradniki z lat osiemdziesiątych. Powiedzieli, że w dzisiejszych czasach nikt nie kupuje literatury klasycznej, więc na stercie na środku pokoju wciąż leżał cały Sienkiewicz, Prus, Steinbeck i Zola. To wszystko, ich zdaniem, było bezużyteczne i odmówili nawet wywiezienia powieści do kontenerów. Zaoferowali Leonardowi po trzy grosze od egzemplarza, gdyby podjął się oderwania okładki od każdej książki, ponieważ szkoda im było na taką pracę czasu. Radziwiłł, słysząc te słowa, wzdrygnął się, jakby kazali mu osobiście zgwałcić każde z tych dzieł, i pienię się dobry kwadrans, więc odpuścili. Poukładał za to wzgardzone egzemplarze, by nie cierpiały z pozaginanymi kartkami na stosie, a im dłużej przeglądał kolekcję, tym bardziej się dziwił, jakim cudem zgromadził tak dużo literatury pięknej, bo przecież w tym domu tylko Isia czytała powieści. Leonardowi szkoda było czasu na cudze fantazje, miał dość problemów z własnymi. Powieści leżały więc na środku jego gabinetu jak sterta makulatury do spalenia, a on czuł, że to świat do niego mówi: czeka cię gruntowna zmiana.

– To wszystko? – Facet w spadających portkach wlaźł znów do gabinetu i Leo patrzył, jak szarpie się z ostatnimi kartonami.

Miał ochotę podkraść choć jeden i ukryć go pod biurkiem, ale nie mógł się na to zdobyć. Wreszcie zdecydował, że zastosuje fortel.

– Pomogę panu.

Rzucił się ochoczo do przesuwania pudła. A kiedy tylko grubas zniknął w korytarzu, Leo zaczął wybierać swoje naukowe skarby i zrzucać je na

stertę z *Quo vadis* i *Królową Margot*. W końcu wysypał wszystko na kupę, pudełko zaś wsunął pod bankietkę. Kiedy grubas pojawił się po kolejny karton, patrzył na Leonarda tak podejrzliwie, że profesor zdecydował się ponieść jakiś malutki kartonik równo z nim i tym sposobem wyszedł na podjazd – wciąż poznaczony porozrzucanymi książkami.

Z bólem wstawił książki do wielkiej furgonetki, ostatnim spojrzeniem obrzucił jej zawartość.

– Żegnajcie – wyszeptał. – Dawajcie mądrość i radość innym. Widocznie wasza służba u mnie dobiegła już końca. Niech wam będzie u kogoś dobrze, niech o was dbają.

– Rozmawiasz pan z książkami? – zaśmiał się jeden z hycli.

Leonard oblał się rumieńcem, ale po chwili wrócił mu rozum.

– A pan nie? – rzucił pysznie.

– Ja nie, ale co drugi klient, od którego bierzemy więcej niż tysiąc sztuk, to robi.

Leonard pomyślał: Ode mnie zabraliście trzydzieści tysięcy z górą. Zresztą sam nie wiem, ile tego było. Za marne dwa tysiące, skurwysynu!

– O co tutaj chodzi? – Pracownik skupu był jednak zaintrygowany. – To przecież tylko bloki kartek i kupa kurzu.

– Nie wiem – odparł Leonard, bo przecież nie będzie bęcwałem tłumaczył rzeczy oczywistych, i marszowym krokiem ruszył do domu, pewny, że nie poniesie już ani jednego pudełka, choćby Irmina błagała go o to na kolanach.

Co za prostaki! Jakie ich życie musi być płaskie! Ileż oni tracą, utyskiwał w myślach.

Wchodził już do domu, kiedy zatrąbił klakson. Bukiniści nagle przyśpieszyli, by zdążyć zapakować ostatnie pudła, chaotycznie zbierali resztki z chodnika, a Leonard każdą książkę żegnał chmurnym spojrzeniem, jakby odprowadzał własne dzieci do grobu. Trąbienie nie ustawało, bukiniści uwijali się jak mrówki, a Leo z satysfakcją obserwował, jak kierowca pięknej granatowej limuzyny upokarza tych hycli. Założył ręce na ramiona, a na jego twarz wypłynął krzywy uśmiezek spod wąsa. Nie zwrócił uwagi, że tupecik się odkleił, a on świeci łysiną. Kiedy to sobie

uświadomił, przejęła go groza, że wpadł do któregoś kartonu z książkami, ale nie było czasu, by zawracać księgarzy. Tymczasem klakson rozbrzmiewał już kanonadą, z okna limuzyny zaś wychylała się blondyna z tak mocnym makijażem, że jej twarz przypominała lico lalki.

– Zjeżdżaj, safandulo! – zawołała do grubasa szamoczącego się z kartonami. – Dupę ci widać.

Leonard nie wytrzymał, wybuchnął śmiechem. Nigdy w życiu nie cieszył się tak bardzo, że mieszka na wąskiej uliczce, którą zdołała zatarasować furgonetka ze skupu książek. Liczył w duchu, że scena dopiero się rozkręca, ale ku jego zdziwieniu kierowca zgasił silnik, a awanturna podfruwajka wysiadła z auta. Miała kusą kurteczkę, a spódniczkę tak krótką, że widać jej było koronkę pończoch i czerwone majtki. Na górze ubrana była głównie w dekolt. Leonard z miejsca, w którym stał, widział wyraźnie kolczyk w jej pępku oraz oczywiście biust w niemal całej okazałości. Można powiedzieć, że bluzka zakrywała jedynie sutki. Dziewczyna pochyliła się i Leonard odwrócił głowę, sprawdzając bacznie, czy u wejścia znienacka nie pojawi się żona. Odetchnął z ulgą, bo Irminy nie dostrzegł. Blondyna dzięki Bogu stała już prosto i odpalała papierosa.

– Hej! – krzyknęła. – Leo?

Leonard rozejrzał się po podjeździe wciąż otumaniony domyślaniami się, jaki widok go ominął, skoro majteczki z przodu były z czerwonej koronki. Od dziecka przyzwyczajony był, że ma bardzo rzadkie imię. Skąd więc w okolicy znalazłby się sąsiad noszący to samo miano co on?

– Leonard? To ty? – powtórzyła blondynka, a zza szyby limuzyny wychyliła się druga, bardzo podobna dziewczyna.

Leonard miał wrażenie, że dwoi mu się w oczach. I ta modelka opuściła zaraz samochód. Była równie rozgokolona jak pierwsza. Zamiast w spódniczkę była ubrana w postrzępione ogrodniczki oraz dla odmiany nie założyła żadnej bluzki. Profesor dla zdrowotności całkiem zamknął oczy. Kiedy je otworzył, kobiety nie tylko nie zniknęły, ale zdążyły wprost do furtki jego domu. Towarzyszyło im pogwizdywanie i mlaskanie pracowników skupu książek, którzy spakowali się już i mogli odjeżdżać, ale odwlekali ten moment wyraźnie zaaferowani.

– Panie profesorze!

Zza kierownicy wyskoczył dobrze zbudowany, postawny mężczyzna w szarym garniturze.

– Okrasa? – Leonard rozpoznał go, ale się nie ruszył, bo obok stała już Irmina.

– A co ty mnie nie wołasz, Leoś – zaśmiała się – jak tutaj takie widoki.

Dziewczęta dygnęły, jakby trafiły na pensję. Wyższa, w spódniczce, rzuciła pośpiesznie papierosa. Druga zatrzymała się przed wejściem i zaczęła flirtować wzrokiem z bukinistami, licząc zapewne, że żona Radziwiłła w tym czasie się schowa. Okrasa zaś wyminął dziewczyny, popchnął bramkę i podbiegł do Leonarda.

– Profesorze, przepraszam, że nie uprzedziłem, ale nie było jak pana złapać. Telefonu pan nie odbiera – poskarżył się woźny, który w tej chwili wyglądał lepiej niż Sean Connery, co Leonard zarejestrował z zazdrością. –

Rozmawiałem z Paolem Langustą. Zgodził się spotkać. Jestem pewien, że przekona go pan do zakupu swojej technologii.

A kiedy to wyłuszczył, skłonił się Irminie z unizieniem.

– Profesorowo, ja ręczę, że będę małżonka strzegł jak żrenicy oka. Pan Langusta jest, jaki jest, ale kasy ma jak lodu.

Leonard już miał odmawiać, zaprzeczać, że wcale tego nie zaplanował, to nie było ukartowane, ale żona jak zwykle go uprzedziła.

– Idź się przebrać, Leo. Zobacz, jaki pan Okrasa elegancki. Pan Langusta to widać esteta. Naszykowałam ci tenisowy garnitur z burgundową kamizelką. I buty zmień, te trzeba wyrzucić.

A potem wolnym krokiem ruszyła pogadać z dziewczynami. Kiedy Leonard wchodził do domu, słyszał odgłos damskiej paplaniny i stłumione chichoty. Bez pudła rozpoznawał głos Irminy, która zadawała pytania i śmiała się najgłośniej.

– *Bonjour, monsieur* Langusta – przywitał się Leonard, uchylając kapelusza.

Ponieważ mężczyzna nie zareagował, powtórzył powitanie po niderlandzku, a następnie po niemiecku.

– Paolo mówi po polsku. – Wyższa blondynka, która – jak Radziwiłłowi podszeptała żona, zanim wsiedli do limuzyny – nosiła imię Inez, szturchnęła Leonarda.

– Papciu, nie strasz profesora – zakrzyknęła nowa koleżanka Irminy.

W drodze do restauracji, w której biesiadował Langusta, Leo usłyszał, że przyjaciółki krezusa wpadną któregoś dnia na wino (wtedy też dowiedział się, że jego żona uwielbia primitivo).

– Ta ma na imię Cesia – oświadczyła Leonardowi konfidencjonalnie żona oraz wymogła na nim obietnicę, że nie będzie kpił. Sam przecież przeszedł w dzieciństwie katusze tylko z tej przyczyny, że rodzice nazwali go Leonardem.

Właściwie naukowiec nie do końca wiedział, co się wydarzyło, kiedy się ubierał, i jak to się stało, że jego małżonka zapałała nagłą sympatią do lekkich kobiet. Ostatecznie bowiem Cesia i Inez wymusiły na Irminie, by pojechała z nimi na tylnym siedzeniu i we trzy całą drogę wtórowały Bon Joviemu, aż w jaguarze trzęsły się franki. Leonard z Okrasą zgodnie milczeli z przodu.

– Chodźcie do mnie, moje dziewczynki! – odezwał się nareszcie Langusta i rozłożył ramiona, jakby szykował się do odlotu, a blondynki, piszcząc, zajęły swoje stałe miejsca.

Leo przyglądał się napomadowanym włosom Paola oraz jego nienaturalnej o tej porze roku opaleniznie, która chyba miała na celu uwydatnić liczne zmarszczki. Nie dziwił się teraz wcale, dlaczego Langusta unika ludzi jak ognia. Jeśli jest młodszy ode mnie, pomyślał zjadliwie, z pewnością maksymalnie eksploatował dany mu czas, bo sprawiał wrażenie mocno zużytego.

– Szczerze? – szeptała mu znów do ucha żona. – Lepiej się trzymasz, Leoś, mimo łysiny i siwych wąsów. Powiem ci, że bardzo się ucieszyłam, kiedy twój tupecik się nie znalazł. Nienawidziłam go. Wyglądałeś w nim głupio.

Leo był w takim szoku, że nie wiedział, co odpowiedzieć. Chciał spytać, dlaczego Irmina czekała z tą oceną całe szesnaście lat, ale zmilczał, gdyż powód musiał być ważki, a obawiał się, że nie wystarczyłoby mu obecnie siły, by dźwignąć taki ciężar prawdy.

– Okrasa, wołaj kelnerki – polecił kierowcy Langusta. – Niech zaczynają podawać.

Kiedy tylko woźny zniknął z pola widzenia, zwrócił się do Leo:

– Więc pan jest profesorem. Wynalazcą i geniuszem.

Leo czuł, że się rumieni.

– To wszystko prawda – pośpieszyła z wyjaśnieniem Irmina. – Specjalnie dla mnie skonstruował elektryczną szczoteczkę do odkurzania książek. Mamy ich kilkadziesiąt tysięcy.

– Książek czy szczoteczek? – włączyła się Cesia, ale sponsor zgromił ją spojrzeniem, więc chwyciła kieliszek i opróżniła go duszkiem.

– To można się narobić – uprzejmie rzekł Langusta. – Ja handluję cementem. I łupkami. Oraz węglem. Czasami też kałasznikowami. A właściwie pośredniczę. Przerzucam tiry z zachodu na wschód albo odwrotnie – roześmiał się.

– Czytałem o pana firmie – odparł Leonard. – Moje gratulacje.

– Nic wyjątkowego. W odpowiednim czasie spotkałem właściwych ludzi. Wie pan, nie mam nawet zawodówki. I nie mówię po niderlandzku.

– Okrasa wspominał, że jest pan Belgiem.

– Tak stoi w moich papierach, ale to nieistotny szczegół. Najchętniej rozmawiam po polsku. W interesach niemiecki i trochę francuskiego w zupełności wystarczą. Ile zresztą można mówić o cemencie? Kilka liczebników i interes się kręci.

Na stół wjechały wędliny, sery. Kelnerka nie nadążyła z otwieraniem win. Nalewała kolejno do kieliszków Langusty, ale cztery razy wypłuł i dopiero piąte zaakceptował.

– Co będziemy dziś pili? – pisnęła Cesia.

– Byle nie zabrakło – dodała Inez, a potem pochyliła się do Irminy. – Odkąd bywam na imprezach u Paola, jeszcze nie zdarzył się sikacz i głowa potem nie boli wcale.

– Albariño – zdecydował Langusta, jakby wydawał wyrok. – Znacie?

Leonard zawahał się, a potem wyrecytował:

– Zdaje mi się, że to szczep białego rieslinga, który na końcu języka zostawia słony posmak, jakby kapkę oceanu.

Biznesmen nie krył zadowolenia.

– Widzę, że nareszcie mam do czynienia ze znawcą.

– To wiedza czysto teoretyczna – zaprotestował Leonard. – Wie pan, mam całą półkę książek o winach. – Zawahał się. – Miałem. Ale to nieważne, bo nigdy nie próbowałem albariño.

– To musi pan! – rozochocił się Langusta.

Kiedy upili łyk (Inez i Cesia trochę więcej, i nawet nie udawały, że badają bukiety w czaszach kieliszków), Leonard się rozgadał:

– Mówi pan riesling i w pewnym sensie ma rację, choć moim zdaniem to raczej wypadkowa rieslinga i viogniera. Rieslinga pod względem mineralności, a viogniera poprzez charakterystyczne cechy aromatyczne. Jagody tego szczepu są niewielkie, okrągłe, o barwie ciemnego złota i soczystym miąższu. Grube skórki pozwalają im znosić niezwykle wilgotny galisyjski klimat, który przy innej budowie owoców mogłoby spowodować ich gnicie. Powstające z nich wina osiągają wysoką zawartość alkoholu, dobrą kwasowość oraz sporo ekstraktu.

– Jest pyszne – podsumowała Irmina, co rozbawiło wszystkich. – Od dziś to moje ulubione, mężu.

Leonard patrzył na małżonkę z rosnącym przerażeniem. Nie rozumiał zupełnie, co się z nią działo. Znali się przeszło trzydzieści siedem lat i nigdy się tak nie zachowywała. Gdyby wiedział, że będzie taka imprezowa, już dawno sprzedałby książki handlarzom.

– Nie wiem, czy nas będzie stać, Isiu.

– Isiu – zapiszczały zgodnie Cesia i Inez. – Jacy oni uroczy. Jeeej!

Langusta skorzystał z okazji i wyczałował obie blondynki.

– A na co chcecie odkładać? – zwrócił się do Irminy. – Macie chyba tylko jedno życie.

– Butelka tego trunku przekracza moje honorarium za artykuł naukowy. Przez kilka miesięcy muszę robić badania, by go napisać – odezwał się smętnie Leonard.

– Dostyc tego biadolenia – przerwał mu biznesmen. – Okrasa chlapnął, że ma pan do sprzedania kilka niezłych patentów. Co może nam się przydać? Działamy w bardzo wielu branżach. Wciąż szukamy nowinek.

Leonard napiął się, by jak najprościej wyłożyć teorię płyt cementowo-wiórowych, ale żona go uprzedziła.

– Nie nudźcie, panowie – zacwierkała i położyła na stole księgę oprawioną w czerwoną skórę, z wytłoczonymi na niej złotymi zgłoskami.

Leonard nie mógł uwierzyć, że Irmina jest w stanie przyjąć taki tembr głosu. Upił więc łyk wina, coby nie zemdleć. Dopiero wtedy był gotów się zastanowić: skąd Irmina ma księgę, skoro dziś rano osobiście oddał ją Kunie? Zerkał pytająco na małżonkę, ta jednak nie zwracała na niego uwagi.

– Tutaj jest wszystko, włącznie z opinią eksperta, niejakiego inżyniera Sadowskiego, doktoranta mojego męża, oraz rekomendacją samego rektora wrocławskiej politechniki.

Leonard musiał się jeszcze napić. Pilnie.

– Oddam rzecz do badania – zapewnił Langusta rad, że wykład mają już zaliczony. – Przejdźmy więc do interesów. Jeśli rzecz warta jest uwagi, czego oczekujecie od nas? Bo chcecie pieniędzy, jak każdy. Ile?

Leonard znów spiął się w sobie i chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Mąż jest prokurentem Grajbudu. To nieduża spółka, pewnie pan słyszał.

– Wiem, co to jest – podchwycił Langusta. – Nasza konkurencja. Robią płyty cementowo-wiórowe i mają poważne kłopoty.

– Niech pan ich wykupi. – Irmina wzruszyła ramionami i wskazała leżącą na stole książkę. – Wprowadzi technologię Leosia do produkcji, a pręźnie już wtedy działającą spółkę dołączy do swojego konsorcjum.

– Widzę, że Okrasa mnie oszukał – zaśmiał się Langusta. – Nakręcił mnie na spotkanie z szalonym wynalazcą, a spotykam się z królową Saby. Pani jest urodzonym człowiekiem biznesu.

– Z nim się nie da gadać. – Irmina machnęła ręką i poklepała Leonarda pieścizotliwie po plecach. Widać było, że wino uderzyło jej do głowy, ale była w tym podchmieleniu urocza. – Zanudziłby pana technologią

i cyferkami. Nie mogę na to pozwolić. Znam swojego męża praktycznie od dziecka. Gwarantuję, że to jest jak żarówka Edisona, rozumie pan? Leoś wymyśla coś, patentuje i trzyma w biurku, a potem ja widzę w telewizji, że ktoś sprzedał podobną rzecz i został bogaty. Mam dosyć.

– I postanowiła pani wziąć sprawy we własne ręce?

– Nic z tych rzeczy – oburzyła się profesorowa. – Przyszłam, bo pana dziewczyny mnie zaprosiły. Polubiłyśmy się od pierwszego wejrzenia. Zawsze chciałam taka być. Że nie wspomnę o biuście.

Leo czuł, że za chwilę to się źle skończy.

– Panie Langusta – spróbował się włączyć.

– Mów mi Paolo.

– Słuchaj, Paolo, to nie jest tak, że próbuję ci coś wcisnąć, wziąć kasę i uciec. Ja chciałbym, żebyś postawił ten zakład na nogi. Mój przyjaciel go prowadzi.

– Wiem, pan Kuna, rektor i twój rekomendator – uśmiechnął się biznesmen.

Leo zaczerwienił się, spojrzał na Irminę z wyrzutem. Ta jednak udała, że nie zauważa ironii. Chichotała z dziewczynami, jakby znów miała czternaście lat. Wszystkie zapiszczały, kiedy przyniesiono ostrygi i krem truflowy.

– Chcesz, dam ci papier, że zainwestuję w Grajbud. Dziewięć baniek wystarczy, żeby powstrzymać syndyka.

Zawahał się. Patrzył na efekt.

– Tak samo jak ty sprawdzałeś mnie, ja zweryfikowałem ciebie. Chyba nie masz mi za złe. I nie wstydz się tego. To prawidłowe podejście.

– Nie sprawdzałem. Po prostu wszedłem na stronę, trochę poczytałem. Nie robiłem wywiadu gospodarczego.

– A powinieneś był. Jak to się stało, że Kuna powierzył ci funkcję prokurenta, skoro nie robisz takich rzeczy? – Langusta nie krył oburzenia. – Chcesz wiedzieć pewnie, jaka jest moja rola i czy Nowak istnieje?

– A istnieje?

– To figurant. Pojawiam się jako pionek, a kiedy coś mi nie pasi, mówię, że przekażę szefowi. Tak jest wygodniej.

– Dlatego nie ma jego zdjęć w sieci? Dziennikarze spekulują, że sporo zapłacił, żeby wyczyścić internet z wszelkich danych o sobie.

– A może Stefan Nowak to Paolo Langusta? – krzyknęła porządnie już wstawiona Inez. – Wiesz, misiu, ja zawsze to podejrzewałam.

Przytuliła się do Langusty. Odsunął ją bezceremonialnie.

– Jeśli chcesz, może i tak być, Leo. Dam ci ten papier, a twoją księgę sprawdzę. Ale to nic nie da, jeśli zakład nie będzie miał kapitału. Zrobiłem taki majątek nie dlatego, że znam się na winach i lubię ostre blondyny w szortach, tylko z tej przyczyny, że moje pieniądze ciężko pracowały, żeby robić jeszcze większe pieniądze. Nie mam zwyczaju rozdawać ich byle komu, choćby miał mózg Einsteina. Przez większość czasu życie nie mówi do ciebie, za to popycha cię to tu, to tam. Każde popchnięcie to sygnał od życia: obudź się, chcę, żebyś się czegoś nauczył. Kapiszi?

Leonardowi kręciło się w głowie. O czym ten człowiek gada? – myślał.

– Jeśli uczciwie przerobisz te życiowe lekcje, będziesz miał się dobrze – ciągnął zapamiętałe krezus. – Ludzie zwykle dają się popychać, inni złością się i ciągną z powrotem. Zdecydowana większość rezygnuje, a niektórzy, tacy jak ty, lubią walczyć.

– Ja? – wyjąkał Leonard. – Walczyć?

– Chcesz być bogaty, pić z żoną albariño i patrzeć, jak dzięki twojej technologii powstają nowe osiedla?

– Po to tutaj jestem. – Leonard wypiął dumnie pierś. – Choć wcześniej głównie dawałem się popychać.

– Jak każdy z nas.

– Więc co mam zrobić?

– Każdy ma do zrobienia to, co ma.

Langusta rzucił się na ostrygi. Popijał je drogocennym albariño, jakby to była lemoniada. Opróżnione muszle rzucał na krochmalony obrus, a napychał się tak łapczywie, że nikt przy stole nie miał wątpliwości, jak

żarłocznie podchodzi do życia. Kiedy patera była już pusta, zmierzył czujnym spojrzeniem uczestników biesiady.

– Ja sprawdzam technologię i dostosowuję ją do produkcji. Daję Kunie glejt na dziewięć milionów, niech złoży go w sądzie, żeby opóźnić pogoń, a ty w tym czasie znajdujesz inwestora, żeby produkcja ruszyła. Wtedy robimy fuzję, jak radziła twoja małżonka. Będziemy wspólnikami, Leo.

Leonard roześmiał się.

– Chyba się nie zrozumieliśmy, Paolo.

– Paolo, Leo – zaśmiewały się pijane Inez i Cesia, choć mężczyźni nie zwracali na nie uwagi. – Oni są tak nudni, jak przyjaciel SpongeBoba, ten z niebieskim nosem.

– Tylko który jest który? – dodała bardzo poważnie Irmina.

Na jej twarzy nie było nawet śladu pijaństwa. Leonard zrozumiał, że wcześniej udawała, i był pewien, że żona chłonie z tej rozmowy każde słowo.

– W czym się nie zrozumieliśmy, profesorze?

– Gdybym miał moce, by szukać inwestora, nie byłoby mnie tutaj. Myślałem, że ty nim będziesz.

– Nie. Ty nim będziesz.

– I tutaj mój analityczny umysł zawodzi.

– Ty sam wprowadzisz technologię do przemysłu, Leo – upierał się Langusta. – Ja ci pomogę, ale zrobisz to sam.

– Niby jak?

– Spieniężysz akcje HEF NV, które pomogę ci kupić, pomnożysz, a potem przyniesiesz je Kunie na talerzu i wykopiesz go ze stanowiska. Zostaniesz prezesem Grimbudu. Bo tego tak naprawdę chcesz. Władzy.

Zapadła cisza.

– Grajbudu – poprawił biznesmena Leonard i umilkł.

W tej jednej chwili zrozumiał, że cała ta szopka nie miała żadnego znaczenia. Langusta chciał go użyć. Naukowiec nie odważył się jednak zareagować tak, jak powinien: wstać, zafundować opalonemu staruchowi fangę w nos albo i nie walić go, a tylko zabrać swój kapelusz i odejść

z godnością. Nie zrobił nic. Już sądził, że wreszcie odzyskał siły, ale teraz czuł, że go opuszczają. Siedział skulony i zastanawiał się, czy Broniek zapomni o jego wygłupach z rzucaniem posady. Był nikim. Całe swoje życie przepuścił na durną zabawę w wynalazki i tanie popisy w skajowej jaszczurce na stopach.

– Jestem zmęczona. – Irmina podniosła się z krzesła i czekała, aż mąż zrobi to samo, ale on nie reagował. Dodała więc zdecydowanie: – Leonardzie, idę do samochodu. Jeśli za pięć minut nie przyjdiesz, Okrasa cię przyprowadzi.

– Jak to pomożesz mi kupić? – wybełkotał Leonard. – Ile one kosztują? Ja nie mam pieniędzy. Człowieku, nie mam już nawet biblioteki. Dziś spieniżyłem za karciane długi.

– Też zaczynałem od zera. – Langusta poklepał Leonarda po plecach. – Idź, bo to twarda baba. Gdybym kiedyś taką spotkał i się na niej poznał, nie siedziałbym teraz na jachcie z płatnymi siusiumajtkami.

Rozległy się gwizdy protestu. Langusta uśmiechnął się.

– Choć ma to swój urok.

Leonard powoli podnosił się z krzesła. Zachwiał się, zatoczył na stół, aż spadła zastawa. Utrzymał się jednak na nogach, wyprostował. Zdawało mu się, że umysł ma wyjątkowo klarowny.

– Ile masz tych akcji HEF?

– Sto trzysta tysięcy. Sprzedasz je za pięćdziesiąt cztery miliony guldenów, czyli masz w kieszeni dwadzieścia siedem baniek dolarów. Jeśli zrobisz to w tym tygodniu, bo potem zaczną spadać.

– Dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Bo to ty potrzebujesz pomocy, nie ja.

– Co będziesz z tego miał?

– Połowę. Kasę za same akcje zwrócisz mi po spieniężeniu. Pomnożenie kapitału to już twoja sprawa, chociaż jestem skłonny pomóc ci znaleźć człowieka od funduszy hedgingowych. Zwykle czeka się miesiącami, ale z takim kapitałem Gary French przyjmie twój wkład z pocałowaniem rączki. Do transakcji wchodzi maksymalnie pięć osób. Jeśli dobrze zamieszasz, i w to cię wprowadzę.

– To akcje Nowaka, prawda? On istnieje.

Langusta spojrział na profesora z szacunkiem.

– Jeśli ty tego nie zrobisz, znajdę kogoś innego. Ale wtedy twój wynalazek nie trafi do analizy Providenzy, no i nie będzie glejtu dla syndyka Grajbudu. Zadbam o to. Nikt nigdy go nie weźmie.

– Nie tłumacz mi rzeczy oczywistych – stwierdził zimno Leonard, rejestrując, że tym razem Langusta okazał szacunek firmie Kuny. – Miłego wieczoru.

Kronberg, Niemcy, luty 1999

Yanek podjechał swoim czerwonym kabrioletem pod Süddeutsche Bank i wygasił światła. W ciągu dnia kręciło się tutaj mnóstwo turystów oraz amatorów zakupów, ale teraz ulica była pusta. Rozłożył siedzenie, wyciągnął nogi, zdecydowany się zdrzemnąć – miał jeszcze dziesięć minut do spotkania. Przymknął oczy, lecz zaraz je otworzył. Coś było nie tak. Dlaczego ten budynek jest jak wymarły? Zerknął jeszcze raz na witrynę banku i postanowił się przejść. Składał właśnie siedzenie, kiedy w wyjściu się zaświeciło. Skulił się, przywarł do szyby. Lustrował wychodzących: niskiego mężczyznę w okularach, który obłapiał przystojną kobietę w przepisowym uniformie kasjerki, skutecznie uniemożliwiając jej zamknięcie drzwi na klucz. Wreszcie kobieta pacnęła żartobliwie namolnego amanta i wyswobodziła się z jego objęć. Wspólnie zaczęli zasuwac metalową kratę. Kasjerka założyła kłódkę, klucz wrzuciła do kieszeni towarzysza. Kiedy przeszli obok Yanka, dziewczyna odwróciła się i spotkali się wzrokiem. Przez krótką chwilę kasjerka patrzyła na niego przestraszona, ale okularnik otworzył już drzwi do starego opla, więc pośpiesznie zajęła miejsce na siedzeniu pasażera. Odjechali.

Yanek odetchnął z ulgą, że go nie wydała. Spojrzał na zegarek, miał jeszcze trzy minuty. Gdzie jest Gertrud? Dlaczego umówiła się z nim właśnie tutaj, skoro bank jest zamknięty? A może jest w środku? Żałował, że siostra nie ma komórki. Musi koniecznie jej jakąś załatwić, niech straci. Tak nie da się pracować! Pstryknął radio i zaczął nerwowo przerzucać kanały. Wszędzie trwały wiadomości, już dawno musiała wybić dwudziesta trzecia. Zsynchronizował czasomierz. Ależ się zagapił.

Serwisy informacyjne się zakończyły i Falco wykonywał teraz swój hit *Out of the Dark*. Yanek lubił muzykę Hansa Hölzela, choć przed nikim się do tego nie przyznawał. Włączał ją jednak zawsze, gdy spraszał do siebie dziewczyny. Cenił też styl Falco i uważał go za niemieckiego Bonda. Tyle że znacznie przystojniejszego i prawdziwego. Facet miał klasę. Yanek zanurzył się w chropawym głosie wokalisty, podrygiwał w rytm muzyki, chłonał basy. Pewnie dlatego nie usłyszał szarpnięcia i stukania w szybę.

Jednym ruchem wyciszył radio i przyjrzał się puciołowatemu mężczyźnie w meloniku i okularach przeciwsłonecznych. Odblokował centralny zamek.

– *Guten Abend, Herr Yanek* – przywitał się gość, kiedy zajął tylne siedzenie. – Przepraszam za spóźnienie.

Yanek zwrócił uwagę, że mężczyzna mówi po niemiecku z okropnym akcentem.

– Pan Wolf? – upewnił się.

– *Ja, natürlich* – roześmiał się nieprzyjemnie mężczyzna. – A kogo się pan spodziewał? Hansa Hölzela?

– Ma pan pieniądze?

– Dlaczego nie przybył pan na spotkanie? Mój podopieczny Daniel czekał u pastora.

– Coś mi wypadło.

– To nie może się więcej powtórzyć.

– Szacunku nie kupuje się za dobre słowo. Flotę pan ma?

Mężczyzna zdjął melonik i położył go na siedzeniu. Wyjął z niego zawiniątko, podał Yankowi. Nie sprawiał wrażenia, że nie widzi. Nie macał przedmiotów, nie zaczepił się, kiedy wsiadał, a przecież był sam i nie miał ze sobą swojej słynnej laski. Yanek postanowił przekonać się, czy rzeczywiście jest ślepcem. Włączył światło. Człowiek nie poruszył się, ale wykrzywił twarz w grymasie pogardy.

– Sprawdza mnie pan czy czeka, aż psy nas wylegitymują?

– Muszę przeliczyć.

– Nie musi pan. Nie za tę cenę. – Wyciągnął rękę. – Moje dokumenty.

Yanek nie zwracał na pasażera uwagi. Zgasił światło i wysunął się, by skorzystać z ulicznych latarni. Szybko przeliczył banknoty.

– Zgadza się?

Yanek w odpowiedzi włożył mu w dłoń dokumenty.

– Gdyby coś było jeszcze trzeba, proszę zostawić wiadomość u pastora.

– Już trzeba. Dwie rzeczy – odchrząknął ślepiec. Zawahał się. – To trochę inna robota.

– Słucham.

W radiu poleciało *Zehn kleine Jägermeister Die Toten Hosen*.

– Sygnet z herbem na rubinie. Pewien złotnik z Mülheim zaczął go wykonywać dla mojego człowieka. Niestety chłopak wyjechał z kraju i nie zdążył go odebrać.

Do Yanka powędrował blok dolarów w banderoli.

– Potrzebny będzie też komplet dokumentów na imię i nazwisko Daniel von Hochberg. Prawo jazdy, paszport, dowód osobisty. Może być watykański, nie pogniewam się.

Yanek schował pieniądze.

– Sporo pan płaci za taką robotę.

– Ten złotnik, Otto Klemke, nie lubi mojego chłopca. A ponieważ gniewają się z Danielem, za mną też nie przepada. Chodzi o to, żebyśmy się nie spotkali.

– Za tego typu usługę to za mało. Zresztą nie ten adres, niech pan spyta Nikolaya. Jego ekipa jest bieglejsza w zamykaniu ludziom ust.

– Nie o to idzie, panie Yanek.

Mężczyzna sprawnie przejrzał sfałszowane dokumenty, które przed chwilą kupił, i Yanek był już pewien, że legenda o ślepcie Wolfa to blaga, bo Igy oderwał z książeczki czekowej blankiet, wypisał go i podał Yankowi.

– To dla Ottona. Za sygnet.

Niemiec zaśmiał się.

– Przecież to lewizna. Nie robię takich rzeczy. Sam pan mu to podaj.

– Gertrud panu wszystko wyjaśni. Ma go pan złożyć w tym oddziale jeszcze dziś. – Wskazał budynek pogrążony w ciemności. – Przelewy ruszą w poniedziałek. Od dziesiątej będzie na pana czekał kierownik placówki. Jest uprzedzony, proszę powołać się na mnie.

– Najpierw robota, potem sygnet i papiery. Jeśli będzie wtopa, stop zabawa.

– To jeszcze nie wszystko.

Yankowi nie podobał się ton tego człowieka. Odwrócił się i poświecił mu w oczy latarką. Mężczyzna odruchowo zasłonił się dłonią.

– Co jeszcze, panie Wolf? Bo chyba pan nie dokończył.

Ale ślepiec siedział teraz nieruchomo.

– Przemoc nie jest wskazana – rzekł cicho. – Nikolay i jego chłopcy stoją po drugiej stronie.

W tym momencie w audi zaparkowanym naprzeciwko zaświeciły się reflektory. Wsiadł z niego wysoki muskularny mężczyzna. Zmierzał w ich kierunku marszowym krokiem.

– Już dobrze – poddał się Yanek. – Odwołaj go.

Wolf wychylił się, dał znak Nikolayowi. Osilek wrócił do samochodu.

– Przestraszyłeś mnie pan.

Yanek był skołowany.

– Co jeszcze, bo mam robotę. Nie chciałem pana uderzyć.

– Biorę twój wóz. Ty weźmiesz mój.

– Żarty.

Mężczyzna podał Yankowi komórkę.

– Zapytaj siostrę. Jest w temacie.

– Gertrud nie ma telefonu.

– Wyszukaj numer do banku. Süddeutsche Bank Kronberg. Odbierze.

– To ten? – Yanek wskazał ciemny budynek. – Gertrud jest w środku?

– Kręć.

Yanek wykonał polecenie.

– Zajęte. – Oddał komórkę dziwakowi, który włożył już melonik.

– Pewnie rozmawia z człowiekiem od Frencha. Próbują wykonać kilka transakcji, ale ten szuja dyrektorek nie ma wszystkich kodów. A może ma, ale się boi? Muszą to jakoś obejść. Jeśli im się uda, część kasy może pójść na twoje konto. Jakiego banku jesteś klientem?

– Nie wierzę w banki.

Mężczyzna roześmiał się.

– Słusznie, ale i głupio, bo tym sposobem nie dostaniesz swojej doli. Próbuj do skutku.

Yanek znów wykręcił.

– Oddaj mu wóz – usłyszał głos siostry. – I przyjedź po mnie o czwartej, najpóźniej o czwartej trzydzieści. Mówił ci o numerze konta?

– Nie mam konta. Gadałaś z Garym? Co obiecywałaś? – zaczął ją strofować, ale przerwała mu bezceremonialnie:

– Zadzwoń do matki, niech poda. Albo jakiejś panny, znajomych, sąsiada... Jakikolwiek numer, żeby wytransferować środki. Nie gwarantuję, że dziś nam się to uda, ale drugiej szansy może nie być. Muszę kończyć. Blokujesz linię.

Bez słowa oddał telefon człowiekowi w meloniku, a ten natychmiast wygramolił się z wozu i obszedł go dookoła. Zatrzymał się dopiero przy siedzeniu kierowcy. Yanek miał okazję przyjrzeć mu się bliżej. Facet nosił białe skarpetki, przykrótkie wielokrotnie podwinięte spodnie w kratę, a koszula była zdecydowanie za wąska, bo rozchodziła się na brzuchu.

– Co się lampisz? Wysiadaj.

Yanek chciał protestować, wyjść i obić mordę oszustowi, bo żaden ślepiec nie jest w stanie prowadzić auta, ale wtedy z ciemności wyłonił się Śpiewak. W ręku trzymał kluczyki do starego audi. Wręczył je Yankowi razem z komórką. Zapisany był w niej tylko numer do banku, pod którym to numerem przed chwilą Yanek zastał siostrę.

– Wsteczny się zacina i uważaj na pas rozrządu – oświadczył Eryk Szaja spokojnym tonem, podszytym jednak groźbą. – Nie zapomnij o sygnecie. Księżę von Hochberg jest do niego bardzo przywiązany.

Frankfurt nad Menem, Niemcy, luty 1999

– Przesuńcie w lewo. Nie, w prawo. Do góry! Za wysoko! – dyrygowała majstrami Carla, nie dostrzegając zupełnie, że klną ją w duchu, a ci, którzy byli dalej, i pod nosem.

– Stop! Przytrzymajcie – poleciała i ruszyła do wejścia. – Sprawdzę, jak się prezentują z innej perspektywy.

Wieszanie w galerii wystawy damskich twarzy, które różniły się jedynie kolorem włosów i oczu, a wszystkie były tak doskonałe, jak wycięte z japońskiej kreskówki, pochłaniało ją bez reszty. Nie zauważyła nawet, że od jakiegoś czasu ma gościa.

Daniel milczał, przyglądał się za to z namaszczaniem, jak kobieta angażuje się w roszady obrazów, podczas gdy tak naprawdę chodziło o władzę nad ludźmi zmuszonymi wykonywać jej polecenia. Skalski zupełnie nie znał się na sztuce, choć ładne przedmioty ogólnie mu nie przeszkadzały. Jednak nie kupiłby ani jednego z tych bohomazów, które dziś wieczorem miały być wystawione jako największe wydarzenie sezonu. Nie dlatego, że dzieła były brzydkie. Przeciwnie, były wręcz nienaturalnie doskonałe. Najpierw pomyślał, że tylko tak uduchowiona marszandka jak Carla mogła przyjąć te rzeczy do sprzedaży, potem jednak zaczął przyglądać się baczniej jej samej i porównywać jej twarz z wizerunkami na deskach.

– W lewo! – Carla była w swoim żywiole. – W to drugie lewo. Moje lewo!

Robotnicy byli już zmęczeni. Artystka sporządziła te wiekopomne dzieła na ogromnych lipowych deskach, których dotkliwy ciężar mężczyźni odczuwali na swoich barkach, a musieli sterczeć pod sufitem na składanych drabinach, by twarze zawisły jak najwyżej. Przeklinali więc Carlę i malarkę niegodziwymi wyrazami. Daniel pierwszy dostrzegł, że ręce jednego z najstarszych pomocników drżą, nie umknął jego uwadze podejrzany ruch kolan majstra, więc zanim obraz runął z dużej wysokości na ziemię, Polak zdążył wycofać się do przedsionka. Gdy tylko znalazł się w bezpiecznej przestrzeni, rozległ się straszliwy łomot, deska się przełamała, a główna

twarz wystawy – ta najdoskonalsza, w tonacji wściekłego fioletu – zmieniła się w połowie w gębę Frankensteina.

– Teraz wygląda to nader ciekawie. Każdy może w tej połówce odnaleźć siebie – rzekł Daniel i postąpił do przodu, by zbliżyć się do ekspozycji. Co ciekawe, ta część twarzy, która została na hakach, nie powodowała już u niego odruchu wymiotnego. – W tej drugiej zresztą też, jeśli się jest wystarczająco szczerym.

Carla odwróciła się do gościa, dopiero gdy skończyła wywrzaskiwać przekleństwa i przeganiać monterów. Wyszli jak niepyszni. Daniel pomyślał, że wyraz uciechy na ich gębach, gdyby go uwiecznić, zasługiwałyby na niezgorszy wernisaż, ale tego już nie powiedział.

– Jeszcze zamknięte – fuknęła marszandka. – Nie widział pan kartki?

Daniel zdziwił się. Od czasu ostatniej sesji z Vaanatem prowadzili z Carlą zimną wojnę, ale nigdy nie tytułowała go panem. Prędzej pękłaby, nim okazała mu aż tyle szacunku. Zwykle z trudem powstrzymywała się, by kąśliwie mu nie przygadać, i wciąż szukała okazji do przyłapania go na choćby drobnym uchybieniu, o którym natychmiast zawiadamiała Wolfa. Dlaczego dziś okazała mu ledwie wrogą obojętność? Zaciekawilo go to. Odszedł grzecznie od ściany, by z oddali podziwiać roztrzaskane clou wystawy, i nagle pojawił, z jakiej przyczyny Carla zdecydowała się na reprezentację tej właśnie artystki, która, jak napisano w katalogu, pragnęła pozostać anonimowa i posługiwała się enigmatycznym pseudonimem Nel Umbo.

– To ty jesteś na wszystkich pracach – wyszeptał. – One są twoje.

Carla odwróciła się gwałtownie, jakby trysnął na nią wrzątkiem.

– Daniel?

– A któż by inny – uśmiechnął się.

Ujął jej dłonie i przyjrzał się zaciekom od farby na paznokciach. Ślady były prawie niewidoczne, ale pamiętał, że już miesiąc temu zwrócił na nie uwagę.

– Dopiero teraz cię poznałam. – Dotyk Daniela sprawił, że Carla zarumieniła się aż po koniuszki uszu. Zatrzepotała rzęsami jak bohaterka taniego romansu, ale dłoni z jego rąk nie wyjęła. – Nie było to łatwe.

Od rana, kiedy go widziała, jak wychodził z ich domu, zmienił się nie do poznania. Zgolił te okropne wąsy, co całkowicie odmieniło jego rysy i sprawiło, że wydawał się młodszy i szczuplejszy. Po tej metamorfozie najważniejszym akcentem w jego twarzy stały się oczy: czarne, świdrujące. Ich głębię podkreślała równie krucza oprawa oraz niemal zrośnięte brwi – seksownie wygięte w skrzydła jaskółki i nadające Danielowi wizerunek z lekka niebezpieczny. Nie do wiary, że Carla wcześniej tego nie dostrzegła. Może to za sprawą włosów, pomyślała. Przedtem kręciły się niesfornie i były barwy nadgniłej słomy, a teraz – po nałożeniu wielkiej ilości brylantyny – zdawały się krucze. Musiała przyznać, że tworzyły niesamowitą ramę dla oczu i brwi. Ale nie tylko to się zmieniło. Daniel nosił grafitowy stonowany garnitur, a do niego idealnie dobrany kaszmirowy golf. Koniakowe buty odcieniem pasowały do brązowej teczki, którą mężczyzna trzymał w ręku. Czy jej się zdawało, czy błyskał na niej logotyp Gucciego? I to limitowana seria Ferrari! Przez ramię Skalski przerzucił flauszowy płaszcz. Nie musiała sprawdzać metki. Identyczne okrycie kupiła Wolfowi miesiąc temu, z tym że granatowe, nie czarne, i zwróciła je wyłącznie dlatego, że wpadli w długi. Poza świecącym zegarkiem, który Carla już знаła i uważała dotąd za szczyt kiczu, nie dostrzegła żadnych ozdób. Teraz brylanty robiły cały efekt. Carla pierwszy raz widziała Daniela w innym ubraniu niż to, które kupowała Wolfowi, i musiała przyznać, że ktokolwiek pomagał Skalskiemu w wyborze – miał gust.

– Byłeś na zakupach?

Obrócił się wokół własnej osi.

– I jak?

– Czuję tu rękę jakiejś baby – odburknęła. – Zostałeś utrzymankiem? Nareszcie.

Roześmiał się.

– Dziś nad ranem przeszła większość transferów. Dyro z Kronbergu się spisał. Wolf ci nie mówił? Pewnie czeka z romantyczną kolacją. Ups, zepsułem niespodziankę. – Udał, że zasłania usta, ale mrugnął znacząco.

– Pojechał w interesach do Polski. – Carla skrzywiła się i całkiem zgrabnie przedrzeźniła Daniela: – Wolf ci nie mówił?

Mężczyzna znów udał zaskoczenie. Starym zwyczajem miał ochotę zażartować, że szykuje się sesja restartingu i dobre rżnięcie, ale zmilczał, co Carlę zbiło z tropu.

– Czego chcesz? Zgubiłeś klucze?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w jej kwiecistą tunikę z dekoltem na plecach, aż poczuła się dziwnie.

– To twoje – rzekł, uśmiechając się tak, aż zmiękły jej kolana. – Przyznaj się. Są twoje – powtórzył. – Te obrazy.

Spuściła skromnie wzrok, a potem zrugła się w duchu: nie panowała nad sobą, oddawała kontrolę. Przecież był tylko u fryzjera i włożył ciuchy w swoim rozmiarze.

– Jak do tego doszedłeś? – wyszeptała.

– Podobieństwo jest uderzające – skłamał. – Nie boisz się, że ludzie to odkryją?

Zaśmiała się figlarnie.

– Nikt dotąd się nie domyślił, więc na wystawie raczej się to nie zmieni. Organizując własną wystawę, naraziłabym się na śmieszność. Krytycy by mnie zmiażdżyli. Co innego, jeśli autorka pragnie działać z ukrycia, a ja jako marszand doprawię to feministyczną legendą. Liczę na spekulacje, że to performance jednej z gwiazd sztuki współczesnej. Kilku wpływowych dziennikarzy już na to przygotowałam. Chociaż ty, jako mój wróg, możesz rozgłaszać plotki, że z próżności zakochałam się w artystce, bo w jej dziełach widzę siebie. Bardzo pomogłoby mi to w handlu.

– Wróg? – zagrał zdziwienie. – Tak o mnie myślisz?

Zagryzła wargi, a potem je rozchyliła. Daniel z lubością patrzył, jak padają kolejne fortyfikacje. Carla leciała na niego. Był pewien.

– Powinnaś zmienić pseudonim – oświadczył kategorycznie, jak gdyby od zawsze zajmował się sztuką. – Tylko to może cię zdradzić. Zwłaszcza jeśli Vaanat zdecyduje się przybyć.

Skarciła go wzrokiem, ale na jej twarz wypłynął zaraz filuterny uśmiech. Flirtuje ze mną, odkryła i sprawiło jej to frajdę.

– Nie bądź taki cwany lis – rzuciła ostro, jakby przypomniała sobie, że jest na niego obrażona.

– Nie tylko Vaanat wie, że to nazwa kwiatu lotosu i twój talizman. Wolf domyśli się od razu.

– Przecież on nie widzi.

– Masz rację – zgodził się Daniel. – Nie dostrzeże podobieństwa, do tego potrzeba lustra.

Carla zaniemówiła. Zupełnie nie dostrzegła kpiny. Łyknęła pochlebstwo jak pralinę z likworem i aż zakręciło się jej w głowie.

– A tobie co jest? Zakochałeś się?

– Cały czas kocham tę samą – uśmiechnął się półgębkiem. – Wiesz przecież.

Odchrząknęła. Czuła, że serce jej wali jak młotem, a dłonie zaczynają się pocić.

– Żonę, jak mniemam. Zwaną potocznie Foczką.

– Wiesz o mnie wszystko.

– Wysłałeś jej w końcu pieniądze czy zainwestowałeś w butikach? W siebie.

– Zawiozę osobiście. Jeszcze trochę mi zostało.

Pokiwał na nią palcem. Podeszli razem do okna. Na podjeździe stał czerwony kabriolet. Dach miał otwarty, wewnątrz wyłożony był jaśniutką skórą. Carla aż przełknęła ślinę z wrażenia.

– Pożyczyłeś czy ukradłeś?

– Wygrałem w karty od Yanka – skłamał i nieznacznie pochylił się w jej kierunku.

Stał teraz tak blisko, że czuła upajający zapach jego wody kolońskiej. Drewno, skóra i coś ciepłego, słodkiego, jakby neroli. A może jaśmin? Woń była tak męska, wytrawna, że Carla miała ochotę się w niej rozpuścić.

– Dlatego zostało mi nie trochę, ale sporo, i zamierzam te pieniądze pomnożyć, czego i wam życzę. Transfery schodzą od tygodnia, a wczoraj rozparcelowaliśmy wszystko po załodze. Wolf naprawdę nic ci nie mówił?

Zimny prysznic podziałał właściwie, choć w brzuchu Carla poczuła coś nowego. Zastanawiała się, skąd się to wzięło i dlaczego daje sobie tak włązić na głowę. Może właśnie dlatego – nie był już wąsatym nędzarzem wyjadającym wurst z jej lodówki, lecz przystojniakiem w kabrio z bagażnikiem pełnym forsy.

– Powie, kiedy przyjdzie pora. Pewnie zapomniał.

– O trzystu tysiącach?

Udała, że nie słyszy pytania, i z animuszem zajęła się zbieraniem połamanej części obrazu. Zza ramienia rzucała jednak spojrzenia w kierunku gościa. W tym stroju nie odgadłaby jego cielesnych mankamentów, a przecież w negliżu widziała go wielokrotnie i nie był to widok atrakcyjny. Teraz zaś rozpałał jej wyobraźnię. Zdawał jej się wyższy, szczuplejszy, po prostu piękny. Co się z nią dzieje? Nie rozumiała. Nie dostrzegała jego brzucha ani puciołowatych policzków. Jak wiele potrafi zdziałać dobre ubranie, pomyślała i zdecydowała, że kiedy tylko Wolf ujawni się z forszą, natychmiast ruszy na polowanie po sklepach.

– Zostaw to. – Położył dłoń na jej ramieniu i przeszedł na francuski, a Carlę aż przebiegł dreszcz. Czyżby poprawił mu się akcent? – Niech myślą, że to instalacja. Ta połowa twarzy jest najciekawsza. Udaj, że tak właśnie miało być. One są zbyt idealne, jakby nie były prawdziwe, ot, tandetne maski na każdą okazję. Ale ta jedna, rozbita, niedoskonała – jest kluczem. Jakby zza maski wychyliła się prawdziwa twarz Nel Umbo.

– Myślisz?

– Nie znam się na sztuce – przyznał Daniel i płynnie przeszedł na niemiecki. – Na niczym się nie znam, jak już wiesz, ale wydaje mi się, że dzisiejszy wieczór można wygrać tylko w ten sposób.

– Uważasz, że one są tandetne?

– Trochę.

Carla nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dotknęła materiału, z którego wykonana była jego marynarka. Był miękki, jedwabisty, lecz zimny jak rozdrobniony węgiel. Nadeła się, udając urażoną.

– Tak jak te rzeczy, które kupuję Wolfowi?

– Do niego pasują.

– Nie cierpi ich – wyznała. – Dlatego ci je oddawał.

– Na zapachach znasz się jak nikt. – Uchylił wieczko aktówki i Carla zobaczyła pudełko znajomej wody Laurenta. Było w folii, jeszcze z nalepką perfumerii. Daniel zgniótł w dłoni paragon, schował go do kieszeni.

– Tyle razy je podkradałem, że się od nich uzależniłem. Wiem, że zauważyłaś. Dziękuję za wszystko.

Carla nie wiedziała, jak się zachować. Czuła się w towarzystwie Daniela inaczej, jakby miała do czynienia z obcym człowiekiem. Nie tym, na którego tyle miesięcy utyskiwała, z którego drwiła i za wszelką cenę starała się przegonić z własnego domu. Wzięła pudełko. Pomyślała o aucie za oknem, nowym image’u Daniela i tym, co wymyślił z wystawą. Zrobi tak, jak jej podpowiedział. To będzie hit.

– To miło, ale naprawdę nie ma sprawy – dukąła jak nastolatka. – Właściwie to ja powinnam cię przeprosić. Zachowywałam się jak żoźa.

– Byłaś jak lwica strzegąca swojego terytorium – odrzekł lekko, a Carla pomyślała, że jeszcze słowo w tym tonie, a zemdleje. – Zawsze mi to imponowało. Chciałbym mieć taką żonę.

Na długą chwilę zapadła cisza. Carla z trudem doszła do siebie.

– Co się stało? Po co przyszedłeś?

– Wyjeżdżam. – Podał jej klucz do mieszkania. – Zarobiłem pieniądze i jadę do rodziny. Jeśli kiedyś wrócę, nie będę wam siedział na głowie.

– To wspaniałe wieści – powiedziała tonem, jakby składała kondolencje.

– Halo, dziewczyno! Nienawidzisz mnie!

– Tak myślałam – przyznała. – Wiesz, chyba się do ciebie przywiązałam.

Rzuciła mu się na szyję i przytuliła go.

– Wybacz, byłam głupia, że tak gadałam. Nie sądziłam, że ci się uda. Myślałam, że jesteś pijawką.

– Rozumiem. – Objął ją mocniej i za jej plecami dał znak wchodzącym po przerwie śniadaniowej majstrom, którzy odważyli się wrócić do galerii. Opuścili budynek bardzo zadowoleni. – Zawsze wierzyłem, że czerwone ferrari ma związek z szacunkiem kobiet. Jak widać, w niektórych sytuacjach zwykłe audi też działa.

Roześmiała się perliście.

– Słuchaj, a może wpadniesz na wernisaż? Kiedy wyjeżdżasz?

– Planowałem zaraz, jak tylko odbiorę sygnet. Nie, nie sędzę. Chciałbym jak najszybciej spotkać się z bliskimi.

– Wpadnij, będzie kupa bogatych ludzi. Może kogoś poznasz, zrobisz jakiś interes? – Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. – Przyjdź, będę się czuła różnie. Wolfa nie będzie, zostałam całkiem sama.

– A Vaanat?

– Co z nim?

– No właśnie, co z nim?

Twarz Carli oblała się rumieńcem.

– Chyba nie chcesz dawać mi rozgrzeszenia?

– Wolałbym raczej z tobą zgrzeszyć – odparł i zanim się zorientowała, już ją całował.

Delikatnie, czule. Nie tak, jak według niej mógłby to robić. I nagle pojęła, dlaczego okazywała złość, rozdrażnienie, chodziła wściekła jak osa. Bo jej nie zauważał.

Kwadrans później patrzyła, jak Daniel wsiada do samochodu, włącza silnik i odjeżdża z piskiem opon. Stała przy oknie jeszcze jakiś czas, bezwiednie dotykając ust, aż weszli majstrowie i przez całe popołudnie była dla nich niebywale miła.

Biłgoraj, Polska, luty 1999

Kojący był dla Daniela widok pustych przestrzeni, kiedy z drogi szybkiego ruchu zjechał na Biłgoraj. Mijał rozpadające się wiejskie chaty i zbudowane z pustaków fabryczki. Cieszył się, że nie czuje zapachu nędzy, bo w jego samochodzie pachniało nowymi perfumami, a klimatyzacja była ustawiona na temperaturę optymalną. Z okna swojego czerwonego samochodu obserwował z wyższością ludzi idących z reklamówkami pełnymi tanich produktów, jakby znajdował się w wieży zamku, który sam zdobył. Czuł się od nich lepszy, choć – o dziwo – odnajdywał w sobie pokłady łaskawości, bo żadna z tych osób w szarych ubraniach nie miała do niego dostępu. Wiedział, że samą swoją obecnością wprawi napotkanych sąsiadów w osłupienie. Nie mógł się doczekać, aż całe miasteczko rozplotkuje się o jego sukcesie. Kiedy wyjeżdżał, postanowił sobie, że jeszcze im pokaże. Oto więc wracam, myślał, w pełni chwały. Drżycie!

Wskaźnik paliwa obniżał się nieubłaganie, ale Daniel nie chciał tankować po drodze. Dopiero kiedy zaświeciła się kontrolka rezerwy, skręcił na pierwszą stację benzynową przed wjazdem do miasta. Zdziwił się, że w tak krótkim czasie, kiedy nie było go w kraju, na tym pustkowiu obok klockowatego motelu wyrosła stacja paliw. Podjechał pod dystrybutor, zgasił silnik i z wyniosłą miną czekał, aż pracownik stacji podejdzie, aby go obsłużyć. Zatrąbił kilka razy zniecierpliwiony. Wreszcie z budynku wyszła kobieta ubrana w za dużą kurtkę z emblematem rafinerii. Wyglądała jak ludzik Michelina, całkowicie asekualnie. Daniel wyszukał w schowku przeciwsloneczne lustrzanki i zapiał pierwszy guzik marynarki. Wciąż było jeszcze zimno, ale nie zamierzał wkładać płaszcza. Chciał wydać się nonszalancki, jakby na niczym mu nie zależało.

– Za ile? – spytała, zapinając służbowe okrycie.

Nie patrzyła na niego, zajęta chowaniem włosów pod czapką. Musiała jednak zwrócić uwagę na zagraniczne tablice rejestracyjne, bo powtórzyła pytanie po niemiecku.

– Do pełna – odparł w tym samym języku.

Kobieta wzięła dyszę dystrybutora, skierowała ją do wlewu baku, ale zatrzymała się. Teraz dla odmiany wpatrywała się w niego, jakby na coś czekając. Daniel uśmiechnął się i pogrzebał w kieszeni. Podał jej kilka monet.

– Umyje mi pani szyby? Niestety nie mam złotych.

Nie wyciągnęła dłoni, jak się tego spodziewał. Pochyliła tylko głowę, nagle za wszelką cenę starając się zasłonić twarz daszkiem bejsbolówki. Bilon rozsypał się, część poturlała się pod auto.

– Sam to zrób – burknęła po polsku.

A potem odwiesiła końcówkę dystrybutora i zawróciła do motelu. Zmieniła jednak zdanie – ruszyła do wejścia na stację. Widział, jak zdejmuje czapkę i rozpuszcza włosy. Kiedy ściągnęła kurtkę, spostrzegł, że jest całkiem zgrabna. Przez chwilę był w szoku.

– Ej, co to za obsługa?! – krzyknął.

Wtedy z rozsuwanych drzwi stacji wyszedł niski, krępy mężczyzna, starszy od Daniela o dobre dwadzieścia lat. Na służbowy uniform wkładał tę samą kurtkę, którą przed chwilą miała na sobie kobieta. Daniel zrozumiał, dlaczego okrycie było na nią za duże. Należało do tego faceta.

– Co się tu odstawia? – Nie krył oburzenia. – Powinien pan przeszkolić swoją pracownicę! Żądam rozmowy z menedżerem.

– Słucham pana.

Mężczyzna był spokojny, co Daniel odczytał jako jawne lekceważenie. To jeszcze bardziej go rozżłościło.

– Nic dziwnego, że w tym kraju jest tak, jak jest, skoro nie umiecie zadbać o klienta!

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale to niewielka stacja. Ktoś musi zostać przy kasie.

Wskazał na tabliczkę na drzwiach: „Samoobsługa”. Daniel udał, że jej nie dostrzega.

– Niech pan zatrudni więcej osób. To jest właśnie Polska. Ludzie skarżą się na bezrobocie, a robić im się nie chce.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem, chwycił dystrybutor.

– Pan wrócił z zagranicy?

Daniel nie odpowiedział.

– Z Niemiec? Gdzie pan mieszka?

– W Hamburgu.

– Też byłem na robotach – odparł łagodnie mężczyzna. – I równie ciężko harowałem. Kiedy wróciłem, zainwestowałem w ten motel, bo myślałem, że coś się zmieni. A teraz pan widzi, sam muszę nalewać paliwo. Niech pan nie wraca. Dobrze panu radzę.

Zabrzmiało jak groźba.

– Nie zamierzam – zdziwił się Daniel i nie chcąc, by facet zanadto się spoufalił, warknął: – Kawę dostanę?

– Żona czasami robi, ale musi pan pójść do motelu. – Zawahał się. – Choć nie wiem, czy będzie jej się chciało.

Daniel z niechęcią rzucił okiem na nieotynkowany klocek.

– Z ekspresu?

Mężczyzna zaśmiał się.

– Mamy, ale nikt nie zamawia. Stoi wyłączony. Rozpuszczalna albo plujka.

– To ja dziękuję – obruszył się Daniel.

Kipiał z oburzenia, z trudem się hamował.

– Będzie sto pięćdziesiąt trzy.

Właściciel stacji odłożył dystrybutor, zdjął rękawice. Daniel zobaczył jego spracowane dłonie. Jeden palec owinięty był brudnym bandażem. Daniel odwrócił się z obrzydzeniem. Podał kartę, starając się nie patrzeć na właściciela stacji.

– Tylko gotówka – twardo rzekł facet.

– Żartuje pan?

– Prowizja od transakcji wciąż jest zbyt duża. A tutaj ludzie nie wierzą bankom.

Daniel skapitulował. Wyjął z portfela marki. Była to kwota znacznie przewyższająca rachunek.

– Reszty nie trzeba. – Zadarł podbródek i już kierował się do samochodu.

– Przykro mi, ale przyjmujemy płatność tylko w złotych.

Daniel nie wierzył własnym uszom.

– To jest dwa razy tyle, ile kosztowało paliwo.

– Nie mogę tego przyjąć. – Mężczyzna był nieubłagany. Spojrzał na front budynku. – Tutaj są kamery. Nie wkręci mnie pan w korupcję. Skąd mam wiedzieć, że pan nie doniesie? To małe miasto.

Podał Danielowi jego pieniądze, ten jednak odmówił ich przyjęcia.

– Do niczego pan nie dojdzie, będąc tak głupio uczciwym. Niech pan potraktuje to jako napiwek. Nazywam się Skalski. Urodziłem się w tym mieście.

– Wiem, kim pan jest – przerwał mu mężczyzna. – Żona mi o panu opowiadała. Niech pan nie przyjeżdża do nas tankować, bo nie ręczę za siebie.

A potem odszedł pewnym, miarowym krokiem. Daniel patrzył za nim, jak chowa się w szklanych drzwiach i przytula kobietę. Nigdy jeszcze nie czuł się tak upokorzony.

– Nikt normalny, wiedząc, że jest coś nie tak z czekiem, no wiesz, Ferdziu, jest źle wystawiony albo nie ma środków, nie składa czegoś takiego w banku! Bo jedyne, co człowieka może spotkać, to koszty obsługi i odbicie czeku. A wszystko liczone w procentach. Nie mówiąc już o nieprzyjemnościach. – Daniel urwał i spojrzał na wpatzonego weń przyjaciela, do którego przybył po incydencie na stacji, by wzmocnić się przed wizytą w domu.

Agnieszka, żona Freda Brukwicza, natychmiast podała obiad z kilku dań i pozostawiła mężczyznę na tarasie, by w spokoju wypalili cygara, które przywiózł Daniel. Na popijawę umówili się następnego dnia, gdy Skalski nacieszy się rodziną.

– Dlatego od razu się z tego wymiksowałem – kontynuował monolog Daniel. – Ci dwaj to była para kiepskich oszustów. Liczyli, że nie pojme

intrygi, poręczę za nich swoją reputacją i dam się skroić. Wzięli mnie za frajera do naciągnięcia. Wyobrażasz sobie?

– To się dudki pomylili.

– Zgadza się, bracie. Gdybym w to wszedł, byłbym ugotowany. Żaden klient by mi nie zaufał.

– Czasami trudno uwierzyć, że ludzie potrafią być tak podli. – Fred kręcił głową z niedowierzaniem. – Dzięki Bogu, że zachowałeś czujność.

– Nie było to łatwe do zdemaskowania, zapewniam cię – emocjonował się Daniel. – Bo widzisz, wszyscy za nich ręczyli: Wolf, pastor, a nawet ta biznesmenka z Londynu. Do niej miałem największe zaufanie.

– Gertrud Schmetterling? Mówiłeś, że jest Niemką.

– Ma polskie korzenie. Jej mąż na Wyspach prowadzi firmę inwestycyjną. Zatrudnia dziesiątki ludzi: analityków, administratorów i doradców finansowych. Specjalizują się w funduszach hedge. Wiesz pewnie, co to jest?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Tym się teraz w głównej mierze zajmuję – podkreślił z dumą Daniel. – Hedge daje ci możliwość obracania środkami wielokrotnie wyższymi, niż wpłaciłeś. Ponieważ opiera się na instrumentach pochodnych, transakcjach arbitrażowych, krótkiej sprzedaży, HFT i przede wszystkim dźwigni finansowej, lokowanie w nim środków jest wysoce ryzykowne, ale pozwala najwięcej zarobić. Słowem, wkładasz pięć baniek, a wyjmujesz pięćset. W niespełna rok!

– Legalnie?

– A jak inaczej? Za kogo mnie masz? Ten zysk jest możliwy tylko wtedy, gdy twój człowiek zastosuje dobre lewary i prawidłowo oceni tendencje rynkowe, bo jeśli nie, możesz wszystko stracić.

– Czyli ostra gra?

– Najostrzejsza. Znam ludzi, którzy zaufali nieodpowiednim administratorom i potracili fortuny w jeden dzień. Ale są też i tacy, głównie moi klienci, którzy zaczynali od dziesiątków tysięcy, a dziś obracają milionami.

Fred roześmiał się, a Daniel mu zawtórował. Nagle urwał, przyjrzał się bacznie koledze.

– Nie wierzysz mi?

– Skąd – zaprotestował Fred, choć spłonił się, jakby znów siedzieli w jednej ławce w szkole.

– Z tego, co wiem, jestem jedynym Polakiem na niemieckim rynku, który z tego żyje – podkreślił Daniel. – Prezes Süddeutsche Banku prosił mnie, bym szkolił jego ludzi. Poważnie się nad tym zastanawiałem, ale ostatecznie uznałem, że to mi się nie opłaca. Wiesz, te pazerne uczniaki lizną trochę wiedzy, wyjdą w miasto, zdefraudują czyjąś kasę i zaraz się rozniesie, kto był ich patronem. Nie potrzebuję firmować cwanych głupców. Co to, to nie. Wolę już harować dzień i noc, konsekwentnie budować swoją markę i jeśli kiedyś trafi się talent, samodzielnie zdecydować, kogo wezmę na ucznia.

Zapadła cisza.

– Nadal mi nie wierzysz?

– Staram się – przyznał Fred. – Zawsze byłeś dobry z matmy. Pamiętam, jak rozumieliście się z moim ojcem. Wiele razy mi powtarzał, że zajdziesz wysoko. I że pieniądze cię lubią z wzajemnością. Ale...

– Jakie znów ale?

– Gdzieś ty się tego tak szybko wyuczył, Daniel? Nie było cię raptem kilka miesięcy.

– Jedenaście. A myślisz, że w Londynie co robiłem?

– Emilka mówiła, że handlowałeś Herbalife – tymi pastylkami na odchudzanie.

– Całe cztery dni i wyłącznie po to, żeby dostać leasing na dżipa.

– To wciąż piękny wóz.

– Ojciec zawsze o takim marzył – przyznał Daniel. – Teraz brakuje mu tylko domu z ogrodem, żeby mógł zamknąć bramę i poczuć się jak u siebie. Wiesz, jaką on ma obsesję, że go podglądają i podsłuchują.

– Sam to robił przez lata. Zna się.

– Właśnie. – Daniel pokiwał głową. – Więc wracając do akwizycji... Uznałem, że stopa zwrotu jest zbyt niska, spłaciłem auto, wziąłem nisko oprocentowany kredyt, zapisałem się na kurs do Oksfordu i zacząłem grać na giełdzie. Jak widzisz, wcale nie taki pojętny ze mnie uczeń. Szkołę się w finansach i bankowości już kolejny rok.

– Kurs w Oksfordzie? – powtórzył z powątpiewaniem Fred i zmarszczył czoło.

On sam był absolwentem lubelskiej politechniki. Nazywał siebie doktorem od kibli, bo specjalizował się w armaturze sanitarnej, a poza wykładami na uczelni prowadził hurtownię z ceramiką oraz oprzyrządowaniem FREDEX. Daniel pomagał mu wymyślić hasło reklamowe, które do dziś widniało na banerach i w ogłoszeniach lokalnej prasy: „Rury to nasza pasja”.

– Nie musisz siedzieć dwóch wieków w Oksfordzie, żeby dostać papier – obruszył się Daniel.

– Nie twierdzę, że na zgłębienie tajników funduszy hedge czy giełdy trzeba wieków, ale pięć lat jest optymalnie – odparł spokojnie Fred.

– Studiuję korespondencyjnie. Jest taniej, a na studenckie życie szkoda mi czasu. Mam rodzinę, muszę zarabiać. Nie mogę sobie pozwolić na jaramie trawy i słuchanie głupot zza katedry. – Daniel podniósł do ust rękę, zachichotał. – Wybacz, doktorze.

– Nie ma sprawy. Wiesz, że lubię dzielić się wiedzą. Młodzi ludzie bywają zarozumiali, ale czasami zdarza się ktoś nad wyraz uzdolniony. Dla takich osób właśnie to robię.

– To niesamowite! – przerwał mu Daniel. – Dziadek Pullman powiedział mi to samo. Dokładnie to, co ty... A więc to powołanie. Masz dar, Ferdziu!

– Jaki znów Pullman?

– No wiesz, syn imigranta z Gruzji. Zrobił fortunę w Stanach na wyposażaniu pociągów. Te miękkie krzesła na kolei żelaznej to jego dzieło.

– Jakiego imigranta? Skąd ty to wzięłeś?

– Przed wojną były tylko drewniane albo żelazne ławki bez oparc. Kiedy Pullman zainwestował, ludzie chętniej podróżowali w wyższych klasach, potem wprowadził kuszetki, wagony ekskluzywne... Wszystko za

odpowiednią opłatą. A ponieważ był to czas odradzania się powojennego świata, podróżowano na potęgę. Pullman zrobił na wagonowych siedzeniach fortunę, którą postanowił pomnożyć.

– Zainwestował w bank?

– Lepiej! Wydał córkę za syna bankiera. Ojcowie połączyli fortuny i powstał Barclays Bank.

Fred wciąż kręcił głową z niedowierzaniem.

– Coś ci się chyba pojebało, ale to nieważne. Inżynierowie, zanim zaczną stawiać instalacje, muszą zdobyć twardą wiedzę. Żeby robić pieniądze, trzeba mieć dar. Wykształcenie nie jest konieczne. Ojciec całe życie mi to powtarzał.

– Mnie mówił, że trzeba mieć fantazję – wtrącił Daniel. – To znaczy twój ojciec. Czasami cholernie mi go brakuje.

– Wiem, że mój. Znam dobrze poglądy twojego. Chcesz powiedzieć, że ja nie mam wyobraźni? – zaniepokoił się Fred. Miał minę jak zraniony niedźwiedź, który zaufał pszczołom, lecz zamiast miodu dostał tysiąc ukąszeń. – To chciał mi wtedy powiedzieć?

Daniel długo myślał.

– Naprawdę sądzisz, że fantazja to coś pożytecznego?

– Jeśli nie robisz nikomu krzywdy – przyznał Fred. – A więc zawsze miałeś mnie za nudziarza?

Umilkli obaj. Wreszcie ciszę przerwał Skalski.

– Ty nie dałbyś się tak nabrać jak ja. Fantazja fantazją, ale naiwność to głupota. Dziś wiem, że bezpodstawnie zaufałem ludziom Frencha, męża Gertrud. Sądziłem, że skoro na co dzień zajmują się sprawdzaniem wiarygodności inwestorów, i to przy milionowych transakcjach, mają doświadczenie i nie wystawią mnie na pastwę malwersantów w brudnych swetrach. To kwestia zaufania. Rozumiesz, jeśli Gertrud przyprowadza mi klienta, który chce skorzystać z moich kontaktów i wiedzy, a ja decyduję się zrobić ten interes, angażując swoją firmę, to przecież wiadomo, że ryzykuję wszystko: swoje nazwisko i środki.

– Poświęcasz też swój cenny czas. W tym momencie mógłbyś robić miliony na tych lewarach.

– Dotknąłeś chyba najważniejszego – udał rozgoryczenie Daniel. – I to sobie najbardziej wyrzucam, nie mogę darować. Bo gdybym nie zajmował się tymi szachrajami Klemkem i Frolichem, a podciągnął sprawę transakcji z rafinerią albo załatwił finansowanie dla Michaela Jacksona, to byłbym teraz gdzie indziej. Mówię ci, zupełnie gdzie indziej.

– Gdzie?

– Na kawie z księciem Monako – zaśmiał się Daniel. – W jego pałacu.

– Nie bądź taki surowy dla siebie. Powiodło ci się, a straty odrobisz. – Fred upił łyk kawy i spojrzał na przyjaciela z autentycznym podziwem. – Nie mogę uwierzyć, że zarobiłeś furę kasy w tak krótkim czasie. Auto jest klawe, a twoje ubrania, zegarek – dla zwykłych ludzi po prostu niedostępne. Mam wrażenie, że siedzę na tarasie z zagranicznym krezusem, a nie kumplem z liceum. Tak się cieszę, Danielu. Mój tata byłby z ciebie dumny. Mówię ci, on na nas patrzy i błogosławi. Zawsze mi powtarzał, że będzie z ciebie wielka figura oraz żebym się ciebie trzymał.

Po czym rzucił się Skalskiemu w objęcia. Trwali tak chwilę, a Fred ocierał łzy.

– Nie przesadzajmy, przyjacielu. Żałuję tych dziewięciu zer, które przez intrygę Klemkego nie są jeszcze moim udziałem, ale powiem ci, że ja tak łatwo nie odpuszczam.

– Oj, wiem to z własnego doświadczenia – zaśmiał się Fred. – Jak zagniesz parol, to na całego.

Podniósł paczkę z banknotami, którą podczas obiadu przekazał mu Daniel.

– Słuchaj, ja tego nie przyjmę. Pożyczałem wam z dobrego serca. Nie mogłem inaczej. Dopóki sam mam, zawsze możesz na mnie liczyć. Wiesz, że jestem ci przyjacielem do grobowej deski.

– Wiem, bracie. I wzajemnie. Byłoby to dla mnie największym ciosem, jeśliśmy się poróżnili.

– To niemożliwe! Z pewnością nie o pieniądze – zapewnił z emfazą Fred. – Chyba że dostawiałbyś się do mojej ślubnej, ale wtedy dałbym ci w mordę i po kłopotcie.

Daniel odłożył na spodek niedopalone cygaro.

- Mam swoją ślubną. Czeka na mnie stęskniona.
- Emilka wie, że przyjechałeś?
- Chciałem zrobić jej niespodziankę.
- Będzie ją miała! A Lucek oszaleje, kiedy zobaczy twój wóz. Marzyliśmy o takim kabrio za dzieciaka, pamiętasz?
- Marzenia trzeba realizować. Twój ojciec tak żył i umarł szczęśliwy.
- Święte słowa – przytaknął Fred.
- Dzięki, stary. – Daniel wstał, otrzepał popiół ze spodni i kierował się już do wyjścia. – Za wszystko.

Fred chwycił pieniądze i chciał znów odliczać połowę, żeby oddać Danielowi, ale ten powstrzymał go gestem.

- Obrazisz mnie. To z odsetkami.

W oczach Freda znów błyskały łzy.

- Jeśli będziesz potrzebował. Cokolwiek by się działo... – szeptał.

Daniel musiał podnieść ramię, by dosięgnąć policzka wielkiego jak góra przyjaciela.

- Wiem i na to liczę. Widzimy się jutro.

Kolejną paczkę z banknotami Daniel wręczył ojcu.

– Siedem tysięcy marek, synu? – Lucjan liczył i liczył, nie mogąc wyjść z podziwu. – Kiedy jechałeś do Londynu, dałem ci sto marek. To były wszystkie moje oszczędności. Oddajesz mi siedemdziesiąt razy więcej.

Daniel nigdy wcześniej nie czuł się tak szczęśliwy. W dzieciństwie oddałby wszystko za choćby cień szacunku, jaki widział teraz w oczach taty. Siedzieli w maleńkiej kuchni. Szklane ryflowane drzwi tylko nieznacznie osłaniały ich przed wzrokiem (i zapewne nasłuchem) kobiet znajdujących się w drugim pokoju. Daniel z obrzydzeniem przyglądał się odrapanej lamperii, rozklejającym się szafkom kuchennym, które pamiętał jeszcze z dzieciństwa, oraz staremu czajnikowi, którego matka od lat nie pozwalała wyrzucić. Źle się tutaj czuł w markowych ciuchach,

wyperfumowany i ufryzowany jak model z żurnala. Najchętniej spaliby te czterdzieści metrów milicyjnego przydziału ojca i nigdy nie wracał.

– Pomnożyłem. – Wzruszył ramionami. – Gdybym dłużej przetrzymał gotówkę, byłoby tego więcej, ale Emilka płakała, że jest ciężko, więc wycofałem z konta.

– Pamiętasz, Mario Brukwicz przewidział, że będziesz kiedyś bogaty. Nie wierzyłem mu. Wybaczysz mi, synu?

W oczach Lucjana gościła teraz najczystsza miłość. Daniel spłoszył się. Pierwszy raz widział ojca w takim stanie. Pojął, że czekał na tę chwilę od lat. Może tylko dla niej żył. Dla tego respektu.

– A więc dlatego nie wysyłałeś?

– Też, choć przede wszystkim ze względu na podatki – odparł niby od niechcenia. – Wolałem przywieźć osobiście. Wie tata, że przelewy są monitorowane. Po co im wiedzieć, ile mamy gotówki?

Lucjan otarł rękawem oczy. Przytulił syna, poklepał po plecach, a potem odliczył z kupki pięć banknotów.

– Tym zapłacę długi. Resztę zainwestuj.

– Nie, tato – zaprotestował Daniel. – Mam co inwestować. To jest dla ciebie, dla was. Dla mamy i dla ciebie – powtarzał jak dziecko. – To mój dług. Spłaciłem z nawiązką.

– Jaki dług? Co ty pierdolisz? – Lucjan zadarł głowę i zbliżył twarz do twarzy syna. Daniel mógł policzyć każdy włoszek w zrosniętych brwiach ojca, które kazał według tego wzoru wykonać niemieckiej kosmetyczce. I choć Lucjan zdeptał się z wiekiem, był teraz od Daniela dużo niższy, syn wciąż czuł się w jego towarzystwie jak skarcony berbec. – Jestem twoim ojcem. Moim zadaniem było, jest i będzie troszczyć się o ciebie. Będę to robił, choćby mi flaki wypruwali, choćbym miał wszystko stracić, rozumiesz? Ile mi sił starczy, zawsze będę cię wspierał. Zwłaszcza że teraz już wiem, że masz dar. Jesteś geniuszem! Moja krew!

Daniel poczuł, że i jemu na policzki spływa coś mokrego. Nie rozumiał do końca, co się dzieje, ale skoro ojciec płakał, i on mógł pozwolić sobie na słabość. Zrozumiał, że wszystko, każde wyrzeczenie jest warte takiego spełnienia, jakie czuł w tej chwili.

– Chodź do mnie, mój złoty chłopcze! – Ojciec znów przytulił Daniela. Poklepywał go po plecach i mruzczał sam do siebie. – Mój synek, mój mistrz finansjery. Mój zwycięzca!

A potem odchylił się, roześmiał i rzucił wesoło:

– Idź teraz do swojej pani. Emilka z pewnością nie może się doczekać tak pięknego mężusia. Krystianek też tęsknił za tatusiem, ale pewnie zasnął. Pojedziemy z mamą na spacer z małym, a wy przywitajcie się dobrze, dzieci. Chciałbym mieć jak najwięcej wnuków. Takimi genami trzeba się dzielić!

Po czym mrugnął do syna.

– Z Londynu wciąż przychodzą te pisma. W sprawie kart płatniczych i aut. Ale będę cię krył przed mamą. Zawsze sam opróżniam skrzynkę.

Daniel poczuł prąd wzdłuż kręgosłupa, jakby ktoś potraktował go paralizatorem.

– Ta sprawa jest zamknięta, tato. Dżip spłacony, spokojnie możesz nim jeździć – zapewnił oschle. – A karty uregulowałem już dawno temu. Będę jechał w interesach na Zachód, to zajrzę do tego banku i złożę dyspozycję, by przestali nas dręczyć. Jeszcze zażądam odszkodowania za potwarz.

– Tak myślałem – ucieszył się Lucjan. – I tak też mówiłem matce, ale ona zawsze panikuje. Znasz ją.

Daniel zaśmiał się sztucznie.

– Kup jej nowe meble do kuchni. Od razu będzie lepsza.

– Żebyś wiedział, synu, żebyś wiedział.

– Tato – zaczął Daniel i nagle się zatrzymał, przerażony tym, co chce powiedzieć. – Wiesz co, nie kupuj. Nie ma co inwestować w tę norę.

– Co ty mówisz?

– Rozejrzyj się za dobrą ziemią, tato. Jeśli interesy będą szły na tym poziomie co teraz, w ciągu roku postawimy dom.

Lucjan przyjął nowinę ze spokojem, jakby była to rzecz oczywista.

– Masz rację, synu. Szkoda każdej złotówki, skoro i tak niebawem pozbędziemy się tego mieszkania.

– Zawsze go nienawidziłeś – przypomniał ojcu Daniel.

– Bo sąsiady to szpiony i trepy. Znam ich wszystkich. Ale wiesz co? Ziemia w okolicy Czarnej Łady potaniała. Podobno drogę mają tam robić. Dowiem się którejdy, to kupi się taniej.

Okolice Kraśnika, Polska, marzec 1999

– Dlaczego nie powiedziałaś, że startujesz na radnego? – zaatakował Freda Daniel, kiedy dojeżdżali do Kraśnika.

– A co tutaj gadać? W obliczu tego, co ty zrobiłaś, to żadne osiągnięcie. Zwolnij.

– Żadne osiągnięcie?! – Daniel podniósł głos i docisnął pedał gazu. – Ferdek, czy ty zdajesz sobie sprawę z oręza, jakie będziesz posiadał? Tata mówi, że ludzie naprawdę cię lubią i za kilka lat masz szansę na burmistrza. Chociaż hurtownię przenieśli do Lublina.

– Tak mówią. – Fred się zarumienił. – Ale czy to prawda? Nie dowiemy się, póki nie pójdą do głosowania.

– Nie bądź taki skromniś.

– Nie jestem. – Fred uderzył się w pierś. – I jeśli wygram, przeprowadzimy się z firmą z powrotem do Biłgoraja. Przyczyny przeprowadzki były inne, nie chcę cię zanudzać. A na uczelnię i tak będę dojeżdżał. – Przerwał. – Ale gdzie mnie tam do ciebie: sława, pieniądze, wielkie banki, hotele... Przecież widzę, jakim wozem jeździsz, jaki masz zegarek. A ja? Ot, mieszkamy sobie tutaj z Agusią i dziećmi wciąż w domu taty i prowadzimy nasze małe życie. Za to spokojnie i bez pośpiechu. Grunt, że jesteśmy wszyscy zdrowi.

– Wczoraj całe popołudnie kłapałem dziobem o tym, co u mnie, a ty nie pisałaś o mandacie ani słowa! – podjął znów wątek Daniel. – Gdyby ojciec nie chlapnął, wróciłbym do Frankfurtu nieświadomy.

– Naprawdę nie ma się czym chwalić.

– Ależ jest! Jestem z ciebie dumny i powiem ci więcej, jesteś idealną osobą na to stanowisko.

– Daj już spokój. – Fred machnął lekceważąco ręką. – Patrz, chyba twoi kontrahenci powiesili.

Plakat był monstrualny. Znajdował się tuż nad herbem miasta i praktycznie w całości przysłaniał tablicę drogową. Trzy roznegliżowane dziewczyny w owocowych czapeczkach wyskakiwały z lodówki opatrzonej

godłem DrFROST, a ich nagie biodra i biusty przysłały jedynie kaskady owoców oraz warzyw, tworząc napis SuperWegetarianki.

– Teraz rozumiem, dlaczego podczas pierwszej rozmowy telefonicznej zaproponowali mi dziwki – mruknął Daniel.

– Chyba nie wzięłeś?

– Ty byś odmówił?

Fred nie wahał się nawet chwili.

– W żadnym razie. Poza Agnieszką nie byłem nigdy z żadną kobietą. Gdybym znalazł się w gościach, przyjąłbym dar. Nie muszę przecież jeść do końca, a spróbować wypada.

– Muszę ci załatwić ten poczęstunek – zaśmiał się Daniel. – Oby cię rychło wybrali. Nieprzekupny, nieleniwy i obrzydliwie uczciwy. Toż to czyste zło. I chwała dla regionu.

– Forsa nic cię nie zmieniła, bracie – rozpromienił się Fred. – A hasło wyborcze też niczego sobie.

– Z pewnością lepsze niż DrFROST.

Daniel zwolnił. Otworzył dach. A potem podjechał do dziewcząt siedzących na ławce na skraju parku.

– Szukamy fabryki mrożonek – zaczął Fred, ale jego słowa utonęły w dźwiękach *Truly Madly Deeply* Savage Garden, bo Daniel podkręcił głośnik radia na pełen regulator.

– Czy panie nie pozowały do plakatu SuperWegetarianek? – Uśmiechnął się łakomie.

Fred czekał, aż dziewczęta obrzucą ich wyzwiskami, one jednak tylko zachichotały i po krótkiej wymianie zdań siedziały już na tylnym siedzeniu kabrioletu, licząc na wesołą przejażdżkę. Wsiadły w tym samym miejscu następnego dnia późnym popołudniem – nakarmione i upite owocowym ponczem, jakim w dużych ilościach częstowali ich Roman i Oleg – królowie ekologicznego szczawiu z Kraśnika. Razem z podlotkami samochód opuścił również Eryk Szaja, który nieoczekiwanie pojawił się w końcowej fazie spotkania. Śpiewak spodziewał się zapewne wielu nowych wrażeń, ponieważ cały wieczór nie zdejmował czapki. Jak potoczyły się jego dalsze superwegetariańskie przygody w Kraśniku, nie

dane było się dowiedzieć przyjaciółom. Daniel spał jak niemowlę wtulony w płaszczyk jednej z młodych dam, a za kierownicą czerwonego samochodu siedział Fred. Jako jedyny nie skorzystał z usług żadnej z zamówionych płatnych syren, jak górnolotnie nazywali dziewczyny z lokalnej agencji bonzowie szczawiu i na karb tej przyczyny zrzucano, że Fred nie miał humoru wcale. Noc spędził jak na warcie, popijając sok z porzeczek, więc nad ranem był tak wściekły, że nie odzywał się do nikogo nawet słowem. Daniel nic sobie nie robił z marsowej miny przyjaciela i chyba nie do końca ją zauważał. Korzystał z gościnności fabrykantów i bawił się na całego, aż wreszcie padł jak dziecko. W tym stanie Fred zapakował go do auta i powiózł do Biłgoraja.

Wyjechał teraz za miasto, zatrzymał samochód w samym środku pola i zaczął brutalnie budzić Skalskiego. Szarpał go, wykrzykiwał groźby, a ponieważ żadna nie poskutkowała, polał go niemiecką wodą mineralną, którą znalazł pod siedzeniem.

– Uważaj na tapicerkę, palancie! – Daniel wytrzepał włosy jak mokry pies. Zerwał się. – To nie mój wóz.

– Jak to nie twój?

Zamiast odpowiedzieć, Daniel łapczywie przyssał się do butelki z resztką wody. Fred podejrzewał, że przyjaciel zrobił to tylko dlatego, by znaleźć dobre kłamstwo.

– Nie mój – powtórzył, kiedy butelka była pusta, a Fred swoim uczciwym jak rentgen spojrzeniem robił mu dziurę w środku głowy. – Ale w Hamburgu mam taki sam.

– Po co jeździsz cudzym? – Brukwicz zmarszczył brwi.

Zdawało się, że z nozdrzy buchają mu kłęby pary. Daniel czuł się dokładnie tak samo po ich pierwszej bójce, kiedy Fred nakrył Daniela, że przyniósł do szkoły naładowaną broń ojca.

– A więc tak wyglądają twoje interesy!

– Że niby co ci nie pasi? – Daniela zbyt bolała głowa, by udawać dyplomatę.

– No wiesz, wszystko. Przypadkowe dziewczyny, alkohol, pieniądze bez pokwitowania. I ten krętacz z wykwitami na gębie.

– prostytutki sam chciałeś zakosztować, a kasę wcisnęli mi siłą. Miałem zrobić im przykrość?

– Daniel, w bagażniku masz dwieście trzydzieści tysięcy nierejestrowanej gotówki. Tyle forsy na czysto nie widziałem od śmierci ojca. W rok nie mam takiego obrotu.

– Więc może czas to zmienić? – Daniel podniósł hardo głowę.

Fred nie podjął wyzwania. Siedział osowiały, głęboko nad czymś rozmyślając, jakby nie potrafił wygarnąć przyjacielowi w oczy gorzkiej prawdy. Ale ona wisiała już między nimi, tworząc niewidzialny mur, który rósł w zatrważającym tempie.

– Podpisałeś im weksel in blanco. Mogą sobie tam wpisać, co chcą.

– Dopiero za pół roku.

– A jak coś nie pójdzie? Jeśli na przykład nie zdobędziesz tego kredytu?

– Dlaczego coś miałoby pójść nie tak? – obruszył się Daniel. – Nie wierzysz we mnie?

– Słuchaj, to nie jest kwestia wiary. To jest kwestia decyzji urzędników, które nie zależą tylko od ciebie. Po prostu się martwię. O ciebie, twoją rodzinę... Masz jakiś plan ratunkowy?

– Wzruszyłem się, tato – wściekł się nagle Daniel. – Bo gdyby nie ty, to co mi się stanie? A może mam sprzedawać swoje usługi za free? Pomagać ludziom za darmo, bo jestem chrześcijaninem, lokalnym działaczem, patriotą... Czy raczej frajerem? Jak na razie to ja ryzykuję, nie oni!

– Nie mówiłem nic o wolontariacie – bronił swoich racji Fred.

– Pewnie, będę im liczył po pięć złotych, bo nie wypada więcej. Dopłacę do interesu, udostępnię swoje gwarancje za dobre słowo, bo wtedy będzie uczciwie i godnie, tak? Po śmierci Bóg mi odda, będę, kurwa, zbawiony. W dupie mam to, rozumiesz? Rzygać mi się już chce od bycia biednym i zrobię wszystko, żeby być bogaty. Czy zapytałeś, ile kosztuje gwarancja bankowa, o którą pytali? Czy wiesz, jak trzeba się nagimnastykować, żeby zdobyć te akcje? Myślisz, że te dokumenty ktoś dostarcza za darmo? I że wystarczy beczka ponczu oraz świnię z parku, żeby to załatwić? Pomyślałeś o tym, że bawiąc się z nimi, robię im pieprzoną grzeczność, i że to oni

powinni się potężnie starać, żebym chciał być w ich towarzystwie, a nie odwrotnie?

– Nie o to mi chodziło – wycofywał się Fred. – Wiem, że twoje interesy są zbudowane na kontaktach.

Daniel wysiadł z auta, podparł się pod boki. Przez moment wydawało się, że rzuci się na przyjaciela z pięściami, ale obaj wiedzieli, że z byłym bokserem Skalski nie miałby żadnych szans. Tylko raz się bili i skończyło się nokautem, po którym Daniel spędził dwa dni w szpitalu. Ruszył więc w pole, by się uspokoić. Maszerował długo, a kiedy zawrócił, na jego twarzy gościł iście szatański uśmiech. Fred nie znosił, kiedy Daniel był w takim stanie. Bywał wtedy nieobliczalny, po prostu go przerażał.

– To są drobne, rozumiesz? Prowizja od sprzedaży. Kasa na koszty. Denerwuje mnie ta twoja świętość. Zawsze mnie to wkurwiało. Po co chciałeś jechać, skoro wciąż podejrzewasz mnie o najgorsze?

Fred przekrzywił głowę.

– Bo cię znam?

– Gównu mnie znasz. Chcesz mnie widzieć takim, jakiego sobie wymyśliłeś, a kiedy okazuje się, że jestem inny, dostaję wykład umoralniający. Za to korzystać z tego, co wypracowałem, nie masz skrupułów!

– Przecież mówiłeś, że jesteśmy współnikami. – Fred z każdym słowem podnosił głos. – Że nie stracę na tym. Obiecywałeś, że w razie czego, jakby coś się stało, będziesz dla moich dzieci jak ojciec. A ja obiecałem ci wzajemność. Sam przyznaj, że się staram. Kiedy ciebie nie było, kiedy nie wiedziałem, co jest grane, dbałem o Emilkę i Krystiana lepiej niż o swoich bliskich.

– Doceniam – mechanicznie rzucił Daniel i zatrzymał między zębami przytyk, że tak naprawdę przyjaciel ma wciąż słabość do jego żony i nie może mu wybaczyć, że to nie w nim się zakochała, lecz w Skalskim. – Nie musimy prowadzić tej spółki razem. Sam zbuduję ten trust. White Horse już w tej chwili działa w kilku krajach offshore. Nie chcesz mieć kasy, nie trzeba. I nie musisz nam więcej pomagać, każdy może iść własną drogą. Nie będę cię ciągnął na siłę.

Fred nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Cieszę się twoją hossą, Daniel. Wierzę ci i nic do ciebie nie mam, ale myślę, że jesteś naiwny. Czy nie widzisz, że ktoś znów chce cię użyć do własnych celów? Ten interes śmierdzi, a ty pakujesz się w niego z głową. Wzięłeś nie tylko kasę, ale i zobowiązanie. Za jakiś czas przyjdą cię rozliczyć. Jesteś gotów? Słuchaj, ten pośrednik, Eryk Szaja, ja o nim słyszałem... Miał kiedyś pseudo „Śpiewak”. To jest cholernie niebezpieczny człowiek. Bardzo groźny.

Daniel potarł oczy.

– Łeb mi pęka od tego pieprzonego ponczu. Możesz mówić ciszej?

– To jest bandzior. Regularny gangster. Był zamieszany w malwersacje łódzkiej ośmiornicy. I jest tak mocny, że nigdy nie siedział. Zapytaj swojego ojca, na pewno pamięta go z dawnych czasów.

Daniel wykrzywił usta, jakby ta wiedza rzeczywiście go zaskoczyła i przerażyła. Na Freda podziałało to motywująco.

– Jak rozkręcaliśmy z Agą hurtownię, ściągał od nas haracz. To znaczy nie osobiście – za każdym razem przysyłał innego człowieka, ale tak naprawdę płaciliśmy jemu. Nad nim był jakiś Tato. Wtedy jeszcze o żadnym z nich nic nie wiedziałem, więc siedziałem cicho i grzecznie regulowałem. Przez trzy lata zabierali nam połowę obrotu. Myślałem, że nie dam rady, że to, wiesz, źle się skończy. Tak jak pokazywali czasem w dzienniku: że ktoś zaginął i znaleźli go martwego w jakiejś studzience kanalizacyjnej na obrzeżach miasta.

– Czemu nic nie powiedziałeś?

– Nie było cię. Siedzieliście z Emilką w Anglii. A może już wróciliście, ale Krystianek był malutki i jakoś się nie widywaliśmy.

– Nie powiedziałeś – powtórzył Daniel.

Zaniepokojony Fred zaczął przeproszać, korzyć się. Daniel tylko na to czekał.

– Żadnych więcej tajemnic.

Fred uderzył się w pierś.

– Żadnych.

– Nigdy mnie nie wydasz.

– Nie wydam.

Daniel uśmiechnął się, poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Ani ja ciebie. Wiem, że przyjaciela mam tylko jednego i to się nie zmieni. Ludzie przychodzą, odchodzą, ale my mamy sztamę.

Milczeli.

– Jak się z tego wywinąłeś? – podjął znów wątek Daniel. – Bo już nie płacisz?

– Miałem szczęście. Kojarzysz pastora Xawerego Krzywickiego?

Tym razem Daniel był prawdziwie zaskoczony.

– Jaki ten świat mały! Krzywicki prowadzi wspólnotę dla polskich emigrantów w Hamburgu, ale przychodzą nie tylko rodacy. Ponoć jest mocno ustosunkowany, ma kontakty nawet z rodziną królewską.

– Myślałem, że w Niemczech nie ma monarchii – zimno mruknął Fred i spojrzał podejrzliwie na Skalskiego.

Ten zaśmiał się, pokiwał palcem na przyjaciela.

– Nie przypierdalaj się już, co? Wiadomo, że chodzi o pałac Buckingham.

– Ja tam nie wiem, komu on głosi kazania, i nic mnie to nie obchodzi. Ta jego koloratka to przykrywka. Gra w tej samej lidze co Śpiewak, rozumiesz?

Fred przerwał, spoglądał na Daniela z niepokojem.

– Dostarczyliśmy na jego kościół tyle materiałów budowlanych, aż Śpiewak nam odpuścił. – Fred zatrzymał się. Sprawdzał, czy jego ostrzeżenie trafia wreszcie na podatny grunt. – Dlatego musiałem zamknąć filię w Opolu Lubelskim i wyprowadzić się z Biłgoraja. Zostawiłem tylko ten mały sklepik w Lublinie. Oddałem im wszystko, Danielu, włącznie z dożywotnią dzierżawą gruntu. Całą ojcowiznę.

– Żartujesz? – Daniel otworzył szerzej oczy, ale Fredowi nie było do śmiechu.

Kontynuował całkiem serio:

– Nie było wyjścia. Uznałem, że rodzina i bezpieczeństwo są ważniejsze. Ale właśnie dlatego, że przerobiłem to na własnej skórze, gwarantuję ci, że ten kościół to przykrywka Pruszkowa. Słyszałeś o Pershingu, Parasolu, Słowiku? To zbrojne ramię większej struktury, która ma oddziały gospodarcze w Łodzi. Dziennikarze nazwali ich łódzką ośmiornicą, którą stworzył Gruby Irek, a rozwinął Tato. Nimi wszystkimi zarządza Słoń, niepełnosprawny jubiler z Trójmiasta. To tak w skrócie. Między nimi jest system powiązań, choć media dzielą Polskę na regionalne gangi. To nieprawda. Zbóje zabijają, a malwersanci wyłudniają w białych rękawiczkach. Spytaj Lucka. On ci wyjaśni.

– Daj spokój, dawno już nie wierzę w spiskowe teorie mojego starego. Gdyby to była prawda, nie siedziałby w milicyjnym bloku, lecz zrobiłby użytek z tej wiedzy. – Daniel machnął ręką i rozejrzał się po polach. – Pięknie tu, ale może pojedziemy, co?

– Jak chcesz. Powiedziałem ci, a ty zrobisz z tym, co uważasz.

Fred usiadł za kółkiem, włączył silnik. A potem pewnym gestem sięgnął do schowka po dokumenty od audi i otworzył je, zanim Daniel zdołał mu je wyrwać z dłoni.

– Yanek Matensky, obywatel Niemiec, zamieszkały w Essen – odczytał.
– Powiedz mi, przyjacielu, ale szczerze, mam się już bać?

– Czego?

– Tego, że zadarłeś ze Śpiewakiem albo co gorsza, przyłączyłeś się do bandy Taty. Bo to mi tak wygląda. Wykorzystujesz swoje zdolności, żeby napychać im kabzę. Mylę się?

Daniel zawahał się, zanim odpowiedział.

– To znajomy Lepkiego i tego drugiego od mrozonek. Nie mój. Słowo.

– Przysięgasz?

– Na serce Emilki.

Fredowi ulżyło, ale wciąż nie do końca wierzył Danielowi.

– Bo wiesz, nie mówiłem ci, ale ja naprawdę mam szansę na ten mandat. Jeśli go zdobędę, pomogę wam się wyprowadzić. Facet, który sponsoruje moją kampanię, ma wejścia w wydziale nieruchomości lubelskiego urzędu. Znajdziemy jakieś mieszkanie w kamienicy przy rynku. Po pięciu latach

będziecie mogli je wykupić za niewielką wartość. Dwa, trzy tysiące, może więcej. Zależy, jaka będzie lokalizacja. Na razie niewiele osób o tym wie i korzysta z tego myku, więc sporo jest jeszcze zabytkowych apartamentów w centrum, które kiedyś, jak miasto się odnowi i odbije, warte będą setki tysięcy. Widzisz, ja też mam dryg do interesów. Robię pieniądze po swojemu i może moja stopa zwrotu jest niższa, ale inwestuję bezpiecznie, a w dłuższej perspektywie i tak wychodzę na swoje. Jak tylko znajdę taki lokal, dam ci znać. Teraz to dla ciebie nie problem wyłożyć te kilka czy kilkanaście tysięcy złotych i zamienić się z kimś, kto jest zadłużony. Emilia ucieszy się, że będzie mogła żyć na swoim i wyprowadzić się z czterdziestu metrów z teściami. To znaczy wiem, że się kochacie, że Lucek i twoja mama są fajni, ale chyba rozumiesz, o co mi chodzi. Powinniście dbać o swój związek. Ciebie ciągle nie ma, a tata jej nie zastąpi męża, choć dba o nią jak o własną córkę.

Fred urwał, czekał na pochwałę. Daniel nie zamierzał mu jednak przyklaskiwać. Udawał, że patrzy w okno.

– Dzięki, Fred, za radę, ale sam zarobię na dom. I nie musisz mi mówić, jak powinno wyglądać harmonijne małżeństwo. Każdy niech żyje, jak chce.

– Ja wiem, wiem – spłoszył się przyjaciel. – Martwię się tylko, żebyś nie wpadł znów w kłopoty. Bo widzisz, Wrota Nadziei są nadal w budowie, a przecież dostarczyłem im tyle materiałów, że mogli postawić z tego sześć kościołów.

– I pewnie postawili – burknął Daniel z przekąsem, a potem zarządził: – Jedźmy do Mercedesa. Te twoje wykłady przypomniały mi o czymś. Skoro mam teraz z czego spłacać długi, muszę ci jedną rzecz zwrócić.

Lublin, Polska, marzec 1999

Daria Bródka wiedziała, że jest najgorszą sekretarką świata. Myliła dokumenty, kontrahentów, ceny; zapominała o terminach, rozłączała szefa w kluczowych momentach negocjacji, była arogancka i nie potrafiła obsługiwać ekspresu. Do drukarki i ksero nie pozwalano jej podchodzić, bo ostatnia naprawa po jej wizycie kosztowała drożej niż zakup nowego sprzętu. Nie miała twarzy Moniki Bellucci, nóg Sienny Miller ani nawet zaraźliwego uśmiechu Julii Roberts. Nie sypiała z szefem, bo pan Kondratowicz, założyciel pierwszego salonu Mercedesa na wschodnią Polskę, był nieuleczalnie wierny swojej żonie Małgosi. Fakt, potrafiła być miła. Nosiła bardzo krótkie spódniczki (w ogóle nie przejmując się słoniowymi kostkami) i zawsze można było liczyć na jej szybką ripostę, jeśli uznała, że ktoś uraził jej godność. Wielu klientów salonu nie mogło zrozumieć, dlaczego ktoś taki od lat siedzi w głównej recepcji i pozwala mu się popełniać błąd za błędem. Prawdopodobnie Daria sama tego nie pojmowała, gdyż nienawidziła swojej pracy i gdyby tylko nadarzyła się pierwsza lepsza okazja, rzuciłaby ją tego samego dnia. Niestety nie mogła. Tę dwudziestotrzylatkę łączył z salonem Mercedesa nierozzerwalny węzeł. Był nim sześćioletni Mikołaj – owoc tygodniowego romansu recepcjonistki z synem Kondratowiczów. Miko, bo tak nazywano dziecko, mieszkał praktycznie z dziadkami, którzy mieli absolutnego hopla na jego punkcie, jakby chcieli wnukowi w ten sposób zrekompensować brak ojca, który przebywał gdzieś w Tybecie albo Indiach i poszukiwał równowagi duchowej w ramionach dużo starszej od siebie copywriterki. Te poszukiwania trwały już siódmy rok, więc Miko jeszcze ojca nie widział, a niesieni poczuciem winy dziadkowie starali się zapewnić chłopcu warunki godne małego księcia. Efekt był taki, że świat nie znał bardziej rozpuszczonego bachora. Płaczem, dąsami, waleniem przedmiotami o ścianę (lub w babcie), wrzaskami (na dziadka), niejedzeniem, płuciem, wymiotowaniem, udawaniem omdleń, regularną ucieczką i chowaniem się w krzakach chłopiec potrafiłby na dziadkach wymusić zakup rakiety kosmicznej. A po tych wszystkich torturach wystarczył jeden uśmiech

i przytulenie się małego diablęcia, by wszelkie winy zostały mu odpuszczone.

Daria nigdy nie była brana pod uwagę jako synowa, a gdyby Kondratowiczowie mogli nabyć taki pakiet, z pewnością anulowaliby jej status matki. Proponowano jej zresztą sprzedać dziecko za równowartość jednego z najdroższych aut, ale ponieważ dziewczyna nie miała prawa jazdy i nie zamierzała tego zmieniać, uznała, że lepiej zapewnić sobie godziwe życie, niż walczyć z poczuciem winy, że porzuciła swoje maleństwo. Kondratowiczowie zatrudnili więc Darię na stanowisku, na którym mogła wyrządzić jak najmniej szkód, a ona w zamian godziła się, by syn de facto mieszkał z nimi, i zabierała go na weekendy (to była wersja dla jej rodziny i randkujących z nią mężczyzn), zwykle kilka razy do roku (syn, o dziwo, ją rozpoznawał, a na widzeniach był nieprawdopodobnie grzeczny i nie rozrabiał, gdyż Daria, jedyna z jego otoczenia, trzymała go krótko i stosowała konsekwentny system kar). Jeśli chodzi o codzienność z dziadkami, Kondratowiczowie grali z Darią w grę: „jestem miła, ale mam nóż” oraz „bądź grzeczna, to nie będzie tak źle”. Tak naprawdę jednak wszyscy nie mogli się doczekać, aż Daria zakocha się w kimś nowym, odejdzie i zacznie całkiem nowe życie, uwalniając od jarzma zarówno klientów salonu, jak i niedoszłych teściów. Jediną osobą, która bojkotowała takie rozwiązanie, był Miko. Każdego nowego absztyfikanta mamy opluwał, obrzygiwał, słowem, stosował wszystkie możliwe sposoby, by go odstraszyć i by mama nie odeszła, bo w umowie zawartej między nią a dziadkami była klauzula, że dziecko zostanie wtedy z Kondratowiczami, a Daria zrzeknie się na ich rzecz praw rodzicielskich.

Daria skończyła właśnie picie kawy i zastanawiała się, czy ma ochotę na następną, czy może lepiej skoczyć do kiosku po kit kata, kiedy w drzwiach zobaczyła dwóch mężczyzn około trzydziestki, wokół których jej niedoszły teść skakał, jakby byli politykami krajowego szczebla. Natychmiast poprawiła spódniczkę i przeczesła włosy. Nie była piękną, ale wiedziała, co zrobić, aby mężczyzna zapomniał o tym, na co patrzy. Rozpięła guziki bluzki na tyle, by widać było koronkę biustonosza, a potem na lewe udo założyła czerwoną podwiązkę. Obejrzała się w lustrze. Podnosiła i opuszczała ręce, pochylała się i wyginała. Kiedy już wyćwiczyła wszystkie pozy, ruszyła do kuchni po czajnik. Nie chodziło jej

o uwodzenie tych dwóch facetów, lecz o to, by dopiec Kondratowiczowi, bo z jakiejś przyczyny ślinił się do tego małego, który nadużywał brylantyny i angielskich wtrąceń. Ten drugi – wielki jak góra – praktycznie się nie odzywał. Daria myślała pobłaźliwie, że pierwsze skrzypce gra zawsze ten mały, bo musi sobie coś udowodnić, a duży na tyle lekceważy swoją siłę, że daje się prowadzić jak jagnię na rzeź.

– Kawy? – Zbliżyła się cicho jak kot, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na przerażone spojrzenie niedoszłego teścia, który doskonale znał smak napojów przez nią serwowanych.

Uśmiechnęła się z satysfakcją – nie mógł przecież wiedzieć, że tym razem się postarała i wyspała cukier zamiast soli.

Mężczyźni sięgnęli po plastikowe kubeczki, przyklepny grymas Darii biorąc za dobrą monetę. Recepcjonistka ze zdziwieniem stwierdziła, że mały nie jest wcale taki niski, tylko z daleka wydaje się konusem przez kontrast z wielkim. Uznała też, że nie każda brylantyna bywa odrażająca, a do tego facet ma niesamowite oczy. Czarne niczym węgle i okolone długimi rzęsami jak u dziewczyny. Czyżby gapił się w jej dekolt? Jak na komendę wypięła pierś i ustawiła się tak, by koronka pończochy była widoczna, a choć Kondratowicz dawał jej nieme znaki, nie odchodziła.

– Wzięlibyśmy cztery modele – perorował nabrylantynowany laluś i wskazywał kolejne auta z katalogu, jakby wybierał cukierki. – Czy pięć? Aga też pewnie chciałaby nowy wóz, co, Fred?

– Nie przesadzaj, Danielu – zaproponował olbrzym. – Nasza astra wciąż jeszcze jest na chodzie.

Ale laluś go nie słuchał.

– Wszystko w leasing, nadal nie opłaca się płacić gotówką. Trzy na FREDEX i dwa na White Horse Trust LTD. Albo niech wszystkie będą na White Horse – zdecydował. – Ile trzeba na nie czekać?

Kondratowicz wrzucił dane do komputera i trwali teraz wszyscy w napięciu, co wypluje maszyna.

– Dziękujemy, pani Dario – rzekł Kondratowicz z naciskiem.

Dziewczyna dawno nie widziała go tak podnieconego spotkaniem z klientami. Wyglądał jak Sknerus McKwacz z bajki, którą tak lubił Miko

(zresztą potajemnie przezywali tak dziadka, kiedy nie słyszał), więc tym bardziej nie zamierzała się tak łatwo poddać. Za wszelką cenę chciała się dowiedzieć, kim są ci faceci.

– Życzą sobie panowie coś jeszcze? – zaczęła.

– Pyszna kawa – karnie odpowiedział wielkolud nazwany Fredem, ze wszystkich sił starając się nie patrzeć w stronę żadnych koronek – ani tych czarnych na biuście, ani na udach – czerwonych, i na ślepo odstawił kubeczek na tacę. Brylantowy gość natomiast, jak w duchu określiła go Daria, uśmiechnął się władczo i już wiedziała, że ma ochotę na flirt, a może i coś więcej.

– A co pani oferuje?

– Odrobinę słodczy?

– Nigdy nie odmawiam – odparł z godnością Brylantowy. – Pani Dario, czy dobrze zapamiętałem?

Po czym wstał, trzasnął obcasami, jakby miał na sobie zbroję, i przedstawił się:

– Daniel Skalski.

Dziewczyna zadarła głowę. Miała absolutną pewność, że facet zamiast w jej oczy zerka teraz w rowek między piersiami, szacując, na ile pasują do jego dłoni. Miło było zadawać tak dotkliwie rany dziadkowi Mika.

– Mamy pralinki z alkoholem. Podać, szefie? – zapytała, nie odwracając głowy od przystojniaka.

– Oczywiście, proszę podać, jeśli panowie reflektują.

– Służę – odparła grzecznie, a Kondratowicz aż otworzył usta ze zdziwienia, że potrafi być tak sympatyczna.

Jednak ledwie obróciła się na pięcie, taca wymknęła jej się z dłoni. Czajnik z resztką kawy poturlał się po biurku Kondratowicza i spadł, rozbryzgując promieniście czarne plamy na ułożone dokumenty. Plastikowe kubeczki zatrzymały się na kolanach klientów.

– Najmocniej przepraszam. – Daria zdjęła z włosów apaszkę i zaczęła nerwowo przecierać plamy na koszuli i spodniach Daniela, ale po chwili wyprostowała się zawstydzona. – Przyniosę ręczniki papierowe.

– Niech pani się tak nie przejmuj. Istnieją przecież pralnie.

– Ja wszystko ureguluję – powtarzał w panice Kondratowicz, choć to jego biurko i ubranie ucierpiały najbardziej. Wstał i nieudolnie niwelował szkody chusteczkami do nosa. – Wszystko będzie opłacone, panowie.

Daniel go nie słuchał. Nie odrywał wzroku od biegającej od pokoju do pokoju Darii.

– Urocza ta pana synowa – rzekł z przekąsem. – Perfekcyjnie zbudowana.

Twarz Kondratowicza momentalnie przybrała kolor wołowiny. Nie był w stanie wydusić ani słowa. I tak pozostało do chwili, kiedy Daria przybyła z wielką tubą przemysłowego czyściwa, którą postawiła przed klientami niczym największą nagrodę. Miała rumiane policzki, oczy świecące z emocji, rozchełstaną bluzkę, więc nikt nie musiał się już wysilać, by dostrzec model jej biustonosza.

– Składam rezygnację! – oświadczyła z emfazą. – Mam już dosyć pana intryg.

Kondratowicz spojrział na klientów, oni zaś z litością zerkali na jej imponujące piersi.

– Dario – zaczął łagodnie szef salonu. – Wiesz, to chyba nie najlepsza chwila. Załatwimy sprawy z panami i porozmawiamy.

– Niech pani tak nie przeżywa – dołączył się dobrotliwie Daniel. – Pójdzie się przewietrzyć, zje ciasteczko... My tutaj posprzątamy.

Wstał i udawał, że wyciera błoto na biurku Kondratowicza.

– Nie, ja odchodzę! – Daria przymknęła oczy, jakby zbierała się na odwagę. – I zabieram Mika.

– Zlituj się, córko. – Kondratowicz się poderwał. – Daj mi skończyć biznes, a potem będziesz sobie płakała.

Daniel wstał, objął dziewczynę ramieniem. Oddychała tak łapczywie, że biust podskakiwał, jakby była na trampolinie.

– Wie pani co, pomoże mi pani. Wysłalibyśmy jeden faks.

Odwrócił się do szefa salonu.

– Czy mógłbym skorzystać z urządzenia?

– Oczywiście, jak najbardziej – skwapliwie zezwolił Kondratowicz.

– Jaki faks? – Daria wciąż pocierała oczy, choć gdyby naprawdę płakała, na jej rumianych policzkach powinny płynąć strużki tuszu do rzęs.

Jej twarz była czysta i aż lśniła z ekscytacji. Daniel patrzył na nią ubawiony. Widział wyraźnie, że zaplanowała oraz odegrała tę scenę i wcale nie była zdenerwowana, przeciwnie – cieszyła się z takiego obrotu sprawy. Daria też zorientowała się, że została zdemaskowana. Poczowała niewidzialną więź z facetem, aż zakłuło ją w sercu. Poprawiła dyskretnie włosy i udała, że pociera oko. Tak naprawdę zerkąła na Daniela, sprawdzając, czy ma godnego współnika w figlach z wrednym nauczycielem.

– Podyktuję jedno pismo. Potrafi pani pisać na komputerze?

– Chodzi panu o to, czy jestem w stanie wysadzić sieć w tym budynku?

Uśmiechnął się.

– O tym jestem przekonany.

Wiedziała już, że lubi tego faceta. Zajęła miejsce za biurkiem i otworzyła plik.

– Gotów?

Podał jej wizytówkę. Przepisała adres i wszelkie dane kontaktowe do nagłówka. Zauważyła, że spółka ma siedzibę w Szwajcarii i jest raczej poważną firmą, a nie drobnym przedsiębiorstwem w domu właściciela, bo adres miał skrytkę pocztową oraz rozszerzenie LTD.

– Do szanownych Joanny i Jacques’a Valmontów. – Daniel dyktował w języku angielskim. – Niniejszym zaświadcza się, że kwota należności związana z umową jeden łamane przez zero trzy łamane przez zero zero trzy łamane przez dziewięćdziesiąt dziewięć będzie przekazana na konto Ignacy Wolf w dniu jutrzejszym zgodnie z załącznikiem numer sześć. Z poważaniem Daniel Skalski von Hochberg, *president*.

Pogrzebał w kieszeniach i wyjął dwie pieczątki. Jedną okrągłą, drugą z adresem identycznym jak na wizytówce, obok położył również pióro. Było to piękne mont blanc z limitowanej edycji Salvadora Dali.

– Drukować?

– Patrzcie ją, jaka w gorącej wodzie kąpana. A papier firmowy?

Daria długo rozważała tę myśl. Mężczyzna znów sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki do auta. Dostrzegła na breloku logotyp audi.

– Czerwony kabriolet. Stoi przed wejściem. Papier znajdziesz w bagażniku, w aktówce. Przynieś więcej, niech zostanie w twojej szufladzie. Nie wiadomo, kiedy najdzie mnie chętką na wysłanie znów faksu – rozpromienił się, ale jego tupet nie spotkał się z oczekiwaną reakcją.

– Nie jestem pana służącą.

– Nie cieszysz się, że pod tym malutkim pretekstem będę mógł bezkarnie cię odwiedzać?

Podniosła głowę. Oboje patrzyli na grubą obrączkę na palcu Daniela. Odruchowo złożył dłoń w pięść. Spuścił wzrok.

– To nie jest tak, jak myślisz.

– Wiem, wiem, ona jest na wylocie, nie rozumie pana i już ze sobą nie sypiacie. A ja mam dziecko. Sześćioletnie. I nie mam męża, ale chciałabym mieć, więc nie zajmuj mi pan miejsca.

Rzuciła mu kluczyki.

– A Kondratowicz nie jest moim teściem. Niczego mu nie zawdzięczam, więc skarga nie ma sensu. To jak, drukować na czystym czy idziesz pan po swoje druki?

Daniel wstał. Patrzyła, jak podchodzi do swojego kompana wciąż zawzięcie dyskutującego z jej szefem i zajmuje jego miejsce. Po chwili niedźwiedź wstał i zniknął za drzwiami salonu. Daria stwierdziła, że potyczkę może uznać za wygraną. Pozapinała wszystkie guziki, obciągnęła jak najniżej spódnicę i podsunęła pończochy, by podwiązka się nie wysunęła, a potem, głównie z nudów, zaczęła oglądać pozostawione przez biznesmena pieczątki.

Na jednej z nich widniał adres: Fredex International Limited. Branch Office in Switzerland. Rhue du Rhone, 1204 Genève, Registre of Commerce CH-660–13929977(2).

Kolejna była rodzajem stopki do listu: Capital of Fredex: One Billion GBP. About Fredex International – global found management company with a record of producing superior returns for clients by adhering statistical

and mathematical methods in the design and execution of investments programs. Charity Programs of UNESCO and Knights of Malta.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Daniel pojawił się tak nieoczekiwanie, że dziewczyna aż podskoczyła. Leżały przed nią trzy egzemplarze formularzy z logotypem Fredexu, które znała już z pieczęci. Na wydrukach było właściwie wszystko to, co na pieczętkach, poza dodatkowymi adresami filii: London – Geneva – Monaco – New York – Dubai.

– Na jaki numer nadać?

Mężczyzna podyktował i dopisał adres: Eschersheimer Landstrasse 410/2001, Frankfurt.

– Będzie problemem nadanie oryginału także w postaci papierowej?

Daria spojrzała ponad jego ramieniem na swojego szefa.

– Pan Kondratowicz wie?

– Wyraził zgodę.

– Szkoda, ale nie ma sprawy.

Zaczęła wkładać dokumenty do drukarki. Zachowywała się tak profesjonalnie, że Daniel nigdy by nie przypuszczał, by ktokolwiek mógł mieć ją za osobę niekompetentną.

– Zrobić panu więcej kopii czystych blankietów?

– Czy to znaczy, że zgadza się pani na ponowne odwiedziny?

– Skoro bierze pan w leasing pięć aut, spodziewam się, że zawita pan jeszcze niejednym razem, by nadać coś albo wydrukować – odparła chłodno.

Daniel zrobił minę niewiniątka.

– Fred w moim imieniu to zrobi.

Podsunęła mu dokument. Przyłożył stosowne pieczęcie i złożył podpisy.

– Ja jutro wyjeżdżam. Jak pani już wie, prowadzę interesy głównie poza krajem.

– Jaka szkoda – mruknęła i faktycznie czuła pewien zawód, że więcej się nie zobaczą.

Planowała tylko dopieć dziadkowi Mika. Cel osiągnęła. Niestety klienci się nie zniechęcili, ale tyle radości, ile miała sama, jej wystarczyło.

– Mam jeszcze jedną prośbę. – Daniel pochylił się, jakby planował zdradzić najpilniej strzeżony sekret. – Sprawa jest ustalona z panem Kondratowiczem. Idzie o rower.

Położył na jej biurku trzy kupki banknotów.

– Rower?

– Dla Freda. Widzi pani, to mój przyjaciel. Kiedyś mu jeden popsulem. Tak wyszło.

– Aha.

– Ten model. – Podsunął katalog. – Niech przygotują grawer imienny i przywieżą do hurtowni Freda. Chciałbym, żeby miał niespodziankę, kiedy przyjdzie do pracy.

Daria szybko przeliczyła pieniądze.

– Chyba jest za dużo. Wyjdą dwie sztuki.

– Zgadza się. Drugi proszę damski.

Zanotowała.

– Też z grawerem?

– A życzy pani sobie grawer?

Podniosła głowę.

– To łapówka?

– Tak.

Daria nawet na chwilę nie straciła rezonu.

– W takim razie wolę bransoletkę. Rower może pan podarować żonie.

Biłgoraj, Polska, marzec 1999

Tego wieczoru Fred i Aga bezskutecznie czekali na przyjaciół z zastawionym stołem i lodówką pełną schłodzonego piwa. Mieli też bezalkoholowe wino dla Emilki, by i ona mogła świętować powrót męża do domu. Było już po dwudziestej, kiedy Aga odebrała telefon. Podeszła do Freda, który wyciągał właśnie z piekarnika kaczkę w pomarańczach, i podała mu słuchawkę bez słowa.

– Nie czekajcie na nas, bracie – usłyszał grobowy głos Daniela. – Jesteśmy w szpitalu. Nie, nie przyjeżdżajcie. Emilka bardzo prosiła, żeby wam nie mówić. Skoro nie wiedzieliście o ciąży, niech tak zostanie.

Fred długo milczał. Po twarzy płynęły mu łzy.

– Tak mi przykro – wydusił wreszcie.

Chciał dodać, że prezent już dotarł. Pragnąłby zachwycić się rowerem, który Daniel mu podarował, ale w obliczu tych nowin byłoby to niestosowne. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zapytać, jakim cudem Emilia zaszła w ciążę, skoro męża nie było w Polsce ponad rok.

– Wiesz, to wszystko jest takie trudne – ciągnął Daniel. – Bo ja niedługo znów muszę wyjechać.

– Zajmę się wszystkim – obiecał Fred. – Włos im z głowy nie spadnie.

Wtedy w tle usłyszał damski głos. Jakaś dziewczyna wołała Daniela po imieniu. Kojarzył ten piskliwy ton, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie go słyszał.

– Muszę iść – rzekł Skalski. – Wołają mnie.

– Jasne. Ucałuj ją.

– Pamiętaj, nie przypuczuj się. Emi nie chciałyby, żebyś wiedział. Czułaby się upokorzona. Wiesz, jaką ma do ciebie słabość.

– Więc przed twoim wyjazdem już się nie zobaczymy?

– Nie wiem, postaram się. – Daniel chciał skończyć rozmowę jak najszybciej. – Wszystkie papiery zostawię ci u taty. I wiesz co, kup mi ten lokal, o którym wspominałeś. Masz rację, garsoniera się przyda,

a nieruchomości to zawsze dobra inwestycja. Oddam kasę, jak wrócę. Tylko na razie nie mów Emilii ani tacie. Chcę najpierw uporządkować sprawy, zrobić remont, a dopiero potem ujawnić niespodziankę. Będzie wielkie łał.

– Masz jak w banku.

– Prawdziwy z ciebie kumpel.

– Naprawdę bardzo mi przykro.

– Wesołej zabawy – odparł Daniel, co wydało się Fredowi co najmniej dziwne na zakończenie takiej rozmowy.

Potem miał wrażenie, że słyszy trzaśnięcie drzwi do auta oraz szorstkie rify rock and rolla dobiegające z oddali. Kiedy po solówce wszedł wokalista, Fred nie miał wątpliwości, że to *Why Don't You Get a Job* The Offspring. I znów ten sam damski głos, tym razem stłumiony – tak bardzo pasowałyby do seksownej recepcjonistki z salonu Mercedesa.

Brukwicz nie zastanawiał się jednak nad tym dłużej, ponieważ miał zagwozdkę, co powiedzieć Adze, jak wyjaśnić, nie wzbudzając podejrzeń, że Skalscy nie przyjadą, skoro musi zataić informację o poronieniu, a jeszcze nigdy nie okłamał własnej żony.

Powiedziałem, że nie grałem cudzych ról, i to się zgadza, lecz nie twierdziłem nigdy, że gry nie istniały. Niektórzy za wszelką cenę wprasali się do zabawy, inni potrzebowali delikatnej zachęty. Nie były to osoby przypadkowe. Każdy chciał wygrać, choć – paradoksalnie – moje zasady ich nie interesowały. Lekceważyli je albo wierzyli w dobre intencje, chociaż sami mieli złe. Oczywiście zdarzali się i tacy, którzy byli pewni, że to oni rozdają karty. Nie wyprowadzałem ich z błędu. Lubię, kiedy mają mnie za frajera. Dzięki temu kontroluję sytuację i mogę spokojnie planować scenariusz kilka kroków w przód. Każdy wędkarz wie, że gdy ryba połknie haczyk, trzeba jej pozwolić nacieszyć się zdobyczą. Zanim nastąpi szarpnięcie, ma prawo przez chwilę czuć się rekinem, choćby całe życie była płotką. Wyrzucenie na brzeg i wypatroszenie to jedynie detale. Jeśli hak siedzi solidnie, szanse na ratunek oceniam na żadne. Zemsta? Nigdy się jej nie obawiałem. Wypatroszona ryba myśli tylko o tym, żeby nie zdechnąć. A ja jestem już daleko, na innym łowisku. I mam na sobie inną maskę.

Pałac Kultury i Nauki, Warszawa, Polska, marzec 1999

– Ten Niemiec naprawdę nie widzi? – wyszeptała Joanna, pochylając się do męża. – Bo tak siedzi i świdruje mnie wzrokiem, aż poszło mi oczko w pończosze.

Gertrud chwyciła kieliszek i napiła się wina, by powstrzymać śmiech.

– Słyszysz za to doskonale i co gorsza, zna francuski – odparła. – Gratulacje, pani Valmont.

– I co z tego! – zachnęła się kobieta. – Przecież pani mu tego nie powtórzy, prawda?

W tym momencie drzwi do toalety się otworzyły. Stał w nich Wolf. Oparł się o laskę, a potem sprytnie nią manewrując, samodzielnie znalazł drogę do stolika. Wszyscy obecni byli pod wrażeniem. Nawet Gertrud, która widziała w wydaniu Wolfa wiele sztuczek, jak choćby obstawianie na ruletce czerwonych i czarnych pól albo nabijanie rewolweru.

– Nie przekazujemy sobie złych wiadomości – oświadczył pięknym akcentem Wolf. – I nie łamie nas prosty afront. Po prostu będzie to nasza ostatnia wspólna transakcja, czyż nie, pani Schmetterling?

– Może się tak wydarzyć – potwierdziła Gertrud i przesunęła gazety, które państwo Valmontowie prezentowali, by uwiarygodnić swoją pozycję, a na ich miejsce położyła plik dokumentów. – Wiemy już, że prawnicy Michaela Jacksona sprawdzili inwestycję, gwiazdor zdecydował się przeznaczyć na park rozrywki w Polsce pięćdziesiąt milionów, a wizyta u prezydenta Warszawy powinna przyspieszyć decyzję ministra obrony narodowej, który trzyma łapę na nieruchomości. Czy tak?

– Zgadza się – potwierdził niechętnie Francuz.

Nie po to urabiali Wolfa przez ostatnie cztery godziny, żeby ta zołza sprowadziła wszystko do kilku punktów. Jacques po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo nie cierpi germańskiego ordnungu i tej ich narodowej systematyczności. Jego guwerner był Niemcem. Ciężkie dzieciństwo. Wiedział, że z tym się nie walczy, można się tylko podporządkować. A ta para Polaczków mieszkająca we Frankfurcie była

bardziej niemiecka niż jego nauczyciel. Kręcił się więc cały lunch niespokojnie.

– A co będzie, jeśli polskie wojsko nie wyda zgody na budowę Jacksonlandu na Bemowie? – Ślepiec przekrzywił głowę.

– Jackson cofnie słowo i baj, baj pięćdziesiąt baniek – odparła pani Valmont.

– Na jaki termin opiewa umowa?

– Właściwie nie ma terminu.

– W czym więc tkwi problem?

– Nie możemy czekać w nieskończoność – zdenerwował się Valmont. – Jackson naciska, wojsko ciągnie do siebie, a Warszawa się niecierpliwi.

– Nie można dać królowi popu innego terenu?

– Podoba mu się lotnisko. Nie chce burzyć parku, ogrodów saskich i tak dalej. Zresztą prezydent obawia się, że mieszkańcy stolicy nie przyjąłoby dobrze takiej przebudowy – westchnął ciężko Francuz.

– Czyli opór stawia MON. – Wolf odchrząknął znacząco. – Może wystarczy odszkodowanie?

– Nie mamy tyle. W przypadku wypłaty rekompensat inwestycja przestaje być opłacalna.

– A gdyby przenieść imprezę do innego miasta? – wtrąciła się Gertrud.

– Próbowaliśmy. Bez skutku.

Wolf sięgnął po kieliszek. Chwycił ten ubrudzony szminką pani Valmont, ale nikt nic nie powiedział. Kobieta skinęła jedynie na kelnera, by wymienił zastawę.

– Odnosimy wrażenie, że Michael zaczyna tracić zainteresowanie – zaczęła. – Jeśli mamy coś na tym ugrać, jak najszybciej trzeba doprowadzić do przelewu. Czy park powstanie teraz, czy za kilka lat, nie ma znaczenia. My możemy poczekać z budową, a Jackson – jeśli zainwestuje – zajmie się czymś innym i zapomni.

– Chce pani powiedzieć, że król popu może wycofać się rakiem?

– Tak, skoro chce pan być aż tak dosłowny – nadeła się Joanna. – Oferujemy piętnaście procent, więc chyba mamy prawo oczekiwać, że

ruszy pan głową.

– Mam na to sposób – rzekł Wolf. – Ale to transakcja wiązana.

– Jak wszystkie pana interesy – westchnęła pani Valmont.

– Dam pani na piśmie, że wojsko wyda zgodę na budowę, pod warunkiem że pan Jackson wpłaci całą kwotę na rachunek inwestycyjny, który do czasu zakończenia budowy parku rozrywki będzie pomnażał te pięćdziesiąt milionów, tak by nikt nie był stratny.

Pan i pani Valmontowie wybuchnęli zgodnym śmiechem.

– A niby skąd miałby pan dostać taki papier?

– Nie twierdziłem nigdy, że od wojska. – Wolf nie krył oburzenia. Krzywił się i syczał, jakby szkalowano go, że brzydko pachnie mu z ust. – Mówię tylko, że w umowę z Jacksonem zostanie wpisany paragraf w ten sposób go zabezpieczający. Rachunek zostanie założony na niego, a prowizję wezmę na siebie. Na tym etapie nie musicie go nawet informować. Macie pełnomocnictwa. Czy królowi popu warto zawracać głowę takimi duperelami? Niech komponuje nowe piosenki ku uciechu gawiedzi. W tym czasie my pomnożymy jego gotówkę. Za rok czy dwa, kiedy gwiazdor przyjedzie na otwarcie, jeszcze wam podziękuje.

– A jeśli wojsko nie wyrazi ostatecznie zgody i do budowy Jacksonlandu nie dojdzie?

– Pieniądze zostaną zwrócone. Z wypracowaną nadwyżką, jasna rzecz.

Joanna porozumiała się z mężem. Byli sceptyczni.

– A co my będziemy z tego mieli?

Wolf czekał na to pytanie.

– Czterdzieści procent. Zapomniałem wspomnieć. Ja biorę sześćdziesiąt plus odsetki. Przecież tak naprawdę nie palicie się do tej budowy. Dla was byłoby korzystniej, gdyby teren oddano pod waszą kuratelę, ale Jacksonland powstać tam wcale nie musi. Jeśli gwiazdor złamie warunki umowy, oddacie mu zaliczkę, cenne Bemowo zaś będzie należało do was.

Zapadła cisza. Takiej obrazy majestatu nie można było wybaczyć. Państwo Valmontowie w milczeniu składali serwety, wołali wzrokiem kelnera. Gertrud aż zaschło w gardle, czekała na ciąg dalszy jak na

szpilkach. Tylko Wolf siedział zrelaksowany, a wykończywszy wino Joanny, popijał teraz z kieliszka jej męża.

– Tylko tyle ma pan do zaoferowania? – burknął Valmont, ale nie odchodził od stołu. – W takim rozdaniu zarobi głównie broker trustu, w którym Michael umieści fundusze. I nawet jeśli Jackson jakimś cudem na to poszedł, to tak dostanie po tyłku za podatki, że inwestycja nie będzie miała szansy, a Warszawa nie dołoży ani grosza. Potrzebna byłaby ulga od ministra. Jest pan w stanie taką załatwić?

Wolf nie wyczuł ironii, a przynajmniej tego nie okazał.

– Nie tylko broker zarobi – odparł. – Także bank. No i oczywiście sam gwiazdor. To niewielki wkład, jeśli wziąć pod uwagę, jak można pomnożyć te środki. Gdyby dobrze nimi zarządzić, Jackson postawiłby park rozrywki z odsetek, a reszta funduszy nadal by pracowała. Nie znam nikogo, kto nie lubi zarabiać, nie ruszając najmniejszym palcem.

– Świetnie – naburmuszyła się pani Valmont. – Tak się składa, że zajmujemy się managementem, a nie bankowością. Zależało nam na zbudowaniu parku rozrywki, nie zaś nabiciu kabzy królowi popu.

Wolf nie dał jej dokończyć.

– Mam człowieka, który wykona tę operację. To bardzo zamożny Polak, ekspert funduszy hedge i przy okazji arystokrata. Jest w stanie tak zabezpieczyć środki, by mogły poczekać, aż polskie władze dogadają się z wojskiem. Pilotowanie tej sprawy zostawiłbym już państwu. Jestem pacyfistą.

– Jak ten człowiek zamierza to zrobić?

– To proste. – Ślepiec wzruszył ramionami. – Posiada własny bank.

Państwo Valmontowie nie wypowiedzieli ani słowa, lecz atmosfera zgęstniała. Gertrud wiedziała, że Wolf już ich kupił, choć udawali, że się wahają.

– Przywieziecie króla popu, otworzymy mu rachunek i przejmemy gotówkę. A potem sprawiedliwie podzielimy.

– Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. – Pan Valmont pierwszy raz tego dnia wykazał się reflekssem, co nie uszło uwagi pani Valmont.

Wolf westchnął.

– Koszty przyjazdu gwiazdy i przygotowanie imprezy leżą po waszej stronie – podkreślił. – A conto.

Państwo Valmontowie synchronicznie wyciągnęli dłonie.

– Uściśnij, zgodzili się – podpowiedziała Wolfowi Gertrud.

Zanim Wolf przypieczętował układ, zaznaczył:

– Żadnego przecieku do mediów. Mój bankier nie lubi rozgłosu.

Hotel Marriott, Warszawa, Polska, marzec 1999

– Nie przepadam za rozgłosem. – Daniel konfidencjonalnie zniżył głos.
– W strefie, w której działam, hałas medialny jest szkodliwy. Sporo zapłaciłem, żeby usunąć z sieci wszelkie dane osobiste, a ostatnio także i służbowe, choć ci, którzy mają mnie znać, wiedzą o moich osiągnięciach. W przeciwnym razie nie byłbym wiarygodnym opiekunem wyjątkowo tajnej struktury opartej na prestiżowych instytucjach finansowych. Zresztą te liczby mówią same za siebie.

Podał mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko dokument opatrzony wieloma pieczęciami i zamaszystymi podpisami.

– HB skal H.F.M-Group – odczytał Jarosław Bobek. – To po angielsku.

Daniel uśmiechnął się przepaszająco.

– Dostanie pan skan tego dokumentu na mejla i będzie mógł porozumieć się z tłumaczem. W skrócie znajdzie pan tutaj kompletne informacje dotyczące moich udziałów w wiodących funduszach hedge.

– Renaissance Technologies – odczytał Bobek, ale spojrzął na finansistę inaczej.

Daniel nabrał powietrza i wyrecytował:

– To akurat dwucyfrowy udział w funduszu Jamesa Simonsa. Chodzi o udział procentowy oczywiście. Podobny mam w Medallion Found oraz Solgevarze Gary’ego Frencha, a musi pan wiedzieć, że w ubiegłym roku zarobiliśmy z Garym półtora miliarda USD. I tutaj mój udział jest dwucyfrowy. – Uśmiechnął się triumfująco.

Bobek nadal wpatrywał się w Daniela, jakby mówił do niego po węgiersku. Bardzo chciał coś zrozumieć, ale był jedynie znudzony i wciąż nieufny. Skalski dostrzegł to, więc dodał:

– Posiadam też udziały w Capital Management. To chyba już więcej panu powie, bo inwestują w nim Warren Buffett i Alan Greenspan.

– Aha – mruknął Bobek. – Buffetta coś kojarzę. Grał z Julią Roberts?

Daniel uśmiechnął się pocieszająco.

– To Warren Beatty. Niestety nie ma dosyć funduszy, by u nas inwestować. Kolejka do Medallionu jest bardzo długa. Selekcję prowadzimy niezwykle wnikliwie. Alan Greenspan to dyrektor FED. Posiadam wystawiony przez niego certyfikat.

Do rąk Bobka powędrował kolejny papier, ale mężczyzna tylko nań zerknął i zaraz odłożył.

– Widzi pan, doktorze Skalski, my nie potrzebujemy aż takich pieniędzy. Wystarczy nam w zupełności kwota pół miliona złotych. Inwestycja w Szczyrku pochłonęła wszystkie środki, jakie zdołałem zgromadzić.

– Wiem, że poświęcił pan swój rodzinny dom – wtrącił Daniel współczująco.

– Zgadza się. Sprzedałem, bo wierzę w ten wyciąg. Jeśli ruszy w tym sezonie, cały koszt się zwróci i od przyszłego roku będziemy już tylko zarabiać. Planowaliśmy w ciągu dwóch lat postawić bazę noclegową i może kilka restauracji. Nic specjalnego, narciarzom w kraju wystarczy łyk piwa i gorąca kiełbaska. Mamy już dogadane umowy z masarniami. Okazuje się jednak, że to wciąż za mało, by doprowadzić budowę do końca. Niestety nie możemy się już wycofać. Stracilibyśmy wszystko. Dlatego bardzo liczyłem na pana gwarancję. Podzielimy się zyskiem. Pięć procent prowizji od całości będzie okay?

Daniel udał, że się zastanawia.

– Obecnie posiadam osiem gwarancji po dwadzieścia pięć milionów dolarów każda. W ciągu miesiąca mógłbym uzyskać potrzebne panom środki. Przygotowanie takiego kredytu będzie jednak kosztować. Skoro nie macie na budowę, jak zgromadzi pan pieniądze na obsługę tego kontraktu?

– To nie jest problem. Gotówkę na pana honorarium wyjmemy z poduszki finansowej, bo na szczęście takową zabezpieczyliśmy. Jak widać, czarna godzina właśnie nadeszła.

– Bilety, hotele, opłacenie administratorów bankowych – wymieniał Daniel.

Recytował podobne bzdury cały dzisiejszy dzień. Reakcje biznesmenów potrzebujących na gwałt gotówki na swoje nie do końca czyste interesy były tak łatwe do przewidzenia, że Skalski stracił ochotę do walki. Stał się

wyniosły, a ku swojemu zdziwieniu spostrzegł, że działa to skuteczniej niż bajeczna nawijka. Przyglądał się niemodnym ubraniom łasych na lewe gwarancje bankowe biznesmenów, oceniał ich tanie obuwie, metalowe zegarki i ohydne fryzury. Jeszcze zanim się odezwali, wiedział, jakim budżetem dysponują. Bardzo jednak starał się wydawać dobroduszny i nie szczędził fałszywych komplementów oraz udawanego współczucia. W tej chwili zarzucał wędkę. Im więcej haczyków chwyci za gardło, tym więcej źródełek łatwej forsy będzie miał otwartych w przyszłości. Kusił dalej:

– Najlepiej by było, gdyby polecił pan kilku inwestorów, którzy także są w potrzebie. Dogada się pan z nimi i wówczas te dwadzieścia pięć milionów podzielimy na kawałki jak tort urodzinowy. Będzie efektywniej, a dla was bezpieczniej. Im większa pula, tym większy zysk. Kwadratura koła. Zapewne zna pan tę zasadę lepiej ode mnie. Siedzi pan przecież w biznesie nie od wczoraj – schlebiał.

– Mam takie dwie osoby – nieśmiało bąknął Bobek. Nie planował wikłać kolegów ani tym bardziej im pomagać, ale poczuł się mile połączony komplementem tego szpenia, za jakiego od początku uważał Daniela. – Pan Puget od roku poszukuje inwestora do rozbudowy swojej gorzelni. Był za granicą, spotkał się w Zurychu z panem Wolfem. Wiem, że się panowie znają, bo polecał pana już wcześniej. Puget z Wolfem pracowali nad zdobyciem linii kredytowej, bo Wolf miał kwit depozytowy na złoto jakiegoś szejka. Niestety okazało się, że nie może być wykorzystane w programie inwestycyjnym, do którego dostęp miał Niemiec. Sprawa padła, nie wiem dlaczego.

– No cóż, ja wiem. Krach giełdy w Singapurze – wyjaśnił łaskawie Daniel. – No i czołgi do Iraku. To one ostatecznie położyły sprawę. Arabowie zaczęli się zbroić i po złocie na inwestycje. A ten kwit miałem ja, nie Wolf, i jeśli mam być szczerzy, wciąż go posiadam. Złoto zaś jest w Brukseli. Może pan przekazać tę informację panu Pugetowi.

Pogrzebał w teczce i położył na stole kartkę z pieczęciami. Biznesmen był pod wrażeniem.

– To bardzo interesujące – stwierdził, a Skalski już wiedział, że chwycił haczyk. – Spróbuję z nim pogadać. Może Puget zechce współpracować z nami? Z tego, co wiem, jest na tego Niemca cięty.

– Proszę przedstawić mu sprawę, ale zupełnie niezobowiązująco. – Daniel udał, że mu nie zależy. – Na Wolfa natomiast radziłbym uważać. Już nie pierwszy raz trafiają do mnie jego niezadowoleni klienci.

Bobek zaniepokoił się.

– Przekażę Pugetowi. Sądzę jednak, że to jedynie utwierdzi go w tym, co sam już wie.

– Nie chciałbym szerzyć niepotwierdzonych pogłosek – zaczął znów Daniel, lecz urwał, bo dostrzegł przy barze Darię.

Domyślił się, że zbliża się pora lunchu. Dziewczyna uśmiechała się do niego promiennie. Była zrelaksowana, odprężona i wystrojona jak do opery. Liczyła na wycieczkę po stolicy, a Daniel obiecał sprostać jej oczekiwaniom.

– Będziemy musieli już kończyć. Mam następne spotkanie. Panowie potrzebują pół miliona. Pan Puget milion czy dwa?

– Mówił, że gdyby udało się zdobyć nawet pięć, jest w stanie je spożytkować i zwrócić w ciągu roku. Mają coraz więcej zamówień. Stąd pomysł restrukturyzacji i rozbudowy gorzelni.

Daniel wstał, dając znak biznesmenowi, że spotkanie uważa za zakończone.

– To nadal nie wyczerpuje całości linii kredytowej. Mamy więc pięć, może siedem milionów. Co z pozostałymi dwudziestoma? Musi pan znaleźć kogoś jeszcze. W przeciwnym razie nie opłaca mi się uruchamiać gwarancji, a tym bardziej ruszać złota.

Bobek zamyślił się. Wahał się dłuższą chwilę, aż wreszcie wypalił:

– Jest jeszcze jedna opcja. Stara znajoma, pani Zuzanna Dąbrowski, właścicielka hurtowni tkanin i dywanów, otrzymała od swojego dłużnika czek na dwa miliony dolarów. Chciałaby go złożyć w banku i zrealizować. Termin spłaty długu mija za dwa tygodnie. Nie wygląda na to, by Rosjanin, który go jej powierzył, zamierzał zwracać pieniądze za towar.

– Jaki to bank i czy czek był sprawdzany?

– Bank na Kamczatce. Podobno ma pokrycie. Zuzia mówiła, że jeśli pomogę jej zrealizować ten czek, pożyczę nam potrzebną kwotę.

– To faktycznie zupełnie inny temat. – Daniel za wszelką cenę starał się uciąć rozmowę, ale Bobek jak na złość właśnie się rozgadał.

– Ale wtedy nie musiałby pan uruchamiać swoich gwarancji.

– I mniema pan, że wołałbym zajmować się cudzym czekiem, żebyście wy dostali dołę od transakcji? – zaśmiał się pogardliwie, a upokorzony Bobek aż się skulił, więc Daniel zdecydował się go dobić: – Drogi panie, działalność charytatywną prowadzę wedle własnych zasad.

– Rosjanin ma u pani Dąbrowski niewielki dług – ledwie siedemdziesiąt tysięcy. Czek zaś opiewa na milion dolarów. Jest się czym podzielić.

– Czy pan siebie słyszy? – obsztorcował biznesmena Daniel. – To nie brzmi wiarygodnie.

– Dlaczego?

– Choćby dlatego, że nie wiemy, czy ten bank na Kamczatce wciąż istnieje.

– Skontaktuję się z panią Dąbrowski i powiadomię pana. – Zawahał się. – Poza tym Zuzia ma jeszcze jeden kontakt. Nie słuchałem uważnie, bo to nie moja liga, ale pani Jelizawieta, zapomniałem nazwiska, nazywana w Moskwie królową słoniny, bo posiada największą sieć hodowli trzody chlewnej od Moskwy po Irkuck, potrzebuje zdobyć dwadzieścia milionów. Rosjanka ma instrument finansowy na sto dwadzieścia pięć milionów dolarów.

– Jaki?

– Niestety nie wiem.

Daniel z trudem krył podniecenie. Pozbierał kopie dokumentów i wręczył je Bobkowi.

– Tutaj ma pan wszystko, o czym rozmawialiśmy. Jeśli będzie potrzebne coś jeszcze, doślemy mejlem. Odpowiedź proszę podać do jutra, bo potem wyjeżdżam. Jeśli pan się zdecyduje, na początek wystarczy dwadzieścia tysięcy na bilety i złożenie wniosków.

– Złoty? – Bobek był zachwycony.

– Dolarów. Na dole każdego dokumentu ma pan rachunek mojej firmy.

– Wolałbym wpłacić w gotówce. Wie pan, ze względu na urząd skarbowy. Od roku staramy się wykazywać straty.

– Nie ma problemu – zgodził się natychmiast Daniel. – Wystawię pokwitowanie albo weksel. Przy wpłacie większych kwot otrzyma pan gwarantowany czek TSB, który możecie złożyć w swoim banku jako zabezpieczenie. Najpierw jednak niech pan porozmawia ze współnikami i znajdzie wspóln inwestorów. Puget, Dąbrowski i tajemnicza pani Jelizawieta, kto bądź... Może pan wszystkich kierować bezpośrednio do mnie. Jeśli zgromadzimy spory udział, transakcja wyjdzie taniej, kredyt zostanie udzielony szybciej, a jeszcze na tym zarobicie. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Dziękujemy, doktorze Skalski.

Bobek odszedł w pokłonach.

Kiedy kącik opustoszał, do Daniela podeszła Daria. Dotknęła jego włosów i pocałowała go łapczywie.

– Jesteś wykończony – zaszcebiotała z troską. – Mam nadzieję, że ten był ostatni?

Daniel rozejrzał się, sprawdził listę.

– Dwóch nie dotarło.

– Ich strata – roześmiała się dziewczyna i zrobiła minę słodkiego kotka.
– Idziemy w miasto, geniuszu? Obiecałeś mi zakupy.

– Skoro tak, przydałoby się zrobić jeszcze jeden interes – odparł ze śmiechem i odsunął dziewczynę. – Zaczekaj tutaj i nie daj się nikomu podrywać!

– Gdzieżbym śmiała.

Daniel podszedł do budki telefonicznej w rogu, wykręcił numer z pamięci.

– Opędziłem dziś siedmiu – zameldował. – Człowiek od Langusty się nie zjawił.

– Przyjdzie – padło po drugiej stronie. – Turla się z Wrocławia.

– Słuchaj, Śpiewak, mam swoje życie.

– Widzę – odparł Eryk Szaja. – Nie mam okularów, ale chyba nie skończyło dwudziestu pięciu lat.

Daniel rozejrzył się po sali. W drugim końcu dostrzegł Śpiewaka, który pałaszował czekoladowe ciastko. Kiedy spojrzeli się wzrokiem, bandyta odsunął telefon od ucha i pomachał wesoło Skalskiemu. Daniel natychmiast odłożył słuchawkę. Wypadła moneta, więc zabrał ją. A potem ruszył w kierunku Śpiewaka, z trudem powstrzymując rozdrażnienie.

– Pracuję od rana – rzucił bez wstępów. – Jak dotąd nikt nie przyniósł gotówki, a mam swoje koszty.

– Ta dzierlatka nie wygląda na kosztowną. Czy hotelarz wie, że mieszka z tobą w jedyńce?

– Wziąłem apartament.

– Dlaczego nie całe piętro? – Śpiewak wydał wargi. – Chcesz się popisać przed panną, sam reguluj.

– Jak wpłyną pieniądze od tych siedmiu, potrącis z prowizji.

– Tak będzie. A na przyszłość uprzedzaj mnie o dodatkowych kosztach.

– Miałem prosić o pozwolenie? – oburzył się Daniel. – Czy liczysz, że podzielę się dziewczyną?

– To ważne, kto cię obserwuje. Zwłaszcza w razie wpadki. – Szaja odsunął talerzyk. Nie krył pogardy. – Chcesz popukać na występach poza domem, lepiej zapłać. Nie każda darmowa panienka jest godna zaufania.

– Ta jest.

– Jak długo ją znasz? – Bandyta przekrzywił głowę. – I nie pytam o detale jej ciała.

– Nie twój interes.

– Zbyt wielu twardzieli widziałem, których zgubiła kobieta.

– Jestem ostrożny.

– Daria Bródka niezbyt. Odkąd przyssała się do drinka przy barze, obejrzała wszystkich jeleni. Pół twojego życia mi opowiedziała, próżny księciuniu.

Daniel aż pobladł ze złości.

– Przesłuchiwałeś ją?

– Nie musiałem. Straszna z niej gaduła. – Roześmiał się kwaśno. – Choć trzeba przyznać, że makaron na uszy nawinałeś jej tak ciasno, aż prawie ogłuchła. Ma cię za porządnego maklera. Na twoim miejscu jednak bym uważał. To łatwa dziewczyna.

Daniel wyciągnął pięść, ale Śpiewak zwinnie się uchylił.

– Chcesz się bić, zmierzmy się na parkingu. Tutaj dymu nie rób. Zwłaszcza przed kluczowym spotkaniem. Nie wyglądałbyś wiarygodnie z fioletowymi gałami. – Zawiesił głos i sięgnął po swoją obszerną kurtkę.

– Nie walczę ze starcami – bronił honoru Daniel.

Śpiewak westchnął.

– Masz rację, nie warto. Jeśli siksa idzie z tobą do łóżka po sześciu godzinach znajomości i do tego zapewnia, że kocha, bo tak mi śpiewała przy trzecim martini, to ktoś z lepszym autem odbije ci ją w godzinę. Jeszcze dwa drinki i ja bym tego dokonał, co, przyznaję, mogłoby być dla ciebie nie lada obelgą. Uważaj na nią.

Z kieszeni wyciągnął czapkę i włożył, choć na dworze było całkiem ciepło. Obaj dobrze wiedzieli, dlaczego nawet w lecie Śpiewak nosi nakrycie głowy.

Daniel był wściekły. Nie obchodziła go opinia o Darii, lecz kalumnie rzucane pod jej adresem obrażały jego dobre imię i to go złościło. W lot pojął, co tak naprawdę chce mu powiedzieć Szaja. Dlatego kiedy Śpiewak poklepał go po policzku jak dzieciaka, nie szarpał się i nie miotał już przekleństw. Stał zde gustowany i myślał szybko, jak z tego wybrnąć.

– Łagodna odpowiedź uśmierza gniew, szorstkie słowa wywołują złość – rzucił sentencjonalnie Szaja.

– Dzięki za radę. – Daniel udał pokorę, ale nie wytrzymał w tym stanie nawet chwili. – I na przyszłość trzymaj łapy z daleka od moich rzeczy.

Ta riposta rozbawiła Śpiewaka.

– Podziękuj Salomonowi i na przyszłość stosuj. O dziuni na chwilę zapomnijmy. Nie chowaj urazy, Skalski, bo dziś najważniejszy jest Leonard Radziwiłł. To w przeciwieństwie do Bobka, Pugeta i mrożonek – nasza ekstraklasa. Facet wejdzie w ten interes, gdyż spala go ambicja i ma do

stracenia wszystko. Jest głodny, a nakarmić możemy go my albo ktoś inny, więc nie spierdol tego, von Hochberg. Inaczej sygnet przejdzie ci koło nosa, a audi oddam Yankowi i do Germanii będziesz wracał pekaesem.

Pomachał foliową torebką na zapięcie strunowe, w której błyskał rubin, a potem ukrył ją w kieszeni. Daniel ledwie trzymał nerwy na wodzy, ale tym razem nie dał się sprowokować. Pozwolił sobie tylko na małe szyderstwo.

– Mam nadzieję, że to nie kolejny z twoich pseudoklientów, który nic nie ma, a chciałby dwie bańki albo najlepiej dziesięć? Już mi się miesza, co komu mówiłem.

– Więc mów wszystkim to samo. Wolf nie nauczył cię, że jedno kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą?

– To Churchill.

– Jeden pies. Zapewniam cię, że marzysz o tym, by profesorek wybrał na doradcę ciebie, a nie ślepcę.

– Nie wierzę, że bierzesz pod uwagę Wolfa jako moją konkurencję.

– Sam nie wierzę, że postawiłem na ciebie – odpysknął Śpiewak. – Chyba na starość staję się sentymentalny. Lucek takie zadania wciągał kiedyś nosem.

– Nie mieszaj do tego mojego ojca.

– Są pewne sprawy, o których synowi się nie mówi – zaczął Śpiewak, ale się rozmyślił. – Zresztą nieważne. Wszystko w swoim czasie. Jeśli Lucek będzie chciał, sam ci o tym powie. Zajmijmy się teraźniejszością.

– Czekam pół godziny, a potem się zmywam.

– Jeśli dziewczyna się nudzi, idź z nią na górę. Zabawcie się, to nic nie kosztuje, skoro apartament i tak trzeba zapłacić. Przyjedzie profesor, zadzwonię. Odbieraj.

Daniel udał, że kapituluje. Przyjął łagodny ton.

– Dlaczego akurat na nim tak bardzo ci zależy?

– To inżynier budowlany, fizyk teoretyk i naprawdę łebski wynalazca. Dotąd sam nie wiedział, ile pragnień w nim drzemie. Zmysłu praktycznego zero. Jak się domyślasz, ta mieszanka daje nam spore pole do popisu.

Wiem, że umiesz to wykorzystać. Radziwiłł jest ustosunkowany, choć biedak. We Wrocławiu to wielka figura. Autorytet. Leżał na styropianie, aktywny opozycjonista; w głębi duszy zaś buntownik. Nie wiem, jakim cudem szef wrocławskiej politechniki zrobił go prokurentem swojej firmy i poręczył za niego w ING, ale tak wyszło. Mój człowiek go wyhaczył i namówił do współpracy. Nie pytaj kto, ale za jego pośrednictwem jeszcze żadnej akcji nie spaliłem. W każdym razie Radziwiłł wykonuje swoje zadania wzorowo. Ma już akcje HEF NV, które wczoraj złożył w ARN w Amsterdamie. Czeka na ich spieniężenie. I uda mu się, bo o to zadbaliśmy.

– Kto my?

Śpiewak nie był łaskaw odpowiedzieć. Kontynuował swój wywód:

– Po spłacie mojego pośrednika zostanie mu dwadzieścia jeden baniek, z którymi nie będzie wiedział, co zrobić. Przepuścisz go przez swoją wyżymaczkę, a kiedy już wydoisz do końca, będziesz mógł wydawać polecenia i pójść swoją drogą. Wtedy też prowadzaj do swojego pokoju tyle lasek, ile zdołasz. Nie mój biznes, co szturchasz swoim ptakiem. Ja też cię nie lubię, ale jesteśmy sobie potrzebni.

– Ojciec tak do ciebie mówił? – Daniel uśmiechnął się chytrze. – Zapamiętałem.

– Patrz, jak wszystko z czasem się odwraca. – Śpiewak wykrzywił się w podobnym grymasie. – Ciekawe, co Lucek na to, że pracuję z jego synkiem.

– Nie zrobisz tego.

– Czego? – Śpiewak udał zdziwienie. Milczał przez chwilę, by utrzymać efekt grozy, a potem dodał łagodnie: – Nie obawiaj się, mały. Nie powiem tacie, czym w istocie zajmuje się jego pierworodny. Kradnij zdrów.

– Nie mam rodzeństwa.

– Tak ci się tylko wydaje – odparł Śpiewak, a Daniela wbiło w ziemię. Nie wiedział doprawdy, co ma myśleć. – No już, rozerwij się z tą małą. Sklepy w Warszawie są czynne do późna. Niech twoja ozdoba sprawi się prędko, bo rozgrywka z Radziwiłłem jest najważniejsza.

– Czyje są te papiery? Te, które ma fizyk.

– Chyba nie sądzisz, że wydam mój najlepszy narybek komuś, kto nie sprawdza, kogo chędoży. Zresztą gdybyś nawet poznał personalia, co by to zmieniło? Kwity są już złożone w banku i przyjęto je, a to najważniejsze.

– Skąd twój człowiek je ma?

Śpiewak długo nie odpowiadał, więc Daniel zaczął strzelać:

– Yanek? Wolf? Gertrud Schmetterling?

Kręcenie głową, chrząknięcia.

– French?

Śpiewak zachował maskę na twarzy, ale Daniel już wiedział, że trafił.

– O co chodzi z tym facetem? Słyszałem, że siedzi i udaje wariata.

– Nie udaje.

– Skoro fizyk zdołał spieniężyć te akcje, to znaczy, że nie są trefne.

– Przez jakiś czas będą uchodziły za czyste. Na tym polega ich walor.

– Skąd mam wiedzieć, jak długo?

– Tego poza Noellem Burlingiem nikt nie wie.

Daniel był zaskoczony, że padło wreszcie jakieś nazwisko.

– Powinienem znać gościa?

Śpiewak zdziwił się.

– Wolf cię nie uprzedził? To nasz opiekun kont w RobbyBanku. Tam przekierujesz środki profesora. Noell je zabezpieczy. Konto jest numeryczne, nikt poza administratorem nie ma do niego dostępu. Jedna osoba, jeden administrator.

– Prokuratura też?

– Zwłaszcza prokuratura. Dlatego tak ważne jest, by Radziwiłł sfinansował nasze plany, a potem może sobie iść siedzieć. I tak nic z niego nie wydobędą. Na tobie łańcuch powiązań się skończy, a ty znikniesz. Gdyby cię dopadli, powiesz, że tylko mu doradzałeś. Myśleć powinien jednak sam. Idź już, bo nie zdążysz z dziewczyną.

Daniel nie ruszał się z miejsca. Coś mu świtało. Puzzle danych zaczęły się składać.

– Na te papiery French wziął już jeden kredyt – zablefował. – Czy to przypadkiem nie tej kasy szuka Gertrud Schmetterling? Podobno przy przelewach z Deutsche Banku do Lloyds Banku zawieruszyło się jej czterysta pięćdziesiąt baniek po mężu.

– Nie znam osoby i nie jestem wróżką. Wiem tylko to, co sam załatwiłem – wykpił się Śpiewak, lecz Daniel mu nie uwierzył. Skoro był w takiej komitywie z Yankiem, musiał mieć kontakt i z Gertrud.

– Ten facet ma cię kochać. Postaraj się. Radziwiłł jest idealistą. Wierzy, że uratuje Grajbud i zmieni oblicze technologii płyt cementowo-wiórowych.

– Fascynujące.

– Z tych dwudziestu jeden baniek fizyka chcę mieć połowę, zanim French położy na nich łapę. Rozumiesz?

– Wcale.

Śpiewak roześmiał się.

– Dziewczyna cię szuka.

I zniknął między stolikami jak duch, nim w kąciaku kawowym ujawniła się Daria. Kiedy przyssała się Danielowi do ust, nie mógł pozbyć się obrzydzenia, a w głowie kołatała mu się myśl, że ten oprych tak łatwo ją przesłuchał.

– Aniołku, plany się zmieniły – mówił do niej słodko, ale oczy miał zimne jak lód. – Tak mi przykro. Odbijemy to sobie następnym razem. Obiecuję.

– A zakupy, kolacja?

– Jedź sama. – Wygrzebał z kieszeni kartę i podał dziewczynie, choć był pewien, że nie straci ani grosza. – Za chwilę mam najważniejsze spotkanie.

– Bez ciebie nie pójde. – Nadeła się obrażona. – Nie chodzi mi o te szmaty.

Uśmiechnął się przepraszająco i objął ją czule, bo dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Idź do pokoju, spakuj się.

– A ty?

Pochylił głowę. Kiedy ją podniósł, oczy miał szkliste.

– Co się stało, kochanie?

– Mój synek jest chory. Muszę natychmiast jechać po lekarstwo do Niemiec.

Rozgadał się, a nawet zapłakał. Daria była wstrząśnięta jego nową bajką. Zaczęła go pocieszać oraz zapewniać, że kocha i będzie na niego czekała.

– To ja wrócę pociągiem – dodała na koniec. – Ty masz ważniejsze sprawy na głowie.

– Jak tylko załatwię sprawy, odwiozę cię na dworzec – zaoferował się wspaniałomyślnie.

Ale tylko wezwał jej taksówkę, za którą Daria zapłaciła sama, podobnie jak za bilet powrotny do Lublina. Wcześniej jednak zerznął ją tak gwałtownie, że jej jęki słyszano na korytarzu. Płakała, wychodząc, bo czuła, że to miłość jej życia, i tak straszliwie bała się, że już więcej się nie spotkają. Zaprzeczał gorąco, choć taki właśnie miał plan. Kiedy wreszcie sobie poszła, zamówił najlepsze wino z karty, a do północy domówił jeszcze trzy butelki. Leżał sam w wielkim łóżu, napawał się luksusem i wspominał z rozrzewnieniem polówkę u Wolfa. Nie mógł się nadziwić, że jego sytuacja odmieniła się diametralnie w tak krótkim czasie. W telewizji mówiono tylko o planowanej budowie parku rozrywki Michaela Jacksona na warszawskim Bemowie.

SIEDEM

CYNICY NIGDY NIE WYGRYWAJĄ

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Daniel zapukał cicho do drzwi Nataszy i zaraz nacisnął klamkę. Dziewczyna odwróciła się od okna. W promieniach zachodzącego słońca jej blada twarz zdawała się pokryta płynnym złotem.

– To jest po prostu bajka – pisnęła i zanim się obejrzał, zawisła mu na ramionach. – Jesteś jakimś pieprzonym księciem?

– Już wiesz, że nie. – Pocałował ją. – Ale wiceminister spraw zagranicznych w rządzie Berlusconiego też nim nie był, a przyjmował tutaj głowy państw i ambasadorów. Mamy do dyspozycji park o powierzchni siedemnastu tysięcy metrów kwadratowych, kort tenisowy i własną przystań. Za kilka dni sprowadzę tutaj swój jacht. Popłyniemy Darsy w rejs po jeziorze. Chciałabyś?

Przyłgnęła do niego całym ciałem. Czuł, jak wierzga nogami, a potem oplata go w biodrach, więc płynnym ruchem przeniósł ją na łóżko. Była lekka jak piórko.

– Muszę cię podkarmić. Nic nie ważysz – mruzczał, kiedy ją rozbierał.

Poddawała mu się w uniesieniu, niecierpliwa i żarłoczna, jakby za chwilę miał skończyć się świat.

– Spokojnie, mamy czas – stopował jej zapędy, ale i tak jednym ruchem rozpięła mu koszulę, aż pękły guziki.

Potem szarpnęła spodnie, ściągała je z niego stopami. Śmiała się przy tym jak dziecko, które tak długo czekało, by popluskać się w basenie, że aż wskakuje doń razem z plecakiem i w czapce. Kiedy uwolnili się z ubrań, dosiadła go i mruzczała z rozkoszy, że dopiero teraz jest całością. Trzymał ją mocno w talii, całował na zmianę delikatnie i łapczywie, aż znieruchomiała i zawyła dziko, a potem powtarzali to raz za razem. Dopiero kiedy poczuł, że jej ciało wiotczeje, wszystkie kaskady są zaliczone, a Natasza wtula się w niego z oddaniem i oddycha głęboko jak po intensywnej wspinaczce, pozwolił sobie na przekazanie jej własnej energii. Zachichotała, kiedy wydał stłumiony ryk, i opadli bezwładnie na łóżko, wciąż połączeni.

– To było dobre – mruknęła, ocierając łzy.

Daniel nie do końca rozumiał, dlaczego znów płacze. Pocałował jej powieki i poczuł sól na wargach. Przytulił ją mocniej. Łkała i śmiała się jednocześnie. Chciało mu się spać, nie miał sił na pocieszenie jej, ale na szczęście uciekła w żart:

– Bardzo dobre. Gra wstępna jest przereklamowana.

– Pokażę ci, że nie. Tylko musisz mi dać szansę, amazonko. – Uśmiechnął się, odgarnął kosmyk z jej twarzy. – Znów oczy ci się spociły. Dlaczego?

– Bo tak mi szkoda.

– Czego ci szkoda? Możemy tu zostać tyle, ile będziesz chciała. Nigdzie się nie wybieramy.

– Dlaczego nie spotkałam cię wcześniej?

– Dlaczego ja nie spotkałam cię wcześniej – poprawił ją, udając oburzenie.

Nie odezwała się.

– Śpisz?

Milczała.

– Nie śpij, skarbie. – Głaskał ją po plecach. Czuł wilgoć między udami, ale wciąż nie pozwalała mu się rozdzielić. – Już wiozą kolację. Zamówiłem ostrygi i homara. Nie będzie kelnerów w liberiach, musimy poradzić sobie sami.

– Jestem świetna w nakrywaniu do stołu.

– W jedzeniu już gorzej. Za chwilę zajdzie słońce. A chciałem, żebyśmy naszą pierwszą kolację w tym miejscu zjedli na tarasie. Są koce, nie zmarzniesz. Chodź, zrobimy sobie wycieczkę po okolicy. Możesz iść nago, nie ma tutaj żywej duszy.

– Kocham cię – szepnęła i dopiero kiedy to z siebie wyrzuciła, rozchyliła uda.

Daniel dyskretnie wytarł się kołdrą, a następnie przygarnął ją do siebie, pochylił się nad jej twarzą i zmuszając, by patrzyła mu w oczy, dopytał:

– Kochasz? Znasz mnie kilka dni. Nic o mnie nie wiesz.

– Wiem tyle, ile potrzebuję.

Spojrzała w niewidzialną przestrzeń jak kobieta z wachlarzem Modiglianiego. Już nie płakała. Była świetlista, oczy błyszczały jej ze szczęścia. Daniel bardzo chciałby ją zawieźć do muzeum w Livorno, by pokazać, jak Natasza wygląda naprawdę, ale nie mógł wyrzec ani słowa.

– Przepraszam, że ci powiedziałam. Nie planowałam ujawniać się tak szybko. Po prostu mi się wymknęło. Nie czuj się zobowiązany, to moja sprawa.

Odsunęła się, ułożyła na plecach i przymknęła oczy. Wciąż się uśmiechała. Patrzył na nią dłuższą chwilę oparty na łokciu, podziwiając jej smukłe członki, maleńkie piersi, uroczą dolinę brzucha i wystające kości miednicy. Wiedział, że jest dla niego stanowczo za młoda, lecz z całą pewnością nie tak naiwna, by nie zdawać sobie sprawy z wagi takich wyznań. I naraz poczuł gniew, że to, co mówiła o swojej miłości, nie dotyczy jego. Po prostu miał szczęście wzniecić ten płomień, który tlił się od dawna, który nosiła w sobie, ale nie miało to wcale związku z nim.

– Ja też cię kocham – rzekł z czystej przekory i włożył czubek języka w jej pępek.

Kiedy znaczenie własnych słów do niego dotarło, poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Przestraszył się idącej za tym wyznaniem odpowiedzialności i już czuł jej ciężar, a jednak brnął dalej. Tak pragnął uczestniczyć w tym uniesieniu, napełnić się światłem, jakim promieniowała ona, że mówił to, co powinien czuć, a w miarę jak kłamał, pojawiła się wiara.

– Myślę, że to się zaczęło, kiedy zobaczyłem cię na tej drodze – wyznał z emfazą. – Od tamtej chwili nie mogłem przestać o tobie myśleć.

Nie otworzyła oczu, tylko nieznacznie rozchyliła usta. Zdawało mu się, że nie oddycha, nie żyje.

– Hej, słyszysz? – Trącił ją pieszczotliwie pod żebro. Połaskotał. Nie zareagowała. – Nie masz gilgotek? – zdziwił się i próbował dalej.

Bez skutku.

Pokręciła głową, a potem nagle zacisnęła usta i zwinęła się ze śmiechu. Cisnęła w niego poduszką. Daniel odrzucił jasek. Baraszkowali jak dzieciaki, aż Natasza nagle usiadła i zapytała arcyważnie:

– Czy my wyznaliśmy sobie miłość? Ja jestem niezrównoważona i mam mało czasu, ale ty?

– Ja tym bardziej – podchwycił. – Jesteśmy bardzo nieodpowiedzialną parą zbiegów. Na twoim miejscu przemyślałbym jeszcze sprawę, bo każde twoje słowo biorę poważnie.

Natasza poderwała się na nogi i skacząc po łóżku, aż Daniel musiał się przeturlać, by na niego nie wpadła, ruszyła do bagaży stojących przy wejściu.

– Wybierz, co mam włożyć na naszą pierwszą randkę.

– Przecież to nie jest pierwsza. – Zmarszczył się.

– No to na czwartą – poprawiła się. – Ale pierwsza z moim miłym. Dotąd byłeś przypadkowym kochankiem i to podstarzałym.

– Racja, awansowałem – mruknął niechętnie. – Czy mogłabyś mnie odmłodzić, o pani?

– W żadnym razie. Takiego cię chcę i za takim szaleję. Nic mnie nie obchodzi, co powiedziałyby mój tata – trajkotała i już nie zwracała na Daniela uwagi.

Rozpinała kolejne pokrowce, rozrzucała luksusowe suknie po podłodze, kładła buty, torebki i apaszki na meblach. Czarną, obcisłą jak druga skóra toaletę zawiesiła na żyrandolu. Błyszcząca tkanina wirowała nad łóżkiem jak monstualna wążka.

– Woląłem, jak się pochylałaś – zamruczał. – Mogłabyś jeszcze czegoś poszukać?

– Ty wariacie! – Pacnęła go żartobliwie w ramię.

A potem jakby opadła z sił, zdołała tylko unieść kołdrę, wsunęła się pod nią i zwinęła w kłębek.

– Zdrzemnę się chwilkę. Zupełnie mnie wykończyłeś.

– A już myślałem, że to ze starości tak się czuję.

Położył się za jej plecami, dokładnie odwzorowując jej kształt, zagarnął ją w tali i przez kilka następnych minut zabawiał się chuchaniem jej w kark i słuchaniem stłumionego chichotu. Nic nie mówili.

– Jesteś kompletnie szalona, wiesz?

- Ty bardziej.
- Nie, ty.
- Nie mam wyjścia. Całe życie byłam poważna.
- Wliczasz w to przedszkole czy tylko podstawówkę?
- Naprawdę mnie kochasz? Skąd to wiesz?
- Nigdy się tak nie czułem – wyrecytował.
- Jak?
- Zdaje mi się, że znałem cię wcześniej. I nie rozumiem z tego nic a nic
- wyjaśnił z ulgą, gdyż było to prawdą.
- W innym życiu?
- Nie wierzę w to, ale tak.
- Ja to samo.
- Też nie wierzysz?
- Nie wiem. To jest pozacielesne. Ale zdaje mi się, że teraz, kiedy jesteś mój, łatwiej mi będzie umierać.
- Znow zaczynasz?
- Wiesz, że od dziś jestem twoja?
- A ja twój – zapalił się. – Nikomu cię nie oddam. Nigdy.
- Nie o to mi chodzi – roześmiała się. – To jest coś więcej. Ja to czuję. Moje ciało to czuje.
- O tak, zauważyłem.
- Mnie nie zależy – powiedziała nagle chłodno, dźwięcznym, niskim tonem. – Nie obchodzi mnie, czy naprawdę mnie kochasz, czy przetrwalibyśmy w innych warunkach. Wiem, że miałeś przede mną i będziesz miał po mnie wiele kobiet. Taki już jesteś. Ale teraz należysz do mnie, a ja do ciebie, i to mi wystarcza. Musi wystarczyć. – Zawahała się. – To i tak więcej, niż mogłam się spodziewać jeszcze tydzień temu. Powiedz, w czym mogę ci pomóc, bo po to się spotkaliśmy. Ty dajesz mi nadzieję, że to wszystko ma głęboki sens, a ja zrobię to, czego potrzebujesz.
- Niczego od ciebie nie potrzebuję. Mam już komplet. – Poglądził ją po policzku.

– Nie pierdol, Skalski – zdenerwowała się i ułożyła na plecach, pieczołowicie oddzielając się od niego kołdrą. – Wiem, że uciekasz. Oboje uciekamy. I znajdą nas. Ta bajka się wkrótce skończy.

– Oby nie za szybko – westchnął. – Szkoda takiej magii.

Wiedział, że się wzruszyła. Sam czuł taką euforię, że prawie sobie uwierzył.

– Chcę, żebyś dobrze mnie wspominał. Cokolwiek się wydarzy. Zawsze. Na wieczność.

– Wieczność brzmi nieźle.

Nie roześmiała się.

– Rozumiesz po polsku czy mam powtórzyć w trzech innych językach, panie oskarżony?

– Na razie wystarczą mi te konta, które założyłaś – szepnął jej do ucha i znów zaczął wodzić dłonią po jej udach. – A kiedy stawi się Gertrud, chciałbym, żebyś pojechała z nią do Monte Carlo i znalazła jedną osobę.

– Kobietę czy mężczyznę?

– Mężczyznę.

– On ma twoje pieniądze?

– Pieniądze przyjdą na twoje konta, ale jeśli mój plan z Gertrud wypali, będą tylko napiwkami.

– Kim jest ten facet?

– Jej mężem. Nazywa się Gary French.

– Co mam zrobić? Uwieść go?

– Wiem, że byś potrafiła, ale nie o to chodzi. Chcę, żebyś coś mu oddała.

– To dlatego kupiłeś mi te wszystkie sukienki?

– Nie, najdroższa. Kupiłem ci je, bo jesteś w nich nieziemsko piękna. I kocham cię. Nic tego nie zmieni.

Kiedy to mówił, rzeczywiście czuł, że wypełnia go światło. Miał wrażenie, że mógłby tak spędzić całe życie. Było to coś niezwykłego, więc gotów był powtarzać to zaklęcie nieustannie, choć wiedział, że kłamie. Co z tego, skoro działało jak cholera.

Londyn, Wielka Brytania, marzec 1999

Gary French odłożył *Ścieżki jogi* Ramacharaki i zerknął na pielęgniarkę. Układała w przegródkach leki, nie zwracając zupełnie na nich uwagi. Gary pochylił się więc nieznacznie do towarzysza przy stoliku, choć – podobnie jak szept – było to zachowanie niedozwolone na oddziale obserwacji sądowo-psychiatrycznej.

– Kupiła to?

Mężczyzna w garniturze z wypożyczalni wzruszył tylko ramionami. Był jedyną osobą w sali, która nie miała na sobie białego uniformu.

– Tak myślę.

– Powtórz jeszcze raz, co mówiła.

– Trzy razy ci powtarzałem. Podałem się za ciebie, powiedziałem, że ją kocham, i obiecałem, że jej nie zostawię. Poryczała się i obiecała zrealizować czeki.

– Nie rozpoznała głosu? – Gary nie dowierzał.

– Nie sędzę. Dzwoniłem z budki od Chińczyka. W tle były trzaski i odgłosy z kuchni. Tak bardzo czekała na twój telefon, że aż się rozkleiła. Mówiła coś o dziecku. Ona chyba cały czas coś do ciebie czuje i chciałaby wrócić. Wcale jej nie zniechęciłeś.

Gary pochylił głowę.

– Ja też ją kocham. Zdaje mi się, że nie mógłbym kochać jej bardziej, dlatego tak mi ciężko. Jest najbliższą mi osobą, a muszę ją okłamywać.

– Co innego mógłbyś zrobić?

– Nic więcej – przyznał Gary. – Co najwyżej znaleźć kogoś na swoje miejsce i przekazać mu naszych klientów. Interesy padają jeden za drugim. Ten proces zrobił w Solgevarze prawdziwe spustoszenie. Jeszcze miesiąc i mogę ogłaszać bankructwo. Budowałem ten trust trzy lata, a teraz śmietaną spija mój własny fałszywy Rockefeller, kiedy ja kibluję tutaj.

– Wyjdiesz, posprzątasz. – Wziął książkę, przewertował. – A Marc Baptiste naje się swoich manipulacji pełną łyżką.

– Byle jeszcze w tym życiu.

Gary obejrzał się znów na pielęgniarkę. Składała środki opatrunkowe i tym razem nie spuszczała z nich czujnego spojrzenia. French natychmiast odchylił się do tyłu.

– Daj mi jakiś kwit – poleciał i przysunął do siebie teczkę z papierami. Otworzył ją z namaszczaniem. – Rollo, tutaj są same puste kartki! Udawałbyś przynajmniej adwokata, skoro tak ryzykujemy.

– Włożyłem przecież garnitur – bronił się Shark. – A nawet krawat.

Gary przyjrzał się skórzanej tasiemce z medalionem przy kołnierzyku.

– To ma być krawat?

– Mój najlepszy. Pasuje do kapelusza jak ulał. – Wskazał fioletową fedorę z identyczną blaszką na otoku.

– Wpuścili cię tutaj z nakryciem głowy? – zdziwił się Gary.

Rollo podniósł kapelusz i odwrócił go wnętrzem do góry. Denko wyłożone było folią aluminiową.

– Załatwiłem kwit, że bez tego nie wolno mi nosa wystawić za próg.

– Tylko ty mogłeś wpaść na coś takiego. – Gary wybuchnął śmiechem. – Szczyt absurdu! Schizofrenik broni szaleńca. I kolta też pozwolili ci zabrać? Przekonałeś ich, że to zapalniczka?

Rollo udał obrazę śmiertelną.

– Zamiast mi dziękować, wciąż tylko kpisz. Powiedz lepiej, co z kasą.

– Nic. – Gary wzruszył ramionami. – Wiesz dobrze, że nie mam ani centa. Czy gdyby było inaczej, siedziałbym w pierdlu? Gadaj lepiej z Markiem Baptiste'em, a na mnie nie trać czasu.

– Jak na razie jesteś na obserwacji. Tutaj nie ma nawet krat. Gdybyś się dobrze postarał, wrywasz stąd w nocy i znikasz na zawsze. Nie widziałeś, jak Nicholson załatwia to z tym Indianinem wielkim jak góra?

– Nie zrobię tego.

– Dlaczego? Nie musisz przecież podnosić marmurowych postumentów z łazienki.

– Bo chcę odzyskać tę kasę.

– Każdy chce. VAL, admirał, Jasu Thumb. Wszyscy.

– Ty mi nie wierzysz?

Rollo roześmiał się.

– Nie ściemniaj, zbyt długo się znamy. Solgevar ma trzy tysiące odnóg. Ukryłeś je. Pytanie tylko, gdzie i jak je wydobyć.

– Najszybciej w twoim kapeluszu.

Zapadło milczenie. Pierwszy odezwał się Rollo.

– Co dalej?

– Z czym?

– Z Gertrud. Skoro jej nagadałem, że jesteś wolny, będzie chciała się spotkać.

– Więc się z nią spotkaj.

– A ty?

– Nie wydostanę się stąd do czasu, aż ruszy proces. Potem osądzą mnie, pewnie posadzą. Wszystko mi jedno. Mam dość.

– Poddajesz się?

– Nie wiem, co innego mógłbym zrobić, Rollo. Marc Baptiste mnie wydymał. Mój własny uczeń. Ufałem mu bardziej niż sobie.

– To było dziecinne.

– Więc postoję w kącie, jeśli pozwolisz, i odbędę karę.

– Nie poznaję cię, Gary. Liczyłem, że masz plan odwetu. A, B, C i G, jak zwykle. Miałem nadzieję, że dasz mi instrukcje i wspólnymi siłami znajdziemy tę kasę. Rozliczysz się, postawisz firmę na nogi, a szachraja Rockefellera po prostu pozresz na oczach wszystkich. Takiego cię znałem.

Gary nie dał mu dokończyć.

– Wiesz, dlaczego wypadłem z ligi?

Rollo milczał.

– Bo nie usunęli mnie po kontuzji. Trener dawał mi szansę, wciąż powtarzał, że umiem zwyciężać. Nie pozbyli się mnie cichaczem, jak pisali dziennikarze. I nie chodziło o transfer Narcisa na moje miejsce.

- Co Brazylijczycy mogą wiedzieć o piłce? Samba to co innego.
- Nie musisz mnie pocieszać. Narcis jest niezrównany. Ronaldo Luís może mu skoczyć. Choć daje radę, nie powiem. Dobrze zrobili, bo wiesz co? Ja już od dawna nie chciałem być królem strzelców. Nie chciałem, pojmujesz?
- Aha, teraz będziesz się nad sobą litował?
- Przeciwnie, staram ci się wytłumaczyć, że jak mi się nie chce, to nie robię. I dlatego wszystko się posypało. Bo już mi się nie chce być twarzą Solgevaru. Choć sam tego kolosa postawiłem i rozwinąłem.
- Mogłeś uprzedzić o tym VAL-a albo admirała, zanim środki wyparowały między bankami. Ściągaliby Marca Baptiste’a Rockefellera zamiast ciebie.
- Nie mam z tym nic wspólnego i nie obchodzi mnie, co myślicie. Dlatego też mam gdzieś, co się stanie z kasą oraz tymi wszystkimi, którzy na nią liczą. Ten, kto ją ma, dobrze się bawi i chwala mu za to.
- Zabiją cię. Nie dożyjesz wyroku.
- Pierdolę to.
- Więc czemu wkręcasz Gertrud? Chcesz pociągnąć ją za sobą? To matka twojego syna. Co z Brunonem? Myślałeś o tym?
- Gertrud jest ostatnią osobą, którą chciałem w to mieszać. Ty mnie prosileś.
- Odwracasz kota ogonem.
- Gary znów się zamyślił.
- Dobrze, powiem ci prawdę.
- Nie musi być od razu prawda – zaproponował Shark. – Byle wreszcie coś z sensem.
- Nie mam tych pieniędzy, ale wiem, że Marc Baptiste ma do nich dostęp.
- Gównu tam ma. Prześwielili go i pieni się ze wszystkimi.
- To teatr. Nie rozumiesz?
- Jaki miałby interes, żeby cię wkręcać?

Gary zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Sam sobie odpowiadasz.

Rollo zamyślił się.

– Żeby odciągnąć podejrzenia?

Gary zaprzeczył.

– To zbyt proste. Zawsze chciał tylko jednego.

– Być *numero uno* – podpowiedział Rollo. – Dowodzić.

– A ja mu stałem na drodze.

– No dobra, powiedzmy, że łykam ten kit – skapitulował Rollo. – Jeśli Marc je ma, musi się kiedyś ujawnić. Tak byłoby lepiej dla ciebie i wszystkich. Nie schowasz czterystu baniek bez śladu. Pomóż mi znaleźć trop.

– Jak chcesz znaleźć fundusz zarejestrowany na słupa? – Gary wykrzywił twarz w pogardliwym grymasie. – Ile razy to robiliśmy? Zastosował mój popisowy numer.

Oczy Rolla zaświeciły się niezdrowo.

– Ty wiesz, gdzie on je schował. Dlatego dałeś się zamknąć i nie zlikwidowałeś Solgevaru.

Gary docenił tok rozumowania towarzysza. Podniósł dłoń.

– Metka z wypożyczalni ci wyszła.

Rollo ukrył ją w mankencie.

– Nie zmieniaj tematu.

– Chciałbym poprowadzić do niego Gertrud i pomóc jej uciec z sianem. Nie idzie mi o mnie, ale o nią i nasze dziecko.

– Miałeś nie kłamać – przerwał znudzony Rollo. – A było już tak blisko. Czy trust zarejestrowany jest na Gertrud? Dlatego tak się starałeś odizolować żonę? Czy ona jest kluczem? Dlatego udałeś, że ją rzucasz?

Gary westchnął ciężko.

– Jak mam cię przekonać, skoro wolisz najwygodniejszą wersję? Ciśniesz mnie tak, że sam już nie wiem, po czyjej stronie stoisz.

– Ma to dla ciebie znaczenie?

Gary wydał wargi.

– Wyobraź sobie, że tak.

– Wiesz, jaką mam robotę. Sprzątam. W tej branży dzisiejszy przyjaciel to skryty wróg jutro. Przypominam ci, że dziesięć procent udziałów Solgevaru jest moje. Zależy mi, żebyśmy znów zarabiali. W dupie mam, kto dowodzi – ty czy Marc. Trust powinien być odmrożony jak najszybciej. I może cię to zmartwi, ale wcale nie jestem sentymentalny. Emocje przeszkadzają w robocie, a gdy czujesz ich zbyt wiele, można trafić do wariatkowa. – Odchrząknął. – Dlatego nie jestem tu z czystej przyjaźni, choć gdyby sytuacja się poprawiła, wypijemy za nią.

Gary roześmiał się ujęty szczerością Rolla, bo wiedział, że Shark twardiła tylko gra. Peruwianczyk mógł sobie gadać, co tylko chciał, ale był prawdziwym przyjacielem. W przeciwnym razie nie ryzykowałby dla niego wtopy u VAL-a. Na szali leżało życie ich obydwóch, więc French bardzo to doceniał.

– Chcesz, oddam ci pozostałe dziewięćdziesiąt. Ten trust i tak jest już stracony. Jeśli kiedykolwiek wyjdę na prostą, założę nowy i zacznę z czystą kartą. Pod warunkiem że będzie mi się chciało, bo jak na razie nie widzę w niczym sensu. – Wskazał czujną pielęgniarzkę. – Nawet przed nią nie chce mi się udawać, że nie knujemy.

Rollo jak na zawołanie posłał kobiecie promienny uśmiech. Wstał, udając, że potrzebuje długopisu. Wydała mu papierową rurkę z ekologicznym wkładem, wykonaną na specjalne zamówienie, by pacjenci nie mogli zrobić z niej broni.

– Wezmę te dziewięćdziesiąt – zadeklarował Rollo, kiedy rozsiadł się ponownie na krzeselku przed Garym. Na jednej z czystych kartek rysował kwiaty i motyle. – Choć wolałbym ten fundusz, w którym ukryłeś forszę przed Rockefellerem. Co byś chciał za tę informację? Wystarczy nazwisko słupa.

Gary nabrał powietrza, wypuścił.

– Zapaliłbym.

– Ja też.

– Spytaj, czy pozwoli nam iść do ogrodu.

– Już pytałem. To baba skała. Spróbuję znowu na nowej zmianie. Liczę na tę miłą blondynkę, która była wczoraj.

– Mówiłeś jej, że jesteś moim bratem.

– Co nie wyklucza pracy w kancelarii, tak? – Rollo wzniósł oczy do sufitu. – Dawaj te warunki.

– Nie znajdziesz pieniędzy w funduszu. Gdyby tak było, Marc już by je wytropił – zaznaczył Gary i wytrzymał spojrzenie Rolla. – Więc bierz całość i się nie dopytuj. To mój pierwszy warunek: nie podważasz mojej wersji.

– Aha. – Rollo przytaknął bez przekonania. – To w sumie jakoś da się zrobić.

– Dwa: nie rozmawiamy więcej o tym, czy mam tę kasę, czy nie. Przyjmujesz, że jej nie mam.

– Niech będzie.

– Prowadzisz Gertrud do Marca po sznurku. Nie kłamiesz jej, nie zwodzisz. Ochraniasz. I meldujesz mi na bieżąco, jak się kobieta sprawia. Gdyby ktoś jej zagroził, walisz w ryj albo sprzedajesz ołów. A jeśliby coś się stało, zaopiekujesz się Brunonem. Nie chcę, żeby trafił do domu dziecka, jak ja kiedyś.

Rollo powstrzymał Gary’ego gestem.

– Uuuu, zaczekaj, bo to trochę sporo. I nie zapominaj, że już nakłamałem. Podałem się za ciebie! Człowieku, sam ją oszukujesz.

– Tylko chwilowo – zaperzył się Gary. – Jak zwabisz Gertrud do Londynu, wyjawisz jej wszystko. Możesz podzielić się wątpliwościami, podważać moje słowa, ale ona zrozumie. Wiem, że tak będzie.

– A jak ucieknie albo nas wyda? To przecież baba. Może się przestraszyć, znaleźć kogoś bogatszego...

– Trudno. Zwalisz na mnie. I tak mam przesrane.

– Fakt. Co dalej?

– Znajdziesz frontmana do rozpoczętych transakcji Solgevaru. Oczernisz mnie, rozpoviesz, że jestem kłamcą, oszustem, zdefraudowałem całość kapitału, i poprzysięgniesz mi odwet.

- Mam przejść na stronę Marca?
 - Jeśli to coś da, czemu nie? – Gary potarł czoło. – Marc Baptiste tylko się ucieszy. Zawsze uważał, że cię faworyzuję.
 - Robiłeś to?
 - Nie, po co?
- Rollo zmarkotniał.
- Gertrud niech ci pomaga. Pokazujcie się razem. Niech myślą, że coś kombinujecie albo jesteście parą.
 - Zaczyna mi się to podobać.
- Gary zaciętrzewił się nie na żarty.
- Tknij ją, to zabiję.
- Uśmiechnęli się do siebie tak uroczo, jakby ostrzyli sztylety.
- Nie martw się, nie jest w moim typie.
 - Gertrud jest w typie każdego, kogo sama wybierze. Wiesz o tym.
 - Kiedyś tak. Niech ci będzie.
 - Oślaniaj ją i mojego syna. Oddam ci firmę oraz połowę kasy, jeśli ją odzyskamy.
 - Połowę? – Rollo się wzburzył. – Miała być cała.
 - Drugą połowę weźmie Gertrud. Obiecuj, że to, co ugracie, podzielicie na pół.
 - Niby jak to sprawdzisz, siedząc w tym grobie?
 - Będę wiedział.
 - Sam niczego nie chcesz? Zostałeś minimalistą? – zarechotał Rollo.
- Gary długo się zastanawiał. W końcu odchrząknął, wskazał leżące na stoliku wykłady Ramacharaki i rzekł:
- Ten facet, który spisał wspomnienia legendarnego jogina, jest autorem stu książek. Wcześniej był adwokatem, handlowcem. Zajmował się wyłącznie pieniędzmi. Kiedy dokonała się w nim przemiana, zmienił swój potencjał i umarł szczęśliwy, nie mając nic poza wiedzą.
 - Skąd ta pewność?

– Bo pragnę tego samego.

– Umrzeć?

– Jeśli moja dusza uzna, że to koniec drogi, i tak wygram, bo porzuciłem opór. Kiedyś wrócę i zacznę z tego samego punktu. Mądrzejszy o to doświadczenie, które jest teraz moim udziałem.

– Naprawdę nie chcesz walczyć? – Rollo nie dowierzał. Wietrzył podstęp.

– Nie. Ale ty chcesz, więc ci pomagam. Zrobię wszystko, żebyś wygrał.

– Na twoich warunkach.

– Inaczej przegrasz.

Rolliowi przemknęło przez myśl, że pogłoski o szaleństwie Gary'ego mają jednak podstawy. A może to tylko metoda? Ten facet zawsze miał łeb na karku. Nie tylko z powodu kondycji został królem strzelców. Zanim na rynek wszedł Narcis, to Gary był numerem jeden w światowej piłce. Na boisku i w bankach rozgrywał strategicznie. W sumie w obu branżach chodzi dokładnie o to samo: przechytrzyć przeciwnika. Gole, kasa, czyli efekt, to tylko dodatki. Czy warto mu zaufać? Czy nie wpuszcza mnie na minę? – główkował Rollo.

– Możemy wrócić do tematu Marca Baptiste'a? – zniecierpliwił się. – Rockefeller zajmuje mnie jakoś bardziej niż ten twój Yoda.

– Jogin. – Gary uśmiechnął się pobłaźliwie i pokiwał głową. – Zdobędziesz zaufanie VAL-a i admirała. Wkupisz się w łaski Jasu Thumba.

– To już mam.

– Tak tylko ci się wydaje. Obserwują cię i wciąż mają za wykidajkę.

– Nie włącz mi na ambicję.

– Kiedy wkoło gęsta ciemność, oko zaczyna widzieć – odparował Gary.

– Nie patrz, zacznij widzieć.

– Znów ten Yoda?

– Rilke – westchnął Gary. – Niech ten człowiek, który będzie działał w naszym imieniu, zagrozi Marcowi Baptiste'owi. Niech farbowany Rockefeller poczuje groźbę legendy młodziaka. Niech sobie przypomni, jak sam zaczynał.

- Mam mu zafundować konkurencję?
- Zbudować tak tego gościa, żeby stał się najjaśniejszą gwiazdą sezonu. Musi wypłynąć gwałtownie. Iść jak taran, burzyć zasady. Niech wywali sufit czymś wielkim i wtedy wszyscy do niego przyjdą.
- Czyli do nas.
- W skrytce u Noella masz trochę gotówki z ostatnich transakcji. Konto jest na Gertrud. Dlatego jej potrzebujesz. Tylko księżna Fulko może podjąć tę forszę.
- Księżna Fulko? – Rollo nic nie rozumiał.
- Tarima Kamberet. Ulubiona persona Gertrud. Wybacz, ale mamy swoje małżeńskie tajemnice. W przeciwieństwie do byłej krupierki kasyna w Baden-Baden Tarima jest milionerką. Pod warunkiem że do końca życia pozostanie wdową.
- To się nazywa ozłocić kobietę – mruknął z przekąsem Rollo. – Ale ty przecież żyjesz?
- Gary nie był łaskaw wyjaśnić. Kontynuował:
- Nie jest tego dużo, ledwie półtora miliona. Jeśli będziecie się trzymali instrukcji, zabezpieczę więcej.
- Czyli jednak masz tę forszę – zaczął Rollo, ale spłoszył się i umilkł. – Dobra, pamiętam, punkt pierwszy regulaminu.
- Potrzebujecie kasy, żeby wykiwać Marca Baptiste’a.
- Jak cholera.
- Otwórz ostatni fundusz i wrzuc go na rynek.
- Ten niedokończony? Na którym siedzą prokurator i wszystkie służby?
- Ten sam. Trzech inwestorów już dogadałem. Peter Gaon, Australijczyk z Sherwood Group, zadeklarował pięć baniek, drugie tyle daje Kevin Long, ale on jest nasz i trzeba mu oddać, a trzeci był w trakcie, zanim mnie wzięli. Na szczęście się nie ujawniłem, więc sprawa jest czysta. Negocjacje prowadzili jego prawnicy. On jeszcze nie wie, że trust jest mój. W tej sytuacji dobrze się złożyło.
- Kto jest trzeci?
- Gary zawahał się. A potem uśmiechnął się kpiąco.

– Zemsta jest słodka.

Rollo zmarszczył brwi.

– Narcis?

– Los daje okazję we właściwym czasie.

– Nie ma mowy! Narcis w to nie wejdzie.

– Wejdzie, jeśli to nie będę ja. I tak miałem podstawić kogoś na swoje miejsce. Tym sposobem dochodzimy do początku. Rozumiesz już teraz, dlaczego potrzebujesz nowej gwiazdy hedge? Jak tylko odpalisz fundusz, Amerykanie wystawią łowców. Na pierwszy ogień pójdzie admirał, a jego brygada hien ruszy na rynek. Wszyscy wiedzą, że Solgevar jakiś czas był nieczynny, więc dogadają się na to samo z Longiem i Gaonem. Musisz być szybszy. Czasu jest niewiele.

– Skąd mam wziąć tę niby gwiazdę? – Rollo zerwał się. – Zwariowałeś?

– Tak się składa, że chyba masz rację – potwierdził ubawiony Gary. – Poszukaj. Na świecie jest wielu ambitnych oszustów. To nie powinien być człowiek z dorobkiem. Byłoby najlepiej, żeby był znikąd. Bez życiorysu, bez twarzy. Narysujesz mu ją. To tylko nasz łącznik, nie musi być naprawdę dobry. I nie wprowadzaj go. Niech wierzy w to, co chce.

– Czaję. Ktoś, kogo nikt nie zna. Może być kobieta?

– Jeśli będzie sprawna, czemu nie? Tylko niech Gertrud jej dobrze pilnuje. Była ze mną siedem lat. Wie dobrze, jak to działa. Da sobie radę.

– A co z pozostałymi jeleniami do portfela? Bo warunek jest, żeby inwestorów było pięciu. Tego nie da się obejść. Sam to wymyśliłeś.

– Obstawisz naszymi. Tym razem wielka piątka będzie liczyć trzy pola pełne i dwa puste. Nie ma czasu na dalsze poszukiwania, bo trust się wywali. Najważniejsze jest teraz, ile kasy zgromadzicie w portfelu. Zresztą w każdej wielkiej piątce i tak zawsze był szpieg. Dbałem o to całe lata.

– Jednego sam mogę zagrać – rozpromienił się Rollo. – Ale będą mieli miny.

Gary ucieszył się, że Shark wszedł już w legendę. Nie chciał być zwykłym wykidajką, chciał awansu. To dobrze rokowało dla jego planu.

– Pasuje ci?

– Spróbuję – obiecał Rollo.

– Koniec widzenia, panowie! – Do stolika podeszła pielęgniarka. W dłoni miała wielką strzykawkę, drugą rękę trzymała w kieszeni. – Pan French idzie na terapię. Gabinet elektrowstrząsów gotowy.

– To chyba wyszło z mody w latach sześćdziesiątych, siostrze? – fuknął Rollo.

– Wracamy do źródeł. – Kobieta odparła bardzo poważnie, ale jej oczy śmiały się kpiąco. – Niech pan już idzie, mecenasie, bo zapiszę pana na lobotomię.

– Co za monstrum – poskarżył się Rollo i zaraz skulił w obawie, czy pielęgniarka przypadkiem nie zna francuskiego, ale nie zwracała już na niego uwagi.

Gary wstał, posłusznie podążył za sanitariuszką. Na końcu korytarza, odwrócił się.

– Powiedz Gertrud, żeby nikomu nie ufała. Jeśli kiedyś wyjdę, znajdę ją i wszystko naprawię. Choćby w innym życiu.

– Nie czytaj już tych książek. Wyrzuć je i poodłączaj kable!

Pielęgniarka popchnęła Gary'ego do sali zabiegowej, a potem podparła się pod boki i krzyknęła do Rolla:

– Metka z wypożyczalni wciąż się panu wysuwa. Na przyszłość radziłabym odcinać. Taki elegancki mężczyzna, a nie umie się ubrać. No już, nie widzę pana na oddziale! Zmiany nie będzie, ja zostaję do rana.

Frankfurt nad Menem, Niemcy, marzec 1999

– Mój ukochany! – Carla wybiegła na klatkę i wsiadła z Danielem do windy.

Nie zdążył zaproponować, bo już zamknęła wewnętrzną kratę i wciskała parter. Nie do wiary, że zdołała tyle zdziałać, nie przestając go obłapiać.

– Takie powitania to ja lubię – mruknął, kiedy udało mu się ją odkleić. Wciąż jednak wisiała mu na ramieniu, aż był zmuszony postawić torbę. – Aż tak się stęskniłaś?

Carla położyła palec na ustach i oczyma wskazała kanciapę dozorczy, obok której musieli przejść, by opuścić budynek.

– Zostawię tylko bagaż w stróżówce Thomasa.

– Nic nie zostawiaj. – Szarpnęła go gwałtownie. – Zaparkowałeś pod domem?

Daniel zabrzączał kluczami.

– Więc brakowało ci tylko mojej bryki?

Uderzyła go żartem po ramieniu i zachichotała jak mała dziewczynka. Daniel wykrzywił się. Nie lubił, kiedy się tak zachowywała. Dotąd w takim stanie widział ją tylko podczas wizyt Vaanata. Od razu pojął, że tak łatwo się jej nie pozbędzie. Zabujała się jak durna. Nigdy nie dowierzał, że pieniądze są lepem na baby, ale odkąd się wzbogacił, po prostu nie mógł się od nich opędzić. A może to magiczny rytuał pozbycia się wásów?

– Włącz jakiś hałas – poleciała.

– Rammstein?

Wsunął do urządzenia pierwszą lepszą kasetę.

– Mój sokole chmurnooki – zawyła Edyta Górniak.

Daniel próbował wyjąć nośnik z odtwarzacza, ale się zablokował. Udało mu się tylko nieco ściszyć.

– Wszystko jedno. – Carla skuliła się i gładząc go, próbowała rozpiąć mu guziki koszuli i czochrała włosy. Powtarzała: – Jak dobrze, że pierwsza cię zobaczyłam. Cały ranek warowałam przy judaszu.

Odepchnął ją brutalnie, miał dość tych napastliwych czułości. Zaraz się jednak zreflektował. Chwycił ją za ramiona jak do pocałunku. Nadstawiła się, przymknęła powieki.

– Skup się – warknął. – Co jest grane?

Otworzyła oczy. Przed sobą miała nieruchome, czarne jak smoła tęczęwki. Wzdrygnęła się.

– W Süddeutsche sprawa się komplikuje.

– Komplikuje czy się skomplikowała?

– Dziś w nocy u Wolfa był Konstantin. Jest duża afera. Jeden z czeków Gertrud okazał się trefny.

– Wszystkie są fałszywe, głuptasie.

Carla machnęła ręką i zarumieniła się z zadowolenia, sądząc, że znów mówi do niej czule. Ale zaraz oprzytomniała. Musiała go przecież ostrzec.

– Sklonowali klon. Wystawili cię.

– Kto? – Daniel myślał głośno: – Yanek nie. Za dużo ma do stracenia. Gertrud sama w tym uczestniczy. Pewnie złotnik ze szwagrem.

– Pojęcia nie mam, ale Konstantin jest przerażony. Sprawa była ponoć dogadana. Udobruchał jakoś Klemkego i Frolicha, trzyma ich teraz na dystans. Wolf mówił, że na razie nie są groźni. Bankier Konstantina chlapnął tylko tyle, że czek złożyła firma z Polski. Jakiś kościół. I teraz, ponieważ są dwa чеки o identycznych numerach, które trafiły jakimś cudem do jednej bazy, sprawdzać to będzie dyrekcja główna. Podśledzałam wczoraj, że opłacony przez Konstantina bankier jest na to za krótki. Groził podobno, że jak go wydadzą, ujawni wszystkich, a sam się powiesi.

Daniel zdziwił się.

– Co taki cienias robi w branży? Wpadka tego typu to normalna sprawa.

– Normalna? – Carla była w szoku. – Skąd wiesz?

Daniel zmiętygował się.

– Pewnie pomyłka. W niczym interesie nie jest, żeby wpadli wszyscy. Wolf wie o klonach klonów?

Carla skinęła głową. Liczyła na pochwałę, dobre słowo, ale nie padło ani jedno. Za każdym razem, kiedy próbowała się przytulić, Daniel ją

odpychał. Była już bliska łez i bała się. Za wszelką cenę starała się nie dać po sobie poznać, jak cierpi.

– Wkurwiony?

– Na razie żartuje, ale wiesz, jaki on jest. To najgorsze stadium.

– Czyli jest grubo.

– Bardzo grubo. Zmusił bankiera, żeby wycofał czek pastora, i udało się, ale ten twój pojechał już do centrali. Naprawdę będą go sprawdzać.

– To był podstęp – wyszeptał złowieszczo Daniel i poczuł, że ziemia pod nim nie tylko staje się grząska, ale zapada się w błyskawicznym tempie. – A więc rozmyślnie mnie poświęcił?

Carla pochyliła głowę.

– Dlatego chciałam cię uprzedzić, żebyś zdążył coś zrobić. Ratować się, słodki.

Znów wyciągnęła do niego ramiona. Daniel pozwolił się objąć, jednak pozostał sztywny. Głowę oparł o szybę. Carla miała wrażenie, że tuli się do góry lodu.

– Musisz uciekać – szeptała. – Bank zawiadomił już policję. Pewnie na ciebie czekają. – I nagle się rozbeczała. – Nie chcę cię stracić.

– Daj pomyśleć – obsztorcował ją.

A potem przygarnął do siebie. Na chwilę się uspokoiła, łkała bezgłośnie.

– Co z kasą?

Podniosła głowę.

– Ile transferów ostatecznie przeszło? Wolf zdążył zrobić przelewy? – zarzucił ją pytaniami.

– Chyba wszystkie. Zostały tylko te dwa чеki.

– Jak się okazuje, trzy. To sabotaż. – Daniel przyglądał się Carli dziwnie.

Wyswobodziła się z jego objęć.

– Na mnie nie patrz. Mam swoje sprawy i nic więcej nie wiem.

Nie odezwał się ani słowem, świdrował ją tylko tym groźnym spojrzeniem, które nigdy się jej nie podobało. Przypomniała sobie nagle,

jaki cyniczny i wyrachowany potrafi być Daniel. Sama nie wiedziała, kiedy znów zaczęła się tłumaczyć.

– Jak tylko wyjechałeś, Wolf zwołał naradę. Gertrud przez dwie noce siedziała zamknięta w jakimś banku. Były problemy, nie mogli jej wydostać. A potem nagle Wolf sprasza ludzi na popijawę. Świątowali, więc poszło jak należy. Danielu, ja naprawdę o niczym nie mam pojęcia. On mnie nie wtajemnicza.

– Wiem, kochanie. – Poglądził ją po głowie, jakby była szczeniędem. – Kogo brakowało na imprezie?

– Nikogo. Przyszedł nawet ten Polak z bliźniami.

– Szaja? – zdziwił się Daniel.

Musiałby mieć zdolność teleportacji. Przecież dopiero co widzieli się w Warszawie.

– A może podobny? – Carla nie była pewna. – Siedział głównie z Nikolayem, rozmawiali po swojemu i najszybciej się zmyli. Yanek przegrał swoje auto w pokera.

– Na czyją rzecz?

– Wolfa.

– Przecież on nie widzi. Jak mógł grać?

Carla wzruszyła ramionami.

– Mówiłam mu, jakie ma karty. Zawsze tak gramy. Pokazuję mu symbole.

Daniel zacisnął usta.

– Który wóz?

– Takie audi jak twoje. Czerwone. Nie widziałam, bo jeszcze nie dostarczył. Wolf martwi się, że Yanek nie dotrzyma słowa, bo poza mną już nikt nie został w mieście.

Daniel zmarkotniał. Długo milczał.

– Słuchaj, kochana – odezwał się wreszcie. – Będę potrzebował twojej pomocy.

– Co tylko chcesz. Mów, zrobię, co będę mogła. Obiecuję.

– Wygląda na to, że chcą mnie poświęcić.

– Ale dlaczego?

– Bo najsłabsze ogniwo wypada. Myślałem, że gramy w szachy, a to był ring bokserski. A może od początku byłem do odstrzału?

Spojrzał na nią podejrzliwie. Odwróciła głowę. Nie odniosła się do ostatniej uwagi, co tylko upewniło go, że ma rację.

– Musisz wiać – powiedziała po dłuższej pauzie, dręczona poczuciem winy. – Słuchaj, ja mam niewielkie oszczędności. Wolf nic o nich nie wie. Jeśli chcesz, jutro pojedę do banku i ci przeleję.

– Nic nie wypłacę. Skoro na czekach siedzi prokuratura, monitorują moje konta. Tym sposobem namierzą ciebie i będą ciągać po komisariatach. Ile masz gotówki?

Przeszukała kieszenie. Wyjęła zwitek banknotów.

– Nie starczy nawet na croissanta.

– Może w galerii handlowej czynny jest jakiś oddział? Jaki masz limit do wypłat dziennych?

– Dziesięć tysięcy, ale mogę przecież zmienić dyspozycję. Jedźmy tam, wypłacę, ile zdołam. Oddasz mi, jak się uspokoi. Jeśli obrazy się sprzedadzą, doślę ci więcej.

Kiwał głową i nawet nie przyszło mu na myśl, by jej podziękować.

– Jestem stracony?

Patrzyła na niego z troską w oczach.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła z ociąganiem, jakby długo zbierała się na odwagę. – Podejrzewam, że ten trzeci czek złożył Wolf.

Daniel był szczerze wstrząśnięty.

– Więc taki był plan. To dlatego zgodził się, żeby wszystko było na mnie. Wystawił mnie, uczył i schlebiał mi. Pozwolił mi wygrać, żebym się nie zorientował. Teraz mam za to beknąć.

Carla spuściła oczy. Łzy ciekły jej po twarzy.

– Jestem tego pewna. I wiesz, ja jeszcze tydzień temu szczerze mu kibicowałam.

– Dobra z ciebie dziewczyna. Wiem, ile dziś zaryzykowałaś.

– Kocham cię – wyszeptała. – Co mogę zrobić, żebyś się uratował?

Ryczała już jak bóbr. Daniel z trudem to znosił. Wyglądała okropnie. Nie bardzo wiedział, jak to się stało, że w ogóle się z nią przespał. Wszystko przez to wino. Sięgnął do schowka i podał jej chusteczkę.

– Rozmazałaś się.

Kiedy wydmuchała nos i doprowadziła się jako tako do ładu, odezwał się bardzo spokojnie. Carla słuchała go, nie odzywała się wcale. Kiwała tylko głową jak nakręcana lalka.

– Idź do domu i nie waż się zająknąć, że mnie widziałaś. Jutro o dziewiątej spotkamy się pod bankiem. Wypłacisz, ile dasz radę. Ze swojego konta i z kont Wolfa. Całość.

– Jak? Potrzebne są pełnomocnictwa. Mamy rozdzielność majątkową. Igy zawsze mówił, że tak będzie bezpieczniej dla mnie.

– Wolf trzyma karty i dokumenty księgowe w serwantce pod telewizorem. W kuchni, tam gdzie stała moja polówka. Zabierzesz je. Potrzebne mi też będą jego ciuchy. Te, w których wyglądam ohydnie. Mogłabyś mi załatwić przyklejany wąsik. I kapelusz, koniecznie. Laskę sam skombinuję.

– Co chcesz zrobić?

– Podam się za niego.

Carla tak się przeraziła, że aż zaczęła drzeć na całym ciele.

– On się domyśli. Przecież nikt inny do nas nie przychodzi.

Daniel nie zwracał na nią uwagi. Wysiadł z samochodu, z bagażnika wy dostał swoją sfatygowaną torbę, którą tak dobrze znała. Przejrzał zawartość, ale poza brudną bielizną, notatkami, zaczytanymi książkami o inwestowaniu oraz kilkoma kasetami Jacksona nie było w niej nic wartościowego. Dorzucił do środka swój stary portfel, wcześniej opróżniając go co do monety. Zdjęć Emilki i syna z celofanowej kieszonki nie wyjmował. Potem pochylił się i zza swojego siedzenia wydobył zgromadzone śmieci. Wsypywał je garściami do torby: pudełka po fast foodach, puste butelki, teczkę na dokumenty, gazety. Ekwipaż był teraz tak

pękaty, że z trudem zapiął zamki, ale mógł sprawiać wrażenie bagażu podróżnego.

– Zostawisz to u Thomasa. Daj woźnemu za przechowanie kilka marek i drugie tyle za trzymanie gęby na kłódkę. – Zatrzymał się. – Może lepiej butelkę. Jak Wolf zaśnie albo wyjdzie, wsuniesz torbę między taborety, jak zawsze robiłem. Rozumiesz?

– Nie bardzo.

– Nic nie szkodzi, ale tak zrobisz. Zadbaj o to, by nie była widoczna i żeby Wolf od razu jej nie wymacał.

– Postaram się.

– Dokumenty przywieziesz, ja je skopiuję i oddam ci duplikaty. Włóżysz je do tej torby. Na samą górę.

Carla zaczęła wreszcie pojmować.

– Jesteś wspaniały. Uwielbiam cię.

– Kiedy zacznie się dymić, zauważysz torbę i pozwolisz mu odkryć, że jego cenne kwity są w moim bagażu. Nic mu nie sugeruj. Niech sam do tego dojdzie.

– Wiesz, że jestem w tym dobra.

– Najlepsza – uśmiechnął się, ale Carla znów skrzywiła usta w podkówkę. – Więcej się nie zobaczymy?

– A kto powiedział, że wyjeżdżam?

– Jak to?

– Po naszym spotkaniu pojedę do banku sprawdzić, czy sprawa posuwa się do przodu. Tak jak było zaplanowane.

– Daniel, nie rób tego. Tam będzie obława.

– Mówiłaś, że mi pomożesz, tak?

– Tak, ale... Oni cię zamkną. Pójdiesz siedzieć. To pewne.

– Dowiedz się, w którym oddziale pastor złożył swój czek. To ważne. Będę miał tylko jedną szansę. Dasz radę?

– Skoro tego chcesz.

– Zadzwoń do mnie natychmiast, jak się tego dowiesz. Podaj mi tylko numer oddziału i odłóż słuchawkę. O którejkolwiek porze. Będę czekał.

– I tam się spotkamy?

– Spotkamy się pod tym drugim, tam gdzie Wolf złożył mój czek, podając się za mnie. Skoro chcą złapać mnie na gorącym, zapewnię im to. Ale z kwitami Wolfa i wypełnionymi na niego poleceniami zapłaty.

Mülheim, Niemcy, lipiec 1999

Woda w basenie była krystalicznie czysta, a nowy parasol jeszcze większy niż poprzedni. Na stoliku ogrodowym ustawiono koreczki z owoców morza i deskę serów. Trawa była skoszona. Ogrodnik przycinał właśnie żywopłot, choć cały ranek utyskiwał, że o tej porze roku to ryzyko i można zabić forsycje. Konstantin Damm wcale go nie słuchał. Kiwnął na Radkę, żeby podawała gorące. Ponieważ przestrzeń wokół basenu wyłożono nową terakotą sprowadzoną z Włoch, gospodyni nie miała pretekstu, by zostawiać tace przy drzwiach. Maszerowała z parującymi półmiskami aż do zejścia na basen, gdzie w najlepsze trwało ogrodowe party.

– Nikogo nie sprzedał? – nie dowierzał Otto. – To będzie więcej niż cztery miesiące, jak siedzi.

– Milczy – potwierdził prawnik. – Ani słowa. I oczywiście do niczego się nie przyznaje. Wpierw udawał, że nie zna języka, potem pokłócił się z tłumaczem. A teraz konsekwentnie odmawia składania wyjaśnień.

– Przeciąga. – Dieter ziewnął i nałożył sobie więcej gulaszu.

Spojrzał na Gertrud wystrojoną w różowy kostium ze spodniami. Zeszczuplała, a w pastelowym kolorze wyglądała o dziesięć lat młodziej. W uszach połyskiwały jej ogromne perły. Był dumny, że na spotkanie drużyny założyła prezent od niego.

– My i tak mu nie odpuścimy – zaciętrzewił się Otto. – Złożyłem zawiadomienie i już mnie dwa razy przesłuchiwali. Prokurator Schlosser obiecywał, że zapuszczają go przynajmniej na pięć lat.

– Trzy – sprostował notariusz. – Zagrożenie od sześciu miesięcy do trzech lat. Przy tej kwocie najwyższa kara to trzy lata.

Wzniesiono toast. Dieter błysnął nowymi zębami do Gertrud, ale kobieta nie zwracała na niego uwagi. Zadzwoiła jej komórka, więc odeszła od towarzystwa i maszerowała wzdłuż basenu, rozmawiając po angielsku z podręcznikową flegmą.

– Co jej jest? – niepokoił się Dieter.

– Matka założyła jej sprawę o dzieciaka. Jak się dowiedziała, że wciąż spotyka się z Frenchem, chce jej odebrać prawa pod pretekstem dawnych grzeszków.

– Trzeba zamknąć za sobą przeszłość – oświadczył Dieter. – Inaczej nie można ruszyć do przodu.

– Ty, Coelho. – Yanek zatrząsł się od śmiechu, aż ułał na trawnik połowę kufła. – Jeszcze cię na nią nie stać.

– To twoja robota – huknął oskarżycielsko Dieter. – Jak mogłeś sprzedać własną siostrę!

– Wobec kogoś trzeba być lojalnym. Matka to najlepsza inwestycja, a dzieciak będzie z nią bezpieczny. Na twoim miejscu martwiłbym się tym brytyjskim chujkiem. Perły i szafiry na Gertrud nie działają. Swego czasu miała tego szmelcu na kilogramy. Wyprzedzała na męża. Już lepiej inwestowałbyś we mnie. Powiedzmy to jasno: Gertrud wciąż czuje miętę do Frencha.

– Przecież to wariat. – Dieter wzruszył ramionami.

– Doinwestował w siebie i myśli, że jest Brosnanem – wszedł im w słowo Konstantin.

Liczył, że humorem uda mu się załagodzić konflikt.

Wolf z Carlą siedzieli grzecznie przy stole. Właściwie się nie odzywali.

– W sumie to nawet zacząłem szanować tego twojego Polaka – zwrócił się do ślepego Konstantin. – Myślałem, że jak tylko założą mu obrączki, wszystko wyśpiewa.

Pozostali mu zawtórowali.

– Jeszcze nie wiadomo. – Otto bronił swojego stanowiska. – Na razie mają na niego tylko ten jeden niezrealizowany czek. No i naszą sprawę. Szkoda, że wyłączyli ją do oddzielnego procesu.

– Źle pan zrobiłeś, donosząc na Daniela, panie Klemke – odezwał się Wolf.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko szuranie chodaków Radki.

– Deser podawać?

– Za chwilę. – Znalazł się w sytuacji Konstantin. Machał rękoma i wyganiał gospodynię z ogrodu. – Przynieś więcej szampana.

– I piwa – krzyknął Yanek. – Tego korzennego. Posmakowało mi.

– Mam do pana żal, Ottonie, że wystawiłeś mojego człowieka władzom – powtórzył Wolf.

– Co pan?

– Dobrze wiecie, że czek, który dostaliście, byłby zrealizowany.

– To tylko słup. Nikt istotny – próbował się bronić Otto. – A zresztą nie godzę się na takie traktowanie. Dieter! Idziemy!

Ale Dieter się nie ruszył. Wciąż wodził wzrokiem za Gertrud. Poprawił swój kaszmirowy sweterek z logotypem konika i wygładził modne džinsy prosto spod igły. W nowej odsłonie i pod nieobecność Daniela jedynie Yanek mógł dla niego stanowić konkurencję.

– To idź, ja zostaję.

Otto zatrzymał się w pół słowa, kompletnie osłupiały.

– Co się patrzysz, idź pan – popędził go Wolf.

Kiedy Otto odchodził, słyszał jeszcze, jak Konstantin tłumaczy:

– Trzy lata byłyby pewne, gdyby transfer doszedł do skutku. Skurwysyn wycofał go. Pojechał do banku i zrobił z siebie ofiarę, a kiedy go zgarniali, twierdził, że nie rozumie języka. *Ich verstehe nicht*, powtarzał. Jak jakiś opętany.

– Cwana zagrywka – skwitował pod nosem Otto, choć nikt go nie słyszał. Nikt, nawet Dieter za nim nie pobiegł. – Ale sam by tego nie dokonał. Musieli mu pomóc.

Przemierzył pusty dom. Wyszedł na ulicę. Wahał się, bo nagle pożałował, że przez głupią dumę wykluczył się z grupy. Przysiadł na murku, by zapalić i jeszcze raz przemyśleć sprawę. Dopalał już do filtra, kiedy na podjeździe zatrzymało się czerwone kabrio. Za kierownicą siedział Nikolay, a na siedzeniu obok dostrzegł znajomą twarz. Zamarł i gdyby miał zdolność anihilacji, najchętniej by ją wykorzystał. Choć mężczyzna wyglądał teraz inaczej – nie przypominał już cudaka – Otto poznał go bez trudu. Daniel ukłonił mu się z szacunkiem, jakby nic między nimi nie

zaszło, a potem również zapalił. Ottonowi zdawało się, że jedyne, co może zrobić w takiej chwili, to podejść i zacząć rozmowę. Nie zdążył. W drzwiach rezydencji notariusza pojawił się Wolf prowadzony pod rękę przez Carlę.

Otto patrzył, jak mężczyźni wylewnie się witają. Daniel cmoknął Carlę szarmancko w dłoń, ale kobieta nie wytrzymała i rzuciła mu się w objęcia, co wzbudziło gromki śmiech jej męża. Złotnik był tak zaaferowany, że został na swojej pozycji i przysłuchiwał się ich rozmowie, choć po polsku nie rozumiał ani słowa. Z gestów domyślił się jednak, że Wolfowie są ze Skalskim w doskonałej komitywie, a na ten widok krew ścinała mu się ze złości. Nie mógł wprost się doczekać, aż wygarnie to swojemu szwagrowi, który jest tak naiwny, że nigdy nie pojmie zasad tej gry.

– Szanuję twoją postawę, chłopcze – silił się na patos Wolf.

Daniel uśmiechnął się tylko złośliwie do byłego mentora.

– Wybornie, załatw więc nowe papiery. Tak się składa, że stare mi zatrzymali. Nawet autem nie mogę się ruszyć. Szczęście, że Nikolay miał chwilę i podrzucił mnie na bal. Swoją drogą, klawy wóz przytulileś od Yanka. Tylko skrzynia szwankuje, na drugi raz polecam wygrać coś w automacie.

Wolf nie dał się zagadać. Przyjął ton ojcowski.

– Bądź pewien, że zajmę się wszystkim. Doprowadzimy nasz interes do końca.

Daniel przyjrzał się badawczo niewidomemu i zastanawiał się, jak prędko ten koniec będzie oznaczał dla niego powrót do paki. Ale Wolf w mig wyczuł emocje wychowanka. Podszedł, położył mu dłoń na ramieniu.

– Jesteś najważniejszą figurą w tym planie. Nie dopuszczę do zerwania przedstawienia.

Daniel nie dał się nabrać.

– Nie wątpię, Igy, bo wtedy wskażę im dokumenty z mojej torby i musielibyśmy zamienić się miejscami. A tymczasem co z pieniędzmi na kontach?

– Są bezpieczne. Wciąż sprawdzają tylko ten jeden felerny czek. O reszcie nie wiedzą i lepiej, żeby tak zostało.

– Cieszę się, że znajduję cię w dobrym zdrowiu – odrzekł Daniel i z godnością przekroczył próg rezydencji Damma.

Dopiero wtedy Otto się rozejrzał. Nikolay wciąż stał przy samochodzie.

– Hej, masz jeszcze ten brylant, który dał ci pryncypał?

– Pewnie. Da pan radę go dobrze sprzedać? – ucieszył się Rosjanin.

Poszukał w kieszeni satynowego woreczka.

– Wezmę go do analizy – zapewnił Otto.

Nikolay zawahał się, ale skinął głową.

– A ty co o tym wszystkim sądzisz?

– Mnie nikt o zdanie nie pyta, szefie. – Rosjanin udał zdziwienie. – Mam tylko kręcić kółkiem, nie myśleć.

– Teraz to „szefie” – zachnął się Otto. – A porzuciłeś mnie jak starą żonę, ledwie tylko pojawił się gość bardziej błyszczący i sławny. Więc?

– No, ja myślę, panie Klemke, że gdyby ten kamień dało się dobrze sprzedać, to trzeba na tego Daniela uważać. Gdyby zaś okazało się, że brylant nie spełnia wymagań, czujnym trzeba być jeszcze bardziej. Czy Hochberg jest księżę, czy nie, porządnie namiesza nam w zupie.

– I ja tak uważam – przyznał Otto. – Ale chyba tylko my tak myślimy, Niki.

– Mnie to wystarczy.

– Mądry z ciebie dzieciak.

Złotnik odwrócił się i szedł już na przystanek, ale widząc, że Nikolay wciąż stoi przed wejściem, zawrócił.

– Słuchaj, a gdybyś raz na jakiś czas zwierzył mi się, co robicie, jak idą interesy Polaka i takie tam bzdury... Ile by to kosztowało?

– Chce mnie pan kupić na szpiega?

– No, chyba tak to się nazywa.

– Pan dobrze to sprzeda, a nikt nie straci. Powiem z czystej sympatii: lubiłem pana od początku, bo pan jak ze Wschodu człowiek. Szczery,

a markotny.

– I wzajemnie, Nikolay. Chociaż zawsze się ciebie trochę bałem.

– Bał się pan? – roześmiał się Rosjanin. – A ja głupi myślałem, że pan coś knuje. Siedzi pan, nic nie mówi, tylko knuje.

– Ja?

– Pan, panie Klemke.

– Nikt, całe życie, nie powiedział mi lepszego komplementu. Zawsze marzyłem, żeby coś porządnie uknuć.

Amsterdam, Holandia, lipiec 1999

Pernod Hagedorn zmuszony był zsiąść z roweru i prowadzić go chodnikiem, bo ulicę przejęli odziani w figowe listki mężczyźni w asyście umundurowanych kobiet. W rękach mieli tęcze transparenty, a z głośników dobiegała hinduska muzyka. Pachniało marihuaną i anyżkowymi ciasteczkami. Pernod najpierw przeklął w duchu swoją niefrasobliwość, bo o pikiecie trąbiono od tygodnia w wiadomościach. Nie pojmował zupełnie, jakim sposobem jego uwagi uszedł fakt, że parada gejów i lesbijek będzie szła akurat obok jego biura. Sięgnął do koszyka umocowanego do kierownicy roweru po etui z okularami i wymienił szkła przeciwsłoneczne na optyczne. Dopiero wtedy podniósł dłoń do czoła, by zbadać, jak daleko sięga tłum. Nie było widać horyzontu. Westchnął ciężko. To potrwa co najmniej do południa, a w biurze powinien być za dwadzieścia minut. Szedł za tańczącą tłuszcą ekscentrycznie odzianych buntowników i wsłuchiwał się w ich śpiewy. Uśmiechali się do niego, wykonywali ruchy frykcyjne, wystawiali języki albo całowali się na platformach, zeskakiwali z nich i wciskali w dłonie Pernoda ulotki, a choć odmawiał ich przyjęcia, już po chwili jego koszyk był wypełniony makulaturą, której nie zamierzał czytać. Sam był gejem, znał i popierał głoszone przez nich postulaty, ale nigdy nie wziąłby udziału w marszu w obronie wolnej miłości. Nie w takim stroju i nie w ten sposób. Skłaniał się do poglądu Wilde'a, że nieważne, co ludzie robią, byle nie robili tego na ulicach i nie płoszyli koni. Nagle naparł na niego pięknie zbudowany mężczyzna z maską tygrysa na twarzy. Poza kocią woalką i czarnymi stringami nie miał na sobie niczego więcej. Wił się wokół Pernoda niczym na rurze w klubie go-go. Po chwili do adonisa dołączyli inni. Pernod nagle zapragnął złąć się z tym tłumem, dać się porwać namiętności, ale ku jego zdziwieniu pochód skręcał nad kanał. Cała rzesza kierowała się na plac główny. Tymczasem Pernod zmierzał w kierunku przeciwnym – na ulicę Gustava Mahlerlaana. Kiedy tłum wokół niego się przerzedził, poczuł się opuszczony. Być może dlatego pozwolił się pocałować pięknemu nieznanemu i odprowadzał go tęsknym spojrzeniem, aż ten z gracją

tancerza wskoczył na platformę i kontynuował swój pląs w dalszej części miasta.

Ulica opustoszała. Zrobiło się cicho i zimno. Pernod stał ze swoim rowerem na chodniku wpatrzony w oddalającą się manifestację, gdy za jego plecami rozległ się rumor. Hagedorn spostrzegł z żalem, że to tylko właściciel budki ze śledziami wznawia działalność swojego kramu na kółkach.

– Omal nie zdewastowali mi biura. – Zażywny osiłek mruczał pod nosem, jakby chodziło o szarańczę i szklany wieżowiec.

– Są pacyfistami – stanął w obronie manifestantów Pernod, wszak należeli do tego samego plemienia. – Nie robią nikomu krzywdy.

Kramarz spojrział na Pernoda podejrzliwie. Oceniał jego nieskazitelny garnitur, białą koszulę i szary krawat, przyjrzał się doskonale ostrzyżonym włosom, pięknej cerze. Jego wzrok zatrzymał się na klamerkach do bielizny, którymi Pernod miał spięte spodnie, by nie wkręciły się w szprychy.

– Pan też?

Pernod nie odpowiedział. Wskazał surowe śledzie za gablotą.

– Dwa z cebulą i ogórkiem. W bułce, ale bez anyżku.

Mężczyzna więcej się nie odezwał. Podał zamówione danie i zajął się krojeniem cebuli. Pernod pożywił się ze smakiem, a potem wsiadł na swój rower i zatrzymał się dopiero przed siedzibą CGZ w służbie banku ARN Abro NV, gdzie pracował. Jeden rzut oka na zegarek uświadomił mu, że ma kwadrans spóźnienia. Nigdy w karierze mu się to nie zdarzyło. Pernod zbladł na widok szefa stojącego przed wejściem z tłącym się papierosem w dłoni. U jego stóp leżało dziesięć niedopałków. Nad głową zaś wisiała kolosalna tablica informująca o zakazie palenia.

– Pikieta, wiem – powitał go szef. – Jak zaparkujesz, wejdź do mnie. Sprawdzisz jeden donos.

Pernod zaniepokoił się. Z gabinetu szefa CGZ widać przynajmniej cztery przecznice. Czyżby zwierzchnik na niego czekał? Dostrzegł go w tłumie protestujących? Czy widział też pięknego tancerza w tygryskiej masce? Natychmiast przegonił te podejrzenia. Ułożył sobie tylko kilka dobrych

wyjaśnień. Dla nikogo w firmie nie było tajemnicą, jaką Pernod ma orientację, ale niedopuszczalne było, aby urzędnik tej rangi brał udział w podobnych demonstracjach. Pernod uzbroił się w notes i ołówek, a potem ruszył do kierownika po list z doniesieniem. Jakże się zdziwił, kiedy w gabinecie przełożonego zobaczył trzy obce osoby. Oszacował od razu, że prym w tej brygadzie wiodła kobieta.

– Komendant Christop Trin, nasz CEO Anastasia Gruner. Stana znasz korespondencyjnie. Pracuje w dziewiętnastym oddziale na stanowisku starszego kasjera. To on przynosi wieści. – Szef nie bawił się we wstępy.

Pernod zrozumiał, że sprawa jest poważna i nie będzie żadnego anonimu do sprawdzenia. Postukał ołówkiem w notatnik, wyprężył się na baczność.

– Stan, proszę się streszczać. Pernod Hagedorn to nasz najlepszy analityk. Jeszcze dziś dochodzenie zostanie wszczęte i zakończone.

Pracownik banku zwany Stanem z początku nie mógł wydusić słowa. Drżała mu dolna warga, a czoło z potu wycierał nieustannie. Miał miękkie dłonie i rozbiegane oczy zagonionego w pułapkę gryzonia. Pernod już wcześniej sprawdzał denuncjacje tego człowieka. Tylko raz donos okazał się nieprawdziwy, ale nigdy wcześniej facet nie został zmuszony do pokazania twarzy.

– Chodzi o odbiór i zdeponowanie papierów wartościowych Holland Europe Found NV. – Pałeczkę przejęła kobieta zwana Anastasią. Była to twarda baba o spojrzeniu wilczy, choć wyglądała jak podstarzała lalka Barbie z przesadnie wymodelowanymi jasnymi włosami, przyklejonymi rzęsami i w tak obcisłej sukience, że nie była w stanie w niej usiąść. Pewnie dlatego jako jedyna wciąż stała. – Dokładnie sto trzysta tysięcy jednostek wartych pięćdziesiąt cztery miliony guldenów, czyli dwadzieścia siedem milionów dolarów.

Pernod zapisał dane i naraz poczuł, że po tej informacji także jemu zaczynają trząść się dłonie. Jeśli jest tak źle, jak podejrzewał, to na jego barkach spocznie odnalezienie tej góry forsy. Wolał się upewnić.

– Wielkość straty?

– Przypuszczamy, że jakieś dwadzieścia siedem milionów dolarów – powtórzyła zniecierpliwiona kobieta. – Przed chwilą powiedziałam. Chyba

że giełda padnie, wtedy podam panu aktualny kurs, ale mniej niż dwadzieścia baniek nie będzie.

– Spokojnie, pani prezes.

Szef Pernoda poderwał się, nalał do szklanki wody i podał kobiecie. A potem położył jej dłoń na ramieniu niczym dobrotliwy ojciec.

– Pernod je odnajdzie.

A więc tak wygląda szczyt banku Abro, pomyślał Hagedorn. Nawet nie przypuszczał, że na tak wysokim stanowisku siedzi kobieta. Anastasia tymczasem upiła łyk wody i skinęła na Stana.

– Przyjęliśmy je wszystkie i pozwoliliśmy na ich zdeponowanie, ponieważ Centrum Administracji Funduszy nie odnotowało żadnych praw do tych papierów i też nie nastąpiła za nie żadna wpłata.

– Numery były zgodne z wydanymi certyfikatami? – dopytał Pernod.

– Oczywiście! Za kogo pan mnie ma! – oburzył się Stan. – Weryfikowaliśmy to trzykrotnie.

– Kiedy zostały wydane?

– W ubiegłym kwartale. Ale sprawdziliśmy na wszelki wypadek też poprzednie trzy i bardzo dokładnie obecny kwartał. Dokumenty zostały poddane analizie technicznej. Tyle jest tego na rynku, że trudno zapamiętać kolory. Biegły potwierdził ich oryginalność. Słowem, pracownik mógł uznać je za pozycję pełnowartościową. Dyrekcja przyznała więc na nie prawa zgodnie ze wszystkimi wydanymi papierami wartościowymi HEF.

Zatrzymał się. Wpatrywał się w Pernoda, jakby ten miał moc anulowania zaistniałych zdarzeń. W pokoju panowała bolesna cisza.

– Kiedy uruchomiliście środki?

– Trzy dni temu.

– Czyli mieliście je na biurku miesiąc. – Pernod domagał się potwierdzenia. – Tyle standardowo trwa procedura sprawdzania?

Bankier niechętnie pokręcił głową.

– Czasami ten proces dłuży się i do pół roku. Teraz szef zdecydował o przyśpieszeniu ze względu na ilość. To prawie dziesięć milionów prowizji

dla naszego oddziału, sam pan rozumie. Wszyscy liczyli na premie, a dyrektor na awans. – Urwał.

Pernod nie chciał dłużej tego słuchać.

– Udało się zablokować chociaż część wypłaconych środków?

Bankier odchrząknął.

– Niestety zostały przekierowane.

– Czy gdyby było inaczej, spotykalibyśmy się teraz w CGZ w tym składzie? – włączyła się Anastasia. – Nie mam zwyczaju bywać w jednostkach kontrolnych ani słuchać tłumaczeń sprzedajnych kasjerów.

Pernod nawet na nią nie spojrział. Znow zwrócił się do Stana:

– Mamy listę transferów?

Bankier zamiast odpowiedzi podał mu plik kartek. Pernod rzucił okiem na rząd nazwisk. Do każdego z nich przyporządkowana była seria liczb oraz kwota, na którą wykonano przelew.

– Trzyście. – Policzył strony. – A więc trzyście osób.

Podniósł głowę i mówił teraz wyłącznie do kobiety.

– Znalezienie tych środków zajmie przynajmniej miesiąc. To działa jak wirus. Jedna osoba spotyka się z drugą, ta druga też mogła się spotkać z dwiema, tamte z kolejnymi dwiema. Po trzech dniach dobra kaskada może liczyć kilkaset osób. Tutaj szacowałbym na grubo ponad trzystu uczestników.

Odwrócił głowę do kasjera i podniósł głos, choć wcale tego nie chciał.

– Dlaczego pan tyle zwlekał? Zwykle jest pan z meldunkiem tuż po wizycie podejrzanego delikwenta. I to zanim wrzuci pan czek albo gwarancję na biurko dyrektora!

Rozumiał już doskonale, dlaczego prezeska banku jest zdenerwowana. Nie mieli do czynienia z amatorami. Jeśli szajka działa skutecznie, nigdy nie znajdą tych pieniędzy. Co najwyżej zdołają postawić przed sądem słupa, ale on nie będzie miał już tej forsy. Zresztą taki słup najczęściej nie wie, w czym bierze udział ani jak działa system.

– My naprawdę sądziliśmy, że z tymi certyfikatami jest wszystko w porządku – tłumaczył się gęsto Stan. – Cały zespół to sprawdzał. Tak

duża transakcja, przecież pan wie, że zawsze byłem lojalny i nawet gdyby przyszedł do mnie Donald Trump albo i papież, dałbym znać w razie wątpliwości. Rzecz w tym, że ich nie miałem. Żadnych. Papiery były czyste, czyściutkie. Nadal nie rozumiem, jak to się mogło stać!

– Ja też, głąbie – huknęła Anastasia. A potem zwróciła się do swojego milczącego towarzysza. – Nadkomisarz Trin przestrzegł mnie, że póki nie znajdziemy ostatniego człowieka w łańcuchu, bank ma związane ręce. Nie możemy nawet zatrzymać kaskady, a tymczasem środki odpływają coraz dalej. Może są już w Szwajcarii albo w jakimś funduszu offshore.

Pernod pojął, że komendant Christop Trin to tajniak na usługach Abro. Jakiej wagi musiała być sprawa, skoro ukazano jego twarz urzędnikowi państwowemu! Czuł, że brakuje mu powietrza. By się nieco uspokoić, tęsknie spojrzął w okno. I pomyśleć, że jeszcze kwadrans temu miło spędzał czas, obserwując roztańczone platformy. Dlaczego musi prowadzić takie życie zamiast płaszać, kochać się i palić gandzię?

– Co gorsza, to jest Polak – kontynuowała twardo Anastasia. – Mimo że przestępstwa dokonano na terenie Holandii, podlega ono jurysdykcji tamtejszego prawa. Nawet nie wiem, czy w tym dzikim kraju to w ogóle jest karalne.

– Jest, zapewniam – włączył się policjant. – Już wystosowałem pismo z prośbą o współpracę do wrocławskiej prokuratury. Znajdziemy go.

Szef Pernoda spojrzął na niego z nadzieją. Hagedorn widział po bladości jego twarzy, że dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo jest źle.

– Jak oni to zrobili, Pernod? Masz jakiś pomysł?

Analityk zacisnął usta, wypuścił powietrze. Wreszcie zwrócił się do kasjera.

– Słyszał pan o Global Note?

– Osobiście prowadziłem szkolenie – zapewnił skwapliwie Stan. – Sprzedajemy je. Mamy wyspecjalizowaną jednostkę.

– To wielka szkoda, że nie czyta pan materiałów przesyłanych przez HEF, zanim zaczyna pan szkolić swoich ludzi. – Pernod nie mógł się powstrzymać przed okrucieństwem. – Bo w poprzednim kwartale, a więc z datą wydania certyfikatów, które pomógł pan właśnie zdefraudować, HEF

postanowiła wycofać wszystkie papiery wartościowe i przekształcić je w Global Note. Była to zwykła zagrywka, żeby akcje Global poszły w górę, i, powiem szczerze, dosyć kosztowna, bo kampania reklamowa pochłonęła tyle, ile roczny przychód, ale cel został osiągnięty.

– Jaki to ma związek? – prychnęła Anastasia.

Widać nie lubiła, kiedy krytykowano jej decyzje.

– No cóż, kluczowy – odparł hardo Pernod. – Wszystkie papiery wartościowe wydane w ubiegłym kwartale zostały przyjęte do protokolarnego zniszczenia. Z tego krótkiego terminu jedynie Global Note są w obrocie legalnie. Także Abro, czyli wasz bank, musiał wydać pakiet do zniszczenia. Nie rozumiem, jak można coś takiego przeoczyć!

– To prawda – pisnęła przerażona Anastasia. – Wydaliśmy. Teraz sobie przypominam. Ale to trwało tylko dwa tygodnie!

– Niestety, jak się domyślam, właśnie w terminie tych dwóch tygodni kształtuje się data wydania dokumentów HEF.

Pernod był brutalny, lecz nie miał wyjścia.

– Nie wiem, skąd ten Polak miał dokumenty, kto je wykradł z niszczarki i mu sprzedał, ale daliście się nabrać. Spieniżyliście papiery wycofane z obrotu.

Skłonił się, spojrzął na szefa, policjanta i prezeskę banku. Na donosiciela nawet nie zerknął. Przez takich tchórzliwych bęcwałów miał pełne ręce roboty i szczerze wątpił, czy kiedykolwiek uda mu się odzyskać te środki. Poza tym było prawdopodobne, że Stan brał udział w szwindlu. Ten, kto znał numer z Global Note, był wtajemniczony w sprawy bankowości i nie działał sam, a przy tej kwocie gotówki do podziału było sporo. Pernod nie mógł ręczyć nawet za siebie. Czy gdyby za drobne przeoczenie zaoferowano mu pół miliona guldenów, nie zaryzykowałby etatu? Dociekanie jednak, kto zawinił i w jakim stopniu, nie było jego sprawą.

– Państwo pozwolą, że się oddalę – oświadczył. – Jeśli mam znaleźć te pieniądze, każda sekunda ma znaczenie. W tym momencie, pani prezes, musi się pani pogodzić z zaksięgowaniem straty. Wina leży po waszej stronie. Ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale to potrwa. Nawet jeśli uda mi się znaleźć i zablokować lwią część kont, reszta się rozplynie, bo

kaskada wygląda na długoseryjną. To afera na miarę piramidy Gary'ego Frencha. Z pewnością słyszała pani o funduszach Solgevaru z Wielkiej Brytanii. Do tej pory nie znaleziono czterystu pięćdziesięciu milionów funtów, które wyparowały ze skarbca Lloyds Banku, choć frontman oszustwa dostał zarzuty.

Kobieta wyprostowała się.

– Pan nie wie najważniejszego.

– To jeszcze nie wszystko?

– Tego rodzaju stratę, choć nie dwudziestu siedmiu milionów dolarów, ale sumarycznie równie znaczną, notujemy w trzech innych oddziałach: w Belgii, Niemczech i Szwajcarii.

– Wszystkich defraudacji dokonał ten sam człowiek? – Pernod sięgnął do przekazanych mu materiałów i z wielkim trudem odczytał nazwisko. – Leonard Radziwiłł?

Kobieta potwierdziła ze zboląłą miną.

– Jeśli to jest jak wirus i ta jedna sprawa oznacza poszukiwanie naszych pieniędzy na trzystu kontach, ile to zajmie w przypadku czterech kradzieży, bo tak to trzeba nazwać?

– Algorytm wskazywałby na cztery tysiące trzydzieści siedem rachunków. – Policzył szybko w myślach Pernod.

Kobieta miała taką minę, jakby podłączono ją do prądu. Szef Pernoda doskoczył do niej i zaczął ją wachlować notesem, ale go przegnała.

– Niech pan jedzie, gdzie trzeba, znajdzie je i zablokuje przepływ – krzyknęła w panice. – A potem złapie tych bandytów!

– Wszystkich? – Pernod podniósł brew. – Jak wspominałem, szajka liczy ponad trzysta osób!

– Niech pan znajdzie chociaż tego Polaka!

– Nigdy tego nie praktykowaliśmy. – Pernod zawahał się, a potem spojrzał na szefa, który machał do niego, by Hagedorn zgadzał się na wszystko, byle tylko Anastasia się uspokoiła. – Jeśli jednak powstanie odpowiednia procedura, mógłbym się tego podjąć. Oczywiście przy

wsparciu policji, bo nie mam doświadczenia w przesłuchaniach i tropieniu oszustów na żywo – plątał się.

Spojrzał na milczącego policjanta, licząc, że go wesprze, ale Christop Trin miał woskową twarz i nieruchome oczy. Tajniak, pomyślał Pernod. Doskonale sobie zdaje sprawę, że zawałił na całej linii i z pewnością straci pracę, jak wszyscy w tym pomieszczeniu.

– Na razie są pilniejsze zadania. Proszę niezwłocznie dostarczyć mi materiały z innych placówek – nakazał. – Szefie, do szukania tych pieniędzy będę potrzebował wszystkich ludzi z wydziału.

– Możesz ich oddelegować. Informuj mnie na bieżąco.

– Panie Hagedorn – odezwała się znów kobieta.

Pernod zatrzymał się w drzwiach, przymknął je. Czekał na jej słowa w napięciu.

– Czy jest możliwe, aby dyrektor banku przyśpieszył proces sprawdzający w złej wierze?

Pernod nie miał ochoty zostać oficjalnym kablem. Nic by na tym nie skorzystał, choć uważał, że nie ma innej opcji i z pewnością niejeden z jej ludzi dostał swoją dolę. Inaczej by nie zaryzykowali.

– Czy pani wiedziała o dwóch tygodniach Global Note?

Anastasia pokręciła głową.

– A jednak powinnam była wiedzieć! Jestem prezesem tego banku. Jeśli środki się nie znajdują, będę zmuszona podać się do dymisji.

Pernod wzruszył ramionami. Uśmiechnął się do Stana niemal czule.

– To właśnie powinien zrobić szef placówki, która naraziła ARN na stratę. Gdyby pani człowiek zastosował się do rozwiązania honorowego, przyjrzałbym się mu, na co wydaje pieniądze. W tej materii może pani na mnie liczyć, gdyż w śledzeniu transakcji systemowych mam stosowne doświadczenie. Odbyłoby się to dyskretnie, ale o szczegółach poinformuje już panią komendant policji. Współpracujemy od lat. Miło wreszcie pana poznać, panie Trin.

Po czym skłonił się i opuścił gabinet całkiem z siebie zadowolony.

Włożył dłoń do kieszeni i znalazł w niej karteczkę. Widniał na niej numer telefonu. Podniósł bilecik do nosa i powąchał. Surowy śledź. Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie seksownego adonisa. Jak to jest, że niektórym ten dzień wydaje się tragiczny, gdyż jedno zdarzenie łamie im życie, a dla mnie okazał się jednym z przyjemniejszych? – pomyślał. – A może to początek całkiem nowego życia?

Kiedy jednak zadzwonił pod podany numer, dobiegły go odgłosy ulicy i skrzekliwy głos sprzedawcy śledzi, więc natychmiast rzucił słuchawką, zgniół bilet z tygrysem i z werwą zabrał się do poszukiwania zaginionych guldenów.

Kronberg, Niemcy, lipiec 1999

Agent nieruchomości przyglądał się dokumentom Daniela, jakby widział podobne pierwszy raz w życiu.

– To watykański paszport. – Skalski uśmiechnął się z pobłażaniem. – Numer osiemset dwadzieścia, a więc czasowy. Powyżej tysiąca wydają dokumenty stałe.

– Pan wybaczy, von Hochberg. – Agent odpowiedział równie grzecznie, choć z tym samym cwany uśmiechem co interlokutor. – Po prostu bez tych wąsów trudno pana poznać.

Daniel dotknął twarzy.

– To był estetycznie bolesny eksperyment, przyznaję. – Spojrzał z wyrzutem na Wolfa, lecz ślepiec nie reagował. – Obecnie czuję się o niebo lepiej. A pan? – Wskazał wąski pasek szczeciny pod nosem agenta. – Czyżby ten zarost miał kogoś upamiętniać?

– Nie każdego natura obdarzyła taką obfitością, choć styl nie wynika z genów, lecz z osobistej charyzmy – odparł agent, jakby całe życie zajmował się modą, a nie sprzedawaniem budynków. – Panowie pozwolą, skopiuję dokumenty dla dyrekcji.

– Znamy już dyrektora! – krzyknął za nim Daniel i roześmiał się. Dopiero potem spostrzegł naburmuszoną minę Wolfa. Płynnie przeszedł na polski. – Co? Znów coś nie tak?

– Dworujesz z niego. – Wolf obsztorcował go jak na samym początku współpracy. Daniel boleśnie odczuł ten krok wstecz w ich relacji. Jakby złamana rura polówki znów wbijała mu się w plecy. – Po co skrucasz dystans? Nie wystarczy ci, że wychodzi z siebie, żeby mówić po angielsku?

– Chcemy negocjować stawkę.

– A po co?

– Nikt nie kupuje banku za osiem i pół bańki bez negocjacji. Zawsze trzeba coś utargować.

– Co ty nie powiesz? Ile nieruchomości w swoim życiu już sprzedałeś, książę?

Daniel zniósł kolejne poniżenie bez mrugnięcia okiem.

– Jedziemy na tym samym wózku – rzekł. – Twój adres Eschersheimer Landstrasse czterysta dziesięć we Frankfurcie to blok z mieszkaniami czynszowymi. Budownictwo socjalne.

Ostatnie zdanie sylabizował dla większego efektu. Potem zrobił przerwę i dodał:

– Może i teraz jesteś niewidomy. – Zawahał się. – Kiedy jednak składałeś swoje błagania do miasta o lokal, widziałeś ten krater bardzo wyraźnie. Dietrich Bohnhöfer Strasse sześć w Bad Homburg, a więc dom o podwyższonym standardzie w nowej dzielnicy, do którego mnie przygarnąłeś, należy do Carli. Wprowadziłeś się do niej ledwie trzy lata temu i tylko po to, by nielegalnie podnając tę komunalną norę przy Landstrasse. I zaiste jest podnajmowana. Nikolayowi! Nie wiem, czy wiesz, ale on z kolei udostępnił ją swoim trzem kumplom od kradzionych bryk.

Wolf milczał. Był blady, bardzo długo zbierał się do kupy. Daniel dobrze wiedział, że strzelił celnie. Nie dałoby się celniej. Był z siebie dumny. Wolf na pewno pluł sobie w brodę, że wziął go kiedyś na ucznia.

– Tak myślałem, że trwasz w błogiej nieświadomości, choć uczyłeś mnie, że pod kontrolą należy mieć absolutnie wszystko!

Wprost promieniał z zadowolenia, tym bardziej że Wolf nigdy się nie dowie, jak Daniel te informacje zdobył. Carli nie udało się wykonać numeru z torbą. Wolf nie zwrócił uwagi na zniknięcie papierów z serwantki. Ostatecznie więc po ich skopiowaniu Daniel zdecydował, że zostawi sobie tę cenną wiedzę na później. Jak widać, była to decyzja słuszna. Triumfował: może w końcu ten stary cap pojmie, że ma do czynienia z kimś równym sobie?

– Jeśli liczysz na to, że zajmiesz moje miejsce w Bad Homburg, nie będę wam stał na drodze – przerwał ciszę Wolf. – Carli od początku spadają majtki na twój widok. Dotąd starałem się ją chronić. Wiem, że tobie zależy tylko na jej pozycji i pieniądzach. Jej zasoby to fajna rzecz, a mnie znudziła się już jej końska twarz. Weź ją sobie, jeśli ci odpowiada.

– Wreszcie jakiś komplement – rzucił wesoło Daniel.

Jego głos dobiegał z drugiego końca sali. Wolf rozpaczliwie poruszał laską. Choć bardzo się starał, nie mógł zlokalizować podopiecznego.

– Tutaj – zaśmiał się Skalski. – A może tam?

Nagle znalazł się tuż koło ucha Wolfa i syknął:

– Jesteś przecież taki sam. Pozycja i pieniądze. Czy jest coś innego, dla czego warto kłamać, kraść i oszukiwać? I ty też nie potrafisz czuć, Igy, dlatego emocje nigdy nie biorą nad tobą góry. Reagujesz tylko na ból i pragnienie zemsty, a ja ci tego dostarczę w nadmiarze, stary diable.

Przerwało im wejście agenta, który wrócił ze skopiowanymi dokumentami i śliczną asystentką u boku. Ona z kolei dzierżyła pod pachą gruby plik folderów oraz umowy.

– Zastanowili się panowie?

– Nie mieliśmy żadnych wątpliwości – odparł pewnie Wolf. Daniel z podziwem spostrzegł, że w głosie mentora nie ma śladu niepokoju. Nie znać też było drżenia, które pojawiło się, kiedy Daniel zaczął z nim grać. –

My z żoną wzięlibyśmy część przyległą do banku, a koledze zależy na ogrodzie. Jest palaczem, sam pan rozumie.

Daniel skrzywił się. Pogardzał ludźmi, którzy byli od czegokolwiek zależni. Ale się nie odezwał.

– Oczywiście – przytaknął agent, a potem spojrzał na dziewczynę. Wzruszyła tylko ramionami, więc dopytał: – Czy dobrze rozumiem, że panowie chcą zrobić z tego budynku lokal mieszkalny?

– Prawo tego nie zabrania.

– Zgadza się, ale posiadamy w naszej bazie budynki w znacznie niższych cenach. Podatki są dużo mniejsze. To jest bank, lokal użytkowy.

Patrzył na nich jak na wariatów.

– Przy głównej ulicy. Znajdzie pan nam taką lokalizację?

Agent był skołowany.

– Większość ludzi ucieka z miasta, a jeśli już ktoś chce mieszkać w centrum, to zabiega o to, by okna wychodziły na podwórze. Jak panowie

zamierzają tutaj żyć, skoro ta ściana składa się z szyb? W tej chwili są na nich reklamy, rolety i dodatkowe zabezpieczenia antywłamaniowe.

– Zostawimy je – uciał Wolf. – Ile możecie zejść z ceny?

– Jaka jest propozycja?

– Ja mogę dać osiem – odezwał się Daniel. – Tak, lubię to miejsce.

Zapadła cisza. Przerwał ją agent.

– Sądzę, że klient się zgodzi. Jestem tego pewien.

Wolf chrząkał znacząco, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

– To super! – Daniel chodził od okna do okna i podnosił żaluzje. – Kiedy możemy dostać klucze?

– Klucze? – zdziwił się agent.

– Tak, klucze. Kiedy człowiek kupuje mieszkanie, zwykle dostaje wszystkie klucze.

Daniel nie mógł się powstrzymać, by jeszcze trochę nie popastwić się nad agentem.

– Wszystkie klucze panowie dostaną. Oczywiście po transakcji. Jak zamierzacie ją finalizować?

– Czekać – rzucił Daniel i zarechotał, widząc zakłopotanie na twarzach agentów. – Taki żart. Wiadomo, że gotówką.

– Gotówką? – Agent oniemiał. – To świetnie. Gdybym wiedział, wytargowałbym większy upust.

– Nadal możesz to zrobić – fuknął Wolf i dorzucił na jednym oddechu: – Będziemy płacić gotówką. W poniedziałek, najpóźniej we wtorek spodziewamy się transferu i potrzebujemy mieć dokumenty na przyszły tydzień. Mamy swojego notariusza, jasne?

Podał agentowi plastikową teczkę.

– Tak jest. – Agent przyjrzał się klientom jeszcze uważniej. – Gotówka, notariusz, tydzień na załatwienie papierów. Pozwolą panowie, że skontaktuję się z dyrekcją, by mieć promesę na tę cenę.

– Kolega Hochberg już panu mówił, że sprawa z dyrekcją jest dogadana. Niech pan nie komplikuje sprawy, sporządzi dokumenty i dostarczy je do

dziesiątej w poniedziałek Antonowi Kaplerowi.

Następnie wyciągnął dłoń.

– Klucze.

Agent nie wiedział, jak się zachować, ale sprawę ułatwił Daniel, który już zmierzał do niego z telefonem komórkowym w dłoni. Na wyświetlaczu widniało nazwisko: „Anton Kapler, dyroDeutsch sadomaso”. Agent spłoszył się, ale podniósł słuchawkę do ucha. Zdało mu się, że w głosie bankiera słyszy wschodni akcent.

– Tak, tak... dobrze... nie wiem, czy tak możemy, ale jeśli pan sobie życzy... pójdziemy na rękę... wszystko dla klienta... tak jest – meldował.

Daniel dokładnie wytarł telefon śnieżnobiałą chusteczką, którą wyjął z brustaszy, jakby obawiał się, że agent go czymś zarazi, i czynność ta pochłaniała go w takim stopniu, że wcale nie interesował się przebiegiem rozmowy.

– Co z kluczami? – upierał się Wolf.

Agent zawahał się.

– Ano – zwrócił się do dziewczyny. – Proszę sporządzić protokół odbioru i przesłać go natychmiast do akceptacji pana Antona.

Dziewczyna dygnęła i zniknęła w drzwiach. Wtedy Daniel podał agentowi czek, który właśnie skończył wypisywać. Mężczyzna odsunął się gwałtownie i wydawało się, że zacznie uciekać.

– Panowie, nie wolno mi! – bronił się słabo.

– Nikt nie musi o tym wiedzieć – oświadczył Daniel. – Przecież nie ma świadków.

– A jeśli w kieszeni ma pan dyktafon?

Daniel roześmiał się szczerze.

– Pan ma włączony?

– Wtedy sędziowie sporo dowiedzą się o stryżeniu wąsów – wtrącił się z uśmiechem Wolf. – Bądźmy poważni. Zależy nam, by Kapler nie dostał pisma do wtorku.

Agent zwrócił czek, jakby parzył go w palce.

– Nie ma się co bać – tonował Wolf. – Znamy Antona i wolimy policzyć krzesła, stoły i biurka, zanim je od niego kupimy.

– To był żart, że będziemy tu mieszkać – dodał Daniel. – Otwieramy filię nowej placówki.

– Żaden z moich dotychczasowych klientów nie żartował tyle co pan – warknął agent. – Nie muszą panowie liczyć stołów. Jest protokół zdawczo-odbiorczy. Zresztą mogę obiecać, że zrobię to osobiście, kiedy przywieziecie pieniądze.

Zawahał się, bo nagle wyobraził sobie, ile to będzie banknotów. Czy zamierzają je wieźć tirem?

– Chcemy sprawdzić energię tego miejsca – wypalił nagle Wolf i uniósł dłonie w przepaszającym geście. – Wstydziliśmy się o tym mówić. Pan się nie śmieje.

Agent natychmiast się rozpromienił. Zdawało się, że oddycha z ulgą, a kiedy znów się odezwał, jego głos był przylepnie miły.

– Och, to się zdarza bardzo często, kiedy ludzie kupują banki. Tyle osób przewinęło się przez ten lokal, a każdy zostawił swoją energię. Nie wszyscy pozytywną... Mamy zaprzyjaźnionego radiestetę. Ana służy numerem.

– Przejrzał nas pan. – Daniel roześmiał się. – Kolega ma fioła na punkcie cieków wodnych, więc zanim kupimy, musimy zbadać, czy ich tutaj nie ma. Na to trzeba czasu. Pan nas nie wyda. To taki kaprys ułomnego arystokraty.

Wskazał laskę Wolfa.

– Tak naprawdę to różdżka. No i musimy przywieźć faceta od feng shui. Carla, żona mojego współnika, nie darowałaby nam, gdybyśmy zaniedbali energię przodków.

– Właśnie – dodał Wolf i złożył czek, po czym wsadził agentowi do kieszonki na piersi.

Tym razem mężczyzna nie oponował, ale czuł się widać w obowiązku udawać uczciwego, bo powtarzał:

– Nie mogę tego przyjąć. Wystarczy mi to, co zapłacą panowie z prowizji.

– Za późno – uśmiechnął się ślepiec. – Idzie Ana.

– Skoro tak, proszę o podpisy. Wstrzymam się z wysłaniem do poniedziałku, jeśli klucze dostarczycie mi na biurko do dziesiątej.

– Jedenastej, człowieku – jęknął Daniel, rozciągając plecy. – Zlituj się po niedzieli.

Agent wepchnął swój czek głębiej do kieszeni i przystał na warunki.

– Niech i tak będzie. Żegnam.

– Dobrej zabawy z różdżką – dodała wesoło Ana, więc chwycił ją ciasno pod ramię i wyprowadził z budynku.

Kiedy zaczęła się awanturować, położył jej palec na ustach i zabrał, dopiero kiedy dotarli na parking.

– Wszystko nagrałem. – Wyjął z kieszeni marynarki staroświecki dyktafon. Podał go dziewczynie i dołożył czek z butonierki. – Zaniesiesz to panu dyrektorowi o jedenastej trzydzieści, kiedy dam sygnał. A potem pójdziesz ze stenogramem na policję. Ach, zapomniałem powiedzieć, że najpierw to spiszesz.

Dziewczyna przyglądała się agentowi bardzo uważnie.

– Skoro już teraz podejrzewasz, że to oszuści, dlaczego nie zawiadomisz policji?

– Zrobiłem to po ich pierwszej wizycie. – Pokazał jej kopię zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. – Dopóki nie dojdzie do transakcji, nie mają paragrafu. Dziś poszedłem drugi raz pod pretekstem skopiowania ich dokumentów, ale w komisariacie całkiem mnie olali. Dobrze, że udostępnił ksero. Mam numery ich paszportów, wszystko...

– I dałeś im klucze? Niemożliwe, żeby znali Kaplera.

– Z pewnością go znają, bo facet jest umoczony. Od czterech miesięcy pracuje w innym oddziale. Sprawdziłem przed spotkaniem.

– Dlaczego im nie powiedziałeś?

– Niech tą szajką zajmuje się policja. Nie zamierzam się narażać.

– A mnie możesz? – Przekrzywiła głowę. – Bo jestem nowa?

– Wykonujesz tylko swoje obowiązki.

– Co będzie, jeśli się mylisz? – spytała rezolutnie dziewczyna.

– Wtedy co najwyżej najemy się wstydu. – Agent wzruszył ramionami i rozwinął czek. – Nie, nie sędzę. Tu jest pół miliona napiwku. Żaden uczciwy biznesmen nie szasta tak pieniędzmi.

Zwinął dokument z powrotem w rulonik.

– Widziałam ich auto i kierowcę. Moim zdaniem to złodzieje. Warto by było nie spuszczać banku z oka przez cały weekend – zaproponowała sekretarka.

Agent wazył w myślach jej słowa.

– Nie będę tu kiblował – zdecydował. – Gdyby policja potraktowała mnie poważnie, może bym się przemógł. Wyślij dyrekcji stenogram ze spotkania i resztę dokumentów wraz z czekiem.

Dziewczyna spojrzała na zegarek.

– Nie sędzę, by odebrali to dzisiaj. Jest po dziewiętnastej.

– Trudno. Potrzebny nam dupochron. Jeśli w weekend coś by się tutaj działo, nie nasza wina.

– Mogę to komuś pokazać? – Ana bardzo wnikliwie przyjrzała się zdjęciu Daniela w dokumentach.

– Spodobał ci się?

– Wręcz przeciwnie. Mówię o wersji wąsatej. To było już jakiś czas temu.

– Nie mów, że go spotkałaś?

– Ja nie, ale znam kogoś, kogo mógł okraść ten Polak. Mira mówiła, że był ekscentrycznie ubrany i przedstawiał się jako arystokrata. Zawinął jej gotówkę i paczkę wurstu z lodówki. A wcześniej przeleciał. Podobno spotkali się w knajpie. Nie miał nawet marki na kawę. Zrobiła mu zdjęcie, była na policji. Wyśmiali ją, jak ciebie. Gdyby go dopadła, rozszarpałaby gnoja pazurami.

Agent spojrzał na asystentkę zniesmaczony.

– To chyba nie ta liga złodziei, ale jest czas, pokazuj, komu chcesz. W sumie chciałbym zobaczyć, jak ten polski ksiązę zwraca twojej kumpeli pęto kiełbasy.

– Tam ustawcie stoły. Tutaj będzie call center – dyrygował monterami Daniel.

Byli to głównie ludzie Carli, którzy na co dzień wieszali w jej galerii obrazy. Teraz mieli za zadanie w jedną noc odtworzyć oddział banku. Szarpali się z kolosalnymi kopiarkami, kiedy wszedł Nikolay z podświetlaną tablicą, na której wciąż widniały twarze pracowników miesiąca byłego Süddeutsche.

– O, cześć, Anton – krzyknął do niego Daniel, a reszta brygady wybuchnęła śmiechem. – Dzięki, że się zgodziłeś, cobyśmy tutaj trochę pobuszowali – dodał po rosyjsku.

Nikolay był wniebowzięty. Nie do wiary, ile satysfakcji dała mu ta telefoniczna rólka. Niestety, niedługo dane mu było cieszyć się uwagą obecnych, bo trzasnęły drzwi i za Nikolayem stanęła Carla pod rękę z Wolfem. Zaprowadziła męża do szklanego kubika i posadziła za biurkiem tak szerokim, że mogło należeć jedynie do prezesa.

– Hej, to moja lokalizacja. Zająłem ją pierwszy. – Daniel rzucił się w tamtą stronę, brutalnie rozpychając się między uwijającymi się robotnikami.

– Ty będziesz rzecznikiem prasowym. – Zatrzymała go w progu Carla. – Głównym menedżerem, udziałowcem, członkiem zarządu – kim chcesz, skarbie, ale zmywaj się z gabinetu prezesa. Igy pasuje tutaj najlepiej. Nie mogą się zorientować, że nie widzi.

– Dlaczego? – Daniel był zawiedziony. – Państwo Valmontowie wiedzą, że jest ślepy!

– Wszystko słyszę – huknął Wolf ze szklanego kubika, ale Daniel nie zwracał na niego uwagi.

Walczył o wymarzony czarny fotel na kółkach niczym lew, a postronni pękali ze śmiechu, bo tak naprawdę zawodził jak dzieciak.

– Przecież to ja miałem mieć bank!

– Właśnie dlatego nie możesz w nim pracować, idioto! – Carla miała dosyć godzenia tych dwóch. – Powitasz gości, będziesz konwersował z Jacksonem. Po przelaniu środków zabierzesz Francuzów na kolację. A my w tym czasie wszystko posprzątam.

– Zawiadomiłaś media? – odezwał się Wolf. – Przyjadą?

– Czy przyjadą? – roześmiała się Carla. – Będą wszyscy, nawet „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i „Bild”. Telewizje, radia, a choć twierdzą, że utrzymają rzecz w tajemnicy, to mam wieści, że plotka rozeszła się po mieście jak brzydki zapach. Dobrze, że gazety wychodzą dopiero w poniedziałek.

Daniel chwycił marynarkę. Rzucił Carli obrażone spojrzenie.

– Idę się zdrzemnąć. Jestem na nogach dwadzieścia kilka godzin.

– My też, synu – powiedział Wolf. – Nie pierdol.

– Ale wy nie będziecie musieli gadać z królem popu – odparował Daniel, znajdując wreszcie kolejny powód do sławy. – Sam mówiłeś, że trzeba się przygotować.

Wolf z Carłą z trudem tłumili śmiech. Nawet u Nikolaya Daniel dostrzegł podniesiony kącik ust.

– Chyba nie liczyłeś na prawdziwą audiencję? – kontynuował Wolf. – Myślałeś, że biały Murzyn zaśpiewa dla ciebie *Beat it*?

– Więc Jacksona nie będzie?

Teraz już wszyscy się zaśmiewali.

– Dureń z ciebie. Nie poradzilibyśmy sobie z ochroną, ich prawnikami. Jak to sobie wyobrażałeś?

Daniel nie znośli być upokarzany. Był już przy drzwiach. Kiedy wypadł na ulicę, przypomniał sobie, że nie ma dokumentów i lepiej by było nie ryzykować jazdy na włoskich kwitach Yanka, ale prawdę mówiąc, używając papierów na nazwisko von Hochberg, czuł się znacznie swobodniej niż na własnych, które wciąż leżały w policyjnym depozycie. Nie sądził, że szybko je odzyska. Wskoczył więc do czerwonego kabrio bez otwierania drzwi i uruchomił silnik. Nie zdążył ruszyć, bo w tym samym momencie zadzwonił telefon, a obok pojawiła się Carla. Skinął jej głową, zezwalając zająć miejsce obok siebie, i przyjął połączenie. Drugą ręką sprawnie manewrował kierownicą, agresywnie włączając się do ruchu.

– Pan Radziwiłł? – Daniel rozsiadł się wygodniej w fotelu, bo Carla masowała mu teraz plecy. – Trafił pan we właściwe miejsce. To nazwisko rodowe czy może uroczą koincydencją?

Zająknął się, bo masaż przesuwiał się coraz niżej. Pokiwał kobiecie palcem, zasłonił słuchawkę.

– Ty niegrzeczna.

Odchrząknął. Znów przybrał ton mędrca.

– Tak, wszystko mi przekazano. Pan Szaja uprzedzał. Co za niespodzianka! A jednak na pana miejscu nie mówiłbym o tajemnicach nazwiska postronnym. Po co komu wiedzieć, że to żarcik dziadka, skoro nazwisko jest nośne. Czemu nie dojechał pan na spotkanie w Warszawie? Rozumiem, dlatego nie używam aut starszych niż trzy lata. To samo dotyczy kobiet po dwudziestym roku życia.

Masaż gwałtownie przerwano. Daniel zrobił minę skarconego biedactwa. Carla stłumiła śmiech i ponownie przystąpiła do dzieła.

– Więc ma pan pieniądze i chciałby zainwestować. Ile?

Daniel zakrztusił się.

– Przepraszam, alergia mi doskwiera. To suma wystarczająca, ale w tej chwili nie może pan przystąpić do żadnego z funduszy. Chwilowo nie ma wolnych miejsc. Może za jakieś trzy, cztery miesiące coś dla pana znajdę.

Odsunął słuchawkę od ucha.

– Kolo chce mi oddać w administrowanie pięćdziesiąt cztery miliony guldenów holenderskich.

Carla pisnęła. Zaczęła machać rękoma i bezgłośnie krzyczeć: „Bierz, nie opieraj się!”.

– Niestety. – Daniel zrobił wyniosłą minę. – Moja decyzja jest nieodwołalna. Dziękuję za kontakt.

Rozłączył się.

– Dlaczego go spławiłeś? To astronomiczna suma!

– Niech czeka – oświadczył Daniel z wyższością. – Musi trochę powisieć na haku, żeby w pełni docenił swoją szansę.

– Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić rady Wolfa? – Carla przekrzywiła głowę. – Jak dotąd nie obrabował jeszcze nikogo poważnego. Żaden z jego genialnych planów nie wypalił. Taki jest cwany, a żyje z mojej pensji.

Daniel przyjrzał się kobiecie. Nie do końca zgadzał się z tym, co powiedziała. Chciał wyprowadzić ją z błędu i uświadomić, że Igy po prostu chowa przed nią środki, nie ujawnia, ile ukradł, a życie z jej pensji jest mu wygodne, lecz zmilczał. Wciąż jeszcze miał Wolfa za swojego mistrza, choć fakt, był na niego dzisiaj ostro wkurzony.

– Wiesz, że on się na nas mści? – Carla rzuciła się Danielowi w ramiona.
– Zamkniesz dach?

– Po co? Chyba wszyscy poza Igym wiedzą, że jesteśmy razem – odparł niechętnie, ale nacisnął włącznik. – To mniej więcej tak samo jak ze mną i tym bankiem. Dlaczego oddałaś mu moje miejsce? Nie znoszę, kiedy się ze mnie śmieją.

– Nie bądź dzieciak – zbeształa go. – Wolf dobrze to obmyślił i nie chce, żebyś się wtrącał, podburzał resztę.

– Jaką resztę? Nikolaya, Gertrud? Czy może twoich monterów? Na ich opinii wcale mi nie zależy – mruknął, choć było wręcz przeciwnie. Szydera roboli bolała go najbardziej. Poczuł się jak w szkole, w czasach kiedy nikt go nie akceptował, nawet Emilka. – Właśnie, gdzie jest Gertrud?

– Urabia państwa Valmontów.

– Już przyjechali?

Carla potwierdziła skinieniem głowy.

– Bardzo ważne jest, żeby nie przyszło im do głowy robić rekonesansu. Niedobrze będzie, jeśli zobaczą bank niegotowy.

– Skoro Michael nie przyjedzie, po co to wszystko?

– A kto ci powiedział, że go nie będzie? – Carla uśmiechnęła się figlarnie.

– Ja się zastrzelę! – zdenerwował się Daniel. – Wolf przecież przed chwilą o tym gadał. Nawet kierowca rechotał i twoi monterzy.

– Oni zawsze są w humorze. Zazdroszczę im tej umiejętności bycia tu i teraz – podchwyciła Carla, ale widząc minę Daniela, wróciła na ziemię: –

Nic się nie martw. Michael jest konieczny, by państwo Valmontowie wpłacili obiecaną prowizję. Natomiast wcale nie jest powiedziane, że musi być prawdziwy.

Niedziela była pochmurna i od rana mżyło, a przed malutkim bankiem w Kronbergu zebrał się spory tłum fotoreporterów. Nie minęła dziesiąta, gdy parking zatarasował wóz transmisyjny lokalnej telewizji. Dziennikarze szwendali się w tę i we w tę, podnieceni jak panna młoda na próbie generalnej weselnego tańca.

– Michael przyjechał! Przed wejściem do Plazy stoi opancerzony wóz wysadzany dżetami. Kto inny wynająłby taką landarę? – Plotkę powtarzano, aż urosła do rozmiarów dinozaura.

Reporterzy prześcigali się w fałszywych opowieściach, że widzieli króla popu, a ci, którym obiecano wywiad *exclusive*, ustawili się przy wejściu i nie wypuszczali z rąk włączonych mikrofonów.

– Panowie, to pomyłka. – Do dziennikarzy wyszedł Daniel. – Nie wiem, na co liczycie, ale to się nie zdarzy.

Jak na komendę wszyscy zaczęli robić Skalskiemu zdjęcia.

– Czy Michael Jackson przybył do Niemiec?

– Czy to prawda, że podróżuje incognito?

– Rozmawiał pan z nim?

– Jakie ma plany związane z naszym miastem?

– Czy park rozrywki ma zostać przeniesiony do Niemiec? Nie dogadał się z Polakami?

Dziennikarze zarzucili Daniela gradem pytań. On zaś szczerzył się do kamer i na żadne nie odpowiadał, ale paradoksalnie im wytrwalej unikał odpowiedzi, tym pewniejsi byli przedstawiciele mediów, że pogłoski są prawdziwe. Oliwy do ognia dołało przybycie włodarzy miasta i kilku polityków, którzy natychmiast zaczęli ścisnąć dłoń Polaka, obiecywać owocną współpracę, jeśli zostaną dopuszczeni do sekretnego interesu.

– Ależ nie ma o czym mówić – powtarzał Daniel pięknym niemieckim. – Jeśli państwo się nie schowają, król popu nie przyjedzie wcale. Bardzo prosimy o rozejście się.

Nikt go nie słuchał.

Kiedy dziki tłum gapiów taranował wejście do budynku, od zaplecza podjechała limuzyna, z której – jak potem powtarzano we wszystkich

mediach – wysiadł Jackson w swoim słynnym białym kombinezonie. Na twarzy miał maseczkę, na nosie czarne aviatory, a jego włosy skręcone w gęste loki bogato nasączono żelem. Fotografowie natychmiast rzucili się w tamtym kierunku. Było jednak za późno na zbliżenia. Tylko najbardziej agresywnym udało się sforsować ochronę i wykonać kilka ujęć z dużej odległości, które potem kupiły wszystkie agencje. Ponieważ gapie skupili się na gwiazdzie, srebrny mercedes, z którego wysiadła elegancka para Francuzów, podjechał niezauważony. Kobieta była dużo starsza od mężczyzny, miała jasne krótkie włosy i nosiła się jak paryżanka. Jej łysawy mąż miał na sobie biały frak. Po wyjściu z auta biegiem ruszyli do wejścia. Zanim fotografowie zdążyli okrążyć budynek, drzwi banku zamknęły się na głucho.

Tego samego wieczoru o wydarzeniu poinformowały wszystkie stacje radiowe i telewizyjne. Nawet rozgłośnie studenckie notowały zwiększoną słuchalność. Nieustannie pokazywano twarz Daniela von Hochberga, którego przedstawiano jako polskiego księcia i pełnomocnika gwiazdora. Agencje natychmiast zleciły poszukiwania danych o tym człowieku i płacono najwyższe stawki tym, którzy mogliby dostarczyć cennych informacji na portale plotkarskie. Niestety, nic o Hochbergu nie znaleziono. Skupiono się więc na tym, co mówił on sam przed wejściem: że jest brytyjskim finansistą, maklerem z certyfikatem FED oraz członkiem zarządu Lloyds Banku. A także o jego niesamowitych pieniądzach, którymi szastał na lewo i prawo, ponieważ przedstawiciele mediów po sześciu godzinach koczowania przed budynkiem zostali uraczeni moëtem serwowanym w kryształowych kieliszkach. Żaden nie został zwrócony, gdyż do rana nikt z eskorty króla popu nie opuścił budynku. A jeśli sądzić po odgłosach i głośniejszej muzyce – jak donosiły media, dominowały utwory z płyty *Thriller* – na zapleczu odbywał się prawdziwy bal.

Dopiero w poniedziałek, kiedy ukazały się gazety, agent nieruchomości, który udostępnił klucze Wolfowi i Danielowi – rozpoznał mężczyznę ze zdjęć. Z samego rana stawiał się w komisariacie wraz z czekiem i kompromitującym nagraniem, ale zanim policja przybyła na oględziny, budynek był pusty. Halę posprzątało i tylko w kątach poniewierały się kolorowe serpyntyny oraz puste butelki po szampanie.

Daniela obudził ból łokcia i przez chwilę miał wrażenie, że wszystkie wypadki ostatnich dni jedynie mu się przyśniły, on sam zaś wciąż leży na połówce w kuchni Wolfa. Po chwili dostrzegł na swojej piersi wypomadowane czarne loki i zidentyfikował przyczynę bólu ręki. W ramię wbijał mu się obcas podkutego buta, który jakimś cudem znajdował się na poduszce. Biały kombinezon do złudzenia przypominający ten, w którym król popu występował na scenie, zwisał smętnie z ramy łóżka, czarne awiatory były połamane. Daniel poruszył się, Carla cicho jęknęła i odwróciła się, ściskając poduszkę. Daniel miał wrażenie, że jego głowa zamieniła się w cysternę gruchoczących głązów. Podniósł się, spróbował wstać. Uznał jednak, że to ponad jego siły. Poleżał jeszcze kilka minut w ciszy, choć głązy gruchotały, jakby wzniecił lawinę. Nie mógł jednak ponownie zasnąć. W ustach miał smak starego buta naszpikowanego gwoździami, przeraźliwie chciało mu się pić. Zmusił się do przyjęcia pozycji wertykalnej i usiadł, starając się nie podnosić powiek, gdyż zdawało mu się, że światło wypali mu dziury w oczodołach. Nagle poczuł na sobie czyjś wzrok. Było to uczucie nieuzasadnione, sam nie wiedział, skąd się brało. Miał jednak wrażenie, że jest obserwowany. Ktoś był w pokoju. Postarał się uchylić jedno oko, a potem mężnie wyprostował kark i odwrócił się gwałtownie. Na krzesełku, jak zwykle nienagannie ubrany, z laseczką w dłoni, siedział Wolf. Melonik położył na kolanach i podrygiwał nim, ale tak, by go nie zrzucić.

– Igy? – wyszeptał Daniel. – Co ty tu robisz?

– Która godzina, skarbie? – wymruczała Carla.

A potem chyba zobaczyła męża, bo wrzasnęła rozziewając i zasłoniła się kołdrą aż po szyję.

– Śpij, kochanie – odezwał się łagodnie ślepiec. Zdjął okulary, potarł oczy. – Niepotrzebnie się zdradziłaś. Nie chciałem tego wiedzieć.

Zapadła cisza. Daniel wstał, ubierał się pośpiesznie.

– To nie jest to, co myślisz – miotał się. – Po prostu za dużo szampana. Nadmiar cygar. Mrowie wrażeń.

– Wszystko poszło wspaniale. – Wolf nie krył satysfakcji. – Należała się wam nagroda. Carlo, spisałaś się znakomicie, skarbie.

Daniel odwrócił się do kobiety. Położyła palec na ustach i kręciła rozpaczliwie głową.

– Nie musisz się wstydzić, żono – kontynuował łagodnie Wolf. – To twoje ciało i robisz z niego użytek wedle własnych potrzeb, co popieram. Bardzo mi przykro was budzić, gołąbki, ale musimy dokończyć rozpoczęte zadania. Trzeba obejrzeć dokumenty, zanim się je podpisze. Sam tego nie zrobię.

– Co ty chrzaniasz, Igy?

Daniel zapinał już koszulę, wkładał lakierki na bosą stopę, bo nie miał pojęcia, gdzie podziały się jego skarpetki. Damskich pończoch za to poniewierała się po podłodze cała fura. Miał ochotę dopytać, co się tutaj zdarzyło. Uznał jednak, że roztropniej będzie pomówić o tym z Wolfem w innych okolicznościach.

– Jakie dokumenty?

– Państwo Valmontowie są wielce radzi z przyjęcia i gotowi dokonać transferu. Za dwie godziny jadą na lotnisko. Czekają tylko na słynnego polskiego księcia, by przelać obiecane środki.

– Przecież wszystko załatwiliśmy. Transfery już poszły.

– Gdybyś nie hulał tak z tancerkami – Wolf skierował laskę na stos pończoch i frywolnej bielizny, a Daniela zmroziło, że to nie przypadek i Igy od początku wszystko widział, lecz dalsze słowa Niemca poraziły go bardziej – pamiętałbyś ostrzeżenie Konstantina, że umowy nie wolno parafować w stanie nieważkości. By miała choć pozór legalnej, ustaliłeś z Joanną i Jacques'em, że zrobicie to raniutko. Obawiam się, że państwo Valmontowie nie czują się lepiej niż wy, choć chyba nie bawili się aż tak świetnie.

Carla miała dość. Rzuciła kołdrę na podłogę i lekko się zataczając, pomaszerowała do łazienki.

– Kochanie, nie obrażaj się. Ubierz się ładnie i pojedziecie.

– Teraz? – zdziwił się Daniel, zerkając na zegarek. Odetchnął z ulgą, że nie zgubił breitlinga. – Jest siódma trzynaście.

– Na dziesiątą powinieneś dostarczyć agentowi nieruchomości klucze. No i wyjaśnić, że feng shui nie pozwala nam kupić tych siedemnastu

tysięcy metrów dawnego Süddeutsche. Tyle tam cieków wodnych, że pieniądze wypłyną nam z kont – zaśmiał się.

– Odeślę klucz pocztą. – Daniel machnął ręką. – Albo niech Nikolay wrzuci do skrzynki. Już do niego dzwonię.

– Nie – upierał się Wolf. – Agent zawiadomi dyrektora banku, a ten policję. Przypominam ci, że skopiował nasze dokumenty i wziął lewy czek na twoje nazwisko.

– Na von Hochberga. Może sobie szukać księcia i do Bożego Narodzenia – zaproponował Daniel. – Nie ukradliśmy banku, ścian nie zburzyliśmy. Co może nam zrobić? Potrąci za remont? Wystarczy, że przez jakiś czas będę omijał Kronberg.

Wolf nie odpowiedział. Wyjął z wewnętrznej kieszeni gazetę, jakiś papier i zawołał Carłę.

– Pan Thomas znów przekazał mi listę zakupów, kochanie.

Kobieta spojrzała na liścik, a potem przeniosła wzrok na kochanka. Oboje wiedzieli, co to jest. Były to ich ustalenia sprzed aresztowania Skalskiego oraz lista dokumentów, które Daniel kazał Carli zabrać i skopiować. Daniel tymczasem rozpostarł „Bild”. Na pierwszej stronie, obok agencyjnego zdjęcia Michaela Jacksona i całkiem świetnego tyłka Carli w kombinezonie, świeciła jego facjata.

– O kurwa – rzucił Daniel po polsku. A potem powtórzył wszystkie możliwe przekleństwa, jakie kiedykolwiek znał.

– Jesteś sławny, jak zawsze chciałeś – rzucił Wolf z przekąsem. – Kto czeka, ten się doczeka.

– Jaki miły człowiek z naszego dozorczy. – Carla natychmiast przyjęła stare zasady gry i Daniel już wiedział, po czyjej stronie stanęła. – Chciałbyś, żebym ci przeczytała nową listę zakupów, kochanie?

– Już sobie poradziłem, skarbusiu – odparł ze słodyczą Wolf, ale po jego słowach ciszę można było kroić nożem.

Daniel pozbierał swoje rzeczy, spakował je do nowej teczki od Gucciego. Był pewien, że musi opuścić ten pokój natychmiast. Nie po to, by dostarczyć klucz agentowi albo się tłumaczyć, ale by jak najszybciej dotrzeć do banku i sprawdzić, na ile Wolf zdążył go okraść.

Tymczasem mentor zagroził mu drogę. Wstał i opierając się jedną ręką o laskę, drugą zaś na półnagiej żonie, dał się zaprowadzić do kuchni, a następnie wykopał spomiędzy taboretów starą torbę Daniela.

– Nie zapomnij rodowego dziedzictwa, von Hochberg.

Daniel zacisnął usta ze złości. Ciskał błyskawice to na Wolfa, to na Carlę. Kobieta nie była w stanie tego wytrzymać, pochyliła głowę.

– Już byś nie udawał! Widzisz! – krzyknął w desperacji Daniel. – Twoja ślepotą to zwykła ściema.

Zerwał Wolfowi okulary z nosa i natychmiast tego pożałował. Tęczówki były nieruchome jak oczy lalki. Martwota tego spojrzenia aż przenikała grozą.

– Mówiłeś coś?

Daniel nie wiedział, jak się zachować.

– Gdzie czekają Francuzi? – wydukał. – I czy poza kluczem mam załatwić coś jeszcze, Igy?

– Bank – rzekł Wolf, jakby wbijał szpilę. – Zależy mi na tym, żebyś dopilnował, aby państwo Valmontowie dotrzymali słowa. Carlo, kochanie, zmieniłem zdanie. Pojedziesz ze mną. Poczekamy na Daniela przed wejściem. Jestem pewien, że twój przyjaciel chciałby to zrobić w pierwszej kolejności, bo sądzi pewnie, że ograбіłem go z tak błahego powodu jak małżeńska zazdrość.

Aresztowania Daniela Skalskiego vel Dany'ego von Hochberga dokonano trzy godziny później, dokładnie o dziesiątej piętnaście, kiedy Polak w swoim najlepszym, choć wymiętym garniturze przybył do banku, by złożyć umowę z inwestorami parku rozrywki Michaela Jacksona i przy okazji sprawdzić stan swoich kont.

– Mogę prosić o dokument tożsamości? – odezwał się kasjer, jakby nigdy wcześniej Skalskiego nie oglądał.

Daniel zawahał się, gdyż przewidywał, jak sprawa się potoczy. Mimo to podał urzędnikowi watykański paszport.

– Dany von Hochberg, urodzony w Krakowie, dyplomata Liberii – odczytał bankier. – Wszystko się zgadza.

Wstał, odwrócił się do kserokopiarki.

– Pozwoli pan, że skopiuję do akt?

W tamtej chwili Daniel wprost nie wierzył we własne szczęście. Czyżby dostawał paranoi? Trzeba przestać pić, zdecydował. To wszystko przez pijaństwo, cygara i dziewczyny. I żadnych romansów z żonami kolegów! Praca to praca, a bzykanie tylko na boku. Wróci do domu, do Emilki i się ustatkuje. Nabawił się. Starczy.

– Proszę nie marnować papieru – usłyszał zza pleców damski głos. Dałby głowę, że gdzieś słyszał ten sopranik. – Mamy już kopie.

Odwrócił się odruchowo. Stała przed nim asystentka agenta nieruchomości z banku w Kronbergu i on sam we własnej osobie. Tym razem dziewczyna miała na sobie mundur, przy pasku pałkę, kaburę z bronią, a w rękach kajdanki, którymi się zabawiała. Facet był ubrany jak poprzednio. Danielowi zdawało się, że ma *déjà vu*. Czyżby przesypiał weekendy w garniturze?

– Pozwoli pan, że założymy te dwie śliczne bransoletki. – Policjantka uśmiechnęła się i sprawnie zakuła Daniela, zanim ten zdążył zaprotestować, a wokół zaroilo się od gliniarzy. – Ostatnim razem sąd uwierzył w pana niekaralność, nieposzlakowaną opinię i małą szkodliwość czynu. Tym razem mamy na ciebie więcej, Skalski.

Pomachała polskimi dokumentami Daniela.

– Fałszowanie dokumentów, posługiwanie się fałszywymi dokumentami, fałszowanie czeków, próba wręczenia łapówki, wyłudzenie budynku Süddeutsche Banku, narażenie na szkodę właścicieli banku – wymieniała na jednym oddechu. – To wszystko naprawdę nic. Defraudacja dziesięciu milionów marek oraz pranie brudnych pieniędzy. Uratować cię od ćwiartki może tylko wydanie kompanów.

– Nie rozumiem po niemiecku. – Chwycił się sprawdzonej metody Daniel i natychmiast przeszedł na angielski. – Domagam się tłumacza i adwokata.

– Ten ostatni przyda ci się z pewnością. – Kobieta płynnie przeszła na mowę ojczystą Daniela. Mówiła z akcentem, ale prawidłowo. – Jeśli zaś chodzi o zarzuty, wszystko ci wyjaśnię. Moja mama była Polką i wiesz co, masz tupet. Trzeba ci to przyznać. A jeśli chodzi o moją kumpelę, kojarzysz, taka mała kelnerka od kiełbasy, którą jej wyzarłeś, od niej mam dla ciebie prezent.

Zanim dokończyła, Daniel leżał już na podłodze, nad głową kręciły mu się gwiazdki, a z jego spuchniętego nosa na białą koszulę buchała krew.

– Podejrzany stawiał opór podczas aresztowania – oznajmiła dziewczyna zgromadzonym gliniarzom i bankierom, a potem strzepnęła dłoń, jakby przyłgnęły do niej smarki. – Wszyscy państwo widzieli. Ledwie się przed nim obroniłam.

SZEŚĆ

**JEŚLI ZNALAZŁEŚ SIĘ W DZIURZE,
PRZESTAŃ KOPAĆ**

Okolice Villi Portesina, Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Yanek wysiadł z samochodu i wyszedł poszukać ustronnego miejsca w parku, żeby się odlać. Jechał przez dwadzieścia sześć godzin bez nocowania. Zatrzymał się tylko raz, by zatankować i zjeść kanapkę. Już dawno o niej zapomniał, w brzuchu mu burczało, jakby mieszkał w nim jakiś obcy. Dałby wszystko za łyk gorącego napoju i prysznic, ale wiedział, że na takie głupoty czasu nie ma. Musiał jak najszybciej dostać się do posiadłości. Od detektywa z Polski otrzymał zestaw wirtualnych mappek, a noc przed wyjazdem spędził na oglądaniu terenu w Mapach Google. W rzeczywistości wszystko wyglądało na znacznie trudniejsze. Pluł sobie teraz w brodę, że nie zabrał Nikolaya. Jak tylko Małecki zadzwoni, zażąda wsparcia i wezwie na pomoc Rosjanina, planował. Oczywiście rodzice dziewczyny będą musieli za wszystko zapłacić.

Zapinał szczęśliwie rozporek, kiedy rozdzwoniła się komórka. Rozejrzał się wokół, ale las otaczający willę wydawał się opustoszały. Detektyw zapewniał, że w rezydencji nie ma gajowego ani żadnych strażników. Właściciel ponoć już rok temu wystawił nieruchomość na sprzedaż. Choć obniżył cenę do piętnastu milionów euro, chętny się nie znalazł.

– Wszedłeś? – Lara nie bawiła się w powitania.

Yanek nigdy nie widział tej jędzysy, ale dokładnie wyobraził sobie, jak wygląda. Po pierwsze, babochłop z kaloryferem na brzuchu, niewiele niższa od niego, czyli żyrafa. Na pewno była kiedyś piłkarką albo trenowała boks. Dopiero kiedy kariera sportowa jej nie poszła, trafiła pod skrzydła polskiego detektywa. Po drugie, obstawiał kilka lat w służbach, ale za niesubordynację szybko ją wylali. Od początku jej nie lubił. Lara nie mówiła po niemiecku, jej angielski był toporny i w tym drobnym detalu widział jedyne podobieństwo do siebie. Oboje starali się skracać rozmowy do minimum, co Yankowi pasowało, bo nie znośił pracować z babami, a jeśli na dodatek miał im podlegać, wychodził z niego mizogin. Zgodził się na tę robotę tylko ze względu na Śpiewaka. No i miał ochotę dokopać Danielowi. Skalskiego szukali teraz wszyscy, więc było raczej mało prawdopodobne, że ujdzie z życiem. Kiedy już będzie miał w rękę

gotówkę, Yanek chciał być pierwszy w rozliczeniu. Co stanie się z Polakiem, wcale go nie obchodziło.

– Prawie – mruknął.

– Przecież widzę, że szczasz sobie po krzakach.

Yanek rozejrzał się zaskoczony. Czy dziewczyna czai się gdzieś w zagajniku? Ale wokół nie było nikogo. Drzewa przyjemnie szumiały, pogoda była cudowna, jak to we Włoszech wczesną wiosną.

– Droga, którą przyjechałeś, jest ślepa. Tutaj ogrodzenie jest szczelne. Zostaw wóz i przeskocz ogrodzenie. Park po drugiej stronie jest tak samo rozległy.

– Hej, nie jestem jakimś Batmanem!

– Właśnie widzę, co bardzo nas martwi – fuknęła. – Szaja polecał cię jako zawodowca, ale z ciebie tylko mokra cipa.

– Spierdalaj – rzucił do słuchawki Yanek i rozłączył się.

Poszedł jednak obejrzyć płot. Był to wysoki na cztery metry, zakończony kolcami rząd prostych metalowych żerdzi. Yanek wyjął z kieszeni wykrywacz profili i przewodów i stwierdził, że żerdzie nie są podłączone do prądu. Bez odpowiedniego sprzętu nie widział szansy na pokonanie przeszkody. Wolałby działać pod osłoną nocy. Słońce już zaszło, ale wciąż było wystarczająco widno, by ktoś spostrzegł, jak forsuje ogrodzenie. Aż podskoczył, kiedy telefon znów zawibrował w kieszeni.

– Czego?

– Lara mówi, że są problemy. – Śpiewak był zniecierpliwiony. – Poręczyliśmy za ciebie. Ja i pastor. Nie daj dupy, chłopcze.

Yanek wykrzywił usta w pogardliwym grymasie.

– Suka naskarżyła na mnie? Nie wierzę.

– Nie jesteście wrogami. Masz z Larą współpracować. To nasza wspólna sprawa. Kibicujemy ci z Xawerym.

Yanek chciał coś odburknąć, ale powstrzymał się. Śpiewak działał na niego motywująco. Wciąż miał jego zaliczkę.

– Stoję pod płotem. Nie jest pod prądem.

– Ale będzie, gnoju – znów usłyszał głos tej jędzy. – Jak tylko się ściemni, zamyka się obieg.

– Czym mnie obserwujesz?

– Niczym, idioto – westchnęła ciężko, jakby wyjaśniała dziecku, jak działa parasol. – Masz telefon, a w nim internet. To mi wystarczy. Nie widziałam cię, jak szczałeś, ale słyszałam.

– O której włącza się obieg?

– Zamyka się. – Znów przyjęła ton przemądrzałej nauczycielki. – Według instytutu meteorologii w Brescii noc zapada w tym miejscu za dwadzieścia trzy minuty.

– Czyli jeśli nie zdążę, mogę zacząć rano.

– Musisz z nim pogadać dzisiaj – natarł Śpiewak. – Zleceniodawcy chcą odzyskać dziewczynę jak najszybciej.

– To znaczy, że mam nocować po tamtej stronie? Bo skoro wejdem, nie wrócę do świtu.

– Tak wychodzi.

Dlaczego w głosie Lary Yanek wyczuł satysfakcję?

– Może się zamienimy? – odpysknął. I dodał po niemiecku: – Zobaczmy, czy na czterech metrach z ostrzem nie namoknie ci cipka. *Doofe Kuh*[\[4\]](#).

– Dwadzieścia minut – warknęła. – Ja mam swoją robotę, ty swoją. Od mojej cipki się odchrzań. Gdybym znała tego gościa, nie potrzebowalibyśmy ciebie.

– Co z wozem?

– Nikt go nie ruszy – zapewniła. – Będę miała na niego oko.

– Telefon biorę ze sobą.

– Dziewiętnaście. Ruszaj się, filozofie.

Yanek chciał jeszcze się odciąć, ale w ich przekomarzanekę wbił się Śpiewak.

– Dasz radę?

– Mówiłem, że powinniśmy jechać we dwóch.

Znow Lara, tym razem wściekła:

– Rodzice dziewczyny zapłacili za usługę. Jeśli potrzebujesz pomocników, trzeba było sobie ich dobrać.

– Yanek, to nie jest żadna ryzykowna misja. – Śpiewak starał się załagodzić sprzeczkę. Dobrze znał Yanka i wiedział, że jeśli się zbiesi, nie przejdzie przez barykadę wcale. – Tam jest nieuzbrojony człowiek z dziewczyną. Nikt więcej. Kiedy młoda zaśnie, pogadasz z Danielem. Jedyny problem to przeskoczenie płotu. Oceń sytuację realnie, bo drugiej szansy może nie być.

– *Scheisse!* Co się wam tak śpieszy? – wkurzył się wreszcie Yanek. – Jedna noc jej nie zbawi. Nie sądzę, żeby ta mała tak bardzo chciała do domu. Umiera ktoś czy co?

Po drugiej stronie panowała grobowa cisza. Yanek odsunął aparat od ucha i sprawdził, czy połączenie wciąż trwa.

– Robisz czy rezygnujesz? – padło nagle po drugiej stronie. Tym razem Śpiewak nie był już ugodowy. – Mamy osobę rezerwową, ale myślałem, że chcesz zarobić i to tobie zależy, żeby spotkać się z Danielem w cztery oczy. Nie znamy planów tego skurwysyna. Sprężaj się, bo nie dostaniesz doli i nawet za wachę ci nie oddam. Będziesz miał wakacje za free, na własne, kurwa, życzenie.

– Odezwę się, jak będę ich widział – rzucił Yanek do słuchawki i wyciszył dźwięk oraz wibracje.

Wrócił do auta, chwycił swój plecak ze sprzętem, doczepił karimatę i włożył dodatkowy polar. Z drzwi auta wyjął kilka paczek papierosów. Skoro ma głodować, to przynajmniej przy pełnym zadymieniu.

Siedzieli na tarasie wpatrzeni w Lago di Garda i nawet z tej odległości Yanek widział, że ślicznotka nie jest w typie Daniela. Była młodziutka i bardzo chuda, co podkreślała jeszcze jej obcisła świecąca sukienka. Zwykle Skalski wybierał sobie panny dobrze odżywione, z imponującym biustem i nietryskające gejzerami intelektu. Yanek przyglądał się z zazdrością, jak Natasza przytula się do Skalskiego i co jakiś czas wybucha śmiechem. Z pewnością nie przyjechała tutaj wbrew własnej woli. Daniel,

jak to miał w zwyczaju, perorował z emfazą. Dziewczę wpatrywało się w niego, jakby był bóstwem. Na stole stały półmiski z potrawami, wiaderko z szampanem i wysokie kieliszki, które Skalski regularnie uzupełniał. Wyglądali na zakochanych.

– Gołąbki w klatce – napisał Larze.

Posłała mu uniesiony kciuk. Schował komórkę do kieszeni i postanowił się rozejrzeć. Musiał znaleźć jakieś lokum na nocleg. Poza tym nie mógł patrzeć na taką górę niedostępnego żarcia. Ominął ogromny basen, przebiegł truchtem wzdłuż kortów. Rzucił okiem na ciąg niewielkich budynków na wzgórzu, a ponieważ wyglądały na opuszczone, zdecydował się udać w tamtym kierunku. Minął maleńką kapliczkę zamkniętą na kłódkę i wdrapał się na wzniesienie. Parka na tarasie była tak zajęta sobą, że ryzyko, iż go zauważą, wydawało się bliskie zeru. Rezydencja położona była bajkowo. Gdzie jest ochrona? – zastanawiał się.

– Ktoś tego pilnuje? – wystukał do Lary.

– Ty mi powiedz – odpisała.

– *Dumme Muschi*[5] – przeklął i schował telefon.

Miał dość tej larwy. W niczym nie jest pomocna. Przecinakiem wyłamał skobel pierwszych drzwi z brzegu, które okazały się wejściem do hangaru. Wewnątrz na podnośniku stała potrzaskana łódź. Uśmiechnął się, rozprostował plecy. Znalazł właśnie dobrą kajutę na nocleg. Nagle poczuł się cholernie zmęczony. Kiedy przymykał wrota, coś zawyło i wybrzmiała syrena. Zacisnął usta, rozejrzał się, gdzie może znajdować się skrzynka, i zaczął zrywać wszystkie przewody, jakie udało mu się dostrzec. Hałas jednak narastał. Po chwili był nie do zniesienia, a do tego zerwał się wiatr. Wtedy usłyszał charakterystyczny gwizd. Wychylił się z budynku. Na specjalnej platformie siadał helikopter z oznaczeniami wypisanymi cyrylicą. Daniel z małolatą czekali na gości jak królewska para. Ze śmigłowca wyturlała się korpulentna kobieta w futrze w towarzystwie wysokiego żigolaka. Yanek uznał, że czas zrobić sobie przerwę. Wyglądało na to, że dzisiejszego wieczoru nie będzie szansy na zaskoczenie Polaka. Trzeba poczekać do nocy. Wlazł do chybotzącej się łodzi i nawet nie kłopotał się rozkładaniem karimaty, gdyż wewnątrz było wykończone luksusowo. Kiedy zasypiał na łóżku wodnym w kajucie głównej, myślał

tylko o tym, że kiedy zakończy sprawę z Danielem, zainwestuje w porządną krypę.

– Załatwienie kredytu na dwadzieścia milionów to kwestia trzech dni, jeśli ma się odpowiednie kontakty i ten kawałek papieru. – Daniel położył na stole czek i uśmiechnął się triumfująco do królowej słoniny w Moskwie, bo tak złośliwcy przezywali Jelizawietę Marczukową. – Tak się składa, że jestem w posiadaniu obydwóch.

Na stole poza czekiem na sto dwadzieścia pięć milionów leżał certyfikat FED Rezerwy Federalnej Stanów Zjednoczonych wystawiony na Dany'ego von Hochberga.

– Gdyby bank miał wątpliwości, jestem gotów powierzyć im też ten skarb.

Kobieta wciąż była sceptyczna. Zanim się odezwała, porozumiała się wzrokiem ze swoim młodym towarzyszem, którego przedstawiła jako pełnomocnika. Dalej mówił już Vasyl. Głos miał nosowy, jednostajny. Choć rozmowa dotąd toczyła się po rosyjsku, płynnie przeszedł na angielski.

– Nie może pan wjechać do Genewy, ma pan też szlaban na Niemcy i Monako. Jak pan otworzy konta? Wymagana jest obecność osobista i poświadczenie odciskiem palca.

Daniel objął dziewczynę.

– Natasza choćby jutro pojedzie do notariusza i może ruszać w trasę.

Jelizawieta obrzuciła młódkę nienawistnym spojrzeniem. Sama była chodzącą reklamą hodowli trzody chlewnej. Jej ciało latami rozsmakowywało się w bekonie i karkówce, dlatego z nieufnością traktowała ludzi chudych. Wyjątkiem byli jedynie przystojni prawnicy w garniturach od Yves'a Saint Laurenta.

– Da się zrobić dla niej pełnomocnictwo? – zwróciła się do Vasyla.

Obejrzał dokładnie dokumenty, sfotografował je, a potem wolno skinął głową, więc kontynuowała:

– Nie trzeba nigdzie jeździć. Vasyl ma wszystko ze sobą. Załatwimy to od razu. Pani stan cywilny?

Daniel spłoszył się. Jelizawieta go zaskoczyła. Stupor trwał jednak tylko krótką chwilę. Chwytał dłoń Nataszy i pocałował z namaszczeniem.

– To moja żona.

W kaprawych oczach Jelizawiety zalśniły chytre ogniki. Nie dała się nabrać.

– I dotąd nie ma pełnomocnictw?

– Mamy rozdzielność majątkową – odparła szybko wzorowym rosyjskim Natasza, co zaskoczyło biznesmenkę. Dotąd sądziła, że Polka nic nie rozumie. – Podatki.

A potem spojrzała na Daniela, tak jak dzieci patrzą na rodziców, gdy proszą o pozwolenie na niebezpieczną zabawę.

– Chętnie oddam swoje odciski palców, jeśli przysłużą się sprawie.

– Wie pani, jaka to odpowiedzialność? – upewniła się Jelizawieta. – Nie mam czasu na cyrki.

– Daniel dotąd starał się mnie chronić. Niepotrzebnie. Jestem pewna, że wystarczy kilka wskazówek i będę gotowa spotkać się z panem Noellem Burlingiem, bo jeśli pieniądze wpłyną, trzeba je będzie od razu przekierować do Szwajcarii.

Daniel wypiął pierś z dumy, jakby sam wypowiedział tę kwestię.

– Koszty podróży i manipulacyjne ponoszą państwo – dodał, zamykając temat. – Prowizję pobierzemy przy realizacji. Informację o postępach transakcji przesyłamy na bieżąco.

Otworzył oszronione wiaderko i wyjął puchary ustrojone w zielone owoce.

– Lody pistacjowe z Fragoli – rozmarzył się, ale nie spróbował. – Marzyłem o nich prawie cztery lata. To takie miłe, Liz, że zadałaś sobie trud, by stanąć na chwilę w Portoferraio.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Milion czterysta?

Jelizawieta wzięła największy puchar. Kiedy tylko gelato powędrowało do jej ust, twarz kobiety złagodniała, oczy przymknęły się z rozkoszy, a usta rozciągnęły w błogim uśmiechu.

Daniel nie poruszył się.

– Już poniosłam koszty przyjazdu – poskarżyła się Rosjanka. – Mam problemy z kręgosłupem, czekam na operację. Nie wolno mi podróżować. To trzeba odliczyć.

– Milion trzysta – zgodził się niechętnie Daniel.

– Milion – rzuciła Jelizawieta takim tonem, jakby negocjacje nagle ją znużyły. – Pod warunkiem że zaczniecie od jutra. Przekształcenie mojej fabryki finalizuje się za miesiąc, a każdy dzień zwłoki to milionowe straty. Wspólnicy odradzali mi transakcje z tobą, więc musi być promocja. Sporo ryzykuję, podejmując tę decyzję bez konsultacji z radą nadzorczą. W każdej chwili możemy wrócić do ludzi Gary’ego Frencha. Oni też mają gwarancję na ponad sto milionów.

– Dobra, skoro nalegasz, niech będzie milion. – Daniel wzruszył ramionami i podał gościom kieliszki, które napełnił szampanem. – Bierzesz mnie na ambicję. Taka promocja tylko dla ciebie, królowo, więc proszę, nie rozgłaszaj, że dumpuję ceny. Za spotkanie.

Vasyl odmówił wypicia trunku. Z pancерnej kasy po brzegi wypełnionej dolarami wyjął notebook i przenośną drukarkę. Rozejrzał się po tarasie.

– Potrzebuję gniazdka – rzekł, patrząc na Nataszę. – I pani danych, księżno von Hochberg.

Dziewczyna wstała, lekko się zataczając, co przypisała działaniu alkoholu. Udała, że wygładza sukienkę, a potem szczerze otuliła się szalem. Czuła, że z każdym krokiem odzyskuje równowagę, choć wciąż kręciło się jej w głowie. W pewnym momencie zachwiała się i omal nie upadła, ale prawnik złapał ją wpół i podał ramię.

– Zaprowadzę panią.

Kiedy odchodzili w głąb domu, Natasza słyszała głos Daniela, który chwalił futro Jelizawiey i ponawiał zaproszenie, by przenocowali w ich rezydencji. Wiedziała, że goście odlecą swoim śmigłowcem, jak tylko dostaną dokumenty oraz kopie czeku i certyfikatu. Tak samo jak była pewna, że ona sama z Danielem też wkrótce opuszczą Villę, choć tak bardzo chciałaby jeszcze się nią nacieszyć. Ciekawa była, czy w bagażniku

samochodu Daniela zobaczy kasetkę królowej słoniny. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała takiej ilości pieniędzy.

– Długo są państwo małżeństwem? – zagał z uprzejmości Wasyl, kiedy weszli do domu.

Natasza zastanawiała się, gdzie może być gabinet, ale ostatecznie posadziła prawnika w salonie. Porozkładał na blacie poduszczeni z tuszem i po chwili był już gotów do pobrania jej odcisków palców.

– Cztery – odparła z niewinną miną, kiedy kolejno przykładął jej palce do gąbki.

Zmierzył ją od stóp do głów. Na jego grubo ciosanej twarzy trudno było wyczytać, co knuje.

– Cztery lata?

– No przecież, że nie dni – zaśmiała się, a on jej zawtórował z grzeczności.

– Musiała być pani niepełnoletnia, kiedy się pobieraliście.

– Uciekłam z domu. – Wzruszyła ramionami i zachichotała.

– Dobrze mówi pani po rosyjsku.

– Moja mama jest Ukrainką. Ma na imię Zoriana.

– To musi być miłość. – Wasyl rozciągnął twarz w nieszczerym uśmiechu. – U nas w Rosji mawia się, że wiek, waga, narodowość i uroda nie mają znaczenia, by kogoś pokochać. Za to zasoby są bardzo istotne. To wartość obiektywna człowieka i nierzadko bywa decydująca.

– No cóż, jacht i skrzynka brylantów bardzo pomogły w podjęciu decyzji. – Natasza uśmiechnęła się przekornie. Chwyła chusteczkę, przetarła dłonie z tuszu.

Rosjanin natychmiast stracił zainteresowanie rozmową i zajął się przygotowywaniem dokumentów. Był tak pochłonięty studiowaniem swoich zapisków, że nie zauważył, kiedy Natasza osunęła się na sofę i straciła przytomność.

Więzienie w Darmstadt, Niemcy, lipiec 1999

– To jak to było z tymi czekami, Skalski?

– Z jakimi czekami?

– Fałszywymi. Książeczką TSB, HBSN, Rabobanku, Lloydsa. W sumie zrealizowałeś trzydzieści sześć czeków. Naprawdę klawa robota.

– Ja? – Daniel udał zdziwienie i natychmiast się nastroszył. Nie znosił tego więziennego ubrania. Nie miał swojego zegarka, sygnetu, torby ze skóry z linii Ferrari. Czuł się jak goły. Zero oręza. – Tyle razy pani tłumaczyłem, Ano, że nic o tym nie wiedziałem.

– O tym też?

Policjantka położyła przed Danielem czek, który przed weekendem wypisał agentowi w budynku Süddeutsche Banku.

– Przyznałem się przecież.

– Jedyne do posługiwania się fałszywymi dokumentami. A co z fałszywką przekazaną niejakiemu Ottonowi Klemkemu? Co z resztą lewizny?

– Ten dokument również dostałem od Gertrud Schmetterling. Wziąłem je do realizacji w dobrej wierze. Była mi winna pieniądze i to spore. Odzyskałem dla niej czterysta pięćdziesiąt milionów funtów. Nie mogła zapłacić gotówką, więc zgodziłem się na чеки. Sądziłem, że skoro ktoś dysponuje taką forszą, forma płatności ma mniejsze znaczenie. Przedstawiła się jako zamożna spadkobierczyni fortuny po mężu, Garym Frenchu. To twórca Solgevaru. Musiałaś o nim słyszeć, skoro robisz w przestępstwach gospodarczych.

Ana zignorowała przytyk. Zapamiętała nazwę i zamierzała ją sprawdzić po przesłuchaniu.

– Mówiłeś wczoraj, że prowadziła biznesy w Wielkiej Brytanii. Nie było mowy o żadnym spadku.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Nie wiem, skąd kobieta w jej wieku może mieć takie pieniądze. Na mój rozum wytłumaczenia są dwa: albo

działa w organizacji męża, albo po nim dziedziczy. Mówiła o Garym zawsze w czasie przeszłym. Myślałem, że facet nie żyje. Odkąd zajmuję się funduszami hedge, w kółko słyszę o jego wyczynach. To wielka figura, jak dla cywili Rockefeller albo Buffett. Spotykam się wyłącznie z takimi ludźmi. Nie miałem podstaw, by jej nie wierzyć.

– Dostyc tego bajdurzenia, Daniel. – Policjantka straciła cierpliwość. – Wiesz, ile ci grozi, fryku[6], jeśli nie pójdziesz na współpracę? Dwanaście lat. – Wskazała więzienny drelich i kajdanki na przegubach aresztowanego. – Chcesz tak właśnie je spędzić?

– Staram się współpracować. Mówię wszystko, co wiem.

– Byliśmy w mieszkaniu tej kobiety. Gertrud mieszka z matką i malutkim dzieckiem w Essen. We trójkę zajmują lokal socjalny wielkości tej celi. To niemożliwe, żeby osoba, o której mówisz, dobrowolnie zgadzała się na takie poniżenie. Ona nie ma nawet ubezpieczenia zdrowotnego, nie płaci podatków. Jej matka sprząta u ludzi na czarno. Historia zatrudnienia samej Gertrud też nie mówi o niej nic dobrego. Poza etatem kelnerki w nocnym barze i trzema sezonami w kasynie w Baden-Baden nie ma żadnych osiągnięć. Wiesz, że była notowana za nierząd?

Daniel pozostał niewzruszony.

– To jeszcze o niczym nie świadczy, Ano – odrzekł bardzo spokojnie, jakby uświadamiał policjantkę, jak działa świat. – Znałem kilka call girls. Wszystkie miały brylantowe kolie i takie auta, że ty i twój parszywy kolega z agencji, który mnie wydał, balibyście się o nich pomarzyć.

– Sam podpisałeś cyrograf. – Policjantka znów przesunęła czek w kierunku Daniela. – Nikt cię nie wydał, ćwoku.

– Nie chciałem nikogo obrazić, ale takie są fakty – natychmiast spuścił z tonu. – Ich życie odmieniało się w jednej chwili, kiedy wychodziły za milionerów. Weźmy taką Barbarę Piasecką-Johnson. Kim była? Sprzątaczką, na dodatek bardzo kiepską. Nie nadawała się nawet do pracy w kuchni. Kiedy przyjechała do Stanów, nie znała języka. Szczególnie atrakcyjna też nie była. Młody to i szczer ładny. A życie spędziła, kupując dzieła sztuki i budując realne zamki.

– To twój ideał? – zakpiła policjantka.

– Po pierwsze, nie jestem kobietą. Po drugie, nie muszę się puszczać, żeby zdobyć trochę forsy.

– A czym jest to, co robisz? Myślisz, że mniej się kurwisz, kiedy kolportujesz lewe papiery na zlecenie gangu? Liczysz, że pomogą ci kompani z szajki? To oni cię w to wpakowali. Zrobili z ciebie kozła ofiarnego. Byłam na twoich kontaktach. Tam nie ma już nic, Danielu. Ani grosza. A było całkiem sporo.

Ana umilkła. Przyglądała się minie podejrzanego. Nie znalazła jednak na jego twarzy skruchy ani cienia wstydu. Zachowywał się tak, jakby mówiła o kimś obcym.

– Często pracuję z takimi pieniędzmi – wrócił do przerwane go wątku, jakby obraźliwe słowa na jego temat nie padły. – Nie będę przecież rozliczał ludzi, jak zgromadzili fortuny. Zajmuję się inwestowaniem ich pieniędzy, nie rozgrzeszaniem z win.

Ana odpuściła brnięcie w wyrzuty sumienia. Ten człowiek go nie posiadał.

– Podsumujmy. Czeki dawała ci Gertrud. Yanek, jej brat, je produkował. Puszczałeś je w obieg przez firmę Klemkego i Frolicha. Wolf był waszym mózgiem. To zresztą ciekawe, bo facet jest niewidomy. Jak oceniał wartość dostarczanej makulatury?

– Żona mu wszystko relacjonowała.

– Twoja kochanka Carla? Wiesz, że to ona zadzwoniła do nas i podała numer placówki, w której będziesz?

Daniel zacisnął usta. Nie odpowiedział.

– Okay, wiemy, że wcześniej próbowała cię ostrzec. Tak było, choć z jakiegoś powodu nie chcesz jej pomawiać. Niech ci będzie. A może wciąż masz nadzieję, że wyciągnie cię z pudła? – Ana podniosła dłonie na znak zgody i kontynuowała: – Dlaczego nagle zacząłeś wyłudzać na swój rachunek? To nie było roztropne.

– Donald Trump mi kiedyś powiedział: dopóki będziesz pracował na innych, nie zostanie ci nic poza pensją – zaczął Skalski z rozmachem, jakby stał na scenie, a za jego plecami wyświetlały się slajdy z osiągnięciami.

Ana przyglądała mu się z niesmakiem.

– Twój kolega Trump? – syknęła. – Imponujące.

Daniel nie dał się zbić z pantałyku.

– Nie chciałem pensji. Całe życie z pracy własnych rąk.

Nagle przerwał. Zwiesił głowę. Kiedy ją podniósł, z oczu pociekły mu łzy. Policjantka nie mogła uwierzyć w to, co słyszy:

– Byłem głupi. Dałem się wykorzystać.

– I zrobiłeś spory rachunek, Skalski – prychnęła z pogardą. – Teraz za to popisowo bekniesz. Chyba że zaczniesz mówić prawdę.

– Podłączcie mnie do wariografu! Zróbcie konfrontację! – łkał Daniel. – Zobaczymy, kto tutaj kłamie.

– Wszystkiego się doczekasz. W sądzie – zapewniła go Ana. – Na czekach jest twoje nazwisko. Fałszywe.

– Zmusili mnie.

– Biegły z zakresu pisma potwierdził zgodność. Leżysz. Odwiesimy ci starą sprawę i wydalimy do polskiego pierdła. Słyszałam, że wciąż macie tam okropne warunki. Aha, i nigdy już nie wjedziesz do Republiki Federalnej Niemiec. Zadbam o to.

– Jeśli dasz mi dobrą ofertę, pomogę ci rozbić tę szajkę.

Daniel podniósł głowę. Na jego twarzy nie było już śladu łez, zamiast nich gościł chytry uśmiech.

– W końcu gadasz z sensem.

– Ale muszę mieć telewizor, książki i normalne jedzenie.

– Najpierw towar, później zapłata.

– Bez zaliczki nie puszczam farby. – Daniel wyszczerzył się triumfująco.

– Chcę mieć pewność, że jesteś na tyle mocna, żebym chciał z tobą pracować.

Ana wstała, pozbierała swoje papiery, schowała długopis do kieszeni na piersi.

– Wiesz co, cwany Polaczku, spierdalaj. Mam całkowicie gdzieś ciebie i twoje potrzeby. Współpracujesz albo zdychaj. Byłam twoją ostatnią szansą, ale widzę, że nie potrafisz jej docenić. Nie masz nic, rozumiesz?

Ograbili cię. Nie stać cię nawet na adwokata. Gwarantuję ci, że będziesz miał mnóstwo czasu, żeby zastanawiać się, kto cię pogrążył: ślepiec, kurwa, jej brat alfons czy tych dwóch paserów. Może nauczy cię to pokory, bo widzę, że w dupie ci się poprzewracało od chwilowego dobrobytu. Bardzo się postaraliście, żeby zgarnąć tę forszę, ale ja ją znajdę.

A potem zastukała w metalowe drzwi, by klawisze zabrali aresztanta.

Mülheim, Niemcy, lipiec 1999

Otto Klemke siedział na sedesie w swojej prowizorycznej toalecie i wsłuchiwał się w cieknącą instalację. Oczywiście wyobraźni widział już rachunek za wodę, jaki przyjdzie w przyszłym miesiącu, ale nie miały siły wstać i zamknąć zaworów. Płakał.

Rozbrzmiał dzwonek w drzwiach zwiastujący, że ktoś wszedł do antykwariatu. Nikolaya za ladą nie było. Zniknął z miasta, jak tylko gliny chwyciły Skalskiego. Razem z utargiem z ostatniego miesiąca, bo Otto niefrasobliwie podał mu wszystkie kody do kasy pancерnej. W szufladzie na precjoza Otto znalazł tylko cyrkonie, którą Rosjanin dostał od Polaka. Otto jeszcze miesiąc temu dałby sobie uciąć dłoń, że kamień jest prawdziwy, choć teraz niczego nie był już pewien poza tym, że Daniel to zwykły oszust, nikt więcej. Nazywał się Skalski, pochodził z małej miejsciny na wschodzie Polski, a dokumenty na nazwisko von Hochberg zamówił u Yanka, który oczywiście też zapadł się pod ziemię.

– Dzieńdoberek – padło z oddali. Nie był to jednak ten entuzjastyczny okrzyk szwagra, którym Dieter witał się z Ottonem od lat. – Wyłaź, bo cię okradną. Wiem, gdzie jesteś.

W głosie Dietera zamiast tradycyjnej kpiny był jedynie smutek i rezygnacja. Otto postarał się wziąć w garść. Nie chciał, by przyjaciel widział go w takim stanie. Odkręcił delikatnie kurek, nabrał odrobinę wody na dłoń i spróbował obmyć smarki z twarzy. W tej przestrzeni przypominało to ekwilibrystykę w skrzyni jarmarcznego iluzjonisty, więc udało mu się strącić mydelniczkę. Zleciała z umywalki z hukiem.

– Przyznaj, że dłużej wytrzymałem bez ruchu.

Drzwi toalety otworzyły się. Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy i Otto znów się poddał; zwiesił ramiona, z trudem powstrzymywał łkanie.

– Aż tak źle nie jest – pocieszył go Dieter. – Wciąż żyjemy.

– A kto umarł? – wychrypiął Otto.

– Jeszcze nikt.

– Sam widzisz.

– To tylko pieniądze – zaczął Dieter, ale umilkł.

– Wolałbym już nie żyć.

– Nie mów tak. Znów coś zarobimy. Będzie jak zwykle.

Szwagier usiadł na podłodze po turecku, nie zważając na walające się wszędzie śmieci i papiery. Uśmiechnął się. Otto mimowolnie wykrzywił wargi.

– Przynajmniej masz nowe zęby. Aż miło popatrzeć.

– Zawsze coś. – Dieter położył przed stopami Ottona swoją starą torbę i zaczął w niej grzebać. Widząc markotną minę szwagra, zaprzeczył gwałtownie. – Nie mam dziś nic do sprzedania. Przyniosłem tylko to.

Na ziemi leżała papierowa torba po tureckim jedzeniu na wynos. Otto zauważył, że jest zatłuszczona i rozerwana z boku. Wystawały z niej zgniecione banknoty.

– Zastawiłem warsztat.

Otto wpatrywał się chwilę w pakunek, a potem zaczął głośno lamentować. Dieter poderwał się i tulił szwagra jak dziecko, ale nie był w stanie go uspokoić.

– Zacniemy od nowa. I tak nie lubiłem tej roboty – powtarzał, ale im dłużej mówił, głos łamał mu się coraz bardziej, aż wreszcie ucichł. Kiedy odezwał się ponownie, Otto wyczuł gniew. – Kochałem to i byłem w tym dobry. Ale założę nowy zakład. Może wulkanizacja? Mniej sprzętu trzeba i w lepszym miejscu. Jak tylko się odkujemy.

– Źle zrobiłeś.

Wtedy Dieter zobaczył kabel związany w pętlę. Wisiał na przełączniku zaworu. Przeszedł go dreszcz grozy, ale nie dał po sobie nic poznać. Wstał, podszedł do ściany z przełącznikami, dyskretnie zdjął przewód i schował go w dłoni.

– A więc dlatego tak cieknie w tym kiblu. Masz, chłopie, rozregulowane zawory.

Otto widział, co Dieter robi, ale nie reagował. Dopiero po dłuższej chwili znów uderzył w lament.

– I to spieprzyłem. Nie umiem podjąć tak prostej decyzji.

Dieter wyciągnął rękę, podał szwagrowi. Pomógł mu wstać, a potem siłą usadził go na jego krzesło szefa. Następnie wrócił po siatkę z pieniędzmi.

– To nic nie pomoże – powtarzał Otto jak zdarta płyta. – Nie spłacimy tego długu.

Dieter wysypał pieniądze na biurko.

– Zajmij się liczeniem. Muszę wiedzieć, czy mnie nie oszukali.

– I co zrobisz? – fuknął Otto. – Dlaczego nie sprawdziłeś na miejscu?

Dieter uśmiechnął się wręcz radośnie.

– Będę się czuł lepiej – zapewnił.

– A jeśli jest mniej, niż mówili?

– To gorzej.

– Sprytne.

– Cieszę się, że czujesz się lepiej.

– Wcale! – burknął szwagier i znów zmarkotniał. – Trzeba było pisać umowę na mnie. Zabiłbym się, a ty w spokoju klepałbyś te swoje maszyny. Damm mógłby nam skoczyć.

Dieter spojrzał na szwagra.

– Gdybyś płacił podatki i legalnie prowadził zakład, moglibyśmy tak zrobić. Teraz już pozamiatane. Umowa jest na mnie. Mam dziewięćdziesiąt tysięcy marek do zapłaty. Przyniosłem tysiąc pięćset, to ile jeszcze zostało?

– Więcej, niż kiedykolwiek zarobiliśmy w życiu, Diet. Trzeba było tej umowy nie podpisywać.

– Ale podpisałem.

Otto szybko porachował pieniądze.

– Brakuje dwudziestu marek.

– Musiałem sobie poprawić humor falafelami. Wyszły cztery.

– Za dwadzieścia marek? Gdzieś ty jadł?!

– U Turka w Essen. Gertrud tam mieszka. Trochę pogadaliśmy.

– I co? – W głosie Ottona pojawił się cień nadziei. – Urobi tego manipulantą? A może Yanek zabiłby Damma? – rozmarzył się. – Bo nic

innego nas nie uratuje. Dlaczego Nikolay uciekł, kiedy potrzebuję go najbardziej?! Mógł chociaż zostawić mi spluwę. Strzeliłbym sobie w łeb, a wcześniej poszedł i sprzedał kulkę notariuszowi oraz ślepakowi. – Przerwał. – Co powiedziała Schmetterling? Pomoże ci?

Dieter pokręcił głową.

– Sama jest w opałach. Byli u niej w domu, grozili, że odwieszą stare grzeszki. Daniel zrzucił wszystko na nią. Carlę i Wolfa oszczędził. O Dammie też nie wspominał, ale bankierów wydał, w tym Antona Kaplera i tego okularnika z Kronbergu. Yanek jest ugotowany. Dlatego wszyscy zniknęli.

Siedzieli długo w milczeniu.

– On przyjdzie. Znajdzie nas.

– Notariusz?

– Nie, zbawiciel – nachmurzył się Otto. Z tym marsem na czole i ustami wygiętymi w podkowę prawie przypominał siebie sprzed spotkania ze Skalskim. – Choć wołałbym już diabła, który chciałby moją duszę w zamian za tę brakującą kasę, której nie mam. Oddałbym ją z ochotą.

– Nie mów tak.

– Przyjdzie – powtórzył Otto. – Dzwonił, że po pierwszą ratę zgłosi się jeszcze dzisiaj.

Dieter spojrzał na zegarek.

– Chyba nie dotrzymał słowa. Już po robocie.

– Wie, gdzie mieszkam. I nie przyjdzie z pistoletem. To prawnik. Załatwi nas w białych rękawiczkach. Na miękko. Sądem.

– Dlaczego nie służyłem matki, kiedy kazała się uczyć? Gdybym był prawnikiem... – Zamyślił się Dieter.

– Ale nie jesteś.

– Słuchaj, musi być jakiś sposób.

– Mogę jeszcze pójść siedzieć – rzucił opryskliwie Otto, a potem nagle się rozpromienił. – Słuchaj, to jest myśl. Ty nie masz warsztatu, ja nie mam firmy. Jak zamierzają wyegzekwować od nas dług? Oficjalnie nie mamy nic.

Dieter wpatrywał się w szwagra oniemiały. Nie odzywał się, czekał na ciąg dalszy. Otto miał wrażenie, że w głowie Dietera przeskakują iskry, tak bardzo był skupiony.

– Będziemy uprzejmi. Postaramy się odwlekać termin zapłaty, a kiedy zrobi się gorąco, weźmiemy prawnika i pozwolimy się osądzić. Niech walczą po swojemu. Umowa jest lichwiarska. Tylko trzeba to udowodnić.

– Dobra! – Dieter klasnął w dłonie, bo poczuł, że znów wstępuje w niego dawny optymizm. – Na razie dostanie to, co przyniosłem, i na chwilę się uspokoi, a my w tym czasie znajdziemy godnego go śmiałka!

– Nie! – zaprotestował Otto. – Nie damy temu skurwielowi ani grosza. Był w zмовie ze Skalskim. Widziałeś jego dom i te dwie młode kelnerki?

Dieter kręcił głową.

– Bo miałeś oczy w tyłku Gertrud. Damm z Polakiem powinni nam zapłacić. Wszyscy są do przodu. Tylko my jesteśmy stratni.

– Dobrze, że zrobiłem sobie zęby.

– Nawet ortodonta zarobił! – porykiwał Otto. Był coraz bardziej wściekły, ale czuł, że to mu dobrze robi. – Zemsta! O tym teraz marzę.

– Co ty mówisz?

– Pokaż mi ten kwit, który podpisaliśmy.

– Ty go masz. – Dieter wskazał na dywan z papierów. – Gdzieś tutaj pewnie będzie. Znów sprzątałeś?

– Pedant się znalazł.

Rzucili się na podłogę i zaczęli grzebać w porozrzucanych kartkach.

– Mam! – Otto znalazł pierwszą stronę. – Niestety, są nasze nazwiska. I adresy domowe!

– Czy nie tak wygląda każda umowa?

– Zasadniczo – przyznał Otto, lecz z animuszem zabrał się do dalszych poszukiwań.

Kiedy mieli w rękach pozostałe szesnaście stron, zaczęli czytać.

– Rozumiesz coś z tego? Bo ja ni chuja – cmokał Dieter. Oglądał dokument z obu stron, jakby liczył, że odkryje jakieś obrazki. – Nie widzę

mojego podpisu. Twojego zresztą też.

Otto wpatrywał się w szwagra, jakby oznajmiał cud, ale zaraz zmarkotniał.

– To nasz egzemplarz. Podpis Damma jest, czyli umowa jest ważna. Ja podpisywałem tamtą wersję. Pamiętam, że podał mi takie drogie pióro.

Dieter siedział zamyślony, jakby głowił się nad jakąś filozoficzną kwestią.

– Ja nie pamiętam – odezwał się wreszcie.

– Jak to?

– Była golonka, wódka i bałem się uszkodzić to pióro. Narysowałem tylko krzyżyk.

– Krzyżyk?

– No wiesz, żeby wiedzieć, gdzie w razie czego się podpisać, jakby naciskał. I tego już nie pamiętam, czy było coś dalej.

– Pieprzona polska wódka – jęknął Otto. – Chory byłem przez dwa dni. Do banku z tym skurwysynem jechałem ledwo ciepły.

– Ja też – potwierdził Dieter i pogrążył się we wspomnieniu. – Że o kac-kupie nie wspomnę.

– Skup się. Czy to możliwe, że poza krzyżykiem nie postawiłeś tam nic więcej?

– Może to był taki większy ptaszek, nie krzyżyk, cholera wie... Rozumiesz, taki, jaki robię, kiedy odhaczam wykonane roboty na liście. Mam w tym wprawę.

– Ptaszek? – Otto poderwał się z krzesła i obłapił szwagra ramionami, jakby miał urodziny. – A więc tylko ja podpisałem! Tylko ja jestem debilem! I tylko ja pójdę siedzieć! Jesteśmy uratowani!

Dieter nie mógł zrozumieć, dlaczego Otto cieszy się z tego jak dziecko. Inna sprawa, że gdyby on wygarnął szwagrowi głupotę, obraza majestatu trwałaby pół miesiąca albo i dłużej, więc się nie odzywał.

– Nie zostawię cię z tym – zapewnił honorowo.

Otto nie słuchał. Pozbierał pieniądze z powrotem do torby, ale po namyśle wyjął z szuflady nowiutką reklamówkę z logotypem swojej dawnej

firmy i równo poskładał banknoty, zabezpieczył recepturkami.

– Idź, odkup swój warsztat.

– Nigdzie nie idę – upierał się Dieter. – Ostro się targowałem i nie cofam raz podjętych decyzji. Powinieneś o tym wiedzieć.

– Dobrze – rozpromienił się Otto. – Bardzo dobrze. Kupimy ci nową budę. Tutaj zrobimy wulkanizację. I tak nikt nie potrzebuje węgierskich lalek z porcelany.

– Trzy lata temu dobrze się sprzedawały – oburzył się Dieter, bo to on przyniósł je na handel. – Nie wiem, co cię napadło. Chcesz się zabić, płaczesz jak baba, a potem nagle mała radość. Masz okres, bierzesz hormony? Byłbyś łaskaw mi wyjaśnić?

– Co tutaj wyjaśniać? – Otto nabrał powietrza. – Jesteś czysty, bracie. Nikt się do ciebie nie przypieprzy. Mowy nie ma.

– A ty?

– Ja? – Złotnik zamyślił się. – Wyjeżdżam na wczasy. Skoro mam być przestępcą, będę nim pełną gębą. A potem zgłoszę się do prokuratora, żeby mnie jak najszybciej zamknął. Ale najpierw znajdę sobie kobietę. Młodą i ładną. Jak twoja Gertrud.

– Nie jest z niej już młódka – przyznał niechętnie Dieter. – Choć mi to pasuje.

– Mam pięćdziesiąt siedem lat. Też młodszy nie będę. I dziecko sobie jeszcze zrobię. W życiu nie czułem się bardziej wolny. Damm to wspaniały człowiek. Chętnie bym go teraz uściskał. Zaczynam nowe życie, Diet!

– Dziecko? A niby z kim? Kto by chciał mieć z tobą bachora? – usłyszeli damski głos i obaj się skulili.

– Harriet? – upewnił się Otto szeptem. – Co ona robi?

Dieter nic nie odpowiedział, bo schował się już w łazience.

– Uważaj na mydelniczkę – pouczył szwagra Otto. – Lepiej od razu postaw na podłodze.

– Wszystko słyszę. Zacząłeś gadać do siebie, stary?

– Dzień dobry, Harriet! Co słychać? – Otto z całej siły oparł się plecami o drzwi łazienki. – Jesteś zdrowa?

Do pomieszczenia wkroczyła potężna rumiana blondynka w opasce z apaszki na głowie. Na jej widok Otto zbladł, a ręce zaczęły mu się trząść jak podczas ataku febry.

– A zdrowa. Jak koń wyścigowy.

– Miło słyszeć – bąknął Otto. – I widzieć.

– Weź ten kwiatek i mnie przeproś. – Harriet wskazała sztuczną chryzantemę w wazoniku na biurku Ottona.

Otto natychmiast wykonał polecenie.

– Wybacz, skarbie. Tak sobie tylko fantazjowałem. Wypity jestem.

– Nie umiesz kłamać. – Kobieta machnęła potężnym ramieniem i spuściła skromnie powieki. – Ale przyjmuję.

Zapadła cisza. Otto łapczywie chwycił powietrze. Oboje wpatrywali się w przykurzoną cmentarną ozdobę, którą Harriet trzymała wciąż w dłoni.

– Słuchaj, jakaś lafirynda z policji gospodarczej była dziś u mnie. Prosiła o kontakt z tobą. Co znów nawywijaliście z moim wyrodnym braciszkiem?

Położyła na stole wizytówkę z logo policji we Frankfurcie nad Menem, na której długopisem dopisano numer komórki. Otto odczytał: komisarz Ana Bauer. Na odwrocie kartonika widniało jeszcze jedno nazwisko „dr Schlosser” oraz telefon stacjonarny i numer pagera. Ktoś nabazgrał mazakiem wielkimi kulfonami: PROKURATURA WOJEWÓDZKA, SZEFE WYDZIAŁU.

– Z nieba mi spadasz, kochana.

– Kochana? To musi być grubsza afera. Podróbki czy włam nie poszedł? Nie zamierzam znów za was płacić!

– A kto mówi o płaceniu, gąsko?

Harriet dostrzegła worek z pieniędzmi.

– Obrabowaliście jakąś pocztę?

– Twój brat sprzedał firmę.

– Rekwiruję. – Schowała go do własnej torby. – Będę wam wydzielala na codzienne potrzeby. – I na jednym oddechu krzyknęła w stronę łazienki: – Wyłaż, Diet!

Szarpnęła drzwi toalety. Dieter na jej widok rozciągnął usta w przepaszającym grymasie.

– Tak, wreszcie się wam udało. Zęby pierwsza klasa, braciszku. I schudłeś chyba z dziesięć kilo.

Otto dopiero teraz to spostrzegł.

– Piętnaście! – Dieter radował się jak dziecko, które daje się wyciągnąć z kryjówki zwabione na słodkiego lizaka. Napiął biceps. Otto brał się już za głowę, nie mógł na to patrzeć. – Biegam i zacząłem znów pakować. Tak samo się jakoś porobiło.

– *O Scheisse*, jakiś ty przystojny – piała z zachwyty Harriet. A potem naganą zwróciła się do Ottona: – Też byś wziął przykład z chłopaka. Trochę pracy i znów wygląda jak młody bóg. Co też miłość robi z człowieka!

– Miłość? – stękał Otto.

Jakimś cudem chryzantema znów była w jego dłoniach i wywijał nią nerwowo, aż popękały druty. Zreflektował się, że żona dostrzeże jego niepokój, i rzucił kwiatek na biurko.

– Myślisz, że ja nic nie wiem? – Harriet podparła się pod boki. – Co więcej, pierwsza od ciebie zapoznałam tę Gertrud. Klasa babka. Szkoda tylko, że wdowa, ale w naszym wieku nie ma co przebierać.

Nagle przerwała i postukała w wizytówkę policjantki.

– A ta gliniara też całkiem do rzeczy, tylko młoda, więc się nie napalaj. Uprzedziła, że jeśli sami się zgłosicie i będziecie współpracować, pomoże w waszej sprawie. Wreszcie żaden kryminalny od włamów, chłopcy, ale prawdziwa szycha z pezetów! Zaimponowałeś mi, mężu, nie powiem.

– Jesteśmy w separacji – jęknął przerażony Otto i spojrzał błagalnie na szwagra, jakby ten miał jakieś ukryte moce. – Siódmy rok.

– Jeść przecież musicie. I nie myśl, że z inną pójdziesz ci lepiej, Otti. Na to przecież nie pozwolę.

– Dopóki masz torebkę pełną naszych marek.

– Ech, lubię takie kieszonkowe. – Harriet złożyła usta w ciup, a potem roześmiała się tak serdecznie, aż biust wielkości melonów kanaryjskich

podrygiwał jej na boki, a Otto miał ochotę uciekać. – Przecież nie przyjdzie im do głowy szukać was u mnie, gołąbki. Wszak to oficjalnie terytorium wroga. Chodźcie na obiad. No, no, no! Dziewięć ton złota arabskiego szejka. Całe miasto gada o waszym przekręcie.

– Dopiero teraz leżymy – mruknął do szwagra Otto, kiedy posłusznie szli za Harriet, która kroczyła triumfująco, zamykając kolejne drzwi. – Podaj mi mój kabel.

– Podzielimy się nim – zgodził się z przyjacielem Dieter.

Wrocław, Polska, sierpień 1999

– Szalowe, prezesie – powtórzył po raz kolejny Okrasa. – Totalny wypas, jak mawia moja wnuczka. Jeeeej.

– Prawda? – ucieszył się Leonard i z lubością włożył półbuty na stopy. – Mięciutka skóra gada, ręcznie szyte, prosto z Portugalii. Trzeba o nie nieco zadbać, a posłużą lata. I nie mów do mnie prezesie, jestem tylko prokurentem Grajbudu. Gdyby Broniek to słyszał, byłoby mu przykro.

Zaskakująco zwinnie podskoczył do sterty papierowych toreb z nadrukami, które leżały na środku gabinetu, i z jednej z nich wydobył welurowe pudło z przyklejoną doń wielką kokardą.

– Mam tu coś dla ciebie. Za twoją pracę i przyjaźń.

– Dla mnie? – W oczach Okrasa zalśniły łzy. – Szefie, ja od dwudziestu lat nie dostałem prezentu.

– Urodzin, imienin nie obchodzisz? Okrasa, to się musi zmienić!

– Sam jeden mieszkam. Znajomych nie mam – bąknął Okrasa, wciąż trzymając pudełko w dłoniach, jakby sam gest Leonarda starczył mu za wszystkie okazje.

– No już, otwórz! Nie ma na co czekać.

– Ale ja nie mam dziś urodzin.

– A kiedy masz? – zainteresował się Leonard.

– Dwunastego maja. – Okrasa był już rumiany jak pączek i nie czekając dłużej, zerwał kokardę, otworzył wieczko. – Fajka! Marzyłem o takiej.

– Wiedziałem – ucieszył się profesor. – To będzie za ubiegły rok. A na ten mam coś lepszego.

Sięgnął po pokrowiec z ubraniami, wyszarpnął z niego elegancki garnitur.

– Nie będziesz przecież jeździł ze mną w ciuchach szofera Langusty.

Okrasa natychmiast pobiegł do łazienki. Nie minęły trzy minuty, a był z powrotem: na górze odziany w nową koszulę i marynarkę, z szyi zwisał mu kolorowy krawat z metką; dolna część jego ciała zaś pozostała

w bokserkach. Energicznie machał kluczykami. I to było ostatnie, co Leonard zobaczył, bo zasłonił oczy.

– Co to jest? – usłyszał jąkanie Okrasy.

– Klucze – odparł radośnie Leonard, pilnując, by dłonie dobrze przylegały do czoła oraz oczodołów. – Do twojego nowego wozu, Okrasa. Stoi pod domem.

– To jaguar, profesorze!

– No przecież, że nie pantera! – Leonard pękał ze śmiechu. – Musimy się w świecie finansjery dobrze prezentować.

– Szefie, ale jak to?

– Zwyczajnie. Mam kasę, to się nią dzielę. A teraz włóż spodnie, zanim przyjdzie Irmina z tortem, bo jeszcze coś sobie pomyśli.

– Z tortem?

– Długo jeszcze będziesz powtarzał za mną jak papuga? Dziś dwunasty maja, twoje urodziny.

– Ale mamy sierpień – jęczał Okrasa.

– Dwunasty i już – zdenerwował się Leonard. – To zarządzenie prezesa, jeśli potrzebujesz, by prezent nabrał wagi urzędowej. Wykonać natychmiast!

– Prezesie, ja nie wiem, jak dziękować.

– Wystarczy, że włożysz spodnie! – huknął Radziwiłł. – Nie będę tutaj siedział po ciemaku do następnej wiosny!

– Robi się. – Okrasa pobiegł z powrotem do łazienki.

W tym czasie Leonard uprzątnął bałagan w bibliotece. Przyjrzał się opustoszałym półkom, aż zebrało mu się na sentymenty, a potem znów usiadł w fotelu i obejrzał swoje nowe buty. Tego Okrasie nie powiedział, ale kupił podobnych szesnaście par. Wszystkie stare plastiki wyrzucił. Jeszcze tydzień temu nie mógł uwierzyć we własne szczęście i dopiero kiedy obdarował starego druha, czuł się prawdziwie usatysfakcjonowany.

– Więc do tego służą pieniądze – rozpromienił się. – Do dawania ludziom dobra.

Kiedy bank ARN przyjął akcje HEF NV i wypłacił mu gotówkę, Leonard pierwsze, co zrobił, to spłacił wszystkie długi. Potem poszedł do banku i zakomunikował kasjerce, że chce się pozbyć kredytu na dom.

– Ile chciałby pan nadpłacić?

– Wszystko – rzekł i poczuł się jak mistrz świata.

Wracał do domu, lekko unosząc się nad ziemią, jakby u ramion wyrosły mu skrzydła. Zaszedł więc do sklepu z winami i zainwestował w skrzynkę albariño dla Irminy, a potem zadzwonił do zaprzyjaźnionego jubilera, by przywiózł trochę złota i brylantów. Nie mógł się zdecydować, więc wziął całą paletę kolczyków i bransoletek. Uznał, że to nie tylko piękny prezent dla żony, ale też najsolidniejsza lokata kapitału. Potem podjechał do sklepu elektronicznego i wymienił sobie komputer na najnowszy, wybrał telewizor, gramofon, głośniki, amplituner oraz wcale nie najdroższy wzmacniacz, za to taki, o jakim marzył pół życia, ale zawsze były inne wydatki. Do tego wszystkiego dorzucił też odkurzacz i thermomix. Po zakupach wciąż miał na koncie dwadzieścia pięć milionów i siedemset tysięcy dolarów. Zdawało mu się, że do końca swojego życia nie zdoła wydać tych pieniędzy. Czuł jednak pewien niepokój, jakiego dotąd nigdy nie doświadczał: tę gotówkę trzeba będzie zabezpieczyć, jakoś sensownie zainwestować. Nie mógł przecież wszystkiego wydać na buty, telewizory, auta czy brylanty. Nawet dzieci wiedzą, że pieniądz robi pieniądz. I to go zmartwiło. Uświadomił sobie, że znów będzie zmuszony stykać się z takimi cwaniakami jak Langusta. Wiedział, że to nieuniknione.

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek. Leonard podszedł do biurka, na którym leżał jego nowiutki telefon komórkowy. Nie poznał jeszcze wszystkich jego funkcji. Wiedział tylko, że należy wcisnąć zieloną słuchawkę. Zrobił to, po czym nadał głosowi właściwy tembr.

– Pan Radziwiłł? Rozmawialiśmy ostatnio o pana inwestycji.

– Doprawdy? – Leonard zastanawiał się długo, czy powinien znać tego człowieka i o co chodzi.

Już miał się rozłączyć, kiedy mężczyzna po drugiej stronie nareszcie się przedstawił:

– Daniel Skalski z tej strony. Miał pan papiery HEF NV. Chciał je pan złożyć w jednym z europejskich banków. Byłem wtedy za granicą.

– Już nie potrzebuję pana usług – uciał wyniośle Leonard. – Poradziłem sobie.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– I przyjęto je?

– A dlaczego mieliby ich nie przyjąć? – obruszył się Radziwiłł.

Wciąż głowił się, z kim rozmawia. Nie mógł sobie przypomnieć twarzy tego faceta, ale głupio mu było spytać.

– W którym banku?

– To chyba nie pański interes.

– Dzwonię z propozycją. – Osoba po drugiej stronie aparatu nie odpuszczała. – Jest do zrealizowania czek na dwa miliony marek. Biznesmen z Niemiec gwarantuje sowitą zapłatę od ręki. Pan Szaja z pewnością wspominał panu o moich możliwościach. Pracuję z funduszami hedge, głównie na rynku brytyjskim i amerykańskim.

– Ach, to pan. – Leonard skojarzył wreszcie, z kim rozmawia. – A dlaczego ten Niemiec sam tego nie zrobi?

– Nie ma zarejestrowanej działalności gospodarczej.

– Jego strata.

– Zysk jest gwarantowany, a profit z tej transakcji niewspółmierny do ryzyka. Wystarczy złożyć czek w banku – trajkotał Daniel. W tle Leonard słyszał jakieś pohukiwania i trzask metalu. Zastanawiał się, skąd dzwoni ten facet. Z dworca kolejowego? – Pan Szaja przekaże panu odpowiednie dokumenty. Upoważniłem go. Niestety, obecnie znów przebywam za granicą.

Leonard poczuł w sobie nagle moce, których nigdy wcześniej nie posiadał.

– Skoro czek wart jest dwa miliony, a prowizja znaczna, to znaczy, że jest lewy albo bez pokrycia – rzucił od niechcienia, lecz stanowczo. Było to bardzo przyjemne. – Nie zajmuję się takimi interesami. Miałem pana za poważnego inwestora.

Rozłączył się. W tym momencie do gabinetu wkroczyła Irmina obwieszona złotem jak choinka, a obok niej maszerował dumny jak paw

Okrasa – tym razem w spodniach i z fajką w kąciku ust.

Leonard uśmiechnął się na ten widok i gromko zaintonował *Sto lat*.

Więzienie w Darmstadt, Niemcy, sierpień 1999

Daniel odwiesił słuchawkę i odwrócił się do stojących w kolejce więźniów, którzy spoglądali na niego spode łba, bo zajął aparat na dobre pół godziny. Rozmowa z Leonardem miała być przedostatnia. W planach miał jeszcze telefon do Wolfa, jeśli oczywiście Carla zgodzi się podać mu słuchawkę, ale chwilowo stracił ochotę na potyczkę. Nic nie układało się tak, jak tego oczekiwał. Wyjął bezużyteczną kartę, bo zostało na niej tylko kilka impulsów i nie starczy na rozmowę międzynarodową z domem, ale po namyśle zostawił ją w automacie, po czym odszedł krokiem wszechwładnego, pogwizdując wesoło. Zanim jednak wszedł do celi po listy do wysłania, zajrzał do biblioteki. Od tygodnia pożyczał kasety z korespondencyjnym kursem niemieckiego dla obcokrajowców, a wczoraj powinien przyjść nowy numer o wyjazdach zagranicznych. Danielowi bardzo na nim zależało. Poza tym psycholog więzienny dopisywał mu całkiem sporo punktów za wizyty w bibliotece, niemal tyle samo co za obrazy z puzzli, które układał w ubiegłym miesiącu, choć szczerze tego nienawidził.

– Nie było listonosza. Przyjdź jutro – usłyszał zza wiekowego komputera śpiewny baryton i nie był to głos starego bibliotekarza – trzykrotnego mordercy, który zawsze tutaj urzędował, i z pewnością nie Niemca. – Ale pamiętaj, że ja byłem pierwszy. Zamiast wycieczek zagranicznych zapowiedzieli rozmówki randkowe. Oddam dopiero w grudniu.

Daniel zawahał się. Francuz? Włoch? Portugalczyk? Przechylił się za kontuar. Pod biurkiem dostrzegł chudzielca w czapce z gazety, w jakich polscy malarze pokojowi namiętnie pracowali w Niemczech. W jednym ręku cudak trzymał ciekawą książeczkę, w drugim słowniczek. Gdyby nie drelich więzienny, Daniel wziąłby faceta za bohatera powieści Karola Maya, które czytał w dzieciństwie. Miał twarz wodza Siuksów, lecz uśmiech Mefista.

– Nie rozumiesz po niemiecku, to zacznij od pierwszej części. Teraz wychodzi dla zaawansowanych – mruzczał dalej dziwak w gazetowym

nakryciu głowy.

– Myślałem, że tylko ja pożyczam ten kurs – odparł Daniel, jak najstaranniej udając Brytyjczyka.

Szelest kartek ucichł.

– Nie tylko – padło po angielsku z miękkim francuskim zaśpiewem.

To wyjaśniło sprawę.

Daniel rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Gdzie Luka?

– Wszedł.

– Kiedy?

– Dziś po południu wychodzi. Może wieczorem.

– Wieczorem? – zdziwił się Daniel. – Wypisy są rano.

Dziwak wzruszył ramionami.

– Teraz ja tu urzęduję. Spytaj wychowawcę albo kogo chcesz. I dlatego rozmówki możesz mieć dopiero po mnie. Luka wszystko mi powiedział o stałych klientach. Ty jesteś ten fryk, co udawał księdza?

Daniel dumnie podniósł podbródek i odwrócił się do wyjścia.

– Tfu, księcia – roześmiał się nowy bibliotekarz. – Jestem Rollo Shark. Ale wszyscy mówią na mnie Hai. To po germańsku rekin, taka gra słów, że niby jaja jak berety.

– Słuchaj no, Shark – zaczął Daniel. – Wolę już układać puzzle albo robić domki z zapalek. Nie muszę z tobą gadać.

– Nie bądź taki cuwaks[7], Skalski. – Rollo przestał się już uśmiechać, a w jego zimnych oczach Daniel wyczytał groźbę. Zatrzymał się. – To prawda, że wychodziłeś[8] kilka banków? Gada o tobie cały oddział. Nawet charty[9] i gacki[10].

Ta uwaga polechtała próżność Daniela. Miał ochotę dowiedzieć się więcej.

– Podobno jakiś ślepiec wystawił cię Schlosserowi.

– Oskarżenie jest niesłuszne. Doktor Schlosser się myli. Wkrótce mnie tu nie będzie.

– I po to uczysz się niemieckiego?

– Trzeba jakoś zabić czas, a poza tym walkman jest za darmo.

Shark podszedł do szafy zamykanej na klucz, otworzył. Na jednej z półek leżało wiele różnego typu urządzeń: magnetowidy, walkmany, magnetofony, a nawet klawiatura do komputera oraz staroświecka komórka z ładowarką podłączoną do gniazdka.

– Niezły arsenał – zainteresował się Daniel.

Rollo zatrasnął drzwi skrytki.

– Na to trzeba mieć pozwolenie. Nie wydaję bez zgody oddziałowego.

– Jak to się załatwia?

– A co, ja informacja?

Daniel wreszcie pojął, że to inny rodzaj gry.

– Czego chcesz?

– Od ciebie? Niczego.

Rollo zwinnie wskoczył na parapet i zwiesił swoje długie nogi konika polnego, a potem umościł je na kaloryferze. Skalski zauważył, że na stopach więzień ma nowiutkie pumy. Tylko górę nosił służbową. Dresowe spodnie dziwaka też były markowe. Chyba najnowszy model Adidasa, sądząc po liczbie pasków wzdłuż szwu.

– Myślisz, że z ciebie taki fachura[11]?

– A nie?

– Jeszcze zobaczymy – prychnął Daniel.

Tym razem zdecydowany był odejść.

– Moją sprawę też prowadzi Schlosser. Wiem o Wolfie i Süddeutsche Banku. Państwo Valmontowie cię szukają. Na razie bez skutku.

Z kieszeni Rollo wysupłał zgniecioną płachtę starej gazety. Z pierwszej strony Michael Jackson błyskał nowiutką klawiaturą. Jeszcze zanim Rollo rozpostarł pismo, Daniel wiedział, co chce mu pokazać.

– W pewnych kręgach jesteś sławny. Interesują się tobą.

Daniel nie odpowiedział. Podszedł do półki z Pismem Świętym. Wyciągnął zaczytany egzemplarz, zaczął go wertować. Większość kartek

była powydzierana. Nie tylko w tym więzieniu cienki papier Starego Testamentu idealnie nadawał się na skręty.

– A czego jeszcze miałeś się dowiedzieć? Bo po to wsadził cię tutaj doktor Schlosser?

– Uuuu, rewolta, lubię to! – zawył Rollo. – Nie Schlosser. A odpowiadając na twoje pytanie, to zależy, kto więcej zapłaci. Jestem wolnym strzelcem. Za dobry fałat[12] można mnie kupić. – Uśmiechnął się diabolicznie. – Załapałeś wreszcie, milionerku?

– Nagrywasz to?

Daniel odłożył książkę na półkę. Stał w rozkroku jak do pojedynku.

– Pewnie.

– To przekaz swojemu prokuratorce, że mam dla niego coś ekstra. Wolf to płotka.

– Nie złapie się na to.

– To niech się poduczy angielskiego, bo trop prowadzi poza granice Niemiec.

– Ciekawe, że właśnie stamtąd przybywam.

Daniel chwilę się zastanawiał.

– Francja?

Rollo skinął nieznacznie głową.

– Ale pracuję w Londynie.

– Pracowałeś.

– Pracuję. Jestem w delegacji.

Daniel uśmiechnął się kpiąco.

– Blefowałeś. Nie jesteś wtyką.

Rollo stracił zainteresowanie, zeskoczył z parapetu.

– Przyjdź jutro. Postaram się załatwić inny kurs. Wydaje mi się, że działamy w jednej branży, a może i na jednym podwórku.

– Chciałbyś – mruknął Daniel.

Dopiero teraz stał się nieufny.

– Te kwity, na których wpadłeś, miały być moje.

Daniel udał niewiniątko.

– Jakie kwity?

– Te od Gertrud.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

– Jak widzisz, mamy wspólnych wrogów – podsumował Rollo. – A skoro tak, warto pomyśleć o przyjaźni. Przykro mi, że wpadłeś, choć cieszę się, że to nie byłem ja. Inna rzecz, że mnie by nie udupili.

– Co za to chcesz?

– Wystarczy mi wszystko.

– Ogolili mnie. Nie mam tej floty.

– Słaby haft[13]. Wiem, jaka jest twoja oficjalna wersja. Mówiłem ci, że nie Schlosser nadał mi tę sprawę.

Daniel był całkiem skołowany.

– Odpierdol się – rzucił i wyszedł z biblioteki.

Przepchnął się przez tłum wciąż oblegający automat. Zatrzymał się dopiero przy celi i wtedy przypomniał sobie, że miał dzisiaj podać listy do wysłania. Skoro Luka wyszedł, nie miał jak dostarczyć grypsów w kasetach, a co gorsza, ten gnojek w gazetowym kapeluszu próbuje go zmiękczyć.

Tego samego wieczoru, kiedy zaczęło się wydawanie kolacji, wszędzie szeptało, że bibliotekarz Luka się zabił. Nikt nie rozumiał, dlaczego to zrobił. Był jednym z wzorowych więźniów na oddziale. Odsiedział dwie trzecie kary, a za kilka tygodni miał prawo starać się o warunkowe. Bibliotekę, klub teatralny oraz radiowęzeł prowadził od lat w nagrodę.

Wtedy też po raz pierwszy na ustach oddziału pojawił się Shark. Nikt nie mówił na niego Hai, tylko Czubek, ale jedynie za plecami i tak, by tej ksywy nie słyszał. Podobno to Rollo odciął Lukę z klamki w bibliotece. Jakim cudem wlaźł do środka, skoro drzwi były zamknięte – nie ustalono. W sprawie śmierci Luki trwało wewnętrzne śledztwo, ale było jasne, że zakończy się tak, by żaden z klawiszy nie miał z tego tytułu wpisu do akt. Luka nie miał rodziny, gdyż żonę, jej kochankę i własnego brata, który

stanął w ich obronie, zasztyletował przed dwudziestu dwu laty, a dzieci się nie dorobił. Rodzice zmarli, kiedy już odbywał karę. W jego sprawie nikt nie złożył zażalenia ani nie będzie dociekał, co stało się w bibliotece i dlaczego akurat Czubek zajął jego miejsce. Dosłownie.

– Co wiesz o tym Sharku? – kiedy zapadł zmrok, Daniel próbował podpytać jednego z kamratów w celi.

– Co można powiedzieć o człowieku, który w pierdłu nosi kapelusz z czubkiem?

– Zagadał do mnie.

– Trzymaj się od niego z daleka.

– Dlaczego? To świr, psychopata?

– Bądź niewidzialny. Sam go nie dostrzegaj i módl się, by ten fakir nie zwrócił uwagi na ciebie. Luka był jego fąflem. Czy przed gwizdkiem[14] chciałbyś skończyć na kłamce?

Casino de Monte Carlo, Monako, sierpień 1999

Gertrud wkroczyła do głównej sali gry w brokatowej sukni z nieprzyzwoicie długim trenem. Znacznie lepiej czułaby się w swojej marynarce krupierki niż w tym przebraniu, a już z pewnością nie wiałoby jej po odsłoniętych aż po pośladki plecach, lecz Gary nie pozostawił jej wyboru. Tak bardzo chciała zobaczyć męża, że zgodziłaby się nawet, gdyby kazali jej przybyć w stroju syreny. To, co miała na sobie, niebezpiecznie przypominało zresztą ogon wodnej nimfy, pomyślała z przekąsem. Mężczyźni są tacy przewidywalni. Hotelowa fryzjerka zaplotła pozbawione pigmentu włosy Niemki w drobne warkoczyki i upięła je nad uszami, a makijaż i złote okrągłe okulary dopełniły całości. Nawet Nikolay, który miał pilnować Gertrud, by wykonywała wszystkie polecenia, jak jej nakazano, nie poznał starej znajomej, gdy wsiadła do windy. Kobieta musiała porządnie trącić go łokciem, by przestał gapić się w jej dekolt i poszedł na górę sprawdzić, czy Bruno nie jest głodny.

Chwyciła swój ciężki od brokatu ogon i uniosła go, aby ułatwić sobie stawianie kroków. Zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby przyszło jej teraz rzucić się do ucieczki. Obuwie na obcasie i wąska spódnica skutecznie by to uniemożliwiły. Materiał był solidny, a próbując lekko naderwać rozporek, jedynie poraniła sobie palce. Niestety do sali nie mogła wejść z bronią. Wszędzie były bramki z wykrywaczami metalu, a tajni detektywi bacznie obserwowali graczy. Wzięła ze sobą tylko torebkę ze skóry strusia zdobioną diamentami. W ubiegłym roku takimi cacuszkami obdarowywał dyplomatów i wyznaczonych gości książe Monako i był to ich znak rozpoznawczy, świadectwo zażyłości z władzami tego niewielkiego kraju. Trudno, zginie lub aresztują ją w tym kostiumie. A może nie będzie tak źle?

– Księżna Fulko!

Nieduży człowieczek obwieszony medalami poderwał się na jej widok. Mógł mieć sto albo i tysiąc lat i najpewniej od urodzenia bardziej przypominał żółwia niż ludzkie stworzenie, lecz był tak pewny siebie, jakby to on był prawdziwym agentem Jej Królewskiej Mości.

– Jaka niespodzianka. Cóż za zaszczyt! – plótł i pośpiesznie odsuwał krzesło od stołu do ruletki, by ulokować Gertrud jak najbliżej siebie.

Kobieta skrzywiła się. Niepotrzebnie zamartwiała się szerokością spódnicy. Od tego gada nie uwolni się do rana. Ale skoro taką rolę dziś dla niej zaplanowali, musiała się dostosować. Miała nadzieję, że siedząc obok samego szefa, dowie się więcej, co z Garym.

– Admirale Slaats. – Podała mu dłoń. Żółw obślinił ją z namaszczeniem.
– Dawno pana nie widziałam.

Rozejrzała się i pomiędzy owładniętymi żądzą wygranej gośćmi kasyna dostrzegła znajome twarze. VAL, Jasu Thumb, Tintin spoglądali na nią z mieszaniną zaciekawienia oraz podziwu. Gertrud sama wiedziała, że nigdy nie wyglądała lepiej. Dotąd w przedstawieniach grała role poślednie. Gary twierdził, że woli całą odpowiedzialność wziąć na siebie, ale dziś przekonała się boleśnie, że kłamał. Nobilitacja była najbardziej upajająca. Wszystkie oczy zwrócone były teraz na nią i to ona rozdawała karty. Miła odmiana, zwłaszcza kiedy wciąż doświadcza się poniżenia i do perfekcji opanowuje chodzenie opłótkami. Nie zdawała sobie sprawy, że sprawi jej to taką frajdę.

– Po ostatniej przegranej nie spodziewaliśmy się tu pani.

Zza pleców mężczyzn wyłoniła się miodowowłosa piękność. Nie spuszczała wzroku z torebki z diamentami, która tak ciążyła Gertrud. Kobieta cedziła słowa, wdzięcząc się jak mała dziewczynka, choć Gertrud dobrze wiedziała, że Emma Pulaski jest zdolna do wszystkiego. Na sobie miała oszałamiającą kreację od Caroliny Herrery, lecz była to stara suknia, Gertrud znała ją od lat i wiele razy widziała na smukłym ciele Emmy.

– Nie zamierzałam wracać. – Wzruszyła ramionami i sięgnęła po firkę, którą podawał jej usłużnie wysoki Chińczyk zwany Tintinem.

Kevin Long miał dziś na sobie uniform pracownika kasyna i podsunął jej kasetkę pełną żetonów, a kiedy Gertrud na jakiejś karteczce machnęła niedbale swój podpis, otworzył, by wszyscy mogli podziwiać, jaka fortuna dołączyła do gry. Tintin mrugnął do niej szelmowsko, deklarując wszelką pomoc, Niemka zaś podziękowała mu oczyma. Zawsze się dogadywali. Podejrzewała, że brał udział w wydaniu jej męża, ale trudno było przestać go lubić. Wiedziała, że wkrótce usłyszy, co Tintin ma na swoją obronę, bo

przecież skoro pozwolili jej wrócić żywej, jej pozycja uległa znaczącej zmianie. Może nawet przestała być zależna od Frencha? Chciałaby, aby przez resztę ekipy tak to zostało odczytane. Dlatego zwróciła się do Emmy z wyższością:

– Admirał Slaats był łaskaw zaprosić mnie do tej rundy. Dziwię się, że odeszłaś od stołu, moja droga.

– Jest tylko jedno miejsce, które mnie interesuje – fuknęła Pulaski, zła, że Gertrud łamie zasady gry i zwraca się do niej per „ty”. Chciała oczywiście dodać: „twoje”, ale powstrzymał ją groźny wzrok admirała.

Gertrud obejrzała się za siebie, jakby jawna wrogość nie była skierowana do niej. Wskazała pustą obecnie scenę, na której w przytłumionym świetle przygrywał jedynie smętny pianista.

– Wciąż pragnie pani śpiewać? – Uśmiechnęła się kpiąco.

Tintin natychmiast oddalił się, zasłaniając twarz. Pozostali obserwowali pojedynek kobiet z zaciekawieniem, ale i dozą ekscytacji. Emma nie była jednak osobą, która daje po sobie jeździć.

– To, które ty zajęłaś, księżno Fulko. Główne.

– Główne należy się temu, kto ustawia stawkę – odparła zimno Gertrud, wskazując niedbale na swoje żetony. – Ostatnio dobrze ci szła gra moimi kartami. Jak widać, nie wystarczy zająć miejsca. Trzeba jeszcze umieć rozegrać partię.

Emma skłoniła się admirałowi.

– Głowa mnie boli. Pójdę się przejść.

– Oczywiście, przewietrz się – zezwolił admirał. – Napij szampana. To cię ostudzi.

Słyszając potwierdzenie, że została wyeliminowana, Emma z trudem ukrywała wściekłość.

– Będiesz mi towarzyszył. – Piękność szarpnęła za rękaw Jasu Thumba, wąsatego dryblasa w białym smokingu, mistrza Zakonu Maltańskiego i weterana wojennego.

Gertrud wiedziała, że Thumb do końca przeciwstawiał się jej dzisiejszemu wystąpieniu, ale teraz na jego twarzy gościł respekt oraz

nienawiść w czystej postaci. Czyżby wciąż czuł miętę do Emmy i nie dostrzegając, że urodziwa oszustka toleruje go jedynie jak koło ratunkowe?

– Przerwa dobrze nam zrobi. – Podał Emmie ramię. – Czasy są trudne, trzeba oszczędzać, pani Pulaski. Widzimy się za godzinę na moich urodzinach? – A potem, niby od niechcienia, zwrócił się do Gertrud: – Panią również zapraszam, księżno Fulko.

– Wystarczy Tarima Kamberet – mruknęła z satysfakcją Gertrud. – W tym miejscu etykieta nas nie obowiązuje, mistrzu.

Tintin, tym razem otwarcie chichocząc, zakręcił kołem ruletki.

– Koniec obstawiania – krzyknął.

Gertrud w ostatniej chwili popchnęła kilka żetonów na czarne pole.

– Przyjdę, skoro pan nalega – zwróciła się do Thumba. – Z przyjemnością. Chociaż nie uprzedzono mnie i nie mam prezentu.

– Pani obecność w zupełności nas zadowala – wszedł jej w słowo admirał Slaat. – To będzie zaszczyt.

Tłum wokół stołu rozstał się i obok Emmy pojawił się niewysoki brunet w stroju do polo. Towarzyszył mu człowiek w czapeczce z daszkiem, także odziany w sportowy strój. Gertrud poczuła suchość w ustach. Odwróciła głowę, zagadując do admirała, jakby ten ruch miał uchronić ją przed rozpoznaniem. Slaat uspokoił ją spojrzeniem. Umilkła więc i odważnie spojrzała w oczy Marcowi Baptiste'owi Rockefellerowi, byłemu wspólnikowi jej męża, który okradł Gary'ego i doprowadził do jego aresztowania. Mężczyzna nie rozpoznał jej lub udał, że nie rozpoznaje, gdyż zdawał się zainteresowany raczej jej ciałem niż rysami twarzy.

– My nie dostaliśmy zaproszenia, Jo – rzekł z wyrzutem.

– Skąd miałem wiedzieć, że będziesz dziś w kasynie, Marc. Mówiono mi, że od miesiąca bawisz w Vegas.

– Tak było – potwierdził Marc Baptiste. – Wracamy prosto z Nevady. Przez Genewę. Prezes Peter Gaon dał się namówić na małą wycieczkę. Poznaj moich przyjaciół, Pete.

Przystąpił do prezentacji:

– Jasu Thumb, Victor Alexander Lambregts, zwany VAL-em, Emma Pulaski, admirał David Slaats.

Zawiesił głos, patrząc na Gertrud. Wstała więc, chwyciła swój tren i podeszła do gościa.

– Tarima Kamberet, księżna Fulko. – Podała mu dłoń do pocałowania.

– Peter jest wolnym człowiekiem, księżno – wtrącił się z przekąsem Marc Baptiste. – To Australijczyk. Sherwood Group, której jest założycielem, zrobiła w tym roku siedemnaście miliardów obrotu. Wczoraj zawarliśmy umowę, że Solgevar będzie go reprezentować. Ja jestem łącznikiem tej transakcji – podkreślił.

– Gratulacje. Czy kontrakt już podpisany? – Gertrud uśmiechnęła się, a potem przeniosła powłóczyście spojrzenie na onieśmiałego Australijczyka, który wcale nie wyglądał na milionera. – Wychodzi na to, Pete, że będziemy ze sobą konkurowali. Moimi aktywami zajmuje się Gary French, reprezentujący także Solgevar. To chyba nie jest zbieżność nazw?

Peter Gaon odchrząknął. Rzucił pytające spojrzenie w kierunku Rockefellera, ale ten tylko się zaśmiał.

– Księżna nie ma widać telewizora, a może i ryzyko leży w jej naturze. Choć muszę wyznać, że taka postawa to rzadkość. Lwia część klientów Frencha przeszła już do mnie.

– Ludzie tak bardzo boją się stracić, że tracą – zaśmiała się głośno Gertrud, ale nikt jej nie zawtórował. Wokół stołu do ruletki panowała napięta cisza. – Gary reprezentuje moje interesy od lat i jak dotąd wychodzę na tym nie najgorzej. Zresztą, przyznają państwo, że French zawsze był szalony. Któż z nas czasem nie chciałby zostać uznany za wariata i mieć odpuszczone wszystkie winy? Nie odejmuje mu to w niczym skuteczności. A jeśli chodzi o ryzyko, panie Rockefeller, nie znoszę go. Gary gwarantuje mi pełną stabilność. O tym pan powinien wiedzieć najlepiej. Tego bowiem uczył pana Gary. Co zaś do procesu, to jeszcze się nie zaczął. Prokurator wciąż nie ma dość dowodów, by skończyć akt oskarżenia.

A następnie lekkim ruchem przesunęła połowę swojej kasety z zetonami na siódmkę w czerwonym polu. Tintin podniósł dłoń, ogłaszając koniec obstawiania. Kulka długo przeskakiwała z pola na pole, zdawało się, że koło się nie zatrzyma, a gdy prędkość zmalała, kula długo pozostawała na

piątce, aż do ostatniej chwili, kiedy ostatecznie przeskoczyła popisowo i wpadła w siódmkę.

Gertrud klasnęła w dłonie i posłała całusa onieśmionemu Australijczykowi. Kątem oka widziała złość na twarzy Rockefellera, kiedy Tintin przesunął wygraną w jej stronę, admirał Slaats zaś aż się poderwał, by pomóc wybierać wszystkie żetony i gotówkę, które następnie, z wprawą zawodowca, ułożył w kasetce książecznej.

– Niech panowie żałują, że nie dostali zaproszenia, bo mam ochotę dzisiaj świętować.

Gertrud wstała. Spojrzała na bladą z wściekłości Emmę, która wciąż trwała przy stole oparta o ramię Jasu Thumba. Gertrud wiedziała, że rywalka powstrzymuje się przed posłaniem jej jakiejś kąśliwej uwagi wyłącznie ze względu na obecność dobrodusznego Australijczyka, który dla wszystkich tutaj obecnych był dzisiaj atrakcyjnym celem.

– Proszę, pani Pulaski. – Gertrud pańskim gestem wskazała Emmie swoje krzesło. – Miejsce obok admirała znów będzie wolne. Wygląda na to, że jest szczęśliwe. Może i pani uda się co nieco upolować.

Po czym nonszalancko, choć na miękkich nogach i z drżącym podbródkiem, minęła gości i gospodarzy, a następnie zniknęła w korytarzu, gdzie znajdowały się windy. Za nią pobiegł Tintin z kasetą niedomykającą się od łupów.

Darmstadt, Niemcy, 2 listopada 1999

Dzień dobry, Eryku!

Właśnie dostałem sarkastyczny list od Wolfa, w którym stwierdza on, że wybrałem niewłaściwy front i odbywałem rozmowy z panem Szają (nie sądziłem, że tak szybko mnie wydasz, choć cię przestrzegałem w kontakcie z tą szumowiną, a raczej prosiłem o pewną czujność w materii jakże delikatnej). Ton tego listu jest dla mnie jednoznaczny (już pomijam, że był dyktowany Carli, więc i ona wie, a to kolejna osoba, która może ujawnić nasze sekrety). To głupio, że się wygadałeś. Potwierdzeń trzeba było szukać u osób trzecich, a nie u osoby wyżej wspomianej. Choćby mój tato gotów wyjaśnić ci zależność Wielkiego Pełnego Zaufania Pana Wolfa, a moim niemieckim problemem[15], którego niechcący, przez nieuwagę, ponoszę teraz konsekwencje, ale jak widać głupota i łatwowierność mają swoją cenę. Drugą osobą, z którą powinienes się skontaktować w sprawie wiadomej, jest niejaki Fred Brukwicz (choć osób które też miałyby korzyść z wiedzy, gdzie jest Wolf jest kilkadziesiąt i bądź pewien, że gdyby znali jego kryjówkę, to z pewnością dawno by go już wśród nas zabrakło, za to co zrobił i ile ukradł mnie, tobie i reszcie naszych przyjaciół). Wiem, że Fred może przyjechać do Frankfurtu. Przedzwoń do mojego ojca, zapytaj o bezpieczny kontakt, koniecznie powołaj się na mnie. Niestety bezpośredni numer miałem w komórce, a przecież w miejscu w którym jestem, telefonu mieć nie wolno. W razie czego moja żona Emilka ułatwi ci to spotkanie i wszystko zorganizuje. Tylko nie na domowym, bo Fred nie lubi o pewnych sprawach rozmawiać przy małżonce. Jako stary wywiadowca z resortu powinienes wiedzieć co i jak. Pewnie rozumiesz o czym mówię... Ale pamiętaj, fakty u Wolfa są tylko takimi, jakie są wygodne dla jego celów. A czy mu wierzysz, to już twoja sprawa. Koniec i kropka.

Jak dotąd nie dostałem od ciebie żadnego listu ani wiadomości, choć przecież siedzę tutaj już czwarty miesiąc i nie wygląda, żeby miało się coś zmienić. Nie wiem zupełnie jak, co i którądy. Co się dzieje, co się nie dzieje? Czy jesteście w stanie mi pomóc, czy też nie... Nie wiem, czy ten twój Leonard nie zechciałby zainwestować i czy w tej sytuacji zgodzi się podać mi rękę, czy też olewa sprawę i nie chce mnie znać. Wydawało mi się, że jestem wam potrzebny, ale teraz widzę wyraźnie, kto jest prawdziwym przyjacielem, a kto tylko liczył na zysk. Życie bywa okrutne i wszystko być może. Gdybyście jednak mieli wolę i ochotę służyć mi odpowiednim wsparciem, skontaktować z odpowiednimi ludźmi (i tak dalej) to podaję ci stosowne dane.

To jak długo tutaj zostanę, zależy tylko od jednego człowieka – prokuratora o nazwisku Dr. Schlosser. Niestety on mnie za bardzo nie lubi, tak więc moje osobiste działania mogą być mało skuteczne bez wsparcia z zewnątrz.

Mam cichą nadzieję, że układ Radziwiłł-Krzywicki-Langusta-French jest na tyle silny, że mógłbyś to i owo wskórać. Nie wiem, to twoi znajomi. Ty znasz ich wszystkich lepiej. Mój prokurator może sprawić, że już jutro będę w Polsce, a może też tak odwrócić kota ogonem, że zostanę tutaj na 304 miesiące do zakończenia procesu albo i dłużej. Bo tak mi zagroził, jeśli nie zacznę współpracować. Myślę, że dobrze się rozumiemy... Taka jest ostatnia perspektywa... Współpraca z nimi radością mnie nie napełnia, niemniej co ja sam mogę bez wsparcia z zewnątrz! Odpowiedź: NIC. Jestem tutaj już 128 dni i ostatni telefon, jaki mi pozwolono wykonać był do ciebie, Eryku. Potem ta mściwa policjantka zablokowała wszystko, dogadała się ze Schlosserem i nawet do domu, do dzieci i żony mi dała szlaban. A wszystko z powodu zazdrości o kutasa, czy jak to ona mówi: kradzież wurstu jednej kelnerce. Nawet nie pamiętam jej twarzy... Cóż, życie w tym miejscu polega na ciągłym czekaniu: na coś, na kogoś. Tutaj jest faszyzm, zwłaszcza w odniesieniu do cudzoziemców, tego

opisać się nie da, brak słów. To trzeba zobaczyć, przeżyć. Tutaj jesteś półczłowiekiem, znacysz mniej niż szczur w piwnicy. Tak jest tutaj, w tym kraju, gdzie faszyzm przykryto czarnym płaszczem z napisem „demokracja”. Ten szczelny płaszcz niestety ma dzióry, a ja teraz w jednej z nich się znajduję. Najgorszemu wrogowi nie życzę... Ale do rzeczy... Mój prokurator, pan i władca to Dr. Schlosser z prokuratury Staatsanwaltschaft bei dem Landgericht Frankfurt am Main, adres: Konrad Adenauer Strasse 20, numer akt: 740 Js 93830–9/98. Nie będę się teraz rozpisywał o tamtej starej sprawie, bo to nie czas i miejsce, a jeśli będzie okazja to chętnie pokażę ci stosowne papiery z tym związane i sam sobie przeczytasz, będziesz miał obraz czarno na białym, bez zniekształceń Wolfa i już będziesz wiedział jak się do tego ustosunkować. Tak chyba jest lepiej. Nieprawdaż? Bez podobnych wniosków i spekulacji. Czarno-Na-Białym.

Jako informacja pomocna lub nie. Wyproszono mnie z tego kraju i dano zakaz wjazdu pod groźbą 304 dni aresztu, a teraz okazuje się, że mam odsiedzieć nie 304 dni ale miesięcy. Niestety pech sprawił, że znalazłem się 300 metrów od granicy w drodze do Zurichu, a jako, że policja niemiecka nie lubi czarnych tablic rejestracyjnych, to je sobie sprawdzili. No i stało się!

Nie wiem, kto mnie tak oczernia, bo tylko Wolf przychodzi mi do głowy, ale w naszych sprawach on nie jest wprowadzony (chyba, że ty go wprowadziłeś). A ja nigdy naszych kontrahentów nie okłamywałem, przysięgam na moje dziecko i moje jaja, że zawsze traktowałem twoich ludzi z szacunkiem i robiłem to, co było potrzebne. Nie wiem, kto sprzedaje na mój temat głupoty, kto ślizga się na moich plecach, robi mi złą, brudną robotę ale to jest nie wpoządku.

To tyle mój drogi Eryku. Boję się nawet pytać, czy byłeś wspaniałomyślny dla mojej rodziny, bo od mojego wyjazdu oni są zarżnięci do końca. Te pieniądze, które przywiozłem rozeszły się na telefony, na bieżące potrzeby. Na adwokatów

nie starczyło... Wiem, bo dostałem list po którym pół dnia wylem jak dziecko – tak ze złości, niemocy i wyżutów sumienia, jak mogłem im coś takiego zrobić, postawić w takiej sytuacji. Ale co ja mogę? Chyba tylko złądną nadzieją się karmić, żebyś wiedział jak mi ciężko w tym gnoju...

Pozdrów proszę Lepkiego, Bobka, Jelizawietę i wszystkich oraz całe ich rodziny, chociaż nie miałem okazji ich poznać, przesyłam wyrazy mojego szacunku, ale jak już się to odmieni będzie okazja nadrobić i ich uściskać. Przykro mi, że tak to się przerwało.

Daniel

PS Tak jak ci napisałem, dostałem od Emilki list, że przysły jeszcze dwa rachunki za moje telefony. To jest 5000 za komórkę i 2000 za normalny za przełom grudnia i stycznia. To koszt tego złota i reszty. Te telefony mnie zabijają... Ja wiem, że poprzednie rachunki tato zapłacił, bo skądś pożyczył (to, co mu zostawiłem nie wystarczyło, bo większość kazał mi zainwestować, a Wolf wszystko ukradł), a wiem, że ani ojciec ani Emilka nie mają już z kod. Błagam pożycz mi 7–8 tysięcy i prześlij mojej żonie albo ojcu. Najlepiej poste restante. Potraktuj to jako moją pożyczkę prywatną, a dla nich wymyśl jakiś powód, żeby nie wiedzieli, że pożyczam od ciebie. Błagam cię zrób to bo po moich wyjazdach i zapłaceniu rachunków za telefony oni nie mają na chleb. Ojciec mi nigdy tego nie napisze, choćby miał tynk jeść, ale Emilia mi napisała, jaka jest prawda.

Eryk, ja facet, rozbeczałem się jak baba.

POŻYCZ 8 ALBO MOŻE 10 TYSIĘCY I POŚLIJ MI JE DO DOMU. BO ONI TAM ZDECHNĄ Z GŁODU! WIEM, ŻE NAWET NIE MAJĄ GDZIE POŻYCZYĆ!

PS2: Pozdrów proszę Lepkiego i ludzi od gwarancji Lloydsa i panów od SuperWegetarianek wraz z rodziną. Trzymajcie się chłopcy i do miejmy nadzieję szybkiego zobaczenia.

PS3: Czy porozmawiałeś z tymi ludźmi, co chcieli te gwarancje bankowe? Pytanie, czy mimo wszystko nadal są zainteresowani? Poinformowałem ich o chwilowym wstrzymaniu całości, wszystkich transakcji, to z Londynu dostałem coś w rodzaju ponaglenia. Jak wiesz, mnie obecnie nie stać na opłacenie pełnych kosztów obsługi – nie w tym momencie... A po drugie potrzebuję kogoś, kto będzie mógł te gwarancje po przepisaniu zamienić na gotówkę – mnie tego nie wolno ze względu na status prawny. To bardzo ważne, żeby się z Londynem dogadać, bo oni muszą trzymać to i owo otwarte – to raz, a dwa, to to, że ja muszę przygotować zwrot tych dokumentów, które oni chcą w zamian, a które ich „co nieco” obciążają. Stara gwardia dalej siedzi na stołkach i nie chcieliby z nich z szumem spaść. Poza tym nikt nie chce problemów, tylko dobry interes. Dla mnie to też szansa odzyskać to i owo. Nieuważasz?

Napisz, jakie jest stanowisko twoich znajomych. To pilne. List z Polski idzie 3–4 dni i nie jest kontrolowany, więc możesz pisać otwarcie...

Zamek Radziwiłłów, Biała Podlaska, Polska, grudzień 1999

– No i co pan najlepszego zrobił? – Śpiewak prawie krzyczał. – Teraz facet się obraził i zostaniemy z tą kasą w holenderskim banku jak durnie.

– Od kiedy to miliony czynią z człowieka głupka! – z dumą odparował profesor. – O takim przypadku jeszcze nie słyszałem. Poza tym rozpocząłem już, jak pan widzi, poważne inwestycje.

Znajdowali się w niewielkim zamku w Białej Podlaskiej, otoczonym pięknym parkiem oraz fortyfikacją z bielonego muru, z którego pracownicy usuwali właśnie tablice muzeum miejskiego i zarządu gospodarki odpadami. Dalej znajdowały się stajnie, a w boksach na nowego właściciela czekało czterdzieści koni, z czego połowa należała do bardzo zamożnych ludzi, którzy płacili za opiekę, ujeżdżanie, leczenie i karmienie, gdyż bywało, że poza rozgrywkami wcale nie zaglądali do Białej. Druga połowa to były stare kulasy, które spędziły życie na nauce niedzielnych amatorów hippiki.

Śpiewak chwycił drąg od tablicy, zamachnął się na rusztowanie i rozwalił je jednym ruchem.

– Chyba pan zwariował, Leonardzie, żeby nasze pieniądze ładować w tę dziurę bez dna.

– Nasze? – obruszył się Leonard, lecz Śpiewak nie słuchał.

– Miasto całe lata nie mogło pozbyć się tej ruiny, a pan przychodzi i bierze ją za najwyższą cenę bez przetargu! Nic dziwnego, że gotowi byli wylizać panu wszystkie dziurki.

– Naprawdę nie trzeba być aż tak wulgarnym.

– Ten ruch zasługuje na znacznie bardziej grubiańskie słowa. Niech się pan obudzi! Co ci strzeliło do głowy, profesorze? Nie dosyć, że kupił pan zrujnowany pałac, to jeszcze stadnina...

– Cóż poradzę, że nie lubi pan koni...

– Koni? – prychnął Śpiewak. – Panie kochany, uwielbiam konie, ale wyłącznie cudze. Jeśli zechcę sobie pojeździć, przyjadę do pana i zapłacę pięć dych.

– Pół godziny jazdy kosztuje siedemdziesiąt złotych – skorygował honorowo Leonard.

– Nie ma sprawy, wybulę i siedem – zgodził się Śpiewak. – Ale to wszystko, co mogę dla nich zrobić. Czy wie pan, ile kosztuje siano, marchew, obrok, weterynarz, obsługa, stajenni, osprzęt, lekarstwa? Na jedno siodło trzeba wydać dwanaście tysięcy! Czy pan rozumie, że musi pan tutaj teraz żyć?

– I będę szczęśliwy. – Leonard wypiął dumnie pierś.

– Nie pozwolę!

Śpiewak chwycił drąg i raz za razem walił w płytę pilśniową mającą chronić posiadłość przed postronnymi w miejscu uszkodzenia zabytkowego muru. Nawet Leonard uważał to za duży mankament, gdyż biorąc pod uwagę długość ogrodzenia, wróżyło to niemałe wydatki.

– Porażka, kompletna porażka – mruzczał coraz bardziej zrezygnowany Śpiewak. – A miałem pana za inteligentnego człowieka.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem praktyczny – przyznał Leonard i uśmiechnął się krzywo. – Kupiłem tę posiadłość z sentymentu. Czy pan wie, że jeszcze w szesnastym wieku to miasto nosiło nazwę Biała Radziwiłłów? Cóż, ten zamek od pokoleń należał do mojej rodziny i moją rolą jest go ratować. A w przyszłości zawalczę o zmianę nazwy miasta. Jestem to winien moim przodkom – dokończył na jednym oddechu.

– Przodkom? – zaśmiał się Śpiewak. – Pan pochodzi z chłopstwa! Przez ile dekad przekonywał pan o tym studentów na zajęciach? Przypominam, że dwa semestry sam na nie chodziłem. A co z historią o mściwym pradziadku i zrabowaniu nazwiska kochankowi matki?

Leonard machnął lekceważąco ręką.

– Zwyczajnie żarty. Jeśli się ma pieniądze, śmiało można być ekscentrykiem, jeśli się ich nie ma – wszyscy mają cię za wariata. W tamtym czasie i tak miałem zbyt wiele cech szaleńca.

– Nie powiedziałbym, żeby to się zmieniło.

– Teraz jestem milionerem. To, przyzna pan, różnica.

Śpiewak odrzucił wreszcie pręt.

– Chwilowo tak, ale z takim podejściem – jak długo? – Zapalił papierosa. – A ambicje, jak widzę, ma pan długofalowe. Przypominam, że Grajplyt potrzebuje inwestora i że bez tych środków pana nowatorska konstrukcja produkcji płytek ceramicznych nigdy nie będzie realizowana.

– Cementowo-wiórowych – poprawił naburmuszony Leonard. – I firma nazywa się wciąż Grajbud.

– Właśnie – przyznał Śpiewak. – Jeśli się tym nie zajmiemy, zakład padnie. Już nawet nie chodzi o przejęcie kontroli nad Kuną, ale o to, by fabryka przetrwała. To zależy od pana, Leonardzie.

– Sam to wiem, niech mnie pan nie podpuszcza – obruszył się Radziwiłł. – Jak się ma pieniądze, jest cała zgraja ludzi, którzy chcą je pomnażać. Opędzić się od nich nie mogę. Nie jestem wcale zdany na człowieka, który oferuje mi współpracę z lewym czekiem i liczy jeszcze, że się ucieszę. To już nie ten poziom, przyzna pan, panie Szaja.

– Pan nie rozumiesz, że to był test?

– Test? – zachnął się Leonard. – A niby na co? I kimże jest ten chłystek, by poddawać mnie testom? Reklamuje się jako zamożny człowiek, wręcz wszechmogący. Posiadający pięć terenowych samochodów plus ferrari, corvette, zabytkowego saaba i jacht w Portoferraio. Wspominał coś o dworku czy zamku dwieście kilometrów od Warszawy. Jest dysponentem jakiejś willi we Włoszech wartej ileś tam bimbalionów. A potem nagle wyjeżdża mi z trefnym czekiem? I ja mam go reprezentować? To jakiś malwersant!

– Wbrew pozorom wiele was łączy – przerwał profesorowi Śpiewak.

– Niewiele. Lubię mieć kierowcę, któremu ufam, i nie planuję na razie zakupów motoryzacyjnych. Jestem tradycjonalistą. Cztery kopyta i grzywa w zupełności mnie satysfakcjonują.

– To ma pan ich czterdzieści – mruknął Śpiewak z przekąsem. Kpił teraz otwarcie, tyle że Radziwiłł nie chciał tego dostrzec. – Musi pan, Leonardzie, zapisać się jedynie na kurs prawa jazdy. A w dzisiejszych czasach i z pana pozycją wystarczy kupić kwit.

– Kiedy potrzebowałem tego księcia do umieszczenia gwarancji w banku, nie miał dla mnie czasu – zaperzył się Radziwiłł. – A teraz, kiedy

gotówka jest na moich kontaktach, będzie mnie testował? Sam to zarobiłem, sam, sam, sam! – pokrzykiwał.

Szai wydawało się, że ma do czynienia z kilkulatkiem, który odważył się samodzielnie wejść wreszcie na drabinkę. Przez krótką chwilę pozwolił profesorowi napawać się tym złudnym zwycięstwem, a potem stanowczo chwycił go za ramię.

– Cicho, bo jeszcze ktoś usłyszy.

Leonard natychmiast ucichł.

– Przecież to nic złego. Sprawa jest w pełni legalna. Nie musisz mnie pan besztać jak przedszkolaka!

– Więc się pan nie wydzieraj i powiedz lepiej, co dalej. Jaki masz plan, skoro nie chcesz pracować z Danielem? Kto pomnoży nam tę kasę?

Leonard zamyślił się.

– Nie mówiłem, że nie chcę. Po prostu facet jest śliski. – Odchrząknął. – Nie bardziej jednak niż pozostali, których mi wystawiłeś. Ta Emma Pulaski, ten amerykański admirał, co wygląda jak żółw, jakiś facet w kapeluszu kowboja i pastor przebieraniec, co się brata z więźniami... Brrr... Nawet nazwiska mają jak nieprawdziwe. Tamtych boję się znacznie bardziej, a jeszcze do tego mówią wyłącznie po angielsku, choć ta Emma przecież jest Polką i wszystko rozumie.

– Musimy się śpieszyć. – Śpiewak złagodził ton. – Langusta dał kwit dla syndyka, ale jego termin upływa za miesiąc.

– To przecież kupa czasu – zaśmiał się Leo. – Do tej pory znajdę fundusz, w którym ulokuję środki, by przynosiły stały zysk i mogły być fundamentem dla polskiego kredytu. Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie pójść do banku, pokazać im pozostałe akcje HEF i zagrać w otwarte karty.

– O bogowie! – Śpiewak chwycił się za głowę. – Rób interesy z człowiekiem, który nigdy nie miał pieniędzy. A podatki? Skąd ma pan te akcje? Dlaczego nie spieniężył ich pan w kraju? Czyżby pasowało panu oddanie ojczyźnie osiemdziesięciu procent na opłaty fiskalne i urzędowe, a do tego kary za złamanie wszystkich przepisów? Wszak jest pan bogaty. –

Przerwał. – To się natychmiast skończy, kiedy ujawni się pan przed fiskusem. Generalny Inspektor Informacji Finansowej tylko czyha na takie

okazje. Zaraz zrobią panu sprawę o pranie brudnych pieniędzy. Za długo siedział pan w tych książkach. To jest właśnie prawdziwe życie. Trzeba być nie tylko lwem, ale i lisem!

Leonard usiadł obok Śpiewaka na krawężniku. Długo myślał.

– Więc co mam robić? Langusta dał dokument, ale obaj wiemy, że jego pryncypał nie zainwestuje dziewięciu baniek w zakład, bo Paolo działa za jego plecami. Nowak nawet o tym nie wie. Langusta nie ruszy z produkcją, nie wyda ani centa na wykupienie długów Grajbudu. Ja muszę to zrobić i tak się składa, że chcę. Wiesz pan, że ten zamek kosztował mnie tylko trzysta tysięcy?

– O Jezu, nie chcę tego słyszeć. Za trzydzieści bym go nie wziął! I nie odbiegaj pan od tematu.

Znów siedzieli w milczeniu. Pierwszy odezwał się profesor.

– Pan mu ufasz?

– Komu?

– Temu bankierowi z Lloydsa – Danielowi Skalskiemu. On nawet nie zapisał mojego numeru. Kiedy do niego zadzwoniłem, udawał, że nie kojarzy nazwiska. A potem widać doszły go słuchy, że ARN wypłacił forszę, sam się łąsił, kusił i podlizywał. Nie znoszę wazeliny.

– Więc chodzi o honor. – Śpiewak roześmiał się. – Nazwisko, widzę, zobowiązuje.

– Nie było to miłe.

– Słuchaj, drogi Leo, jeśli mogę tak powiedzieć. Ty mów mi otwarcie Śpiewak. Wszyscy tak mówią i nie wiem, dlaczego jedynie za plecami – zaczął Szaja. – Nikomu nie ufam. Ani jemu, ani tobie, ani nawet sobie. Gdybym miał żonę, też bym jej nie ufał. Co innego z dzieckiem. Może, nie wiem, niestety potomstwa nie posiadam. Słowem, żyję jak wilk, dopuszczając, że owca będzie rywalem. Znam tego faceta od dziecka. Zawsze mnie fascynował. Ma wiele zdolności, przede wszystkim komunikacyjne. Umie rozkochiwać w sobie ludzi, że mózg staje, i zapewniam cię, że jak na swój wiek oraz pochodzenie zrobił karierę niesamowitą. Daniel zna, kogo trzeba, a za te pieniądze nie znajdziemy lepszego człowieka, nawet jeśli istnieją alternatywne światy.

– Jeszcze mam zwyrodnialca finansować? – oburzył się Leo.

– Wiesz, że nie zawsze to, co jest uczciwe, przynosi dodatnie efekty w krótkim czasie, a kiedy rzecz dotyczy pieniędzy, dużych pieniędzy, sam tego teraz doświadczasz, to rozumiesz, że zbyt wielu jest zawsze do podziału. I tym sposobem nasz chłopiec jest teraz w pace. To jakiś drobiazg. Daniel twierdzi, że pomyłka. Powinęła mu się noga, bywa. Ma na to stosowne dokumenty i potrzebuje od nas jedynie na adwokata. A więc maks pięćdziesięciu tysięcy. Resztą zajmie się sam. Tak obiecał. Taniej nie znajdziemy człowieka tej rangi. Pomyśl, że niebiosy zsyłają nam go za jedyne pięćdziesiąt tysięcy złotych! W innej sytuacji byłoby to wpisowe.

– Mogę wyłożyć trzydzieści – skapitulował Leonard. – To moje ostatnie słowo!

Śpiewak nie dał po sobie poznać, jak bardzo jest kontent, że wszystko przebiegło po jego myśli.

– Te drobne trudności nie zmieniają faktu, że Daniel potrafi nie tylko wyczyścić naszą kasę, ale też pomnożyć, by wróciła do nas pachnąca i wyprasowana. A wtedy stanie się fundamentem fortuny Grajbudu. Chyba że chcesz, aby Langusta ponownie położył na niej łapę. I tym samym Kuna. Twój uczeń.

– O nie! – zaprzeczył gwałtownie Leo. – Już dojrzałem. Chcę być milionerem.

– No to dobrze zacząłeś. – Śpiewak uśmiechnął się pod nosem. – Miałeś miliard, kupiłeś sobie stadninę i wkrótce zostaniesz milionerem. Nic prostszego. Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Biłgoraj, Polska, grudzień 1999

Emilia podparła się w krzyżu, bo ciąża dawała się we znaki i czasami czuła się tak źle, że nie miała ochoty wstawać z łóżka, ale nie brała zwolnienia. Bała się, że straci posadę.

– Niech pani już idzie.

Kierownik referatu znał jej sytuację i bardzo jej współczuł, choć nigdy nie zwierzała się ze swoich domowych problemów. Był to człowiek uczciwy, niepozorny, niezwykle precyzyjny. Nawet kiedy ludzie w miasteczku zaczęli plotkować, że mąż Emilki siedzi w niemieckim więzieniu, jego stosunek do pracownicy nie uległ zmianie.

– Jeszcze godzina, panie Stanisławie – bąknęła Emilka.

– O tej porze szybko robi się ciemno. A teraz jest jeszcze na dodatek ślisko. Będzie pani szła do przystanku, poślizgnie się... Nie chcę mieć pani na sumieniu.

Kobieta uśmiechnęła się przepaszająco.

– Dobrze pan wie, że jestem ostrożna. Przed świętami chciałabym ostatecznie zamknąć bilans. Inaczej ktoś inny będzie musiał pracować za mnie. Pewnie pan. Nie chciałabym mieć pana na sumieniu – pozwoliła sobie powtórzyć jego słowa, by rozładować napięcie.

– Jak pani uważa – zgodził się niechętnie kierownik.

– Zadzwoń do teścia. Może po mnie przyjedzie.

Odchrząknął znacząco.

– Tak byłoby najlepiej.

Gdyby poprosiła, szef sam podwiózłby Emilię, bo mieszkał ledwie kilka domów dalej, ale nie byłoby to dobrze widziane w miasteczku. Ostatni raz, wiosną, kiedy Emilia musiała zostać po godzinach i zgodziła się na podwózkę szefa, Lucjan Skalski zrobił jej karczemną awanturę i sam rozpowiadał w mieście, że zwierzchnik referatu podrywa mu synową. Emilia nie chciała, by sytuacja się powtórzyła. Podniosła słuchawkę,

wykręciła numer do domu, ale wciąż było zajęte, więc odłożyła ją zrezygnowana. Aparat zadrżał i rozdzwonił się na całego.

– Pani Skalska?

Głos był niepewny, lekko drżący. Emilia nie знаła tego człowieka i z pewnością nie był to petent ZUS-u.

– Tak, słucham?

– Przepraszam, że kontaktuję się tą drogą. – Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki zawahał się. – Moje nazwisko Lepki. Prowadzę zakład przetwórstwa warzywnego DrFROST w Kraśniku. Pani mąż zawarł z nami umowę. To było grubo ponad pół roku temu. Pobrał kilka zaliczek na poczet kosztów zdobycia kredytu i od jakiegoś czasu nie mamy z nim kontaktu. Nie odbiera telefonów, nie odpisuje na pisma. Martwimy się, bo monity ślone do Londynu wracają nieotwarte. Adres nie istnieje... Wszystkie telefony męża są wyłączone...

Emilia starała się zachować spokój, ale przyłgnęła bojaźliwie do oparcia krzesła i tylko rzucała okiem na kierownika, czy słucha. Wiedziała, że tak.

– Ja nic nie wiem – bąknęła. – Jestem w pracy. Nie mogę prowadzić rozmów prywatnych. Blokuje pan linię.

– Oczywiście, rozumiem – zgodził się rozmówca. – Sądzę jednak, że w pani interesie jest pomóc sprawę wyjaśnić. Czek bankierski, który mąż dał nam w zastaw, niedługo traci ważność. Obiecaliśmy, że go nie zrealizujemy, jeśli nie zajdą szczególne okoliczności, lecz w tej sytuacji jesteśmy do tego zmuszeni. Docierają do nas różne pogłoski.

Emilia nie była w stanie dłużej tego słuchać. Czuła, jakby po kręgosłupie wędrowały jej mrówki, a w piersi rozżarzała się gorąca kula. Ostrożnie odłożyła słuchawkę na widełki, a potem poukładała papiery, choć wcale nie były w nieładzie. Wykonywała te działania tylko po to, by się uspokoić, lecz ogień rozprzestrzeniał się już w piersi, oddychała z trudem.

Szef nie odezwał się i nie patrzył w jej kierunku. Nie wyglądało też na to, by zbierał się do wyjścia. Emilię oblał zimny pot. Najchętniej odłączyłaby aparat od gniazdka, ale przecież nie wolno jej było tego zrobić. W każdej chwili mógł zadzwonić ktoś z innego wydziału. Miała obowiązek odbierać każde służbowe połączenie. Jak na złość telefon znów zaterkotał.

Emilii wydało się, że w tym niemal pustym pomieszczeniu hałas niesie się jak w hali sportowej. Podniosła natychmiast, gotowa nakrzyczeć na stalkera, obrzucić go wyzwiskami, zrugać najwulgarniej, jak potrafiła, ale ku swemu zaskoczeniu ledwie wydobyła głos z gardła.

– Dział prawny, słucham.

– Eryk Szaja z tej strony. Rozwścieczanie pana Lepkiego nie jest dobrym posunięciem, pani Skalska. Radziłbym tym razem nie odkładać słuchawki.

Emilia milczała. Słyszała oddech tego człowieka, a w głowie jak echo rezonowała zawołowana groźba.

– Czego pan chce? – odezwała się, nie kryjąc wrogości.

– Czy pani wie, ile Daniel pobrał od tych ludzi?

– Nic nie wiem. Za to pan jest, jak zwykle, dobrze poinformowany. Gratuluję.

– Jak zwykle – powtórzył z przekąsem. – Dwieście trzydzieści tysięcy. Czek zaś, o którym mowa, opiewa na dwa miliony dolarów. Jest fałszywy, gdyby pani pytała. Wiem, bo sam go motałem. Daniel podpisał go własnym nazwiskiem, więc w razie złożenia dokumentu w banku czekają go zarzuty nie tylko wyłudzenia sporej ilości pieniędzy, lecz także fałszerstwa i posługiwania się trefnymi papierami.

Emilia przyłożyła dłoń do twarzy.

– Ten chłopak nigdy nie dorośnie – dodał bardzo spokojnie Szaja. – Wciąż te same błędy, a wszystko tylko po to, by się popisać.

– Niech pan tutaj nie dzwoni.

– Proszę nie ulegać emocjom – poradził Śpiewak, udając troskę. – I jak najszybciej spotkać się z ludźmi od mrozonek. Ucieczka nic pani nie da.

– A co ja mam do tego?

Miły ton znikł.

– Są jeszcze inni. Dziś Lepki pytał mnie o kontakty do pozostałych biznesmenów, których okradł pani mąż.

– Okradł? Jak pan śmie! – wzburzyła się Emilia, ale Eryk przerwał jej brutalnie:

– To nie jedyny czek, który Daniel wręczył klientom. Jeśli się zbiorą, nieźle namieszają w waszym życiu.

– Powtarzam panu, że to nie moja sprawa. Nie wiem, gdzie jest Daniel.

– Ale ja wiem, bo pisuje do mnie z więzienia w Darmstadt. Czekam na zewnątrz. Podwiozę panią do domu, przegadamy sprawę i ustalimy termin spotkania.

Jednostajny sygnał urwanego połączenia był jak wiertło, które robiło Emilii dziurę w skroni. Siedziała bez ruchu, poddając się dobrowolnie tej torturze i bezskutecznie starając się zebrać myśli. Nawet nie spostrzegła, kiedy do jej biurka zbliżył się kierownik. Zorientowała się, że stoi obok, dopiero kiedy dostrzegła czubki jego wypastowanych butów. Był zakłopotany, jakby dokładnie słyszał przebieg konwersacji z bandytą, i szczerze współczuł pracownicy.

– Wszystko w porządku, pani Emilio?

Miała ochotę rzucić mu się w objęcia i rozplakać jak mała dziewczynka. Nie zrobiła tego. Kiwała mechanicznie głową, starając się sprawić wrażenie, że otrzymała właśnie wiadomość zmieniającą wszystko. Było tak w istocie, ale wołała, by szef sądził, że chodzi o pracę.

– Problemy w domu?

Niełatwo go było nabrać.

– Syn ma gorączkę. – Spojrzała w oczy kierownikowi i zawstydzila się, że okłamuje tak dobrego człowieka. – Teściowa poszła z nim do lekarza. Skończę to, co zaczęłam.

Nie wiedziała, czy szef jej uwierzył. Pojął chyba, że Emilia nie chce dzielić się z nim problemami, bo wrócił do siebie. Było jej przykro i poczuła się nagle dotkliwie samotna, ale kiedy tylko kierownik opuścił pomieszczenie, dyskretnie podniosła rolety i wyjrzała. Zaraz się jednak schowała, bo Śpiewak stał pod jej oknem, uśmiechając się i paląc papierosa. Dopiero teraz poczuła grozę. Była pewna, że bandyta nie ruszy się stamtąd, dopóki w jej biurze nie zgaśnie światło. Chwyciła słuchawkę i znów wykręciła numer do domu, ale nieoczekiwanie wrócił szef, więc natychmiast ją odłożyła. Zrobiła to tak gwałtownie, że aż strąciła aparat. Podniosła go, poskładała do kupy i zabrała się do pracy. Z każdym

kolejnym dokumentem czuła coraz większą złość na kierownika, że jest takim nadgorliwcem. Powzięła nawet podejrzenie, że jej pilnuje, co jeszcze bardziej ją zirytowało.

– Niech pani nie siedzi zbyt długo – oświadczył wreszcie i sięgnął do szafy po puchówkę. Emilia odetchnęła z ulgą, że nareszcie sobie pójdzie, ale on widać chciał jeszcze pogadać. – Jutro też jest dzień. W razie gdyby był problem ze zwolnieniem, przypominam, że ma pani zaległy urlop. Jest pełnopłatny. Wystarczy jeden telefon, a osobiście przypilnuję, żeby sekretarka wypisała kwit. Proszę dbać o siebie.

Włożył czapkę, chwycił teczkę i wymaszerował z pokoju. Dopiero wtedy Emilia zorientowała się, że nie podziękowała mu za okazane serce. Miała ochotę płakać, ale wiedziała, że to na niewiele się zda, więc poskładała papiery w eleganckie kupki, jakby miała nigdy już tutaj nie wracać, i wyjęła komórkę z torebki. Włączyła ją, wybrała numer do teścia. W tym momencie rozbrzmiał telefon na biurku. Nie musiała sprawdzać, kto dzwoni. Wystarczyło, że podeszła do okna. Śpiewak siedział teraz w aucie z włączonym silnikiem. Przez uchyloną szybę wylatywały na zewnątrz kłęby dymu. Pozwoliła mu na kilka połączeń i żadnego z nich nie podjęła.

Nagle do pokoju znów wmaszerował jej szef. Czapkę i kurtkę miał zaśnieżone.

– Dlaczego pani nie odbiera? – rzucił niezadowolony i dopiero wtedy zauważył w jej dłoni komórkę. – A więc to tak spędza pani czas po godzinach.

Emilia zaczerwieniła się po czubki uszu.

– Przepraszam – mruknęła pod nosem. – Chciałam sprawdzić, co z synem.

Kierownik przyjrzał się jej badawczo, ale w spojrzeniu nie było cienia dawnej sympatii.

– No cóż, z pewnością wszystko w porządku. W przeciwieństwie do tego drugiego chłopca, którego moja sąsiadka wiezie właśnie do szpitala. Dzwoniłem, żeby panią uprzedzić, że Krystian trafi do izby dziecka, i chciałem ewentualnie podwieźć panią do szkoły, ale widzę, że ma pani na głowie inne sprawy.

Emilia była skołowana. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Proszę załatwiać swoje prywatne sprawy w wolnym czasie. A jeśli pani życzy sobie urlop, proszę o oficjalny wniosek.

Wyszedł. Emilia też nie czekała już dłużej. Narzuciła płaszcz i zgasiła światło. Podeszła śmieiej do okna i przyglądała się, jak Śpiewak rozmawia z jej kierownikiem. Mężczyźni podali sobie dłonie, szef wszedł do auta, odjechał. Śpiewak pozostał na posterunku. Emilia myślała szybko: budynek ma tylko jedno wyjście. Musiała być jednak jakaś droga ewakuacyjna na wypadek pożaru. Zdecydowała, że ją odnajdzie. Byle się tylko stąd wydostać. Zamknęła gabinet, oddała klucz portierowi i zapytała o wyjście awaryjne. Spojrzał na nią dziwnie, ale wskazał, którądy powinna się udać. Jakież było jej zdziwienie, kiedy klucząc po labiryncie w piwnicy, dotarła do tego samego punktu, z którego startowała. Śpiewak wciąż tkwił pod wejściem do urzędu jak najgorszy wyrzut sumienia. Na jej widok natychmiast wyskoczył z auta.

– Pracuję z pani – zakpił. – W przeciwieństwie do męża.

Zrobił zapraszający gest, by wsiadła, a Emilia chętnie by to zrobiła, bo mróz szczypał w oczy, a zapomniała szalika. Otuliła się szczelniej płaszczem, włożyła rękawiczki. Stała twardo na mrozie, zdecydowana nie wsiadać, choćby Śpiewak ją do tego zmuszał.

– Niech pan mnie nie nachodzi, bo wezwę policję.

– Nie radziłbym, ale jeśli taka pani wola, chętnie pomówię z chłopakami o różnych niewykrytych sprawach z fałszerstwami czeków. Mogę im też powiedzieć dokładnie, gdzie znajduje się Daniel. Brytyjczycy poprosili ich o współpracę przy sprawie wyłudzeń w Londynie. Lucek nie będzie zadowolony, że doniosła pani na jego syna.

Emilia była zszokowana, że Szaja jest tak blisko z teściem.

– Dlaczego nie pomówi pan z ojcem Daniela? Ja naprawdę nic nie wiem.

– Jeśli ja pomówię, sprawa będzie przedstawiała się inaczej. Daniel usilnie mnie prosił, abym najpierw uprzedził panią.

Chciałaby teraz przestać istnieć, by nikt jej nie szarpał, niczego nie chciał. Ale Szaja nie odpuszczał.

– Jutro o dwunastej w Kraśniku. Fabryka znajduje się na rogatkach miasta. Radziłbym załatwić to po dobroci, zagrać na zwłokę. Proszę przekazać Lucjanowi, że Lepki ze współnikiem się niepokoją, ale nie są jeszcze wściekli. Dopiero mogą być, jeśli ich olejecie. Wtedy nawet ja nic nie wskóram.

– Co ja mogę? – jęknęła Emilia płaczliwie i chwyciła się za brzuch, jakby dziecko miało moc zdjęcia z niej tej odpowiedzialności. – Powtarzam panu, że to nie moja sprawa.

– Nie pani? – Śpiewak przechylił głowę, uśmiechnął się figlarnie, oceniając jej sylwetkę, i momentalnie poczuła się jak naga. Przez chwilę bała się, że Szaja się na nią rzuci, zerwie z niej ubranie, zgwałci ją, ale to była tylko chwila. – A te dziesięć tysięcy, które odebrała pani dwa tygodnie temu i pokwitowała? Fatamorgana?

Emilia czuła, że nogi się pod nią uginają i już niżej upaść nie może. Faktycznie, były jakieś pieniądze. Przyszły przekazem. Podpisała odbiór, bo Lucjan był na swoim okręgu z listami. Daniel już dwa tygodnie wcześniej zapewniał, że coś prześle, pokrętnie mówił o jakimś honorarium. Ucieszyła się, kiedy pieniądze przyszły, bo nie mieli już z czego oddawać długów.

– Zakład krawiecki Galanta Franca to mój biznes. Szyjemy fartuchy robocze, ale prowadzimy też szybkie pożyczki. Dziwię się, że w waszej rodzinie tak niegodnie traktuje się dobroczyńców.

Emilia nie czekała dłużej. Rzuciła się do ucieczki.

Kraśnik, Polska, grudzień 1999

My, Chase Bank of Texas z siedzibą w Houston, Texas 357772 USA, niniejszym potwierdzamy z pełną bankową odpowiedzialnością na prośbę naszego klienta posiadającego konto bankowe w naszym banku Funduszu Heritage Foundation Found ważność czeku numer A1710028921 na kwotę USD 2000000,00

(dwa miliony USD) wystawionego na podstawie czeku A1710023417 (437/LGB) z dnia 10 marca 1999 r. i ważnego do dnia 10 marca 2000 r. Informujemy, że czek stanowi potwierdzenie zlecenia płatności TOO (spółka joint venture) KODNIK jako zabezpieczenie kredytu, który ma być przyznany TOO

(spółka joint venture) Kodnik przez OJSC Kazkommertzbank. Ponadto potwierdzamy, że czek jest ważny przez okres jednego roku od daty jego wystawienia i zablokowane są środki na jego realizację.

Michael O. Walker, Linda A. Stahl

kierownik ds. transakcji międzynarodowych Centrum Bankowe

Lucjan przeczytał dokument już kilka razy, ale wciąż nie przekazywał go synowej, która wpatrywała się w niego z nadzieją. Niestety, jak dotąd nie wymyślił, jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

– Mają panowie jeszcze trzy miesiące, aby złożyć czek w banku – bąknął. – Rozumiem, że pokusa jest duża. Dwa miliony dolarów w zamian za dwieście trzydzieści tysięcy polskich złotych...

– Pan słyszał, co powiedziałem, czy planuje udawać wariata? – zdenerwował się Oleg Lepki. – Może to u was rodzinne?

– Spokojnie, Oleg – uspokajał producenta mrozonek Śpiewak. – Nie będzie tak źle. Państwo przyjechali z własnej woli. Chcą pomóc. Najpierw jednak muszą zrozumieć.

– Co tutaj rozumieć? – Wspólnik Lepkiego odezwał się po raz pierwszy od przyjazdu Skalskich i w przeciwieństwie do kolegi zachowywał stoicki spokój. Przesunął dokument, który czytał przed chwilą Lucjan, a potem dołożył obok czek, na którym widniał podpis Daniela. – Te dokumenty są fałszywe.

Zapadła cisza. Nawet Śpiewak milczał.

Siedzieli wszyscy w salce konferencyjnej firmy DrFROST, a z każdego kąta uśmiechały się do nich tekturowe klony roznegliżowanych SuperWegetarianek z billboardów. Było ich nieskończenie wiele, ponieważ po obietnicach Daniela szefowie fabryki uwierzyli w rychłe uruchomienie dodatkowej linii produkcyjnej, zakupili kosztowne maszyny do produkcji i recyklingu opakowań oraz zainwestowali w reklamę. Wszystko to kurzyło się teraz i czekało na wdrożenie, a ponieważ nie było realnych widoków, że kredyt zostanie uruchomiony, przedsiębiorcy zatrzymali także reklamy. Emilia straszliwie bała się tego spotkania, ale kiedy powiedziano sobie prawdę, poczuła ulgę. Zrozumiała, że ci ludzie atakują ją, ponieważ boją się jeszcze bardziej niż ona. Mają do stracenia o wiele więcej: tę fabrykę, dorobek życia, czują się odpowiedzialni za swoich pracowników. Nagle zdjęła ją litość dla nich i wcale już nie miała żalu. Nawet groźby nie wydawały się jej już niczym dziwnym.

– Czego panowie od nas oczekują? – odezwała się pierwsza. – Skoro czek jest fałszywy, jego potwierdzenie jest sfałszowane, dlaczego nie idziecie na policję? Po co nas nachodzicie?

– Wciąż liczymy, że pani mąż załatwi kredyt – zaczął Lepki, zataczając ramieniem okrąg, jakby pragnął tym magicznym ruchem ożywić papierowe SuperWegetarianki. Urwał jednak pod naporem trzeźwego spojrzenia współnika i dodał zimno: – Jeśli nie jest to możliwe, chcemy zwrotu wpłaconych pieniędzy wraz z ustawowymi odsetkami.

Emilia pogładziła się po brzuchu. Dziecko przestało kopać. Kiedy tylko na nią spłynął spokój, natychmiast zasnęło.

– Mąż jest za granicą, nie utrzymuje z nami kontaktu – odparła i kolejno zatrzymała spojrzenie na teściu, a potem na Śpiewaku. – Ja niczego nie posiadam. Nie mam nawet na wyprawkę dla dziecka. Pracuję w urzędzie. Wiedzą panowie, ile zarabiam. Tysiąc sto złotych brutto. Premii nie dostałam od sześciu lat.

Sięgnęła do torby i wyjęła katalog zachęcający do kupna ilustrowanych encyklopedii, a potem dołożyła foldery z kosmetykami, środkami odchudzającymi i sprzętem sportowym.

– Po godzinach dorabiam, wciskając ludziom taki kit.

Rzuciła katalogi na stół. Podniosła czek i trzymając go w dwóch palcach jak radioaktywny eksponat, dodała:

– Nie znam się na finansach ani na papierach wartościowych. Nie wiem, czy to jest prawdziwe. Nie mam pewności, czy panowie nie chcą wyłudzić tych pieniędzy ode mnie, bo na przykład pokłóciliście się z Danielem albo uznaliście, że taka pożyczka się wam nie opłaca. Z tego, co wiem, wy sami zabiegaliście o to, by mój mąż pośredniczył w tej transakcji, i nikt nie nakazywał wam dawać mu tych pieniędzy.

Lepki zerwał się, chciał protestować, ale kobieta podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ale panom wierzę – zapewniła. – I rozumiem was. Sama nie mam co jeść, nie wiem, gdzie będę mieszkała jutro z dziećmi. Jeśli poczekacie te trzy miesiące, bo przecież czek ważny jest do marca, może Daniel zdoła wypełnić zobowiązanie?

– To ma sens – wtrącił Śpiewak. – Na policję zdążycie zawsze.

– I jeśli mogę coś zasugerować jako prawnik, to odzyskanie pieniędzy łatwiejsze jest w procesie cywilnym, nie karnym – podpowiedziała Emilia, co całkiem zbiło z tropu biznesmenów.

Patrzyli na siebie, nie wiedząc, po czyjej stronie jest żona Skalskiego. Jej stan brzemienny, spokój i lotny umysł podobały się im. Emilia wiedziała o tym i chciała, żeby jej zaufali. Dała oczyma znak Lucjanowi, który zaczął przemawiać z emfazą.

– Mój syn zawsze jest korekt i dzieli się równo ze wszystkimi! Uczyłem go, że najistotniejszą rzeczą, która buduje przyjaźń i partnerstwo, jest uczciwość w podziale oraz poczucie odpowiedzialności. Honor, godność oraz bycie fair – te idee przyświecają mojemu synowi w interesach.

Lepki nie mógł tego słuchać.

– W ciągu miesiąca chcemy dostać wiążącą odpowiedź. Jeśli do tego czasu sprawa nie posunie się w jedną ani w drugą stronę, będziemy musieli działać inaczej.

Wskazał na brzuch Emilii.

– Proszę pilnować swoich dzieci, pani Skalska. Tych, które są już na świecie, i tych nienarodzonych.

Emilia nigdy w życiu nie czuła takiego strachu.

– Aby zaś potwierdzić, że na tę chwilę mamy dobre intencje, kupię od pani jedną encyklopedię. Może być tom na W, jak Wegetarianki.

Biłgoraj, Polska, grudzień 1999

– Porwanie?

Fred wciąż nie mógł uwierzyć w to, co opowiadali mu Skalscy. Całą drogę zaciskał dłonie na kierownicy i obrzucał szefów chłodni najwulgarniejszymi wyzwiskami, Lucek zaś mu wtórował. Emilia siedziała na tylnym siedzeniu blada i milcząca. Odkąd wysiadła z samochodu, oplatała dłońmi brzuch, jakby starała się osłonić nienarodzone dziecko przed strzałami, które mogły paść zniecacka. W przeciwieństwie do przyjaciela i ojca Daniela nie uważała, że to były czcze pogrożki.

– Tato, ty znasz tego Szaję. – Odchrząknęła, kiedy znaleźli się wreszcie w czterdziestopięciometrowym mieszkaniu rodziców Daniela w Biłgoraju. – Tego obrzydliwego. Czy on byłby zdolny zabić?

Mężczyźni natychmiast umilkli.

– Ty się niczym nie przejmuj, Emi. Poradzimy sobie – zaczął łagodnie Lucjan, jakby synowa miała siedem lat. Nie znosiła, kiedy przyjmował ten ton. – Niech tylko Daniel wróci, wyjaśni to nieporozumienie i wszystko się poukłada.

– Jakie nieporozumienie, tato?! – wypaliła ze złością. – Te dokumenty są sfałszowane. Wiemy oboje, że ci faceci się nie mylą. Daniel robił to niejedynym razem. Nie rozumiem, po co tak kłamać.

Zaskoczony Fred odwrócił się do niej gwałtownie, a potem spojrzał znów na Lucjana, który aż dławił się z wściekłości.

– To widać jesteś najlepiej poinformowana z nas wszystkich!

Emilia założyła ręce na ramionach.

– Przeciwnie, ktoś stara się, bym wiedziała jak najmniej, ale nie trzeba być geniuszem, by poskładać to w całość, jeśli żyje się z człowiekiem tyle lat. Daniel oszukuje ludzi. Kradnie i rabuje. Nie różni się niczym od przestępców, którzy napadają na banki. Bronią mojego męża jest kłamstwo i manipulacje. A jak go spytasz, wyprze się wszystkiego.

Odwróciła się.

– Ja bym nie płaciła adwokatom. Nie zapożyczała się, nie stawiała na głowie, żeby Daniel wychodził. Niech swoje odsiedzi. Kiedy dłużnicy zobaczą, że nie bierzemy udziału w przekrętach, zostawią nas w spokoju. Inaczej skończy się, jak mówiłam. Uprowadzą Krystiana albo dojdzie do najgorszego.

– Co ty mówisz, dziecko? – Lucjan roześmiał się kpiąco. – Straciłaś chyba rozum z tych nerwów. Chcesz zostawić męża w więzieniu? Przysięgałaś na dobre i złe. A ono właśnie nadeszło.

– Nie, tato. – Emilia pozostała poważna, choć wiedziała, że teść ze wszystkich sił próbuje zrobić z niej idiotkę. – Nie przysięgałam brać udziału w malwersacjach męża. Skoro on działa nieuczciwie, jego sprawa. Ja mam na głowie dzieci. – Urwała.

W pokoju panowała cisza. Nikt na siebie nie patrzył, nikt nie kwapił się do dyskusji. Emilia uznała, że choć raz w życiu ma prawo zdecydować o sobie. I zaważać o to, by wreszcie żyć, jak sama tego chce.

– Tę resztkę pieniędzy, którą Daniel ci zostawił ostatnim razem, wpłaciłabym na mieszkanie przy Kołłątaja, które znalazł nam Fred. Wyprowadziłabym się, a pracując na tej samej posadzie i nie wchodząc nikomu w drogę, jestem w stanie utrzymać dwoje dzieci. Pod warunkiem że nie będziecie rozgłaszać w mieście, że mam męża kryminalistę.

Spojrzała na Freda oraz teścia dobrotliwie, czekając, aż jej przyklasną.

– To mieszkanie nie jest już dostępne – pierwszy odezwał się Fred.

Głos miał drżący, a jego twarz już po chwili była czerwona jak dojrzały pomidor.

– Co się stało? Lokatorzy się rozmyślili?

Fred bezradnie kręcił głową. Nie miał odwagi powiedzieć nic więcej. Emilia znała go dłużej niż własnego męża i wiedziała, że kłamie. Poczuli się tak, jakby najdroższa osoba wbiła jej sztylet w sam środek brzemiennego brzucha. Nie spodziewała się zdrady ze strony najlepszego przyjaciela. Danielowi tak naprawdę nie wierzyła nigdy, ale z Fredem od dziecka łączyła ją szczególna więź.

– To była naprawdę dobra okazja. – Fred wyczuł jej emocje, więc miotał się i nieświadomie dolewał oliwy do ognia. – Wprawdzie dwadzieścia

osiem metrów, ale przy rynku. Tę kamienicę miasto z pewnością wyremontuje, włącznie z elewacją. Mówi się, że w tym rejonie będzie centralne ogrzewanie.

– Dlaczego więc go nie kupimy? – Emilia prawie płakała.

– Kazałem wycofać nasz wkład. – Lucjan z dumą uniósł podbródek. – Ta forsa jest nam potrzebna teraz w innym celu, córko. I dobrze wiesz, w jakim. Jedynym słusznym. To nasz obowiązek.

– Kazałeś wycofać?! – Emilia krzyczała przez łzy. – Bez porozumienia ze mną?

Odwróciła się oskarżycielsko do Freda.

– A ty nic nie powiedziałaś? Ukryłeś to przede mną?

Fred pochylił głowę, stanął pod ścianą. Miał minę zbitego psa.

– Już teraz ledwie mieścimy się w jednym pokoju! – Emilia z furią natarła na teścia. – Myślisz, że dlaczego są kłopoty z Krystianem? Chłopak nie ma nawet swojego biurka! Ojca prawie nie widuje, bo albo jest w delegacji, albo siedzi. A co będzie, jak urodzi się Krysia? Jak twój wnuk ma się uczyć? Niemowlę będzie wyło całymi nocami!

– Nie będzie tak źle. Nie jesteś sama. Masz nas – uciął temat Lucjan. Podszedł do Emilii, pogładził ją po policzku. – Idź się położyć. Nie wolno ci się denerwować.

– Nie wolno, kurwa, to dlaczego mnie denerwujesz?! To nie ja narobiłam długów. Nie ja fałszuję czekki i udaję biznesmena, choć tak naprawdę kradnę. To nie ja narażam rodzinę na kontakt z bandytami, bo tak trzeba nazwać tego Śpiewaka. Nie ja trafiłam do pudła za to, co nawywijałam. A teraz odmawiasz mi prawa skorzystania z tych pieniędzy? Fred załatwił ten lokal i wiem, że było to bardzo trudne. Masz natychmiast wpłacić wadium i nic mnie nie obchodzi, z czego zapłacisz adwokatom. Nie chcę, żeby twój syn kiedykolwiek wracał!

Wykrzyczała to i poczuła ulgę. Podparła się pod boki i patrzyła na teścia absolutnie pewna, że zgodzi się z jej argumentacją. On jednak odwrócił się do niej plecami, zaczął rozkładać na stole dokumenty, które zamierzał przesłać niemieckim prawnikom.

– Mówiłam coś. – Emilia popukała teścia w plecy. – Słyszałeś?

– To nie są twoje pieniądze – warknął Lucek. – Nie masz prawa nimi dysponować.

Kobieta oniemiała.

– Nie moje? – powtarzała jak zacięta płyta. – Za to te, które ja zarabiam, należą do nas wszystkich? I ja sama do was należę. Jak to krzesło.

Chwyciła mebel i cisnęła nim o podłogę.

– Albo jak te naczynia.

Rzucała nimi z taką siłą, aż jeden z garnków wybił dziurę w linoleum. Fred z Lucjanem z trudem ją obezwładnili. Biła ich po twarzach, kopała i być może skończyłoby się to naprawdę źle, gdyby do mieszkania nie weszła teściowa z wnukiem. Emilia na widok Krystiana natychmiast wzięła się w garść. Chłopiec wyrwał się babci i podbiegł do matki.

– Syneczku, wypuścili cię. Co się stało? – Tulila go jak malucha. –

Dlaczego tak postąpiłeś? Chcesz mi przysporzyć jeszcze więcej siwych włosów? Co w ciebie wstąpiło?

Krystian rozplakał się. Czują, jak jego ciało mięknie, zaczyna przelewać się jej w ramionach. Choć teściowie i Fred protestowali, że w jej stanie to niebezpieczne, wzięła chłopca na ręce i zaniósła do ich maciupeńskiego pokoju. Już teraz ledwie mieściło się tutaj jego łóżko, ich wersalka, której zresztą, by zaoszczędzić na miejscu, Emilia nie rozkładała, jeśli męża nie było w domu. Naprawdę nie wiedziała, gdzie miałyby postawić łóżeczko dla niemowlęcia, a przecież termin porodu tuż-tuż.

– Chłopaki się ze mnie śmieją – wyszeptał chłopiec, kiedy się uspokoił, ale Emilia wciąż nie przestawała głaskać go po głowie. Z kuchni dobiegały ich podniesione głosy kłócących się dziadków i pojednawczy baryton Freda, więc mieli pewność, że nikt ich nie podsłuchuje. – Mówią, że mam ojca kryminalistę i dziadka esbeka.

Emilia westchnęła ciężko.

– A wiesz w ogóle, kto to jest esbek?

Krystian pokręcił głową.

– Ale jakiś podły zwyrodnialec. Wszyscy nim pomiatają. Oni się ze mnie śmieją, mamó! Nie mogłem tego znieść.

Emilia przyglądała się jasnym włosom chłopca, jego lekko zarumienionej od emocji twarzy i wodnistym oczom. Po niej odziedziczył drobną budowę ciała. Nie do wiary, że to chucherko pokonało grubasa wyższego od siebie i z pewnością doświadczonego w bójkach. Delikatnie zdjęła synkowi z nosa okulary w drucianej oprawie. Wadę wzroku Krystian też miał po niej. Daniel nigdy nie potrzebował okularów. Tylko czasami nosił zerówki, by wydać się bardziej odczytanym.

– Trzeba było z tym przyjść do mnie, synku. Albo powiedzieć dziadkowi.

– Byłem u dziadka – potwierdził syn. – Kazał mi sobie poradzić.

Emilia w jednej chwili pojęła wszystko.

– Lucek kazał ci uderzyć drugoklasistę?

– Kazał mi sobie poradzić – upierał się chłopiec. – I tak miał szczęście, że nie zbiłem go tak, jak pokazywał mi dziadek. Tylko go lekko pchnąłem. Nie moja wina, że uderzył się o kant stołu i zemdłał! Nie podrapałem mu kolan. Tydzień temu kradł jabłka na działkach i jak uciekał, skoczył na beton. To nie moja wina! Nie moja! Dlaczego zamknęli mnie w więzieniu dla dzieci? – Znów się rozkleił.

Emilia dotąd starała się trzymać twardo, ale nie wytrzymała i nie bacząc na obecność syna, też wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Wreszcie pojęła swoją rolę w rodzinie. Była zbędnym ogniwem. Nikt się z nią nie liczy, jej zdanie nie obchodzi nikogo. Nie może odejść. Jak sama wychowa dwójkę dzieci? A zresztą dokąd pójdzie? Od lat nie utrzymuje kontaktów z matką. Spotykają się jedynie przed świętami lub jeśli pani mecenas Stawska ma potrzebę załatwić coś poza kolejnością w ZUS-ie. Nigdy nie wybaczyła córce, że dla Daniela rzuciła studia i sprzedała kancelarię ojca w Chełmie, by wyjechać z narzeczoną na Zachód. Do tej pory jest przekonana, że Emilia ukryła przed nią środki ze sprzedaży, bo niemożliwe przecież, by w rok przejeść dorobek życia przodków i jeszcze narobić długów. A tak było w istocie. Kiedy tylko znaleźli się w Londynie, Emilia zaszła w ciążę, a jej stan zdrowia nie pozwalał na pracę fizyczną, innej zaś znaleźć na emigracji nie umiała. Ślub z Danielem wzięli skromny i to tylko po to, żeby Krystian nie urodził się bękartem. Z weselem wciąż zwlekali. Wygląda na to, że nie będzie go wcale. Emilia nigdy wcześniej nie

żałowała, że związała się z Danielem, bo uważała go za miłość swojego życia. Był uroczy, elokwentny, sprytny i pewny siebie, niczym i nikim się nie przejmował, a więc uosabiał te wszystkie cechy, których Emilce brakowało. Ale dziś – bodaj pierwszy raz w życiu – pragnęła znaleźć się we własnym domu. By nikt, choćby najbardziej przychylny człowiek na świecie, jak Fred albo tata Daniela (wiedziała przecież, że obaj starają się jej pomagać, jak umieją), nie zaczepiał jej i nie zagadywał. Marzyła o tym, by decydować o sobie sama, a wciąż działo się coś, co zmuszało ją do robienia tego, co jest dobre dla męża.

– Synku – zwróciła się do Krystiana. – Wiesz, że to, co zrobiłeś, jest bardzo, bardzo złe. Nie wolno bić innych dzieci.

– Dziadek mi kazał.

– A jak dziadek każe ci pójść i kogoś okraść, zrobisz to?

– Tata tak robi – odparł rezolutnie chłopiec. – Może dziadek też mu kazał?

Emilia czuła, że brakuje jej powietrza. Rzuciła potępiającym tonem, choć syn nie odczytał tego jako wyrzut:

– Skąd wiesz, że tata kradnie?

– Wszyscy w szkole mówią, że to nie był jego pierwszy przekręt. Z tym że wcześniej mu się udawało. Teraz zrobił coś większego i wpadł.

– Kto tak mówi?

Chłopiec długo zastanawiał się nad odpowiedzią, aż wreszcie pochylił głowę i wymamrotał:

– Dziadek sam mi o tym opowiadał.

– Dziadek? – Emilia była w szoku.

– Niejeden raz.

– A skąd on może wiedzieć, czym zajmuje się twój ojciec?

– Mówił, że to taka sama ciężka praca jak każda inna, tylko przynosi większe pieniądze. Pytał mnie, czy chcę mieć co jeść, nowe zabawki, nowy dom. Powiedziałem, że tak. Najbardziej chciałbym mieć swój pokój. Wtedy powiedział, że żeby być bogatym, trzeba ryzykować. Jeśli tata nie

zaryzykuje, całe życie będziemy kisili się w tej klicie, bo ty na nowe mieszkanie nigdy nie zarobisz.

– I ty wierzysz dziadkowi?

– Na początku nie bardzo. Nasz tata nie jest bandytą. Jest sympatyczny i wesoły.

Krystian uśmiechnął się promiennie i Emilia zobaczyła w jego twarzy przebłysk własnego bezkrytycznego zachwytu mężem. Aż przeszedł ją dreszcz, bo zrozumiała, że przez te wszystkie lata była jak to dziecko – całkowicie ubezwłasnowolniona, pijana miłością do Daniela, aż odbierało jej rozum. Miała ochotę krzyknąć: „Uciekajmy, synu, nie będziemy brać udziału w machlojkach twojego ojca”, ale nie zrobiła tego, bo wiedziała, że nie wolno jej złamać synowskiego serca, że w tej chwili Krystian potrzebuje usłyszeć coś zgoła odmiennego. A może to ona pragnęła to usłyszeć, choć doskonale wiedziała, że ani jedno słowo nie jest prawdą.

– Twój ojciec jest najuczciwszym z ludzi, jakich znam – oświadczyła, wkładając w te słowa całą nadzieję na lepsze jutro. – Wierzę, że któregoś dnia udowodni to nienawistnikom. Dobrze zrobiłeś, broniąc honoru taty, ale proszę cię, nie bij tego chłopca więcej. Ten przykład wystarczy. Musisz być wzorem dla swojej siostrzyczki.

Położyła dłoń chłopca na swoim brzuchu. Wyrwał ją natychmiast.

– Nie chcę siostrzyczki. Nienawidzę jej! – krzyknął, wybiegając z pokoju. – Będzie się bawiła moimi zabawkami i zajmowała miejsce, którego i tak nie mam.

Emilia nie miała sił się ruszyć. Nie wiedziała, co powiedzieć. Czowała, że ziemia osuwa się jej spod nóg, więc kiedy usłyszała, jak Lucjan obiecuje pokazać Krystianowi rewolwer i wyprowadza go z mieszkania, położyła się na boku i podkuliła nogi, jakby było jej zimno.

– Wiem, co czujesz. – Wszedł Fred. – To się unormuje. Krystian po prostu tęskni za ojcem. Jak Daniel wróci, wszystko się ułoży – powtarzał.

– Jest w porządku, Fred – odparła, ale nie wstawiała.

Zamknęła oczy.

– Tylko się nie denerwuj, żeby to znów się nie stało.

Podniosła powieki, zmierzyła przyjaciela czujnym spojrzeniem.

– Co miałyby się stać, Fred?

Mężczyzna przestępował z nogi na nogę, wyginał palce.

– Poronienie – wyszeptał w końcu.

– Masz jakąś obsesję. Nic mi nie jest.

– Nie darowałbym sobie. Obiecałem Danielowi, że będę nad wami czuwał. Wiem, że ostatnio bardzo to przeżyliście.

Emilia przyglądała się Fredowi, a ponieważ w tym domu był jedyną prawdziwą osobą, z nią włącznie, zrozumiała, że świat dostarcza jej właśnie nowych danych.

– Daniel ci powiedział?

Fred potwierdził zawstydzony.

– Nie dopytywałem się, naprawdę.

– Kiedy ci powiedział?

– Tuż przed wyjazdem. Bardzo mi przykro. Tak się ucieszyłem, że udało ci się donosić następną ciążę.

– To dlatego wtedy odwołaliście przyjęcie? – Emilia podpuszczała Freda dalej.

– Byłoby to niestosowne. Nawet chcieliśmy jechać do szpitala, ale Daniel nam wyperswadował. Wiem, że źle się czułaś, ale ja nie wiedziałbym, jak ci pomóc...

Emilia zamyśliła się.

– Sądziłam, że się gniewacie. Miałam żal do Agi, że nie zadzwoniła.

– Naprawdę? – Fred przeraził się nie na żarty. – Nie wiedzieliśmy.

Emilia usiadła, podwinęła nogi po turecku, uśmiechnęła się dziwnie.

– Ja też nie wiedziałam, że poroniłam. Ani że odwołaliście zaproszenie, bo Daniel zapewniał, że przyjęcie przeciągnęło się do wtorku. Jak wiele zła wynika z nieporozumień.

Fred mrugał, nic nie pojmując. Znów się zarumienił, kiedy Emilia przytuliła się do niego, a potem pocałowała go w usta i szeroko się uśmiechnęła.

– Słuchaj, on mnie zdradza, prawda?

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Mężczyzna był tak piękny, że Natasza nie mogła oderwać od niego wzroku. Przyglądała się jego regularnym rysom, wysokim kościom policzkowym i ptasim oczom wykrojonym pod brwiami w kształcie skrzydła jaskółki. Fryzura mimo zacinającego deszczu nie oklapła, wciąż zachowywała kształt jak wycięta z żurnala. Kąciki ust unosiły się delikatnie, jakby za chwilę miał się uśmiechnąć, i nie mogła się doczekać, aż to nastąpi. Z trudem hamowała narastające podniecenie. Wiedziała, że odpowie mu uśmiechem. Zatonęła w jego hipnotycznym spojrzeniu. Wtedy podniósł długie palce do twarzy, pewnym ruchem chwycił się pod brodę i zerwał maskę. Pod nią nie było zupełnie nic. Rozmyta przestrzeń zamiast twarzy, kształt ledwie.

Chciała uciekać, ale nie mogła zrobić kroku. Zapadła się w sobie, lekko drżała. Nagle dostrzegła, że po jego ciele maszerują wielonożne skolopendry, rojące się larwy, małe wiję, na które on zupełnie nie zwracał uwagi. Pojęła, że robaki były tam cały czas i tylko ona dotąd ich nie zauważyła. Daniel znów, jakby kpiąc, założył swoją perfekcyjną maskę. Zdejmował twarz i nakładał, czasami dopasowywał, by wchodziła na miejsce. Natasza czuła, że jej ciało wpada w konwulsje, żołądek podchodzi do gardła, ale nie mogła zwymiotować. On zaś wspaniale bawił się jej przerażeniem. Na zmianę miała przed oczyma uśmiech i czystą planszę zamiast jego twarzy. I nie wiedziała już, który z nich jest prawdziwy. Nie była pewna, czy on to wiedział.

Ocknęła się.

Była w ramionach Daniela, który wnosił ją do sypialni. Poczowała dreszcz grozy: miał identyczną minę jak w jej wizji. Tylko czekała, aż zrobi ten ruch, jakby rozsuwał zamek pod brodą, i zdejmie maskę. Odwróciła głowę, by ponownie nie zemdleć.

Tafla jeziora otoczonego skałami przypominała srebrną folię bez jednej zmarszczki, niebo prześwitywało soczystym indygo. W porannej mgłę wstawał brzask. Słońce przejmowało władzę nad światem, choć księżyc

w imponującej pełni wciąż wisiał majestatycznie w samym centrum wielkiego okna.

– Pojechali? – szepnęła i objęła go mocniej.

– Godzinę temu – odparł zniecierpliwiony.

Jeszcze nigdy nie wydał się jej tak zimny i daleki. Ułożył ją na łożu z baldachimem, na którym przed wyjściem porozwieszała swoje kreacje. W tym świetle wyglądały jak monstrualne ptaszyska czające się na nią z każdej strony, aż musiała przymknąć oczy, by to znieść. Nie odważyła się poprosić, by zapalił światło, bo stanął w oknie odwrócony do niej plecami. Czowała, że się na nią gniewa.

– Mało brakowało, a wszystko byś popsowała.

Schowała się pod kołdrę. Powoli zdejmowała sukienkę. Rzuciła ją na podłogę jak marny kawałek szmatki. Nie rozumiała, co wcześniej ją tak ekscytowało, kiedy chodzili po butikach. Znów bolała ją głowa. Była cała mokra od potu, ale chociaż szczykała zębami z wychłodzenia, nie poprosiła o gorącą wodę, którą zawsze podawała jej w takich sytuacjach mama. Bała się go. Nie wiedziała zupełnie, co zaszło, w czym mu uchybiła. Czarujący, słodki kochanek znikł bezpowrotnie. Zamiast niego w pokoju była góra lodu obleczona w doskonałe ciało.

– Jak długo byłam nieprzytomna?

– Nie wiem – odparł wrogo. – Wasyl zorientował się, dopiero kiedy skończył przygotowywać papiery.

– Podpisałam je?

Odwrócił się gwałtownie. W zmrużonych oczach dostrzegła gniew.

– Jak mogłaś się tak upić? Po tym wszystkim, co udało nam się uzyskać!

Pochyliła głowę.

– Nie piłam dotąd za często. Właściwie nie piję wcale. Alkohol mi nie służy.

– Szkoda, że nie uprzedziłaś.

Bała się odezwać. Sięgnęła po narzutę i zaczęła naciągać ją na kołdrę. Pożądliwie wpatrywała się w koc leżący na krześle, a on nie kwapił się, by go jej podać. Zaciśnęła usta i skuliła się, licząc, że za chwilę się rozgrzeje.

– Możesz zamknąć okno?

– Nie przesadzaj, od upału ledwie da się oddychać – odburknął. – To miał być szybki interes. Potrzebowaliśmy ich pieniędzy na podróż do Monako.

– Może uda się zaprosić ich jeszcze raz? – zaczęła pojednawczo. – Albo my pojedziemy.

– Do Moskwy? Chyba oszalałaś. Nie mam tyle czasu.

– Ja tym bardziej – oświadczyła twardo, lecz nie zwrócił uwagi na jej ton.

Zatrzasnął okno.

– Podpisałem za ciebie. Dobrze, że od nieprzytomnej też da się pobrać odciski, bobyśmy całkiem leżeli.

– Sfałszowałeś mój podpis?

– To chyba lepiej, niż gdybyś ty miała to zrobić? Nie nazywasz się von Hochberg.

– Ty też nie.

Uśmiechnął się pogardliwie, aż poczuła mrowienie na karku.

– Ta wiedza nie przeszkadzała ci udawać księżnej przed cesarzową słoniny i trzeba przyznać, że jak na pierwszy raz poszło ci nieźle.

Wskazał suknie wiszące na baldachimie, a potem jej bagaże pełne biżuterii, kosmetyków i perfum.

– Myślisz, że to przychodzi za darmo?

Nie wierzyła, że to powiedział. Nie chciała tego usłyszeć, ale się stało. Żadne z nich nie mogło cofnąć znaczenia tych słów. Jakby uderzył ją w twarz i poprawił kopniakiem.

– Nie potrzebuję tych rzeczy. Zabierz je i sprzedaj.

– Jesteś dzieckiem. – Roześmiał się. – Zdrzemnij się kilka godzin. W drodze porozmawiamy.

I wymaszerował z pokoju, nie odwracając się. Pierwszy raz, odkąd wyjechali z Polski, Natasza poczuła się naprawdę sama. Pomyślała, że powinna uciekać. Wyjechać bez słowa, zapomnieć. Nie potrafiła.

Oszukiwała się, że nie ma siły na tak daleką podróż, a to były jedynie alkoholowe zwidy. Ale tak naprawdę w tej chwili zrozumiała, że od początku pragnęła od niego tylko jednego. By odebrał jej nadzieję. Dopiero wtedy będzie mogła pogodzić się ze stratą i odejść w spokoju. Choć każde z nich miało inne cele, dawali sobie to, co mieli najlepszego. Dlatego została.

Yanka obudził jazgot startującego helikoptera. Widział, jak uczestnicy biesiady opuszczają taras i nikną w głębi willi, więc kiedy tylko zapadła noc, a świece się wypaliły, podkradł się, by zjeść resztki ze stołu. Uczta była godna, a goście zajęci innymi sprawami ledwie spróbowali potraw, więc Yanek najadł się do syta. Siedział teraz na honorowym miejscu, które wcześniej zajmowała kobieta w futrze, i palił kolejnego papierosa. Nie spuszczał wzroku z okien rezydencji. Widział bardzo wyraźnie, jak Daniel niesie śpiącą dziewczynę do sypialni, a potem pakuje bagaże do auta. Kręcił się do świtu i dopiero kiedy już wszystko było gotowe, wszedł pod prysznic, o czym Yanek na bieżąco donosił Larze. Miał satysfakcję, że Polka zaliczy nieprzespaną noc. Nie musiała przecież wiedzieć, że on sam wyspał się na łóżku wodnym, a teraz popija szampana. Kiedy wszystkie światła w budynku zgasły, zdecydował, że czas wejść do rezydencji – od wody ciągnęło już chłodem. Ruszył wzdłuż budynku, szukając otwartych okien, ale za żadne skarby nie przedostałby się przez ani jedno z nich. Płuł sobie w brodę, że nie skorzystał z okazji, kiedy drzwi na taras stały otworem i mógł ukryć się w jednym z opustoszałych pomieszczeń, bo teraz nie miał wyjścia – musiał się wspinać po balkonach. Nie był pewien, którą sypialnię zajął dla siebie Daniel oraz czy dziewczyna zasnęła. Nie chciał, by wzięła go za napastnika i narobiła niepotrzebnego hałasu. Jej przecież nie może spaść z głowy nawet jeden włos. Kiedy tak szedł przyklejony do ściany, obmyślając, jak by tu wdrapać się na gzyms, drzwi tarasowe otworzyły się i stanął w nich Skalski z cygarem w dłoni, odziany jedynie w szlafrok. Rozłożył ramiona, przeciągnął się i zaryczał jak dzikie zwierzę. Yanek znieruchomiał.

– Wyłaź, Matensky – usłyszał ojczystą mowę. – Widziałem na monitoringu twój samochód pod bramą.

Zeskoczył z balkonu i zbliżył się do Daniela. Spojrzał na niego z góry, ale Polak nie okazał lęku.

– Myślałem, że nasze sprawy są skończone – rzekł flegmatycznie. – Nowych z tobą nie planuję.

Podsunał Yankowi pudełko cygar i wszedł do salonu, klapiąc japonkami.

– Idziesz czy będziesz się tak gapił? – Ciaśniej zawiązał szlafrok. – Nie jestem gejem.

Usiedli w skórzanych fotelach. Skalski nalał po porządnej dawce burbonu i podał gościowi.

– VAL czy admirał? – spytał.

Niemiec odstawił szklanę na stolik. Odłożył swój plecak.

– Wolf?

Yanek nadal nie odpowiadał.

– Chodzi o Jelizawietę? – Daniel wskazał nieokreślone miejsce nad głową, a potem udał, że kręci śmigłem. – Już po ptokach. Przespałeś szansę, wybrała mnie. Możesz przekazać Gary’emu, że stracił klientkę. Czy kto cię tam wysłał...

– Chodzi o dziewczynę. – Yanek skierował wskazujący palec w drzwi korytarza. – Pannę Szwarz. Tak się chyba nazywa.

– Co z nią? – zdziwił się Daniel.

– Mamusia i tatuś za nią tęsknią.

Daniel roześmiał się.

– Od kiedy prowadzisz ochronkę dla dzieci na gigancie?

– Odkąd wyszedłeś. Mniej więcej.

Daniel upił porządny łyk, przymknął oczy. Wyglądał, jakby zamierzał uciąć sobie drzemkę, ale to był tylko moment. Wbił czujne spojrzenie w Yanka.

– Zostań na śniadaniu, prześpij się – rzekł, nie kryjąc wrogości. –

Wszyscy mieliśmy ciężką noc. Kiedy Natasza się obudzi, spytasz, czy z tobą pojedzie. Nie będę jej wstrzymywał, aż tak mi nie zależy. Chyba jednak znam jej odpowiedź.

– I o Gertrud. – Yanek wszedł mu w słowo. – Widziałem, że ruscy kasy nie zostawili, więc przydałoby ci się parę dolców. Jeśli oddasz Nataszę, zrobisz interes z Jelizawietą. W przeciwnym razie nici z moskiewskiego hajsu.

Zapadła cisza.

– Też mam swój monitoring – kontynuował z satysfakcją Yanek. – Poza ochronką wciąż prowadzę interesy. Miłość albo forsa – wybieraj.

– Nie wiem, gdzie jest twoja siostra, a jej doli nie mam – zaczął łagodnie Daniel. – Możesz to przekazać mocodawcom.

– Przekażę. – Yanek podszedł do okna. – Chociaż i tak wiem, że Wolf ma wszystko. Jestem z nim w kontakcie.

Daniel nabrał potężny haust powietrza.

– Więc czego się za mną płaczesz? Wracaj do swoich.

– Oddaj dziewczynę.

– A bierz ją, jeśli cię zechce! – Daniel podniósł głos. – Jednak dopiero jak załatwimy sprawę.

– Jej rodzice chcą zapłacić.

Daniel długo trawił dane.

– Nie ma mowy – odparł w końcu. – Jest mi potrzebna.

– Rollo cię szuka. Mogę mu nadać, gdzieś się ukrył. – Yanek udał, że się rozgląda. – Może już tu jest. – Przerwał.

Daniel skrzywił się z powątpiewaniem.

– VAL się ucieszy. – Bawił się dalej Yanek. – Admirał tym bardziej. I od polskiej prokuratury dostałbym jakiś bonus.

– Ile płacą Szwarcowie?

– Podaj swoją cenę. Powiem ci, czy to realne.

– Połowa dla ciebie? – odgadł Daniel.

Yanek skwapliwie potwierdził.

– Tak naprawdę siostra nigdy cię nie obchodziła – wtrącił Skalski i zaraz dodał: – Bańka. I sześćdziesiąt do czterdziestu dla mnie.

– Oferują maksymalnie połowę. Złoty, nie dolarów.

Daniel długo myślał.

– Zróbmy razem interes z królową słoniny. Ten sam haracz dla ciebie. Jelizawieta obiecała milion dolców i wozi je ze sobą. Jak tylko zgarniemy kesz, odstawisz małą do domu.

Yanek wyciągnął rękę. Dobili targu.

– Pośpiesz się – zaznaczył Niemiec. – Nie uda mi się zwodzić Polaków zbyt długo.

Daniel ziewnął.

– Jak będziesz siedział mi na ogonie, postaraj się nie przeszkadzać.

– Tym razem się rozliczysz. – Yanek jednym susem podskoczył do Daniela. Przystawił mu nóż do szyi. – Ze mną. Resztę możesz dymać, jak chcesz.

Daniel strząsnął Niemca z obrzydzeniem, jakby oganiał się przed wściekłym psem, ale atak przeraził go i nie potrafił tego ukryć. Zawsze brzydził się otwartą agresją i nie umiał się bić. Do swojej sypialni ruszył na miękkich nogach. Sięgnął po komórkę. „Bez ciebie nic nie ma sensu. Nie istnieję. Porozmawiajmy, proszę...” – wystukał i znalazł w kontaktach numer Darii. Nacisnął „wyślij”. Sekundę później otrzymał raport: „wiadomość odebrana”. Widział, że dziewczyna pisze odpowiedź. Upredził ją i wysłał serduszko.

Mniej więcej w tym samym czasie Lara otrzymała esemes od Janka:

„Odmówił. Podwoić stawkę?”.

Nataszę obudziło delikatne muśnięcie. Sądziła, że to promienie słońca łechcą jej twarz, bo okna były otwarte na oścież, a z zewnątrz dobiegały ptasie trele. Kiedy uniosła powieki, dostrzegła Daniela w stroju do biegania i z ręcznikiem na szyi. Siedział na skraju łóżka, wpatrując się w nią z łagodnym uśmiechem, aż poczuła błogość. Zdało się jej, że wszystkie nocne zdarzenia były jedynie koszmarem.

– Wybaczysz mi? – Kochanek spuścił wzrok jak zawstydzona kobieta, a następnie chwycił tacę z kawą, chrupiącymi cantucci i świeżo

wyciśniętym sokiem pomarańczowym. Postawił śniadanie na przenośnym stoliku. – Nie byłem wczoraj sobą.

Natasza sięgnęła po filizankę, upiła łyk i uśmiechnęła się.

– Sam upiekłeś?

– Byłem w miasteczku zatankować – odparł zadowolony, że temat mają zamknięty, i odważył się pogłodzić dziewczynę po twarzy.

Pojęła, że to jego dłoń muskała ją, kiedy znajdowała się między jawą a snem, przymknęła powieki i wyciągnęła szyję jak kot spragniony głasków. Znowu czuła się z nim bezpiecznie.

– Znalazłem też to.

Pomiędzy talerzykami ułożył ilustrowany folder. Tylko dlatego, że pieszczoty się skończyły, Natasza otworzyła oczy. Liczyła, że ją pocałuje, zaczną się kochać, ale wyglądało na to, że chciał tylko, by przeczytała gazetę. Z trudem ukryła zawód.

– Ślub cywilny nad jeziorem Garda. – Spojrzała pytająco na Daniela, ale jego czarne oczy pozostały nieruchome. Kontynuowała: – Riviera degli Olivi położona w najszerszym punkcie jeziora ma przepiękną panoramę na Dolomity i półwysep Sirmione. Ceremonie ślubne celebrowane są tutaj w salach rady gminnej.

Odłożyła katalog.

– Co to ma znaczyć?

Zdjął swój sygnet z herbem i podał jej.

– Nie mam chwilowo nic innego.

– To mają być oświadczyzny?

Rzucił się na kolana. Jego oczy rozbłysły, przypominały wilgotne węgle. Natasza odsunęła się aż pod ścianę. Była blada, oczy wytrzeszczyła, jakby zobaczyła upiora. Wróciły flesze ze snu, kiedy zdejmował maskę.

– Wyjdiesz za mnie?

– Przestań – powtarzała. – To nie jest śmieszne.

Wstał wyraźnie urażony. Założył swój sygnet z powrotem na palec. Natasza wpatrywała się w jego nachmurzoną twarz i żałowała, że nie powiedziała „tak”. Ale nie mogła. Znowu się go bała.

– Nie możemy się pobrać – tłumaczyła bezładnie. – Umawialiśmy się inaczej. Wczoraj to były żarty?

– Nie żarty – odparł takim tonem, że Natasza poczuła w klatce piersiowej ból, jakby skierował tam ostrze. – Ty żartowałaś?

– Znamy się cztery dni! A ty masz żonę!

– Co z tego?

– To z tego, że to bigamia.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się szelmowsko.

– Jesteś zazdrosna?

– Chciałbyś.

– Nie jesteś?

– Nie zastanawiałam się nad tym – przyznała i wybuchnęła dzikim, szyderym śmiechem. – Jesteś nienormalny! A ta kobieta, u której nocowaliśmy przed wyjazdem? Ona ma z tobą dziecko. Jest naprawdę małe, widziałam łódeczko. Co z nią? Jej też się oświadczyłeś?

– Prawie. W Monte Carlo.

– A ja prawie jestem dziewicą.

– Chyba przesadzasz.

– Z tego, co wiem, polskie prawo nie zezwala na wielożeństwo. Panie Skalski, jesteś żonaty. Koniec, kropka.

– A gdybym nie był?

Natasza zawahała się.

– Gdybyśmy mieli więcej czasu, w innym czasie, w innym życiu... – zaczęła, ale nie dał jej dokończyć.

Znów ukląkł, pochylił się i pocałował ją. Natasza nie pojmowała sensu jego dalszych słów, bo w brzuchu miała tornado emocji.

– Daniel Skalski ma żonę, ale Dany von Hochberg jeszcze nie – szeptał i podniósł jej dłoń do ust, a potem, nim zdążyła zareagować, wsunął na jej serdeczny palec swój sygnet. – Zobacz, tylko trochę za duży.

– Tak, do cholery, tak! – krzyknęła. – Nie mam przecież nic do stracenia.

Odsunął się, nie wypuszczając jej rąk ze swoich, wpatrywał się w nią z zachwytem i mówił jak nakręcony:

– Wydrukujemy błękitne zaproszenia jak niebo nad tym jeziorem. Litery będą złote jak to słońce, które zawsze będzie rozgrzewało naszą miłość. Zrobimy wielkie przyjęcie, ogromne. A potem popłyniemy w rejs i będziemy się kochać w każdej zatoce. Niech cały świat nam zazdrości!

– Co ty mówisz? – zdziwiła się. – Przecież nie możemy zawiadomić nikogo.

– Ależ zaproś, kogo chcesz. Rodziców, wredne kuzynki, potomstwo pociotków – śmiał się. – Byle tylko sami zapłacili za podróż do Włoch.

Natasza była skołowana. Na zmianę oblewało ją gorąco i zimno. Bardzo chciała wierzyć w to, co mówi Daniel, i jednocześnie jakiś chochlik w głowie podpowiadał jej, że to nadal jedynie sen. Za chwilę się obudzi i wsiądzie do auta. Znajdą się na autostradzie, znów będą jechać w nieznaną. A potem, nie wiedziała kiedy, ale czuła, że już niebawem, po prostu zniknie, zgaśnie na zawsze. To nie może boleć, pocieszała się. Będzie coraz słabsza, będzie czuła coraz mniej. Po prostu tak, jakby padła jej bateria.

– Cieszysz się? – dopytywał. – Bo ja jak skurwysyn. Czekałem na ciebie całe życie.

Podniosła głowę i Daniel zobaczył, że Natasza płacze. A może lekarze się pomylili, myślała szybko, może to jest prezent od losu. Dar za to, że tak niewiele mi zostało?

– Mówiłeś, że wyjeżdżamy, musimy się ukrywać i nikt, dosłownie nikt, nie może wiedzieć, gdzie jesteśmy – mówiła przez łzy.

– Zmieniłem zdanie – zapewnił drżącym głosem. – Wiem, że przy tobie będę szczęśliwy. I ja też się zmienię. Zobaczysz.

– A twój interes?

– Może poczekać.

– Jesteś niesamowity. Bądź taki do końca, obiecaj. Cokolwiek będzie się działo, ten czas chcę spędzić z tobą.

– Wreszcie mówisz z sensem. I nie rycz już, bo będziemy szczęśliwi. Chciałbym ci pokazać cały świat. Tyle jeszcze możemy przeżyć!

– To śpieszmy się, panie Hochberg, bo ja w przeciwieństwie do twoich interesów nie mogę czekać.

Wyskoczyła spod kołdry, by się ubrać, ale powstrzymał ją i zaniósł z powrotem do łóżka.

Śliwniki pod Kaliszem, Polska, czerwiec 2000

Sędzia zagwizdał i rozpoczął się czwarty czaker. Zawodnicy spięli świeżo zmienione, wypoczęte konie i oczy zgromadzonych podążyły za swoimi faworytami turnieju Neo Polo Cup. Tylko jedna twarz pozostała nieruchoma. Mimo upału mężczyzna miał na głowie melonik, a oczy przysłaniały mu czarne okulary. U jego prawicy stała przeraźliwie szczupła kobieta, co jeszcze bardziej podkreślała jej długa do kostek suknia w kolorze bakłażana i kapelusz z ogromnym rondem – strój cokolwiek nieadekwatny na taką okazję, lecz zwracający powszechną uwagę. Zresztą oboje wyglądali, jakby wyskoczyli z innej bajki.

– Znów doliczył trzydzieści sekund, żeby mogli dokończyć akcję – narzekła kobieta teatralnym szeptem, tak by wszyscy mogli ją usłyszeć, choć mówiła po niemiecku. – Sędzia kalosz.

– Kto prowadzi?

– Lolo & Friends.

– Co z Neo?

– Odpadają.

– To niemożliwe! – Mężczyzna wbił czubek swojej łaski w murawę. – Pomyliłaś się, Carlo. Przecież ten facet jest urodzonym Persem.

– Nic o tym nie wiem – obruszyła się i jednocześnie starała się ściągnąć wzrokiem przystojnego trenera grupy Neo. Jej starania zostały wynagrodzone, więc na pytania towarzysza odpowiadała, stosując długie pauzy. – W katalogu było napisane, że to Polak, mieszkaniec Kępna i biznesmen.

– A kim miałyby być, jeśli nie biznesmenem. Do takiej rozgrywki potrzeba siedmiu zmian koni. To sport królów. Nie z powodu stopnia trudności, lecz kosztów.

– Pewnie jak zawsze masz rację, skarbie. – Zaczęła szukać w torebce puderniczki.

– Co się dzieje?

– Kolejna przerwa. Teraz będzie ta środkowa, najdłuższa. Wolf, nie uwierzysz: jakiś wariat ma grabie i doprowadza do porządku nawierzchnię. Inny czyści końskie kopyta! Czy wyobrażasz sobie coś takiego w trakcie meczu futbolowego? – dziwiła się.

– Nie cierpię piłki nożnej – mruknął Wolf. – Prymitywna rozrywka.

Carla nie słuchała. Wzrokiem kokietowała przystojniaka od Neo.

– I świetnie. Niech sprzątają, niech sobie plotkują. Nigdy nie przepadałam za oglądaniem meczy. W końcu mogę chwilę posiedzieć.

Klapnęła z impetem na krzesło, aż Wolf się wzdrygnął.

– Kto wszedł na murawę?

– O Dżizas, chyba połowa ludzi tam wlaźła! Ty słuchaj, naprawdę nic się nie dzieje. Oni poszli tam, żeby sobie pogadać.

– Widzisz Neo?

– Tak, stoi z tym przystojnym trenerem.

– Idź do niego.

– Sama? – Carla zaczerwieniła się, jakby Wolf czytał w jej myślach. – A ty?

– Zaczekam tutaj. Idź, poflirtuj z nim, przecież masz ochotę. Zapytaj, czy French odzywał się z propozycją, bo słyszałaś, że wyszedł ze szpitala. Albo nie, tego nie mów. I tak nie powie prawdy. Dowiedz się, czy Narcis wciąż jest w grze i czy Rockefeller złożył mu propozycję. Jeśli nie, zaneć, żeby zagrał z nami, a nie z Solgevarem, który już jest spalony. Powiedz o naszym funduszu w White Horse Trust Liberia LTD.

– Nie zapamiętam tego wszystkiego – zaniepokoiła się. – Ale Narcis? Sądziłam, że nie znosisz futbolu.

– W interesach znoszę wszystko poza zdradą.

Carla nie odpowiedziała. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie jej to wypominał.

– Wobec tego będziesz zmuszona słuchać moich banialuk. – Wolf wstał, podał Carli ramię. W drugą rękę wziął laseczkę. – Kiedy zacznę roztaczać pawie ogon, obserwuj jego twarz. Interesuje mnie wyłącznie to, jak zareaguje na wieść o Frenchu. Ale czuję, że jeśli poszłabyś sama,

zdobylibyśmy potrzebną wiedzę znacznie szybciej. Masz dziś piękny kapelusz.

Kolejny raz ją zaskoczył. Wiedział, że się zastanawia, skąd może to wiedzieć. A on jedynie słyszał, jak żona poprawia nakrycie głowy, a dzięki temu, że wstążki, wirując, łaskotały go w policzek, wiedział, w którą stronę się odwraca.

– Na co patrzysz?

– Do Neo podeszła obłądna kobieta – odparła zrezygnowana i dodała z satysfakcją: – Choć już niemłoda.

– Gertrud?

– Uważasz ją za ładną? – oburzyła się Carla.

– Trudno ocenić – wykręcał się Wolf. – Kiedy jeszcze widziałem, stuknęła jej ledwie trzydziestka. Było na co popatrzeć. Miała styl, choć nie nazwałbym jej obłądną.

Carla zastanawiała się. Powoli składała w myślach strzępki danych.

– Zdawało mi się, że poznaliście się u mnie w galerii – zaatakowała. – Wtedy już nie mogłeś jej docenić.

Wolf miał dosyć tej dyskusji.

– Może to kwestia głosu – wykpił się.

– Chyba lepiej będzie, jeśli to ty przystąpisz do ataku – naburmuszyła się Carla, a Wolf szczerze pożałował, że tak łatwo dał się złapać na kłamstwie.

Cóż, był po prostu przekonany, że jeśli French wróci do gry, na zwiad wyśle najpierw żonę. Dawno nie było go na rynku, a musi przecież wy badać, jak kształtuje się obecnie sytuacja i kto rozdaje karty. W każdym razie Wolf tak by zrobił. Gdyby oczywiście miał za żonę Gertrud, nie Carłę.

– Idź, działaj, ukochana. – Pchnął kobietę delikatnie do przodu. – Drugiej tak dobrej okazji nie będzie.

– A ona?

– Czy mogłaby być dla ciebie konkurencją, o bogini? – Uśmiechnął się łobuzersko.

– Jest naprawdę niegorsza i nie tylko Noe się do niej klei.

Wolf myślał szybko.

– Chuda jak patyk? Kasztanowe włosy?

– Bardziej miodowe. Chyba nigdy nie widziały fryzjera, bo brwi i rzęsy też ma rude. Robią efekt.

– Aha. – Wolf udał, że szuka w zakamarkach pamięci: – Przeciwsłoneczne okulary, niechlujny strój, ale w żakiecie, na obcasach i obwieszona złotem?

– Dokładnie! – potwierdziła Carla. – Kto to jest?

– Nikt istotny. – Wolf machnął lekceważąco ręką, ale Carla wiedziała, że nie mówi prawdy. – Kochanka takiego Chińczyka, Kevina Longa, zwanego Tintinem. Pewnie teraz obrabia ją ktoś inny.

– Jak ty się wyrażasz? – Carla nie mogła przepuścić okazji, by choć trochę nie postrofować męża. – Jeszcze ktoś ją zna i usłyszy.

– Bardzo wielu graczy i kibiców polo zna Emmę Pulaski. O tym mogę cię zapewnić. Całe złoto, jakie ta dama ma na sobie, pochodzi od nich. Czy na lewym przegubie nosi wielką bransoletę z szafirami?

– Nie.

– Znaczy, że dzisiejszego wieczoru jest wolna i szuka jelenia.

– Zaczynam być zazdrosna.

– Niepotrzebnie.

– Spałeś z nią?

– Oczywiście – potwierdził Wolf. – Emma ciężko pracowała na swoją złą sławę, ale w moim odczuciu jest przeceniana. Choć ona sama uważa się za nieśmiertelną. Już dawno powinna była wyjść za kóregoś z tych bubków.

– Może za ciebie?

– Nie byłem wystarczająco majątny, skarbie, ale French i owszem. Kiedy miał hosę, wszyscy tego mariażu wyczekiwali.

– Przecież on jest mężem Gertrud.

– Właśnie o tym mówię. Emma położyła temat i z trudem przełknęła porażkę. Przeceniła własne siły, nie doceniła przeciwnika. Jeszcze

niedawno French był na rynku numerem jeden. Błyszcząca legenda, samotny milioner, który żyje wyłącznie pracą. Może jego sytuacja wyglądałaby dziś inaczej, gdyby postawił na właściwą kobietę.

– Co masz na myśli? – zaciekała się Carla. – Nie sądziłam, że Gertrud to jakaś sztuka. Szczerze mówiąc, nigdy z nią nie rozmawiałam. Ot, zwykła dziwka, która robi się na George Sand.

– Bo i nie liczyła się wcale. W przeciwieństwie do Emmy – ulubienicy admirała Slaatsa i jego przydupasów.

– Jak to się stało, że takie nic z Essen wygryzło królową nocy? – dopytywała się coraz bardziej zaintrygowana Carla.

– Miłość – odparł Wolf. – Gary się zakochał. Podobno z wzajemnością. Oboje słono za te amory zapłacili. Nie wiem, które straciło więcej. Pożyjemy, zobaczymy.

Wolf potarł nadgarstki, jakby z przegubów dopiero zdjęto mu kajdanki, a potem zrobił gest, jakby próbował przegonić Carlę na boisko.

– Dowiedz się jak najwięcej. Pamiętaj, że Noe przegrywają. Są spięci i myślą tylko o punktach.

Kwadrans później Wolf poczuł, że ktoś przesuwając krzesło obok i zajmuje je z pewnym rozleniwieniem, które cechuje zwykle pewne siebie, piękne kobiety. Następnie dobiegła go woń jaśminu i róży oraz czegoś wytrawnego, może skóra, zapach stajni. Perfumy były drogie i dopasowane indywidualnie. Wolf z łatwością przypomniał sobie ten zapach. Natychmiast wyobraził sobie smukłą kibić Emmy Pulaski i jej bezwstydną śmiech, który zawsze go rozczulał. Dlatego zdziwił się, kiedy zamiast melasy Emmy wlał mu się do ucha skrzekliwy męski charkot.

– Już myślałem, że końska twarz sobie nie pójdzie.

Wolf nie zareagował. Nie poruszył się. Starł się nie oddychać, jakby uwaga nie była przeznaczona dla niego.

– Nie pamięta mnie pan?

– Nie widzę – odezwał się wreszcie martwo Wolf. – Podanie nazwiska ułatwia sprawę tym, którzy chcą być rozpoznani przez ślepcę.

– Nie mam pamięci do nazwisk – odrzekł mężczyzna. – Ale pana pracownik niezłe się nami zabawił.

– Doprawdy?

– Ta hucpa będzie kosztowała pana Daniela okrągłą bańkę zielonych, bo choć wziął zaliczki na sto osiemdziesiąt tysięcy PLN, zostawił nam czek.

Wolf wykrzywił usta w grymasie, który na jego twarzy zupełnie nie przypominał uśmiechu, choć zapewne miał nim być.

– Co za głupiec.

– Zamierzamy go zrealizować.

– Panowie są jeszcze głupszy niż ten bęcwał. Sprawdziliście dobrze ten kawałek papieru? Bo za to zwykle dostaje się kraty w oknach.

Zapadła cisza.

– Pan Lepki i jego wspólnik, prawda? – Wolf udał, że rozwiązał zagadkę, a przedłużające się milczenie utwierdziło go w przekonaniu, że ma rację.

Bardzo żałował, że nie ma z nim teraz Carli. Chciałby zawołać Nikolaya, ale nieproszeni goście uznaliby, że stara się ich przegonić, buduje fortyfikacje, a na szybkim dysku Wolfa powstał teraz całkiem nowy plan, uwzględniający nadarzącą się okazję.

– Nie znamy panów z fabryki DrFROST osobiście – usłyszał nagle. – Ale o nich słyszeliśmy. Jak dotąd wypłacili Danielowi dwieście trzydzieści tysięcy, czyli trochę więcej niż my, choć są w gorszej sytuacji. Ich czek jest fałszywy. Nasz został potwierdzony przez bank w Teksasie, choć placówka już nie istnieje.

– To się kupy nie trzyma – fuknął Wolf. – Idźcie do Daniela. Czego chcecie od kaleki?

– Niech pan przestanie bajdurzyć. Wiemy, że jesteście w zмовie. Skalski sam nas do ciebie skierował, Igy.

– A w czym miałbym pomóc? – Tym razem twarz niewidomego pozostała nieruchoma. – Panu Lepkiemu od początku klarowałem, że kredytu nie dostaną. Siedem jednostek analizowało biznesplan fabryki mrozonek i wszystkie wydały decyzję odmowną. Cudów nie czynię. Gdybym to potrafił, zafundowałbym sobie wpierw oczy.

– Daniel jest za granicą. Musi tam zostać, aby dopiąć jakiś interes.

– Tak, wiem o tym – przyznał Wolf. – Słyszałem, że nieprędko wróci. Niech się panowie nie spodziewają, że w najbliższym czasie załatwi wam linię kredytową. Z miejsca, w którym się obecnie znajduje, to niemożliwe. Nie ma tam dostępu do sieci. Dzicz kompletna.

– A więc to prawda? – W głosie rozmówcy słyszalna była ulga. – Nam mówił to samo i zasugerował, aby to pan skończył transakcję. Mamy wszystkie dokumenty, które mu przekazaliśmy, gdyby był pan zainteresowany.

– Ach tak? – Wolf chwycił papiery i uśmiechał się z udawanym wstydem.

– Ojej, co zrobiłeś – usłyszał drugi głos. – To wszystko materiały, które pan Daniel konsultował. One są w porządku.

– Jeśli w porządku, to w porządku – powtórzył Wolf. – Proponuję, aby znaleźli panowie moją żonę. To ta kobieta, której tak bardzo chciał się pan pozbyć. Przyjedziemy do was na audyt. Gdzie znajduje się wasza firma? Co produkujecie?

– Wykładziny. Dywany – padło w odpowiedzi.

Wolf pokiwał palcem, jakby miał do czynienia z dziećmi.

– Zakład chciałbym obejrzeć osobiście, zanim zacznę przekonywać swoich bankierów.

– A jak, przepraszam, że o to pytam, sprawdzi pan to, nie widząc?

– Żona ze mną przyjedzie – odparł spokojnie Wolf. – I jeszcze jedna sprawa. Jeśli przejmę pośrednictwo, zapłacą panowie pełną stawkę zaliczki. To, co dostał Skalski, mnie nie obchodzi. Każdy z nas ma własny trust.

– Trzydzieści tysięcy dolarów?

– Skoro taką kwotę ustanowił pan Skalski, wiedział, co robi – odparł lekko Wolf. – Nie oznacza to bynajmniej, że odbieram mu sprawę. Po prostu zajmę się tym etapem, który może zagrażać transakcji z powodu jego nieobecności. W razie fiaska o zwrot kosztów musicie się zwrócić do niego. To normalna procedura.

– Oczywiście, oczywiście – potwierdzili natychmiast producenci wykładzin.

– I ja tak myślę, że Daniel zaakceptuje warunki, skoro was do mnie skierował. Musiał zdawać sobie sprawę, że mam własne koszty.

Pożegnali się wylewnie i wreszcie odeszli. Wolf siedział z papierami na kolanach i uśmiechał się do siebie w pełni zadowolony. Powiał wietrzyk i znów poczuł ten zapach. Pokręcił głową na boki jak pies tropiący.

– Emma? – szepnął niemal czule.

– Zestarzałeś się, Igy – odparła. – Ale wciąż najbystrzejszy. Chcesz, będę twoimi oczyma u tych jeleni.

Wolf wyciągnął dłoń, dotknął jej przegubu.

– Dlaczego zdjęłaś bransoletkę ode mnie? – zapytał rozżalony.

– Musiałam ją zastawić. Siedziałam, wiesz? Dzięki pieniądzom za szafiry było trochę lżej.

Wolf podniósł dłoń i dotknął twarzy Emmy.

– Kupię ci nową. Większą i z brylantami.

– Nie – zaprotestowała. – Chcę szafiry. Lubię niebieski.

– Wiem – szepnął. – Tak jak ja.

– Daj znać, kiedy jedziemy. Numer mam ten sam. – Wyjęła rękę z jego dłoni. – Idzie twoja kobieta.

A potem zniknęła. Została tylko różano-jaśminowa chmura, w której ślepiec mógłby zostać na zawsze. Nagle zdało mu się, że ujrzał skrawek błękitu, choć wiedział, że to niemożliwe.

Lubię tę teorię o zlu jako braku dobra, gdyż w pełni przemawia do mnie teza, że Bóg sam zła nie stworzył ani też nie jest ono dziełem żadnej konkurencyjnej potęgi. Tylko duchowi prostaczkowie mogą wierzyć, że zło czasami przybiera postać realną i konkretną – zwaną zazwyczaj diabłem. Oczywiście koncepcja o równoprawnym istnieniu dobra i zła pojawia się w większości religii świata i jest w niej wiele elementów, które przemawiają mi do serca, a jednak uważam, że najwięcej krzywdy czynią sobie ci wszyscy ludzie, którzy sile boskiej, nieskończonej mocy Najwyższego Majestatu przeciwstawiają drastycznie humorystyczną postać chytrego i przebiegłego dandysa z rogami oraz ogonem (jakże często lud dodawał: Niemca). Uśpić czujność, zamaskować motywy, złapać w pułapkę – czyż nie są to główne cechy szatańskich strategii? Być może. Są to jednak także sposoby działania niektórych ludzi, gdyż prawda jest taka, że diabeł w swej istocie zawsze był dziełem człowieka. Postać ta jest całkiem zmyślona, nie istnieje realnie, a jednak zakorzeniła się w wielu ludzkich umysłach, gdyż można wygodnie rzucić na nią winę za nasze pragnienia i żądze, których spełnienie częstokroć okazuje się błędem. Oto bowiem kwintesencja i personifikacja zła, które zawsze ludzi gnębiło i gnębić będzie. Nieważne, czy mówimy o zlu indywidualnym czy społecznym.

Pojadę więc z Emmą do panów od wykładzin i obejrzę ich zakład. Powiem im po czterech godzinach przechadzki i słuchania ich bajek, że zamiast inwestować w tę ruinę, należałoby wszystko zburzyć i postawić na nowo. Nastraszę, zrównam z ziemią, podważę ich dobre samopoczucie i wiarę, którą obdarzył ich bezmyślnie Daniel, a potem rzucę jakiś ochłap na otarcie łez. Choćby taki, że nie pozwolę, by ktokolwiek z Londynu przybył tutaj na audyt, bo nie tylko nie otrzymają ani funta kredytu, ale jeszcze będą mieli na karku armię kontrolerów... Muszą jednak zapłacić nie trzydzieści (już się przyzwyczaili do tej kwoty, może nawet mają w gotowości ten worek papieru), ale sto tysięcy. Jasna rzecz nie wspomnę, że jest to haracz

za sfałszowane dokumenty operatu szacunkowego – żadne z nas nie użyje tego sformułowania, bo wiemy, że wtedy znaczone karty byłyby na stole, a przecież my gramy w grę: „my wiemy, jak jest, a ty nic nie widzisz”. Zgodzą się, choć najpierw będą lamentować i grozić, że zawiadomią odpowiednie służby. Pozwolę im na to, a może nawet obrażę się, bo wiem, że oni i tak się złamią. Zbyt wiele zainwestowali, by machnąć na to ręką. I zamiast pogodzić się ze stratą, będą brnąć dalej, próbując się odegrać, ale szukać będą Daniela von Hochberga, nie mnie. To takie trywialne. Nie trzeba być wcale mistrzem manipulacji, by wiedzieć, że najgorszą cechą człowieka jest to, że nie umie odpuścić. Pogodzić się z końcem, odejść z honorem. Zapomnieć. Jestem tak zmęczony przewidywalnymi ruchami graczy. Czy na tym rynku naprawdę nie ma nikogo inspirującego? Chciałbym spotkać wreszcie godnego przeciwnika. Kogoś, kto rzuciłby mi godne wyzwanie. Zmusił do rozwoju albo odejścia, bo tak naprawdę chciałbym przestać, a może i zostać ukarany? Jeśli komuś udałoby się mnie złapać w pułapkę, szanowałbym go. Ale to płonne nadzieje. Ludzie są chciwi. Miłości, pieniędzy, komplementów, przyjemności... Dlatego kiedy w końcu dobijemy targu, poproszę o wypłacenie gotówki i dopisanie tejże kwoty do rachunku mojego najlepszego ucznia. Nie pozwolę, by mnie przerósł. Mistrz może być tylko jeden. A mój niesubordynowany student nie może przecież z więzienia zapobiec tej niegodziwości. Dowie się o tym, kiedy sam będzie już na dnie i wydojenie fabrykantów wykładzin uzna za ostateczną ostateczność... Chyba dokładnie widzę, jaką będzie miał minę. I przyznam, że już sama myśl o tym rozjaśnia ciemność, w której przyszło mi żyć. Nie jest to jednak skrawek błękitu, który daje prawdziwe uczucie. To już nigdy nie będzie mi dane. Czerwień za to – o tak! Czuję ją zawsze, kiedy mój hak w gardle ofiary zmienia się w kotwicę i ciągnie delikwenta bezpowrotnie na dno.

*Stacja benzynowa gdzieś na autostradzie, okolice Kępna, Polska, listopad
2000*

– Uratował mi pan życie. – Daniel spojrział z wdzięcznością na Leonarda, aż Radziwiłłowi ciepło zrobiło się na duszy. – Żaden przyjaciel nie zrobił dla mnie tyle co pan, drogi Leo.

– Nie przesadzajmy. – Leonard obejrzał się na pracowników stacji benzynowej, na której się spotkali.

Daniel jechał prosto z Niemiec. Przed chwilą prezentował plik dokumentów mających przekonać Leonarda o jego niewinności.

– Przedstawiam sprawę realnie. Mówię szczerze, jak jest. Zostałem zniszczony, pomówiony, okradziony i gdyby nie pan, spędziłbym w niemieckim więzieniu połowę swojego życia, bo Polacy są tam traktowani wyjątkowo surowo. Przyznam się, że nie wierzyłem już, czy uda mi się wydostać. Moja rodzina została bez pieniędzy, brakowało im na chleb. Są w nędzy.

Leonard pokiwał tylko głową.

– Mili ludzie, zwłaszcza małżonka. Tak swoją drogą, gratulacje. Rodzina się panu powiększyła.

Daniel nie chciał rozmawiać o narodzinach córeczki. Fred opowiadał, że poród był ciężki. Kontynuował swój wątek:

– Odpłacę za pana dobroć z nawiązką.

– No cóż, liczę na dużą stopę zwrotu. Inaczej nie inwestowałbym tych czterdziestu patyków, jak mówi mój wnuk. – Leo uśmiechnął się smutno, bo ostatecznie zgodził się na dołożenie dodatkowych dziesięciu tysięcy dla żony Daniela, do czego przekonał go Śpiewak. – Jeszcze kawy?

Kiwnął na dziewczynę przy kasie. Akurat nie było ruchu.

– A może zjadłby pan coś ciepłego?

– Planowałem wytrzymać do powrotu do domu, ale skoro pan proponuje, chętnie się skuszę. Żołądek przyrósł mi do kręgosłupa – zgodził się łaskawie Daniel. – Wspominał pan, że akcje HEF zostały przyjęte

i spieniężone. Dlaczego, skoro ma pan dostęp do papierów Eaton, nie pójść za ciosem?

Pytanie zaskoczyło Leonarda.

– Wynająłem pana, by wyszukał pan ofertę, która będzie rokowała dobrą inwestycję, a nie do naciągnięcia mnie na ponowne zainwestowanie środków – zganił Daniela. – Takich cwaniaków mam wokół na pęczki.

Skalski nie dał po sobie poznać urazy.

– Domyślam się. Gdy moja sytuacja była inna, przeżywałem ciężko ten wysyp pijawek. Nie potrzebuję pana pieniędzy. Dzięki temu, że jestem już na wolności, wkrótce sfinalizuję pewną transakcję ze złotem arabskiej księżniczki i możemy być partnerami.

– Partnerami? – Leonard zmarszczył brwi. – Szybko pan awansujesz.

– To tylko pieniądze. Dzięki dobrej dźwigni i transakcjom futures odbiję się w błyskawicznym tempie. Zamierzam pokazać tym wszystkim, którzy we mnie wątpili, że nie mieli racji. To kwestia honoru.

– Cieszy mnie, że go pan wciąż posiadasz – przerwał mu Leo. – Zanim jednak zaczniesz pracować dla siebie, odpracuj kupioną wolność. Oczekuję sprawdzonych ofert dla moich dwudziestu jeden milionów dolarów. Bezpiecznych i intratnych.

– Nie otrzymał pan dwudziestu siedmiu?

– Zacząłem już inwestycje – uciął Leonard. – Słuchaj pan uważnie, a nie będzie kłopotów.

Danielowi nie spodobała się ta reprimenda.

– Pierwszą ma pan w ręku i nie bierze. Nie rozumiem dlaczego.

– Znów Eaton?

– Chcę tylko zrozumieć.

– Widzisz pan, z HEF NV poszło gładko, ale nie są to moje prywatne pieniądze. Zarobiłem je dla Grajbudu, firmy, której jestem prokurentem. Chcę, by wdrożono do produkcji pewien nowatorski pomysł, który zrewolucjonizuje branżę budowlaną.

– I dla Grajbudu kupił pan zamek Radziwiłłów w Białej oraz podupadającą stadninę?

Leo był zaskoczony. Skąd Daniel wie o jego małym kaprysie? Nie zdążył zadać pytania, bo finansista zaatakował ponownie.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Nie istnieją transakcje intratne i zarazem bezpieczne. Im większe ryzyko, tym większy zysk. Tak to działa. Gdybym zajmował się obligacjami, nie musiałby pan mnie wykupywać z więzienia. Na rynku jest miejsce tylko dla kilku grubych ryb, a ja płótką być nie zamierzam. I sędzę, że pan, Leonardzie, również.

Radziwiłł przyjrzał się zaniedbanym dłoniom mężczyzny, niedokładnie ogolonemu zarostowi. Buty i garnitur wyglądały na kosztowne, choć Irmina nie przepuściłaby im pieśczoły żelazka. Podobnie rzecz się miała z teczką ze złotym logotypem, zegarkiem i wodą kolońską. Były jak opowieści tego człowieka – niektóre wydawały się sensowne, inne całkiem irracjonalne. Wszystko to sprawiało, że Leo miał mieszane uczucia. Chciałby mu ufać, ale wciąż zdarzało się coś, co mu to uniemożliwiało. Mimo to zdecydował się na nieco szczerości.

– Gwarancja była wystawiona i figurowała w międzybankowym systemie Euroclear, ale na konto nie została przelana cała kwota. Bank dla bezpieczeństwa wypłacił środki w trzech transzach. Z tego, co mówił mi administrator konta w RobbyBanku pan Noell, dyrektor oddziału chciał w ten sposób poprawić statystyki.

– Częsta praktyka – przyznał Daniel wszystkowiedząco.

Zachęcony tymi słowami Leonard kontynuował:

– A ponieważ nie przekazano całej sumy, pozwoliłem sobie w pierw zaspokoić potrzeby własne. Podobnie jak pan, do niedawna miałem pewne problemy z płynnością. Wszystko, co zarabiałem na uczelni, zjadał komornik, bo sporo pożyczałem na patenty, a choć dzieci już dorosły i są samodzielne, nie miałem sił tłumaczyć się z tego żonie. Kiedy w końcu mam na koncie rodzaj nadwyżki – powiem szczerze, całkiem sporej nadwyżki – nie chciałbym od razu wszystkiego stracić, jeśli inwestycja na przykład by nie poszła, bo lewar wybrano niecelnie.

– Postąpiłbym podobnie – zapewnił Daniel, a potem przyjrzał się baczniej Leonardowi. – Ile zapłacił pan Languście za akcje?

Radziwiłł pochylił głowę.

- Jeszcze nic.
- Ile pan jest mu winien?
- Pięćdziesiąt procent.

Daniel gwizdnął.

- Od dwudziestu siedmiu milionów?
- Odliczając oczywiście podatek i koszty transakcji.
- Rozumiem. – Skalski uśmiechnął się chytrze. – Tym bardziej Langusta nie powinien się od nas dowiedzieć, że bank uwolnił gotówkę. Lepiej się wstrzymać, a środki zainwestować w kolejne akcje, bo to niepowtarzalna okazja na zrobienie kaskady. Jeśli spienięży pan siedemset milionów Eatona, marne pięćdziesiąt procent od HEF zawsze zdąży pan oddać.

Radziwiłł był przerażony.

- Ależ właśnie dlatego nie mogę kupić Eatona! Przecież Langusta zorientuje się, że HEF zostało sfinalizowane! To on pośredniczy w zakupie tych akcji i chce za nie trzy bańki polskich złotych. Z góry.

– Więc ja je kupię.

- Pan nie masz na hot doga – roześmiał się Radziwiłł. – Dopiero co przesłałem pana małżonce kilkaset złotych na wózek. Chyba że ten człowiek, który siedzi za kierownicą pana mercedesa, zdecyduje się uregulować prowizję. Jakoś nie spodziewam się, że ma ze sobą trzy miliony w bagażniku.

– To mój przyjaciel. – Daniel spojrzał na Freda wpatrującego się w nich, jakby pracował w tajnych służbach. – Już niejedną raz byłem w tarapatkach, lecz zawsze oddawałem mu wszystko, co za mnie założył. Na tym polega życie finansisty: raz jesteś na górze, innym razem na samym dnie. Gdybym się nie zajmował transakcjami futures, siedziałbym dalej w okienku londyńskiego banku albo sprzedawał produkty Herbalife.

– To chyba lepsze niż życie za kratami.

– Mówiłem już panu, że padłem ofiarą spisku – obruszył się Daniel. – I zrobię wszystko, by odzyskać twarz.

Leonard nie wyglądał na pokrzepionego tą przemową.

– Będziesz pan miał trzy miliony, wrócimy do tematu.

– Dobrze więc. – Daniel uznał, że wie już wszystko. – Skoro nie chcesz pan szybko się wzbogacić, będziemy inwestować środki długofalowo, a gdy ja się odkuję i dopnę swoje sprawy, umożliwisz mi pan zakup Eatona. Za prowidzę, jasna sprawa. Skoro Langusta bierze połowę, mogę zaoferować tyle samo. Odbiję to sobie na lewarach. Tym sposobem nic pan nie ryzykujesz, a i tak zarabiasz.

– To wydaje się akceptowalne – mruknął Radziwiłł ze zniechęconą miną, by Skalski nie pomyślał sobie niczego, czego Leo by potem żałował. Tak naprawdę miał ochotę krzyczeć z radości i tylko resztką sił zachowywał spokój.

– Tobie zaś mogę zaoferować fundusz hedge. – Daniel płynnie przeszedł na „ty”. Leonard nie zaprotestował. – Kwota wejściowa to pięć milionów dolarów, choć zysk jest większy, kiedy startuje się z dziesiątką, ale dla swojego dobroczyńcy zrobię wyjątek.

– Na czym to polega?

– Zastosuję mój autorski algorytm. Najwyższe ryzyko, najwyższa stopa zwrotu. Żeby się udało, w portfelu inwestycyjnym musi być co najmniej pięćdziesiąt milionów. Poza tobą potrzebujemy jeszcze czterech graczy.

– Graczy? – Leo przełknął ślinę. – Jak w kasynie?

– Zgadza się. Ryzyko także jest porównywalne.

– Skąd zamierzasz wziąć graczy z wolnymi milionami do inwestycji?

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak znużeni są ludzie prawdziwie bogaci i jednocześnie jak bardzo pragną zwielokrotnić swoje zasoby. Adrenalina, endorfiny, dopamina. Rozmnażanie pieniędzy to rodzaj uzależnienia. Od ciebie będę oczekiwał tylko, byś opowiadał o sobie, swojej autorskiej procedurze produkcji i jeśli trzeba – zamku w Białej. Wielka szkoda, że twoje nazwisko jest kradzione, ale i z tym sobie poradzimy.

Leonard zaczerwienił się.

– Zależy, gdzie będziemy szukali współników. Przecież nikt nie zażąda ode mnie drzewa genealogicznego.

– To wcale nie jest takie pewne. – Daniel się nachmurzył. – Osobiście mam notarialne prawo używać nazwiska po stryjecznym dziadku von Hochberg. Bolko zmarł bezdzietnie, zapisał mi swoje włości w Mosznej,

księgozbiór i tytuły, a jednak od lat toczą prawny spór z władzami miasta, które przejęły mienie na rzecz lokalnego muzeum. Jak widać, zawsze znajdują się tacy, którzy gotowi są podważyć oczywiste dane. Jestem jednak dobrej myśli. Kiedy tylko się odkuję, natychmiast wznowie spór sądowy.

Zamyślił się, jakby roztrząsał kwestię filozoficzną, a potem zwrócił się z powagą do Radziwiłła.

– Kupimy ci hrabiowski papier. To nie kosztuje więcej niż półtora tysiąca. Znam jednego gościa, który załatwi to od ręki. Dokument będzie lepszy niż prawdziwy, a z dobrą legendą choć jeden problem nam odpadnie. Nic lepiej nie robi w interesach jak tytuł książęcy. Zawsze można zasłonić się honorem rodu.

– Święte słowa – zgodził się Leonard. – Mogę za to zapłacić, jeśli uważasz, że się przyda.

– Wizerunek jest arcyważny – zapewnił Daniel. – W każdym razie tam, dokąd się wybierzemy. Musisz z rodziną królewską rozmawiać jak równy z równym. Czy jesteś gotów na męską wyprawę do krainy hedonizmu, rozpusty i raju podatkowego?

– Rozpusta w moim wieku to zbyt duża golonka i tłuczone ziemniaki. – Leo podrapał się po głowie, ale oczy mu się śmiały. – Pytanie, ile to będzie kosztowało? Nie zamierzam finansować twoich ekscesów.

– Pojedziemy moim autem, Fred będzie prowadził. W Genewie muszę skończyć jedną transakcję i założyć parę kont. Tobie też przydałaby się dodatkowa skrytka. Ten Noell, o którym mówisz, może być znajomym Langusty, a wtedy leżymy. Zamieszkamy u mojego kolegi Hugona Bonaventury Gamble'a. To też naukowiec, polubicie się. Profesor ekonomii, a na dodatek od dwunastu lat jest w almanachu dyplomatów Monako.

Radziwiłł nie miał pojęcia, czym jest ten almanach, ale wstydził się spytać.

– Hugo ma apartament przy via Grace Princess – kontynuował Daniel. – Nie policzy nam za pobyt, bo jest mi winien przysługę, a poza tym będzie mógł popisywać się znajomością z polskim arystokratą i milionerem. Jeśli będziemy mieli szczęście, spotkamy wielu znajomych. Choć nie jestem pewien, czy wszyscy ucieszą się, kiedy mnie zobaczą.

Zaśmiał się złowieszczo.

– Monako? Arystokratą? – przejęty Leo powtarzał raz za razem. – Milionerem?

– O ciebie chodzi, człowieku! – Daniel klepnął go po kumpelsku. – Ekscentryczny profesor z dwudziestoma milionami w kieszeni! Będziesz najbardziej rozchwytywaną partią w Monte Carlo.

– A co z twoją rodziną? Nie tak dawno urodziła ci się córka. Nie chcesz pobyć z bliskimi? Z pewnością się stęskniłeś...

– Moim zadaniem jest zapewnić dzieciom godziwy byt. Co z tego, że będę im siedział na głowie? Od tego nie przybywa kasy na koncie. –

Machnął ręką. – Jedźmy jak najszybciej. Trwa właśnie sezon operowy. Może uda się spotkać Alberta i zwerbować do eksperymentu kogoś z jego stajni? Książę ma słabość do nowych gwiazd operetki i finansjery oraz ruletki, ale to ostatnie musisz zachować dla siebie. Tak się składa, że mam dla Alberta zaległy prezent.

Pokręcił przegubem, na którym błysnął diamentowy zegarek.

– Alberta? – Leo czuł się zagubiony. Nie zamierzał dłużej tego ukrywać.

– Księcia Monako – odparł zniecierpliwiony Daniel. – Musisz powiększyć swój zasób słów, Leo. Nie możesz w kółko po mnie powtarzać. Już lepiej będzie, jeśli zaatakujesz ich naukowym slangiem. Nadmiar trudnych słów nigdy nie szkodzi w interesach.

Kiedy potem Radziwiłł relacjonował Irminie przebieg spotkania, żona nie mogła się nadziwić, jak to się stało, że jej nieufny małżonek zgodził się przejść z Danielem na „ty” i sfinansować ich wspólne wojaże po Europie. Gdyby nie sporządzona umowa współpracy, którą trzymała w ręku, pomyślałaby, że Leo upił się i majaczy.

– Radzę ci, wycofaj się – powiedziała, odcinając czubek cygara i podając mu ogień. – Ten człowiek zapanował nad tobą w ciągu niespełna godzinnej rozmowy. Co się wydarzy, jeśli wyjedziecie razem na parę miesięcy? Czy nie wystarczy ci to, co już zarobiłeś?

– Po prostu martwisz się, duszko, że jest na świecie ktoś sprytniejszy od ciebie – roześmiał się Leonard. – Komu ulegam szybciej.

Irmina zastanowiła się.

– Faktycznie, to niepokojące. Mówiłeś, że to człowiek tępy, naiwny i wymagający pomocy. Tymczasem okazuje się, że zaczynasz przy nim odczuwać radość z rebelii.

– To tak jak ty przy swoich nowych koleżankach: Cesi i Inez.

Irmina podniosła do ust kieliszek albariño. Poprawiła nową sukienkę od znanego polskiego projektanta.

– Wiesz co, masz rację. Wystarczająco długo kapcanieliśmy w tym uniwersyteckim światku. Bez Daniela von Hochberga nie będzie w twoim życiu żadnych wydarzeń, a trzeba, by wydarzenia były. To źródło wszelkiej ludzkiej wynalazczości, nauki, sztuki i rzemiosł. Jedź, zaryzykuj. Długi mamy spłacone. A gdyby trzeba było cię ratować, wydobędę cię i z piekła. Znasz mnie.

– Aż tak daleko się nie wybieram, kochanie.

– Z tym diabłem? Nie trzeba będzie daleko jechać. Nie mam złudzeń.

Biłgoraj, Polska, listopad 2000

Emilia siódmy raz wyjrzała za firankę i natychmiast odsunęła się od okna.

– Niestety. – Pogłaskała syna po głowie, choć za każdym razem otrzępywał się, jakby miała mokre dłonie. – Chyba dziś też nie pójdziesz. Napiszę ci usprawiedliwienie.

– Mamo, nie zdam.

– Zdasz, jesteś bardzo zdolny, nadrobisz wszystko. Nie przejmuj się – zaczęła, a potem dodała, już krzyżąc: – Wolę, żebyś został w tej samej klasie, ale żył, rozumiesz? Nie możemy ryzykować.

Chłopiec pochylił głowę i rzucił się na wersalkę, mrucząc coś pod nosem, a w końcu włączył PlayStation.

– Załóż słuchawki, bo obudzisz Krysię – poprosiła Emilia i w pomieszczeniu natychmiast zapadła cisza.

Syn skupił się na grze, nie reagował na jej spojrzenia. Miała wrażenie, że wcale się nie denerwuje. Niestety, ona wręcz przeciwnie. Podeszła do okna, znów wyjrzała za firankę. Dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn nie spuszczało oka z wejścia do klatki. Niedawno do ich bloku wprowadził się kuzyn komendanta, więc parking natychmiast ogrodzono i od tej chwili na osiedle nie mogło wjechać byle jakie auto, ale bandyci wynajęci przez niezadowolonych klientów jej męża nic sobie z tego nie robili. Zatrzymywali swój samochód centralnie przed szlabanem, czasami stawali na światłach awaryjnych i czekali na członków rodziny Skalskich. Zaczepiali głównie ją, kiedy szła z wózkiem, czasami Krystiana lub mamę Daniela. Lucka traktowali z szacunkiem. Nigdy z nim nie rozmawiali. Może dlatego teść nieustannie wmawiał Emilii, że ma obsesję, bo przecież to tacy mili chłopcy. Dopiero kiedy któregoś razu namówili Krystiana, by z nimi pojechał, i chłopiec nie wrócił do wieczora, teść uwierzył, że to się może źle skończyć, a ich intencje nie są kryształowe. Jak dotąd Skalscy nie dowiedzieli się, po co bandyci wystają pod ich oknami. Daniel siedział w Niemczech, co skrzętnie ukrywano przed sąsiadami. Nawet teściowa nie

wiedziała, że Daniel jest w więzieniu. Tylko Emilia i Lucek znali prawdę, a i to jedynie dlatego, że byli potrzebni, by załatwić sprawę.

Emilia spojrzała na zegarek. Minęła trzynasta. Wyglądało na to, że do pracy już nie pójdzie. Napisała wiadomość szefowi, że źle się czuje i prosi o zwolnienie. A potem, kiedy odpisał jej, że „OK, niech się trzyma”, sięgnęła do szafki za ryż i cebulę. Wyjęła koniak, nalała sobie naparstek, wypła duszkiem. Dokładnie poprawiła butelki, umyła kieliszek, a potem wróciła i szybko wypła jeszcze dwa. Dopiero po takiej działce alkoholu czuła wreszcie spokój. Popijać zaczęła jeszcze pod koniec ciąży, a teraz nie umiała przestać. Wiedziała oczywiście, że to szkodzi dziecku, miała świadomość, że naraża je na choroby wrodzone, zapalenie opon mózgowych i różne rodzaje kalectwa, ale nie mogła się pohamować. Stres był zbyt silny, a musiała się trzymać. Krystian i teściowie jej potrzebowali. Czuła, że musi walczyć za nich. Udawała dzielną, choć była miękka niczym rozwałkowane ciasto. Na szczęście Krysia urodziła się zdrowa i była grzeczna, jakby nie było jej wcale. Czasami w nocy Emilka budziła się przerażona, że córka umarła, bo w przeciwieństwie do Krystiana przesypiała całe noce i rzadko płakała.

Zadzwoił telefon, a Emilka aż podskoczyła. Zauważyła, że ręce jej drżą, a na skórze pojawiły się niebieskie wypukłe żyły. Jeszcze pięć lat temu nie było ich wcale.

– Tutaj Fred, widzę ich.

Emilia wstała, podeszła do okna.

– Słuchaj, czego oni chcą? Przecież Daniel siedzi, nie wróci tak prędko. My nie mamy pieniędzy. Chyba nietrudno to dostrzec. Wczoraj byłem po dary z Holandii, dzięki Bogu upolowałem sporo ubranek dla Krysi. Gdyby nie pomoc pastora Krzywickiego, nie wiem, jak byśmy przetrwali. Mamy też ten pomarańczowy ser, który tak lubisz. Wpadniesz? Odetnę ci połowę.

– Pewnie, że wpadnę – odparł Fred bez entuzjazmu. – Nie wychodziłaś jeszcze?

– Siedzę w domu kamieniem, tak jak kazałeś. Krysia jest cudowna, wystawiam ją na balkon i to jej wystarczy.

– Świetnie. Wspaniale.

Emilia nagle poczuła, że musi wzmóc czujność.

– Fred?

– Tak?

– Czego mi nie mówisz?

Cisza w słuchawce.

– Wiesz, że on nigdy mi nic nie mówi. Strasznie mnie to denerwuje.

– Zaginęło dziecko.

– Czyje dziecko? Jak to zaginęło?

– Porwano chłopca, kolegę twojego syna. Wszyscy w mieście uważają, że chcieli porwać Krystiana.

Emilia nie była w stanie powiedzieć nic sensownego. A kiedy wreszcie się odezwała, był to bełkot przypominający „dlaczego?”.

– Słuchaj, czy Daniel mógł zdrzeć z jakimś gangiem?

– Fred, on mógł zdrzeć z każdym. Nawet z samym Szatanem. Znamy tego Śpiewaka. To bandyta.

– Nie wiadomo, czy tamten chłopiec przeżyje. Włącz telewizor albo radio. Dziś rano go znaleźli. W Czarnej Ładzie.

Emilia natychmiast włączyła wiadomości. Długo milczała, aż wreszcie ciszę przerwał Fred.

– Teraz rozumiesz?

– To chłopiec, którego Krystian w ubiegłym roku pobił. Chodzili do tej samej szkoły. Jego rodzice mnie przeklną.

– To nie twoja wina.

– Jak to się stało?

– Pomylili się.

– Masz na myśli, że chcieli uprowadzić Krystiana?

– Nie wiem, co planowali, ale wszystko na to wskazuje. Przy chłopcu znaleziono plecak z książkami twojego syna. Mam nadzieję, że mały z tego wyjdzie.

– Niemożliwe, mylisz się! – krzyknęła Emilia, a potem rzuciła słuchawką i wbiegła do pokoju, w którym Krystian walił do napastników z bazooki.

Wyciągnęła tornister, wysypała zawartość na podłogę. Chłopiec zdjął słuchawkę, patrzył na matkę oniemiały.

– Co to jest? Czyje to?

Potrząsała książkami obłożonymi w drodze okładki. Żadna nie była pozaginana, jak zwykle bywało z podręcznikami jej dziecka. Widząc, w jakiej furii jest matka, chłopiec przezornie się nie odzywał. Patrzył tylko czujnie, jakby z każdej strony spodziewał się ciosu.

– Później porozmawiamy. – Pogroziła mu palcem i pobiegła z powrotem do telefonu.

– Miałeś rację. O co tutaj chodzi? – rzuciła wojowniczo. Znając jednak przyjaciela tyle lat, wiedziała, że zechce ją osłaniać. Przekonywała łagodniej: – Fred, możesz mi powiedzieć. Nic mi nie będzie, urodziłam już dawno. Nie kłam, nie zniosę, jeśli i ty nie będziesz wobec mnie szczerzy. Komuś muszę ufać.

Fred wciąż się wahał. Głos mu się łamał, z każdą chwilą wątpił w sensowność tej decyzji, ale nie potrafił się wycofać.

– Daniela poszukuje czternastu przedsiębiorców. Mówią, że łącznie wypłacili mu ponad milion dolarów. To oni wynajęli tych zbirów. Chcą was nastraszyć.

Emilia z wrażenia zasłoniła usta.

– Ile mu wypłacili?

– Milion dolarów.

– Co zrobił z tymi pieniędzmi? – Emilia podniosła głos. – Przecież ja zebrzę, nie mamy co jeść. Gdyby nie ty, znaleźlibyśmy się pod mostem. Lucek od roku nie płaci czynszu. Pisze pisma, odwleka, kseruje odcinki emerytury teściowej i podania do opieki społecznej. Wszystko, co mamy, śle temu skurwielowi!

– Nie wiem, czy Daniel te pieniądze wziął – skłamał Fred. – Staram się dowiedzieć czegoś więcej. Sama wiesz, że staję na uszach. Może to pomyłka?

– Pomyłka? Wątpię. – Umilkła. A potem natarła: – Dlaczego akurat teraz się zaktywizowali? Śpiewak od tygodnia nachodzi nas i powtarza, że zbliża się czas zwrotu. Nie znoszę tego obleśnego dziada!

– Po prostu nie wychodźcie – poprosił Fred.

Emilia obejrzała się na syna, a potem na łóżeczko. Krysia zaczynała się już budzić. Za chwilę trzeba będzie ją przewinąć, nakarmić. Mówiła szybko:

– Lucek opłacił adwokata, ale na kaucję nie wystarczyło. A może ty, idioto, zapożyczyłeś się, żeby mu dać te pieniądze? Może on wychodzi?

– Wpłaciłbym, przysięgam ci, ale nie mam z czego. Sprzedałem Dzikowi nawet swój własny mandat.

– Na co oni czekają, Fred? – Emilia powtarzała jak w amoku. – Czy to możliwe, że Daniel wraca? A może on już wyszedł i tylko rodzina nic o tym nie wie? Nigdy wcześniej nie działali tak otwarcie!

Fred starał się nie podgrzewać jej paniki, bo słyszała tylko niezrozumiałe mruczenie, a potem nabrał powietrza i wyrecytował, jakby czytał z kartki:

– Cieszę się, że z Krystianem wszystko w porządku, jest zdrowy i między wami się układa.

– Dziwnie gadasz – prychnęła Emilia.

– Niedługo przyjadę, to pójdziemy na spacer – odparł i dopiero wtedy pojęła, że do pokoju musiała wejść Agnieszka. – Jeśli będziesz miała jeszcze siłę, bo wyobrażam sobie, że maleństwo daje ci w kość. Najlepiej dużo śpij i bez potrzeby nie wychodź. Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń do nas.

– Masz teraz dwie żony, Ferdziu? – zakpiła i już otwarcie sięgnęła po swoją butelkę.

– Gdybym mógł mieć, nie zawahałbym się.

W tej odpowiedzi Emilia wyczuła nigdy nieujawnianą prawdę. Srogo pożałowała, że pozwoliła sobie na głupi przytyk. Wolałaby tego nie usłyszeć, choć od zawsze wiedziała. Lubiła Agnieszkę, nigdy by jej nie skrzywdziła, więc ze wszystkich sił starała się obrócić sprawę w żart, ale tylko zabrnęła dalej:

– Gdyby Daniela szczęśliwie zabrakło na zawsze, zawołam cię. Sam zdecydujesz.

Po drugiej stronie zapadła cisza, choć słyszała oddech Freda i nawet wyobraziła sobie jego zakłopotaną minę. Natychmiast zmieniła temat.

– Wiesz, gdzie znajdę tego całego Śpiewaka? Muszę się z nim natychmiast rozmówić.

– Nie – odparł Fred.

– Nie?

– Nic nie rób. Zostańcie w domu. A gdyby co, dzwoń do Agnieszki. Może będę musiał wyjechać na jakiś czas.

– Ty też? – jęknęła Emilia i poczuła, jak po nogach płynie jej ciepła ciecz.

Nie zdziwiło jej to zbyt, bo od porodu codziennie krwawiła, ale nie zwierzyła się z tego nikomu i za żadne skarby nie chciała, by Fred się dowiedział. Teściowie i tak mieli zbyt wiele problemów, a Emilka liczyła, że samo przejdzie.

– Dobrze – powiedziała. – Uważaj na siebie. Wiesz, jak wiele dla nas znaczysz.

– I wzajemnie. – Odłożył słuchawkę.

Przymknęła oczy, pomodliła się, a potem zamknęła drzwi od kuchni i sięgnęła głęboko do szafki z cebulą i ryżem, gdzie oprócz koniaku ukrywała saszetkę z pieniędzmi, które każdego miesiąca odkładała ze swojej pensji. Nie było tego wiele, ale należały tylko do niej i dzieci. Ułożyła saszetkę pod denkiem torby, w którą przed porodem spakowała wyprawkę dla siebie i dziecka, i dopiero potem ruszyła rozmówić się z Krystianem na okoliczność podmiany książek. Wyjrzała przez okno i zrezygnowała. Uznała, że nie będzie dodatkowo martwić syna. Jej obserwatorzy stali tam, gdzie zwykle. Z tej odległości nie mogła stwierdzić, czy w samochodzie jest Śpiewak, ale z jakiegoś powodu była przekonana, że jeśli do nich zejdzie, powiedzą jej, dokąd ma jechać. A może sami ją do niego zawiozą? Umyła się. Przewinęła i nakarmiła Krysie. Tuliła ją tak długo, aż niemowlę zasnęło. Dopiero wtedy odłożyła małą do łóżeczka. Następnie zadzwoniła do teścia, by zwolnił się z pracy na kwadrans

i przyszedł rozmówić się z nią w sprawie logistyki oraz został z dziećmi, gdyby bandyci zabrali ją jak tamtego chłopca.

Lublin, ul. Kołłątaja 3, Polska, listopad 2000

Domofon był zepsuty, więc Fred musiał czekać, aż ktoś wyjdzie z klatki. Czuł się jak złodziej, kiedy wślizgiwał się za staruszką o fioletowych włosach, idealnie spasowanych z odcieniem jej blezera. Planował sprawę załatwić jak najszybciej, bo w podwórku był zakaz parkowania, a jeśli zgłoszą go do odholowania, może naprowadzić na trop tych, którzy szukają Daniela. Rozpaczliwie chciał powiedzieć dziś Emilii o tym, że udało mu się zdobyć dla niej te dwadzieścia osiem metrów na poddaszu przy Kołłątaja, by nie musiała męczyć się kolejny rok z teściami, ale uznał, że taką nowinę powinien przynosić do domu mąż, nie przyjaciel, choćby nawet najbliższy. Poza tym jeśli Emilka dowie się, że zapłacił za to mieszkanie w tajemnicy przed żoną, nie przyjmie podarunku.

Schody były drewniane, skrzypiące. Piąta kondygnacja, oczywiście bez windy. Za to ogrzewanie i woda miejska. Sam budynek zaś zabytkowy i w doskonałym stanie. Wkrótce elewacje kamienic przy rynku będą remontowane. Fredowi udało się zdobyć prawdziwe cacko. Opłacił lokatorów do zamiany, spłacił ich długi. Kiedy ponosił te wszystkie koszty, był pewien, że Daniel mu te pieniądze zwróci, a jeśli nawet nie – nie żałował decyzji. Agnieszka nie rozumiała jego poświęcenia dla rodziny Skalskich. Wciąż ciosała mu kołki na głowie, że jest łatwowierny i bardziej zależy mu na obcych ludziach niż na niej i dzieciach. On jednak za każdym razem, kiedy spoglądał na rower Mercedesa, który Daniel przysłał mu tuż przed ostatnim wyjazdem (a Fred trzymał go w domu jak relikwię i rzadko nim jeździł), miał łzy w oczach ze wzruszenia. To się ułoży, powtarzał żonie. Wszystko się poukłada, pocieszał Emilkę. Dziś sam przed sobą, zupełnie nieoczekiwanie, przyznał się, że wszystko robił dla niej.

Zastukał trzykrotnie w rytm *Głębokiej studzienki*, ale nikt nie otwierał. Drzwi były ogromne, ciężkie. Pamiętały jeszcze lata dwudzieste. Dlatego też miały szpary, a to, co działo się wewnątrz, było bardzo dobrze słyszalne na klatce schodowej. Teraz Freda dobiegał perlisty śmiech dziecka, lubieżny chichot dziewczyny i stłumiony baryton Daniela. Postukał jeszcze raz w zgodzie z ustalonym kodem, potem już bez kodu, aż wreszcie zaczął walić w drzwi pięściami i dopiero wtedy mu otworzono. Daniel był

w bokserkach i koszulce polo z logotypem Mercedesa. Miał częściowo ostrzyżone włosy.

– Fred, jak się cieszę! – Skalski rozpromienił się na widok przyjaciela. Na jego twarzy nie gościł nawet cień zaniepokojenia. – Przywiozłeś „Gazetę Prawną”, „Puls Biznesu” i „Tygodnik Powszechny”?

– O „Tygodniku” zapomniałem. – Fred położył prasę na stole. Rozejrzał się.

Chłopiec był wysoki jak na swój wiek, dobrze umięśniony. Na sobie miał koszulkę piłkarską i getry. Za nim jak za swoim obrońcą ustawiła się dziewczyna we frywolnej sukience ledwie zasłaniającej pośladki. Fred ze zdziwieniem rozpoznał w niej recepcjonistkę z Mercedesa. Tę, która oblała go kawą i przywiozła mu rower. Fred zwykle myślał wolno, nie wyciągał pochopnych wniosków, ale naraz poczuł, że ogarnia go furia.

– Musimy pogadać – rzucił szorstko, nie spuszczając oka z panienki.

Widział, że jest coraz bardziej speszona. Odłożyła na stół nożyczki i maszynkę do włosów, a potem zaczęła składać swoje rzeczy, poganiać syna, by zrobił to samo.

– Nie strasz mi tu mojego aniołka. – Daniel podszedł do Darii i objął ją ramieniem.

Stali tak spleceni we trójkę, a Fred z każdą sekundą był bliższy eksplozji.

– Emilia nie tak dawno urodziła – zaznaczył. – Masz piękną córkę.

Daniel nie odpowiadał. Odsunął się lekko od dziewczyny, ale nie kazał jej wyjść.

– Wciąż stoją pod waszym domem – dorzucił Fred. – Emilia jest sama z dziećmi. Na szczęście zdążyłem ją uprzedzić, by nie wychodziła. Twój tata już jedzie.

– Czyli wszystko ogarnięte? – ucieszył się Daniel, jakby Fred oferował mu wyjście na lody.

Fred przyjął pozycję do walki i bezceremonialnie zaciskał pięści, zdawało się, że z nozdrzy bucha mu para. Wreszcie Daniel polecił Darii i jej synowi, by schowali się za przepierzeniem, które oddzielało pokój od sypialni, ale Miko się buntował.

– Tam nie ma kontaktu! – wrzeszczał. – Jak podłączę moją gierkę?

Zdumiony Fred patrzył, jak Daniel wyciąga z walizki elektroniczną grę w pudełku z kokardą i podaje chłopcu.

– To miał być prezent dla Krystiana – rzekł, kiedy zostali sami. – Chyba synowie ci się pomylili.

– Spierdalaj.

– Nie będę cię więcej krył. Wszystko, ale nie to. Nie po to organizowałem ten lokal, żebyś tu sobie sprowadzał kochanki.

Daniel przechylił głowę jak drapieżny kot czający się na zbłąkaną myszkę.

– I co? Wygadasz Emilce?

– Nie mówię, że od razu, ale jeśli spyta wprost, nie będę już kłamał.

– Zawsze się w niej kochałeś. Nie rozumiem, dlaczego się nie pobraliście. Byłby spokój i szczęście.

Fred był wstrząśnięty. Po prostu nie wierzył w to, co widzi i słyszy. Nie oczekiwał wdzięczności, szedł tutaj z poczuciem misji. Chciał chronić przyjaciela, bo skoro wierzyciele posuwają się do gróźb i porwań, sytuacja jest niebezpieczna, a tymczasem zastaje Daniela baraszkującego z dwudziestoparolatką i jej synem, jakby nic się nie wydarzyło.

– Nie pojedę z tobą do Genewy. – Fred stanął w rozkroku. – Tego nie mogę zaakceptować.

Daniel naprawdę się przeraził. Chwycił przyjaciela za ramiona, wtulił głowę w jego bark, jakby miał baranie rogi, i w ten sposób nacierał.

– Kocham je obie – lamentował. – Ty jesteś prostolinijny, wzorowy, nie masz słabości. Ty tego nie pojmiesz. Daria wie, że nie zostawię żony, i akceptuje to.

– Emilia nie dostała prawa do takiego wyboru.

– Moje życie jest jak książka, a raczej wiele książek. Nie potrafię zrezygnować z żadnej z nich. I nie jest tak, że nie chcę być z Emilką, bronić jej i otaczać opieką, wiesz o tym. Po prostu oni tam czekają.

– Nie widziałeś córki. Nie zawiadomiłeś żony, że jesteś w kraju! Nie tęsknisz za nimi? Nie martwisz się? Jak możesz sypiać z kimś innym, kiedy

ona tam umiera ze strachu? Ja nie rozumiem!

– Zgarnęliby mnie od razu – płakał dalej Daniel. – I byłoby źle. Bardzo źle dla wszystkich. A wiem, że tato się nimi zajmie. To dla ich dobra nie zbliżam się do domu.

– Kto? – Fred był nieprzejednany. Argumenty Daniela zupełnie do niego nie trafiały. – Kto ciebie szuka i czego chcą?

– Klienci Śpiewaka. Pieniądzy.

– Ostrzegalem cię.

– Miałeś rację. Wszystko powinno być inaczej. Przecież ja to robię dla was. Dla ciebie i mojej rodziny.

– Dla mnie?! – wściekł się Fred. – Dla mnie naraziłeś Emilię, swoje dzieci i rodziców? Dla mnie okradałeś ludzi? A teraz jeszcze ją chcesz narazić?

Wskazał drzwi, za którymi czekała Daria z synem.

– Mam plan.

– Wybacz, nie będę brał w nim udziału.

Wyzwolił się z obłapiań przyjaciela i podszedł do drzwi.

– Fred, masz jakieś pieniądze?

Daniel się płaszczył. Mrugał, po raz kolejny starał się wzbudzić w przyjacielu litość.

– Kupiłem ci mieszkanie, płacę za nie czynsz. Jeszcze ci mało?

Daniel nie odpowiedział.

– Powiedz szczerze, co zrobiłeś z taką furą gotówki? Gdzie jest saab, jeep cherokee, gdzie jest audi cabriolet? Co się stało z tymi setkami tysięcy? Widziałem je na własne oczy! Ludzie mówią, że wziąłeś od nich milion dolarów!

– Auta ukryłem. Na razie nie mogę się afiszować.

– Bo są kradzione! Znajdują się na liście do odzyskania przez Interpol! Tak gadają na mieście. Czy mój rower też powinienem zwrócić? I nasze wozy, które dzięki Bogu wziąłem w leasing? Sam będę musiał je spłacać. Na chuj mi pięć samochodów, powiedz, skoro twoja firma nie ma dochodu?

– Ale będzie miała, zobaczysz. Mam klienta. Gruba ryba. To milioner! Wytrzymaj.

Daniel podszedł do Freda. Postukał go w pierś. Musiał zadrzeć głowę, żeby spotkać się z przyjacielem wzrokiem. Fred patrzył gdzieś ponad nim, oczy miał szkliste.

– Pojedziemy do Monako przez Genewę – nęcił tymczasem Daniel. – W Szwajcarii mam skrytkę i wszystko ci zwrócę. Nie chcesz, nie musisz się ze mną przyjaźnić, nie musisz mi pomagać. Ale nie obrażaj mnie. Wiem, co robię. I nie oceniaj mnie, bo sam nie jestem ideałem. Co poradzę, że Emilia pokochała mnie, a nie ciebie.

Fred wysłuchał w milczeniu perory Daniela i w odpowiedzi pogrzebał w kieszeniach. Wyjął kluczyki do auta, którym przyjechał. Położył je na dłoni Daniela, jakby wręczał jałmużnę żebrakowi.

– Sam jedź i reguluj swoje sprawy.

– Jak wrócisz do domu?

– Agnieszka po mnie przyjedzie – odparł chłodno. – I jeszcze jedno. To mieszkanie kupiłem dla ciebie i Emilki. Żebyście byli szczęśliwi. Nigdy o nic innego mi nie chodziło. – Podniósł głos. – Jak na razie lokal jest wciąż na mnie, więc przekaz swojej koleżance, że może od razu schodzić do wozu. W przeciwnym razie wezwę policję.

Daria wyszła z za przepierzenia krokiem królowej, która podstępem została przegoniona z tronu. Za nią, w słuchawkach na uszach, podążał chłopiec. Fred na ich widok natychmiast złagodniał.

– Nic do ciebie nie mam. Bardzo mi przykro, że dowiedziałaś się w taki sposób.

– Nie padło tutaj ani jedno słowo, które by mnie zaskoczyło – odrzekła z godnością. – Ale miło usłyszeć, że jest się kochanym, i powiem panu, że z wzajemnością. Daniel to miłość mojego życia. Nie szkodzi, że nie możemy się pobrać, bo będę z nim na dobre i złe. A poza tym mam własne oszczędności. Jeśli to pomoże mojemu ukochanemu, zlikwiduję je i dam mu na wyjazd. Bo wierzę, że trudności są tylko przejściowe. On zawsze zwycięża.

Fred patrzył na tę głupiutką dziewczynę i nie mógł zrozumieć, dlaczego z taką determinacją pragnie zniszczyć sobie życie w zamian za śliczną bajkę, ale ugryzł się w język, bo przez całe lata postępował podobnie. Niczym się od niej nie różnił.

– Zostaniemy do rana – poprosił Daniel i mrugnął do Darii. – Jutro nas nie będzie. Obiecuj, Ferdziu, że przemyślisz sprawę. To będzie niezapomniana podróż. Przekonasz się.

– Ktoś musi zadbać o bezpieczeństwo twojej żony i dzieci. – Fred pokręcił głową. – Nim wróci ci rozum, podejmę się tego zadania. W imię naszej dawnej przyjaźni.

I wyszedł, nie trudząc się zamykaniem drzwi.

Rano, kiedy świt rozjaśnił szarość poddasza, na którym kochankowie spędzali ostatnią noc przed wyjazdem Daniela z Lublina, na podwórku doszło do krwawej potyczki kocurów. Piski i jęki pobudziły mieszkańców, a ślady walki na terakotowej posadzce widniały jeszcze przez następne dni. Daria obudziła się o brzasku, jak pozostali mieszkańcy kamienicy. Rozciągnęła się, mrużąc rozkosznie, i poszukała na poduszce miękkich włosów Daniela. Bezskutecznie. Wiedzioną jakimś ślepym, lecz pewnym przeczuciem, natychmiast zapaliła światło. Szybko je jednak zgasiła, by Miko się nie zbudził. Wstała, przespacerowała się nago wokół stołu, ale mieszkanie było tak maleńkie, że od tych kółek zakręciło jej się tylko w głowie. Zaczęła myć kieliszki, wrzuciła do kosza na śmieci butelkę po winie, a kiedy ustawiała naczynia do suszenia, dostrzegła na chlebaku karteczkę.

Aniołku, przemyślałem wszystko. Mam żonę, ona właśnie urodziła mi kolejne dziecko. Nie chcę jej krzywdzić. Gdyby Emilia wiedziała, że kocham ciebie, nie zniosłaby tego. Zupełnie nie wiem, do czego mogłoby dojść, ale to byłaby tragedia. Dziękuję ci za pieniądze. Obiecuję, że oddam każdy grosz tysiąckrotnie. Jeśli wrócę, będziesz pierwszą osobą, do której przyjadę. Kocham cię i nie wyobrażam sobie, że mógłbym kochać mniej.

Daria czytała wiadomość tyle razy, że każde słowo wryło jej się w pamięć, ale ich znaczenia wciąż nie pojmowała. Usiadła na podłodze, wpatrywała się w liścik, jakby został napisany w obcym języku i nie do niej, a następnie spaliła. Tak bardzo pragnęła go anulować lub nigdy nie znaleźć. Wolałaby tkwić w swojej baśni i czekać na Daniela choćby do końca świata, ale to, co raz zobaczone, zostaje w nas na zawsze, więc choć bardzo się starała, nie mogła wyrzucić tych kilku zdań z głowy. Dopiero kiedy ogień zaczął parzyć jej dłonie, nerwy jej puściły i pociekły łzy. Próbowwała gasić papier, ratować go. Za późno. Na talerzyku została tylko kupka popiołu. Wzięła komórkę i napisała Danielowi esemes: „Twoja żona miała szczęście, że spotkała cię pierwsza. Będę cię zawsze kochała”. Nacisnęła „wyślij”, a następnie usunęła Daniela z listy kontaktów. Nie chciała z nim rozmawiać, widzieć go, niczego wyjaśniać. Tylko w ten sposób mogła zachować cień nadziei.

Nadzieja – naiwne życzenie zaistnienia określonego stanu rzeczy, choć rachunek prawdopodobieństwa wskazuje, że szansa, iż tak się stanie, jest praktycznie żadna. Zawiera w sobie pewien poziom niepokoju, czy faktycznie twój plan, zamierzenie, marzenie dojdzie do skutku. Ludzie uciekają się do niej, zwykle będąc w sytuacjach bez wyjścia. Bardzo lubię, kiedy przybiera formę życzeniową: „mam nadzieję, że w przyszłości wydarzy się coś, na co czekam”. Wiele mogę na tym ugrać, bo ta nieokreślona przyszłość rzutuje na dziś, a ja posiadam moce tylko na „tu i teraz”. Przyszłość niespecjalnie mnie interesuje: własna, ich ani twoja. Wystarczy dać ofierze elementy zastępcze, przedsmak tego, o czym marzy, i już masz ją w garści – złapała się na lep swojego pragnienia i tak bardzo boi się odrzucenia, doznania zawodu, że odda wszystko, byle tego nie poczuć. Liczba zer na czeku to abstrakcja – nie ma znaczenia. Handluję marzeniami i nadzieją życzeniową. Im większe jej pokłady masz w sobie, tym łatwiej cię kontrolować. Wiem, co zrobisz, jak sprawić, byś czuł głód, ciepło czy pełnię zadowolenia. To jak podrzucanie drew do ognia, aby płomień był wysoki i palił się równo. To nic, że doświadczasz jedynie złudzenia, bo im lepszy spektakl, tym bardziej mylisz magię z kuglarskimi sztuczkami. Rozum powinien cię ostrzegać, że to zwykła bлага, ale odganasz te myśli, wygaszasz lampki alarmowe, wmawiasz sobie, że „coś w tym jest”. Owszem: głupota. I to ona umiera ostatnia. Kiedy nagle wygasze ogień, doświadczysz pustki, ciemności, samotności i zagubienia. Właśnie w tym momencie tracisz swoją nadzieję, a ja zabieram ci duszę.

Czymś zupełnie innym jest odwaga dobrego życia. Kiedy niczego nie możesz się już spodziewać, a jednak zachowujesz nadzieję, która wykracza poza horyzont konkretnych celów i odsyła w głąb. Taka postawa pozwala niektórym heroicznie bronić własnych wartości, nawet za cenę życia. Człowieka można zniszczyć, ale to on sam decyduje, czy został pokonany. Dlatego kiedy ktoś ma

w sercu prawdziwą nadzieję, nie tę złudną, życzeniową, potrafi przetrwać warunki graniczne z godnością. Na to nie mam siły i to jedyna sytuacja, kiedy dobrowolnie opuszczam pole gry. Ludzie słabi, uzależnieni od materii, sukcesów, pożądania – kłamią najpierw sobie, a kiedy zostają zdemaskowani – wycofują się, stając się moją armią. Ci, którzy mają nadzieję, nie licząc na nic, uciekają w przód. Cokolwiek się wydarzy – trwają. Bo prawdziwa nadzieja może istnieć tylko w sercu tych, którzy wierzą. To drugi poziom wtajemniczenia. Jeśli rozpoznasz tę moc w sobie, jesteś odporny na moje sztuczki. Nie jestem w stanie cię oszukać. A jeśli nawet ulegniesz, to na bardzo krótko. Choć boli, po przejściu tego jesteś gotów na prawdziwą miłość, a więc dostrzeżenie, jakie dobro los teraz ci daje. To, co cię spotyka, jest zawsze wyzwaniem i od ciebie zależy, jak sobie poradzisz. Czy wyjdiesz z poczucia bezradności, klęski, czy poddasz mi się we władanie i zechcesz odkuć, zemścić. A przejść przez to wszystko, co trudne, ze spokojem ducha, pozwala jedynie miłość do siebie. Jeśli siebie kochasz, rozumiesz, że gromy, deszcz i błyskawice to tylko inny rodzaj pięknej pogody.

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Błyskawica rozświetliła niebo i chwilę później rozległ się grzmot. Daniel zdążył policzyć ledwie do trzech. Kapitan, który przyprowadził „Daisy” do Gardy, ostrzegął go, że jacht lepiej wstawić pod dach, lecz Daniel posłał go do wszystkich diabłów. Choć nie minęła dziesiąta rano, kapitan pił teraz z resztą obsługi wesela i załogą „Daisy”, bo nikt nie wierzył, że w taką pogodę przyjęcie się odbędzie. Goście mieli zacząć się zjeżdżać lada chwila. Zaproszeń wysłano prawie sto, lecz przyjazd potwierdziła ledwie jedna trzecia. Żadna, dosłownie żadna z osób, które otrzymały błękitne zaproszenia, nie wierzyła, że chodzi o ślub, a tym bardziej o miłość. Podejrzewano, że panna młoda nie istnieje, a planowana hucpa to kolejny psikus O’Skalsky’ego von Hochberga czy jakkolwiek Dany obecnie się nazywa.

Daniel obejrzał się, zanim popchnął drzwi pierwszego hangaru. W rezydencji było pełno ludzi, a on nie chciał, by ktokolwiek kręcił się w okolicy starych zabudowań, bo tutaj swoją bazę ustanowił Yanek. Na szczęście kiedy Daniel wychodził, Nataszy na tarasie nie zobaczył. Zajęta była wydawaniem poleceń służbie w liberii, którą Skalski wypożyczył z restauracji w miasteczku.

Wewnątrz hangaru ryczała Metallica.

– Ścisz to, idioto – zrugął Niemca.

Przyjrzał się wiszącemu na wieszaku stroju duchownego, a potem podszedł do ławki z prowizoryczną sztangą, na której Yanek, ubrany jedynie w seledynowe kolarki, wyciskał z siebie ostatnie poty.

Zapadła cisza. Przez dziurawe ściany słyhać było tylko gwizd wiatru i szum drzew.

– Pogoda mało optymistyczna na weselicho. Upał jakby zelżał – mruknął Yanek. – Robimy plan B?

– Zero szans na odwrót. Młodej się spodobało, więc jeśli chcemy przekręcić Jelizawietę, powinienem dotrzymać słowa.

– Pierwszy raz słyszę od ciebie „powinienem” – szydził Yanek. – A może chcesz? Chociaż nie wiem po co. Masz ją na własność. Na co komu kłopoty?

– Przyjadą? – przerwał mu Daniel. – Jej starzy. Powinienem odebrać tę kasę. To miałem na myśli.

– Co mają nie przyjechać? W przeciwieństwie do ciebie sprawdzili pogodę i jadą wozem.

– Wiozą sałatę?

Yanek potwierdził i dołożył ciężaru na sztangę.

– Sam widzisz, że B nie jest konieczny. – Daniel wzruszył ramionami. – Choć szkoda, że nie ujrzę cię w tym wdzianku. Miałem ochotę na *Ptaki ciernistych krzewów*.

– Zachowam je na pamiątkę – odciął się Yanek. – Znajdziesz innego Kopciuszka, powtórzymy dzieło. Może następnym razem nie będzie turbulencji, to i admirał przyleci? VAL będzie. Już dojeżdżają.

Daniel się roześmiał.

– Slaats nie uwierzył w love story?

– Waha się, wietrzy podstęp. Jako i ja – powiedział Yanek. – Zwołanie wrogów na przyjęcie to dziwny sposób na uciezkę z mamra, przyznasz?

– Każdy jest dobry. Wiesz o tym najlepiej.

– Twoja rzecz.

– Przyjadą – roześmiał się Daniel. – Ja bym przyjechał. Rollo już jest. Stoi w tym samym miejscu, gdzie ty ostatnio. Skrupulatnie sprawdza prąd w ogrodzeniu.

– Nie ma. Obieg zamyka się po zapadnięciu zmroku.

Uśmiech na twarzy Daniela zamarł.

– Teraz rozumiesz, dlaczego musicie się poznać? Ten sam modus operandi. Z tym że on chodzi z gnatem i umie go używać.

– Nie zapędzaj się.

Daniel podniósł dłonie w udawanym geście przeprosin.

– Co z Garym? Nie chce swojej kasy?

Yanek wzruszył ramionami. Milczał.

– Musisz to wiedzieć – naciskał Daniel.

– Naprawdę nie rozumiem, po co to robisz. Na twoim miejscu zaszyłbym się na Kajmanach i nie wyłaził przez pięć lat, a potem sam zabrał wszystko.

– Bo jesteś prostakiem, a ja jestem górą.

– Chyba pagórkciem, jeśli już. Albo tym pierdolonym kurhanem, na którym stoi ta mała kaplica.

– Górą – podkreślił Daniel z naciskiem. – I Mahomet mnie odwiedzi.

– Co to za rebus?

– Zobacysz. Ale wart jest trzysta baniek.

– Nasze trzysta baniek? – upewnił się Niemiec.

– Te same, których wszyscy szukają. Odliczając rzecz jasna trzydzieści, które muszę oddać polskim władzom i których nie mogę pobrać sam. Nazwijmy to kosztami manipulacyjnymi.

– Chcesz im je oddać? Nie wierzę.

– Słusznie, ale niech sądzą, że chcę. – Daniel skrzywił się. – Co nie wyklucza tego, że zaraz znów do mnie wrócą. Pieniądze lubią ruch.

– I dlatego mnie potrzebujesz – odpowiedział sam sobie Yanek i wciągnął wreszcie koszulkę oraz spodnie.

– Nie ciebie, tylko twojej siostry.

Daniel podszedł do starej szafy, odsłonił kotarę, wyjął pancerną kasetkę i otworzył ją. Yanek zajrzał mu przez ramię i zdziwił się, bo zobaczył tylko małe etui. Daniel podniósł je i otworzył wieczko. Wewnątrz znajdowała się blaszka z dziurką. Przypominała połowę karty SIM.

– Ona ma brakujący element. Razem stanowią elektroniczny klucz dostępu do skrytki.

– Gertrud?

– Tarima Kamberet.

– Moja Gertrud?

– Długo jeszcze będziesz powtarzał jej imię? To nie pomoże, jeśli nie dostała zaproszenia.

– Przez cały czas go miała?

Daniel potwierdził.

– Suka, nic się nie zająknęła – zbiesił się Yanek. – Rodzinę sprzeda dla tego krejzola.

– Gary nie ma nic do tego. Noell Burling, opiekun kont w RobbyBanku, autoryzuje je i wyda kasę. Są na ich dziecko – Brunona.

– Nie ukryłeś ich w funduszu, jak mówili wszyscy? W akcjach, gwarancjach?

– Wierzę tylko w złoto i brylanty. Ty chyba też? Każdy papier płonie. Auta, jachty, mieszkania...

– Nie w tych czasach. Dziś wszystko jest elektroniczne.

– Noell wie, że wolę szelest.

Zapadła cisza i trwała, aż Daniel zamknął kasetkę i schował ją ponownie do starej szafy. Podeszedł do wściekłego Yanka, który ze złością przestawiał hantle, rzucał obciążnikami sztangi. Wręczył mu plik dokumentów, klucze na kółku i zalaminowaną książeczkę.

– Co to jest?

– „Daisy”. Twój jacht. Poświadczony notarialnie na twoje nazwisko. Pastora filii kościoła Masada w Rottenbergu – Yanka Schmetterlinga vel Xawerego Krzywickiego. Jakoś się podzielicie albo zrobisz sobie dokumenty u Śpiewaka i koniec pieśni.

– Dajesz mi swoją krypę?

– Popraw na czas przyszły – upomniał go Daniel. – Jeśli Gertrud przyjedzie tu ze wszystkimi. Dlatego cię potrzebuję – podkreślił. –

Ściągniesz też Wolfa. Rollo ma dla niego gorącą kulę ode mnie. Siostrzyczki sam pilnuj, bo oni będą mieli na nią drugą.

PIĘĆ

**NIE MÓW: NIE STAĆ MNIE,
POWIEDZ: JAK MOGĘ TO OSIĄGNAĆ?**

Port Hercules, Monako, luty 2001

– Mówiłeś o imprezie na jachcie, nie o statku kosmicznym.

Leonard zatrzymał się i zgodnie z przewidywaniami Daniela musiał nabrać powietrza, by ochłonać. W przeciwnym razie dostałby zawału. Skalski doskonale rozumiał profesora, gdyż kiedy pierwszy raz zobaczył „Excellence”, a więc osiemdziesiąt metrów luksusu, charakterystyczny łukowaty dziób i szklane panele od podłogi aż po sufit, czuł dokładnie to samo.

– Wewnątrz basen, jacuzzi i garaż dla motorówek – zachwalał Hugo Gamble, jakby był właścicielem tego cuda wartego siedemdziesiąt jeden milionów dolarów, a nie zapuszczonego apartamentu, gdzie, zgodnie z zapowiedzią Daniela, dyplomata przygarnął ich na kilka dni. – A wszystko to dla siedmiu par obsługiwanych przez dwudziestoczteroosobową załogę.

– Ten pływający pałac zbudowano dla czternastu osób? – zdziwił się Leonard i wyszedł na skraj skały, by ani jeden szczegół budowy statku mu nie umknął. – Co za marnotrawstwo!

Daniel i Hugo wymienili spojrzenia.

– Zrobi furorę, co? – szepnął konfidencjonalnie Skalski.

– Skądęś go wytrzasnął? – Hugo nie podzielał entuzjazmu Daniela. – On ma osobowość biedaka i jest naprawdę uczciwy. Widziałem wyciągi, ale sam nie wierzę, że facet ma tyle forsy. Będziesz się musiał nagimnastykować, żeby go sprzedać. Inaczej to się źle skończy. Spalisz siebie i mnie przy okazji. A tego ci nie podaruję.

– Nic się nie bój. Mam plan.

– Oby nie tak świetny jak ostatnio.

– Tamto odgarowałem. – Daniel machnął ręką. – A ty jesteś czysty. Nie wydałem cię.

Hugo nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z Leonarda, który od godziny zachwycał się jachtami w Porcie Hercules, a dzięki rześkiej bryzie i hałasowi fal nie mógł usłyszeć tej rozmowy. Żaden z nich nie chciał, by

Leonard wiedział zbyt wiele. Gdyby uświadamiał sobie własną siłę przetargową, mógłby zacząć się stawiać.

– Wiem, że dobrze sprzedałeś moje auta – kontynuował Daniel. – Wpis do almanachu dyplomatów Monako też okazał się pomocny, czyż nie? Mieszkańcy mogą ci odebrać w każdej chwili, więc proszę bez krokodylich łez i pouczanek. Będziesz nas gościł tyle, ile potrzebujemy.

– Mam swoje interesy.

– Nie wątpię. Dlatego nie będziesz mi wchodził w szkodę – odburknął Daniel. – Może cię wesprę. Chyba że palce macza w nich niejaki Wolf.

– Wolf?

– Nie udawaj durnia, Hugo. Dobrze wiesz, że ta osoba jest moim śmiertelnym wrogiem. Oszukał mnie, ograbił. Przez niego omal nie usiadłem na dwadzieścia pięć lat.

– Zabiłeś wreszcie kogoś? – zaśmiał się Hugo z satysfakcją.

Daniel pozostał poważny.

– Gdyby nadarzyła się okazja, Wolfa ukatrupiłbym bez wahania.

– Dam ci znać, jeśli pojawi się w mieście. Tylko dlatego, że chciałbym to zobaczyć – odparł Hugo bez emocji. A potem znów wskazał Leonarda: – Trzymaj go w ryzach, dobrze ci radzę. On nie jest z naszej gliny. I znajdź dobry koncept, żeby kupili jego miliony oraz reputację.

– Tak się składa, że one są prawdziwe, więc żaden problem.

Ruszyli schodkami po skałach.

– Panie Leonardzie, tutaj nie wolno palić! – Hugo zganił profesora jak chłopca oddalającego się samowolnie od kolonii. – Tam, dokąd idziemy, będzie mógł pan rozkoszować się dymem do woli.

Radziwiłł rozejrzał się lekko skonsternowany.

– Nie idziemy do statku kosmicznego?

– Idziemy do pałacu. – Hugo wskazał stu jedenastometrowy kolos wyglądający na gotowy do natychmiastowej obrony tego małego państewka.

– „Cis”? – upewnił się Leonard. – O tym statku coś czytałem. Należy do wiceprezydenta Emiratów.

Policzki mu poczerwieniały, na skronie wystąpił pot.

– Czuję się jak przed jubileuszowym wykładem. Chyba mam tremę.

Podbiegł do Daniela.

– Wstrzymajmy się, dobrze? Powinienem się lepiej przygotować. To nasza jedyna szansa, a ja nie znam arabskiego.

Skalski spoglądał na Leonarda szczerze ubawiony.

– Leo, znasz osiem języków. W ilu porozumiewasz się biernie, piszesz i rozumiesz – tego nie wiem. Ja znam ledwie cztery, ale choć w żadnym nie mówię piękniej niż w ojczystym, ludzie mnie słuchają. Nie bój się, bo ta twoja kurewska pedanteria doprowadzi nas za chwilę do skoku za burtę. Halo, jesteś milionerem! Mógłbyś kupić jacht, na którym jesteśmy dziś umówieni, i jeszcze dostałbyś resztę.

– Co to, to nie. „Cis” jest wart ponad trzysta baniek. Tam w środku jest Luwr i to nie taki zapyziały jak ten prawdziwy. Wprost kapie od złota, a w holu znajduje się sala koncertowa na pięćdziesięcioosobową orkiestrę.

– Uspokój się, Leo, bo dam ci w mordę i się skończy. – Daniel potrząsnął profesorem, a potem z jego wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął tak długo ukrywaną piersiówkę. – Łyknij, poczuj wolność. Uspokój oddech i wyluzuj. Już?

Leonard łapał hausty powietrza tak gwałtownie, jakby za chwilę miało zbraknąć mu tlenu, choć stali na szczycie urwiska.

– Przypierdol mu zaocznie, bo mam złe przeczucia – doradził Hugo po włosku. – Mówię ci, że to się posra. Kogo mi przywiozłeś?

Leonard spojrzał na Hugona, a w jego dotychczas przerażonych oczach dyplomata mógł podziwiać gniew.

– Włoski jest jednym z moich ulubionych języków. Na przyszłość radziłbym uważać na słowa.

Daniel uśmiechnął się z triumfem do skonsternowanego Hugona. Dyplomata jednak umiał znaleźć się w sytuacji.

– Pan wybaczy, hrabio Radziwiłł. – Pochylił głowę. – Zagalopowałem się.

– I ja tak myślę. – Leo uniósł podbródek, ale wciąż nerwowo drapał się po łysinie.

Tak bardzo żałował, że Irmina zakazała mu noszenia tupeciku. Czuł się bez niego jak nagi, a na dodatek było mu okropnie zimno w sam czubek czaszki.

Daniel objął profesora, wygładził jego nowiutki garnitur, który po przyjeździe kupili w butik Armaniego, i poprowadził do zejścia, jakby holował niewidome dziecko. Wtedy zza monstrualnego jachtu wychynęła perłowa łódź o imieniu „Daisy”.

– To jest nasz cel. – Pokazał. – Siedemdziesiąt metrów luksusu. Kiedyś będzie nasz. Gotów do ataku?

– Faktycznie nie wygląda groźnie – szepnął zawiedziony Radziwiłł. W porównaniu z kolosami zacumowanymi w porcie „Daisy” zdawała się małą łupiną, z której dobiegały odgłosy wiecznej zabawy, choć ledwie minęło południe. – W tej sytuacji powinniśmy dać sobie radę.

Przy trapie zostali przeszukani, a smukłe modelki witały nowych gości z tacami pełnymi kielichów z parasolkami.

– Nikt nie sprawdzał nazwisk na liście – dziwił się Leonard. – Tak po prostu nas wpuścili?

– Sądzi pan, że gdybyśmy nie mieli zaproszenia, poszłoby równie gładko?

Leonard odczytał szyderstwo, ale nie wiedział, co odpowiedzieć, więc duszkiem wypił zawartość swojego drinka. Był gorący i mocny, zdawało mu się, że do gardła wlał sobie roztopioną stal.

– Co to było? – Obejrzał się za kelnerkami.

– Ambrozja na absyncie – oświecił go Hugo. – A dziewczyny są od Fati. Najlepszy klub swingowy w mieście. Same dominy. O północy zasmakuje pan przyjemności bycia uległym.

– W żadnym razie. Uległości mam w nadmiarze od przeszło pięćdziesięciu lat – zaprotestował Leo i zaraz chwycił kolejną szklanę.

Tym razem ciecz miała kolor wody za burtą. Była gęsta jak płyn do mycia naczyń i tak też smakowała. Leonardowi nie udało się jej wypić tak błyskawicznie jak poprzedniej, ale przed oczyma pojawiły mu się mroczki. dzielnie jednak maszerował za kompanami na drugi pokład, mijając po drodze wystrojonych i wyraźnie pijanych ludzi.

– Szukamy kogoś konkretnego?

– Nie, tak sobie spacerujemy – burknął nadąsany Daniel, po czym przyśpieszył kroku.

Leo ledwie za nim nadązał. Może też i dlatego, że przystawał przy każdej modelce oraz skrupulatnie sprawdzał smaki napitków. Po półgodzinie wędrówki między pokładami był już zniechęcony i ospały. Błyskawicznie wypity alkohol dawał się we znaki w upale. Profesor miał ochotę zająć jakieś miłe, spokojne miejsce przy stoliku albo chociaż na jednej z ławek przy relingach i ponapawać się widokami. Niestety, jego kompani nie podzielali tej potrzeby. Chodzili tam i z powrotem, coraz bardziej poirytowani. Leonardowi zdawało się, że zrobili już kilka kółek. Niektóre twarze zaczynał rozpoznawać. Uśmiechał się głupawo do każdego i uchylał kapelusza.

– Znasz pan tu kogoś? – Pochylił się wreszcie do Hugona, niebezpiecznie się przy tym zataczając, aż dyplomata musiał naukowca przytrzymać. – Myślałem, że to twoi znajomi. Zagadaj wreszcie do kogoś.

– Źle myślałeś – fuknął Hugo i natychmiast puścił ramię profesora, który zatoczył się aż pod ścianę i tam zatrzymał, pośpiesznie łapiąc dech, co bardzo go rozbawiło, więc rechotał długą chwilę.

– A pić to trzeba umieć. Jak się ma słabą głowę, to się udaje – mruczał zeźlony Hugo. – Nie przyszliśmy tu dla zabawy.

– Nie strofuj mnie pan jak dzieciaka. Wiem, co robię – odparł wyniośle Leo i ruszył schodami w dół, skąd zdało mu się, że nawołuje go głos naśladowający Elvisa.

Profesor liczył, że kompani podążą za nim. Niestety nawet na niego nie spojrzeli, a już po sekundzie stracił z oczu ich plecy. Schodki były strome, więc chwilowo nie sięgał po drinki, a co gorsza, znalezienie wejścia do dyskoteki wydawało się coraz trudniejsze, bo Leo wciąż trafiał do zamkniętej restauracji, w której uwijali się wiekowi kelnerzy. Kiedy

profesor pojawił się tam trzeci raz, a wreszcie czwarty i piąty, patrzyli na niego nie tylko nieprzychylnie, ale wręcz wrogo. Dopiero wtedy Leo pojął, kogo naprawdę widzieli. Nie naukowca, bynajmniej nie milionera, lecz podstarzałego mężczyznę w zapoconym garniturze, który nadużył trunków, znajdując się bardzo daleko od domu. Od razu pomyślał o żonie. Gdyby Irmina przybyła z nim do Monte Carlo, jak ją prosił, z pewnością nie doświadczyłby żadnego z upokorzeń. Daniel wyperswadował mu jednak ten pomysł jako mało praktyczny. Teraz Leo żałował decyzji. Pochylił głowę, skulił ramiona i miał ochotę zapaść się pod ziemię, zniknąć, anihilować się, teleportować do Wrocławia, zrobić cokolwiek, co uratowałoby go z tego labiryntu. Wreszcie truchtem wbiegł w ciąg jeszcze bardziej zawitych korytarzy, które zidentyfikował jako część prywatną, gdyż po obu stronach znajdowały się drzwi do kajut. Nagle usłyszał kojący głos:

– Zgubił się pan czy kochanka nie otworzyła?

Stał jak wryty. Rozejrzał się. Zza winkła wychyliła się dystygowana Arabka mniej więcej w jego wieku. Mówiła z francuskim akcentem. Leo mimowolnie wyprężył pierś i spróbował się skupić. Zawroty głowy minęły, a alkohol przydawał mu pożądanego animuszu. Kobieta była okrągła, od stóp do głów owinięta w zielone jedwabie. Twarz miała odsłoniętą i obficie uszmkowaną. Nie była z pewnością ortodoksyjną muzułmanką. Co by zresztą robiła sama na takim jachcie? – zbeształ się w duchu profesor. Wpatrywał się w jej drapieżne migdałowe oczy mocno podkreślone kholem i czarne jak smoła włosy, zupełnie pozbawione siwizny. Pogładził się po spoconej czaszce.

– Szukam miejsca, skąd dobiega ta piękna melodia – wyrzekł, z trudem znajdując słowa.

Kiedy się roześmiała, zdało mu się, że do pomieszczenia wlały się miriady lumenów promieni słońca. Światłość ta ujawniła się za sprawą jej zębów – tak równych i białych, aż powziął daleko idące podejrzenie, że nie mogą być prawdziwe. Mimo to uznał, że kobieta jest sympatyczna i błyskotliwa, bo zapytała z przekąsem:

– Lubi pan kocią muzykę czy wraz z drogą zgubił pan aparat słuchowy?

– *Viva Las Vegas, Don't Be Cruel* – wyrecytował szybko. – To moja młodość.

– I moja – przyznała z arcyważną miną. – Byłam na ostatnim, wieczornym koncercie króla w Wilson. Niezapomniane przeżycie.

– W pięćdziesiątym szóstym nie było pani na świecie.

– Miałam piętnaście lat, drogi panie fircyk – zbeształa go filuternie. – Tata przemycił mnie nielegalnie. Wybłągałam od niego prezent na walentynki, bo ugadał się z kochanką. Tak, obchodzimy to święto, nie musi się pan tak marszczyć. I choinkę stawiamy, a pod nią zawsze jest góra prezentów! – Nie dała mu dojść do słowa. – Oglądałam Presleya ze specjalnej łoży, coby nie stykać się z gawiedzią.

– Mam więc zaszczyt poznać prawdziwą księżniczkę z Arabii?

– Córkę handlarza plutonem. – Wzruszyła ramionami, znów mrużąc te swoje magnetyczne oczy. – Choć wykupiłam sobie wszystkie możliwe tytuły i stosowne do nich diademy, więc niech panu będzie. A pan kim jest?

– Leonard Radziwiłł. – Leo skłonił się.

– Radziwiłł?

Kobieta aż odsunęła się pod ścianę. Wyraz jej twarzy momentalnie się zmienił. Leo nie mógł z niego odczytać, czy podanie nazwiska otworzyło mu te drzwi, czy zamknęło je na zawsze. Wreszcie Arabka uniosła podbródek i rzuciła jak obelgę:

– A więc jest pan spokrewniony z tymi skurwysynami Kennedymi! Swego czasu znałam Stanisława, męża siostry Jackie. Powiedziałabym, że była to znajomość dogłębna. Wiem, co mówię. To ród kanalii!

– Niestety nie utrzymujemy kontaktów. – Leo zrobił niewinną minę. I szybko dodał: – Jestem prostym profesorem, lecz z rodziny książąt polskich. Diademów nie mamy. Wszystko nam rozkradli.

– Może jeden z nich należy do mnie. – Kobieta uśmiechnęła się znów lekko. – I co pan robi na tej łajbie?

– Jak pani słusznie zauważyła, zagubiłem się. Służbowo natomiast – odchrząknął znacząco – od kilku miesięcy wdrażam się w życie mającego człowieka.

– Wygrał pan coś na loterii? – Arabka zaśmiała się nieszczerze i rzuciła okiem na obrączkę Leonarda. – Mąż Lee nie miał grosza przy duszy. Podobnie jak inny polski arystokrata, który w Monte Carlo trzęsie mediami. Niejaki Zygmunt Krasicki. Znacie się panowie?

– Niestety. – Leo pochylił głowę.

– Prowadzi agencję public relations Emerald Project. I to jest już koniec listy moich znajomości w polskich dynastiach, więc niech pan zrobi mi przyjemność i chociaż udaje, że coś kojarzy.

– Nie jestem dobry w udawaniu – przyznał zgodnie z prawdą Leo.

– Co z pana za arystokrata? Udawanie to wasz znak firmowy! Nie korzysta pan z rodzinnych koligacji, by doić takich nuworyszów jak ja?

– Jest pani raczej bezpośrednia. – Tym razem Leo wybuchnął śmiechem. – Tak, udało mi się coś samodzielnie zarobić, ale naprawdę niedawno i jeszcze się nie przyzwyczailem. Z zamiłowania jestem naukowcem, dokładnie wynalazcą. Dynastie, jeśli szczerze, wcale mnie nie interesują. Przyjechałem zdobyć inwestora dla mojego rewolucyjnego projektu produkcji płyt cementowo-wiórowych.

Zatrzymał się, bo już wiedział, jak ludzie reagują na jego wykłady na bankietach. Nie chciał jej zanudzić.

– Nieważne. Może przy innej okazji opowiem. Ale nie jestem gołodupcem. Kilka miesięcy temu zarobiłem dwadzieścia siedem milionów dolarów na akcjach HEF NV. Chcę teraz je pomnożyć i zainwestować w swoją fabrykę.

Arabka stała długo bez ruchu, nie odzywając się, i wpatrywała się w Leonarda, jakby miała przed sobą egzotycznego ptaka. Jego autentyzm całkowicie ją rozbroił. Poprawiła zieloną abaję i wyciągnęła dłoń do powitania.

– A więc wizjoner! Wygląda mi pan na profesora!

Leo chwycił delikatnie jej palce i musnął ustami przegub, co jeszcze bardziej ją rozbawiło.

– Shalimar Agenda – pisnęła jak dzierlatka. – Jest pan tak uroczo staromodny! Nie pasuje pan tutaj, ale niech się pan nie gniewa.

Pochylił się do niej i szepnął teatralnie:

– W kółko mi to mówią. I wie pani co, jestem z tego dumny.

Znów wyszczerzyła te swoje nieprawdziwe oszłamiające zęby i podała mu ramię.

– Pokażę panu tajne przejście do miejsca, którego pan szuka.

– To jest, jak widać, dzień, na który czekałem. Szkoda, że nie ma tutaj moich kamratów. Tak bardzo chciałbym zobaczyć ich miny, kiedy zastaną mnie z panią.

– Niepotrzebna ta wazelina. Nie jestem nikim wyjątkowym.

Shalimar udawała skromną, ale Leo widział, że jej schlebił. Kimkolwiek była naprawdę, miał pewność, że nigdy nie należała do zwykłych ludzi. Takiej wyższości nabywa się latami.

– Pozwolę sobie zaprotestować. Gdyby moja żona była tutaj, z pewnością byście się polubili.

Poczuł, że uścisk kobiety słabnie, i o to też mu chodziło. Nie chciał, by uważała, że podrywa ją dla pieniędzy.

– Dlaczego nie ma jej z panem?

– Sam się zastanawiam. Pani ma męża?

– Ojciec mi wystarczy.

– A ilu mężów pani miała? – zapytał i przeraził się, że właśnie zepsuł tak miły flirt.

Shalimar bynajmniej się nie obraziła.

– Sześciu – odparła bardzo spokojnie. – Ale proszę się zbytnio nie nastawiać. Nie zamierzam kolejny raz dzielić majątku. Poza tym tata obwarował mój trust tak dokładnie, że nawet gdybym chciała, nic pan nie ugra. Skurwiel ma dziewięćdziesiąt pięć lat i wcale nie wybiera się do grobu. Choć wielu o tym marzy, włącznie ze mną.

Leonard zaśmiał się, a Shalimar mu zawtórowała. Czuł się znów jak w liceum, kiedy poznał Irminę. Była tak samo buńczuczna i bezpretensjonalna, choć wizualnie kobiety różniły się jak dzień i noc. Tak żałował, że żona przestała kłąć, kiedy została matką. Ale sądził, że jeśli zakoleguje się bliżej z Cesią i Inez, wróci do tej pięknej tradycji.

– Obecnie gustuję jedynie w młodych chłopcach – kontynuowała tymczasem Shalimar. – Wymieniam ich, dopiero kiedy zaczynają być nazbyt bezczelni w kradzieżach.

– Dasz palec, chcą całą rękę.

– Święte słowa. I jeszcze myślą, że skoro jestem stara, to będę się łapała na ich tanie komplementy.

– Och, przepraszam. – Leonard pochylił karnie głowę, ale oczy mu się śmiały.

Shalimar też patrzyła na niego z sympatią.

– Mówiłam już, że jest pan jakiś inny?

– Inny? – zaniepokoił się Leo, myśląc o tym, co od jakiegoś czasu wkładał mu do głowy Daniel i dzisiaj Hugo. A może ona czuje mój pot i jeszcze ta łysina, dręczył się.

– Od razu pana polubiłam. Tylko tak inaczej. Wie pan co, nigdy nie miałam przyjaciela mężczyzny. Kobiety zresztą też nie. Pieniądze odgradzają nas od ludzi.

– Chyba pani żartuje! – udał oburzenie Leonard. – Przyjaźń między kobietą a mężczyzną nie istnieje i bieda w tym nie pomaga.

– Nie, jeśli jest się chciwą pijawką. Pan zaś ma w sobie coś prawdziwego. Założę się, że przyjaźnicie się z żoną.

– Ma pani rację! – Leo aż podniósł głos, a potem nagle umilkł.

Ta kobieta też była inna. Zastanawiał się, czy nie jest podstawiona. Nie miał przecież nigdy łatwości rozmawiania z damami. Jego naukowe wywody były w stanie uspić najambitniejszych doktorantów obojga płci. Całe życie słyszał, że nie zna się na żartach. O prostym flircie nie było mowy wcale. Nagle poczuł, że musi być ostrożniejszy.

– A jednak jestem zmuszony zarzucić pani kłamstwo – sprytnie zmienił temat.

– Jakież? – Odsunęła się gwałtownie i dla odmiany zdawała się szczerze oburzona.

Leo zmarszczył brwi, bo pierwszy raz spotkał osobę, która w pięć minut od poznania tak otwarcie streszcza mu swoje pięćdziesiąt dziewięć lat

życia, a obrusza się z powodu błahostki.

– Te koncerty Elvis zagrał w Winston Salem, nie w Wilson – rzekł z namaszczeniem. – Nie było mnie tam, rzecz jasna, ale zdobyłem nielegalne nagrania i wiem, że było to dwa dni po walentynkach.

– Tak się przypadkowo składa, że w Winston Salem też byłem. – Uśmiechnęła się zalotnie i podała mu ramię. – Chyba się jednak zaprzyjaźnimy, panie Radziwiłł.

– Mów mi Leo – zaproponował. – A jeśli proszę o zbyt wiele, to przynajmniej raz, kiedy spotkamy moich kumpli. Straszne z nich fagasy.

Harmonia jej zębów wynagrodziła mu wszelkie trudy dzisiejszego poranka.

Scenę ulokowano w półmroku, a dzięki scenografii i światłu można było uwierzyć, że na estradzie naprawdę szalał zmartwychwstały król rock'n'rolla. Aliści tylko do czasu, aż mężczyzna otworzył usta. Nikomu to jednak nie przeszkadzało. Stoliki ulokowano z dala od głośników i zaledwie jeden był obłączony, a gwar wzrastał się, im goręcej sobowtór Elvisa produkował się przy mikrofonie.

– Poznajcie, panowie, mojego przyjaciela, polskiego magnata i wynalazcę. Profesor Radziwiłł we własnej osobie. – Shalimar cierpliwie przedstawiała Leonarda kolejnym osobom.

Był wśród nich staruszek o twarzy żółwia, dwóch lub trzech byłych wojskowych, człowiek z koloratką oraz piękna kobieta o spojrzeniu zmęczonego anioła i ustach wykrzywionych skrywanym gniewem, uwieszona na ramieniu najwyższego Chińczyka, jakiego Leo widział w życiu, a który na dodatek bezbłędnie mówił po francusku. Leo zastanawiał się gorączkowo, która z tych osób jest właścicielem jachtu. Nie chciał popełnić gafy wobec gospodarza. Głupio mu było jednak spytać, zwłaszcza że cała uwaga towarzystwa skupiała się obecnie na nim, do czego nie był przyzwyczajony, a z czego skwapliwie korzystała Shalimar.

– Znalazłam go pod własną kajutą.

– Może chciał się do pani zakraść, księżniczko – żartowano rubasznie.

Arabka zaś nie tylko nie protestowała, ale wręcz wtórowała znakomitym gościom, za każdym razem dodając jakiś pikantny szczegół ze spotkania z Leonardem. Profesor rozejrzał się dyskretnie i zarejestrował, że w tej sali nie było ani jednej roznegliżowanej hostessy. Whisky i szampana podawali ubrani w liberię nadszarpnięci zębem czasu kelnerzy, jakby angażowano ich dopiero po osiągnięciu wieku emerytalnego.

– To aktorzy z klubu seniora. – Shalimar nieustannie szeptała do ucha Leonarda, tłumacząc mu otaczającą rzeczywistość. Miał wrażenie, że znajduje się w teatrze, a Arabka czyta mu didaskalia. – Marc Baptiste odpisuje to sobie od podatku. Jak trzeba, grają bogaczy, których Solgevar pragnie oskubać.

– Więc ile ma pan patentów? – zainteresował się niski staruszek o wyrazie twarzy zółwia i takiejże posturze, którego przedstawiono Leonardowi jako admirała Davida Slaatsa.

– Sto dwadzieścia siedem. Ostatnie trzynaście zgłosiłem do urzędu przed samym wyjazdem, więc pozwalam sobie ich nie doliczać.

– Jakiego typu to rzeczy?

– No cóż, bardzo różne – tłumaczył w natchnieniu Leo. – Począwszy od technologii żeluzowania wody w korzeniach roślin, co jest przydatne zwłaszcza na pustyni, poprzez domy budowane na palach, które można transportować, a na elektrycznej szczoteczce do odkurzania książek skończywszy. No i oczywiście moja rewolucyjna metoda produkcji płyt wiórowo-cementowych pozwalająca stawiać wieżowce za połowę ceny i w trzykrotnie krótszym czasie. Po powrocie do Polski wdrażam to ostatnie dzieło do produkcji. Jest najbardziej zaawansowane.

– Wizjoner, mówiłam wam – emocjonowała się Shalimar.

– Mnie jednak zainteresowały szczególnie te szczoteczki – kontynuował admirał Slaats, nie zwracając zupełnie uwagi na kobietę. To zaś powoli utwierdzało Leonarda w przekonaniu, że Arabka nie jest żadną potomkinią handlarza plutonem ani nawet córką szejka. Nie miał jeszcze pomysłu, kim mogłaby być oraz czym się zajmować, ale wiedział, że niebawem się tego dowie. – Czy są drogie w produkcji? Wszyscy moi znajomi mają problem z kurzem.

Leo przyjrzał się uważnie małemu człowieczkowi. Gdyby nie siedział, Leo czułby się dziwnie, gdyż facet był właściwie karłem, ale zdawało się, że nikt tego nie dostrzega. Miał posłuch i tylko jedna osoba nie okazywała mu służalczego szacunku – był to człowiek postury Leonarda, z tym że kościsty, i już z daleka profesor obstawił, że ma za sobą karierę wojskowego. Chwilę później Shalimar przedstawiła go jako asa kontrwywiadu Stanów Zjednoczonych, który miał wiele imion i nazwisk, ale wszyscy zwracali się do niego po prostu VAL.

– I zbił pan majątek na swoich wynalazkach? – VAL zwrócił się do Leonarda niezwykle uprzejmie.

– W żadnym razie. Przez całe lata byłem biedny jak mysz kościelna. Majątek posiadałem ledwie pół roku temu. Papiery dłużne, nic specjalnego. Przybyłem tutaj, aby je pomnożyć.

– To wiele wyjaśnia. – VAL przeszył Leonarda spojrzeniem aligatora, a potem nagle stracił nim zainteresowanie, gdyż rozległ się dzwonek telefonu i wszyscy umilkli.

W tej samej chwili Leo uświadomił sobie, że wykonawca przestał śpiewać, muzycy zaś zgromadzili się wokół podrabianego Elvisa i rozgorzała między nimi jakaś kłótnia o takty.

VAL znów okazał Leonardowi cień zainteresowania.

– Nie odbierze pan?

– To do mnie? – zdziwił się profesor.

Rozległ się gromki śmiech.

– Uroczy, prawda? – zachwyciła się Shalimar.

Leo rozpoczął poszukiwania swojego telefonu, ale wewnętrzna kieszeń marynarki nieoczekiwanie okazała się pojemna jak torba podróżna. Zanim zdołał wydobyć aparat, melodyjka ucichła. Spojrzał na wyświetlacz: „Daniel Skalski”. Nacisnął „oddzwon” i w korytarzu usłyszeli stłumiony dźwięk. Leo ruszył w tamtym kierunku. Daniel i Hugo stali za kuloodporną szybą, a za nimi rozciągał się obłądny widok na morze, w którym – jak się w pierwszej chwili Leonardowi zdawało – pławili się ludzie w wieczorowych toaletach. Dopiero kiedy zbliżył się do kompanów, dostrzegł, że ta część jachtu ma szklane dno. Obejrzał szybę, za którą się

znajdowali, lecz nie znalazł klamki ani zamka. Ich głosy słyszał jakby stłumione. Cieszył się z tego, bo Daniel miał twarz zaciśniętą ze złości, Hugo zaś obrzucał profesora obelgami, których Leo nie chciał się nawet domyślać. Radziwiłł uświadomił sobie, że żaden z nich nie wygląda na człowieka sukcesu, który odnalazł się w tym elitarnym gronie.

– Niestety nie słyszę was i nie wiem, jak się tam wchodzi. – Poruszał ustami bardzo wolno, starając się nie wydawać głosu, choć wąpił, by ktokolwiek poza nim mówił w tym pomieszczeniu po polsku.

A choć koledzy protestowali, uderzali pięściami o szybę, odwrócił się do nich plecami i dołączył do nowych znajomych, którzy niemal wiwatowali na jego widok. Ta chwila małego triumfu była dla niego wystarczającą rekompensatą za poniżenia na uczelni.

– Więc ma pan do pomnożenia dwadzieścia siedem milionów? – przymilał się do Leonarda jeden z członków świty admirała Slaatsa. Leonardowi schlebilo nieco, że kolejny raz ktoś tak gorliwie stara się zyskać jego sympatię, ale zaraz się odsunął, gdyż facetowi pachniało z ust zepsutą rybą. – Mów mi Jasu.

– Leo, poznaj Jasu Thumbę – zaanonsowała mężczyznę od zdechłej ryby Shalimar. – Kawaler Zakonu Maltańskiego, a właściwie sam mistrz.

– Czy mógłbym zobaczyć wasze misteria albo przymierzyć cullę? – zainteresował się natychmiast Leonard.

W młodości dużo czytał o rycerzach. Dla własnego komfortu zdecydował jednak zachować odstęp od Thumbę.

– Prowadzimy działalność charytatywną. – Maltańczyk uśmiechnął się pod wąsem. – Gdybyś chciał przekazać nam środki, możemy ci pomóc dostać się do lukratywnego funduszu hedge, który prowadzi mój przyjaciel.

– Chyba o tym nie będziemy tutaj rozmawiać – odparł Leo z godnością. Wskazał pełne szklanki. – I z pewnością nie po alkoholu.

Nagle rozległ się hałas, a ze sceny zerwał się fałszywy Elvis i przeciął salę wzdłuż, jakby gonił go monstrualny szerszeń. Muzycy przestali grać, zapalono światło. Leo przekonał się boleśnie, że z tego grona tylko Chińczyk oraz jego kobieta Emma należą do ludzi pięknych. Pozostali bogacze niewiele różnili się od jego kolegów naukowców, którzy każdego

miesiąca ledwie wiązali koniec z końcem. Leo pomyślał, że musi koniecznie donieść o tym Irminie, ale zaraz zapomniał, bo wszyscy skupiali się teraz na osobliwej scenie: oto sobowtór Presleya tulił, szarpał i podnosił niedużego bruneta w tenisowym garniturze.

– Rollo, zostaw pana. – VAL odwrócił się do gości zniesmaczony tym brakiem taktu, jakby miał do czynienia z niesfornym psem bojowym, który znalazł zakopaną przed laty kość. Wreszcie dał znak człowiekowi żółtowi.
– Możesz odwołać swojego człowieka, Slaats? Nie słucha mnie.

Admirał był szczerze ubawiony i wyraźnie nie miał zamiaru interweniować.

– Kogo diabli przywiedli? – zawołał.

– To Daniel Skalski von Hochberg, mój kolega z... wojska – odparł rozochocony Rollo Shark w błękitnym kombinezonie nabijanym dżetami i niepasującym doń wcale turkusowym sombrero zwisającym teraz smętnie na jego chudych plecach. – Kiedy ja opuszczałem regiment, Dany’ego jeszcze trzymali. Opowiadałem ci, szefie.

– Widzę, że mamy kolejnego magnata. – Admirał Slaats uśmiechnął się półgębkiem. Głos miał donośny i władczy. Siedzący przy stoliku rozstąpili się. – Gdzie dokładnie panowie służyli?

– W RFN – odparł grobowym tonem Daniel, wdzięczny za uwolnienie z żelaznych dłoni dryblasa. Widać było, że ma wobec Rolla mieszane uczucia. – Niedługo dane było nam trzymać razem warty. Kiedy mnie przyjęli, porucznik Shark został przeniesiony.

– Tak dokładnie było – potwierdził ochoczo Rollo. – Z tym że dochrapałem się stopnia kapitana.

– Ma pan szczęście, von Hochberg – do rozmowy włączył się VAL. – Ochrona nie wpuszcza do tej sali postronnych. Gdyby nie ewidentna miłość do pana naszego rekina renesansu, zgłosiłbym pana nazwisko na czarną listę „Daisy”.

– A więc to pańska łódź? – Leo skorzystał z okazji, by się upewnić.

– W żadnym razie – zaprzeczył VAL. – Ja jedynie zawiadamę czarnym notesem Marca Rockefellera oraz decyduję, kiedy i komu „Daisy” ma być sprzedana.

– Jest na sprzedaż? – zaciekał się Leo.

– Chyba nie będziemy mówili o tym teraz i po alkoholu – przedrzeźnił go VAL. Po czym wstał i rzucił, nie bawiąc się we wstępy: – Kim panowie są i czego chcecie? Laski są tam.

Wskazał na szybę, za którą w dalszym ciągu bawili się ludzie w wieczorowych kreacjach.

– To mój doradca finansowy – odezwał się Leo. Z początku mówił cicho, potem podnosił głos coraz bardziej. – Daniel zaczynał w Londynie w Barclays Bank, robił interesy z Donaldem Trumpem i Michaeliem Jacksonem. To za jego sprawą gwiazdor stawia w Warszawie park rozrywki. W Niemczech pan von Hochberg posiada własny bank.

– Imponujące – zakpił VAL.

Admirał Slaats przyglądał się jednak Danielowi bardzo uważnie i co jakiś czas wymieniał porozumiewawcze spojrzenia z Rollem.

– Jeśli pan nie wierzy, proszę obejrzyć referencje – oburzył się Leo i chciał perorować dalej, lecz Daniel położył mu dłoń na ramieniu.

– Nikomu nie musisz się tłumaczyć. Praca szuka mnie, nie odwrotnie. – A potem zwrócił się do pozostałych. – Wszystko się zgadza, jestem tylko prostym finansistą. Robiłem wielkie transakcje dzięki sprytowi i dobrym informacjom, jak zapewne państwo. Ale ostatni sukces to efekt połączenia naszych wspólnych starań. Algorytm opracowany przez pana profesora Radziwiłła jest niezawodny. Cały czas namawiam go, by wystarał się o patent. To jego najważniejszy wynalazek. Leo, wybaczone, że ujawniłem twój sekret, ale nie mogłem pozwolić na dalsze upokarzanie cię.

I zanim naukowiec zdołał zaprotestować, Daniel zawołał jednego z kelnerów.

– Proszę podać kolejkę single malt dla wszystkich. Na koszt księcia Radziwiłła.

Rozległy się pomruki aprobaty. Leo bezskutecznie starał się obrócić wszystko w żart.

– Tak trzeba. – Daniel ścisnął go władczo za ramię. – Żeby wyjść, trzeba włożyć.

– I po co im tak nagadałeś? – wysyczał Danielowi do ucha, kiedy po południu wyszli na górny pokład, by zająć miejsce na leżakach i posłuchać koncertu.

Na jednej kolejce się nie skończyło i Leo ostatecznie wypisał właścicielowi jachtu czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Był cały czerwony na twarzy, ręce mu drżały, kiedy się podpisywał. Za to goście ściskali go cały wieczór i nagle wszyscy, jak jeden, rozpytywali o naukowe terminy. Leo doskonale zdawał sobie sprawę, że ni w ząb nie rozumieją jego wywodów, lecz nikt mu nie przerywał. Czuł się dokładnie tak jak na uczelni, z tym że musiał jeszcze za ten tandetny spektakl zapłacić.

– Zaczynasz mnie drażnić, Leo – mruknął Daniel i założył okulary przeciwsłoneczne.

Skinął na najładniejszą kelnerkę. Podeszła z tacą uginającą się od kolorowych drinków.

– Może pani to zostawić. – Skalski wskazał swój stolik, a potem poklepał wolne siedzenie obok siebie. – I zrobić sobie przerwę, bo nogi pani spuchną.

Prychnęła i oddaliła się szybko, przesadnie kręcąc biodrami.

– To chamstwo nie było konieczne – upomniał Skalskiego Leo.

– Za to jej płacą. Obudź się, psorze.

Wyciągnął się na leżaku, jakby byli na plaży. Leonard wciąż siedział skulony.

– Więc tak wygląda twoja praca?

– Mhm. Właśnie tak.

– Dobrze się czujesz, szastając moimi pieniędzmi?

– Nie bądź sknera. Muszą uwierzyć, że należysz do ich stada. To kosztuje.

– Jeśli tak zamierzasz znaleźć inwestora, to cię zwalniam w tej chwili! – Leo rozeźlił się nie na żarty.

Daniel nie reagował.

– Słyszałeś?

– A coś mówiłeś?

Leonard wstał, skierował się do wyjścia.

– Nie zamierzam marnować z tobą ani minuty dłużej.

– I dokąd pójdziesz? – krzyknął za nim Daniel. Kilka głów odwróciło się w ich stronę. Skalski nie przejął się. Był przekonany, że nikt z obecnych nie rozumie po polsku. – Beze mnie nic nie znaczysz!

– To się okaże – mruknął pod nosem Leo i ruszył do trapu.

Z grupy osób przyglądających się sprzeczce wystąpił niewysoki, łysy jak kolano mężczyzna o rozbieganych oczach. Na nosie miał grube okulary nerda.

– Biskup wspomniał mi o panu – zwrócił się do Daniela w ojczystym języku.

Skalski uniósł się na leżaku. Obrzucił człowieka krytycznym spojrzeniem. Milczał.

– Xawery Krzywicki, pastor Masady. Znają się panowie z Lublina. I z Hamburga.

Daniel usiadł. Wskazał leżak obok siebie.

– Nie wiedziałem, że Xawery jest tutaj.

– Przyjaźnimy się od lat. Prowadzę w Monako marketing jego kościoła.

Podał Danielowi wizytówkę.

– Zygmunt Krasicki, agencja Emerald. Gdyby potrzebował pan mediów, jestem do usług.

– Będę pamiętał. – Daniel schował kartonik do kieszeni, nie okazując zainteresowania.

Mężczyzna nie odchodził. Otworzył papierośnicę i wyjął z niej cygaretkę, a potem poczęstował Daniela. Ten jednak odmówił.

– Jaki jest Michael Jackson? – odezwał się znów Krasicki.

Daniel z trudem zachował spokój.

– Białe. – Wzruszył ramionami.

– A Donald Trump? Czy to prawda, że niezły z niego świr?

– Tak mówią. – Tym razem Skalski pozwolił sobie na podniesienie prawej brwi w grymasie zdziwienia. – Interesy z nim prowadzę

korespondencyjnie. Z listów wnoszę, że to bardzo zorganizowany człowiek.

– Shalimar twierdzi, że szukają panowie czterech osób do zamknięcia portfela. To prawda?

– Szukamy? – Daniel zmarszczył brwi. Był teraz szczerze zaniepokojony.

– Z profesorem Radziwiłłem.

– Plotki szybko się rozchodzą.

– On nie jest magnatem. – Krasicki zatrzymał zmęczone spojrzenie na Danielu. – Znam wszystkich swoich wujów i kuzynów na całym świecie. Tego faceta widzę pierwszy raz w życiu. A pan kogo udaje? – Wskazał sygnet Daniela. – Bolko nie miał potomków. Było wielu kandydatów do jego majątku i każdy z bękartów miał dobre papiery. Nie wierzę w ten proces na Śląsku. Żadna sprawa nie toczy się obecnie przeciwko spadkobiercom Hochberga von Pless. Jeśli już upiera się pan, by używać rodowego nazwiska, warto zadbać o realia.

Daniel podniósł się z leżaka. Na horyzoncie dostrzegł Hugona rozmawiającego z przystojną kobietą w czarnym spodnim. Na głowie miała kapelusz z dużym rondem, jej szyję oplatała kolorowa apaszka. Nie widział jej twarzy, dopóki wiatr nie zerwał nakrycia głowy, i wtedy rozpoznał Gertrud.

– Przepraszam, śpieszę się.

– Nie wydam panów – zapewnił Krasicki i dodał na zachętę: – A mogę pomóc w szukaniu chętnych do inwestycji. Mam swój interes, by rzucić wyzwanie Rockefellerowi. Oczywiście to będzie kosztowało, ale widzę, że macie środki.

– Nie znam człowieka, przykro mi.

– Jakim cudem pan się tutaj dostał? – roześmiał się Krasicki. – To jego jacht. Ale niech pan się nie przejmuję. Marc Baptiste nigdy nie przybywa na własne przyjęcia. Wydaje mu się, że jest Wielkim Gatsbyem. Zbieżność imion ukochanych nie jest przypadkowa.

Krasicki wskazał na ozdobne koło ratunkowe, na którym złotymi czcionkami wymalowano „Daisy”. Danielowi to nie pomogło. Nadal nie rozumiał. Krasicki również spostrzegł Hugona Gamble’a. Dyplomata

pomachał do piarowca, ten zaś w odpowiedzi skinął mu nieznacznie głową. Daniel poczuł, że oblewa go zimno.

– Znacie się?

– Znam tutaj wszystkich. Gdyby nie ja, Hugo dawno straciłby to stanowisko, o które się pan dla niego wystarał, chroniąc go przed aresztowaniem. Wiem, że zatrzymaliście się u niego, a nie w Hotelu de Paris, co też o czymś świadczy.

– Niby o czym?

– Że środki Radziwiłła są niepewne.

– A zna pan pewne? – odparował Daniel i wciąż wpatrywał się w Gertrud, która stała odwrócona tyłem i w dalszym ciągu udawała, że go nie dostrzega.

Poczuł ukłucie. Rozejrzał się po pokładzie. Ludzie rozmawiali, śmieli się. Ci bliżej orkiestry wirowali w rytm walca Straussa. Po drugiej stronie, przy relingu, spostrzegł wysokiego blondyna w koszulce w paski, lnianej marynarce i panamie na głowie. Na nogach mężczyzna miał markowe tenisówki. Z tej odległości Daniel nie widział go dokładnie, ale skoro tuż obok stała Gertrud, wysoki przystojniak najpewniej był jej bratem. Teraz Skalski rozglądał się już baczniej, szukając Nikolaya albo Carli.

– Nie widział pan Wolfa? – zwrócił się do Krasickiego.

Arystokrata pokręcił głową.

– A powinienem?

– Nieważne. – Daniel machnął ręką. – Zna go pan? Wysoki, chudy jegomość z laseczką. Nie widzi.

– Chyba nie miałem przyjemności.

Daniel odetchnął z ulgą.

– Jaką tak naprawdę ma pan dla mnie propozycję?

– Nie ja – odparł Krasicki. – Jestem tylko posłańcem, panie O'Skalsky.

Daniel skrzywił się, słysząc własne nazwisko tak drwiąco przekręcone.

– Słucham więc.

– Jeśli jest pan zainteresowany współpracą, proszę przyjść dziś o dwudziestej do hotelu Hermitage Monte Carlo. VAL pragnie bliżej pana poznać. Prośba, by kolega profesor znalazł sobie inne zajęcie. VAL chce się widzieć tylko z panem. Pan Radziwiłł nie może być jeszcze wtajemniczony, choć bardzo nam na nim zależy.

– Na jego milionach.

– Dobrze powiedziane, panie O'Skalsky.

Hotel Hermitage Monte Carlo, Monako, luty 2001

– Chwycił przynętę – zameldował Rollo i zajął wolny hoker obok Gertrud.

Z daleka jej nie poznał. Miała na sobie sukienkę z odkrytymi plecami, a włosy uczesane w wysoki kok, w który wpięto brylantowe wsuwki. Pół twarzy zasłaniały jej okulary optyczne. Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stroju. Zawsze pracowała w koszuli i spodniach, jakby nosiła mundur.

– Nic dziwnego. Shalimar dobrze się spisała. – Gertrud upiła łyk lemoniady. – Podprowadziła profesora, a reszta wyjątkowo też się spięła, choć Radziwiłł bywa nadgorliwy.

– Już niedługo. Skoro VAL wie, że Radziwiłł jest w Monako, zadba o donos do CGZ w Amsterdamie. Wyślą pewnie jakiegoś inspektora.

– Tego się boję.

– Dowiem się o nazwisko. Opracujemy go.

– Musimy się śpieszyć. Niedobrze będzie, jeśli przez VAL-a ARN zablokuje środki.

– Nie ma takiej opcji. Kaskada jest w toku.

– By dopiąć proces, potrzebny jest co najmniej tydzień. I sto nowych rachunków.

Rollo skinął na kelnera, który bez pytania nalał mu dzinu. Peruwiańczyk wypił duszkiem, a potem pokazał, by napełnić szkło ponownie. Rozejrzał się.

– Zapaliłbym.

– Admirał siedzi w naszej sali – zaproponowała Gertrud. – Wytrzymasz.

– I tak się dowie. Jeśli nie dziś, to najpóźniej jutro. VAL kazał mi przejąć Hochberga o osiemnastej – mruknął Rollo i przyjrzał się krytycznie plecom kobiety. – Dobrze wyglądasz.

– Wiem, ale dzięki – odparła, z trudem ukrywając napięcie. – Zdążycie? Na dwudziestą Skalski powinien być na odprawie u admirała.

– Schudłaś po ciąży.

– Nędza temu sprzyja – ucięła. – To mamy kłopot. VAL chce podebrać nam jelenia. Jeśli mu się uda, cały plan Gary’ego leży. Marc Baptiste weźmie wszystko.

Rollo tylko się zaśmiał.

– Nie przesadzaj. Polak jest ambitny i umie rozgrywać karty. Nie pierwszy raz znalazł się w potrzasku. Tyle lat posuchy i drobnych kradzieży, aż tu nagle dwie mocne oferty równocześnie. Raz w życiu oszustowi spada na łeb taka szansa. Zrobi wszystko, by się spisać.

Gertrud spojrzała na Rolla z ukosa. Zdziwiła się, bo miał na głowie bejsbolówkę zamiast zwyczajowego kapelusza.

– Mówiłeś o tym z Garym?

Kręcenie głową. Kolejny drink. Gertrud już wiedziała, że Rollo też trzęsie portkami, tyle że w przeciwieństwie do niej nie honor mu się do tego przyznać.

– Jest nieprzytomny po jakichś zabiegach. Oddziałowa monstrum nie dopuszcza mnie do aparatu. Myk na haukacza[16] nie działa. Nie pozwalają mu nawet wstawać.

Gertrud była nowinami zszokowana. Rollo objął ją i szeptał do ucha:

– Tak musi być. Inaczej już by go sądźli.

Nie uwierzyła mu. Wyrwała się.

– W ogóle z nim rozmawiałeś?

– Trzy razy – oburzył się. – Przecież bym nie kłamał.

– On tak. – Machnęła ręką. Wzięła się w garść. – Co robimy?

– Na razie wystarczy, że nie przeszkadzamy. Niech koguty biją się o słupa. Ty zajmij się robotą księżnej Fulko, żeby jak przyjdzie co do czego, był komplet graczy.

– Został mi tylko Narcis, ale nie mam dojścia. Marc Baptiste totalnie omotał jego prawnika. Lipez Lopez nie chce słyszeć o zmianie funduszu. Gadają coś o boisku piłkarskim w Brazylii dla biednych dzieci, które Marc obiecał zbudować im z odsetek.

– Sprytne.

- Musi być jakiś rezerwowany.
- Nie ma nikogo.
- Ja mam kogoś.
- Pewniak?
- Tak mi się wydaje. Niestety, zna mnie z dawnych czasów. Będę musiała go uprzedzić i zechce dołą.
- To uczciwa propozycja.
- Jeśli w tym biznesie jest miejsce na coś takiego.
- Kto?
- To Niemiec. Nie znasz.

Rollo wreszcie odsunął od siebie szklankę. Rozejrzył się po lobby, do którego weszła kobieta z pieskiem w torebce. Stała przed kontuarem recepcji i odwróciła głowę w ich kierunku. Rollo skinął jej nieznacznie. Gertrud nie ruszyła się z miejsca, choć czuła, że kobieta wypala jej spojrzeniem dziurę w plecach.

- Emma się spóźniła – zameldował. – Wiesz, że była w Polsce?
- Nie obchodzi mnie, gdzie się szlaja.
- A powinno.

Rollo zakręcił się na hokerze jak na karuzeli. Zdjął czapkę. Włosy miał wystrzyżone na zero, odsłaniały tatuaż w postaci dwóch jedynek ustawionych w literę M.

- Co ci się stało? – zdziwiła się Gertrud. – Zgubiłeś swoje nakrycie głowy czy udajesz, że jesteś incognito?
- Wiesz, że się do tego nie nadaję.
- Co jest grane?
- Może będę musiał skonsultować coś z Garym. Nie byłoby mnie parę dni. Dasz sobie radę?

Gertrud zwietrzyła podstęp, ale o dziwo, tym razem się nie rozkleiła. Przeciwnie, rozgniewana szybciej łączyła fakty.

- Dostałeś zlecenie.

Cisza.

– Czyli tak.

Po twarzy kobiety płynęły łzy.

– On wiedział, że tak będzie.

Rollo nadal milczał.

– Przecież to twój przyjaciel.

– Dlatego tego nie zrobię, ale muszę zachować pozory.

Gertrud nie słuchała. Zerwała się i pobiegła w stronę wind.

Rollo długo siedział przy barze, zbierając myśli. Niczego nie zamawiał, na nikogo nie patrzył, choć słyszał, jak lobby zaroilo się od znajomych śpieszących do sali, w której czekał admirał, i widział ich w lustrze między butelkami. Shalimar szczebiotała z Kevinem Longiem, Emma niosła nowego pieska, a potem, na koniec, zobaczył Gertrud – z poprawionym makijażem i chłodem na twarzy. Wciąż miała na sobie tę sukienkę i dziwnie wyglądała, popychając spacerówkę z dzieckiem. Obok niej maszerował muskularny olbrzym, który nie był jej bratem. Rollo nie znał faceta i nie wiedział, kim jest, ale odetchnął z ulgą. Wiedział, że Gertrud zrobi wszystko, jak nakazał jej mąż. Kiedy znajomi zniknęli w korytarzu prowadzącym do sali, gdzie za kilka godzin miała się odbyć reżyserowana narada, wyjął komórkę i wykręcił numer. Pomylił się, bo zamiast kierunkowego do Wielkiej Brytanii wpisał Niemcy. Przeklął, poprawił się. Gary odebrał po pierwszym dzwonku.

– To jest kurewsko trudne – zaczął bez powitania. – Czuję się jak łajza.

– Czyli prawidłowo.

– Zastanawiam się, kto jest większym łajdakiem. Ktoś, kto kłamie dziewczynie, że lutnie jej ukochanego, czy on sam, kiedy każe tamtemu kłamać.

– Nie możemy ryzykować – odparł Gary. – A ona się nie podda. Gertrud nigdy się nie poddaje, a Tarima Kamberet tym bardziej sobie na to nie pozwoli.

– Przyjedziesz na finał?

– Wątpię. Ale wiem już, jak przekonać Narcisa.

– Marc Baptiste obiecał mu boisko. Nie przebijesz tego.

- Nie będziemy licytować.
- Świetny plan. Z pewnością go przekona.
- Wsadzisz go na ławkę rezerwowych. I dołożysz bramkarza.
- Przypominam ci, że nie mamy nadmiaru graczy. Gertrud przekonała Australijczyka, Long przeszedł na naszą stronę, ja i księżna Fulko gramy w obronie. Piąte miejsce czeka na Narcisa. Bez niego przekręt nie ma sensu.
- Weź Polaka na bramkę.
- Po co? To Daniel Skalski spina nasz pakiet. Daje twarz, nazwisko i pójdzie siedzieć. Nawet jeśli weźmie sobie okrucy, beknie za to. Tyle, co się pobawi.
- A ten profesor?
- Radziwiłł? Skalski ma przekreślić własnego człowieka?
- Nie pójdzie na to?
- On pewnie pójdzie, ale my już i tak mamy jego forszę.
- Mówiłem, że na bramkę! – zniecierpliwiał się Gary. Dotąd mówił szeptem, a teraz podniósł głos. – Niech Rockefeller o nim usłyszy i zapragnie go przejąć. Ten facet ma dwadzieścia baniek, Narcis tylko pięć. To cztery razy tyle.
- Dwadzieścia siedem.
- Dwadzieścia. Siedem już wydał. A za chwilę nie ruszy z tego nawet złamanego centa.
- VAL jeszcze się waha, czy wzywać Trina.
- Uprzedziłem go. Nasz bankier zaniósł donos do ARN. Puszczają już szakale na rzeź. Jedzie do mnie niejaki Pernod Hagedorn i prezeska ARN. Chcą, żebym uszczelnił ich system bezpieczeństwa. Trzymajcie się, bo obiecałem prokuratorowi, że idę na współpracę.
- Zwariowałaś? – Rollo złapał się za głowę i natychmiast włożył czapkę.
- Zmuszasz mnie do sprzątnia. Nie będzie odwrotu.
- Próbuj, obszczymurze.
- Połączenie zostało zerwane.

Lublin, Polska, luty 2001

– To tutaj. – Śpiewak zatrzymał się w bramie przy Kołłątaja 3 i spojrzał na Emilkę.

Była blada, nieruchoma jak lalka. Wpatrywała się tępo w afisz apteki, jakby skręt głowy w kierunku klatki schodowej, w której znajdowała się garsoniera jej męża, był ponad jej siły. Do kraty lichym łańcuszkiem przytwierdzono rower z logotypem Mercedesa. Leżał na chodniku, bo właścicielowi nie chciało się prawidłowo ustawić podpórki. Był niewiarygodnie obtłuczony i podrapany, jakby ktoś jeździł nim po stalowych krzakach.

– Wchodzimy? – upewnił się Śpiewak. – Jest sama. Dziecko zostało z dziadkami. Ostatnie piętro, poddasze z lewej strony. Chcesz, to poczekam w wozie.

Emilia gwałtownie pokręciła głową.

– Wsiadaj – rzekła stanowczo, a potem spojrzała na Szaję z nienawiścią. – No już, tylko na chwilę. Nie gaś silnika.

Odpiął pas. Posłusznie opuścił auto. Ona zrobiła to samo. Obiegła maskę samochodu i zajęła jego miejsce. Trzasnęła z całej siły drzwiami, jakby chciała stłuc szybę – bezskutecznie. A potem ruszyła z impetem i zanim Szaja zdążył zareagować, najechała na przednie koło roweru, zgmiotła ramę. Jeździła w tę i we w tę, aż z pojazdu została tylko kupa żelastwa, a zderzak audi grzechotał jak puszka pełna gwoździ. Dopiero wtedy wycofała i zatrzymała samochód. Powoli, na trzęsących się nogach wysiadła, zajęła miejsce pasażera. Śpiewak z podziwem przyglądał się jej niemej furii.

– Lepiej? – zapytał, krzywo się uśmiechając.

– Nie – odparła apatycznie Emilia. – I tak był zniszczony. Żadna różnica.

– Nie chcesz z nią rozmawiać?

– Po co? – zdziwiła się. – To nie moja sprawa.

– Fred kupił to mieszkanie. Nie powiedział ci. To ma być przyjaciel?

– Miał swoje powody.

Śpiewak nie odpowiedział, ale nabrał do niej jeszcze większego szacunku.

– Jedźmy do tego hotelu – zdecydowała twardo. – Ale po wszystkim zostawisz mnie i moje dzieci w spokoju. Jak będziesz chciał więcej, wystarczy jeden telefon do pracy. Stawię się. Odwołasz brytany spod moich drzwi.

Tym razem to on pokręcił głową.

– Jeśli przyjdiesz do mnie sama, możemy robić interes. Nie będę cię gwałcił.

– Więc odwieź mnie do domu i sam go sobie szukaj.

Śpiewak nie odpowiedział, ale Emilia wyczuła, że jest wściekły. Nie groził, nie kwapił się do bicia. W jednej chwili zrozumiała wszystko.

– Tak naprawdę nas chronisz. Gdyby dowiedzieli się, że ci się oparłam, przejmie mnie ktoś inny? I nie będzie tak różowo. To rodzaj waszego kodeksu, tak?

Spojrzał na nią łagodnie. Złapała się na tym, że w jego brzydocie dostrzega coś ujmującego. Przez swoje oszpecenie musiał cierpieć całe życie. Zdjęła ją litość. Pochyliła się do niego i dotknęła wykwitów na jego skórze. Były gładkie, suche jak skóra węża. Zupełnie inne w dotyku, niż się wydawały, i wcale nie oślizgłe.

– Pocałuj mnie – poprosiła i zamknęła oczy. W wyobraźni przywoływała twarz męża, ale nieoczekiwanie pojawił się Fred. – Kup jakiś alkohol – zarządziła szybko. – Bardzo cię przepraszam, ale nigdy nie byłam z nikim poza Danielem. To dla mnie trudne.

Podniósł rękę, pogładził ją po włosach i zaraz się odsunął.

– Nie musisz. Możemy tylko napić się i porozmawiać.

Skinęła głową i nagle rozplakała się z niemocy. Nie przytulił jej. Nie dotykał więcej.

– Wiesz, skąd się wzięła moja ksywa? – zaczął cicho. – Należałem kiedyś do zespołu pieśni i tańca. Byłem głównym basem. Cóż, życie inaczej się ułożyło. To były inne czasy, choć podobne.

Emilka otarła łzy, spojrzała na niego ufnie, dlatego zaskoczyła go tym, co powiedziała.

– Lucek mówił inaczej. I Fred. Podobno ludzie wrzeszczą, kiedy się ich torturuje. Lubieś to robić?

Skrzywił się.

– Może obie wersje są prawdziwe?

– Co będzie, jeśli Daniel nie odda tych pieniędzy?

– Wiesz więcej, niż mówisz.

– W takim razie nie mówmy dziś o niczym. Jedź i zróbmy, co trzeba.

– Odejdiesz kiedyś od niego?

– Nie.

– Tak myślałem.

– Nie chcesz wiedzieć dlaczego?

– Nie moja sprawa.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Ruszyli w kierunku Biłgoraja, milcząc całą drogę. Kiedy zatrzymał się na parkingu pod jej blokiem, zawahała się.

– Szkoda, że nie weszłaś – powiedział spokojnie. – Jej tam nie było. Rzucił ją, zanim wyjechał. On myśli tylko o sobie. Liczyłem, że to ci coś uświadomi, ale jesteś znacznie mądrzejsza niż ja. To był komplement. – Odchrząknął.

Emilia patrzyła na Szaję skołowana.

– Uważaj na swojego chłopaka. Niech nie prowokuje nikogo więcej w mieście, bo może być krucho. – Urwał. – Będę was dalej chronił. Na tyle, ile zdołam. Nie wszystkich. Tylko ciebie i dzieci.

– Pod warunkiem?

– Że nigdy nie powiesz, że cię nie skrzywdziłem. Pożalisz się, będziesz oskarżała, ale na policję nie pójdziesz. Rozpuścisz straszliwe plotki, nazywaj mnie, jak chcesz. Jestem potworem. Musiałaś cierpieć przeze mnie niejeden raz. Uwierzysz w to i nikt poza nami nie pozna innej wersji twojej krzywdy. Legenda ma być taka, żeby była godna mojej ksywy. Jemu nie musisz, ale Luckowi. To mi wystarczy.

– Osobista zemsta?

Nie odpowiedział.

– Lucek zrobił to twojej żonie? – odgadła i poczuła, że braknie jej powietrza. – Dlatego zmarła? Z tego powodu żona chciała od niego uciec, kiedy Daniel miał kilka lat? To za to bestialstwo wyrzucili go z wydziału? Nie było żadnej sprawy politycznej?

Drobny grymas na twarzy i zaciśnięcie ust wystarczyły jej zamiast potwierdzenia.

– Wtedy pojawiła się u ciebie ta choroba?

Odruchowo dotknęła jego ramienia, ale wzdrygnął się, więc zabrała rękę.

– Powiem, żeby wycofali chłopaków.

Mówił spokojnie, jakby nie słyszał jej pytań. Nie do wiary, że ktokolwiek jest w stanie tak perfekcyjnie się kontrolować. Śpiewak był jak wyprany z emocji, ale Emilka wiedziała, że to tylko maska. Pod skorupą wciąż ukrywała się inna, skrzywdzona dotkliwie osoba, która kiedyś, dawno temu, może i była zła, ale dziś była jedynie martwa. A może Emilka się myliła? Nic już nie wydawało się jej pewne.

– Dlaczego nam pomagasz?

– Dbam tylko o swój interes. Nie pytaj więcej o sprawy, których nie masz siły dźwignąć. Prawda potrafi zmienić wszystko i zmusza nas do rzeczy, których nie chcemy, ale są nam potrzebne. A dopóki nie masz dobrego scenariusza, udawaj lepiej śleпą. Głucha nie bądź nigdy.

– Zapamiętałam.

– Sprawa z tamtym dzieciakiem ciebie nie dotyczyła. Jego stary był winien forszę Tacie. Zwykły zbieg okoliczności.

– Nie wierzę w twoje zbiegi okoliczności.

– To słuszny tok myślenia.

Kliknął centralny zamek i już wiedziała, że ma opuścić pokład. Dopiero teraz ogarnął ją dojmujący smutek. Szła do domu, zalewając się łzami.

Rio de Janeiro, Brazylia, 24 lutego 2001

Wjazd sambodromu „Sympatia to prawie miłość” wzbudził największy aplauz uczestników karnawału. Na jego szczycie publiczność dostrzegła Vivian Araujo, modelkę i gwiazdę MMA, odzianą jedynie w czerwony pióropusz, kozaki do kolan nabijane cyrkoniami oraz kilka pasków symbolizujących bikini, które pozwalały podziwiać jej imponująco wyrzeźbione ciało w pełnej krasie. Vivian, nie przestając trząść pupą i biustem w rytm muzyki, uniosła ramiona w kształt litery V. Wokół niej maszerowały setki tancerek i tancerzy, a dalej podrygiwali mieszkańcy oraz turyści. Kiedy pierwsze owacje zaczęły słabnąć, ogromna głowa na sambodromie poruszyła się, szczęki instalacji się rozwarły, a na balkonik wyszedł krępy mężczyzna w odzieży równie skąpej jak u mistrzyni MMA oraz w zdecydowanie mniej obfitym pióropuszu. Tak szybko przebierał nogami, że pośladki, uda i górna część torsu falowały nie gorzej niż wielkie piersi Vivian. Zebrani wprost oszaleli na widok słynnego piłkarza Narcisa del Rodrigueza Sali w roli solisty prowadzącego sambodrom. Wszystkie kamery zbiegły się w to jedno miejsce, a ludzie zaczęli się cisnąć do tej właśnie platformy. Nie minęła minuta i twarz oraz zadek Narcisa pojawiły się na wszystkich telebimach i w tym samym momencie dzięki wszechwładnej mocy internetu obiegły cały świat.

Brazylijczycy kochali swojego Narcisa za jego skłonność do rebelii, spryt, skuteczność oraz miłość do samby, o czym piłkarz często opowiadał w wywiadach. Złośliwi żartowali, że w tańcu jest lepszy niż w futbolu, choć jego menedżer i wieloletni przyjaciel Lipez Lopez wiedział, że te dwa wrodzone talenty Narcisa idealnie się równoważą. Wyjątkiem były jedynie okresy, kiedy Narcis był zakochany. Nie myślał wtedy o piłce wcale, przeceniał swoje umiejętności, tańczyć zaś mógłby całymi nocami. I zresztą to robił. Kiedy Lipez Lopez, siedząc w swoim genewskim domu, zobaczył w głównych wiadomościach podopiecznego tańczącego na platformie z Vivian, zrozumiał, dlaczego od wczoraj nie udało mu się do niego dodzwonić. Uświadomił sobie również ze zgrozą, że wszystkie jego kłamstwa o operacji kolana i pobycie w szpitalu, które zwykle serwował trenerom, by usprawiedliwić nieobecność Narcisa na treningach, nie zdadzą

się tym samym na nic, bo zdjęcia tańczącego sambę piłkarza znajdują się za chwilę na każdym portalu. W tej sekundzie poczuł, jakby egzotyczny parkiet, na którym stał w tej chwili, zamieniał się w grząskie bagno, a on sam zapadał się po szyję.

Chwycił komórkę i zaczął kompulsywnie wstukiwać numer Narcisa, choć zdawał sobie doskonale sprawę, że skoro piłkarz trzęsie tyłkiem w Rio, nie odbierze połączenia. Nagrywał się jednak raz za razem i jak zwykle powstrzymywał przed rzucaniem przekleństw, bo wiedział dobrze, że te na Narcisa działają jak płachta na byka. Prosił, błagał, przekonywał, aż wreszcie poddał się i popędził do łazienki zwymiotować, bo całe jego życie zależało od kontraktów, jakie podpisywał futbolista, a kary za niesubordynację sięgały miliardów dolarów. Jak bardzo teraz żałował, że osiem lat temu splótł swój los z życiem tego świra. O dziwo, piłkarz oddzwonił po kwadransie i świergotał wesoło jak pijany skowronek po nocce z kochanką. Do tego czasu Lipez Lopez zdążył już wypocić dzbanek soku z wódką wypity duszkiem, obejść tysięczny raz stół w jadalni oraz odebrać sześć pism od prawników, w tym jedno ultimatum, że jeśli piłkarz w dniu jutrzejszym nie stawi się na boisku, wypada z drużyny ze skutkiem natychmiastowym.

– Nie wracam, nawet nie proś – usłyszał zamiast skruchy, a raczej wyłuskał co drugie słowo paplaniny Narcisa z bębniącego hałasu oraz krzyków podekscytowanych fanów i skandującej publiki. – Chyba że sam masz ochotę przylecieć, ale z tego, co wiem, wszystkie bilety do Rio są zabukowane. Vivian jest kosmicznie seksowna, a do tego ma pięć ślicznych koleżanek, chociaż twierdzi, że to jej siostry.

– Trudno zaprzeczyć. – Lipez Lopez zebrał wszystkie siły, by wydawać się zrównoważony. – Cały świat to widzi.

– Nic nie słyszę – poskarżył się Narcis, a agent przestraszył się, że to jedynie pretekst do zerwania połączenia. Krzyknął z całej siły:

– Czy te siksy warte są siedemnastu milionów, bo tyle wyniesie kara, by udobruchać trenera? Nie sądzę, by boska Vivian pożyczyła ci chociaż jedną bańkę.

– Ale z ciebie sztywniak. – Narcis zaśmiał się. – Muszę cię w końcu nauczyć tańczyć. Facet, który nie zasmakował samby, nie umie dać

rozkoszy kobiecie.

– Od czterdziestu ośmiu lat jestem gejem! – Lipez Lopez wzniosł oczy do sufitu. – I jak wiesz, radzimy sobie z Alessandrem całkiem niekiepsko bez twojej samby.

– Alessandro to nudziarz – prychnął Narcis. – Zaczynij trząść biodrami, a pojmiesz, o czym mówię, bo jak na razie to jakbym gadał o kolorach.

Lipez Lopez zajął miejsce na kanapie. Włączył tryb głośnomówiący i ukrył twarz w dłoniach.

– Masz jakiś ukryty plan czy kutas zasłonił ci widoczność?

– Rozgrywki dopiero za rok, a karnawał jest tylko raz.

– Raz w roku. I nigdy go nie opuściłeś.

– Właśnie – zgodził się Narcis. – A ten nowy chujek wkurwia mnie nieustannie. Musiałem odreagować.

– Zamiast jechać do Rio, trzeba było walnąć go w mordę.

– Tak też uczyniłem – przyznał się Narcis, zachęcony właściwym trybem myślenia agenta. – A ten nowy zamiast mi oddać, opierdolił przy wszystkich jak uczeniaka, a potem wysłał do rezerwy. Na moje miejsce wstawił Barbarosę. Tego cieniasa, pojmujesz?

Tego właśnie Lipez Lopez się spodziewał. Ten dureń zrobił to specjalnie. Z zemsty! Nie mógł się Narcisowi przyznać, ale kupił Alessandrowi łódź a conto przyszłych dochodów, więc jeśli piłkarz straci ten kontrakt, Lipez Lopez będzie bankrutem. Musiał coś wykombinować. Ten idiota nie może pokrzyżować jego romantycznych planów. Ma nie tylko grać, lecz wygrywać i zarabiać dla Lipeza coraz więcej.

– Chcesz, żeby zerwali kontrakt?

– Nie zrobią tego. – Narcis roześmiał się, a Lipez Lopez uświadomił sobie, że po drugiej stronie panuje już cisza.

– Gdzie jesteście?

– W garażu podziemnym. Szukam auta.

– Wracasz?

– Bynajmniej. Umówiłem się z Vivian na kolację. Przyjdzie z siostrzyczkami. To będzie duże wyzwanie, więc chciałbym się trochę

przespać.

– Strategia na medal. Trening czyni mistrza – mruknął z przekąsem Lipez Lopez.

Słowem nie zająknął się o tym, że jeśli Monica zobaczy jutrzejsze wiadomości, Narcisa czeka wkrótce podział majątku, lecz sprawy prywatne piłkarza Lipeza Lopeza nie interesowały. Zresztą wiedział, że futbolista poradzi sobie z żoną jak zawsze. Do tego akurat przydaje się samba.

– Szkoda, że nie powiedziałeś wcześniej, rozjebałbym nowego za Barbarossę prawnikami.

– Nie bądź taki tatuś. Wystarczy, że Alessandrowi to pasuje – burczał rozeźlony Narcis. Wyczuł, że skoro Lipez Lopez zaczyna kląć, nad jego głową wiszą już czarne chmury. – Sam sobie nieźle radzę. Kiedyś rozbiłbym mu łeb i po nim przeszedł. Ma fart, że rozpoczął się karnawał, a piarowo nam się to opłaci. Nawet jeśli rozwiążą kontrakt, ludzie się zbuntują. Klub pożąda tego ruchu szybciej, niż działa poczta lotnicza. Wrócą na kolanach, a wtedy podwoimy stawkę. Barbarossa jest za słaby na puchar świata, tylko nowy jeszcze o tym nie wie.

– Sodówka ci puściła, Narcis. Barbarossa ma dwadzieścia dwa lata, ty czterdzieści z górką. To on ma przed sobą przyszłość. Nie rozpierdalaj tego, co zbudowaliśmy, dla jednonocnej mistrzyni klatek.

Umilkł, bo uświadomił sobie, że przestał nad sobą panować. Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Narcis nie szalał, nie burzył się, nie groził. Było źle.

– Jestem wołem do zarabiania kasy – odezwał się nareszcie. – Zgadza się, ale ty mogłeś być oszczędny. Zwróć swój zakup Lipez, jeśli się boisz, że splajtujemy.

– Staram się tylko dbać o twoje interesy.

– Więc zaakceptuj moje decyzje.

– Jesteś piłkarzem! Obowiązuje cię regulamin. Trzy lata negocjowałem ten kontrakt, a ty go czytałeś! Jak zamierzasz strzelać bramki, skoro nie ćwiczysz? Pijesz, ruchasz, latasz tam i z powrotem po świecie, żeby znów ruchać i pić. Myślałem, że ślub z Monicą coś zmieni.

– Skończyłeś?

Lipez Lopez z trudem łapał powietrze.

– Dopiero zacząłem – warknął konfrontacyjnie, ale Narcis dobrze wiedział, że apogeum kłótni minęło i Lipez się dostosuje. Pogada, ponarzeka, a potem weźmie telefon do ręki i zacznie gasić ogniska.

– To naprawdę nic dużego.

– Zdeprecjonują twój profesjonalizm. Stracisz renomę.

– Dopiero zyskam – prychnął Narcis, ale nie było mu już do śmiechu. – Każdy facet chciałby dotknąć balonów Vivian. Nie ma takiego, który by nie marzył, żeby się do niego uśmiechnęła. Nawet ty, gdybyś tu był, poczułbyś, jak promienie słońca muskają ci kutasa i serce.

– Mój kutas się wzruszył – fuknął Lipez Lopez, ale przestał się pieniść i myślał tylko, co zrobić, żeby klienta ratować.

Słuchał więc paplaniny Narcisa jednym uchem, ale zawzięcie notował na kartce ramowy plan działania.

– Sam zobaczysz, jak skoczą moje akcje, kiedy w Rocinha zbudujemy stadion dla dzieciaków. Potem będziemy stawiali kolejne boiska, w innych fawelach. Jestem to winien mojej rodzinie. Niech zobaczą, że pamiętam, gdzie wyrosłem, i że każdy gnojek ma wybór: być gangsterem albo piłkarzem.

Lipez Lopez w spokoju wysłuchał pompatycznego przemówienia, ale kiedy tylko Narcis zaczerpnął powietrza, by kolejny raz opowiedzieć agentowi o swoich początkach (co Lipez znał na pamięć), rzekł krótko:

– Tego stadionu na razie nie będzie. Rocinha musi zaczekać.

Pisk opon, trzask metalu, odgłos tłuczonego szkła.

– Co się stało? Narcis, żyjesz?

– Pierdolnąłem w słupek.

Znów pisk i odgłos krzyków.

– Uciekłeś z miejsca wypadku?

– Jaki tam wypadek? Tylko trochę zgiałem znak drogowy. Nikomu nic się nie stało. I tak nie cierpiałem tego wozu. Za bardzo jest żółty. Oddam ci go, może Alessandro nie będzie się wstydził, bo Monica nie weźmie połamanego.

- Mam nadzieję, że nikt cię nie sfotografował.
- Nie wysiadałem. – Narcis zamknął temat, jakby mówił o bekaniu przy obiedzie. – Co mówiłeś o boisku? W czym problem?
- Ten facet, który miał dojście do magika od funduszy hedge z Londynu, dzwonił jakiś tydzień temu.
- Marc Baptiste Rockefeller, kojarzę typa. Ulizany żabojad, a tak naprawdę chłop z Irlandii. Co z nim?
- Nie chciałem cię denerwować, bo rozpocząłeś treningi, a wiedziałem, że z Barbarosą macie kosę i musisz się ułożyć z nowym trenerem – zaczął się plątać Lipez Lopez.
- Bez wstępów! – Narcis wkurzył się do reszty. – Kogo mi wyszukujesz, Lipez? Za co, kurwa, płacę ci te miliony?
- Chyba przesadzasz...
- Dobrze wiem, na ile mnie okradasz. A zaliczka na łódź ile kosztowała? Jakby tak policzyć hurtem, masz więcej forsy niż ja, a siedzisz sobie w Genewie i popijasz soczki. Żeby chociaż z wódką.
- Lipez Lopez odchrząknął, ale Narcis nie dał mu dojść do słowa.
- Jednego zamykają, a drugi stwarza problemy już na starcie!
- Powinieneś się cieszyć, że na czas zdobyłem dane o Frenchu. Wielu twoich kolegów potraciło pieniądze, bo Gary się nie wywiązał i ponoć nie wywiąże. Zwariował.
- Biedaczek! – prychnął Narcis już łagodniej. – I tak nie powierzyłbym temu cieniasowi ani centa. Co z tym nowym?
- Bierze do portfela kogoś innego.
- Co?!
- Lipez Lopez zawahał się, ale uznał, że na dalszą zabawę z tym świrem nie ma siły.
- Do gry wszedł mocniejszy gracz. Twoje pięć baniek przebił jakiś *no name* z papierami księcia. Ma do wydania dwadzieścia. Idziesz na ławkę rezerwowych.
- *Ave Maria, cheia de graça!* Od kiedy to w grze nie może być o jednego więcej?

– To fundusz hedge, tłumaczyłem ci. Jest miejsce tylko dla pięciu. Tak działa ten algorytm.

– Pierdolę to, namów ich!

– Przykro mi, Narcis. Na boisku też jest określona liczba zawodników. Nic nie poradzę.

Lipez Lopez słyszał, że Narcis modli się pod nosem, przetykając litanie przekleństwami.

– Układ był taki, że stadion na faweli robimy z odsetek. Jeśli powiesz teraz ludziom, że go nie postawisz, nadszarpnie to twoją reputację. Trzeba było mnie słuchać i nie ujawniać zawczasu planów, ale ty zawsze musisz coś chlapanąć tylko po to, żeby zebrać aplauz. Trzeba wybulić tę forszę, Narcis. Sam rozumiesz, że w tej sytuacji nie możemy pozwolić sobie na skandal z Barbarossą.

– Kim jest ten gość, co wyruchał mnie z portfela?

– Jakiś Polak. Znam nazwisko, ale nie da się wymówić.

– Znajdź mi nowego cwela od algorytmów.

– To nie takie proste – westchnął ciężko Lipez Lopez. – Czekaliśmy na Marca Baptiste’a ponad rok. Na całym świecie liczy się tylko kilku gości, którzy wypracowują tego rzędu zyski w tak krótkim czasie.

– Nie będę się prosił. Skoro żabojad nie chce mojej forsy, kto inny ją pomnoży. Zajmij się tym w pierwszej kolejności. Jak będzie trzeba, dotrzemy do ludzi Frencha. Ktoś musiał przejąć po nim schedę.

– Gary siedzi w psychiatryku, więc Solgevar zawisł w próżni. Na jego aktywach łapę trzyma prokuratura. To najgorszy pomysł z możliwych, Narcis. Nie chcemy fermentu z organami ścigania w tle. Już rozwód jest lepszy.

– Coś sugerujesz?

– Nic, Narcis. Absolutnie. – Lipez Lopez natychmiast się wycofał.

– Nie dzwoń do mnie, póki kogoś nie znajdziesz, i tym razem sprawdź go do trzeciego pokolenia! – ryknął Narcis. – Nie chcę słyszeć więcej o wariatach i pierdlach. Jest skuteczny, od razu umawiaj termin. Przyjadę choćby jutro.

– Wrócisz na trening? – odważył się kolejny raz zapytać Lipez Lopez, ale w słuchawce była tylko cisza.

Narcis się rozłączył.

Monte Carlo, Monako, luty 2001

– Widok oszałamiający – skomentował Daniel, wpatrując się w rusztowania za oknem i skład złomu na podwórku. – Pięknie się pan urządził, panie Krasicki.

– Pięć dych na karku i wciąż na dorobku. – Spec od reklamy machnął ręką i wrócił do przewalania zawartości tekturowych pudeł stojących pod ścianą. – Mów mi Zyga. Nie musimy sobie panować. Jesteśmy rodakami. Też Oksford mam za sobą.

Wymienili uścisk dłoni. Daniel zasunął ponownie roletę i zajął jedyne krzesło w pomieszczeniu. Stało przy biurku, które dla odmiany wyglądało tak, jakby nikt nigdy przy nim nie pracował. Na brzegu ustawiono zdjęcia dzieci, pamiątkowe pióro z grawerem na granitowej podstawie, a na samym środku mahoniowego blatu leżał podniszczony laptop. Klapkę miał otwartą, więc Daniel zauważył, że wszystkie klawisze są wytarte. Nie miał zielonego pojęcia, jak Krasicki na nim pisze.

– Za wiele ten Albert chyba ci nie płaci.

– Płacić płaci, tylko koszty są kolosalne. Tutaj wszystko wychodzi drożej, sam wiesz najlepiej.

– W co inwestujesz?

– Jak na razie wyłącznie w byłe żony – zaśmiał się Krasicki. – I gromadkę dzieci.

– Więc tutaj tkwi przyczyna. Ile ich posiadasz?

– Dwie, za to konkretne. Dzieci zaś siedmioro, ale tylko troje z papierami.

– U mnie dwójka. – Daniel się zaśmiał. – A w czasie teraźniejszym coś się dzieje?

– Zraziłem się do stałych związków.

– Coś o tym wiem. Lepsze dwie kołdry niż jedna. Zawsze to powtarzałem.

Krasicki ocenił Daniela krytycznie. Potem rzucił okiem na jego sygnet i obrączkę.

– Ty chyba takich problemów nie masz?

– Mam wręcz przeciwne.

Krasicki zerwał się z klęczek i zamachał nad głową kolorowym magazynem.

– Wiedziałem, że skądś cię kojarzę.

Położył na stole numer niemieckiego „Halo”, przerzucił kilka stron. Daniel dobrze wiedział, co tam znajdzie. Po akcji z Wolfem tylko dzięki publikacjom w gazetach miał z czego żyć w więzieniu. Jak się okazało, Rollo dbał, by niemiecki zakład karny był dobrze zaopatrzony w czasopisma, a kompani Daniela spod celi prześcigali się w robieniu mu przysług, żeby im doradzał i opowiadał o swoich przygodach. Nigdy wcześniej ani później nie gimnastykował tak wyobraźni. Wyłuskał z tego lamusa co lepsze historie, by uraczyć nimi Krasickiego, ale ten szybko przerzucił stronę ze zdjęciem Skalskiego i tekstem o parku rozrywki, a zatrzymał się na artykule poświęconym księżniczkom na wydaniu. Najmniejsze zdjęcie ukazywało drobną brunetkę o twarzy Grace Kelly. Miała nie więcej niż czternaście lat.

– Ją chcesz poderwać? – zaśmiał się rubasznie Daniel, ale widząc oburzenie w oczach Krasickiego, ucichł i na jego twarzy pojawił się wyraz zaciekawienia.

– Mam na nią zlecenie.

– Gratuluję. – Daniel zaczął ostrożnie. – A w jakiej dziedzinie?

– Przynajmniej toples.

– Zapłać dobrze snajperowi z teleobiektywem. Jaki problem?

– Pilnują jej.

– Chyba nie za bardzo.

Daniel przerzucił kilka stron i pokazał zdjęcia księżniczki w bikini, za każdym razem w towarzystwie innego mięśniaka. Żaden nie wyglądał na intelektualistę.

– Nie o to chodzi – zniecierpliwiał się Krasicki. – Chcą ją wydać za takiego jednego Włocha. Starzy dogadali się, jak byli dziećmi. Wiesz, jak to się załatwia. Zamek był w ruinie, Onasis ogołocił skarbiec. Książęca kuzynka była jedyną deską ratunku i wkrótce będzie musiała wypełnić obowiązek, ale wciąż się buntuje. Wiem, że zabujała się w takim jednym podejrzanym krezusie.

– Marc Baptiste Rockefeller się nazywa? – odgadł Daniel. – Słyszę to nazwisko nieustannie.

– Jak wszyscy, choć on sam się nie pojawia. – Krasicki uśmiechnął się. – Za to mała znika z domu na całe noce. A dla draki fotografuje się z ochroniarzami.

Wskazał zdjęcia w bulwarowym tygodniku.

– Wiesz, ile płacą za taką fotkę?

Krasicki zdjął okulary. Oczy miał małe, zdawało się, że lekko skośne. Był brzydszy niż kurczak po oskubaniu. Daniel zastanawiał się, jak wyglądać muszą jego żony i co w nim widziały. Chyba że sam tytuł hrabiny im wystarczał.

– W tysiącach?

– W setkach tysięcy. Za fotę z kochankiem nastoletniej księżniczki o takim nazwisku wynegocjować można pół bańki. A gdyby obrazki były pieprzne, spokojnie i całą. Ale nie o to idzie.

– Szantaż? – strzelił Daniel.

Krasicki zrobił oburzoną minę. Nie wyszło wiarygodnie.

– Celem jest ona czy ten tajemniczy krezus? – dopytał Skalski i zaraz dorzucił: – I co ja mam z tym wspólnego?

– Pojawileś się znienacka, z profesorkiem wartym niby dwadzieścia baniek, a nikt z naszych cię nie zna – zaczął Krasicki, lecz urwał. Przekrzywił głowę dumny z wypowiedzianej frazy, jakby Daniel był myszą, która wskoczyła mu do pułapki. – A skoro masz taką story, to ktoś powinien coś o tobie wiedzieć, czyż nie?

Daniel nie dał się podpuścić. Roześmiał się gromko. Krasickiemu mina zrzędła.

– Gdybym tego chciał, mogłoby tak być.

– Po co się więc popisujesz, skoro chcesz pracować incognito? To się kupy nie trzyma. Zresztą, gdybyś naprawdę miał kasę, nie siedziałbyś kątem u Hugona.

– To moje mieszkanie. Podarowałem mu je za przysługę.

– Niech ci będzie. – Krasicki machnął ręką, choć nie uwierzył w ani jedno słowo. – Cokolwiek planujesz, możemy połączyć siły. Mam zlecenie na tę małą i do lata zapełnię dobrym towarem wszystkie włoskie i francuskie gazety. Reszta weźmie to z pocałowaniem rączki, a wtedy baj, baj, Monako. Poszukam nowej żony i będę mógł wrócić do kraju.

– Jaki sens wozić drzewo do lasu?

– Jestem tradycjonalistą. Ładna cipka mi nie imponuje. Żona musi mieć zagraniczny tytuł.

Daniel nie skomentował. Wstał, obszedł dookoła obskurny lokal.

– To nie jest twoje biuro. To kryjówka.

Krasicki uśmiechnął się.

– Tylko tutaj możemy mówić otwarcie.

– Tak uważasz?

Krasicki wyjął z gniazdek wszystkie kable, a następnie wymontował baterię z telefonu. Daniel, widząc to, zrobił to samo. Spojrzał na komputer.

– Nie jest podłączony do sieci. Nie wiem zresztą, czy wciąż działa. To atrapa.

Daniela zżerała ciekawość.

– Na czym polega propozycja? – spytał bez ogródek, ale Krasicki nie zamierzał mu niczego ułatwiać.

– Jak sądzisz, dlaczego jednego dnia dostajesz dwie poważne propozycje od konkurencyjnych grup, chociaż jeszcze wczoraj nie było cię w grze? Wprost biją się o ciebie. Pan nikt jest rozchwytywany.

– Grup?

– Admirał David Slaats reprezentuje Amerykanów. VAL to były as kontrwywiadu, ale zbratał się z Brytolami. Stworzył Gary’ego Frencha,

a on Solgevar. Każdy z nich, jak już zauważyłeś, ma swoją świętę.

– Zdawało mi się, że wszyscy klękają przed admirałem.

– VAL dba, żeby tak to wyglądało. Jest szpiegiem, zna się na robocie.

Daniel myślał dłuższą chwilę. Spojrzał na zegarek.

– Rollo zaraz po mnie przyjedzie.

– Najpierw spotkasz się z admirałem. Ja cię zawiozę, a potem przejmie cię ktoś inny. Nie możesz się wsypać, że grasz na dwa fronty.

– A gram? – Daniel zmarszczył czoło.

– Musisz iść na spotkanie z zółwim – zaśmiał się Krasicki. – To, co zrobisz po zbadaniu ofert, twoja rzecz. Admirał jednak chce ci złożyć propozycję pierwszy.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

Krasicki udał, że nie rozumie.

– Dlaczego ja?

– Tego nie wiem.

– Chodzi o Radziwiłła?

– Nie sądzę. To tylko walizka pełna szmalcu, na którą wszyscy mają chętkę.

– A gdybym zabrał profesora i wyjechał?

– Stracisz niepowtarzalną okazję na złoty strzał.

– Nie chcesz mi powiedzieć.

– Nie mogę.

Daniel przyjął odpowiedź spokojnie.

– Do czego jestem potrzebny tobie?

– Jeśli weźmiesz ofertę lub oferty, bo od ciebie zależy, z kim ostatecznie zagrasz, i ja w to nie wnikam ani nie chcę wiedzieć – zastrzegł Krasicki – zrobisz przyjęcie, na które zaprosimy Alberta, najznakomitsze rody, elitę, nuworyszy, media oraz ludzi VAL-a i admirała. Gwarantuję ci okładkę we wszystkich tutejszych gazetkach, przedstawię cię wszystkim. Możesz zapomnieć o Hugonie i swoim tanim mieszkanku. To musi być feta godna królowej Elżbiety.

- Za pieniądze Leonarda?
- Za jakiegokolwiek pieniądze, jakie zdołasz wysupłać.
- Co będę z tego miał?

Krasicki nie od razu odpowiedział.

– Jeślibyś musiał nagle zwiewać, pomogę ci na granicy. Dalej będziesz już walczył sam.

– Brzmi niebezpiecznie.

– Bo takie jest. Ale odmówić gry tym tygrysom nie możesz. To ci się nie opłaci. Chyba że odejdziesz od stołu już teraz. Daję ci wybór.

– Cóż za wspaniałomyślność, książę Zyga.

– Przyznasz, że mówiąc o tym otwarciu, bardzo narażam swój tyłek.

– Albo wystawiasz mój.

– Nie ukrywam, że mam interes, byś zasiadł do obu stołów.

– Jaki?

– Na przyjęciu pojawi się Rockefeller.

– I księżniczka powinna z nim uciec?

Krasicki wyszczerzył się w okrutnym uśmiechu.

– A ty chcesz mieć ten materiał.

– To wszystko, o czym marzę.

Daniel myślał szybko. Wcale się nie bał i nie wahał.

– Powiem ci, Zyga, że brak ci fantazji. Nie masz większego marzenia?

– Trzeba wiedzieć, kiedy się zatrzymać.

– Jaką mam pewność, że kiedy zrobi się gorąco, wciąż będziesz w tej norze? I czy przypadkiem nie pomożesz mi wrócić do kraju, ale w kajdankach?

– Kraju nie obiecywałem. Francuską granicę.

– Skąd mam mieć pewność? – twardo powtórzył Daniel. – A może masz zlecenie na mnie?

– Gwarancji ci nie dam, bo wszystko, co tutaj padło, tak naprawdę jest iluzją. Tej rozmowy nie było, wybór zaś należy do ciebie. Oferuję ci

połączenie sił i dyskretną pomoc.

– Na czym ona ma polegać, skoro to ja mam wystawiać głowę i skakać między dwoma walczącymi tygrysami, a ty siedzisz sobie bezpieczny za winklem i jeszcze na tym korzystasz?

– Wiem, kto będzie piątym graczem. Ta wiedza jest bezcenna, zapewniam cię. Dzięki niej możesz ustawić pozostałe pionki. W jednej chwili zobaczysz swoją przyszłość.

Daniel nic nie rozumiał, ale nie chciał, by Krasicki sądził, że jest kompletnie zielony. Pytanie nasuwało się samo, więc je zadał:

– Nazwisko.

– Podam ci je, kiedy odbędziesz oba spotkania. To mój jedyny warunek.

Daniel był zawiedziony.

– Znasz tego człowieka.

Skalski podniósł głowę, spojrzął Krasickiemu głęboko w oczy, aż ten się przeraził. Obaj wiedzieli, że kontrakt został zawarty.

– Poszukaj mi w okolicy wolnego zamku na sprzedaż – rzekł łagodnie Daniel.

– Myślałem, że wynajmiemy salę w hotelu. Nie musisz się aż tak wykosztowywać – zaproponował Krasicki.

– Miałem kiedyś własny bank. Teraz widać przyszedł czas na zamek. –

Skalski roześmiał się kpiąco. – Działać trzeba z rozmachem, Zyga, a zatrzymywać tuż nad urwiskiem. Nie interesuje mnie minimalizm. Zadbaj, by posiadłość była godna rodu Hochberg von Pless, żebym bez wstydu mógł ją przedstawić jako swoją własną. I łódź by się przydała. Na przykład taka, na jakiej się poznaliśmy.

– „Daisy”? Tak się składa, że to krypa Rockefellera. Był na niej ze dwa razy. Jeśli ją dobrze okleimy, nawet nie spostrzeże, że ją pożyczyliśmy. Załatwione.

– Pierwszy własny samochód wygrałem w pokera – skłamał Daniel. –

Może i tym razem się uda. Dobrze by było zorganizować partyjkę z kimś, komu zawadza porządna łajba. Mój profesor też lubi usiąść do stołu. Ta

„Daisy” całkiem mi się podoba. Wreszcie się zakochałem – zaśmiał się kpiąco.

– Masz rozmach.

– Mówiła ci matka, że jesteś tym, o czym marzysz? – napuszył się Daniel. – Twoje pragnienia są małe, Zyga. Zastanów się nad tym i zdobądź rozmach, bo za chwilę stuknie ci sześćdziesiąt wiosen, a ty wciąż będziesz knuł swoje małe intrygi na tyłach składu złomu.

Krasicki nie podjął wyzwania, ale też się nie obraził. Nagle zaczął się bardzo śpieszyć. Włożył baterię do telefonu, wykręcił numer. Słuchał, kiwał głową, by wreszcie zwrócić się do Daniela:

– Twój przewodnik czeka na zewnątrz.

– Tutaj? Mówiłeś, że to miejsce jest bezpieczne.

– I takie jest. Człowiek jest zaufany. Ręczę za niego. Pamiętaj, nie spóźnij się na spotkanie do VAL-a – ostrzegł Daniela, choć zabrzmiało to jak groźba. – Za dwie godziny twoje życie odmieni się na zawsze.

– Mówisz o mnie czy o sobie?

Daniel przekrzywił głowę i przyjrzał się rozmówcy. Arystokrata był wyraźnie podenerwowany, pot lał mu się po skroniach strugami. Skalski był pewien, że Krasicki nie powiedział mu wszystkiego, ale na dalsze wyjaśnienia nie było czasu.

– Jeśli mnie wsadziłeś na minę, zniszczę cię – dodał z uśmiechem. – Znajdę cię i rozjadę czołgiem.

– I to jest twój największy problem, O'Skalsky von Pless: nie ufasz nikomu, nawet sam sobie – odparł Krasicki bez uśmiechu. – A na pewnym etapie ludzie potrzebują nie tylko sojuszników, lecz także przyjaciół. Dotyczy to każdego. Nie jesteś wyjątkiem.

– Przyjaciół? – wyśmiał go Daniel. – I chcesz pretendować do tego miana? Przecież to ty potrzebujesz mnie, nie ja ciebie.

– Nie schlebiaj sobie. Na przyjaźń trzeba zapracować, a potem sprawdzić ją w boju. W stadzie wilków obowiązuje nie tylko hierarchia, ale i zasady. One pozwalają przetrwać zwłaszcza tym, którzy są najslabsi.

– Ty, Zyga, nie jesteś wilkiem i nigdy nim nie będziesz. Nie masz szansy na bycie omegą w stadzie.

– Racja – zgodził się Krasicki. – Zrozumiałem to dawno temu, dlatego wybrałem inną rolę. Zakładam wnyki.

– Dziękuję za ostrzeżenie. – Daniel skłonił się.

– To była tylko rada od przyjaciela.

– Która?

– Nigdy nie będziesz należał do żadnego stada.

– Będę potrzebował pułapki, przyjdę do ciebie.

– Nie. – Krasicki pokręcił głową. – Wnyki dawno są zastawione. Graj, jak umiesz najlepiej, a potem spierdalaj.

Skalski wyszedł z budynku i na skarpie dostrzegł wysokiego mężczyznę o posturze modela prezentującego odzież żeglarską. Barczyste plecy w jasnym garniturze, blond włosy i nonszalancka postawa tego człowieka coś mu przypominały. Kiedy mężczyzna się odwrócił, Daniel stwierdził, że jest w większych kłopotach, niż przypuszczał. Nikt poza Yankiem nie wyglądałby atrakcyjnie w porozciągany pasiastym T-shircie i rozczłapanych trampkach.

– Tym razem ja prowadzę. – Niemiec wskazał znajome czerwone audi z odkrytym dachem. – Trzymaj się, von Hochberg, bo będziemy jechali przełęczą śmierci. Księżna tam zginęła, a ona ponoć nie miała wrogów.

CZTERY

WIĘKSZOŚĆ LUDZI MA SWOJĄ CENĘ

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Kiedy na chwilę przestało lać, Natasza zarzuciła na ramiona cienki kaszmirowy pled i postanowiła się przejść. Miała już dość harmidru, jaki robili żeglarze, kelnerzy i barmani, którzy przy basenie otworzyli łożę szyderców. Nikt z zebranych nie wierzył już, że plan wesela się ziści, i mówiono o tym otwarciu. Mimo to Daniel wydał polecenie, by nie zdejmować girland z kwiatami i nie przestawiać stołów. Kuchnia pracowała na pełnych obrotach, a zapachy dobiegające z najniższych okien drażniły podniebienia wszystkich zgromadzonych. Po domu kręcili się kolejni umyślni, donosząc jakieś paczki, zastawę, zapasy żywności, jakby uroczystość miała trwać tydzień, i gdyby pogoda była inna, mogłoby się to tak potoczyć. Decyzja, by trzymać się absurdalnego planu przyjęcia na powietrzu, kiedy burza szarpie namiotami, był dla wszystkich, włącznie z domniemaną panną młodą, niedorzeczny. Wszyscy więc, poza kucharzami, stłoczyli się teraz w ciasnej grupie i sączyli tanie piwo, które Daniel nakazał przywieźć dla służby z miasteczka, a w tym męskim gronie najlepiej czuła się mistrzyni przyjęć. Młoda Włoszka spiła się dokumentnie z nudów i kiedy Natasza oddalała się w stronę parku, wskakiwała właśnie na stół, by zatańczyć sambę.

Wichura na chwilę ustała, ale wciąż jeszcze grzmiało. Błyskawice widać było jednak coraz dalej, a od momentu rozbłysku na niebie Natasza doliczyła do dwunastu, zanim usłyszała huk. Zdawało się, że stalowoszare niebo dotyka czubków drzew, i nic nie wróżyło, by przez najbliższy tydzień pogoda miała się poprawić. Deszcz siąpił nieprzerwanie. Nataszy to jednak nie przeszkadzało. Wysunęła dłonie spod koca i zbierała wodę, a potem niosła ją do ust. Była słonawa, ciepła. Dziewczyna uświadomiła sobie, że nie czuje chłodu. Zsunęła pled z ramion, a wreszcie porzuciła go na jakimś krzaku. Wychodząc z willi, nie pomyślała o wzięciu parasola – pragnęła jedynie zaznać ciszy, a teraz cieszyła się po prostu, że moknie. Szła najpierw alejkami, szybko jednak zбочzyła z drogi. Wspiniała się pod górkę, do starych zabudowań. Gdzieś tam zacumowana była łódź Daniela, a choć bardzo go prosiła, nie pozwolił jej zobaczyć „Daisy”. Zapewniał, że to tak

samo złowróżbne, jakby zobaczył ją w sukni ślubnej przed ceremonią. Zły omen.

– Nie mam specjalnego stroju – zaśmiała się. – Włożę jedną z tych sukienek, które mi kupiłeś. To jakaś bzdura!

– Faceci nie odróżniają spódnicy od sukienki. Kolory znamy dwa: jasny i ciemny. Dopiero na tobie jestem w stanie docenić łach – zbył ją, ale Natasza wiedziała, że kłamie.

Był jedynym znanym jej mężczyzną, który używał fluidu do makijażu, by zniwelować niedoskonałości skóry.

Zdjęła buty i stąpała boso po mokrej trawie. Doświadczała niemal uniesienia, kiedy czuła pod stopami ziemię, deszcz obmywał jej ciało, a ona sama nareszcie miała wrażenie, że zlewa się z naturą. Nigdy wcześniej nie spacerowała tak bez celu, nie wpatrywała się w niebo, nie napawała się zapachem burzy. Dlaczego tego nie robiła? Zawsze była odpowiedzialna, zorganizowana, jej działania były obliczone na skutek, a to, co robiła teraz, uznaliby za marnowanie czasu. A przecież tym właśnie jest życie. Drobnymi przyjemnościami. Kiedyś nie wyszłaby z domu w czasie ulewy, obawiając się przeziębienia, zabrudzenia butów czy ubrania. Niosłaby ciężki pled przez całą drogę, nawet gdyby go nie używała, zamiast mieć wolne ręce i bawić się, że zamieniły się w skrzydła.

Wdrapała się na pagórek. Widok był obłądny. Z miejsca, w którym stała, można było podziwiać rezydencję z góry. Ten, kto planował ten dom, znał się na rzeczy i wiedział, jak należy żyć: z przyjemnością. Patrzyła na maleńkie jak figurki lego postaci skupione wokół białego parasola, który osłaniał tańczącą Włoszkę; na parking, gdzie zatrzymał się wielki transporter i wjeżdżała właśnie czerwona corvetta albo inny sportowy wóz – Natasza zupełnie się na tym nie znała. Miała wrażenie, że nie przynależy już do tego świata. Było jej wszystko jedno, co się wydarzy. Ten ślub, cała ta wyprawa były jak ze snu, a jej nie zależało wcale, by do tej farsy doszło. Ale jeśli miałoby się tak zdarzyć, nie wątpiła, że będzie się doskonale bawić. Przymknęła oczy, rozłożyła ramiona, a potem stąpając małymi kroczkami, podeszła do urwiska. Serce biło jej coraz szybciej, czuła, jak deszcz tnie ją po twarzy. Zdało jej się, że zerwał się wiatr, ale to nie mogła być prawda, po prostu była znacznie wyżej. Uśmiechała się.

– Jeśli spadnę, będzie po wszystkim – powtarzała sobie w myślach. – To tylko krótki ból, a potem będę wolna i zapadnie cisza. A może nie? Może czeka mnie coś całkiem nowego?

Nie bała się. Nie paraliżowało jej słowo „koniec”, które pierwszy raz usłyszała w szpitalu. Brnęła centymetr po centymetrze, jakby ta czeluść ją ciągnęła.

Nagle tuż obok niej rozległ się grzmot. Otworzyła oczy, zatrzymała się. Ramiona jej opadły, skuliła się z przestachu, choć okazało się, że przed sobą ma więcej niż pół metra klifu. Na samym jego skraju znajdowała się mała drewniana kapliczka. Natasza z trudem ukrywała zawód. Jakby ktoś odebrał jej to, co niespodziewanie schwyciła samodzielnie, i w jednej chwili pojęła, co w życiu jest najcenniejsze. Wolność.

Zrobiło się jej zimno, wzburzona toń przerażała. Woda koloru nieba: wyszarzała, matowa, zdawała się jakby miękką skórką drzemiącego pod spodem potwora, który burzył się, ślinił białymi bałwanami i pluł solą aż do miejsca, w którym stała dziewczyna. Po co otwierałam oczy? Dlaczego nie spadłam? Nikt nigdy by mnie nie znalazł. Opcja robaków nie wchodziłaby w grę, utyskiwała w myślach. I znów wrócił strach. Poczucie, że to, czego doświadcza, to być może ostatni raz. Pochyliła głowę i wpatrywała się w swoje zabłocone stopy. Każdy ruch powodował dyskomfort, bo nagle zaczęło jej przeszkadzać każde źdźbło trawy, kamyczek czy drobina kory. A choć ze wszystkich sił starała się być ostrożna, poślizgnęła się i upadła jak długa, uderzając się boleśnie w ramię i tylko resztką refleksu zasłaniając twarz, by nie rozbić warg czy nosa o kamienie.

Leżała tak chwilę – rozzalona i zła na siebie, że tak łatwo dała się zawrócić na ścieżkę strachu, zahamowań i głupiego myślenia o bezpieczeństwie, jakby czekało ją jeszcze wiele dziesięcioleci – i pragnęła rozplakać się w głoś, ryczeć, wściekać się na los jak jeszcze kilka dni temu, ale nie mogła. Miała w sobie pustkę. Przywarła do ziemi i skupiła się na tym, że wciąż jeszcze coś czuje. Twardość skały, śliskość błota, zapach ziemi i kojące krople na skórze, którym pozwalała płynąć, jakby chodziły po niej mrówki. Postanowiła, że nie wróci. Nie będzie ustawiała stołów, przebierała się w suknię, czesała, myła, by dobrze wyglądać przed rodzicami i przyjaciółmi Daniela, jeśli w ogóle przyjadą. Było jej to obojętne. Każdy z nich miał swój czas i nie wiedział, ile mu pozostało, ale

on też był ograniczony. Pojęła, że różni się od nich tylko jednym: wie, że koniec jej cielesnego opakowania jest bliski. Ale to spotka każdego z nich. Znow się uśmiechnęła i ułożyła wygodnie na plecach, by mieć stalową tarczę nieba nad sobą, a kątem oka widzieć płachtę przykrywającą potwora w jeziorze, bo przecież nie zemdlą, nie straciła przytomności. Przeciwnie, nigdy nie czuła większej jasności umysłu. Zdawało się jej, że rozumie teraz wszystko. Widzi wręcz wydarzenia ze swojego dotychczasowego życia, a każde z nich miało tylko jeden cel: doprowadzić ją do tego miejsca. Nie wiedziała, kiedy dokładnie umrze i jak to się stanie, ale wciąż jeszcze żyła. Wcale nie było jej smutno. Przepęłniały ją radość i zachwyty. Jak to możliwe, że im bardziej chciała ten koniec przyspieszyć, tym czuła się lepiej i była bliżej siebie? Sam fakt, że tu leży, nie bacząc na swoje stawy, tętnice, wyziębienie oraz oblepiający ją brud, a w sercu mając ogień, zdawał się zaprzeczać wszystkiemu, czego ją uczono. Kiedy tylko porzuciła nadzieję, zyskała wolność. I żyła najpełniej od lat.

Zerwała się, otrzepała sukienkę z błota. Wiele by dała za choć kawałek porzuconego koca, bo z zimna szczękała zębami, ale zdołała się wyprostować i ruszyć znów naprzód. Droga w dół była trudniejsza, bose stopy ślizgały się na rozmokłej trawie, ale dotarła wreszcie do kamiennych schodków. Nie prowadziły do rezydencji, lecz do starych zabudowań – hangarów, a może dawnej stadniny? Natasza uznała, że ma tyle czasu, ile sama sobie przyzna, i nie chce tracić go na oczekiwanie w gronie pijanej obsługi. Zresztą na co niby miała czekać? Wołała już pozwiedzać, a jeśli udałoby się zdobyć jakieś okrycie, nie pognewałaby się. Czas iluminacji i filozofii minął. Bodaj pierwszy raz w życiu czuła wilczy głód. Pierwsze, co zrobi, kiedy wróci do domu, to zamówi ogromny obiad z deserem, winem i gorącą herbatą.

– Dajesz mi swoją krypę? – usłyszała po niemiecku, mijając pierwszy budynek.

Odruchowo przyłgnęła do ściany i starała się nie oddychać. Dopiero po chwili zrozumiała, że w szalejącej wichurze nikomu nie przyjdzie do głowy sprawdzać, czy ktoś jest na zewnątrz, więc wiedziona czystą ciekawością zbliżyła się do drzwi i poszukała szpar. Futryna była solidna, ale metalowe okucia zardzewiały ze starości i w tych miejscach drewno miało wiele

dziur. Natasza przyłożyła oko i spróbowała coś zobaczyć, ale szczeliny były zbyt małe. Mogła tylko słuchać.

– Popraw na czas przyszły.

Bez trudu rozpoznała głos Daniela.

– Jeśli Gertrud przyjedzie tu dziś ze wszystkimi. Dlatego cię potrzebuję.

Poczuła, że gardło się jej zaciska. To spotkanie nie było przypadkowe. Myślała szybko: zostawił ją z obsługą, wyszedł bez uprzedzenia, nakazał trzymać namioty i nie pozwolił, by służba, jak ich nazywał, włąziła do środka. Wewnątrz zostali tylko trzej kucharze. Nawet kobieta od organizacji wesel miała polecenie pracować na zewnątrz. Wszystko pod pozorem wymogów bezpieczeństwa i by nie mieszała się z gośćmi, których wciąż nie było.

– I ściągnij Wolfa.

Słuchała dalej. To wciąż przemawiał Daniel. Ten drugi facet nadal milczał. Nie była w stanie stwierdzić, ilu ich tam jest. Może więcej niż dwóch?

– Rollo ma dla niego gorącą kulę ode mnie. Siostrzyczki sam pilnuj, bo oni będą mieli na nią drugą.

Po tych słowach dziewczyna w pierwszym odruchu chciała uciekać, ale wciąż stała jak słup soli. Bała się, że jeśli zrobi choć krok, usłyszą ją. Przyłgnęła tylko bardziej do drzwi, by nie uronić ani słowa.

– Co robimy z małą po wszystkim? – odezwał się wreszcie ten drugi.

Natasza wyobraziła sobie zakapiora o dłoniach jak kilofy.

– Jeśli starzy przywiozą kasę, niech ją biorą – odparł Daniel.

– Nie będziesz płakał?

– Tego kwiatu jest pół świata. – Daniel odpowiedział po polsku, a potem przetłumaczył na niemiecki i dodał: – Siłą jej nie brałem, to i trzymać nie będę. Tyle radości miała, ile dano jej czasu, tak?

– Myślałem, że to coś szczególnego.

– Pewnie, jeszcze żadnej kochanki nie wymieniłem na pięć tysięcy głów Jagiełły. I na dodatek zielonych.

Niemiec zamruczał coś, czego Natasza nie dosłyszała. A potem obaj mężczyźni się roześmieli. Już wiedziała, że poza nimi w hangarze nie ma nikogo więcej.

– Sto polskich złotych ma wizerunek króla Jagiełły – znów mówił Daniel. – To jedyny facet, który pokonał Niemca.

– A jeśli jej rodzice nie przywiozą całości? Narzekają, że drogo zaśpiewałeś.

– To będziemy się dalej bawili w miłość.

– Aż ci się znudzi. Jak Carla.

– Nawet nie przypominaj.

Musieli odejść w inne miejsce, bo zapadła cisza. Dane docierały do Nataszy bardzo powoli, jakby ktoś wyłączył zasilanie i zmuszona była korzystać z trybu awaryjnego. W tej chwili bardzo chciałyby zemdleć, zapomnieć o tym, co usłyszała, ale choć nogi jej drżały, a ręce kostniały z zimna, czuła się zaskakująco dobrze. Wyprostowała się i wolnym krokiem ruszyła w kierunku rezydencji.

Wtedy niebo pękło i w dziurze na chwilę pojawiło się słońce. Natasza zatrzymała się, nie bacząc, że Daniel z towarzyszem mogliby ją nakryć na podsłuchiwanie, i wystawiła twarz w kierunku zamglonej kuli. Przymknęła oczy, a kiedy je otworzyła, niebo znów było chmurne i zagniewane. W oddali widać było jednak skrawek błękitu. Zawiał porywisty wiatr i Natasza pomyślała, że do popołudnia ten mocarz przegoni stalowe kowadło w stronę jeziora.

Hotel Hermitage Monte Carlo, Monako, luty 2001

Pernod Hagedorn podał recepcjoniście paszport i złożył rączkę skórzanej, wysłużonej walizki.

– Nie mam pana rezerwacji.

– Bo takowej nie posiadam – odparł analityk. – Moich mocodawców nie stać na delegację u państwa. Jestem umówiony na spotkanie z menedżerem.

Recepcjonista przyjrzał się mężczyźnie. Wysoki, pięknie zbudowany, choć twarz gryzpiórka. Przedpotopowe okulary, zbyt ciepła marynarka. Od razu widać, że przebieraniec. Pewnie gliniarz pod przykrywką.

– Proszę o sekundę. – Uśmiechnął się najuprzejmiej.

Chwycił słuchawkę, wykręcił wewnętrzny. Zajęte. Wskazał mężczyźnie długą kanapę w lamparce cętki.

– Proszę spocząć. Za chwilę szef biura zejdzie.

– Nasiedziałem się w samolocie. – Pernod odpowiedział podobnym uśmiechem, choć nogi od łożenia od hotelu do hotelu włożyły mu w tyłek. – Chyba że zostawię bagaż i wejdę do baru.

Recepcjonista zmieszał się. Czyżby się pomylił?

– Oczywiście. W lewo, a potem schodami w dół. Bagaż proszę postawić tutaj. Będę miał na niego oko.

– Tak myślę, bo są tam ważne dla was papiery.

– Dla nas?

Pernod miał dosyć tej gry w uprzejmości. Sięgnął do walizki i wyjął grubą teczkę akt.

– Słuchaj, chłopcze, powiedz szefowi, że czekam przy stoliku w najciemniejszej części sali. Wiem, że ten facet u was mieszka. Poszukujemy go.

Położył na blacie zdjęcie zażywnego jegomościa z tupecikiem na łysinie. Był pod muszką, w marynarce w kontrastowe paski i koszuli w biskupim kolorze.

– Pan jest z policji?

Pernod przerabiał to wiele razy i nie chciało mu się kolejny raz tłumaczyć temu dziecku, że jest analitykiem holenderskiego banku oraz nie ma żadnych kompetencji do prowadzenia śledztw ani zbierania informacji, gdyż dopiero trzeci raz w życiu wypuścili go zza biurka.

– Zgadza się. Skarbowej.

Dzieciak spłoszył się i skinął na koleżankę, by natychmiast znalazła kierownika. Ona z kolei podbiegła do bagażowego, a ten rozłożył ręce i wskazał wózek pełen kufrów, który ledwie mieścił się do złotej windy. Pernod, widząc tę grę w gorącego ziemniaka, skrzywił się zniechęcony. Oparł się o blat.

– Pan sam go znajdzie. Teraz. Popilnuję kontuaru.

Kiedy został przy recepcji sam, do hotelu wmaszerował wymuskany grubasek o urodzie południowca. Od stóp do głów ubrany był na biało, włącznie z mokasynami i zegarkiem. Przy uchu miał telefon, nawijał po hiszpańsku. Drugą ręką prowadził malutkiego pieska, rzecz jasna śnieżnobiałego, do złudzenia przypominającego zabawkę. Stał obok Pernoda, nie przestając trajkotać. Był coraz bardziej wzburzony. Pernod znał tylko kilka słów w tym języku, ale zorientował się, że konflikt narasta. Już po chwili grubasek krzyczał, co jakiś czas powtarzając słowa „Narcis” oraz „*bastardo*”. Wreszcie wrzucił komórkę do torebki, której nie powstydziliby się niejedna elegantka.

– *Blanco*? – zagał Pernod, bo było to jedno z tych słów, które przyszły mu do głowy po hiszpańsku, i wskazał galanterię bogatego geja.

W trakcie śledztwa przyda mu się każdy kontakt człowieka z kasty, którą stać na pobyt w takim hotelu.

Grubasek aż podskoczył, jakby Pernod złapał go na wstydliwym przewinieniu.

– Znamy się? – spytał, ale ponieważ Holender nie pojmował, powtórzył po angielsku.

– Pamiętałbym. – Pernod posłał mu uśmiech przeznaczony dla uległych.

Tak jak się tego analityk spodziewał, Biały spuścił wzrok, skulił ramiona i wysunął biodra. Usilnie starał się trzymać za plecami dłoń z obrączką

wysadzaną diamentami. Środkowy kamień był rzecz jasna mleczny.

– Dziś nie mam czasu, ale mógłbym jutro – rzekł prosząco.

– Chodź teraz. – Pernod wskazał zejście do baru. Zaczynał się niezłe bawić. Dlaczego nigdy wcześniej nie podrywał gości przy recepcji w Monako? – Czekam na kogoś. Zdążymy.

– Pan Lipez Lopez! Witamy, czekaliśmy! – Nagle z drzwi wewnętrznych wypadła brygada recepcjonistów w przepisowych uniformach.

Kolumnie przewodził wąsaty Włoch o podkrążonych oczach spaniela. Biegł w podskokach, a kiedy dopadł faceta w bieli, omal nie uklęknął.

– Ostatnia rezerwacja. Dla pana nasz najlepszy apartament jest zawsze gotów. – Zniżył głos. – Czy Narcis również zaszczyci Hermitage?

– Tylko ja – rzekł władczo Lipez Lopez, podnosząc podbródek, i z dumą spojrzął na Pernoda, jakby czekał na brawa.

Ale analityk uśmiechał się tylko, mile połechtany zainteresowaniem znakomitego, jak się okazywało, gościa, choć wciąż za cholereę nie wiedział, kim jest.

– Gdyby się zdecydował, trzymamy zawsze. Jego ulubiony!

– Trenuje, nie ma lekko. Ktoś musi zarabiać. – Lipez Lopez machnął ręką.

Wszyscy jak na komendę zarżeli ze śmiechu. Nawet bagażowy.

– Widzieliśmy – pozwolił sobie na żart kierownik. – Praca z Vivian lekka nie jest.

Lipez Lopez natychmiast się nachmurzył. Odwrócił się do Pernoda, szukając wsparcia, i dopiero wtedy kierownik przypomniał sobie o policji skarbowej.

– Jestem do usług, komisarzu Hagedorn. Czym mogę służyć?

– Wolałbym w pańskim gabinecie. To może potrwać. – rzekł Pernod i mrugnął do Lipeza Lopeza. – Zobaczymy się wieczorem, *Blanco*.

– Nie potrwa – oburzył się kierownik. Oddał analitykowi fotokopie zdjęcia oraz paszportu. – Ten człowiek nigdy u nas nie był, nie nocował. Zaręczam, że zadbam o to, by jego noga u nas nie powstała.

Pernod schował swoje dokumenty, westchnął zniechęcony. Kierownik załogi nie mógł tego wiedzieć, ale ten tekst Hagedorn słyszał dziś siedemnaście razy. Gdzie w takim razie zamieszkał Leonard Radziwiłł? Urzędnik miał pewność, że jest w tej chwili w Monte Carlo, jak ustalił niezawodnie szef policji Christop Trin.

– Wobec tego mała przerwa w pracy, komisarzu? – wtrącił się do rozmowy Lipez Lopez, a kierownik aż się zapowietrzył, słysząc tak nagłą zmianę tonu w głosie menedżera Narcisa.

– Czemu nie? – mruknął Pernod i sięgnął po swoją wysłużoną torbę.

Był przekonany, że po tym zwrocie akcji nikt mu jej nie przypilnuje.

– Zapraszam. – Lipez Lopez machnął na bagażowych i zanim Pernod się obejrzał, jego skórzany sakwojaż leżał już na szczycie kufrów Lipeza. On sam zaś podążył do windy, zalotnie kręcąc biodrami. Odwrócił się tak gwałtownie, aż Pernod poczuł na klatce piersiowej jego nos i brodę, a potem usłyszał rozkaz: – Najlepszego szampana i ostrygi. Tylko porządnie schłodzone, nie jak ostatnio!

W tym momencie na niedużej kanapce w lobby Pernod zauważył kobietę w kształcie kuli owiniętą od stóp do głów różowym jedwabiem. Obok niej, pykając fajkę, siedział poszukiwany przez niego człowiek. Profesor miał na sobie odzież w bardziej stonowanych barwach, niż wskazywały na to fotografie, które Hagedorn posiadał. Brakowało mu też sztucznych włosów, lecz Pernod był pewien, że to Leonard Radziwiłł we własnej osobie. Chciał już ruszać, łapać oszusta i wygrywać hejnał zwycięstwa, gdy nagle Lipez Lopez schwycił go za rękę.

– To nie ucieknie. Księżniczka Shalimar to moja dobra znajoma. A ten pan widać jest jej nieobcy. – Puścił oko do Pernoda. – Od lat nie widziałem jej w takiej formie!

– Nie. – Pernod strząsnął rękę Lipeza. – To bardzo ważne. Muszę mieć tego gościa teraz.

– Skoro tak – Lipez zawinął ramiona w supeł i zrobił minę obrażonej panny, a potem dodał unizonym tonem: – pan każe, sługa musi. Działajmy.

I pomaszzerował w kierunku siedzących.

– Co ja widzę! Księżniczka Shalimar Agenda zakochana! A co na to szejk Muhamed Rafik Hartiki! Cieszy się, że będzie miał nowego zięcia?

– Dajże spokój, *Blanco* Lipezie! Poszedłby już do Jahannam!

Kobieta poderwała się uradowana i wyciągnęła ramiona do powitania. Lipez Lopez zrobił to samo. Pernodowi zdawało się, że dwie kule próbują znaleźć punkt styczny.

– Leonard Radziwiłł, polski książę. Lipez Lopez, przyjaciel i menedżer Narcisa – anonsowała cierpliwie Shalimar.

Nie zwróciła uwagi na nagłą bladość cery Brazylijczyka oraz rozbiegane spojrzenie. Wszystko to jednak wyłapał Pernod.

– A to mój przyjaciel. – Lipez wskazał Pernoda i zawiesił się, starając się przypomnieć sobie chociaż imię wystrzałowego Holendra. – Z zawodu komisarz.

– Z zawodu jestem finansistą i analitykiem. Z zamięłowania zaś robię wiele innych rzeczy.

Pernod wyciągał kolejno swoje długie ramię, pochylał się, bo wszyscy obecni sięgali mu ledwie do klatki piersiowej.

– Czy państwo już jedli? – krzyknął nagle Lipez Lopez, jakby na widok Shalimar albo jej towarzysza przeszła mu ochota na amory.

– Gdzieżby! Bez ciebie nigdy nie jem – zaśmiała się Arabka, prezentując w całości najnowocześniejsze osiągnięcie książęcych ortodontów. – Czy zapraszasz?

– Zawsze! – Lipez klasnął w dłonie. – Tylko się z Pernodem odświeżymy i zaraz wracamy. Już zamawiam stolik! Profesorze! – Ukłonił się niemal do ziemi.

Pernod bał się, że oszust ucieknie: zwrócił uwagę, że Radziwiłł jest bardzo sprytny – nie odezwał się nawet słowem. Za wszelką cenę chciał zostać i śledzić Polaka w razie potrzeby, ale okazało się, że i o tę sprawę zadbał Lipez Lopez.

– Pan, profesorze, nigdzie się nie wybiera? – upewnił się.

– W żadnym razie – potwierdził oszołomiony Leo.

Od pierwszej chwili doskonale wiedział, z kim ma do czynienia, i nie mógł się doczekać, kiedy zreferuje Bronkowi Kunie, z kim będzie jadł dziś kolację. Był pewien, że przyjaciel nie uwierzy, zresztą on sam musiał się szczytać w ramię, a i tak zdawało mu się, że śni. Gdyby udało mu się zdobyć dla Bronka autograf Narcisa, byłby to najpiękniejszy dzień jego życia. Absolutnie dozgonna wdzięczność, rozmarzył się.

Korzystając z zamieszania, Lipez Lopez pochylił się do Shalimar i wychrypiał po hiszpańsku:

– Musimy pogadać o Marcu Baptiście. Wystawił nas, *bueno chico*. Zwerbuj mi następnego. Ale musi być lepszy, znacznie lepszy *hijo de puta* niż Rockefeller, inaczej Narcis mnie wykastruje.

Shalimar wcale się nie przejęła.

– Jeszcze tego nie zrobił? – zaśmiała się i poklepała Lipeza po ramieniu jak syna. – Mam arcymistrza. Młody jeszcze jest, ale Marc może mu buty czyścić. Zresztą Rockefeller wypada dziś z gry. Nie martw się. Dobrze zrobiłeś, przyjeżdżając. Gwiazdy nam sprzyjają, Tygrysie.

– Naprawdę masz kogoś lepszego?

– To geniusz!

Shalimar wskazała swojego towarzysza.

– Jak myślisz, skąd profesor z Polski wzięłby dwadzieścia siedem milionów dolarów? A w ciągu pół roku będzie miał sto albo i więcej.

Znów dwie kule szukały punktu styczności. Pernod żałował, że po hiszpańsku poza *blanco* i *muchos gracias* pamięta tylko przekleństwa: *arrima tu prima vai te foder*[17] oraz *Cogeme como el tipo negro*[18], ale żadne z tych fraz nie padły, a przecież nie spyta podejrzanego, o czym szepcze jego kumpel! *Gillipollas Babaca*[19]! Wtedy przypomniał sobie jeszcze to: *No me toques los cojones*[20]. Wyglądało na to, że jego hiszpański znacznie się poprawił, bo biały piesek Lipeza zaczął rozpaczliwie jazgotać i szarpać Pernoda za nogawki.

Daniel wysiadł z samochodu Yanka przecnicę przed hotelem Hermitage i zdecydował się przespacerować, by oczyścić głowę przed kolejnym spotkaniem. Odrażający mały człowieczek za wszelką cenę starał się

przedstawić jako dobrotliwy dziadek, Daniel jednak każdym porem skóry czuł, że to kawał skurwysyna. Oferta była prosta: Skalski wchodzi we współpracę z ludźmi VAL-a, bierze na siebie całość operacji, a tuż przed finałem sabotuje ją, by ludzie Slaatsa przejęli inwestorów. Dalszy przebieg wydarzeń miał Polaka nie obchodzić. Admirał wyraził się precyzyjnie: odmowy nie przyjmuje, za sabotaż płaci dwa miliony, a po akcji Krasicki pomoże rodakowi zniknąć. Ostatni warunek kontraktu Daniel odczytał jako opcję śmiertcionośną, choć może tylko dlatego, że Yanek warował cały czas pod drzwiami. Mimo to Skalski skwapliwie zgodził się na przymierze. Wiedział, że dane przez niego słowo jak zwykle jest bez żadnego znaczenia, a złudzeń nie miał – prawdziwy plan Slaatsa i tak pozostanie dla niego tajemnicą. Chciał jedynie zyskać na czasie, by dowiedzieć się jak najwięcej o samym przekręcie, bo wychodziło na to, że – jak celnie zauważył hrabia Krasicki – z jakiejś przyczyny dwa stada wilków wybrały go na posłańca. Dlaczego nagle stał się tak atrakcyjną partią? Z czym się to wiązało? Na co się naraża? – tego nie wiedział i bardzo go to martwiło.

Wyszedł na taras widokowy i długo obserwował przystań. Zachodzące słońce nastroiło go sentymentalnie. A może poruszyły go słowa Zygi, który jakimś sposobem odkrył to, co Daniel ukrywał całe życie, a to bynajmniej nie była wiedza, jaką chciał się dzielić z kimkolwiek. Od zawsze w głębi serca czuł się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Bolało go, że nie jest rozumiany, nie umiał nikomu zaufać, otworzyć się, a jednocześnie nie chciał tego zmieniać. Bał się, że gdyby ludzie dowiedzieli się, jaki jest naprawdę, wyśmieliby go, doznałby upokorzenia. Nie znosił ludzi, drażnili go, wciąż podejrzewał ich o najgorsze. Tylko kiedy go krzywdzili, dawali mu pretekst do zemsty, czuł, że żyje, bo utwierdzali go w jego o nich opinii. Wyjął telefon, wykręcił numer Darii. Potrzebował teraz jej uwielbienia, wiary i bliskości, którą go obdarzała. Musiał natychmiast usłyszeć jej głos, zanim wejdzie na spotkanie z kolejną sforą.

– Cześć, aniołku – zamruczał i spokojnie czekał, bo skoro odebrała, nie było tak źle.

Słyszał jej oddech, przed oczyma pojawiła mu się jej twarz o miękkich konturach, poczuł zapach kokosa i zdało mu się, że pod palcami czuje dotyk jej gładkiej skóry, ale się nie odezwała.

Wreszcie połączenie zostało przerwane. Skrzywił się, jakby ktoś zadał mu cios w brzuch. Czyżby była na tyle silna, by wykreślić go ze swojego życia? Nie mógł pozwolić, by tak szybko się wymknęła. Nagle zaczęło mu na niej zależeć. Napisał wiadomość: „Wiem, że nie jestem ciebie godny. Zachowałem się jak prostak. Tak bardzo żałuję... Tęsknię i kocham niewyobrażalnie. Wybacz mi, Aniołku, jeśli możesz”.

Nie odpisała.

„Bez ciebie nic nie ma sensu. Nie istnieję. Porozmawiajmy, proszę...”

Na to odpowiedź dostał natychmiast:

„To wciąż jest dla mnie bardzo trudne”.

„Zrobię wszystko, żeby cię odzyskać” – wystukał. I po namyśle dopisał: „Przyjedź do mnie”.

A potem podał adres Hugona.

„Zastanowię się” – odpisała, ale wiedział, że już następnego dnia pójdzie kupić bilet.

„Odbiorę cię z lotniska. Napisz mi tylko, o której będziesz. I zabierz wieczorową sukienkę. Wydaję przyjęcie, a ty będziesz moją królową”. Po chwili dodał: „Zresztą nic nie zabieraj. Kupię ci, co będziesz chciała. Chcę znów poczuć smak twojej skóry, zanurzyć dłonie we włosach, razem śmiać się i pić kawę w pizamach”.

„Tak bardzo cię kocham. Myślałam, że umrę... Ale już lepiej. Dziękuję, że wróciłeś”.

„Już nigdy się nie rozstaniemy” – odpisał i natychmiast o niej zapomniał, bo obok pojawił się pióropusz, a spod niego wychynął Rollo.

– Spóźnisz się.

– Dżentelmeni nie przychodzą przed czasem – odparł Daniel. – Wysłali cię na zwiad?

– Martwią się, czy się nie rozmyśliłeś.

– Jeszcze nie wiem, o co chodzi – skłamał. – Masz przyprowadzić mnie siłą?

Rollo zdjął kapelusz, wachlował się nim zapamiętane.

– Dobrze to przemyślałeś?

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Widziałem cię w wozie Yanka.

Daniel udał, że nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Nam nawet pasuje, że grasz na oba fronty. – Shark urwał strategicznie.
– Mnie i Gertrud.

– Macie odrębną bojówkę? – zgadł. – Chodzi o Frencha?

Rollo poszperał w kieszeni. Podał Danielowi złożony na cztery dokument.

– Prezent od Gary’ego. Śpiesz się. Akcja musi zakończyć się w ciągu dwóch tygodni. Całość z transferem środków – podkreślił.

Zachęcił Daniela, by otworzył pismo. Była to kopia faksu o wydaniu listu gończego za niejakim Leonardem Radziwiłłem podejrzanym o wyłudzenie przeszło pięćdziesięciu czterech milionów guldenów oraz inne przestępstwa gospodarcze, w tym fałszowanie dokumentów i posługiwanie się fałszywymi dokumentami. Daniel zauważył, że zdjęcie profesora jest stare. Mimo tupeciku widniejącego na skopiowanej z paszportu fotografii każdy bez trudu go rozpozna, a wbrew pozorom Monte Carlo to nieduża miejscowość.

– Na razie nikt nie wie poza nami. Ale VAL dowie się pierwszy – rzekł Rollo i oddalił się.

– A Leo? – krzyknął za nim Daniel.

– Nikt poza mną, Gertrud, a teraz tobą. Docię i dobrze wykorzystaj tę informację, bo za chwilę przestasz być cenny dla kogokolwiek i wrócisz do punktu wyjścia. Nie będą długo go szukali, osobiście o to zadbam. Taką mam robotę.

Podświetlana tablica była włączona i sekwencyjnie zmieniały się na niej emblematy Zakonu Maltańskiego, trustu Solgevar oraz hotelu Hermitage. Zgromadzeni zajęli swoje miejsca na krzeselkach i rozmawiali dyskretnie, jakby czekali na ważną aukcję dzieł sztuki. Kiedy Daniel wkroczył do sali, najpierw zobaczył Shalimar szczebioczącą z pulchnym Latynosem w białym kombinezonie, potem zaś Jasu Thumba pochłoniętego rozmową

z wysokim jasnookim blondynem, którego nigdy nie widział. Na jego kolanach siedział biały piesek, którego przystojniak karmił ciasteczkami. Reszta, znudzona, zajmowała pozostałe fotele. Na widok Daniela wszyscy się ożywili, VAL zaś nakazał zamknąć salę.

– Witamy, panie O'Skalsky. – Powstał, by go powitać. – To dla nas zaszczyt.

Wskazał Australijczyka w czapeczce z daszkiem, wysokiego Chińczyka, u którego ramienia uwieszona była jak zwykle Emma Pulaski. Gertrud w swoim przebraniu księżnej Fulko zajęła oddaloną pozycję. Diadem, który miała na głowie dzisiejszego dnia, aż kłuł w oczy od blasku brylantów.

– Szybka zmiana planów. Nie ma co tracić czasu. Inwestorzy są uprzedzeni i wysłuchają pana wykładu z radością.

– Mojego wykładu? – zdziwił się Daniel.

– Pański kolega profesor także się już zdecydował.

VAL przykleił do twarzy grymas lepki i chytry, więc Daniel nie pytał o nic więcej. Po spotkaniu z Krasickim i admirałem czuł wdzięczność do Rolla, że zadbał o jego przygotowanie. Wyprostował się, zajął miejsce za katedrą.

– Nie będę państwu zanudzał przydługimi wykładami finansowymi – zaczął, ale wbrew temu, czego się spodziewał, nie usłyszał chichotów.

Nikt nie mrugnął powieką. Twarze gości były napięte i skupione jak pyski drapieżników gotowych do skoku. Tylko Leonard wpatrywał się w Daniela z uwagą, szczerze zainteresowany. Daniel kontynuował więc:

– Fundusz, który państwu oferujemy, dopuszcza udział jedynie pięciu graczy. Jestem człowiekiem do wynajęcia i moim zadaniem jest zadbać o właściwe okna finansowe oraz lewary, które pozwolą w ciągu niespełna trzech miesięcy zwielokrotnić zainwestowane środki dziesięć- lub dwudziestokrotnie. Wszystko zależy od wkładu własnego. Dziesięć milionów dolarów to wystarczająca kwota wejściowa.

– Mowa była o pięciu – oburzył się człowiek w białym kombinezonie.

Daniel nie miał pojęcia, kim jest. Po chwili dołączył do niego Australijczyk w bejsbolówce.

– Ja także mam zgodę na tego rzędu inwestycję.

Po sali przebiegł szmer. Daniel podniósł obie dłonie, by uciszyć zebranych.

– Pięć milionów mogę pomnożyć dziesięciokrotnie w rok. Chyba że podejmiemy wspólnie ryzyko o grze agresywnej. Fundusz, który państwu przedstawiam, jest w pełni bezpieczny, jednak stopa zwrotu wzrasta znacząco dopiero przy większym udziale środków. Dziesięć jest optymalnie.

– Muszę zadzwonić. – Człowiek w białym kombinezonie wybiegł z sali.

Australijczyk siedział nieruchomo. Minę miał cokolwiek zawiedzioną.

– Ja wchodzę z dwudziestoma. – Gertrud podniosła dłoń, jakby licytowała na aukcji. – Co może mi pan zaoferować?

– Dwudziestokrotność w trzy miesiące – zapewnił Daniel bez zająknięcia. – Koszty operacyjne oraz prowizje należy odliczyć.

– To zrozumiałe. – Gertrud skinęła głową i uśmiechnęła się do Daniela półgębkiem. – Jestem zdecydowana.

– Dziękuję za zaufanie, księżno Fulko. – Daniel skłonił się, jakby oddawał hołd monarchini. Zanotował dane na elektronicznym pulpicie i natychmiast pojawiły się na telebimie. – Bierze pani dwadzieścia procent portfela. Odważnie.

– Do odważnych świat należy – mruknęła Gertrud.

– Ja mogę dać dziesięć – nieśmiało bąknął Australijczyk. – Przekonam jakoś zarząd.

– Wspaniale. Komu mam zabukować?

– Peter Gaon, Australia. Pete wystarczy. – Mężczyzna roześmiał się. – Specjalnie założyliśmy spółkę, więc może być też StarCommerce LTD albo Sherwood Group. To spółka matka.

– Pete daje dziesięć – powtórzył Daniel. – Mamy więc już trzydzieści.

Wstał Chińczyk.

– A jeśli lewary nie pójdą? Jak odrobisz stratę, gdyby giełda padła?

– Trzeba będzie poczekać. Nie inwestujemy w papiery dłużne, lecz w złoto, ropę i akcje FED. Przy twoich pięciu odrobimy ewentualne straty

w ciągu dwóch lat. Nie nastawiałbym się jednak na zysk większy niż siedmiokrotność.

W tym momencie do sali wrócił człowiek w białym kombinezonie.

– Narcis zgodził się na dziesięć – rzekł z triumfem, jakby wszyscy tylko czekali na jego oświadczenie.

– Pan nazywa się... – Daniel podniósł swój elektroniczny długopis. – Kogo mam zarejestrować?

– Lipez Lopez – przedstawił się, ale zaraz się poprawił. – Jako klienta proszę wpisać Narcisa.

– Narcis del Rodriguez Sala – powtórzył Daniel, jakby protokołował.

Na tablicy pojawiła się nowa pozycja.

– Dziesięć?

– Zgadza się – potwierdził Lipez Lopez. – A ktoś dał więcej?

– Księżna Fulko – rzucił od niechcienia VAL.

– To mamy razem czterdzieści pięć. Jesteśmy prawie kompletni. Potrzebujemy jeszcze jednego gracza. Kto z państwa się decyduje?

Wszystkie oczy zwróciły się na Leonarda. Ten jednak siedział w milczeniu.

– Profesorze? – zwrócił się do niego VAL.

– Chciałbym poznać więcej danych.

– Następna partia ruszy nieprędko. Potrzebni są inni mocni gracze, żeby zamknąć portfel – zaczął Daniel.

Leonard nie słuchał go, wciąż był na Skalskiego obrażony i nie zamierzał tego ukrywać. Zapadła cisza.

– Może książę von Hochberg opowie więcej o inwestycji, by pan Radziwiłł mógł zdecydować, ile inwestuje?

– Jasna sprawa. – Daniel nabrał powietrza, by zacząć wykład, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Hugo Bonaventura Gamble.

– Czy partia jest zamknięta? – zapytał bez wstępów.

VAL powstał, podał dłoń gościom. Przez reflektory Daniel nie widział, kto stoi za jego gospodarzem.

– Pan profesor się waha, więc jeszcze jest miejsce – odparł z satysfakcją, na co Leo tylko prychnął i spojrzał na Shalimar. Gertrud wciąż uśmiechała się jak Mona Liza.

– To wspaniale, bo mam klienta z ostatniej chwili. Straszne korki z lotniska.

Daniel nadal nie dostrzegał twarzy gości, a jednak na widok wysokiej, smukłej sylwetki opartej na lasce i z melonikiem w ręku omal nie wziął nóg za pas.

– Pan Igy Wolf chciałby dołączyć – zaczął Hugo, ale mężczyzna podniósł laskę, jakby celował w Daniela, i oznajmił:

– Nie osobiście.

Podszedł bliżej, aż pod samą mównicę, przy której stał Daniel. Teraz Skalski widział ślepcę wyraźnie i czuł jego wodę kolońską, którą tyle razy mu podbierał.

– Mój klient oferuje siedem – rzekł Wolf. – Czy dziesięć?

Skonsultował się z osobą, która wciąż ukrywała się w cieniu.

Daniel chwycił długopis. Zapisał siedem.

– Jak pana nazwisko? – wydusił z trudem.

– Dieter Frolich, panie Skalski. Miło, że znów będziemy razem pracowali. Niech stracę. Wchodzimy z moim szwagrem z dziesiątką.

A potem podszedł do Gertrud, ucałował z namaszczeniem jej dłoni i zajął miejsce obok. Daniel ledwie poznał swojego dawnego kontrahenta. Dieter w nowiutkim garniturze w prążki i koszulce polo, prosto od fryzjera, prezentował się jak podstarzały Brosnan. Aż trudno było uwierzyć, że on i bezzębny paser w ceratowej kurtce to ta sama osoba.

– Mamy więc pięćdziesiąt pięć – podsumował Daniel. – Portfel jest zamknięty.

– Dwadzieścia. – Poderwał się Leonard. – Proszę mnie dopisać!

Daniel wymienił spojrzenia z VAL-em.

– Przykro mi, profesorze, nie ma już miejsc. – Daniel starał się być łagodny. – Algorytm przewiduje tylko pięciu graczy. Jest komplet.

– Proszę go dopisać! – oburzyła się Shalimar. – Był pierwszy. Niech ci panowie się wycofają.

– W żadnym razie. – Dieter kręcił głową, choć wcale nie był zdenerwowany. Pochylił się do Gertrud. – Pięknie wyglądasz, księżno.

Uśmiechnęła się.

– I wzajemnie, panie Frolich.

– Znamy się tak długo, a wciąż nie dostałem zaszczytu bycia z panią na ty.

Podąła mu dłoń.

– Tarima.

– Dieter.

Zarumienili się oboje, bo wszyscy się im przyglądali.

– To ja zaczekam. Mam czas. – Gertrud wstała. – Profesorze, oddaję panu swój udział.

Leo uśmiechnął się do Gertrud z wdzięcznością, ale ona już nie patrzyła na nikogo poza Dieterem.

– Mam ochotę na spacer – rzekła.

Mężczyzna wstał natychmiast i podał jej ramię.

– Część oficjalną uważam za zakończoną. – VAL klasnął w dłonie. – Panie Skalski, reszta w pana rękach. Jutro zapraszam na podpisanie umów.

Kelnerzy wnieśli szampana. Leonard ze zdziwieniem stwierdził, że są to ci sami starszycy, którzy obsługiwali ich na jachcie Rockefellerów.

Wrocław, Polska, luty 2001

Rozległ się dzwonek do drzwi, więc Irmina Radziwiłł oddała wałek szefowi ekipy remontowej, a następnie z godnością zeszła z drabiny.

– W pionie, drogi panie – zaznaczyła, odchodząc. – Tylko w jedną stronę malujemy.

– Niebieski sufit? – wymruczał majster, sądząc, że gospodyni nie usłyszy. – Czego to ludzie nie wymyślą.

– Błękitny jak niebo – potwierdziła bez cienia złości profesorowa. – Niech pan się cieszy, że nie każę malować na nim chmurek. W mojej sypialni pogoda zawsze będzie piękna.

– Tak jest, profesorowo – podsumował tubalnie malarz i zajął jej miejsce na drabinie.

Nie zdejmowała fartucha, ale w przedpokoju zerknęła do lustra i przetarła rękawem twarz, by zniwelować białe smugi na czole, a ponieważ zamówiła najdroższą farbę, nie było to takie proste.

– Bronek? – zdziwiła się, otworzywszy furtkę, przez którą na posesję wmaszerował rektor Kuna wraz z drepczącym za nim policjantem w stroju galowym.

Choć po pagonach Irmina zorientowała się, że funkcjonariusz należy do kadry zarządzającej, nie wyglądał na samca alfa. Na jej widok pochylił głowę i wymruczał pod nosem stopień oraz nazwisko, którego nie dosłyszała, a potem dodał gromko, jakby byli na akademii:

– Bardzo dziękuję, że mąż pani obdarzył mojego syna takim zaufaniem.

– Sadowski, nie przesadzajcie – zbeształ policjanta Kuna. – Syn zgłosił się na ochotnika, a tłumu kandydatów nie było. Jeśli zaś chodzi o analizę technologii, Leonard dał mu popalić, bądź pewien. W pracy naukowej to monstrum.

– Mój chłopiec w życiu nie był szczęśliwszy – odparł już śmieiej policjant.

– Grajbud też nie narzeka – rozpromienił się Kuna. – I niech tak zostanie.

Irmina uśmiechnęła się, słysząc te przekomarzania.

– Jesteśmy w przebudowie, ale biblioteki Leosia nie ruszam do jego powrotu, więc tam panów zapraszam. Możemy pomówić w spokoju.

– Bardzo dobrze – ucieszył się ojciec Sadowskiego. – Lepiej bez świadków.

– Zawsze powtarzam to mężowi. – Profesorowa zaśmiała się nerwowo. – Walery i jego budowniczy tylko udają, że nie rozumieją. Herbaty?

– Nie chcemy przeszkadzać. – Policjant starał się być nad wyraz uprzejmy, co jeszcze bardziej Irminę zaniepokoiło.

– Skoro nie macie nadal pokojówki, lepiej omówić sprawę na sucho – zarządził Kuna. – Czas nas goni.

– Służby się jeszcze nie dorobiłam, ale zupełnie przypadkowo są u mnie przyjaciółki. Kapią papużkę. – Uśmiechnęła się. – Zawołam, żeby zaparzyły. Kawa czy herbata?

– Dwie czarne. – Kuna znów przejął stery.

– Z wkładką? – Irmina mrugnęła.

Kuna wreszcie się rozchmurzył.

– Skoro profesorowa nalega.

Wychyliła się z gabinetu:

– Cesia, Inez! Panowie napiliby się kawy!

Zatrzasnęła drzwi, a potem podeszła do przeszklonej szafy za antycznym biurkiem i wyjęła na blat kilka opróżnionych do połowy butelek. Postawiła tacę na brzegu stołu i usiadła w fotelu męża, przedramiona opierając na miękkich podłokietnikach, jakby zajmowała tron.

– Wkładkę zabezpieczą sobie panowie sami.

W pomieszczeniu nie było krzeseł ani też innych miejsc do siedzenia, więc goście zmuszeni byli stać.

– Co was sprowadza? – Irmina zaczęła łagodnie, ale po chwili skrzywiła się lekko. – Czy nie zimno panu w samym mundurze?

– Przecież w aucie jest ogrzewanie.

Policjant wyprostował się. Zerknął na Kunę, by przerzucić na niego odpowiedzialność za najście, lecz rektor się nie kwapił. Podnosił do góry flaszki i cmokał z uznaniem.

– Tequila, rum, dzin oraz naprawdę stara whisky. Widzę, że sytuacja się poprawiła.

– W piwniczce mam też karton katalońskiego albariño. Leo sprowadził specjalnie dla mnie.

– Pijesz alkohol?

– Głównie do owoców morza i z koleżankami.

Kuna aż otworzył usta ze zdziwienia. Wiedział, że nie powinien wspominać o tym żonie, gdyż z jakiejś przyczyny nie dostała nigdy zaproszenia.

– Ile razy mam was zachęcać? – Irmina nie była w stanie dłużej udawać spokojnej. Twarz miała napiętą, ręce zaciskała na poręczach. – Co znów zbroił Leo?

– Mamy nadzieję, że nic więcej – odparł ostrożnie rektor. – Ale dobrych wieści nie przynosimy.

– Domyślam się, skoro jesteście tu na galowo. – Rzuciła wyzywające spojrzenie policjantowi. – Inspektorze, proszę przestać się krygować. Jest pan przedstawicielem organów ścigania, czyż nie? Dowiem się wreszcie, o co chodzi?

– To dla mnie sytuacja trudna – zaczął Sadowski. – Pani mąż tyle zrobił dla mojego syna... A ponadto jestem podinspektorem.

– O, przepraszam. Nie chciałam pana zdegradować. Nie znam się na tych stopniach. Strzelałam.

Sadowski odchrząknął znacząco.

– Awansowała mnie pani.

– Nie pierdol, Sadowski – wściekł się wreszcie Kuna. – Mówcie, jak jest, bo wyleję waszego syna z roboty na zbity ryj! Sam bym zaczął, ale niewiele rozumiem z tych procedur.

Potem zaś zwrócił się do Irminy.

– Słuchaj, nigdy nas tu nie było i ta rozmowa nie miała miejsca. Jesteśmy nieoficjalnie. Może jeszcze da się coś zrobić. To pewnie pomyłka...

– Zrozumiałam – przerwała mu chłodno kobieta. – Co mój mąż przeskrobał?

– Myślę, że wiesz, kochana – zaczął Kuna, ale urwał gwałtownie, widząc pioruny w oczach żony Leonarda. Głos mu stężał, choć dało się w nim usłyszeć cień satysfakcji. – Te pieniądze, które Leo skosił na akcjach HEF, są do zwrotu. Pochodzą z nielegalnego źródła.

Irmina nie odpowiedziała. Delikatnie odwróciła głowę w kierunku policjanta.

– Może mi pan to wyjaśnić, inspektorze? Poproszę o wersję dla blondynki.

– Pani jest brunetką.

– Tylko ze starości – odparowała, zanim Sadowski skończył. – Leo potrzebuje adwokata?

Sadowski znów odchrząknął. Irminę zaczynało to drażnić. Jakim cudem ten człowiek utrzymał się w służbie i to na tak wysokim stanowisku?

– Nie wiemy dokładnie, gdzie jest pani mąż. Billingi telefonicznie lokalizują go gdzieś w Monte Carlo, choć wczoraj był w Genewie. – Urwał i położył przed Irminą kopię nakazu aresztowania. – Wydano też list gończy. Służby niderlandzkie zwróciły się do nas o pomoc prawną. Jeśli Leo zostanie namierzony, natychmiast go deportują.

– Nadal nie rozumiem za co – wtrąciła Irmina.

– Tak jak rektor wspominał, wygląda na to, że Leo uwikłał się we współpracę z nieuczciwymi ludźmi. Te pieniądze, które otrzymaliście, zostały wypłacone niesłusznie. Dokumenty były fałszywe.

– Fałszywe?

– Tak twierdzi strona holenderska, bank i jednostka CGZ prowadząca dochodzenie w sprawie. Z naszej strony postępowanie od pegie przejmą pezety. Pod nadzorem GIIF-u oczywiście.

– Pezety, GIFF, pegie? – powtórzyła Irmina. – Więc pan nie prowadzi tej sprawy?

Sadowski stuknął obcasami.

– Przyszedłem, żeby was uprzedzić. Chcę pomóc.

Irmina nagle poczuła wielką wdzięczność.

– Naraża się pan – stwierdziła, ale zaraz przerwała, bo pojęła, że pogarsza sytuację.

– Syn mnie poprosił. – Sadowski znów pochylił głowę. – On uważa pana profesora za geniusza. Technologia, nad którą pracuje Grajbud, to wielkie odkrycie w budownictwie. Prawdziwa rewolucja. Syn w kółko mi powtarza, że możecie na tym zbić fortunę i nie potrzeba nawet zbyt wielu testów. Pan Leonard obmyślił wszystko perfekcyjnie. Syn zobowiązał się tak przygotować i uprościć obliczenia, żeby jeszcze w tym roku ruszyć z produkcją.

– Jeśli młody dotrzyma słowa, syndyk może nas cmoknąć – dokończył za policjanta Kuna.

Irmina zmarszczyła brwi. To była ta dobra wiadomość. Druga zaś była bardzo, bardzo niepokojąca. Myślała szybko. Gdyby chcieli aresztować Leonarda, nie mówiliby jej o technologii. Wiedzieli, że zna adres pobytu męża. Wystarczyło wezwać ją na przesłuchanie i już następnego dnia mieliby profesora zapuszkowanego.

– Dziękuję, naprawdę ogromnie dziękuję – rzekła, by zyskać na czasie. – Ma pan wspaniałego syna. Nie chciałabym, żeby przez wysoki Leonarda miał pan kłopoty.

– Ja również – przyznał Sadowski. – Dlatego proszę o bezwzględną dyskrecję.

Irmina wstała, wyjęła trzy szklanki i rozlała po słusznej dawce do każdej z nich. Chwyciła jedną i upiła łyk.

– Czy to może być pomyłka, Bronku? – zwróciła się do rektora, kiedy udało jej się przełknąć płyn i wyprostować twarz.

– Mam nadzieję – odparł Kuna. – Jeśli nie, Leo pójdzie siedzieć. Wolałbym uniknąć skandalu, by nie poszukiwano go listem gończym ani nie pokazywano w telewizji. To bardzo źle wpłynie na wizerunek Grajbudu.

– Więc co proponujecie?

Kuna położył na stole wizytówkę.

– Tutaj masz numer do mojego przyjaciela. Znają się z Leonardem, jest uprzedzony, że będziesz dzwoniła. Niech Leo wystąpi o list żelazny i podda się postępowaniu, a potem wyjaśni wszystko.

– Wiem, gdzie jest mój mąż – rzuciła butnie Irmina. – Mogę nawet w tej chwili zadzwonić i kazać mu wracać.

Kuna z Sadowskim wymienili spojrzenia.

– A co z pieniędzmi?

– Są na koncie Leonarda.

– Masz do nich dostęp?

– Oczywiście. Myślisz, że jak realizowałabym remont domu?

– Potrzebujemy ich dla Grajbudu.

Irmina znów naląła do szklanek.

– A więc to taka sytuacja – rzekła i wypła duszkiem.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że drugi łyk nie jest już tak obrzydliwy. Było jej teraz przyjemnie gorąco.

– Jeśli Leo przekroczy granicę, zgarną go i zablokują konta. Nie wyjmiesz ani grosza – uprzedził Irminę rektor. – Najlepiej by było, żeby adwokat podał adres do korespondencji, wystąpił o list żelazny, a Leo zobowiązał się do pełnej współpracy. Wiemy wszyscy, że jest człowiekiem z gruntu uczciwym, więc jeśli się w coś uwikłał, zrobił to bez premedytacji.

– Wątpię – mruknęła Irmina. – Od razu wiedziałam, że będą z tego kłopoty.

Odstawiła pustą szklankę na blat. Rozwiązała fartuch.

– Jego telefon jest monitorowany? – upewniła się.

Sadowski potwierdził.

– A numer domowy dyplomaty, u którego się zatrzymał?

– Polski wymiar sprawiedliwości nie posiada jeszcze takich pełnomocnictw. Nie mamy nakazu.

– Bronku, prosiłabym cię, żebyś uporządkował sprawę z mecenasem – zdecydowała Irmina i oddała Kunie wizytówkę kancelarii. – A my pojedziemy do Włoch samochodem.

– My? – Rektor podniósł brew.

Był wielce zaniepokojony.

– Ja – sprostowała Irmina. – Ja i moi ludzie. Zajmę się przejęciem środków i dam ci znać, czy chociaż część udało mi się uratować ze szponów ojczyzny oraz czy Grajbud będzie mógł ruszyć z produkcją jeszcze w tym roku. O więcej nie pytaj. Nie będziesz musiał kłamać podczas przesłuchania.

Kuna i Sadowski stali jak wryci. Żaden nie był w stanie się odezwać.

– Bo o to chcieliście mnie prosić, prawda? Żebym wy dostała te pieniądze i was w to nie mieszała. Wszyscy mamy w tym interes. – Wskazała policjanta. – Pana syna czeka wielka kariera.

Następnie wymierzyła palec w pierś Kuni.

– Ty uratujesz zakład i unikniesz skandalu.

Schowała butelki i szklanki, jakby zacierała ślady po zbrodni.

– Ja zaś muszę kontynuować dzieło mojego męża, który ze wszystkich sił chciałby, aby produkcja płyt ruszyła. Nawet jeśli jego dobrego imienia uratować się już nie da.

– On jeszcze żyje, Irmino – bąknął zszokowany Kuna, ale kobieta tylko machnęła ręką.

– Jestem pewna, że ma się dobrze. Rozmawialiśmy dziś rano i chciał zainwestować w jakiś fundusz, zamrozić te pieniądze na rok czy coś koło tego. Muszę mu to wybić z głowy i nie dopuścić do podpisania tego kontraktu. Dlatego, jeśli to nie kłopot, możemy się teraz rozdzielić i każdy zajmie się swoimi zadaniami.

– To, co zamierzasz zrobić, Irmino, będzie grubym przestępstwem – zaczął Kuna. – Te pieniądze są brudne. Wszystkie urzędy ich szukają. To pewne.

– Wyrok na Leonarda jeszcze nie zapadł. List żelazny zagwarantuje mu pobyt na wolności do czasu przybycia do kraju, a z tego, co wiem, w Polsce

obowiązuje domniemanie niewinności. Zanim sprawa się wyjaśni, uładzimy nasze interesy. Bądź pewien, że zrozumiałam dokładnie cele naszej trójki. Wasza rola jest prosta: nic nie wiecie, a tego spotkania nie było. Moja zaś to posprzątać. Robię to za Leonarda od lat, więc spokojna głowa – wyrecytowała i zatrzymała się. – Żebym jednak podjęła ryzyko wyczyszczenia waszego bałaganu, muszę postawić jeden warunek.

– Jaki? – radośnie spytał Kuna, gdyż ciężar spadł mu z serca.

– W tej chwili zwołasz radę nadzorczą i wpiszesz mnie na swoje miejsce jako prezesa zarządu.

– Ciebie? – dukał zszokowany rektor. – Co na to Leonard? Zgodzi się?

– Chcesz, żebym ukryła te środki i uratowała Grajbud? – Irmina przekrzywiła głowę szczerze ubawiona. – Więc wezwij tu notariusza i spisz oświadczenie. Inaczej nigdzie nie jadę i wracam na budowę, bo znów pomalują mi niebo w poprzek.

Pukanie do drzwi skutecznie rozbiło napięcie między uczestnikami narady. Weszła zgrabna blondynka z twarzą przerobioną na wzór lalki, a za nią maszerowała niemal identyczna koleżanka. Obie miały w dłoniach tace z kawą i świeżutkimi babeczkami.

– Sadziu – pisnęła Cesia na widok policjanta. – Kopę lat!

Twarz Sadowskiego przybrała kolor koguciego grzebienia.

– Później sobie pogadacie – uratowała go Irmina. – Inez, dzwoń do Okrasy, niech zatankuje do pełna. Macie paszport, dziewczynki? Lecimy do Monte Carlo. Pakujcie najlepsze sukienki. Wizerunek to ważna sprawa w takich miejscach.

A potem odwróciła się do Kuny.

– Zdecydowałeś?

Rektor bardzo powoli skinął głową.

– Zajmę się tym.

– Masz półtorej godziny – oświadczyła Irmina, podając gościom kawę i słodczyce. – W tym czasie ja się spakuję, dopadnę Leonarda i rozdzielę zadania. Tylko pamiętaj, że jeśli nie dostanę do ręki dokumentu

potwierzonego notarialnie, nigdzie nie jadę. A jeszcze nie wiesz, jak bardzo nie lubię pakować się na próżno.

– A gdybym się nie zgodził? – zaczął przekornie Kuna. – Zostawił was na pastwę losu i nie ostrzegł?

Irmina wzruszyła ramionami.

– Odwiedzałabym Leosia w więzieniu i słała mu książki, bo jeśli idiota dał się wykorzystać, powinien pójść za swoją głupotę siedzieć. Choć oczywiście zrobiłabym wszystko, żeby sprawę wyjaśnić i mieć solidną podstawę do ciosania mu kołków na głowie.

– Isiu, twój mąż nie przetrwa jednego dnia aresztu. – Kuna zmarszczył czoło. – Chcesz, żeby go zamknęli?

– Będzie musiał coś odsiedzieć. Inaczej nie uratujemy Grajbudu ani technologii.

– Ty nie wierzysz, że to pomyłka?

– Nikt nie rozdaje dwudziestu siedmiu milionów dolarów za darmo. To musiał być kawałek większego tortu. Skoro został już skradziony, szkoda, żeby nasza porcja się zmarnowała.

Genewa, Szwajcaria, marzec 2001

Gertrud wysiadła z windy i ruszyła rześście oświetlonym korytarzem. Po obu stronach wisiały lustra, które zwielokrotniały jej wypoczętą twarz w dziesiątkach odbić. Jak przyjemnie było iść na przedzie kolumny w najnowszej sukni od Chloé, w którą zainwestował VAL, z diademem księżnej Fulko na głowie i w jej rodowej biżuterii, choćby były tylko niezbyt dobrą imitacją, co natychmiast zauważył Dieter, ale był tak miły, że nie powiedział tego głośno. Zamiast tego chwycił ją ciasno pod ramię, aż poczuła jego twarde mięśnie pracujące pod białą marynarką oraz intensywny pot zmieszany z wodą kolońską, który, o dziwo, już jej nie raził. Za nimi maszerowała reszta: Australijczyk w swoim różowym polo i wycieruchach z krokiem do kolan, Tintin z Emmą oraz słynny piłkarz – Narcis del Rodriguez Sala w towarzystwie swojego agenta Lipeza Lopeza, którego nie odstępował na krok, od kiedy zorientował się, że nikt w tym towarzystwie nie mówi w jego ojczystym języku. Kiedy tylko futbolista stracił zdolność rozumienia, stał się cichy, potulny i przestał się awanturować. Lipez Lopez przekonywał go nieustannie, że podpisanie kontraktu zajmie ledwie godzinę i Narcis będzie mógł wrócić do Rio albo na trening, cokolwiek zdecyduje.

Oddano im do dyspozycji całe piętro hotelu i każdy otrzymał swój apartament. Ci, którzy mieli ochotę świętować inwestycję, mogli bawić się na koszt funduszu przez najbliższą dobę. Dieter nieustannie dawał do zrozumienia Gertrud, że chciałby z tej oferty skorzystać, a kobieta nie protestowała i flirtowała z nim bezceremonialnie.

Daniel czekał na gości przed salą królewską. Kiedy znaczne grono dotarło na miejsce zbiórki, przekonało się, że wystrój jest adekwatny do nazwy. Pomieszczenie wyglądało tak, jakby za chwilę miała się w nim odbyć koronacja. Największy fotel zajmował Wolf w swoich nieodłącznych czarnych okularach i goście w pierwszej chwili sądzili, że to jedynie figura woskowa, bo siedział nieruchomo i w milczeniu. Za jego plecami stał VAL. Na jego znak podano inwestorom dokumenty do podpisu, a kelnerzy czekali już ze zmrożonym szampanem.

– Radziwiłł zrezygnował w ostatniej chwili. Masz kogoś rezerwowego czy gramy bez niego? – Daniel pochylił się do VAL-a, udając, że nie dostrzega swojego największego wroga.

VAL jednak tylko wzruszył ramionami i rozpoczął konwersację z piłkarzem, który tak źle mówił po angielsku, że każdą frazę musiał konsultować z agentem. Nie minęło kilka chwil, a Daniela dobiegł wzbudzony głos Brazylijczyka. Sportowiec krzyczał na Lipeza Lopeza, nie przebierając w słowach, i machał rękoma, jakby stał na bramce. Daniel podszedł w tamtym kierunku, by załagodzić sprzeczkę.

– Narcis wolałby podpisać kontrakt w banku. Mówi, że nie ma czasu na picie z obcymi ludźmi – przetłumaczył agent, a Skalski podziękował mu oczyma, że zadbał o elegancki przekaz i ominął wulgaryzmy.

– Nie ma żadnego problemu. – Daniel wskazał okno, zza którego widoczny był sztyld RobbyBanku. – Pan Narcis musi to jedynie ustalić z pozostałymi członkami funduszu, czy zgodzą się zaczekać do jutra. Noell Burling, administrator naszych kont, dziś akurat jest niedostępny. Bank zamyka się za godzinę. Pragnę zwrócić uwagę, że procedury otwarcia rachunków trwają znacznie dłużej, ponieważ do każdego z nich dostęp muszę mieć również ja, z wiadomych przyczyn. Gdyby pan Narcis przyleciał wczoraj, zdołałbym to jakoś przesunąć, ale teraz jest za późno. Myślałem, że dokumenty wraz z pełnomocnictwem podpiszemy tutaj i z samego rana osobiście dostarczyłbym je do banku. Wszystko zostało zorganizowane po to, aby oszczędzić cenny czas pana Narcisa i pozostałych inwestorów. – Daniel skłonił się uniżenie Lipezowi. – Gdyż pan Narcis wahał się do ostatniej chwili. Jeśli jednak wszyscy wyrażą zgodę, ja nie widzę przeszkód. Musi pan jednak załatwić tę sprawę samodzielnie.

Lipez Lopez przełożył treść w ledwie dwóch słowach. Zakończył wypowiedź warknięciem i wskazaniem okna. Narcis stanął w nim i długo przyglądał się widokowi, jakby to mogło coś zmienić.

– Wszyscy podpisują. – Lipez Lopez wskazał Gertrud, Dietera i Kevina Longa.

Australijczyk oddał już papiery VAL-owi i opróżnił kolejny kieliszek szampana. Boczными drzwiami wchodziły tymczasem dziewczęta w nobliwych garsonkach, które do hotelu wprowadziła Emma. Otoczyły

Australijczyka wianuszkiem i śmiały się z każdej wypowiedzianej przez niego kwestii.

Narcis, widząc, co się dzieje, wyszarpał papiery z dłoni Lipeza, który udawał, że wnikliwie je studiuje, a następnie złożył na nich zamaszyste podpisy.

– Wszystko się zgadza? – Daniel zrobił słodką minę, kiedy odbierał je z rąk wściekłego piłkarza.

– Jak często będę otrzymywał raporty? – burknął Narcis swoim łamanym angielskim.

– Raz w miesiącu prześlę na podany faks kompletny wyciąg z konta. Po roku, jeśli będzie pan zdecydowany zamknąć rachunek, wszystkie środki zostaną wypłacone. Gdyby zaś zdecydował się pan na dalszą współpracę, podpiszemy aneks i będziemy obracać nimi nadal. Odsetki będą przeksięgowywane automatycznie oraz przekazywane na podane w umowie konto.

Narcis skinął na Lipeza i nakazał mu tłumaczyć symultanicznie.

– A gdybym się rozmyślił przed upływem roku?

– To się panu nie opłaca, ale oczywiście jest możliwe – zapewnił Daniel.

– Po potrąceniu kosztów manipulacyjnych odzyska pan swoją część portfela. Przypominam, że środki przez cały czas trwania funduszu znajdują się na pana rachunku. W każdej chwili może pan sprawdzić stan konta, kontaktując się ze mną lub z administratorem RobbyBanku – Noellem.

– Dlaczego go tutaj nie ma?

– Ma spotkanie z Donaldem Trumpem – gładko wyjaśnił Daniel, a potem przekartkował dokumenty i na siódmej stronie kontraktu pokazał numer. – To nie jest konto na nazwisko, lecz rachunek numeryczny. Dzięki szwajcarskiej procedurze pana dane osobowe są chronione. Tym sposobem fiskus ich panu nie odbierze ani żadna prokuratura nie jest w stanie domagać się ich udostępnienia, ponieważ to numer jest ważny, a nie nazwisko.

– Rozumiem – prychnął Narcis. – Nie pierwszy raz zakładam rachunek w Robby.

Daniel uśmiechnął się promiennie.

– Cieszę się, że mam do czynienia z zawodowcem. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak miło jest, kiedy nie ma konieczności objaśniania rzeczy oczywistych.

Zerknął na ostatnią stronę.

– Nie podpisał pan pełnomocnictwa.

– Jaką mam gwarancję, że pan mnie nie okradnie?

– Pan śmie żartować? – roześmiał się Daniel. – To pełnomocnictwo zobowiązuje mnie do obracania pana gotówką jedynie za pana pozwoleniem. Oznacza to, że każda wykonana operacja na rachunku musi być potwierdzona przez Noella.

– A więc jeśli pan Daniel próbowałby wypłacić środki z konta, Noell najpierw zadzwoniłby do ciebie i zapytał cię o zgodę – pośpieszył z pomocą Lipez Lopez.

– Jeśli to panu sprawi radość, zadbałem o to, by administrator znał portugalski.

Zmarszczone dotąd czoło Narcisa wygładziło się. Podniósł dłoń, a Lipez Lopez włożył w nią pióro. Narcis podpisał także ten dokument, skinął pozostałym i nie podając nikomu dłoni, opuścił apartament. Lipez Lopez pobiegł za nim.

Daniel patrzył za nimi długi czas, a potem skrupulatnie schował dokumenty do teczki. Aż podskoczył, kiedy zza pleców usłyszał głos VAL-a:

– Nie wziął swoich kopii?

Daniel podał mu komplet przeznaczony dla piłkarza.

– Śpieszy się na trening – skłamał. – Jutro, jak tylko Noell potwierdzi mi konto, nadam mu pocztą lotniczą.

– Najważniejsze, żeby przelał środki.

– Zadbam o to – obiecał Lipez Lopez. Pojawił się w asyście przystojnego Holendra, który pod pachą niósł rozszczekanego maltańczyka. – Przedstawiam panom mojego przyjaciela. Pernod, oto pan Dany von Hochberg, o którym tyle ci opowiadałem. Czy ktoś z was wie, gdzie

podziewa się księżę Radziwiłł? Szukamy go od rana. Czyżby zaszył się gdzieś z Shalimar?

– Shalimar wyjechała do Dubaju – poinformowała od niechcienia Gertrud. – Przeprosiła, że nie miała czasu się pożegnać. Jej ojciec źle się poczuł. Nie chce go drażnić, by jej nie wydziedziczył. Może profesor jej towarzyszy?

– Szczerze wątpię. Wysłałem Leonarda, by kupił w moim imieniu zamek – wyjaśnił spokojnie Daniel.

Wyjął komórkę i wykręcił numer.

– Nie odbiera. Dojedzie na przyjęcie, jeśli dopnie sprawy formalne.

– Kupiłeś zamek? – zainteresował się Pernod. – Odważna inwestycja. Portfel jeszcze niezamknięty, a już masz nadwyżki funduszy?

– Właściwie czteropiętrowy pałac otoczony lasem, parkami i ogrodami wielkości pięciu hektarów. Cena była okazjna. – Daniel wzruszył ramionami. – Szukałem godnego lokum na przyjęcie, które wydaję na cześć Zakonu Maltańskiego.

Zatrzymał się, by informacja dotarła do uszu wszystkich zebranych, a w szczególności do Wolfa.

– Od lat reprezentuję ich interesy i właśnie udało mi się dziesięciokrotnie pomnożyć fundusze powierzone w ubiegłym roku. Jasu Thumb, mistrz zakonu, wspańałowmyślnie zdecydował się nagrodzić mnie złotym krzyżem – odchrząknął znacząco – oraz sowitą prowizją. Ucieszyłem się i długo myślałem, jak odwdzińczyć się Jasu za okazane zaufanie. Mógł zatrudnić sztab najlepszych finansistów, a zdecydował się na moje skromne usługi. Nie wypada mi pobierać od fundacji pieniędzy, choćby to był czek z dziewięcioma zerami, więc zgodziłem się przyjąć prezent w postaci dożywotniego prawa użytkowania pałacu nad Lago di Garda. Prawnie willa nadal przynależy do majątku zakonu i jeśli o mnie chodzi, to jest w porządku. Zadbam, by na otwarcie przybyła śmietanka Monte Carlo. Państwa, jako moich klientów, zapraszam już dziś.

– To się dobrze składa, bo jest co świętować. – Lipez Lopez mrugnął do Pernoda. – Już myślałem, że Narcis zachowa się jak narowisty koń i nic z tego nie będzie. To cud, że przyjechał i podpisał dokumenty.

– Chyba jak rozjuszony byk – sprostował Daniel. – Nie było okazji wyrazić stosownego komplementu, a zresztą sam nie lubię wazeliny, więc się powstrzymałem. Chciałbym jednak, by pan wiedział, że wybitnie podziwiam charyzmę Narcisa i obiecuję zająć się jego środkami nadzwyczaj troskliwie.

Rozległo się prychnięcie, a wszystkie głowy obróciły się w stronę fotela koronacyjnego, na którym wciąż nieruchomo siedział ślepiec. Wolf nie odezwał się, nie skomentował słów Skalskiego. Na jego twarzy gościł jednak krzywy uśmieszek, który Daniel z łatwością odczytał jako wyraz pogardy.

– By zorganizować przyjęcie, kupuje pan zamek? – Holender wciąż nie dowierzał. – Nie wystarczy wynająć sali?

Daniel przyjrzał się mężczyźnie. Oceniał jego strój, dłonie, jakość cery.

– Mam kilka nieruchomości w różnych miejscach na świecie – odparł. – Kiedy przybędzie pan nad Lago di Garda, zrozumie pan, dlaczego się nie wahałem. To po prostu bajka.

– Jak mamy się tam dostać?

– Jutro o tej samej porze podstawię dla swoich gości kilka helikopterów. Zanim zdąży pan wypalić cygaro, usłyszysz pan orkiestrę i zobaczysz Kylie Minogue. Lenny Kravitz niestety był w tym terminie zajęty.

Tydzień wcześniej, Brescia, Włochy, luty 2001

– Zatrzymam się, a ty zmienisz garnitur, Leo. Jest cały zapocony – rzekł Daniel i nawet nie spojrzał na dokumenty, którymi wymachiwał czerwony ze złości profesor.

– Zabiję oszusta! Przyrzekam, że jeśli to prawda, uduszę Langustę własnymi rękoma.

– Daj spokój. To pewnie jakieś niedopatrzenie.

Daniel przycisnął gaz. Chwycił dźwignię zmiany biegów, ale siódmego nie było. Silnik warczał jak zarzynane zwierzę, kiedy wspinali się pod górę.

– Niedopatrzenie? – pienił się Radziwiłł. – Te akcje to fałszywka. Pójdę siedzieć!

– Zablokowali ci konta?

– Jeszcze nie.

– Zatrzymali transfery?

– Trzy ostatnie na konto koleżanek Irminy nie przeszły.

– Tych dziwek? – zachnął się Daniel. – Może dlatego, że od dawna są pod obserwacją i już wcześniej uczestniczyły w kaskadzie.

– W kaskadzie?

– To przecież dziewczęta Langusty. Pewnie on sam na ciebie doniósł.

Radziwiłł na chwilę przestał pokrzykiwać, zamyślił się.

– Gdybym cię nie słuchał i zapłacił temu gnojowi prowizję, może nie przyszłoby mu do głowy mnie topić.

– Jeśli ktoś ma chęć cię obrabować, zrobi to, czy będziesz dla niego miły czy chamski. A utopić można płotkę. Ty jesteś milionerem.

– Więc zgadzasz się, że to kradzież?

– Cała transakcja od początku była grubymi nićmi szyta. Nie gniewaj się, ale nie miałem co do tego wątpliwości. Wykorzystali cię.

– Teraz mi to mówisz? Taki z ciebie przyjaciel?

– Teraz to przyjaciel! – Daniel zaśmiał się kpiąco. – A jak dałeś się omotać tej podrabianej księżniczce i Holendrowi ze służb, to byłem dla ciebie persona non grata. Nic mi nie pomagałeś. Cały czas tylko narzekania, kwęki i robienie z siebie księcia. Zachowałeś się jak prawdziwy buc.

– Bo nie łąziłem za tobą, żeby pić i bzykać młodzież w porcie?

– Tak wygląda nasza praca! Nikt nie każe ci zdradzać żony, ale robić kontakty można w różny sposób. Ciekawe, czy Irmina wie, jak śliniłeś się do tej grubaski. Wrona wobec sera zachowuje więcej godności.

– To moja koleżanka i przyznasz, że bardzo nam pomogła.

– Niby w czym? Wystawiając nas komisarzowi z CGZ?

Radziwiłł milczał. Był śmiertelnie urażony.

– No, już przestań się mazać, może jeszcze nic się nie stało – łagodził Daniel. – Wygląda na to, że poza twoim tropem ten pedał nic nie ma. Na szczęście w porę pojawił się Brazylijczyk i odwrócił uwagę od naszej gry. Żałuję tylko, że nie zdążyliśmy kupić Eatona.

– Jesteś szalony! Miałbym teraz na głowie pięćset milionów długu.

– Uspokój się, Leo. – Daniel chwycił profesora za rękę, jakby był dzieckiem. – Irmina przejęła część środków, a resztę przetrzymam ci ja. Nie zmarnują się. Zainwestuję je, a jak wyjdiesz, będziesz miał drugie tyle. Z takim portfelem to banalnie proste, żeby w rok wyrównać straty. Choć pewnie pójdziesz do puszki na rok albo dwa, jeśli rzecz jasna nie wydasz wszystkich, a tego zrobić nie możesz. Langusta i Śpiewak to wiedzą. Liczyli na to od początku. Tylko polscy prokuratorzy biedują i nie znoszą tych, którzy mają odwagę być rozrzutni.

– O Boże, ja nie przeżyję w areszcie nawet jednej nocy – lamentował Leo, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, w co się wpakował. – Co za upokorzenie! Hańba!

Daniel miał dość.

– Ile mi przekazałeś?

– Jeszcze nic. Wszystko poszło na żonę i jej znajomych. Spora część dla Grajbudu została już cofnięta.

Daniel zatrzymał auto. Stali teraz przed wjazdem do miasteczka, a mijające ich samochody trąbiły na nich zapamiętale.

– Nie przesłałeś mi ani centa?

– Kiedy przelewy przestały się realizować, natychmiast cię zawiadomiłem. Liczyłem, że skoro ja ci pomogłem w tarapatkach, mogę liczyć na to samo.

– Niby co miałbym zrobić?

– Zawiadomić swoich prawników. Mówiłeś, że White Horse Trust ma najlepszych fachowców na świecie i cokolwiek się wydarzy, wybronią nas ze wszystkiego.

– Nie zrobią akcji HEF prawdziwymi, skoro są trefne.

Leonard spojrział na Daniela kątem oka. Jego twarz była wykrzywiona gniewem, ale jeszcze się powstrzymywał. Każde wypowiedane słowo raniło dumę Leonarda i boleśnie przywracało go do rzeczywistości.

– Ty wcale nie masz prawników – powiedział, jakby wyznawał własną winę. – I nigdy nie zamierzałeś mi pomagać, prawda?

– Gdybyś dotrzymał słowa, zastanowiłbym się.

– Gdybym był tak głupi, żeby oddać ci wszystkie pieniądze.

– Wystąp o ten list żelazny, jak poradziła ci żona, i daj się zamknąć. Ciesz się, że chociaż te nędzne kilkaset tysięcy udało wam się wyrwać.

Leonard chwycił za klamkę, otworzył drzwi. Wskoczył z auta.

– Skoro tak, żegnam pana.

– Wsiadaj – polecił sucho Daniel. – Jeszcze nie skończyłem.

Leo się wahał.

– Nic cię już nie uratuje, bo się nie zabezpieczyłeś. – Daniel był znudzony. – Mają cię na widelcu.

– Jedziesz na tym samym wózku.

– Grozisz mi?

– Informuję.

– Pójdiesz swoją drogą, jak sprawa zamku będzie dopięta.

– Jakiego zamku, durniu?!

– Skoro nie masz już pieniędzy, muszą wystarczyć twoje wyciągi. Potem możesz iść w swoją stronę. Tylko zadbaj o to, żeby nasze drogi więcej się nie skrzyżowały, bo twoja opinia oszusta szkodzi mi w interesach.

– Zniszczę cię.

– Nikomu nie możesz już nic zrobić, Leo. Wsiadaj i graj swoją rolę do końca. Po robocie odstawię cię do hotelu, skąd zabiorą cię w kajdankach, a ty się na to zgodzisz. Inaczej zadbam o to, żeby te nędzne grosze, które dałeś Irminie i jej dziwkom, dostał Holender.

Sięgnął pod deskę rozdzielczą i wyjął urządzenie lokalizujące.

– Co to jest? – przeraził się Leo.

– Jak dziecko. – Daniel pokręcił głową. – Ciągniesz do końca?

– Jesteś demonem – szepnął z przestachem profesor, ale zajął miejsce obok Daniela, który wyrzucił lokalizator przez okno i ruszył z piskiem opon.

Marcello Waleski zgodził się pomóc ostatni raz i przyprowadził znajomego z agencji nieruchomości, który na podstawie wyciągów z kont Leonarda przekazał klucze do Villi Portesina nad Lago di Garda. Rozwścieczony profesor idealnie odegrał rolę ekscentrycznego milionera, który był gotów nabyć posiadłość bez jej oglądania pod jednym warunkiem: Daniel miał na weekend sprowadzić radiestetę, który zbada ciekły wodny w rezydencji. W umowie przewidziano przepadek zaliczki w wysokości trzystu tysięcy dolarów, jeśli do transakcji nie dojdzie – z powodu cieków, złej energii, ukrytych grobowców albo feng shui – więc Daniel wypisał na taką kwotę czek, który skrupulatny Włoch włożył do teczki. Wszyscy wiedzieli, że jego ważność będzie można sprawdzić dopiero po weekendzie.

Kiedy tę operację Polacy mieli już za sobą, Daniel odwiózł Leonarda pod tani motel, w którym czekała na profesora żona. Więcej się nie zobaczyli.

Daniel słyszał potem plotki, że Radziwiłł sam zgłosił się pod bramę aresztu we Wrocławiu i wbrew temu, czego obawiali się wszyscy, zyskał w odosobnieniu wielki respekt. Sława jego oszustw sięgała aż po Sycylię.

Grajbud jakimś cudem stanął na nogi pod dowództwem Irminy Radziwiłł, która wprowadziła do produkcji technologię męża, ale płyty cementowo-wiórowe nie zrewolucjonizowały przemysłu budowlanego. Bogactwo przyniosła fabryce sprzedaż innowacyjnych szczoteczek do odkurzania, które doczekały się podróbek w niemal każdej szerokości geograficznej. Do dziś jednak te oryginalne o nazwie Leo oraz SuperLeo uchodzą za najlepsze i można je kupić w supermarketach za jedyne cztery złote siedemdziesiąt groszy. Ich produkcja kosztuje Grajbud ledwie trzynaście groszy.

Przyjęcie w Villi Portesina odbyło się zgodnie z planem i przybyli na nie księżę Albert z Monako oraz sobowtór Kylie Minogue, którą zagrała Emma Pulaski. Śpiewała z playbacku, ale nikt tego nie zauważył, gdyż wszystkie media zajęte były fotografowaniem księżniczki, która tej samej nocy uciekła z fałszywym Rockefellerem. Ten skandal gazety na całym świecie grzały aż do zimy, bo wtedy oszust dzięki staraniom władarzy księstwa został zatrzymany, osądzony i zamknięty na piętnaście lat bez możliwości wyjścia na warunkowe zwolnienie. Próbował strugać wariata, jak jego poprzednik z Solgevaru – Gary French, ale uznano go za symulanta.

Daniel pojawił się na przyjęciu tylko na kilka godzin w towarzystwie młodej Polki, której nikt nie znał. Odebrał odznaczenie zakonu, sfotografował się z księżniczką i przekazał Gertrud elektroniczny klucz do skarbcza, gdzie wspólnie ukryli pieniądze Narcisa, Australijczyka, a nawet swojego współnika Kevina Longa. Za niewielką opłatą Krasicki pomógł im bezpiecznie opuścić Włochy. Wynosiła ona tyle, że Villa Portesina należy obecnie do niego, choć w ogłoszeniach wciąż figuruje jako obiekt do nabycia. Agent nieruchomości oraz Marcello Waleski zaginęli bez śladu. Mówiono, że ostatnią osobą, z którą ich widziano, był podstarzały mężczyzna z wykwitami na skórze, ale nikt nie potrafił podać jego dokładnego rysopisu. Żaden z inwestorów nie zgłosił wyłudzenia ani też kradzieży, a Pernod nie odzyskał poszukiwanych przez bank ARN pieniędzy. Wkrótce z Monako wyjechali VAL, admirał, Emma Pulaski, Tintin oraz Jasu Thumb. Od dawna nie widziano także arabskiej księżniczki. Śledczy, którzy rozpracowywali działalność obu szajek, nie natrafili na żaden trop poza siatką powiązań towarzyskich. Mimo wielokrotnych przesłuchań i współpracy międzynarodowej nie udało się

ustalić nic więcej poza tym, że żaden algorytm pomnażający środki w funduszach hedge White Horse Trust nie istniał, a pieniądze zagubiły się podczas kaskadowych transferów, i do dziś nie postawiono przed sądem nikogo z wyżej wymienionych. Nieznane są także aktualne miejsca ich pobytu.

Pół roku od wspomnianych wydarzeń do Noella Burlinga zadzwonił słynny piłkarz Narcis del Rodriguez Sala. Zażądał podania salda swojego konta o numerze 800345672. Zgodnie z przepisami RobbyBanku administrator prywatnych kont odmówił podania informacji, tłumacząc, że Narcis nigdy nie był właścicielem tego konta. Podobną odpowiedź otrzymała prokuratura i wszystkie inne instytucje pragnące zajrzeć do skarbca. Nie udzielono także odpowiedzi na pytanie, do kogo należy wspomniany rachunek. Mimo bliskiej zażyłości z analitykiem ARN Pernodem Hagedornem i współpracującymi z jednostką CGZ Lipez Lopez, agent Narcisa, nie zdołał ustalić, gdzie podziały się pieniądze piłkarza. Pokazywane przez nich wyciągi z konta, które otrzymywali regularnie przez sześć miesięcy od von Hochberga, okazały się sfałszowane. Tylko jeden z nich miał możliwy do ustalenia numer nadania faksu. Był to salon Mercedesa w Lublinie. Niestety do maszyny mógł mieć dostęp każdy klient, gdyż odbiornik znajdował się na biurku recepcji, a właściciel oddziału firmy – pan Kondratowicz – kategorycznie zaprzeczył, że miał związek z tą sprawą, choć na sam dźwięk nazwiska poszkodowanego gotowała się w nim krew i szczerze chciał pomóc ulubionemu piłkarzowi. A chociaż Lipez Lopez stawał na głowie, by znaleźć w Polsce i na świecie osobę, której piłkarz powierzył swoje pieniądze, okazało się to bezskuteczne. Dany von Hochberg nie istniał. Jedyne nieoficjalną drogą udało się Lipezowi dowiedzieć, że na takie właśnie nazwisko zarejestrowano numeryczny rachunek w RobbyBanku o numerze 800345672, a do niego przypisano skrytkę, którą otworzyć mogły dwie osoby. Jak podpowiedział mu jego przyjaciel Pernod Hagedorn, konto mogło być zarejestrowane równie dobrze na McKwacza albo słonika Dumbo. Nazwisko bowiem nie ma tutaj żadnego znaczenia.

Boisko dla dzieci z patologicznych rodzin w Brazylii nie powstało do dziś. Narcis przesiedział puchar świata na ławce rezerwowych i ani razu nie

wszedł na murawę. Po wygaśnięciu kontraktu dobrowolnie odszedł na emeryturę. Nigdy więcej nie wziął udziału w karnawale.

TRZY

WIELE NASZYCH JAJEK W KILKU KOSZYKACH

Gdzieś na Morzu Śródziemnym, wiosna 2001

– Któregoś dnia po ciebie przyjdą – rzekła nieco wstawiona Daria, kiedy żeglowali z Danielem po Morzu Śródziemnym.

„Daisy” szła ostro, niemal zanurzając lewą burtę w wodzie, ale dziewczyna wcale się nie bała.

– Masz cykora? – zaśmiała się.

– Nawet o tym nie pomyślałem. – Daniel wskazał dziewczynie, by przeszła na prawą stronę.

Właśnie z piwem w ręku wynurzył się z mesy kapelusz z mnóstwem piór, a następnie oczom kochanków ukazała się cała postać chudego Peruwiańczyka.

– On nigdy nie myśli, co będzie jutro. Jest dobrze, to jest. Tak trzeba żyć, mała.

– Nie lubię, jak się wtrącasz, mówiłam ci? – fuknęła Daria.

– Ja jestem od początku – odparował Rollo. – To ty się wtrąciłaś. I uważaj, bo możesz wszystko popsuć.

Spojrzał z wyrzutem na Daniela.

– Już się nie kłóćcie – uspokajał ich Skalski. – Za tydzień rozjeżdżamy się do domów.

– Co zrobisz ze swoją działką?

– Wydam – bez wahania odparł Daniel. – A ty swoją zakisisz?

Skinienie głowy.

– Na co?

– Mam wystarczającą liczbę nakryć głowy.

– Nie wątpię.

Rollo Shark usiadł obok Daniela i przejął ster.

– Zaraz możecie się iść migdalić, tylko najpierw coś ustalmy.

– Co tutaj ustalać? – włączyła się znów bojowo dziewczyna. Rollo pomyślał, że martwi się, co będzie, jak Daniel wróci do żony. – Wsiadasz

w Lizbonie.

– Ty też – przypomniał jej. A potem zwrócił się do Skalskiego po francusku, bo wiedział, że Daria nie zrozumie. – I nic mi więcej nie powiesz?

– Żebyś mnie wydał?

– Taką łajbę łatwo znaleźć. Jak będę chciał, dokonam tego.

– Będę cię sponieważał do końca życia. To chcesz powiedzieć?

Rollo dopił piwo, zgniótł puszkę i cisnął ją w fale.

– Kupisz ojcu dom, bo kiedyś mu to obiecałeś – zaczął powoli, nie patrząc na kompana. – Opłacisz przyjaciela nie dlatego, że chcesz go odzyskać, ale wiesz, że zwykle sojusze zawodzą. Trzeba mieć kogoś, kto w ciebie wierzy. Żonę obłaskawisz prezentami. Wrócisz do niej.

Wskazał naburmuszoną Darię, która nie znosiła, kiedy eliminowali ją z dyskusji, a działało się tak nieustannie, bo nawet jej angielski był słaby. Innych języków poza ojczystym nie znała. Wstała, udając obrażoną, i schowała się pod pokład.

– Jej rzucisz jakiś ochłap, a potem będziesz udawał praworządneho obywatela. Zainwestujesz w coś u siebie w kraju.

– Zbuduję lotnisko – wyznał Daniel. – Mam na oku ziemię. Nazywa się Czarcie Pole.

– Gdzie to jest? – roześmiał się Rollo, szczerze ubawiony. – W bajce o Czerwonym Kapturku?

Daniel dał się podpuścić. Był tak podniecony nową perspektywą, że przegapił moment, kiedy Peruwiańczyk wziął go na spytki.

– Tam, skąd pochodzę. Jako dziecko spędzałem tam wszystkie popołudnia. Kupię pas dawnego bagna wraz z lasem i szosą, a potem zbuduję lotnisko.

Zapadła cisza.

– Wyślą mnie za tobą.

– Jeśli będziesz chciał mnie znaleźć, znajdziesz.

– Wyślą mnie po forszę, nie po ciebie.

- Teraz jest dobrze, Rollo. Nie psujmy tego.
- Kto ma drugi klucz?
- Masz czas, żeby zgadnąć, zanim przyjmiesz na mnie zlecenie.
- Nie znalazłbym cię, gdybym to ja go dostał.
- To byłoby głupie – zaśmiał się Daniel. Wskazał na toń. – Widziałem *Nóż w wodzie*. Luka też miał skrytkę i dał ci klucz.
- Hej, mała! – krzyknął po angielsku Rollo. – Pakuj mandżur. Twoje diablę wraca do domu.

DWA

**STRACH I PRAGNIENIE
TO NAJWIĘKSZE PUŁAPKI ŻYCIA**

Okolice Biłgoraja, Polska, 1987

Czarcie Pole nad Czarną Ładą było najbezpieczniejszą kryjówką Daniela. Leżał na trawie z podłożonymi pod głowę rękoma i wystawiał twarz do słońca. Łączka rozpościerała się aż do mrocznego zagajnika, a tam zaczynało się bagno. Kiedyś w okolicy było wiele chat, a ponieważ pasące się na tej polanie zwierzęta często ginęły bez śladu, miejscowi oskarżali o to moc nieczystą. Bies objął w posiadanie ten teren, nie chodź tam Danielu – przestrzegala wnuka babcia, kropiąc go wodą święconą i wciskając mu za pazuchę czosnek. Mówił jej zawsze, że omija Czarcie Pole z daleka. Ale im częściej go straszyla, tym bardziej go doń ciągnęło. Uważał miejsce za własne, gdyż tubylcy lękali się tu przychodzić. Obserwował łosie, jelenie, czasami zdawało mu się, że słyszy wycie wilków. Po latach las wykarczowano aż do rzeki, a przez Czarcie Pole poprowadzono szosę. Z ludzkich zabudowań zostały jedynie resztki ogrodzenia, wyszczerbione kawałki gładów, spróchniałe bele drewna służące niegdyś za fundamenty chat i zdezelowana wiata przystanku autobusowego. Dziś wszyscy wiedzieli, że to nie diabeł porывał ludziom krowy i owce, ale one same, skuszone soczystą trawą, wędrowały wprost do bagna, a nie mogąc się wydostać – ginęły w toni mokradeł. Daniel raz sam omal nie wpadł w tę czeluść. Potem sprawdzał drągami głębokość jaru wypełnionego gliniastą breją i był pewien, że ma co najmniej pięć metrów. Innych niebezpieczeństw na Czarcim Polu nie dostrzegał. Lubił sobie myśleć, że kiedyś, gdy już będzie dorosły i bogaty, kupi za bezcen tę przeklętą ziemię i wystawi na niej wielką rezydencję, którą podaruje ojcu. Widział tylko jedną wadę tego miejsca. Przez to osnute złą sławą, pełne zmurszałych trupów czarcie bagnisko na tej, zdawałoby się, bajkowej polanie zawsze roiło się od owadów.

Klepnął się z impetem po udzie, bo poczuł ukąszenie. Podniósł strzyżaka. Owad nie zginął, wił się tylko, a z jego ciała skapywała Danielowa kropla krwi. Chłopak wykrzywił twarz w grymasie obrzydzenia, wstał niechętnie i w dwóch palcach zaniósł owada do rzeki. Z przyjemnością obmył dłonie w chłodnej wodzie, a potem zanurzył w niej stopy. Dobrze, że to nie motyl. Od dziecka panicznie bał się motyli. Kiedyś,

miął może trzy albo cztery lata, mama zabrała go nad morze. Tata nie pojechał z nimi, matka nakazała chłopcu zachować rzecz w sekrecie. Nie wiedział wtedy, że rodzice się rozstali, czuł jednak niepokój rodzicielki i jej strach o przyszłość.

Wuj matki miał letni domek w Szczecińskim. Jechali tam pociągiem i trzema pekaesami, objuczeni jak na wyprawę do ziemi obiecanej. Chatynka nie miała toalety, jedzenie robili na przenośnej kuchence. Radio odbierało tylko jeden program i do dziś, kiedy Daniel słyszy muzykę poważną lub operę, od razu przypomina mu się tamta wiosna nad Bałtykiem. Do morza przez las było ledwie kilkanaście minut drogi. Daniel z mamą chodzili na plażę codziennie. Chłopiec brał swoje łopatkę, wiaderka i gumowe zabawki. Mama siedziała na kocyku w milczeniu, coś czytała. On w gumiakach i płaszczu przeciwdeszczowym drążył tunele, lepił zamki. Zdawało się, że roznosi go energia i radość. Tak naprawdę nieustannie spoglądał na wejście na plażę, czy nie stanie tam tato. Mama prawie z nim nie rozmawiała. Słyszał, jak wieczorami płacze w poduszkę. Wiedział, że to wszystko coś znaczy, i czekał, by to „coś” wreszcie się wypełniło.

Aż któregoś dnia, kiedy zeszli ze skarpy, plaża była wyścielona truchłami motyli. Jedni mówili potem, że plaga wynikała z zanieczyszczenia środowiska, według innych to Bóg dawał ludziom znak, że żyją nazbyt rozwiążle. Daniel tego wszystkiego nie wiedział i nawet kiedy dorósł, nie uwierzył. Pamiętał jednak dobrze, jak szedł po dywanie motyli zwłok, czuł, jak chrzęszczą mu pod stopami, i bał się, że go pochłoną. Stanie się jednym z nich. Starał się je omijać, przeskakiwał jak piłeczka, by stapać jedynie po gładkim piasku, ale im dalej się posuwali, tym bardziej to było niemożliwe. Martwe owady były dosłownie wszędzie. Kiedy tak skakał, potknął się i przewrócił. Oparł się dłońmi o grunt i wtedy po raz pierwszy dostrzegł, że motyl to nie tylko tęczowe wzory na skrzydłach, lecz także odrażająca konstrukcja odnóży, czułków i ohydny chitynowy odwłok. Rozplakał się, wtulił w ramiona matki i nie dał się uspokoić kogłem-mogłem ani kisiem o smaku truskawkowym.

Tego samego dnia wieczorem pod chatkę wuja podjechał nieoznakowany radiowóz. Wsiadł z niego rozwścieczony ojciec. Daniel z okna widział, jak tata szarpie się z mamą, długo krzyczeli na siebie, a potem do domu weszli mundurowi. Pozbierali rzeczy Daniela i matki i nie

trudząc się nawet zapinaniem walizek, wrzucili je na tylne siedzenie. Chłopiec obserwował to wszystko przez uchylone drzwi do swojego pokoju. Kiedy przyszli po niego, był gotów do wyjścia – w bucikach i zapiętej pod szyją kurtce. Stał przy drzwiach rozpromieniony i radosny, jak więzień czekający na otwarcie kraty przed opuszczeniem aresztu. Podróż trwała całą noc. Daniel nie chciał jeść ani pić. Początkowo czuwał, aż wreszcie znużyła go monotonna jazda. Ciszę przerywały jedynie szумы radiostacji i komunikaty milicyjne. Chłopiec czuł się bezpiecznie w tej płątanie rzeczy, ubrań, książek i nie wiedzieć dlaczego lampy biurkowej, przy której matka zawsze czytywała w chatce do nocy. Wreszcie położył głowę na kolanach mamy i śnił, że te wszystkie martwe motyle ożyły. Poderwały się, wzniosły do nieba, a plaża znów była czysta i opustoszała. Przespał całą drogę do Biłgoraja. Kiedy otworzył oczy, by powiedzieć rodzicom, że chciałby siku, radiowóz parkował pod ich blokiem. Mama wzięła syna za rękę i ruszyła do klatki. Nie obejrzała się na tatę, który razem z innymi policjantami zbierał jej rzeczy z auta. Nigdy więcej nie wyjechali na wakacje. Cały wolny czas Daniel spędzał w domu i okolicy.

Spojrzał na bezchmurne niebo. Doświadczenie wagarowicza podpowiedziało mu, że czas wracać. Do przystanku autobusowego, za którym zostawił rower, miał kawał drogi, a lekcje niedługo się skończą. Poczł burczenie w brzuchu. Dziś środa. Mama z pewnością zostawiła w parowarze gołąbki.

Paczka otwartych i lekko wilgotnych kopert leżała w zgrabnym stosiku na kuchennym blacie. Czajnik miał zdjęty gwizdek, a woda musiała się gotować długo i intensywnie, bo wszystkie okna były zaparowane. Lucjan Skalski na dłoniach miał gumowe rękawiczki, dokładnie takie, jakich używają technicy kryminalistyki. Sięgał po kolejne listy z torby i otwierał je pod parą. Wyjmował korespondencję, przelatywał treść wzrokiem i odkładał na właściwą kupkę. Czasami śmiał się, innym razem gwizdał lub marszczył krzaczaste brwi. Bywało, że notował co atrakcyjniejsze wiadomości w swoim notesie w skajowej oprawie, który pamiętał jeszcze jego służbę w zamojskiej komendzie. Zostało mu tylko kilka sądowych przesyłek do przejrzenia, kiedy szcęknęły drzwi i wszedł syn.

– Umyj ręce – rzucił do niego Lucjan, a spojrzawszy na zabłocone trampki Daniela, dodał: – I nogi. Matka ma tylko dwie ręce, a wypastować tę podłogę i przeżyć to sztuka.

Daniel kopnął tornister pod drzwi i wycofał się do miniaturowej łazienki. Słyszał, jak ojciec pośpiesznie zamyka swój warsztat, i był pewien, że kiedy wróci do kuchni, zastanie ojca palącego papierosa, a na stole jedynie talerz z dymiącym jedzeniem.

Nie pomylił się.

– Czy to nie jest złe? – odezwał się, kiedy w milczeniu spożyli po dwa gołąbki z tłuczonymi ziemniakami.

Lucjan zatrzymał czarne tęczęwki na identycznych oczach chłopca, jakby chciał w niego wejrzeć. Daniel poczuł na plecach zimny dreszcz.

– To moja praca – usłyszał. Lucjan wstał, by dolać sobie sosu. – Matka powinna prowadzić restaurację. Robi najlepszy sos pomidorowy w tym kraju.

Daniel odsunął talerz. Zerknął na torbę listonosza, już dokładnie zamkniętą, a potem na dziobek czajnika. Wciąż unosiła się zeń malutka strużka pary. Daniel nie pierwszy raz był świadkiem poczynań taty. Nigdy wcześniej o tym nie rozmawiali.

– To korespondencja prywatna. Czy wolno ci to czytać?

– Milcz, kiedy do mnie mówisz, synu! – ryknął Lucjan. – Jak miałbym prowadzić działania wywiadowcze, gdybym nie znał tajemnic figurantów? Sam powiedz, czy ludzie kiedykolwiek mówili prawdę? Zawsze kłamią, jeśli widzą zysk.

– Przecież jesteś na emeryturze – odważył się wtrącić Daniel, ale umilkł, bo obaj wiedzieli, że przy ojcu nie wolno wypowiadać tego słowa.

Do pracy listonosza kapitan wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Milicji został zmuszony, a posadę przyjął tylko dlatego, że nie utrzymaliby się z pielęgniarzkiej pensji matki.

– Wiedza to najcenniejsza waluta – odparł spokojnie Lucjan. – Zapamiętaj na zawsze. To, ile wiesz, jest twoim orężem. A zresztą mam misję. To działania operacyjne. Ścisłe tajne. Przyjdzie czas, że przywrócą mnie do służby. Nie mogę dać się wykosić młodym.

– Pewnie.

– Będziesz starszy, sam pojdziesz. Nawet rodzinie nie mogę o wszystkim mówić. Dla waszego bezpieczeństwa.

– Jasne – zamruczał znów Daniel.

– A tym bardziej ujawniać szczegółów operacji sąsiadom. To przykrywka. Niech myślą, że bezrozumnie chodzę od domu do domu. Czasami udawanie głupka jest oznaką sprytu.

Daniel nie śmiał ciągnąć tematu ani też spojrzeć ojcu w twarz. Musiałby wyznać, że ma go za tchórze i kłamcę. Wstał od stołu.

– Pójdę do lekcji.

– Czekaj. – Lucjan chwycił syna za ramię. – Nie wierzysz mi?

Chłopak czuł, że pieką go uszy. Zaczerwienił się i jednocześnie zawstydził reakcji.

– Oni śmieją się ze mnie.

To zdanie wymknęło mu się, nie chciał się zwierzać. I nie potrzebował litości. Wiedział, że ojciec oczekuje od niego, by poradził sobie z własnymi kłopotami samodzielnie. Ale blokada runęła. Lęk nagle go opuścił. Jego honor był ważniejszy niż dobre samopoczucie ojca.

– Mówią, że to nieprawda.

– Co nieprawda?

– To, co mi mówiłeś. O przykrywce, służbie i działaniach wywiadowczych. Mówią, że jesteś tylko listonoszem i masz szczęście, że dostałeś taką robotę. Bo jesteś podły esbek. I masz na sumieniu niejedno życie.

Lucjan nabrał powietrza, rysy mu się rozluźniły. Zaśmiał się jak z dobrego żartu.

– Kto tak mówi?

– Wszyscy. Koledzy, nauczyciele, nawet pani pedagog. Słyszałem, jak plotkowała z higienistką, że pisali o tobie w gazetach.

– Higienistka, mówisz?

Daniel pokiwał głową.

– I ta świątobliwa pedagog o oczach łasicy?

Chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć. Pochylił niżej głowę.

– Pisuje do jednego bandziora z więzienia – rzucił ze wzgardą Lucjan, a na jego twarz wypłynął blask satysfakcji. – Zdjęcia w bieliźnie mu wysyła. Chyba czas ujawnić jej sekret, skoro nie umie powściągnąć jęzora ani chuci. Tak się składa, że ten złodziej to mój informator. Wiele razy wsadzałem go do mamra.

Ojciec zaśmiał się krótko. Z jego oczu wychynęło okrucieństwo. Daniel z przestachem obserwował te nagłe zmiany na twarzy rodziciela. Odczuwał nieokreślony ciężar, jakby cień winy, że rozpętuje batalię, choć wcale nie miał takiego zamiaru i był pewien, że nie jest gotów przyjąć na siebie jej skutków.

– Porozmawiam o tym z moim prowadzącym – skwitował ojciec, jakby meldował się u komendanta. – Kto jeszcze cię męczy?

– Nie pamiętam. – Daniel próbował się wykpić, ale Lucjan przygwoździł go wzrokiem, więc wypalił szybko: – Koledzy ze szkoły, wuefista. Niektórzy rodzice. Zabraniają kumplom bawić się ze mną. Unikają mnie.

– Zrób listę na jutro. Zajmę się tym.

– Ale tato...

– Żadnych ale – uciął Lucjan i chwycił krzesło.

Wspiął się na pawlacz. Zdjął kartonowe pudełko, a z niego wydobył zawiniątko. Z daleka wyglądało jak sterta brudnych szmat. Zapachniało towotem. Daniel nie znosił tej woni. Kiedy ojciec wybierał się na polowanie, czyścił dubeltówkę, a mieszkanie pachniało tak cały dzień.

– To ja idę do lekcji – powtórzył chłopiec i dał susa w korytarz.

Bał się, że ojciec znów każe mu siedzieć na ambonie. Nie znosił zabijać. A jeszcze bardziej wstawać o świcie. Sam nie wiedział, co bardziej go odstręcza: zimno, niewygodny podczas oczekiwania na strzał czy oprawianie zwierzyny i noszenie zalarwionych zwłok kozłów do domu. Jelenie bywają ciężkie, a Daniel nie należał do osiłków.

– Mówiłem: siadaj! – rozkazał ojciec i rozwinął szmaty.

Były tam trzy sztuki broni oraz niezliczone pudełka z nabojami.

Ku zdziwieniu Daniela nie było tam dubeltówki.

– To moja broń służbowa.

– Czy w milicji mieliście też rewolwery?

– A gdyby mnie zwolniono, miałbym prawo go posiadać?

Daniel nie odpowiedział. Wpatrywał się w eksponaty jak zahipnotyzowany.

– Chcesz spróbować? – kusił ojciec.

Syn wzruszył ramionami.

– Nie bój się! – huknął Lucjan. Przesunął po blacie jeden z pistoletów. – Dotknij, poczuj siłę klamki. Najwyższa pora, byś stał się mężczyzną. Czasem sobie myślę, że matka chowa cię na jakąś ciotę.

Daniel natychmiast stanął na baczność. Wskazał sztukę broni z bębniem.

– Mogę ten?

Ojciec sprawdził komorę. Była pusta. Załadował do niej trzy naboje. Daniel czuł, jak w sercu znów zaczyna mu płonąć wielki ogień. Może oni się mylą? Nic nie wiedzą. Jeszcze im wszystkim pokaże. To była duma i satysfakcja przekonać się, że jego ojciec jest kimś.

– Bierz. – Lucjan podał Danielowi wybrany rewolwer. – Jutro zanieziesz go do szkoły.

Wstał, założył kaburę i wsunął do niej pozostałe pistolety.

– A teraz zbieraj się. Przekonasz się, że wciąż mam respekt w firmie. Kumpel wpuści nas po godzinach na strzelnicę. Musisz trenować. Syn kapitana nie może przynieść ojcu wstydu.

– Skalski w szkole! Wszelki duch Pana Boga chwali! – powitała Daniela pani pedagog następnego dnia przed pierwszą lekcją. – I na dodatek niespóźniony!

Chłopak przyjrzał się jej uważnie, a potem uśmiechnął przymilnie w odpowiedzi.

Wystarczyło wyobrazić sobie jej niedoskonałe ciało w bieliźnie. Zrozumiał, że ojciec miał rację. Znajomość ludzkich sekretów to potężna broń.

– Dzień dobry, pani profesor.

– Zgłoś się do mnie na dużej przerwie. – Pedagog złożyła wąskie usta w ciup. Przyjęła pozę matrony. – Chcę z tobą pomówić, zanim wezwę rodziców.

– Mama jest w szpitalu – wypalił natychmiast Daniel i schował twarz w dłoniach, bo nagle zachciało mu się głośno śmiać. – Tata się nią opiekuje. Nie wiemy, czy operacja się udała.

Podniósł głowę, a w oczach chłopca nauczycielka dostrzegła łzy. Natychmiast ogarnęło ją współczucie. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Daniela. Wzdrygnął się, lecz nie dał po sobie poznać niechęci.

– Bóg ma nas w swojej opiece.

– Tak, modłę się za mamusię codziennie.

– Biedny chłopiec. To dlatego nie było cię w szkole?

Pokiwał głową i pociągnął głośno nosem, udając, że powstrzymuje płacz.

– Już dobrze, usprawiedliwię ci nieobecności. Gdybyś czegoś potrzebował, przyjdź do mnie. – Podała mu czystą chusteczkę. – I nie wstydz się. Nigdy nie wolno wstydzić się prosić o pomoc.

– Tak, proszę pani – szepnął Daniel i posuwistym krokiem ruszył do szatni.

Starał się nie biec, choć miał ochotę śpiewać i skakać z radości. Szedł z opuszczonymi ramionami w dół schodów pewien, że kobieta go obserwuje i że za chwilę o jego problemach dowiedzą się wszyscy nauczyciele. Dziś nikt go nie wezwie do odpowiedzi. Może nie będzie musiał pisać kartkówek i ćwiczyć na wuefie. Był z siebie zadowolony.

W szatni zebrała się już grupa dziewczyn. Nawet nie spojrzały na niego, kiedy przysiadł obok swojej szafki, by zmienić buty. A ponieważ wybrzmiał dzwonek, dziewczęta wymaszerowały na korytarz niczym stado gąsek. Ostatnia – brunetka z długimi włosami o imieniu Emilia – odwróciła się i przyjrzała mu się wnikliwie, jakby chciała go pogonić, by poszedł

z nimi. Zmieniła jednak zdanie i dołączyła do koleżanek. Zdołał tylko wyszczerzyć zęby w uśmiechu, choć nie sądził, by to doceniła. Słyszał ich szepty i chichoty, kiedy wspinały się na schody, a potem wszystko ucichło. Daniel cieszył się, że jest w szatni sam.

Sięgnął do plecaka, wyjął śniadaniówkę i zbędne książki. Rozejrzał się raz jeszcze dla pewności, czy nikt go nie podgląda, po czym wydobył szmatę z rewolwerem. Odwinął go, pogładził zimny metal i zaczął robić miejsce w szafce, by schować broń. Nagle usłyszał sapanie i ciężkie kroki. Daniel pośpiesznie zawinął rewolwer, ponownie ulokował go w plecaku. Odwrócił się. Fred rzucił na podłogę kurtkę i adidas i trzęsącymi się z pośpiechu dłońmi wkładał szkolne cichobiegi. Fred Brukwicz był wyrośniętym nastolatkiem o posturze dorosłego mężczyzny. Ręce miał jak szufelki, pierś kulturysty, a stopy długości kajaków. Nikt w szkole, nawet ze starszych klas, nie przewyższał go wzrostem, a i wielu nauczycieli musiało przy nim zadzierać głowę. Buzię chłopiec miał jednak poczciwą, z oczu tchnęła łagodność. Okulary nosił zawsze powyginane, bo wstydził się ich i często chował je do kieszeni. Jasne półdługie włosy falowały na czubku głowy, tworząc nieokiełznaną kaskadę, a on, starając się je ujarzmić, zaczesywał je gładko za ucho, co sprawiało, że wyglądał jak w tresce. Choć potężny, obdarzony nadzwyczajną siłą, był zupełnie niegroźny. Daniel nigdy nie widział go podczas bójek. Zwykle siedział na korytarzu i oparty o kaloryfer czytał biografie wielkich ludzi. Od początku nauki w tej szkole pełnił funkcję przewodniczącego samorządu uczniowskiego i z dumą prowadził poczet sztandarowy.

– Kurza twarz! – przeklął Fred. – Pierwszy raz w życiu zasnęłam. Dawno po dzwonku?

– Nie masz zegarka? – rzucił Daniel z wyższością.

– Nie – zdziwił się Fred. – A ty?

– Zostawiłem w domu – skłamał Daniel.

Fred wstał, poskładał swoje rzeczy i w trzech susach był już na schodach.

– Nie idziesz? – Odwrócił się do Daniela, który tęsknie spojrział na swoją szafkę, wreszcie zamknął ją i powlókł się za prymusem.

Kiedy dotarli do klasy, chemiczka zwana Sacharozą stała przy tablicy i mamrocząc coś do siebie, zawzięcie wypisywała na niej jakieś wzory. Jak zwykle nikt jej nie słuchał. Ci, którzy usiłowali, skazani byli na porażkę, gdyż w klasie panował harmider jak w ulu. Uczniowie rzucali w siebie papierkami, przekrzykiwali się, szarpali. Dziewczęta zbiły się w stado i pokazywały sobie wstążki, z których plotły modne bransoletki. Daniel z ulgą zajął swoje miejsce w końcu sali. Fred usiadł w pierwszej ławce, obok Emilii. Daniel zauważył, że dziewczyna uśmiecha się do olbrzyma, a ten z marsem na czole wyjaśnia, jakim to cudem pierwszy raz się spóźnił. Potem koleżanka pokazała mu zeszyt, a Fred zaczął spisywać to, czego na tablicy już nie było. Nauczycielka odwróciła się do klasy.

– Otwórzcie podręczniki na stronie czterdziestej siódmej – poleciła i powtórzyła swoją prośbę jeszcze kilka razy.

Nikt nie zareagował, co poza nią nikogo nie zdziwiło. Jej lekcje zawsze wyglądały tak samo. Wiadomo, że na chemii można było odrobić inne lekcje, przysnąć albo powariować. Nauczycielka nie nakładała kar, nie krzyczała. Bardzo rzadko kazała wyjąć karteczki. To był jakiś cud, że pod koniec roku wszyscy mieli zaliczenia. Sacharoza otworzyła więc własny egzemplarz i zaczęła monotonicznie odczytywać zadania. Ale dziś głos jej się łamał. Była bliska płaczu.

– Cisza! – Na pomoc kobiecie przyszedł gromki bas Freda. – Czterdziesta siódma. Praca domowa.

Hałas ucichł jak nożem uciął, ale struchlali koledzy wytrwali w tej wymuszonej lękiem ciszy zaledwie chwilę. Niektórzy nawet otworzyli książki na wskazanej stronie, zaraz jednak sytuacja wróciła do normy. Dziewczęta znów pokazywały sobie sploty bransoletek, a chłopcy wrywali kartki z zeszytu i puszczały samoloty, celując rzecz jasna w nauczycielkę.

Daniel ochoczo dołączył do tej zabawy i to jego samolot wylądował na biurku Sacharozy. Rozległ się aplauz. Kobieta przesunęła złożoną kartkę, jakby to była natrętna mucha, i nie przestając czytać, wstała, ruszyła w głąb klasy. Im dalej odchodziła od tablicy, tym ciszej robiło się w pomieszczeniu. Tylko grupa miłośników origami nie zauważyła jej obecności, nawet kiedy kobieta stanęła nad ich głowami. Tymczasem Daniel skończył jeść jabłko, ogryzek kierował do kubła stojącego w rogu

sali, ale traf chciał, że akurat tą trasą wędrowała nauczycielka. Ogryzek odbił się od jej pleców, plamiąc nieskazitelny jedwab bluzki, a Sacharoza wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zdawało się, że gotowa jest wymierzyć barbarzyńcy potężny cios. Tym razem cisza potrwała dłużej i była prawdziwa. Do momentu, kiedy kobieta podniosła nadgryzione jabłko i z typowym dla siebie spokojem zaniosiła je do śmieci. Potem zaś, jak gdyby nic nie zaszło, odwróciła się do pierwszego z brzegu chłopca i rzekła swoim jednostajnym tonem:

– Podaj mi wzór sumaryczny wodorowęglanu sodu i powiedz, jak reaguje z kwasami.

Zapytany uczeń wpatrywał się w nauczycielkę, jakby złożyła mu niedwuznaczną propozycję. Jego kompani skulili się i nagle zapalili potężną miłością do podręczników. Wertowali je bezmyślnie, drapiąc się końcami ołówków po głowach.

– Ktoś wie? – Sacharoza zwróciła się do pozostałych.

– Wydziela dwutlenek węgla i wodę – pisnęła z przednich ławek Emilia, ale nauczycielka jej nie usłyszała.

Była tak podniecona zmianą swoich zwyczajów, że niewiele do niej docierało. Daniel pomyślał, że chyba po raz pierwszy w życiu wydostała się spod tablicy i ośmieliła wejść na teren wroga: na tylną część sali, gdzie rezydowała grupa klasowych nicponi. Czyżby planowała zbawić ich wiedzą?

– Nazywamy go kwaśnym węglanem sodu i ma odczyn słabo alkaliczny – podpowiadała łagodnie. – Zachowuje się jak słaba zasada. Czy ktoś wie, jak reaguje z kwasami? – powtórzyła i zanęciła: – Ten, kto odpowie, dostanie piątkę.

Daniel wyprostował się. Sacharoza stała dosłownie nad nim.

– Wydziela dwutlenek węgla i wodę – rzucił od niechcienia i otworzył książkę na właściwej stronie. – NaHCO_3 – wyrecytował.

Koledzy od papierowych samolotów spojrzeli na niego jak na jakiegoś guru. Chemiczka rozpromieniła się wielce zaskoczona.

– Brawo, Danielu, masz piątkę. Dawno cię nie było. Przyda ci się ocena.

I z ulgą ruszyła na swój bezpieczny teren, by wpisać ocenę do dziennika. Za nią falami odradzał się stary hałas.

– Skoro tak przedstawia się sprawa, usiądź z przodu klasy – zaproponowała.

Nie od razu ją usłyszał, ale któryś z kumpli dźgnął go porządnie pod żebro. Daniel podniósł głowę. Znów zapanowała cisza.

– Widzę, że interesuje cię moja lekcja. Reszta może robić, co uważa. Może zostaniecie pilotami? – Uśmiechnęła się przekornie i odrzuciła papierowy samolot do grupy.

Chłopcy wydali z siebie nerwowy rechot. Daniel zaś niechętnie powlókł się do drugiej ławki. Rzucił swój tornister na podłogę tuż za Emilią i Fredem. Brunetka skuliła się, nie odwróciła twarzy, ale był pewien, że jest wściekła. Fred starał się ją pocieszyć, szeptał jej coś na ucho.

– Trzeba było mówić wyraźnie – mruknął pod nosem Daniel. – Nie moja wina, że Sacharoza jest głucha.

– Bałwan – burknął w obronie dziewczyny Fred.

– Kupa mięsa w oczkach – odparował Daniel, a cała klasa gruchnęła śmiechem.

Dalej lekcja toczyła się zwykłym torem. Daniel nudził się straszliwie. Wiele dałby, żeby mieć teraz zegarek ojca, który leżał w trzeciej szufladzie, i zaszpanować nim przed kolegami. Wiedziałyby przynajmniej, ile potrwają tortury. Grupa samolociarzy patrzyła na niego z rosnącym respektem. Wzbudził ich ciekawość. Nie tylko przestał być niewidzialny, wyraźnie czuł ich przychylność. Cieszył się teraz, że ma broń ojca w plecaku, i postanowił, że na przerwie wyciągnie chłopaków do łazienki. Dopiero będą mieli o czym myśleć.

Sacharoza nakazała wyciąć z ćwiczeń tabelki do wklejenia i Emilia oraz kilku kujonów posłusznie wykonywali zadanie.

– Masz pożyczyć nożyczki? – Daniel postukał Freda po plecach.

Kolos mruknął coś z niechęcią, ale pogrzebał w piórniku i użytych przedmiotów. Daniel nawet nie otworzył książki. Nachylił się za to nad plecami Freda i czując, że cała klasa, poza Sacharozą, widzi jego wygięte w łuk ciało, chwycił garść włosów Freda, a potem odciął je przy samej

głowie. Wybrzmiały stłumione śmiechy, klasa szalała. Sprawę przypieczętował wyczekiwany dzwonek na przerwę. Daniel spokojnie schował pukiel między kartki książki i z uśmiechem zwrócił Fredowi nożyczki.

– Dzięki – rzekł z całkowitą powagą.

Okrągłą łysinę Freda przez cały dzień pokazywali sobie wszyscy w szkole. Sam zainteresowany dowiedział się o niej ostatni. Nie wiadomo, czy to dlatego wparował wściekły do toalety, gdzie Daniel prezentował kumplom rewolwer, czy był to czysty zbieg okoliczności. Faktem jest, że w momencie, gdy Daniel ładował broń i mierzył w nogi jednego z kumpli, Fred powalił Skalskiego na podłogę jednym ciosem. Uderzenie było tak silne, że zabrała go karetka i nie przychodził do szkoły przez następne dni. Broń zabezpieczono. Trafiła do szuflady dyrektora.

Lucjan Skalski odebrał ją dopiero po tygodniu, grożąc wniesieniem oskarżenia o znęcanie się nad jego synem. Pani pedagog, która podeszła do ojca Daniela, by złożyć mu wyrazy współczucia z powodu choroby żony, nigdy więcej nie miała spraw do jego syna i nie wezwała go na żadną wychowawczą pogadankę. Do końca nauki w tej szkole wystawiała mu wzorową opinię i broniła przed innymi nauczycielami.

Daniel leżał w szpitalu jeden dzień, ale do szkoły wrócił dopiero po tygodniu. Natychmiast otoczył go wianuszek oddanych kumpli. Opowiadał im malowniczo, że go reanimowano defibrylatorem i z trudem wrócił z tamtego świata. Mówił o czarnych tunelach i głosach z zaświatów. Dodał, że od uderzenia groziła mu głuchota. Na szczęście ojciec posmarował, komu trzeba, a matka sprowadziła najlepszych lekarzy z Warszawy i udało się pokonać śmierć kliniczną. Ale musi uważać. Pewnie do końca roku nie będzie mu wolno grać w kosza czy dźwigać piłki lekarskiej. Większość wierzyła w tę legendę bez zastrzeżeń, a z tymi, którzy uważali, że to zwykłe bujdy, Daniel się nie zadawał. Nikt już nie śmiał nazwać ojca Skalskiego esbkiem, podważać jego autorytetu czy wąpić w posiadanie milicyjnej broni. Skłaniali głowy z szacunkiem, kiedy odwiedzali Daniela w domu, i traktowali teraz Lucjana, jakby był agentem 007. Niektórym zależało jedynie na wspólnym strzelaniu i zobaczeniu pasma włosów wielkiego

Freda. Tak czy owak, Daniel wreszcie miał masę kumpli. Włączył się z nimi po mieście, opowiadał o operacjach ojca, jakby sam w nich uczestniczył, a korespondencja pani pedagog i inne skandaliki z kajetu Lucjana skutecznie potwierdzały bajania chłopaka.

Z Fredem stali się otwartymi wrogami, czego przewodniczący samorządu nie rozumiał i co bardzo źle znosił, bo nie był złym chłopcem. Drżał na samą myśl, że zabiorą mu zaszczytne stanowisko i pierwszy raz w życiu nie będzie miał świadectwa z czerwonym paskiem. Dyrektor bowiem zdecydował, że za pobicie kolegi jest zmuszony obniżyć Fredowi ocenę z zachowania. Daniel tak skutecznie robił z siebie ofiarę, aż wszyscy rychło zapomnieli, że to on wystrzygł Freda i naraził uczniów, przynosząc do szkoły broń ostrą. Nad prymusem zawisły czarne chmury. I pewnie dlatego któregoś dnia pod blok Skalskich podjechał buraczkowy polonez. Wysiadł z niego mały człowieczek z brodą ubrany w roboczy kombinezon.

– Syn zareagował gwałtownie w obronie bezpieczeństwa swojego i innych – przekonywał ojciec Freda.

Na dłoniach miał ślady kleju i jakichś trocin, więc Lucjan Skalski początkowo traktował robola z wyższością.

– Fred ma ciężką rękę. Zupełnie nie panuje nad swoją siłą. Jeśli potrzebne jakieś zadośćuczynienie, coś należy wynagrodzić... Może meble w salonie chcieliby państwo zmienić? Jestem do dyspozycji. Czekam na pana uwagi, kapitanie.

Ta unizoność spodobała się Lucjanowi.

– Jak się pan nazywa?

– Marian Brukwicz.

Lucjan w myślach przeszukał swoją kartotekę z kajetu: lokalny przedsiębiorca, właściciel tartaku, płaci podatki, do cna uczciwy. Nic na niego nie miał. Natychmiast postawił na stół butelkę i dwa kieliszki. A choć Brukwicz zarzekał się, że nie pije, kiedy prowadzi, w dwie godziny opróżnili pół litra. Lucjan wahał się, czy nie sprawić, by w drodze powrotnej Brukwicza zatrzymał patrol, ale uznał, że lepiej mieć w bogaczu sojusznika, nie wroga.

– Twój syn boksuje? – zapytał Lucjan, kiedy byli już po brudziu.

– A nie, Fred tylko w książkach siedzi. – Marian machnął ręką. Widać było od razu, że ma słabą głowę. Twarz mu obrzmiała od alkoholu, język się plątał. – Od dwóch lat marzy o politechnice. W stolicy, Lucek, rozumiesz? Jak ja na to zarobię? A tak liczyłem, że tartak po mnie poprowadzi.

– I poprowadzi. Młody jeszcze jest, ale nie głupi. Powinien trenować. – Lucjan trzasnął Mariana w plecy, aż małego stolarza przygięło. – Jeden cios i mój synek leżał na glebie. Ty wiesz, że ja byłem mistrzem juniorów w regionie?

Marian Brukwicz ocenił szerokie bary Lucjana, jego kanciastą szczękę i zrosnięte brwi. Musiał przyznać, że Daniel z postury raczej wdał się w matkę. Tylko oczy i włosy miał po tatusiu. Oraz nieco uroku. Takiego diabelskiego.

– To pewnie dziewczyny sznurem za tobą latały.

– Bywało – zaśmiał się Lucjan i zaraz spowaźniał. – Mogę twojego trenować. Z niego będzie dobry bokser.

– A szkoła, lekcje? Teraz pomaga mi w księgowości, choć tego nie cierpi. Jak będzie pełnoletni, chce założyć firmę i sprzedawać na Zachód. Ma łeb.

– Jeszcze lepiej, bo sport hartuje ducha. – Lucjan pokiwał głową. – Tylko jest jedna sprawa. Chłopcy muszą się pogodzić.

– A pewnie – ucieszył się Marian, z trudem powstrzymując czkawkę. – Właśnie o to chciałem prosić, jak żem do ciebie jechał.

– To sztama.

I tak Fred co drugi dzień przychodził do blaszaka, w którym ojciec Daniela miał swoje królestwo, a w samym jego centrum wisiał worek treningowy. Jak we wszystkim, co robił, i w tej materii Fred dawał z siebie maksimum, więc na postępy nie trzeba było długo czekać. Lucjan był tak rad z ucznia, że zaczął przygotowywać chłopaka do amatorskich zawodów i był pewien, że wygra dla niego puchar. Okazało się również, że Fred podziela zamiłowanie Lucjana do polowań: wprost z dziką radością wstawał o świcie, wysiadywał na ambonie i celnie strzelał. Kiedy

skłusowali z Lucjanem dzika, Daniel pojął, że został przez ojca zdradzony. Próbował się pożalić matce, ale ta tylko machała ręką.

– To chwilowy romans, synku. Niech no twój Fred przegra walkę, a Lucek da mu do wiwatu. Wyrzuci go jak starą rękawicę do pieca. Zobaczysz.

Ale Fred nie przegrywał i w niczym Skalskiego nie zawodził. Było gorzej. Lucjan dawał Freda za wzór Danielowi we wszystkim. Zakochał się w jego pracowitości, ambicji i prostoduszności. Opowiadał mu o swojej pracy milicjanta, strachach i tajnych akcjach operacyjnych. Takiego dowodu zaufania Daniel nie dostał nigdy, więc coraz częściej uciekał na Czarcie Pole. Leżał na trawie, wpatrywał się w niebo i rozmyślał, jak wyeliminować rywala, by odzyskać miłość ojca.

Tuż przed rozgrywką, w ostatnim tygodniu treningów, zaczął się za płotem, w pokrzywach. Wziął ze sobą najdłuższy drąg, jeden z tych, którymi kiedyś sprawdzał głębokość bagna. Na jego szczyt nabił szpikulec zrobiony z anteny. Fred zwykle przyjeżdżał na rowerze. Na plecach wiózł worek żeglarski, w którym miał ubranie na zmianę, wodę i przekąski białkowe. Czasami też prezent dla ojca Daniela: jakiś smakołyk, fachową lekturę techniczną, latarkę, scyzoryk albo zagraniczną flaszkę. Fred zmienił się bardzo od czasu potyczki z Danielem. Włosy nosił wystrzyżone na jeża, niczym amerykański marine. Schudł od treningów, także na twarzy, aż sterczały mu kości policzkowe, a szczęka stała się kanciasta. Zniknęła misiowatość i jowialność. Rysy mu stwardniały, a bez okularów jego wodniste oczy zdawały się większe i jakby magnetyczne. Zaczął nosić bojówki moro, obcisłe koszulki w kolorze czarnym lub khaki, eksponujące jego imponującą muskulaturę. Na nogach wojskowe kamasze, na szyi nieśmiertelnik. Bardzo wiele dziewcząt uważało go za najprzystojniejszego w mieście.

Daniel na sam widok pupila ojca toczył pianę z ust. Jak to jest, że jednemu człowiekowi Bóg daje wszystko: pieniądze, tężyznę fizyczną, a nawet laski? Fred – Daniel wiedział to z pewnością – o żadne z tych dóbr nie zabiegał. A jednak traktował je wszystkie, jakby mu się należały, i w każdej dziedzinie doskonalił się, osiągał sukces. Był irytująco skromny,

pokorny. Po prostu nieskazitelny. A co gorsza, wszyscy go lubili, choć się o to nie starał. Daniel zdawał sobie sprawę, że nie zdoła mu dorównać. Nigdy nie będzie lepiej ćwiczył czy strzelał do tarczy. Próbował, a jakże, ale nie dawało mu to satysfakcji. Nudziło go.

Siedział teraz w pokrzywach i liczył od nowa do tysiąca. W myślach robił proste operacje matematyczne, by nie stracić czujności i przegimnastykować umysł.

Kiedy wreszcie usłyszał skrzypienie żwiru, skupił się w sobie, napiął mięśnie, by skutecznie operować drągiem. Spomiędzy szczelbelków płotu dostrzegł najpierw ciężkie buty na pedałach, a potem szprychy koła. To była dosłownie chwila. Wystawił drąg, usłyszał pisk, tarcie metalu o metal, uderzenie o podłoże i ludzki jęk. Cofnął drąg, rzucił go w pokrzywy. Chyłkiem wycofał się do blaszaka, gdzie na pupila czekał zniecierpliwiony spóźnieniem Lucjan.

Daniel z trudem hamował ekscytację. Był pewien, że Fred po takim upadku nie tylko nie pojawi się na treningu, ale jeszcze długo do formy nie wróci. Jakimż było dla niego zaskoczeniem, kiedy kilka minut później w drzwiach garażu stanął pokrzwawiony na twarzy Brukwicz, a w ręku miał jego własny drąg. Wręczył go młodemu Skalskiemu z pietyzmem, jak oddaje się pożyczoną własność, z kieszeni zaś wyjął metalowy szpikulec i dołożył go do kija.

– Przepraszam za spóźnienie, trenerze. – Osilek z szacunkiem zwrócił się do Lucjana z tym swoim łagodnym uśmiechem Buddy, który doprowadzał Daniela do pasji, dziś zaś niebezpiecznie zbliżał do krwawego mordy. – Rower mi się zepsuł.

Lucjan nie odezwał się. Rzucił tylko okiem na twarz syna, wykrzywioną piętnem ostatecznej porażki, delikatnie wyjął z rąk Daniela drąg, jakby zabezpieczał narzędzie zbrodni, a potem wnikliwie zlustrował kawałek anteny. Następnie wyszedł obejrzeć rower Freda. Chłopcy pozostali w garażu. Młody Brukwicz podązał wzrokiem za Lucjanem, Daniel zaś w myślach mnożył dziewięciocyfrowe ciągi, gdyż to go odprężało. Kiedy ojciec wrócił, nie zaszczycił syna nawet jednym spojrzeniem. Zamiast tego z całej siły ścisnął ramię Freda. Młody mężczyzna zasyczał, przestąpił z nogi na nogę, ale się nie odezwał.

– Zegnij, złóż – nakazał Lucjan.

Fred wykonał polecenie.

– Przejdź się.

Dało się zauważyć nieznaczne utykanie, ale osiłek zacisnął zęby i dawał radę chodzić.

– Uśmiechnij się.

Fred rozciągnął usta w grymasie.

– Zęby całe?

Chłopak rozchylił wargi. Brakowało połowy jedyńki. A może i inne się ruszały, bo usta miał pełne krwi. Skalski przyglądał mu się długo, z respektem.

– Chcesz dziś walczyć.

To nie było pytanie. Fred skinął nieznacznie głową.

Daniel patrzył na to oniemiały. Każdy gest ojca i jego uwagę wobec Freda odbierał jak uderzenia nożem. Złapał się na tym, że coś w sercu mu pęka, i bał się, że zaraz się rozpłacze. Zrobiłby to, gdyby ojciec do niego nie podszedł i nie strzelił go pięścią w twarz. Upadł na piasek. Czuł, jak ciało mu wiotczeje, a z nosa bucha krew. Miał nadzieję, że straci przytomność i nigdy się nie zbudzi. Ojciec podniósł go, jak dźwiga się worek zgniłych kartofli, i wyrzucił za próg garażu. Drzwi zamknął.

Daniel słyszał bardzo wyraźnie, jak ojciec zwraca się do Freda:

– Twardziel z ciebie. Jeśli w takiej kondycji potrafisz zwyciężyć, nie będzie dla ciebie równych.

Od tamtej pory chłopcy byli nierozłączni. Daniel zrozumiał, że jedynym sposobem na odzyskanie miłości ojca jest zaakceptowanie wyższości Freda. Ten zaś nie miał do Daniela żalu o wendetę. Zdawał się najszcześniejszy na świecie, słuchając wizji młodego Skalskiego o planowanych podróżach, innym, lepszym życiu, choć sam tego nie chciał. Dobrze mu było w tym, które prowadził. Szkoła, worek bokserski, praca w tartaku u ojca, perspektywa wymarzonych studiów. Nikt nigdy nie wspomniał więcej

o wycinaniu włosów, pobiciach, drągach czy zniszczonym rowerze. Jakby ten jeden cios Lucjana zamknął mętłą przeszłość.

Z czasem Daniela znudziły przedstawienia w klasie i chłopcy od samolotów wykruszyli się sami. Młody Skalski coraz częściej bywał w tartaku Brukwiczów, bo okazało się, że sprawy pieniężne są dla niego niczym łąkocie. Potrafił tak mówić o schodach, futrynach czy belkach podsufitowych, choć na drewnie wcale się nie znał, że Brukwicz sadzał chłopaka przy telefonie, by negocjował z jego głównymi klientami, jeśli się wahali. Zaproponował mu nawet prowizję od sprzedaży i wkrótce licealista wyciągał miesięcznie więcej niż jego matka, harując w szpitalu. Miał też dryg do cyfr. Nie nudziło go czytanie przepisów, ustaw i pism księgowych, które zwykle leżały nieruszone na biurku stolarza. Daniel nieustannie proponował przedsiębiorcy, jak obejść przepisy, ukryć część funduszy, by zarobić więcej, a w dokumentach wykazać mniej, ale Mariana to podejście tylko złościło.

– Nie zamierzam iść siedzieć. To, co zarobię legalnie, musi nam wystarczyć.

Bywało więc często, że kiedy Fred trenował w garażu Skalskich, Daniel przesiadywał w ciepłym biurze Brukwicza. Wkrótce w mieście zaczęto plotkować, że mężczyźni zamienili się synami, bo ten cudzy lepiej do nich pasował. Daniel uspokoił się, gdyż w mig pojął, że ta roszada jest dla niego korzystna, i wyręczał się Fredem, kiedy tylko nadarzała się okazja. Zaczął nawet znajdować radość w przyglądaniu się jego walkom i za błogosławieństwo uważał, że ojciec już go do tego nie zmusza. Dobrze wiedział, że nie ma nawet grama pracowitości Freda, a ponieważ Lucjan dostał wreszcie zabawkę, która była mu całkowicie posłuszna, Daniel mógł w spokoju przesiadywać nad Czarną Ładą i marzyć o Emilii.

To była największa styczna ich przyjaźni. Fred kochał się w dziewczynie od początku szkoły, Daniel odkrył jej wdzięki dopiero po rozróbie z rowerem. W szkole milkliwa brunetka była dla niego niewidzialna. Miał ją za kujonkę bez poczucia humoru. Ona zaś gardziła nim jako leniem i kombinatorem. Była jedną z tych osób, które nie wierzyły w ani jedno jego słowo. Nigdy nie przyjęła do wiadomości, że Lucjan Skalski jest wciąż

w służbie. Nie słuchała, kiedy Daniel opowiadał jej o babci arystokratce Kruk-Ogińskiej. Wyśmiała, gdy pokazał jej herb w starej książce i zapamiętałe tłumaczył koligacje z królem przez księcia Zamoyskiego. Nieporadnie naszkicowane drzewo genealogiczne wrzuciła do ogniska i nie dała się pocałować. Daniel sądził, że przegrywa z Fredem kolejną batalię. Kolos odebrał mu ojca, a teraz sady się na dziewczynę. Zdecydował, że zrobi wszystko, by Emilię zdobyć pierwszy. Nie był zakochany i spotykał się też z innymi, ale imponowało mu, że panna Stawska, córka adwokata i sędzi, wnuczka pani notariusz i radcy prawnego ze znanej oraz szanowanej rodziny prawników, afiszuje się z synem esbeka, spacerując z nim po miasteczku.

Kończył właśnie czytać artykuł o Warrenie Buffettcie, kiedy do biura wszedł zmęczony Brukwicz. Zerknął na papiery na biurku równo poukładane w sterty i klapnął na wyświechtany fotel dla interesantów. Daniel siedział na jego krześle i nawet nie przyszło mu do głowy, by właścicielowi tartaku ustąpić miejsca.

– Dobrze ci na tym tronie, co? – uśmiechnął się Brukwicz. A potem twarz mu znieruchomiała. – Szybko się przyzwyczajasz.

Daniel pojął, że winien zachować się inaczej. Zerwał się od biurka.

– Siedź, siedź – powstrzymał go gestem stolarz. – Mam ci coś do powiedzenia, a co z tym zrobisz, twoja rzecz.

Daniel odłożył czasopismo.

– Czego ty chcesz od życia, chłopcze?

– Być bogaty – odparł bez wahania.

– W sensie mieć dużo pieniędzy?

– Nie chcę pracować dla pieniędzy, one mają pracować dla mnie. – Zacytował przeczytany przed chwilą fragment. – Chcę się tego nauczyć.

– Pieniądze czynią wolnym. To rzecz bezdyskusyjna. – Brukwicz westchnął ciężko.

Wskazał na jedyną zamykaną szafkę i Daniel wyjął z niej rum. Rozlał po porcji.

– Ale co kochasz? Co chciałbyś zrobić ze swoim życiem? Jak zamierzasz nadać mu sens? – Brukwicz upił łyk. – Bo wiesz, pieniądze

przychodzą, odchodzą. Są jak środek transportu. Zawsze się jakiś trafi. Zależy, dokąd chcesz dzięki nim dotrzeć.

Daniel myślał długo. Brukwicz go nie poganiał, popijał w spokoju. Wskazał szufladę. Daniel znalazł tam zagraniczne czekoladki. Smakowali je w milczeniu. Likwor przyjemnie drażnił gardło, rum rozpałał serce.

– Chcę być kimś – wyznał wreszcie Daniel.

Brukwicz zmarszczył czoło.

– Czyli kim?

– Kim zechcę. Mieć fajną furę, wielki dom, ludzi do pracy, drogie ciuchy, zegarki, piękną żonę, syna. Wszystko to, co pan ma.

– Ja tego nie chciałem – odparł bardzo cicho przedsiębiorca. – Tak się złożyło. Bo ja lubię robić w drewnie, wiesz? Pieniądze przyszły później. Pracowałem, pewnie. Czasami było ciężko. Trudne czasy zawsze mijają, a po nich przychodzą te lepsze. Gdyby świat nie był tak zbudowany, nie moglibyśmy docenić tego, co najważniejsze. A to nie jest fortuna.

– Więc co jest najważniejsze?

– Miłość.

Daniel prychnął.

– Tak jest, chłopcze. Miłość czyni z nas dobrych ludzi. Pieniądze możesz stracić, odzyskać, znów stracić. Możesz je zdobyć podstępem albo uczciwą pracą. Ale bliskich nie kupisz. Nie zapłacisz za przyjaźń albo za zdrowie. Tylko jeśli postępujesz dobrze, masz wzajemność.

– Pan może tak mówić, bo jest bogaty.

– Nie jestem milionerem. – Brukwicz roześmiał się gromko. A potem nagle umilkł. – I nie chcę nim być. Nigdy nie chciałem. Mam parę złotych, ale to nie pieniądze czynią ze mnie szczęśliwego człowieka. I bogatego.

– Rodzina? – odgadł Daniel.

Brukwicz pochwalił go i dał znak, by rozlał jeszcze po jednym.

– Żonę znalazłem, kiedy nie miałem nic. Ale jak już rozpoznałem w niej swojego człowieka, nie dałem jej się wymknąć. Przed ślubem znaliśmy się mniej niż trzy miesiące. Jest wyższa ode mnie, piękna, mądra. Była najlepszą partią w mieście. Nikt nie wierzył, że zostanie z takim konusem

jak ja. – Znow się roześmiał. – A potem na świat przyszedł Fred. I tak żyjemy już prawie dwadzieścia lat.

– Jest pan szczęściarzem.

– Nie, synu. Po prostu wiem, że lubię robić w drewnie, i robię to.

Daniel nic nie rozumiał. Usilnie starał się pojąć tę zagadkę, ale nie był w stanie jej rozwikłać.

– A kim chciał pan być w moim wieku?

– Chciałem robić w drewnie.

– Aha.

– Lubilem to i wciąż lubię – dodał stolarz. – Chociaż ręce już powykręcane od artretyzmu i jest to trudniejsze niż kiedyś. Od tych mniej przyjemnych spraw mam teraz swoich ludzi. Płacę im, jak tobie. Dlatego że oni lubią robić te rzeczy, których ja nie lubię. Chcesz, pokażę ci coś.

Wstał, podszedł do półki zaciągniętej brudną zasłonką. Kiedy ją uchylił, oczom Daniela ukazała się galeria figurek. Na dolnej półce leżały narzędzia: dłuta, przecinaki i stały puszki z farbami.

– To są diabły – wymruczał zawiedziony Daniel, bo spodziewał się kasy pancernej pełnej precjozów. – Pan rzeźbi diabły?

– Dla przyjemności. – Brukwicz podrapał się po szpakowatej brodzie. – Anioły też robię, ale ludzie je zamawiają, zanim jeszcze skończę. Sam nie wiem, ile trafiło do przydrożnych kapliczek, ile stoi w kościołach. Nie tylko w Polsce. Diabłów nikt nie chce.

– Dlaczego ja o tym nie wiedziałem? Nikt o tym nie wie.

– A po co komu wiedzieć? – Brukwicz wrócił na zdezelowany fotel petenta. Dołał sobie rumu, włożył do ust pralinę. Kiedy się rozplęwała w ustach, na jego twarzy pojawiła się błogość. – Robię to dla siebie.

– Pan jest rzeźbiarzem! Artystą! – Daniel podnosił kolejne rzeźby, oglądał z każdej strony, ważył w dłoniach. – Pan powinien być sławny, brać za to wielkie pieniądze.

– Nie – zaprotestował stolarz i zerwał się, by zasłonić kotarę. – Nie będę ich sprzedawał.

– Dlaczego?

– Bo nie.

Daniel stał wciąż w tym samym miejscu. Wpatrywał się w brudną szmatę, która kryła skarb stolarza.

– Fred wie?

– Jakżeby miał nie wiedzieć? – Brukwicz wzruszył ramionami. – Pomaga mi w szukaniu baśni i legend o rozmaitych demonach. Żeby zrobić takiego jednego biesa, sporo trzeba się nadowiadzać, a ja w czytaniu nie jestem zbyt tęgi. Nie to, co twój tata. Albo mój syn.

Daniel nie skomentował. Miał ochotę wyznać Brukwiczowi, że miłość do lektury jego ojciec wykorzystuje w specyficzny sposób. Chciał pozbyć się ciężaru tajemnicy o inwigilacji cudzych listów, ale był pewien, że ten człowiek tego nie pojmie. Był z innej gliny. Zamiast tego rzekł:

– Ja nie mam nic, co mógłbym kochać. Nic, w czym byłbym dobry.

– Po co tak biadolić? Znajdziesz. Każdy ma jakiś dar.

– Nie wiem, co lubię.

– Może zacznij od tego, czego nie lubisz. I to porzuć.

– Wtedy musiałbym wyjechać z kraju. Tu się nie da zarobić.

– Więc zrób to. Oczywiście jak skończysz szkołę. Jeśli to nie sekret, dokąd wybierasz się po liceum?

– Mama chce, żebym poszedł na medycynę. Dobry doktor zawsze znajdzie pracę. Lekarzom godziwie płacą, nie to, co pielęgniarkom. Tylko kiedy żyć? Od rana do nocy harowa.

– Twoja mama wie, co mówi. A ty? Chcesz tego?

– Fajnie byłoby być doktorem. Ludzie szanują lekarzy.

– Chciałbyś pomagać ludziom? Nieść im pomoc, pociechę? W czasach zarazy, wojny będziesz narażał życie. Jesteś na to gotów?

Brukwicz nie patrzył na Daniela. Uśmiechał się lekko, jakby posiadał jakąś tajemnicę i wahał się, czy ujawnić ją teraz, czy zostawić dla siebie na zawsze. Daniel wyczuł, że to będzie zależało od jego odpowiedzi. Już miał sprostać oczekiwaniom Brukwicza i zmobilizował cały entuzjazm, by z zapałem przekonywać, że tak, o tym właśnie marzy, gdyż poświęcić życie

dla chorych to będzie dla niego honor, bo przecież przysięga Hipokratesa i tak dalej, ale ojciec Freda nie dał mu szansy skłamać.

– Ty zajdziesz kiedyś wysoko – rzekł stolarz i urwał, by Daniel mógł napompować swoje ego. – Jestem tego pewny. Tylko nie wiem, czy uczciwie. Bo się śpieszysz. Chcesz mieć górę złota zaraz. A ta strategia sprawdza się tylko w hazardzie albo gdy planujesz skok na bank.

Daniel roześmiał się.

– Gdyby to zrobić z głową. Pierwszy milion trzeba ukraść.

Brukwicz zasepił się, poczochnął brodę. Nie spodobał mu się ten tor myślenia.

– Wiesz, co umiesz robić najlepiej?

– Co?

– Sprzedawać. Jesteś urodzonym sprzedawcą.

Daniel był zawiedziony. Czuł, że od ojca Freda dostanie za chwilę propozycję stałej pracy. Nie tego się spodziewał i nie tak wyobrażał sobie własną przyszłość.

– Miałbym do końca życia wciskać ludziom parkiet?

Jeśli Brukwicza zabolęła ta uwaga, nie dał po sobie poznać.

– Wiesz, na czym opiera się handel, chłopcze?

– Tanio kupić, drogo sprzedać.

– I to też jest rodzaj sztuki. Niektórzy muszą się jej uczyć, inni mają ją we krwi.

– Tę sztukę?

– Sprzedaż to przedstawienie. Sprzedawca to kusiciel. Ma korzyść z tego, że ktoś zrobi dokładnie tak, jak on chce. Dobija targu, bo ten spektakl zaplanował. Nadążasz?

– Staram się.

– Weźmy takiego węża z raję.

– Znaczą się diabła?

– Tak jest. – Brukwicz pokiwał głową. – Najsprytniejszy sprzedawca. I najbardziej skuteczny. Skusił Ewę, która zerwała jabłko i namówiła

Adama, by je ugryzł. Czyż to nie jest idealna transakcja? Klientka miała wszystko, mieszkała w raju. Nie cierpiała głodu, ale pragnęła wiedzy, od której odgradził ją i jej męża sam Bóg.

– Diabeł ją zbuntował – odezwał się Daniel. – To on był winien.

– Gdyby Ewa nie chciała, nie kupiłaby jabłka – zaśmiał się Brukwicz. – Diabeł ją obserwował, poznał jej cechy charakteru i odkrył potrzeby. Dał jej dokładnie to, o czym marzyła. Cena, którą zapłaciła Ewa ostatecznie, to już inny temat, bo sprzedawca nie do końca był uczciwy. Trafiała na oszusta. Ale jeśli idzie o transakcję, trudno odebrać jej walor skuteczności. Diabeł miał swój zysk.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Bardzo wiele. Robisz to instynktownie. Obserwuję cię od miesięcy, chłopcze. To jest twój dar.

– Kuszenie? – Daniel skrzywił się.

– Ludzie wierzą ci, nawet jeśli opowiadasz bajki, bo odczytujesz ich pragnienia. Wiesz, czego w głębi ducha chcą.

– Sam nie wiem – mruknął Daniel.

Nie podobała mu się ta rozmowa i porównanie do Szatana.

– Idzie mi tylko o to, dlaczego to robisz. Jeśli wyłącznie dla zysku, jak nasz diabeł, czekają cię dwie drogi: wielka fortuna lub więzienie. Zresztą jedna nie wyklucza drugiej.

– Nie będę sprzedawcą – burknął rozeźlony Daniel.

– Więc może zostać aktorem? Potrzebne są te same kompetencje. – Brukwicz uśmiechnął się. – I byłbyś sławny, jak tego pragniesz.

– Ojciec by mnie zabił. Nie znosi pozerów.

– To twoje życie, nie ojca. Rób z nim, co uważasz.

Nagle rozległ się huk i coś w sąsiednim pokoju zważyło się na podłogę. Daniel pierwszy wpadł do hali. Za nim pośpieszył Brukwicz. W kącie dla pracowników stolarz urządził kącik kawowy. Mogli usiąść i zjeść śniadanie, zrobić sobie herbaty. Teraz na wersalce spoczywał otyły, elegancko ubrany mężczyzna. To znaczy spoczywała dolna część jego tułowia, bo ów człowiek starał się coś odnaleźć w teczce z błyszczącej skóry stojącej na

podłodze. Mężczyzna był pijany w sztok. Daniel bez pudła ocenił wartość jego garnituru. Markową teczką, z której wystawały urzędowe papiery, także by nie pogardził.

– Tato, chodźmy już – usłyszeli cichy szept, a dopiero potem dostrzegli obok dziewczynę.

– Panna Emilka – ucieszył się na jej widok Brukwicz. – Freda nie ma. Jest na treningu u Lucjana.

– Ja przyszedłam po tatusia. – Dziewczyna spłoniła się. – Chyba jest chory. Brukwicz odchrząknął.

– Zdaje się, że pan mecenas porządnie zaniemógł.

– Nic mi nie jest – obruszył się mecenas Stawski i wyciągnął wreszcie dokumenty. Rozsypały się po podłodze. – Przyniosłem dobre wieści. Proces masz wygrany.

– To wspaniała nowina! Gratulacje! – uradował się zbyt teatralnie Brukwicz. Pomógł mecenasowi wygodniej się położyć i szepnął mu do ucha: – Czy to wystarczający powód, żeby się tak urznąć, Wiesiu?

– Każdy powód jest dobry – wychrypiał adwokat, czknął i momentalnie zasnął, jakby odcięto go od zasilania.

– Idziemy do domu, tato. – Emilia podniosła głos, udając stanowczą, i potrząsała ojcem, by go wybudzić.

Bezskutecznie.

– To nie ma sensu. – Brukwicz kręcił głową. – Wziął taką działkę, że będzie spał do jutra. Trzeba go jakoś zanieść do auta.

W tym momencie Daniel pojął własne powołanie i ruszył Emilce na pomoc. Fredowi robota tego typu nie nastreczyłyby trudności, ale Brukwicz, Daniel i Emilia szarpali się z opasłym adwokatem dobry kwadrans, zanim zapakowali jego pijane zwłoki do tartaczego transportera.

– Dziś już nie musisz przychodzić. – Stolarz wręczył Danielowi klucze i klepnął chłopaka po plecach. – Przemyśl, o czym mówiliśmy. Jeśli wieczorem potrzebne będzie auto, pošlę do was Freda.

– Dziękuję, panie Marianie, i przepraszam – szepnęła zawstydzona Emilia.

– To ja cię przepraszam, dziecko, że musisz niańczyć własnego ojca. Gdyby nie wygrał mojej sprawy, byłby pewnie w lepszym stanie.

– Albo i gorszym – jęknęła Emilia.

Brukwicz długo patrzył za odjeżdżającym samochodem, a potem chwycił pierwszy z brzegu pieniek i schował się w swoim biurze, by odreagować. Gdy tylko zaczął rzeźbić nowego diabła, przed oczyma stanęła mu twarz Daniela. Stolarz wystraszył się tak bardzo, że wrzucił figurę do ognia. Była to jedyna niedokończona przez niego rzeźba.

Dwa lata później Emilia i Daniel byli już po słowie. Fred przełknął porażkę z typowym dla siebie spokojem ducha. Jeśli cierpiał, to wiedział o tym tylko Lucjan, przed którym chłopak czasem otwierał serce. Ojciec Daniela nie wspomniał jednak o tym nawet własnej żonie. Po co, skoro syn trafił tak dobrą partię, a za przyjaciela miał spadkobiercę najbogatszego człowieka w okolicy. Emilia dostała się na studia prawnicze do Lublina, Fred studiował na politechnice w tym samym mieście. Daniel nawet nie próbował dostać się na medycynę, choć rodzicom powiedział, że zabrakło mu tylko dwóch punktów. Nie uczył się właściwie wcale, większość czasu spędzał na Czarcim Polu. By przeczekać rok, zapisał się do studium elektroradiologii, bo zamiast egzaminu była rozmowa kwalifikacyjna. Tym sposobem wszyscy troje mieszkali w Lublinie.

Fred zaliczał do swoich najbliższych i jedynych przyjaciół zarówno Daniela, jak i Emilię. Kilka miesięcy później do tego grona doszła koleżanka ze studiów – Agnieszka. Podobnie jak ojciec, Fred nie zwlekał z decyzją o ślubie. Nim skończył się pierwszy semestr, Fred i Aga rzekli sobie sakramentalne „tak”, a dziesięć miesięcy później studentka wzięła urlop dziekański, gdyż w drodze był ich pierwszy syn. Wesele było skromne, bo tymczasem Brukwicz splajtował. Budynki zakładu zajęli komornicy, a najbogatszemu dotąd człowiekowi w miasteczku zostały tylko dom i szafka z diabłami. Ale niedługo rodzina Freda cierpiała biedę. Złożyło się tak, że na Roztocze przybył z żoną znany marszand z Warszawy. Adam Pleskot szukał sztuki prymitywnej, gdyż na nią właśnie

zapanowała na świecie moda. Ktoś z miejscowych pokazał mu anioły w przydrożnych kapliczkach, więc Pleskot skierował swoje kroki do rozpadającego się tartaku na rogatkach Biłgoraja. Wkrótce okazało się, że szafa z diabłami Mariana Brukwicza jest cenniejsza, niż kiedykolwiek wart był jego zakład. Fred wrócił na uczelnię, a niedługo później ojciec wystawił dzieciom ogromną willę. Kiedy tylko budowa się skończyła, stary Brukwicz zmarł. Znaleźli go z dłutem w dłoni, a na ustach miał cień uśmiechu. Ostatni diabeł był bez twarzy, ale okazał się najcenniejszy na rynku sztuki. Agnieszka, Fred i jego matka żyli tak skromnie jak dotąd, więc na niczym im nie zbywało. Na świat przyszedł drugi syn Freda. Dostał imię po dziadku – Marian Boruta, bo taki pseudonim nadano rzeźbiarzowi w katalogach galerii Bohema.

Daniel wciąż szukał swojej drogi. Emilia była pilna, układna, gospodarna i odpowiedzialna. Gotowała wybornie, uczyła się na samych piątkach. Daniel wiedział, że go nie zdradzi i że zawsze może na nią liczyć. Nie podobało mu się, że ścięła włosy i nosi okropne garsonki. Wmawiał sobie, że to zaleta, bo zawsze była nad wiek poważna, a przynajmniej nie będzie musiał oganiać się przed rywalami. Mecenas Stawski rzucił picie i w trzecim miesiącu trzeźwości, po pierwszej przegranej od lat sprawie, dostał udaru. Lekarze mówili, że nie cierpiało. Kostucha zabrała go błyskawicznie. Zostawił córce długi i kancelarię pełną awanturujących się klientów. Emilia była zbyt młoda, by walczyć z tłuszczą. Matka miała swoich petentów, spraw gospodarczych nie chciała, a zresztą od lat prowadzili oddzielne domy. Emilia przyłgnęła więc do rodziny Daniela jak do własnej, co ciążyło nieco młodemu Skalskiemu. Pragnął wciąż tego samego: prestiżu i luksusu, choć nazywał to wolnością. Lucjan nadal otwierał listy, a potem odnosił je do adresatów. Taszczył banknoty, moniaki i oburzał się, śmiertelnie obrażony, jeśli ktoś chciał zostawić mu resztę. Daniel wstydził się ojca, nie wierzył już w jego bajania o przykrywce i bywało, że przechodził na drugą stronę ulicy, kiedy z daleka dostrzegał jego rower. Nie przeszkadzało mu to jednak brać od ojca kieszonkowego. Za każdym razem obiecywał, że kiedyś zwróci mu z nawiązką. Nikt w to nie wierzył. Matka uciekała w pracę. Bywało, że kiedy przyjeżdżali z Emilią, wcale jej nie widywali.

Daniel wciąż marzył o innym życiu, o zagranicy. Zżymał się na komunę i na to, co przyszło po niej. Próbował handlować na bazarze, ale Brukwicz musiał się mylić, bo sprzedawca był z niego żaden. Z całej partii koców, skarpet i termoforów – sprzedał ledwie połowę, a resztę rozdał. Gdyby Fred nie machnął ręką na pożyczkę za towar, Daniel zacząłby życie od wielkiego długu. Ciułanie grosza do grosza Skalski uważał za ponizające i przeklinał wolny rynek, który obwiniął za swoją nędzę. Elektroradiologiem też być nie zamierzał. Kiedy Fred i Emilia tyrali na uczelniach, Daniel wylegiwał się na swojej łące i czekał, aż los się doń uśmiechnie. Bał się tylko, że Emilia któregoś dnia odejdzie, bo nie miał przecież żadnego kapitału. Z tego samego powodu się nie oświadczał. Do głowy mu nie przychodziło, że dziewczyna go kocha i czeka na pierścionek, ale nie chodzi jej wcale o diament.

Któregoś dnia, zamiast wręczyć gotówkę, ojciec wypisał Danielowi czek pocztowy.

– To zwykły kawałek papieru, niewydany nawet przez bank, a zastępuje pieniądz. Co za czasy! – utyskiwał Lucjan. – A gdybym tak wpisał tu milion albo dwa? Przecież musieliby ci wypłacić. Ile by im zajęło, żeby to sprawdzić?

Tak Daniel poznał Gabrię.

Siedziała w okienku pocztowym w Cycowie i wypełniała pomieszczenie światłem: jasne włosy wywijające się do góry na końcach, twarz księżniczki z baśni Disneya, tyle że nazbyt odżywionej. Była od Daniela starsza, lecz zarażała go optymizmem, wiarą, że jeszcze wszystko przed nim. Te nędzne sto złotych wypłaciła mu bez sprawdzania, więc zaprosił ją na spacer. Potem jeździli głównie nad Czarną Ładę, bo Daniel nie chciał, by przyuważono ich razem. Z czasem Czarcie Pole stało się ich azylem. Gabi uważała to za romantyczne, Daniel – bezpieczne. Najpierw Gabi przyjeżdżała na motocyklu, ale robił za dużo hałasu. Daniel namówił ją, by brała z pracy pocztowy samochód. Wyjmowała z niego karimatę, koszyk z prowiantem i przenośne radio. Opowiadał jej o swoich planach stworzenia funduszu powierniczego, tłumaczył algorytm, dzięki któremu będzie w stanie pomnażać powierzone mu pieniądze klientów. Zapewniał, że gdyby miał choć trochę gotówki, pomnożyłby ją dziesięciokrotnie w ciągu ledwie kilku miesięcy. Tak miał zbudować swój pierwszy trust, dla którego

wymyślił doskonałą nazwę: White Horse Trust LTD. Kasjerka słuchała tych baśni i błyskawicznie uwierzyła, że trafił się jej mężczyzna skarb. Zaprażyła powierzyć mu swoje życie. Kochali się pod gołym niebem, zapominając o całym świecie. Wystarczyło, że Gabi przytuliła się do niego, poczuła jego usta i już po chwili oboje byli bez ubrania. Była jakby dla niego stworzona – w kółko jej to powtarzał. Przez pierwsze trzy miesiące tajemny romans wystarczał im obojgu. Gabi była rozłożysta, łagodna, na wszystko się godziła i niczego poza bajką od Daniela nie chciała. A on był przecież mistrzem iluzji. Kusicielem, który umie sprzedawać cudze marzenia.

Potem jednak zaczęła go testować. Chciała, by planował z nią urlop, pomógł jej w przeprowadzce, pojechał na wręczenie dyplomów, bo nagle zaprażyła szczyścić się nim przed koleżankami, wreszcie – pokazać rodzinie. Nie mógł spełnić żadnego z tych życzeń, gdyż o zdradzie natychmiast dowiedziałyby się Emilia, a kasjerki z poczty nie chciał za żonę. Starczyło mu, że miał ojca listonosza. Gabi interesowała go tylko na Czarcim Polu, bez ubrania. Przyszłość widział z Emilią, wnuczką sędziego, córką adwokatów i przyszłą prawniczką.

– Jutro nie będę mogła – powiedziała któregoś razu Gabi, kiedy się pokochali. – Trzeba przeliczyć czeki z ostatniego półrocza. Nie dam rady wyrwać się z pracy.

– Półrocza? – Daniel odezwał się tylko po to, by Gabi miała pewność, że nie zasnął.

Lubiła pogadać sobie po seksie, a Daniel był świetnym słuchaczem. Tyle mógł dla niej zrobić.

– To jakiś absurd – ciągnęła. – Jakim cudem znajdą klientów sprzed pół roku, jeśli na przykład czeki są sfałszowane?

– A to możliwe?

– Sam byś umiał to zrobić. Poczta stosuje tylko trzy zabezpieczenia.

– Jakie? – Podniósł się na łokciu wielce zainteresowany.

– Nie mogę ci powiedzieć. – Uśmiechnęła się zalotnie. – Tajemnica służbowa.

Spojrzał na jej masywne nogi, płaski brzuch, ogromne piersi, które rozlewały się na boki. Chwycił sutek w usta. Zajęczała cicho.

– Po pierwsze: hologram – wychrypiąca. – Jest turkusowy, ma znak wodny, czuć go pod palcami.

Przesunął dłonie po brzuchu i zszedł niżej. Powoli wsunął w nią palce.

– Tak?

– Jest jeszcze wyraźniejszy.

Docisnął.

– O tak – jęknęła.

W nagrodę zaczął poruszać dłońią.

– A dalej?

– Drugi to numer. Musi się wyświetlać w bazie. Poczty nie interesuje kolejność, ale czy taki istnieje.

Zsunął spodnie i wszedł w nią.

– Istnieje.

– Z całą pewnością – potwierdziła.

Zawyła, kiedy tego chciał. Uśmiechnął się.

– Trzeci jest najtrudniejszy, prawda? – Pocałował głęboko.

– Wręcz przeciwnie. – Oddała pocałunek. – To orzełek. Jeślibyś wydrukował lub zeskanował blankiet, orzełka musisz wkleić osobno. Tylko wtedy czek może uchodzić za ważny. To znaczy ekspert stwierdzi, że to falsyfikat, ale kasjer mógłby tego nie zauważyć. Wystarczy ręcznie zrobiona naklejka.

– Jesteś boginią – rzekł i mówił wtedy całkowicie szczerze.

W nagrodę kochał ją długo i czule. W tym czasie różne myśli fruwały mu po głowie. Strach łączył się z ekscytacją, obawy z nadziejami. Od mostka w dół czuł to specyficzne wibrowanie, jakby nie w ciele, lecz docierające gdzieś głębiej. To grało na najintymniejszej strunie jego duszy. Teraz już wiedział, o czym mówił Brukwicz. Zrozumiał wreszcie, co to jest miłość. Co sprawia, że ludzie biorą się w garść, pokonują siebie. A adrenalina, endorfiny, serotonina i cała ta reszta dają im kopa, by działa

dopełnić. W jego przypadku to była gra. Wiedział już, że musi to zrobić. Nigdy wcześniej nie czuł takiej euforii. Ironią losu zdało mu się, że jeśli jego plan się powiedzie, nigdy więcej się z Gabi nie spotkają. Gdyby zaś się nie udało, los i tak ich podzieli. Ale jego pierwszy raz na zawsze połączy się z tą właśnie kobietą. Skończył. Podparł się na łokciach i leżał na niej jeszcze chwilę, bo tak lubiła.

– To było dobre – wyszeptała i pogładziła go po plecach. – Zdaje mi się, że cię kocham. Mówię poważnie.

– Czułem to. A ty? – Znów ją pocałował.

– Bardzo – odparła w uniesieniu, w oczach miała łzy. Ocierała je dyskretnie.

Z ulgą ułożył się wreszcie obok. Znów zaczynał myśleć klarownie, choć podniecenie nie mijało. Czuł się jak heros. Niezniszczalny. Nawet kiedy motyl usiadł na jej ramieniu, tylko lekko się wzdrygnął. Spróbował zdmuchnąć go i wtedy zdało mu się, że coś połknął. Zachłysnął się, omal nie udławił.

Gabi podała mu wodę.

– Chyba połknąłem strzyżaka. – Skrzywił się. – Siedzi mi w gardle.

– Przeżyjesz? – roześmiała się.

On jednak pozostał poważny.

– Zrobimy tak: wydrukuję czterdzieści dziewięć sztuk mojego czeku i uciekniemy. Ten ostatni zostawimy sobie na pamiątkę. Dla wnuków, żeby wiedziały, jakich miały zmyślnych przodków.

– Wariat!

– Ale twój własny!

Znów kochali się równą godzinę.

– Kiedyś będę cię woził własnym samochodem – szeptał jej na ucho, kiedy się ubierała. – Naszym. Nigdy nas nie znajdą.

Tego popołudnia Gabi wyniosła mu czek na wzór. Całował ją i obiecywał:

– To tylko pierwszy krok, absolutnie konieczny. Pracuję nad swoim trustem. Opracowałem algorytm i jak tylko będę miał wystarczająco

funduszy, wykorzystam go, by stać się nieprzyzwoicie bogatym człowiekiem. Zabiorę cię do Mediolanu, Paryża, Londynu. Będziemy się ubierać u Prady i nosić brylanty. Chcesz?

– A będziesz ze mną? Już zawsze? – dopytywała się rozanielona kasjerka.

– Choćbyś chciała mnie przegonić, nie dam się. Jeśli uciekniesz, znajdę cię w piekle.

– Więc umowa.

Schowała się w przejściu służbowym.

Daniel zaś poszedł do sklepu i za ostatnie pieniądze kupił atramentową drukarkę, wieczne pióro oraz zamówił pieczątki. Byłby najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby nie strzyżak, którego wciąż nie był w stanie wydobyć z gardła. Zdawało mu się, że ciągle żyje i nie chce się oderwać, ale bał się pójść do lekarza czy choćby zwierzyć matce. Wieczorami zalewał insekta alkoholem i nienawidził tego, bo prawie nigdy nie pił. Dzięki temu jednak, kiedy dzwoniła stęskniona Gabi, mógł mówić jej prawdę. Nie czuł się najlepiej, dlatego byłoby wskazane, by się na razie nie widywali.

– Tak będzie bezpieczniej także z innych przyczyn. – Zniżył głos. – Gdyby coś nie poszło. Nie chciałbym cię narażać, kochana.

Poprosił, by założyła im skrytkę, do której będzie mógł chować zdobyte pieniądze. I tak też początkowo robił. Któregoś dnia Gabi zobaczyła w kasetce bilety do Londynu wraz z jego paszportem. Wzruszyła się i upewniła ostatecznie, że kochanek dotrzymuje słowa. Dołożyła do kupki banknotów wszystkie swoje oszczędności, by nie miał wątpliwości, że i ona traktuje sprawę poważnie.

Przez trzy tygodnie Daniel jeździł po urzędach pocztowych Lubelszczyzny i na swoją twórczość zdołał wyłudzić dwadzieścia trzy tysiące siedemset trzydzieści złotych. Kasjerki sprawdzały czeki pobieżnie. Tylko jeden raz orzełek wzbudził niepokój, ale Daniel sprytnie faceta zagadał. Od tamtej pory wiedział już, że lepiej mu idzie z kobietami. Patrzyły na kwotę, potem w jego czarne oczy, taksowały garnitur, skórzaną

teczkę i bez słowa wypłacały należności: pięćdziesiąt, sto dwadzieścia trzy, dwieście trzydzieści złotych. Za każdym razem był w innym urzędzie. Nie zakwestionowano ani jednego stworzonego przez Daniela czeku.

Rozległo się pukanie, a choć jazgot telewizora w pokoju ojca głużył zwykle wszelkie dźwięki z ulicy, Gabi je usłyszała. Tak jak drzemiący pies rozpoznaje silnik auta swojego pana i jak ukrywający się przestępca wie, że podchodzący do niego na ulicy przechodzień jest w istocie tajniakiem, zanim jeszcze wyjmie blachę i kajdanki. Trzy głuchoe stuknięcia wybiły ją z czarnych myśli. W sercu poczuła ciepło, a potem dreszcz emocji, wreszcie ekscytację. Nie, nie bała się. Była absolutnie gotowa na to nowe życie z Danielem, choćby mieli uciekać na drugi koniec świata. Nie mogła się wprost doczekać! Jednak przyjechał po nią, dotrzymał słowa, ekscytowała się. Znow wstąpiła w nią nadzieja. Zdążą na ten samolot. Uda im się wykiwać wszystkich. Daniel z pewnością ma jakiś rezerwowy plan.

Trzęsącymi się dłońmi schowała bilet i ich nowiutkie paszporty do lakierowanej torebki matki, wygładziła sukienkę. Chwyciła leżące obok walizki czółenka. Skrzywiła się, kiedy je wkładała, bo mama miała szczuplejsze stopy, a Gabi wolałaby jechać w adidasach, ale Daniel ostrzegał, że muszą zachować pozory. Kostium jest bardzo ważny, przekonywał. To nasza czapka niewidka. Rozejrzała się po swoim panińskim pokoju. Była pewna, że więcej tu nie wróci. Nie planowała żegnać się z tatą. Zresztą on i tak zauważy jej zniknięcie, dopiero kiedy powiedzą o tym w *Wiadomościach*. Pukanie ustało i rozległ się dzwonek. Dziewczyna słyszała, jak cichnie telewizor, ojciec powoli wstaje z fotela. Zatrzeszczała sztuczna skóra, Gabi usłyszała stłumione człapanie i werbel ciężkiego oddechu astmatyka.

– Gabrysia! – padło z przedpokoju. – Do ciebie.

Nabrała powietrza, wypuściła powoli. Poprawiła kucyk i nacisnęła klamkę. Chwyciła walizkę, torebkę i pudełko z kanapkami, które zrobiła na drogę. Na usta przywdziała zalotny uśmiech. Chciała, by Daniel zachwycił się nią. Tak lubił, kiedy nosiła falbanki. Ten biały muślin niegdyś był ślubną suknią mamy. Gabi ledwie wczoraj odcięła dół i oderwała nadmiar koronek.

– Jakiś pan do ciebie, córko – wychrypiał ojciec, a potem się rozkaszał.

Gabi nie czuła ciężaru bagaży. Niemal biegła wąskim korytarzem. Ojciec miał bzika na punkcie oszczędności, więc regularnie wykręcał żarówkę z żyrandola. Do swojego pokoju na końcu mieszkania docierała zawsze ciemnym tunelem. Kiedy więc wpadła do salonu, najpierw oślepiło ją słońce. W pierwszej chwili nie zobaczyła twarzy przybysza. Jedyne sylwetkę w progu oraz plecy ojca.

– Jestem – zameldowała.

Postawiła walizkę przy ścianie, rzuciła reklamówkę z prowiantem. Przepchnęła się do wejścia i zamarła. To nie był on.

– Gabriela Geremek? Mam polecenie dostarczyć do rąk własnych – odezwał się wielki jak skała mężczyzna w ręcznie robionym swetrze.

Posturę miał niedźwiedzią, twarz rosyjskiego chłopca. Uśmiech jednak miły. Z bladych, okolonych jasnymi rzęsami oczu wyzierało współczucie. A może Gabi tylko się zdawało?

Dygnęła nieznacznie, wyciągnęła rękę po przesyłkę. Była to zwykła biała koperta. Najtańsza z możliwych, jakie jeszcze wczoraj sprzedawała na poczcie. Brzydko zaklejona brązową taśmą. Nie zapytała od kogo. O nic nie zapytała. Ojciec wpatrywał się w nią zaintrygowany. Nawet nie pokasływał. Czuła, że krew odpływa jej z twarzy, znów wróciły lęki sprzed kilku godzin.

– To wszystko. Dobrego wieczoru. – Kolos odwrócił się na pięcie, by zniknąć bez śladu.

Gabi nagle odzyskała rezon. Głos miała drżący, piskliwy.

– Jak się pan nazywa?

Dałaby wszystko, by mieć na sobie swoją zbroję. Swój kask i ręcznie szyte skóry z ochraniaczami. Po prostu wyjść, wsiąść na motocykl, pojechać przed siebie na tylnym kole. Zatrzymać się dopiero nad Czarną Ładą. Czuła, że w tej kopercie nie znajdzie nic dobrego. Tam był początek końca jej bajki. Może i wyrok. List parzył ją. Najchętniej zwróciłaby go osiłkowi, nie otworzyła drzwi, udała, że jej nie ma. Chciało jej się płakać. A jednak oczy pozostały suche, tak samo jak gardło.

– Ja? – zdziwił się posłaniec. Następnie wyciągnął w jej kierunku dłoń wielkości szufelki do węgla. Gabi zawahała się, nim ją uścisnęła. – Fred

Brukwicz jestem. Miło było poznać.

Drzwi trzasnęły. Gabi oparła się o ścianę. Dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że tata się jej przygląda. Chyba nigdy wcześniej nie poświęcał tak wiele uwagi studiowaniu emocji na jej twarzy.

– Wybierasz się gdzieś? – Wskazał walizkę przy ścianie i ocenił krytycznie jej sylwetkę od stóp do głów.

Gabi z ulgą zsunęła buty. Powoli ruszyła do ciemnego tunelu.

– Mierzyłam tylko rzeczy mamy.

Ojciec klapnął na fotel. Pogłodził *Koło Fortuny* i zamieszał zimną herbatę. Kiedy Gabi znalazła się już u siebie, telewizor znów dudnił, jak gdyby nic się nie stało. Gabi bardzo chciała, by tak właśnie było.

Usiadła na łóżku po turecku. Muślin podniósł się, odsłaniając masywne uda. Kopertę położyła przed sobą. Wpatrywała się w nią, zaklinając zawartość, ale wiedziała, że to nic nie da. Spojrzała na zegar na komodzie. Za pół godziny zamykają odprawę. W tej chwili powinni już wchodzić na lotnisko. A kiedy wreszcie zdobyła się na odwagę, przecięła papier i przeleciała wzrokiem wiadomość, poczuła się tak, jakby gwałtownie wytrzeźwiała.

Kochana, nie uda się nasz wyjazd, bo najpierw muszę załatwić strzyżaka! Czuję, że się zagnieździł, ale nie wiem w ogóle, jak go wyrwać ze środka gardła (?). Może jak zdechnie, sam się ewakuuje? I jestem teraz trochę nie bardzo, ale o poważniejszych rzeczach postaram się krótki wywód popełnić.

Chciałbym wpierw skończyć mój projekt trustu, bo tej inwestycji już nienawidzę i jak zrobię na finiszu przerwę, to chyba do tego nie wrócę. To jest sprawa logistyczna i mało istotna i wiem, że rozumiesz.

Druga jest taka, że włączył mi się jakiś czas temu tryb ucieczki. Zidentyfikowałem dwa aktywatory tejże – jednym jest jakaś chora potrzeba, przymus samotności. (Rozumiem, że to nie jest normalne). Drugi aktywator to właściwie cała taka sekwencja – jedziemy wspólnie do Londynu, jedziemy wspólnie

na wakacje, żyjemy razem etc. To też oczywiście nie jest normalne, ale taką mam konstrukcję – Ty wolisz jedną kołdrę, ja dwie. Ty jedno łóżko, ja dwa. Ty jedną sypialnię, ja dwie. Itd., tak?

Kocham Cię i nie wiem, czy w ogóle umiałbym kochać Cię mniej, nawet gdybym chciał. Ale to, co wyżej, to odpowiedź na to, co tutaj nie-wiadomo-jakim-cudem-nastąpiło i dlaczego jest list zamiast mnie. W bardzo dużym skrócie, bo nie jestem w dobrej kondycji umysłowej na rozwijanie, mimo chęci. Nie chciałem wcześniej, bo kończyłaś swoją pracę dyplomową (dość długo) (nie, żartuję, bardzo szybko i duma wciąż).

Nie wiem w ogóle, czy to w miarę zborny wywód był. Serduszko w każdym razie za pozwoleniem bym zostawił.

To było wszystko. Żadnego ręcznego podpisu, wyjaśnienia sprawy czeków. List napisano na maszynie, ale była pewna, że to jego słowa, myśli i decyzja. Zastanawiała się tylko, jak dawno temu go przygotował. Złożyła kartkę i schowała do podartej, taniutkiej koperty. Siedziała w milczeniu, bez ruchu jakiś czas. Nie myślała, nie płakała. Trwała w zaskoczeniu i czekała, aż się obudzi. Nie, to działo się naprawdę. Rzucił ją. A potem przyszła następna myśl: trzeba się ratować. Poleciała sama – zdecydowała. Przyciągnęła walizkę do swojego pokoju i przy okazji zdjęła z półki przy drzwiach telefon. Modliła się, by starczyło kabla oraz by udało jej się zamówić rozmowę międzymiastową, choć koszt będzie słony i ojciec, wściekły, nie puści jej tego płazem. Ale musiała sprawdzić. Z torebki wysupłała bilet do Londynu, który Daniel zostawił jej w skrytce, a który skopiowała.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Kobieta w informacji zaprzeczyła, że istnieje lot o podanym przez Gabi numerze. Upierała się, że nie ma w systemie takiego pasażera, choć Gabi podawała nazwisko swoje i Daniela wraz z numerami paszportów. Na koniec prychnęła, że o tej godzinie w ogóle nie ma czarterów do Wielkiej Brytanii. Dziewczyna tyle razy się upewniała, nie przyjmując do wiadomości danych, aż zniecierpliwiona urzędniczka odłożyła słuchawkę. Potem Gabi wzięła klucze do swojego oddziału i choć wiedziała, że jej obecność w firmie po

godzinach pracy zarejestruje monitoring, weszła do pomieszczenia ze skrytkami. Mogła to sprawdzić następnego dnia, ale nie umiałaby zasnąć. Poza tym nie było chyba większego wstydu niż aresztowanie w pracy.

Tak jak podejrzewała, zabrał wszystko. Jej ciułane w pocie czoła kilka tysięcy również. Nie zostawił nawet bilonu. Na tacce leżał jedynie czek. Ten pierwszy, który posłużył mu za wzór. Był bezużyteczny, bo już spieniężony. Dziwna pamiątka. Przeszło jej przez myśl, czy był na tyle sprytny, by używać rękawiczek, kiedy ją okradał. Gdyby były tutaj jego linie papilarne, znaleźliby go, jeśli popełni kolejne przestępstwo. A że tak się stanie, Gabi była przekonana. Nie dotknęła czeku.

Złapali ją na granicy. Jeden z celników dziwił się, że dziewczyna w białej muślinowej sukience, praktycznie bez bagażu, wybiera się na wyprawę motocyklową na Ukrainę. W komisariacie przewalili ją uciekającą panną młodą. Tam też dowiedziała się, że za wyłudzenia oraz fałszowanie czeków grożą jej trzy lata. Chyba że pomoże złapać Skalskiego. Odmówiła. Nie chciała mieć z tym człowiekiem nic wspólnego. Adwokat powoływał się na jej nieposzlakowaną opinię, młody wiek, dyplom z księgowości, małą szkodliwość czynu, ale uratował ją schorowany ojciec. Była jedynym żywicielem rodziny, dlatego dostała wyrok w zawieszeniu. Z urzędu pocztowego zwolniono ją dyscyplinarnie i wiedziała, że nikt nie zatrudni jej już w żadnym urzędzie. Wzięła pracę sprzątaczką w motelu pod miastem. Właściciel czasami prosił ją, by doradziła mu w sprawie podatków. Jedyna korzyść ze spotkania Daniela polegała na tym, że bardzo schudła. Kiedy przy swoim wzroście metr siedemdziesiąt ważyła pięćdziesiąt dwa kilogramy, mężczyźni zaczęli zaczepiać ją na ulicy. Pół roku później była żoną starego hotelarza.

Daniel ożenił się w tym samym czasie. Do Wielkiej Brytanii wyjechał z Emilią, która dla niego rzuciła studia. Ich pierwsze dziecko, Krystian, przyszło na świat w Londynie. Daniel powiedział żonie, że pieniądze na wyjazd podarował im Lucjan:

– Pracuje w Agencji Wywiadu i miał z czego odłożyć. Pomnożymy je i oddamy mu dziesięć razy więcej. A za kilka lat sprezentuję mu dom. On nienawidzi tego milicyjnego mieszkania.

JEDEN

**LUDZIE BARDZO BOGACI
TO BANDA DURNYCH GŁUPCÓW**

Villa Portesina, okolice Lago di Garda, Włochy, wiosna 2016

Kiedy Natasza mokra i umorusana wróciła ze spaceru, w rezydencji był tłum ludzi. Mówili w różnych językach. Do uszu dziewczyny dobiegały strzępki zdań. Zdawało się jej, że to grono przyjaciół, którzy dawno się nie widzieli. Ona nie знаła tutaj nikogo. Rozglądała się gorączkowo, czy jej rodzice już przyjechali, ale nie dostrzegała ich w tłumie. Daniel stał otoczony wianuszkami wystrojonych kobiet i mężczyzn dużo starszych od jej ojca. Choć wcześniej gotowa była pożreć konia z kopytami, teraz żołądek podszedł jej do gardła, a krtań zacisnęła się. Była pewna, że czeka ją znów głodówka. Stała w rogu sali, apatycznie obserwowała towarzystwo. Mężczyzna, którego kochała, nie widział jej. Nie szukał, nie zwrócił na nią uwagi, nawet kiedy mijając go, musnęła jego ramię. A przecież przez cały dzień nie zamienili nawet pół słowa.

Przyjrzała mu się uważnie. Wśród tych obcych ludzi, na których tak czekała, wyraźnie odżył, odmłodził. Popisywał się, przeżył, wybuchał gromkim śmiechem i poklepywał rozmówców po plecach, a oni odwzajemniali mu się tym samym. Nie wszyscy byli jego sojusznikami. Na wielu twarzach gościła pogarda, a nawet gniew, a pod płaszczykiem uprzejmości Natasza wyczuwała czujność drapieżników. Nagle dotarło do niej, że dopiero teraz, kiedy miał publiczność – był prawdziwie szczęśliwy. Zrozumiała, że nigdy nie zależało mu na bliskości z nią. Seks, przekomarzenia, trochę śmiechu w czasie podróży, ale kiedy tylko byli ze sobą dłużej sami – nudził się i zaraz wykręcał pracą. Teraz dostrzegła to bardzo wyraźnie. Napatoczyła się, więc ją przygarnął. Przez krótką chwilę szli w tę samą stronę. Poczuli się nagle mała i niepotrzebna. W jednej chwili łuski spadły jej z oczu, jakby gwałtownie wybudziła się ze snu i pojęła, że wymyśliła sobie jego uczucie, dopisała wzajemność i uwierzyła w słodkie zapewnienia, bo rozpaczliwie, desperacko wręcz pragnęła, by były one prawdą. Tak bardzo chciała na koniec przeżyć prawdziwą miłość. Jaka była głupia i egoistyczna! Dla niego przecież od początku była tylko kartą przetargową, zasobem, który mógł zdobyć. Pięcioma tysiącami głów Jagiełły, niczym więcej.

Powoli wycofywała się do części prywatnej. Nagle przeraźliwie zachciało się jej spać. Marzyła o ciepłej kąpieli i spokoju. Starła się iść przy ścianie, by nikt nie zwrócił na nią uwagi i nie zawołał oraz by Daniel nie spostrzegł, że już wróciła. Nie zniosłaby kolejnej zniewagi, kiedy wszystkie oczy skierowałyby się na nią – wyglądała jak ofiara napaści. Mijała oszałamiająco ubrane kobiety i towarzyszących im brzydkich mężczyzn w wykwintnych smokingach, ale tylko jedna z nich, ubrana po męsku, z krótkimi włosami postawionymi na sztorc, przyjrzała się jej wnikliwie, jakby chciała zagadać. Kobieta trzymała pod rękę wysokiego, bardzo chudego mężczyznę w okularach przeciwsłonecznych, choć w domu było już ciemno. Natasza minęła tę dziwną parę bez słowa i opuściła głowę, by nie dać im pretekstu do rozmowy.

Idąc, przypomniała sobie, że umiera, a skoro niczego dotąd nie miała, to niczego nie traci. Przecież to, co do niego czuła, było w jej sercu prawdziwe. W jakimś stopniu to też jej wina. Nie dała mu szansy ani czasu, by się zakochał. Wszystko przebiegło błyskawicznie, a różnica między nimi polegała na tym, że ona była gotowa na uczucie, on zaś go nie chciał. A choć sama siebie przekonywała, że przy drzwiach hangaru nastąpił koniec, to ciepło, radość i pragnienie bliskości wciąż tliły się w jej piersi i nikt już nigdy jej tego nie odbierze. Kochała! Na to, co on czuł, wpływu nie miała nigdy. Mogła jedynie oddać mu wolność i pozwolić odejść własną ścieżką. O ironio, w dniu, kiedy mieli połączyć swoje losy, znaleźli się na rozstaju dróg. Bolało, ale dostrzegła w tym ogrom piękna. Czyż nie na tym polega prawdziwe uczucie, by dać najbliższej osobie to, czego ona rzeczywiście pragnie? Czy nie na tym polega bycie dobrym? A więc musiała dojść do samego końca podróży, by pojąć coś tak prostego. Ta przygoda była im przeznaczona.

Chciałaby teraz płakać, krzyczeć, zwinąć się w kłębek i oddać cierpieniu, ale wiedziała, że to tylko strach przed śmiercią, niezgoda na czekające ją odejście. Daniel miał prawo jej nie kochać, tak samo jak ona miała prawo wykorzystać go, by znieczulił ją miłością. Nie uroniła nawet jednej łzy. Oczy miała suche, a twarz napiętą i zbolałą. Szła, jakby unosząc się lekko nad podłogą, nie czując zupełnie własnego ciała. Jakby już teraz była tylko duchem. Mimo to napierała na tłum z dumnie podniesioną głową i trzymała gardę, jak robiła to całe życie. Skupiła się i spróbowała

przypomnieć sobie numer do rodziców, ale nijak nie wychodziło. Ile by dała, żeby odzyskać teraz swój telefon, który za namową Daniela wyrzuciła po drodze, by nie mogli jej namierzyć, jeśli – jak podejrzewała – wynajmą detektywa. Pomyślała, że może znaleźć kontakt do firmy ojca w internecie albo napisać do niego wiadomość na messengerze – wystarczy tylko włamać się do laptopa Daniela, ale nie miała na to sił. Ukryła się w łazience.

Napuszczała wodę do wanny, kiedy ją znaleziono. Szefowa oprawy wesela, wciąż jeszcze bardzo pijana, pokrzykiwała po włosku, że zostało niewiele czasu i zaczynają ceremonię, ale Natasza sprawdziła tylko, czy drzwi są zaryglowane, po czym zaczęła się rozbierać. Brudne szmaty rzuciła na podłogę i dopiero wtedy zorientowała się, że nie zabrała czystych na zmianę. Cóż, trudno, owinie się ręcznikiem albo i przejdzie do sypialni nago. Zanurzyła twarz w wodzie, choć mydło szczypało ją w oczy. Liczyła do stu, starając się wytrzymać jak najdłużej, i tylko co jakiś czas nabierała powietrza. Gdyby się nie wynurzyła, znaleźliby ją dopiero za jakiś czas. Woda byłaby zimna, ona naga i piękna, jak fatalna aktorka albo gwiazda estrady – kusił jakiś diabeł za uchem. Nie dała rady. Instynkt był silniejszy.

Nie czuła się słaba, dawno już nie mdlała. Znów zaczęła się zastanawiać, jak to będzie, kiedy jej się pogorszy. Skoro Daniel nie zainteresował się nią przez cały dzień, to się nie zmieni. Ale czego mogła oczekiwać od faceta, który ją sprzedał za pół miliona? Czy można się rozplakać, trzymając twarz pod poziomem wody? – wybuchnęła nagle gorzkim śmiechem. Tak naprawdę wcale nie była smutna. Była zła. Rozsierdzona, żadna zemsty. Jej nastroje zmieniały się tak szybko, że ledwie za nimi nadążała. Najchętniej uderzyłaby go w twarz, rzuciła jakieś przekleństwo, lecz nie potrafiła. Nie miała do tego prawa. Przyjechała z nim dobrowolnie, dobrze się bawiła, dała się uwieść, sama się napraszała, by wywiózł ją z kraju... Uwierzyła w te głupie teksty, bo chciała uciec przed sobą, zapomnieć... A teraz miałyby mieć pretensje do niego, że się nie zakochał? Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Wszystko ma znaczenie i to kluczowe. Najchętniej wróciłaby do domu, położyła się do łóżka, poczuła troskliwy dotyk mamy i posłuchała narzekań taty. Nie chciała, by zapłacili temu draniowi choćby złotówkę. Wynurzyła się gwałtownie i łapała powietrze.

– Kochanie – jak na zawołanie dobiegł zza drzwi jego stłumiony głos.

Był jak ulepek, czuły, seksowny. Gdyby nie słyszała tej rozmowy w hangarze, rozczuliłaby się ze szczęścia i wyskoczyła z wanny, by go ucałować. Może i zdarzały jej się utraty przytomności, a po nich luki w pamięci, ale omamów nie miewała. Nie chciała odpowiadać ani go oglądać. Obawiała się, że zacznie się go brzydzić, i nie podobało jej się to wcale.

– Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

– Tak – zmusiła się do neutralnego tonu. – Idź do gości.

– Jesteś gotowa, aniołku?

– Aniołku? – powtórzyła, wykrzywając usta ze wstrętem. – Nie pomyliłeś mnie z kimś innym?

Zawahał się, bo wyczuł, że jest wściekła, choć ze wszystkich sił starała się tego nie okazywać. Zastanawiał się, jak to rozegrać, aż w końcu przyjął strategię słodkiego dyplomaty.

– Zaczniemy, dopiero jak będziesz gotowa.

– Nie wiem, czy będę gotowa.

– Mogę wejść?

– Jestem w wannie.

– To brzmi interesująco – zamruczał.

– Chcę zostać sama.

Odszedł, a przynajmniej tak jej się wydawało. Nie minęło kilka chwil, w trakcie których pierwszy raz od dawna poczuła się wolna, gdy zza drzwi padł rozkaz:

– Otwórz, bo wyważę drzwi.

– Szkoda ich. Są takie piękne.

– Nataszo, nie rób scen.

Milczała.

– Martwię się.

Zanurzyła się znów pod wodę.

Wiedziała, że jest wściekły. Nagle zobaczyła go w innym świetle. Przypomniała sobie w przyśpieszonym tempie, jak się poznali, jakie

uczucia wzbudzał w niej na początku i jak to się stało, że w jedną noc zmienił jej nastawienie. Arcypodejrzane zdało się jej nagle, że lubił wszystko to, co ona; był tak podobny, aż niemożliwe, że istniał. Komplementował ją, dogadzał jej i przeglądał się w jej zakochanym spojrzeniu, podczas gdy w jego oczach Natasza nie widziała zupełnie nic. Były puste, jakby patrzyła w otchłań. Sprzedał ją. I najprawdopodobniej od początku planował ją prehandlować. Może nie rodzicom, może tej Rosjance albo któremuś z kumpli, których teraz bawi w salonie. Była zwykłym narzędziem w jego rękach i zgodziła się na tę rolę w imię swojej durnej chciwości. A on to w niej dostrzegł: jej desperację, strach, ból oraz dziecinne marzenie, żeby ktoś ją uratował. Zrobił to. Dał jej największe szczęście w życiu, a choć nieprawdziwe, to jednak przez chwilę zdawało jej się, że będzie trwać wiecznie. Ale już minęło. To życia się chwytala, nie miłości, choć może to jedno i to samo. Więcej oczekiwać nie mogła. Czy umieranie w szpitalu byłoby lepsze od iluzji? I tak nie miała szansy na nic innego. Nie zdąży już zbudować prawdziwego związku. Na nic nie ma czasu. Została jej tylko godność. Zrozumiała, że ratunku nie ma i będzie musiała iść dalej sama.

– Zaraz wyjdę. Przynies mi jakieś ciuchy i buty – powiedziała łagodnie.
– Wszystko jedno które.

Po chwili był z powrotem, szarpał za klamkę. Wyszła z wanny ociekająca wodą i ruszyła, by otworzyć, ale nie zdążyła, bo ziemia jakby się pod nią rozstała i straciła przytomność.

Nie wiedziała, jak długo leżała bez tchu. Kiedy się ocknęła, terakota była zimna, szorstka w dotyku, na twarzy zaś czuła zakrzepłą maskę z krwi. Usta ją piekły, nos pulsował. Musiała upaść na twarz i dostać krwotoku. Oparła się ręką i spróbowała wstać, ale w głowie miała karuzelę. Po drugiej stronie nie było już nic słychać. Przeczłgała się do ręczników i trzęsącymi się dłońmi zrzuciła stertę na podłogę. Owinęła się nimi jak kokonem, a potem wyciągnęła rękę i przekręciła gałkę blokującą wejście. Liczyła, że drzwi otworzą się z nienacka, a Daniel wpadnie zdyszany z awanturą, ale panowała złowroga cisza. Odgłosów przyjęcia nie słyszała. Jakiś czas siedziała oparta o ścianę i dochodziła do siebie. Nie miała zupełnie kontaktu z ciałem, jakby uleciała z niej dusza. Wiedziała, co to znaczy. Straciła nadzieję. Kiedy uciekła w tę bajkę o miłości, odzyskała ją na

chwilę, a teraz znów czuła się jak kiedyś, zanim dowiedziała się, co jej dolega.

Ktoś nacisnął klamkę. Natasza zakryła się odruchowo, skuliła i wpatrywała w szparę między futryną a drzwiami, jakby oczekiwała najgorszego. Damska dłoń podała jej suknię, a potem przesunęła szpilki. Była to czarna, błyszcząca sukienka, w której przyjmowała bogatą Rosjankę. Natasza pomyślała, że trzeba mieć poczucie humoru, by na udawany ślub wybrać żałobną kreację. Skoro tak zdecydował, niech będzie. Ubrała się, stanęła przed lustrem. Obmyła twarz z krwi, odkaziła spirytusem, ale była zapuchnięta i wyglądała oraz czuła się źle. Nie mogła i nie chciała tak wyjść do ludzi. Marzyła, by położyć się do łóżka i zasnąć na zawsze. Mimo to cierpliwie nakładała puder, różowiła policzki, pociągnęła rzęsy tuszem i mocno umalowała usta szminką, by przykryć otarcia. Następnie spryskała przeguby perfumami, a wreszcie usiadła na sedesie, ciężko dysząc. Nadal nie była w stanie opuścić łazienki.

– Moje kochanie – padło zza drzwi.

To znów on. Ożywiła się, jakby była narkomanką i dostała działkę heroiny.

– Wejdz.

Wyglądał doskonale w ślubnym smokingu z włosami pieczołowicie ufryzowanymi na lewy bok. Pachniał obłędnie i prezentował się perfekcyjnie. Poczowała się przy nim taka niewyprasowana.

– Pięknie wyglądasz. Jak się czuje moja sarenka?

Ujął jej dłoń, pogładził, obejrzał każdy palec. Dopiero teraz zauważyła, że ma ziemię pod paznokciami. Nie mogła uwierzyć, że nie widzi jej siniaków i zadrapań.

– Gdzie byłaś cały dzień?

– Spacerowałam.

– Uwielbiam twoją genialną organizację, moje słoneczko. Mistrzynie chaosu.

Podniosła głowę.

– Nikt nigdy nie zrobił dla mnie tyle dobrego co ty. Dziękuję ci za wszystko.

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Wiedziała, że to tylko poza i tak naprawdę jest to spojrzenie drapieżnika, który przygląda się swojej ofierze, planując: czy pożreć ją szybko, czy może przeciągnąć jej mękę i zafundować sobie teatr. Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegła? Zawsze był taki zimny, daleki, a ona się go po prostu bała, uderzenia adrenaliny biorąc za miłość. A może to uczucie strachu ich połączyło? Teraz to pojęła. Oboje przed czymś uciekali. On bał się życia nie mniej niż ona śmierci. W jednej chwili zdecydowała, że pozwoli mu przeprowadzić swój plan. Pójdzie teraz do ludzi, będzie udawała szczęśliwą i nigdy mu nie powie, co słyszała pod hangarem.

– To ty mi dałaś największe szczęście, kiedy już sądziłem, że nie zasługuję na nic.

– Moich rodziców nie ma?

– Jeszcze się nie anonsowali.

– Ale zawiadomiłeś ich?

– Jadą samochodem. Sama wiesz, jak to daleko.

Wstała.

– Chcę, żebyś był szczęśliwy. Cokolwiek zrobisz, dokądkolwiek pójdziesz, pamiętaj, że z mojej strony to było prawdziwe.

– Było?

– Było i niestety jeszcze jest.

– Niestety jeszcze? Co to ma znaczyć? Dziwnie się zachowujesz.

Wciąż był uprzejmy, ale podskórnie czuła narastającą w nim złość. Rozbawiło ją to.

– Nie musimy robić tego cyrku. Chyba że jest ci potrzebny. Mnie wszystko jedno.

– Tak? – Odsunął się.

Ona też się odsunęła, chociaż w głębi serca pragnęła, by ją przytulił, zapewnił, że kocha, wybił jej z głowy te dziwne przebłyski prawdy. Kłamał, że się przesłyszała, i znów zanurzył ją z głową w tych mrzonkach o miłości. Pragnęła jego dotyku jak alkoholik wódki, a cierpiący znieczulenia, by się nie bać, ale wiedziała, że on oddaje tylko w niewielkim stopniu to, czym

obdarzała go ona. Kiedy przestała wychodzić ze skóry, by go zadowolić, starać się i dostosowywać, tracił zainteresowanie, cierpiał i oboje już wiedzieli, że nie mają dla siebie nic więcej do zaoferowania poza tym chłodnym murem, jaki zniechęca wyrósł między nimi.

– Przepraszam. Idź do swoich gości.

– To nie twoja wina – odparł przytomnie i zaskakująco szczerze. – To ja nie umiem. Wszedłem nagle w tryb ucieczki i nie potrafię się już zatrzymać.

– Wiem – odparła cicho, choć chciała krzyknąć: „Płoń w piekle!”. – Rozumiem wszystko. Nie mam żalu.

Wyszedł. Dopiero wtedy poczuła prawdziwy ból, który zawrzał od brzucha aż po krtań, ale nie mogła się w tym zanurzyć, bo rozległ się potworny huk, jakby strzelono z monstrualnego działa.

Yanek odbierał właśnie z rąk Zoriany torbę z pieniędzmi, kiedy łajba stanęła w ogniu. Matka Nataszy odwróciła się gwałtownie i rzuciła do bramy, w której stał młody Niemiec. Zatrzymał ją władcym gestem.

– Jest bezpieczna – powiedział.

Wtedy z samochodu wysiadła oszłamiająca brunetka w czarnym kombinezonie, a mężczyźnie aż zaschło w gardle z wrażenia. Nie musiała nic mówić. Wiedział, że to Lara.

– Prowadź do niej.

– Umowa była inna – zaprotestował ostatkiem sił.

– Chcesz mieć trupa matki na koncie?

– Jest w domu. To łódź płonie. Skurwysyn to zaplanował.

Splunął z obrzydzeniem.

– A najpierw przepisał ją na mnie i wręczył kluczyki. Mam nadzieję, że była ubezpieczona.

Kobiety wpatrywały się w niego i wtedy pojął, że nie znają niemieckiego. Płynnie przeszedł na angielski.

– Czekajcie tutaj. Postaram się ją wyprowadzić.

– Pięć minut. Potem wchodzę – ostrzegła Lara przez zaciśnięte zęby. – I nie próbuj wiać z kasą. Znajdę cię choćby w piekle.

Uśmiechnął się zachwycony ostrością jej rysów, gestów i urody. Zdawała się nieprawdziwa, niczym postać z kreskówki. Był przekonany, że gdyby doszło do walki, miałby twarde orzech do zgryzienia. Kawał zakapiora obleczony w ciało bogini. Strasznie go to podnieciło.

– Chcesz, to idź ze mną. Sama droga przez park zajmie kwadrans. Dziewczyna jest w domu, zamknął ją w toalecie. Może trzeba będzie wybić okno. Dobrze, że jest lekka.

Lara wymieniła spojrzenia z Zorianą.

– Poczekam na Jurka – zgodziła się matka Nataszy. – Mówiłam, żeby od razu wchodzić.

– Jak podjadą, czekajcie z włączonym silnikiem. Miej ze sobą telefon – poleciła Lara. – Zrobię wszystko, żeby Natasza wróciła dziś do domu.

– Jeśliby się opierała, zabierzcie ją siłą – rozkazała Zoriana, ale głos jej się załamał. – Zawsze jest jakaś szansa. Może w tym czasie wynaleźli jakiś lek. Przekonaj ją.

Lara nie odpowiedziała. Skinęła tylko głową i stanęła obok Yanka. Sięgała mu do ucha.

– Dasz radę z tym biec czy weźmiemy razem? – Wskazała torbę podróżną wypełnioną banknotami i wygięła kąciki ust w dół, co niesłusznie odczytał jako wyraz pogardy.

Bez słowa chwycił pakunek i ruszył przodem. Lara pobiegła za nim. Stąpała tak miękko, że miał wrażenie, jakby towarzyszyła mu czarna pantera. Wiedział, że nie pozwoli jej już odejść i prędzej zabije Skalskiego, niż odda mu kasę lub tę chorą chudą Polkę, bo musi wykazać się przed Larą. Chciał, by była jego.

Natasza nasłuchiwała, ale poza tym jednym wielkim hukiem i kilkoma mniejszymi nie było słyhać już nic niepokojącego. Podniosła się z podłogi i wyszła z łazienki. Podbiegła do okna. W oddali na niebie widać było łunę, a języki ognia pożerały „Daisy”. Dziewczyna patrzyła na pożar jak zahipnotyzowana i nie wiedziała, co robić. Zamarła.

– Ci, którzy mieli przeżyć, już uciekli – usłyszała damski głos z silnym niemieckim akcentem. – Reszta zamienia się teraz w popiół.

Natasza odwróciła się gwałtownie. Na sofie, plecami do niej, siedziała kobieta w męskim ubraniu. Z tej odległości widać było tylko jej dłonie z pomalowanymi na czarno paznokciami. To ona podała jej sukienkę i buty.

– A Daniel? – wykrztusiła przestraszona Natasza.

– Pewnie jest już daleko. – Kobieta wzruszyła ramionami. Wstała, przysiadła na oparciu mebla. – Zamknął ich pod pokładem. Gdybyś tam była z nimi... – Urwała.

Natasza poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa idzie jej silny prąd.

– Zamknął? – powtórzyła jak echo. – Kto zamknął?

Gertrud uśmiechnęła się krzywo.

– Nie martw się, zawiadomiłam straż. Zakazali zbliżać się do źródła ognia. Dopiero jeśli zajmie się dom, mamy uciekać w kierunku wody. Teraz tutaj jest najbezpieczniej.

– Kim pani jest?

– Gertrud French.

Natasza podniosła głowę.

– Mówił ci o mnie – zgadła kobieta.

– Podał inne nazwisko.

– Przez ostatnie lata posługiwałam się przybranym – Schmetterling – oraz kilkoma jeszcze. Może kiedyś będzie więcej czasu, to opowiem. Los oszusta przypomina dolę kota z egipskiej legendy. Masz dziewięć żyć, ale nigdy nie wiesz, jak długo potrwa to pierwsze, drugie i następne. Za to kiedy się kończą, kolejne zaczynasz bez problemu. Choć czasami, gdy się opłaca, wracasz do starego. Ja właśnie to zrobiłam.

– Ma pani na myśli zmianę personaliów?

– Mówię o przeistaczaniu się, nie o przebraniach. Tych możesz mieć setki.

– To jakaś różnica?

– Zdecydowana. Nie jesteśmy aktorami. Udawać może każdy. My żyjemy naprawdę i zależnie od okoliczności zmieniamy kolory skrzydeł. Dwadzieścia cztery godziny, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Nie możesz odpocząć, odejść od stołu. Nosisz takie paski i oczka, jakie są wskazane w danej strefie klimatycznej.

– Schmetterling to po niemiecku motyl? Przypadek czy żart?

– Męża bawiło naprawianie skrzydeł motylom. Nie łowił ich i nie przyszpilał do ściany jak Nabokov i kilku innych świrów, ale ratował. To bardzo rzadka sztuka. Wymaga precyzji, zresztą jak zaplanowanie dobrego przekrętu. Wiesz, że można sztucznie wybarwić motyle skrzydła, wystawiając poczwarkę na wyższe lub niższe temperatury? Gary'ego fascynowały zwłaszcza kółka na górnych skrzydłach. Te największe sprawiają wrażenie oczu ogromnego zwierzęcia, mają odstraszać drapieżne ptaki. Wszyscy nawzajem sobą manipulujemy. W naturze oszustwo jest czymś naturalnym. Modliszka diabelska, jeże, biedronki, tygrysy, aligatory, nawet osy. Dlaczego ludzie mieliby być od tego wolni? Kiedy się spotkaliśmy z Garym, co noc tańczyłam w pomarańczowym kostiumie, który jego zdaniem przypominał skrzydła rusałki pawika.

Natasza zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc słowa, ale Gertrud tylko machnęła lekceważąco ręką.

– Bardzo popularny motyl. Nieważne, to tylko przerywnik liryczny. Po miesiącu bycia razem Gary wytatuował sobie na karku motyla, który moim zdaniem przypominał raczej mola. Ale to pewnie dlatego, że rysował go w więzieniu Rollo, a jego gust modysty pozostawia wiele do życzenia, choć dla mnie zorganizował całkiem niezłe papiery na nazwisko Schmetterling. Były tak dobre, że używałam ich do tego roku, ale to już nie ma znaczenia, bo i tak zostałam wdową. Choć nie wypada tak mówić, bo wciąż jeszcze Gary'ego nie pochowałam. Ciało żyje, tyle że jego dusza wybrała inny wymiar. Krótko mówiąc, jest wariatem. Byłam u niego wczoraj, nie poznał mnie.

Natasza szerzej otworzyła oczy. Zastanawiała się, czy Gertrud sama nie jest szalona.

Kobieta wskazała płonąca łódź.

– Za to dzięki twojemu chłopakowi pozbyłam się kilku wrogów. Marzenia się spełniają.

– Daniel nie jest moim chłopakiem.

– A kim? Znajomym, z którym sypiasz?

– Byłoby to bliższe prawdy.

Gertrud roześmiała się i spojrzała na Nataszę z respektem.

– Sądziłam, że pójdzie mi z tobą znacznie trudniej.

– Co pani ma na myśli?

– Jesteś cennym nabytkiem – odparła Gertrud bez zastanowienia. – Dla wielu żywych i umarłych. Jak miło, że niektórzy zdążyli się już spopielić.

– Chętnie bym się dowiedziała, ile jestem warta.

– Daniel zażądał pół miliona złotych, pośrednik drugie tyle i twoi rodzice przywieźli całość.

Natasza przełknęła ślinę. Chciała spytać, gdzie teraz są jej mama i tata, ale nie знаła sytuacji, więc stwierdziła, że nie warto ich narażać. Może ta kobieta ma broń? Trzymała ręce w kieszeniach, marynarkę miała zapiętą. Nie była agresywna, a raczej w jakimś stopniu zabawna, ale wzbudzała w Nataszy mieszane uczucia.

– Zamierza pani przejąć te pieniądze?

Gertrud wstała, podeszła bliżej, a Natasza odruchowo zrobiła kilka kroków wstecz, ale zaraz oparła się plecami o ścianę.

– Nie bój się.

– Nie boję się – oznajmiła dziewczyna, choć lęk ją paraliżował. – Czego pani ode mnie chce?

Gertrud w odpowiedzi wyciągnęła z kieszeni komórkę.

– Dzwoń do swojego kochasia. Mam z nim do pogadania. Powiedz mu, że mamusia z tatusiem przywieźli pieniądze i wyjeżdżasz.

Natasza zawahała się.

– Mogłabym po prostu wyjść.

– Powinnaś to była zrobić dziewięć dni temu.

Natasza ruszyła naprzód, ale Gertrud ją zatrzymała. Ścisnęła chude ramię dziewczyny i skrzywiła się z bólu. Zaczęła rozpinać kamizelkę. Biała koszula była cała we krwi. Natasza dopiero teraz spostrzegła, że kobieta jest ranna.

– Ktoś musi panią opatryć – krzyknęła przestraszona.

– Wygląda słabo, ale tak naprawdę to tylko draśnięcie. – Gertrud machnęła ręką. – Kula przeszła bokiem.

– Ten ktoś jest na zewnątrz?

Gertrud skinęła głową.

– I spróbuje jeszcze raz?

– To skomplikowane – westchnęła kobieta. A po namyśle dodała: – To mój brat. Mam coś, czego potrzebuje, i nie mam tego ze sobą, a on to wie. Coś, co kompletne jest tylko wtedy, kiedy zwabisz tutaj Daniela.

Natasza nie pytała o nic więcej. Wzięła komórkę i spojrzała na Gertrud.

– W barku jest alkohol.

– Wypiłam wystarczająco, by śmiać się z bólu – odparła. – Jeśli łyknę choć jedną szklankę więcej, nie zdołam ci pomóc.

– Mogę potem zadzwonić do mamy?

– Wezwij tego drania, a zaprowadzę cię w miejsce, skąd przejmą cię twoi. Jak widzisz, jesteś istotną częścią tej układanki. Nie chodzi mi o twoje pieniądze. Ze swoimi mam tyle kłopotu, że nie wiem, w co włożyć ręce.

Daniel odjechał już kilka kilometrów od Villi Portesina, ale zamiast ulgi czuł jedynie smak porażki. Sprawa wymknęła się spod kontroli, a on spanikował. Nie odebrał pieniędzy od Szwarców, nie miał drugiego klucza, bo kiedy Gertrud wyznała, że nie ma go ze sobą, Wolf oddał strzał, ale Yanek był szybszy. Daniel widział, jak Niemiec wyciąga rewolwer, identyczny jak jego ojca, który jako dzieciak zaniósł do szkoły, by przypodobać się kolegom. Na jego oczach Igy padł na plecy, a z jego ust kaskadą buchnął strumień krwi. Gertrud charczała obok, trzymając się za brzuch. Daniel nie dowierzał, że to dzieje się naprawdę. Czuł się tak, jakby znajdował się na planie *Kill Billa*. Pewnie dlatego podszedł bliżej, pochylił

się i podniósł okulary, które zawsze nosił Wolf, a które zsunęły się ślepcowi z nosa, jak spadają buty ze stóp ofiar gwałtownych wypadków.

– Widzę niebo – wychrypiał Wolf, przymknął oczy i uśmiechnął się. – Jest czerwone.

Daniel schował pamiątkę do kieszeni, a potem zaczął biec i zatrzymał się dopiero przy samochodzie. Od rana był spakowany, gdyż planował, że dziś na zawsze opuści Portesinę. Nie zastanawiał się, po prostu zajął miejsce za kierownicą i z piskiem opon ruszył z podjazdu. Teraz bardzo żałował tej decyzji. Powinien był zabrać gotówkę. Yanek kilka razy mówił, że Szwarcowie są blisko. Z jakiejś przyczyny Niemiec upierał się, by przejąć okup osobiście. Daniel się zgodził. Uważał to rozwiązanie za wygodne – w razie wpadki mógłby się wykpić, że nie miał związku ze sprawą.

Przycisnął gaz, ale na przełęczy musiał zwolnić. Przez głowę przelatywały mu chmury niepokojących myśli. Co powie Krasickiemu, gdy na posesji zaroi się od policji? Jak wyjaśni stertę trupów na łajbie? Wystarczy, że przycisną Yanka, a ten z pewnością zaświadczy, że widział w hangarze kanistry z ropą i lont. Daniel nie planował masakry, a jedynie drobny szantaż. Nie jest mordercą i brzydzi się przemocą. Nie przewidział, że pijana załoga zagoni gości na łódź i zamknie mesę, a kiedy piorun strzeli w najwyższy maszt, ludzie w panice zablokują zamki, bo wszystko na „Daisy” było sterowane elektronicznie. Zapas paliwa załatwił resztę. Wszyscy jego wrogowie skończyli na grillu. Nie będzie miał nawet komu o tym opowiadać. Ale w sumie dobrze się stało. Gdyby ta głupia dziewczucha nie zmitrężyła tyle czasu w toalecie i nie musiałby jej pocieszać, z pewnością popłynąłby z nimi, bo miał wielką ochotę się od niej uwolnić. Nie do wiary, że VAL, admirał, Emma, a nawet Wolf, którego obawiał się najbardziej – zginęli. Gertrud dostała kulkę, a w interesie Yanka nie jest cokolwiek wyjaśniać. Los zdecydował za Daniela i okazało się, że znów miał fart. Zacznie na nowo. Który to już raz? Pieniądze się odrobi. Przychodzą, odchodzą. Daniela uderzyło nagle, że pomiędzy krótkimi okresami nieprzyzwoitego bogactwa nieustannie jest bez grosza i w długach. A przecież całe życie nie robi nic innego, tylko walczy o majątek.

Z rozmyślań wybił go dzwonek telefonu. Gertrud? Czyżby przeżyła? Może kona i zdecydowała wreszcie, by wspaniałomyślnie podać mu

miejsce ukrycia drugiej połowy klucza? Wcisnął słuchawkę na kierownicy.

– Możesz odwołać swojego zabójcę – usłyszał zimny, wrogi głos Nataszy.

Tak mówiła tylko na początku, kiedy spotkał ją pierwszy raz w okolicy Czarciego Pola. Naraz przed oczyma stanął mu widok dziewczyny idącej uparcie pod wiatr, z apaszką wirującą metr za nią jak wojenny proporzec.

– Rodzice przywieźli pieniądze.

Zmroziło go. Od kiedy wiedziała?

– Dobrze się czujesz, kochanie?

– Wracaj, odbierz kasę i odwołaj brata Gertrud.

– Schmetterling jest z tobą?

Dziewczyna przekazała słuchawkę.

– Są pod bramą od północnej strony. Czekamy w kapliczce. Mam aktywator karty. Dostaniesz swój klucz.

Rozłączyła się.

Daniel zaklął, przycisnął pedał gazu do podłogi i zagapił się bezmyślnie w przestrzeń, próbując ogarnąć gonitwę myśli. Wtedy zza zakrętu wyskoczyła srebrna alpina. W tym samym momencie Skalski dostrzegł wysokiego człowieka z melonikiem w dłoni niefrasobliwie wędrującego wzdłuż urwiska. Ślepiec szedł na wprost nich i Daniel już był pewien, że we trójkę nie zdołają minąć się bez szwanku. Odbił kierownicą w lewo, poczuł uderzenie o maskę i w ostatniej chwili zatrzymał się na skraju przepaści. We wstecznym lusterku widział, jak poobtłukiwana alpina spada w czeluść i znika z pola widzenia. Daniel nie miał złudzeń, że do końca życia będzie pamiętał wyraz twarzy Darii: szok, zaskoczenie i jednocześnie przepraszający uśmiech, ponieważ zanim dziewczyna odfrunęła w morską otchłań, rozpoznała swojego czarnego anioła. Człowiek, którego Daniel potracił, wciąż leżał nieruchomo na jezdni. Melonik turlał się jeszcze chwilę, a potem uniósł się poderwany przez wiatr, jakby to była ulatująca dusza Wolfa. Daniel zwolnił, oddychał ciężko, a potem przejechał jeszcze kilka kilometrów, by znaleźć bezpieczną zatoczkę i ochłonać. Dopiero kiedy odzyskał zdolność myślenia, wykonał nawrotkę. Ale nie dane mu było tego dnia wrócić do Portesiny, bo z naprzeciwka nadjechali wezwani

do wypadku carabinieri i po wylegitymowaniu Polaka zatrzymali jego dokumenty, podejrzewając słusznie, że są fałszywe. Na posterunku policji umieszczono go w areszcie do wyjaśnienia, bo okazało się, że Polacy wystawili za Skalskim list gończy. Przez krótką chwilę Danielowi wydawało się, że zazna wreszcie spokoju. Usiadł na pryczy, poluzował krawat, zsunął lakierki i pogrążył się w rozmyślaniach.

W sąsiedniej celi siedział osmalony facet z kolorowym piórkiem za uchem. Dzielili ich jedynie cienka, wiele razy spawana krata. Kiedy mężczyznę wypuszczano i podnosił się spod brudnego koca, Daniel rozpoznał Rolla Sharka.

– Dziś był ostatni dzień. – Peruviańczyk wyszczerzył się i wsunął przez kratę łaskę. Główka była odkręcona, wewnątrz znajdował się niewielki schowek. Był pusty.

Daniel bez słowa włożył do niego mały elektryczny kluczyk.

Villa Portesina nad Lago di Garda, Włochy, wiosna 2019

Kapliczka była maleńka, przyklejona do skarpy i pierwszy raz, odkąd Daniel tu bywał – otwarta. Wspinał się rozmokłym podejściem w swoich tanich adidasach z przydziału. Wiatr smagał go po twarzy, lał deszcz. Wiedział, że za chwilę rozsiale się burza, więc się śpieszył. Pogoda była identyczna jak trzy lata wcześniej, kiedy doszło do eksplozji na jego jachcie, i choć rzeczoznawcy uznali, że śmierci obecnych na nim ludzi winna jest siła wyższa, Yanek nie otrzymał odszkodowania. Daniel odwrócił się. Eskorta stała twardo pod szpalerem parasoli. Tylko niektórzy policjanci mieli na nogach kalosze. Kiedy wdrapał się wreszcie na skarpe, poczuł zapach wosku i kadzidła. Ruszył do wnętrza małej świątyni. Najpierw zobaczył rząd cienkich świec w złotej czarze wypełnionej piaskiem. Ściany kaplicy pokrywały stare malowidła. Niektóre obrazy przybrano kwiatami, inne były zasłonięte lnianymi, bogato wyszywanymi makatami. Daniel bardzo chciałby wiedzieć, co się za nimi kryje. Zapach topiącego się wosku i kadzidła był upajający.

Gertrud miała zwiewną białą sukienkę, jakby szła do ślubu, i czekała przed samym ołtarzem. Siwe włosy jej odrosły i znów układały się falami na plecach. Przy niej stał Dieter. Świecił klawiaturą nowiutkich zębów. U stóp przystojnego dwudziestoparoletniego blondyna ziajał stary pies wielkości małego kucyka. Staruszek w dziwacznym stroju ludowym, z koloratką, patrzył na zwierzę z obrzydzeniem. Zdecydowanie nie pochwalał wizyt niebędących ludźmi w miejscach kultu. Daniel skinął głową pastorowi Xaweremu Krzywickiemu, a ten w odpowiedzi puścił do areштanta oko. Jediną ławkę w pomieszczeniu zajmowali rodzice Nataszy. Matka była zapłakana, ojciec dziewczyny na widok Daniela zwinął dłoń w pięść. Kiedy Skalski wszedł, zza winkła wychylił się brat Gertrud. Chował coś za siebie i w pierwszej chwili Daniel pomyślał, że Yanek ma broń, więc odruchowo się uchylił, ale to była tylko komórka. Ekran telefonu świecił jeszcze chwilę, a potem zgasł. Yankowi towarzyszyła przystojna dziewczyna w kombinezonie do złudzenia przypominającym mundur. Rodzice Nataszy trzymali w dłoniach metalową puszkę, modląc się bezgłośnie, a potem podali ją Danielowi. Ceremonia pożegnania nie trwała

długo. Pastor odmówił modlitwę, włączył *I Belong to You* Lenny'ego Kravitz, a Daniel wysypał zawartość puszek przez otwarte okno. Patrzył, jak prochy Nataszy znikają w strugach wody, a potem wyciągnął z kieszeni czarne okulary, założył je na nos. Zapadła ciemność.

Wrocław, Polska, czerwiec 2020

Irmina Radziwiłł zdjęła kitel i kask, odwiesiła je metodycznie na właściwe miejsca i wyszła z hali produkcyjnej. Pracownicy odetchnęli z ulgą, że szefowa zarządu nie miała dziś zbyt wielu uwag. Pamiętała imiona każdego z pracowników, nawet tych najniższej rangi – od sprzątaczk po inżynierów. Kiedy zmieniała gumowce na swoje szpilki od Louboutina, podbiegł do niej czterdziestolatek w sweterku w serek.

– Co się dzieje, Sadowski? – mruknęła, nie podnosząc głowy. – Powiedz pani Jadzi, żeby skrupulatniej wycierała krawędzie przy framugach. Jeśli mamy trzymać standardy Unii Europejskiej, opiłki miedzi są niewskazane.

– Oczywiście, szefowo. Tata dzwonił, że jedzie do nas jakiś prokurator z Niemiec – zameldował inżynier.

– Prokurator, mówisz? – Irmina zmarszczyła brwi.

– Niejaki doktor Schlosser. Ponoć bywa straszliwie ostry. W ubiegłym roku zrobił im kipsisz na komendzie w sprawie Daniela. Bronek Kuna jest już pijany z nerwów.

– Wywieź go na pokera, bo wszystko popsuje – zarządziła. – A potem wróć do firmy. Musimy omówić nową strategię sprzedaży. Skłaniam się do otwarcia sklepu internetowego. Skoro hurtownie i supermarkety dają tak długie terminy płatności, możemy część towaru dystrybuować bezpośrednio. Zwłaszcza że jesienią znów mogą być jakieś ograniczenia z powodu koronawirusa. Popracuj nad aplikacją, żeby każdy mógł mieć nasze towary po jednym kliknięciu. Ominiemy pośredników.

Sadowski przyjrzał się energicznej starszej pani.

– Moja babcia nie wie, co to jest YouTube, a co dopiero TikTok – zaczął.

– Nie truj mi tu o babciach. Nie wybieram się na emeryturę, a wnuki już wychowałam. Jutro pojedziesz do Leonarda, może ma jakiś patent do zgłoszenia. Na wiosnę warto zabić konkurencję czymś nowym.

– Bezsprzecznie – rozpromienił się Sadowski. – Uwielbiam spotkania z profesorem. Żeby pani wiedziała, jak ci mordercy go lubią.

– Opowiada im o doskonałych narzędziach zbrodni?

– Nie, o profilowaniu. Właściwie raz w tygodniu prowadzi wykłady. A oni piszą pisma do władz aresztu, żeby zwiększyć liczbę godzin.

– Wciąż pali?

– Jak smok.

– Powiedz, że przyślę mu hipnotyzera.

– Ostatni przez profesora sam wrócił do nałogu.

– Nie podoba mi się, że tak się rozbestwił – rzuciła w przestrzeń, bo już maszerowała do gabinetu.

Przed wejściem stało dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki i barczysty jak wiking. Drugi mały i skulony, a do tego łysy jak kolano, a na nosie miał okulary w metalowych oprawkach w kształcie kóelek, które sprawiały, że jego twarz zdawała się jeszcze bardziej okrągła.

– Pani prezes, goście z zagranicy – zaśpiewała zza biurka Cesia i mrugnęła porozumiewawczo. – Podam albariño.

– Panowie z pewnością są abstynentami – rzuciła ostro Irmina.

– W żadnym razie – ożywił się ten wielki jak dąb i wyciągnął dłoń w kierunku profesorowej. – Pernod Hagedorn, CGZ Amsterdam. – A potem spojrzał na kolegę. – Chyba że doktor nie jest zainteresowany.

– Chętnie się napiję. Zamykamy wreszcie to cholerne śledztwo, więc lepszej okazji nie będzie.

– Wobec tego przynieś kieliszki, Cesi. I nie gap się tak na panów. Są żonaci.

Pernod zarumienił się jak sztubak, a Irmina mrugnęła do niego znacząco.

– Znam oczywiście pana nazwisko. Leonard nie zmienił zdania, nic więcej nie zezna. – Zwróciła się do małego: – Pana mamy okazję gościć pierwszy raz. Jak mi doniesiono, pan doktor Schlosser?

– Tytuł jest niepotrzebny. To tylko tradycja.

– Znam ją i kultywuję, gdyż sama bardzo lubię, kiedy ludzie nie zapominają zwracać się do mnie „profesorowo” – zaśmiała się i rozsiadła za monstrualnym biurkiem. – Czym mogę panom służyć?

– Ciekawi nas kilka rzeczy – zaczął Pernod, a potem spojrzał na Niemca.

– Doktora Schlossera zapewne także, choć nie honor mu przyznać.

I dodajmy, że jesteśmy tutaj nieoficjalnie. Na własny koszt, nie z nakazu.

– Cesi! Podaj dwie butelki – krzyknęła Irmina. – I zadzwoń do Okrasy, niech przywiezie włoskie z restauracji Paola.

Mężczyźni siedzieli nieruchomo.

– Dobrze sobie pani radzi na stanowisku – zaczął Schlosser.

– Całe życie lubiłam władzę. – Irmina wzruszyła ramionami. – Musiałam jedynie pół wieku dojrzewać do odpowiedzialności. Wcześniej miałam na barkach szalonego wynalazcę, ale dzięki panom zrobiło mi się w kalendarzu sporo wolnego. Jak widać, jeden profesor zajmuje tyle czasu, ile fabryka zatrudniająca siedem tysięcy osób. Wychodzi na to samo.

Przerwała, by się roześmiać.

– Żartuję oczywiście. Umiem dzielić obowiązki i mam nosa do ludzi. Tak naprawdę trzeba jedynie wiedzieć, co człowiek lubi, i powierzyć mu tę robotę oraz nie dawać pracy metodycznej niebieskim ptakom, a pedantom – kreatywnej. Oto cała tajemnica.

– W pani ustach wydaje się to proste, a jednak Grajbud pod innymi rządami nie działał tak sprawnie. – Schlosser znów spróbował się podlizać. – Czy to nie zasługa pieniędzy na start?

– Ma pan już nasze szczoteczki do zbierania kurzu, wiatraki zapachowe, karimatę motywującą albo rozdrabniarkę aury? Muszę panu sprezentować te cuda i sam pan się przekona, że sprzedawanie tego to czysta przyjemność. Ledwie nadążamy z produkcją. Cesi, przynieś panom gadzety reklamowe i zapisz na konto Sadowskiego, bo i tak za dużo rozdaje studentom.

Zapadła cisza.

– Dziękujemy – bąknął Pernod. – Lipez z pewnością ucieszy się z rozdrabniarki aury.

– Pobraliście się, słyszałam – zaczęła Irmina. – Cieszę się. My też mieliśmy ostatnio ślub w firmie.

– Doprawdy? – Pernod walczył z zawstydzeniem. Żona profesora była wprost rozbijająca. – Czyżby pani Cesia?

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczyła szefowa, gestykulując. – Inez, na którą stawiałam, że wyda się za milionera, zaiste popełniła ten błąd.

– Od kiedy to mariaż z krezusem należy do fałszywych kroków? Mawiają, że to jeden z dziesięciu najbogatszych Polaków. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że nikt nie zna jego twarzy.

– No cóż – zawahała się Irmina. – Nie mówcie nikomu, ale to nigdy nie był Paolo Langusta. Pan Nowak naprawdę nazywa się Eryk Szaja i przewijał się w waszych aktach pod pseudonimem Śpiewak.

– Oczywiście, kojarzę Śpiewaka. Miał przeszłość wywiadowczo-gangsterską.

– Tak mówią, ale czy to prawda? – dyplomatycznie wybrnęła Irmina. – Spotkałam się z panem Szają kilkukrotnie. Ekscentryk, choć swoich bliskich traktuje czule.

– Bliskich? – powtórzył jak echo doktor Schlosser. – Nam podał, że nie ma nikogo. Całe życie zajmował się pracą i nie ma komu zostawić spadku. A jest się czym dzielić. – Urwał.

– Eryk Szaja ma kotkę o imieniu Carta D'identità – pośpieszyła z wyjaśnieniem Irmina. – Ponoć ma już dwadzieścia trzy lata.

– Nie wiedziałem, że koty tyle żyją.

– Ta owszem. Szaja przygarnął ją po śmierci syna przyjaciela. Matka Marcella była Włoszką, ojca w Polsce zwano Grubym Irkiem. W Brescii miał ksywę Grande Corbetti i otwarcie chwalił się, że jest *mafioso nella barca*[21]. Zginął w Wigilię od kulki w głowę, jak przystało na gangstera. Po jego śmierci matka zabroniła synowi odwiedzać kraj nad Wisłą, więc Marcello ożenił się z emigrantką z Polski – niejaką panią Waleski, ale małżeństwo nie przetrwało nawet roku. Mówią, że Marcello zrobił ten ruch tylko po to, by zatrzeć ślad, a i żonę opłacono w jakimś zupełnie innym celu. Mogłoby to mieć sens, bo po rozwodzie pani Waleski zmieniła personalia.

– Jak się teraz nazywa?

Irmina poszukała w dokumentach.

– Emma Pulaski – odczytała. – Jako jedyna przeżyła ten straszliwy pożar na „Daisy” w Portesinie. Nie licząc oczywiście pani French i Rolla Sharka.

Ale ich nie miałam przyjemności poznać. Emmę zresztą też widziałam tylko na zdjęciach. Ładna sztuka! Ale wróćmy do Marcella i jego opiekuna Śpiewaka...

Doktor Schlosser i Pernod uśmiechnęli się do siebie znacząco.

– Ciąg dalszy już znamy. Kiedy na jaw wyszło, że zabójstwo Grubego Irka zlecił jego księgowy i najbardziej zaufany pomocnik, a prywatnie ojciec chrzestny Marcella, Waleski wpadł w panikę. Ukrywał się, udawał chorego, planował wyjazd z Italii... Niestety nowy szef gangu znalazł go i zmusił do współpracy. Waleski tak bardzo bał się Taty, że umożliwił rabowanie dokumentów i pomagał w zacieraniu śladów wszelkich oszustw. Chyba jednak nie wypełnił swojego ostatniego zadania prawidłowo, bo kiedy Śpiewak widział się z nim ostatni raz, Marcello podał mu klatkę z kotem i worek żwirku.

– Sugeruje pan, że Eryk Szaja osobiście wykończył Marcella?

– Nie wiem – odparł szczerze Pernod. – A jak pani sądzi?

– Jak sądzę czy co wiem?

– Jesteśmy na urlopie, profesorowo – zachęcił kobietę Pernod.

Irmina zamyśliła się.

– To, że Śpiewak był dla Marcella jak dobry wujek, tylko ułatwiało wywabienie go z kryjówki. Uważam, że Szaja mógł mieć związek ze śmiercią Waleskiego. Zastanawia mnie natomiast, dlaczego nie unieszkodliwił Daniela i tak długo pozwalał mu działać na własną rękę. Skalski wiedział o nim przecież niemal wszystko.

– Marcello był słabym krętaczem. – Schlosser machnął ręką. – To tak, jakbyście mnie kazali podłożyć lewe czeki w Raiffeisen. Nikt by mi nie uwierzył. Myślę, że Szaja jest zbyt wielkim tchórzem, by osobiście brać się do konfrontacji. Umie tylko podjudzać i wysługiwać się innymi. Nie brakuje szumowin, które mają kompleksy i chętnie zarobią parę dolców.

– No cóż, jeśli chodzi o dobre wieści, to okazało się, że odkąd pan Śpiewak posiada kota, jego cera znacznie się poprawiła, a wykwitry są ledwie widoczne. Langusta zaś zarzeka się, że był z pryncypałem u weterynarza, kiedy Marcella uprowadzono z domu.

– Może więc zrobili to razem? – Niemiec dalej podpuszczał profesorową. – Ten agent nieruchomości, który pośredniczył w wynajmie Villi Portesina, także zaginął bez śladu. Ciała żadnego z nich nie odnaleziono do dziś. A ponieważ mieliśmy w tym czasie podsłuch na telefonach Providenzy, mogę z całą pewnością potwierdzić, że Langusta był wtedy we Włoszech.

– Nie znam się na mokrej robocie. – Irmina splotła ramiona. – Mogę się wypowiadać jedynie w materii biznesowej. Paolo w Providenzy pełnił funkcję wyłącznie ozdobną i jak się okazało, zawsze był tylko pracownikiem najemnym. Erykowi Szai to odpowiadało, chociaż zauważyłam, że odkąd wykwity są mniejsze, wcale nie pali się do powrotu do starego układu. Może to była zwykła próżność? – zawahała się. –

W każdym razie Langusta po spłacie wszystkich długów ma mniej niż mój mąż kiedykolwiek przed procesem. Nawet Okrasa jest bogatszy. Ale cóż poradzisz na prawdziwe uczucie? Piękna sprawa – zaśmiała się, a goście zawtórowali jej wyłącznie z uprzejmości. – Teraz założyli z Inez knajpę. Zamawiamy u nich, bo inaczej by zbankrutowali, ale między nami mówiąc, jedzenie jest podłe. Jeśli panowie nie są jakoś szczególnie głodni, odradzam konsumpcję. Mamy w hali małe schronisko dla psiaków, to się wyroby Inez nie marnują.

Odchrząknęła, ponieważ w drzwiach pojawiła się Cesia, a za nią Inez dzielnie dzierząca półmiski. W takiej wąskiej spódnicy i garsonce zabudowanej po szyję nie mogło jej być wygodnie.

– Pięknie pachnie – pochwalił Schlosser tak szczerze, że nikt nie miał wątpliwości, że facet umiera z głodu.

– A ja mam jeszcze jedno pytanie – podjęła wątek Irmina. – I liczę na szczerą odpowiedź.

– Jeśli będziemy w stanie jej udzielić – ostrożnie zaczął Schlosser, lecz Irmina nie dała mu dokończyć.

– Stare dane mam. Uczestniczyłam, jak panowie wiedzą, w procesie męża i wiem, kto był słuchany oraz co powiedział. Nie pojmuję, jak Danielowi udało się uciec wtedy z Włoch, kiedy rozsypywano prochy Nataszy.

– Szukamy go do tej pory. – Pernod wzruszył ramionami.

- Tutaj go nie ma. – Irmina zatoczyła ramieniem koło.
- Też tak sędzę. Inaczej byśmy nie przybywali na wino i krewetki.
- To jak to się stało? Międzynarodowy list gończy nie pomógł? Armia strażników i wszyscy święci...
- Włosi mieli gumowce, a on uciekł do lasu – oburzył się Schlosser, jakby to wyjaśniało wszystko.
- A więc miał współnika? – domyśliła się Irmina. – Pastor? Ponoć Xawery odprawiał ceremonię pogrzebową.
- Przeszukaliśmy i przesłuchaliśmy wszystkich z jego otoczenia oraz jego samego. Zamknęliśmy tylko niejakiego Śniadego, który miał na sobie rzeczy Daniela. Skalski musiał się przebrać przed samą ucieczką, żeby nas wprowadzić w błąd, a jak się okazało potem – ci dwaj się znali, siedzieli razem w Chełmie. Yanek Matensky, brat Gertrud i człowiek pastora, też był pod obserwacją. Nic, zupełnie, jakby zniknął, rozpułnął się w powietrzu...
- To jego specjalność. Z tego, co wiem, Daniel dotąd nie zwrócił długów tym wszystkim biznesmenom – ciągnęła Irmina, a potem nagle umilkła i wpatrywała się znacząco w śledczych. – A w dwa tysiące dwunastym jak wpadł?
- Jak wpadł? – powtórzył Pernod i sam sobie odpowiedział: – Przez dziewczynę.
- Żona?
- Rozwiodła się z nim, dzięki Bogu, a dzieci też nie chcą go znać. Pani Emilia wróciła do panińskiego nazwiska i angażuje się w wolontariat prawny na rzecz poszkodowanych przez oszustów.
- Słyszałam. Swego czasu widywano ją ze Śpiewakiem, ale chyba tylko się przyjaźnią. Czasami spotykałam ich w parku, jak spacerowali z synkiem Darii. Kto więc wydał Daniela?
- Niejaka Gabi Geremek.
- Nic mi to nie mówi.
- Zrobiła z nim pierwszy przekręt i została skazana, ale od tamtej pory jest wzorem cnót. Kasjerka z poczty w Cycowie.
- O tak! Pisano o tym w gazetach. To były czeki pocztowe.

– Kiedy Daniel kupił ziemię pod lotnisko, którego nigdy nie zbudował, rozbijał się samochodami, helikopterami, jachtami i stawiał domy, pani Geremek obserwowała go w milczeniu. Do czasu, aż Daniel napuścił na męża Gabi swojego przyjaciela Freda, a ten wszelkimi sposobami starał się, by stację benzynową, która częściowo graniczyła z ziemią Daniela, wykupił jakiś zagraniczny holding. Z tego, co pamiętam, powiązany z Zakonem Maltańskim.

– Wtedy czara goryczy się przelała.

– Gabi złożyła oficjalne doniesienie i dostarczyła szereg dowodów, które pozwoliły na założenie podsłuchów, zgromadzenie dokumentów i dotarcie do pozostałych członków szajki. Fakt, że kluczowi już nie żyją.

– Jak tego dokonała?

– Syn Daniela jej pomógł. Czasami jabłko pada jak najdalej od jabłoni. Krystian Skalski miał dosyć uległości matki i postanowił odciąć się od przestępstw ojca. Słusznie zrobił, bo inaczej poszedłby siedzieć za jego długi. Daniel tworzył kaskady także na kontach własnych dzieci. Dzięki temu, że Krystian zachował się honorowo, sąsiad Dzik, który miał weksle Skalskich, zostawił im jeden dom na dożywotnie użytkowanie, dopóki Krystian i Krysia się nie usamodzielnia. Śmierć obojga dziadków bardzo nimi wstrząsnęła. Gabi bardzo pragnęła odwetu, bo funkcjonariuszom CBS postawiła tylko jeden warunek: chciała widzieć, jak zakuwamy Daniela w kajdanki. Pojechała nawet do Włoch i spotkała się z nim w celi. Nie rozmawiali długo, ale po jej wyjściu Daniel próbował pobić strażnika.

– Więc osobista zemsta?

– Raczej bycie dobrym.

– Dobrym w swoim fachu? – Irmina nie pojmowała.

– Jeśli się prowadziło takie życie, jak Skalski, należało się spodziewać ataku w najmniej spodziewanym momencie. Chronił się od ważnych wrogów, a pogrzyżała go przeszłość. Jest w tym coś z powracającej karmy.

– Muszę spotkać się z tą panią i porozmawiać – postanowiła Irmina. – A czym ja mogę panom służyć?

– Gdyby była pani łaskawa zdradzić, jak wyprowadziła pani te dwadzieścia milionów z kont szanownego małżonka – wyrzucił na jednym

oddechu Schlosser.

– Wcale nie wyprowadzałam – zaśmiała się Irmina.

– Jak to?

– Są wciąż w kaskadzie. Pracują na Grajbud, chociaż teraz radzimy sobie już całkiem nieźle z produkcji.

– Nadal nie rozumiem. – Schlosser zmarszczył czoło.

– Widzi pan, kiedy mój mąż zajmował się rozdrabniarką aury i innymi rewolucyjnymi wynalazkami mechanicznymi, ja surfowałam po internecie i najbardziej zainteresowały mnie bitcoiny.

– Bitcoiny?

– Wymyślone pieniądze. To jak myśl, która jest energią. Dziś wszyscy wiedzą, że to działa, i chętnych do inwestycji jest wielu. W tamtym czasie była to absolutna nowinka. Nie muszę przypominać, że ryzykowna. Napiałam się z moimi dziewczynami wina i zdecydowałam w to wejść, a po trzech miesiącach mogliśmy otwierać nowe skrzydło fabryki. To były czasy!

Mężczyźni siedzieli bez ruchu.

– Nie piją panowie – zaniepokoiła się Irmina.

– Ile pani ma lat?

– No wie pan! Nie pyta się kobiet w moim wieku o sumę wiosen! – oburzyła się, ale wiedzieli, że tylko się wygłupia. – Siedemdziesiąt cztery, choć nadal zdaje mi się, że dwadzieścia trzy.

– Grunt to precyzja.

– Najważniejsze, że wciąż się żyje – roześmiała się Irmina. – A te miliony, jak już je znajdziecie, oddam z radością. Od dawna życzyłam sobie, żeby je panowie odzyskali. To, co wypracowuje Grajbud, jest wystarczające, a i mój Leoś wróciłby wreszcie do domu. On nie jest już taki młody, a w tym pierdlu za dużo pali. Stąd, przyznacie, nie jest łatwo kontrolować tę sprawę.

– Wciąż próbujemy je znaleźć – westchnął Pernod. – Niech mi pani wierzy.

Chełm, Polska, czerwiec 2020

Kiedy Noell Burling wszedł do sali widzeń, Fred siedział w pomarańczowym uniformie więziennym i palił papierosa.

– Nie jestem adwokatem – zaczął Noell, zanim się przedstawił. – Przybywam z polecenia Dany’ego Skalskiego von Hochberga.

Fred nie odpowiedział. Poczochrał się nerwowo po bujnej brodzie, jakby odkrył ukrywające się w niej mrowisko. Na jego twarzy nie było znac zaciekawienia, tylko zmęczenie i apatię. Ramiona pochylił do przodu, łokcie oparł o blat. Zdusił w popielniczce peta, aż żar poparzył mu palce.

– Mój proces się zakończył. Nie przyznałem się, ale to zeznania Daniela mnie pogrążyły – rzucił oskarżycielsko. – Może pan przekazać Skalskiemu, że to koniec. Nie wybaczę zdrady.

– Nie jestem adwokatem – powtórzył Noell, jakby nie słyszał ostatnich słów Freda. A potem przesunął w jego kierunku plik dokumentów. – Pracuję w szwajcarskim banku Robby. Jestem osobistym administratorem konta o numerze osiemset – trzysta czterdzieści pięć – sześćset siedemdziesiąt dwa.

Fred podniósł głowę. Kiedy się odezwał, Noell wyczuł w jego głosie wrogość.

– Nie posiadam już żadnych kont. Wszystkie zajęto nakazem prokuratorskim. Moja rodzina mierzy się ze skutkami bankructwa, a wstyd, jaki przyniosła nam przyjaźń z pana klientem, jest nie do odrobienia. Ludzie mają nas za współników malwersanta.

– To powinno rozwiązać wasze kłopoty – stwierdził Noell. – Na tym rachunku zdeponowano przeszło trzysta milionów dolarów. Według naszych przepisów nikt, żadne służby nie mają dostępu do konta, ponieważ zostało założone na nazwisko pana ojca. Jak się dziś upewniłem, Marian Brukwicz nie żyje. Pan jest jedynym spadkobiercą. I tylko pan może rozporządzać pieniędzmi. Jestem do pana dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

Fred długo milczał, jakby wiadomość nim wstrząsnęła. A potem wstał, otrzepał swój pomarańczowy uniform i zastukał w kratę. Wyszedł, nie odwracając się, więc nie zobaczył miny, jaką miał bankier, który pierwszy raz w życiu spotkał człowieka mającego dość siły, by wzgardzić fortuną.

Tydzień później Fred otrzymał pocztą zalakowaną kopertę z nadrukiem White Horse Trust Liberia LTD. Znajdowały się w niej umowy i kody dostępu do konta w RobbyBanku. W małym zapieczętowanym etui Fred znalazł dwie niewielkie blaszki przypominające kartę SIM – jak się domyślił, otwierały skrytkę. Po kolacji pożyczył zapalniczkę od kolegi z niższej pryczy i spalił kartka po kartce każdy z dokumentów. Między nimi odkrył też odręcznie napisany list. Charakter pisma wskazywał na rękę Daniela. Fred nie przeczytał listu. Ze spokojem patrzył, jak słowa byłego przyjaciela pożera ogień. Popiół wsypał do sedesu, a kluczyki wcisnął w szczelinę ściany za spłuczką. Potem poszedł do pokoju, gdzie mieli prowizoryczną siłownię. Walił w worek bokserski do utraty sił, a kiedy wrócił, dłonie miał pokrwawione. Spał tej nocy spokojnie i obudził się rześki, pełen wigoru, choć za oknami szalała burza i padało nieustannie od dziesięciu dni. Tego dnia przybył jego adwokat i oznajmił, że Freda oczyszczono z zarzutów. Był wolny.

ZERO

BEZ RYZYKA NIE DA SIĘ MÓWIĆ PRAWDY

Bez ryzyka nie da się mówić prawdy.

A ja jestem tchórzem.

Oczywiście nie było żadnego Wolfa. Wymyśliłem go.

Tak samo jak niektóre postaci, którymi posługiwałem się nie tylko w tej opowieści, ale i w innych, również w rzeczywistości. Tym zaś ludziom, którzy istnieli, nadałem fikcyjne imiona i pokazałem ich tak, jak według mnie chcesz ich widzieć. Od ciebie zależy, kto wyda ci się prawdziwy. To stary numer. Im więcej nazwisk, szczegółów, niedokończonych tropów, tym gęściejsza mgła i trudniej się połapać, co stanowi meritum. Działa zawsze. To też niezła bomba z gazem łzawiącym wrzucona do biura prokuratora i jego pomagierów, żeby mieli co robić, gdyby zachciało im się znów mnie ścigać. A w razie procesu pozwala na rozmycie odpowiedzialności.

Poza tym nie jest ważne, która z moich kukiełek miała ciało i paszport (niekoniecznie na własne nazwisko), a kto był wycięty z papieru (za to dobrze pokolorowany), bo w każdym kłamstwie jest głęboko ukryta prawda. Im więcej założonych masek, tym łatwiej ją odsłonić. Wystarczy zdejmować je jak sukienki cebuli. Czasami jednak szkoda na to czasu, bo w środku jest tylko pustka ziejąca chłodem. (Osobiście wolę inne gry, ale dla zainteresowanych podaję sygnatury moich akt, które znajdują się w lubelskim sądzie: IXK 23/2014 oraz IVK 19/2006. Sto dwadzieścia tomów do obrania. Dobrej zabawy we mgle!).

Gdybyśmy jednak kiedyś się spotkali, uważaj na słowa. Ludzie tacy jak ja wypuszczają je, jak drzewo wypuszcza liście. Tyle że liście są rzeczywiste, a słowa to jedynie kod. Każde uruchamia inny obraz, wspomnienie, skojarzenie. Ty też masz swoją prawdę i własne kłamstwo. Tylko ty wiesz, co jest czym w danym momencie, i tylko ty na pewno się nie pomylisz. Dlatego jeśli miałbym dać ci jedną przydatną radę na drogę, byłoby to: nie słuchaj – poczuj. Czasami łatwiej jest nie widzieć, być ślepy. Lepiej już będzie dla

ciebie, jeśli zawierysz tej plątaninie wymysłów i faktów, by przekroczyć granice własnej podświadomości, i skonfrontujesz to z miłością własną. Ciało zawsze wie, co jest dla ciebie dobre. Ludzie okłamują siebie i świat, aby żyć. Robili to, robią i będą robić. Ale opowiadają sobie tylko o tych, o których nie da się powiedzieć ostatniego słowa. Głos autora to akt odwagi.

Więc skoro to opowiedziałem, może nie jestem tchórzem? Nie wiem. Niezbyt mnie to interesuje. Wiem tylko, że nie wrócę. Nie zamierzam wracać do mamra. Choćby dlatego, że nie ma tam lodów pistacjowych.

Warszawa, 25 czerwca 2020

Postłowie

Akta sądowe jednego z największych oszustów III RP liczą ponad sto dwadzieścia tomów. Zapoznałam się z każdą włączoną do tego materiału kartą. To, co Państwu przedstawiam w postaci fabularnej opowieści inspirowanej historią Piotra O. i jego przygód, choćby wydawało się Państwu fantastyczne i nieprawdopodobne, jest ledwie kroplą w morzu niegodziwości i kręactw, które miały miejsce w rzeczywistości. Tak, nie przejęczyłam się. Zło, które czynią tacy ludzie, często ukryte jest pod piękną maską, lecz niewiele różni się od krwawych zbrodni, ponieważ tak jak i one zaburza balans oraz bezpowrotnie łamie ludzkie życie.

Kiedy zabrałam się do pracy nad powieścią, długo nie mogłam pojąć motywu, jaki przyświecał przestępcy, którego tym razem obrałam za bohatera, lecz byłam przekonana, że nie chodzi tylko o pieniądze, prestiż i szybkie samochody. Wiele wiemy o psychopatach, którzy idą przez życie, nie szanując innych. W tym przypadku mamy dodatkowo do czynienia z nadzwyczajną manipulacją, a ofiarą może paść każdy z nas.

Dla mnie osobiście praca ze zgromadzonym materiałem była równie dotkliwa, jak obcowanie z diabłem, i taki też archetyp obrałam dla bohatera. Szatańskie sztuczki, makiawelizm, strategie, piętrowe intrygi oraz wpływanie na innych wszelkimi możliwymi sposobami nie udałyby się, gdyby nie czar, elokwencja, gładka powierzchowność oraz perfekcyjna zasłona dymna, którą oszust odgradza nas od prawdy. Oszust nie miewa wyrzutów sumienia ani poczucia winy, że kogoś wykiwał, ale się boi. Jego życie to ciągła ucieczka przed tym, że ktoś odkryje, kim jest naprawdę. A co znajduje się pod tą perfekcyjną maską? Dokładnie nic. Pustka. Kiedy jednak zajrzysz w tę czeluść, masz szansę poczuć, czym jest jądro zła: to otchłań lęku oraz gniewu. Największemu wrogowi nie życzę takiego życia w strachu. Ale też dlatego tacy ludzie gromadzą się w stada i grają w swoje gry, w których nie ma żadnych zasad: bo tylko zwycięstwo pozwala im na chwilę zapomnieć, że są poza nawiasem. I oni o tym wiedzą, podobnie jak zbuntowany Lucyfer, który pragnął zająć miejsce Boga.

Doświadczyłam tej ciemnej mocy na własnej skórze, kiedy jedyny raz spotkałam się z pierwowzorem bohatera tej opowieści w chełmskim

więzieniu. Po kilkugodzinnym spotkaniu wyszłam z odkręcającą się głową, ponieważ doprawdy bardzo trudno było odsiać prawdę od kłamstw, a nici, którymi oszust mota człowieka, są prawie niedostrzegalne. Starłam się dotrzeć również do jego bliskich, osób powiązanych w różnym stopniu z tematem, a także ekspertów prowadzących dochodzenia i przez lata usiłujących Piotra O. zatrzymać. Tutaj pragnę podziękować funkcjonariuszom CBŚ, prokuratorom oraz wszystkim pracownikom lubelskich sądów, którzy umożliwili mi zapoznanie się ze sprawą. Państwa wiedza oraz wnioski i refleksje były bezcenne. Z wiadomych przyczyn nie wymienię tutaj nazwisk, lecz składam Państwu wielki ukłon do ziemi za okazaną pomoc.

W momencie, kiedy oddaję tę książkę do druku, pierwowzór Daniela Skalskiego jest ścigany listem gończym, lecz wciąż przebywa na wolności. Jestem przekonana, że właśnie teraz, w chwili, kiedy to czytacie – robi to, co potrafi najlepiej, a więc czaruje i mami, kłamie i nakręca intrygę, a ktoś (możliwe, że uważający się za uczciwego oraz dobrego człowieka) podpisuje właśnie cyrograf. Nie bójcie się diabła, strzeżcie się człowieka. Na świecie jest wielu takich jak on.

Katarzyna Bonda

- [1] Kruk – w gwarze więziennej duchowny.
- [2] Chawir – w gwarze więziennej współnik.
- [3] Calak – w gwarze więziennej komplet dokumentów.
- [4] *Doofe Kuh* (niem.) – głupia krowa.
- [5] *Dumme Muschi* (niem.) – głupia cipka.
- [6] Fryk – w gwarze więziennej oszust.
- [7] Cuwaks – w gwarze więziennej pierwszy raz skazany, nowicjusz.
- [8] Wychodzić – w gwarze więziennej dokonać kradzieży.
- [9] Charty – w gwarze więziennej policjanci, ludzie z organów ścigania.
- [10] Gacki – w gwarze więziennej funkcjonariusze SW.
- [11] Fachura – w gwarze więziennej podziwiany, doświadczony więzień.
- [12] Fałat – w gwarze więziennej banknot.
- [13] Haft – w gwarze więziennej kłamstwo.
- [14] Gwizdek – w gwarze więziennej koniec odsiadki.
- [15] Wszystkie błędy ortograficzne, interpunkcyjne i stylistyczne według pisowni oryginalnej.
- [16] Haukacz – w gwarze więziennej adwokat.
- [17] *Arrima tu prima vai te foder* – bardzo grzeczne „spierdalaj”.
- [18] *Cogeme como el tipo negro* – rznij mnie po murzyńsku.
- [19] *Gillipollas Babaca* – zakuta pała.
- [20] *No me toques los cojones* – nie wkurwiał mnie.
- [21] *Mafioso nella barca* (wł.) – gra słów: gangster z Łodzi.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz